

Mons Kallentoft

Jesienna Sonata

Przełożyli Anna Krochmal i Robert Kędzierski

REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

POZNAŃ 2011

Tytuł oryginału
Hóstoffur

Copyright © Mons Kallentoft, 2009.
First published by Natur & Kultur, Sweden
Published by arrangement with Nordin Agency, Sweden
AU rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2011

Redaktor
Elżbieta Bandel

Opracowanie graficzne okładki
Lucyna Talejko-Kwiatkowska

Ilustracja na okładce Niklas Lindblad
/ Mystical Garden Design

Wydanie I

ISBN 978-83-7510-652-7

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl
Skład: AKAPIT, Poznań, tel. 61-879-38-88

Prolog

ÓSTERGOTLAND, PAŹDZIERNIK

Uży ten chłopiec na filmie się boi? Ten, który odbiega coraz dalej od kamery, w świat bez nieba?

Czy to strach czujemy, kiedy mamy stracić coś, co jest dla nas ważne?

Czy to strach czułem, kiedy biegłem? Kiedy gonili mnie po szkolnym podwórku, ciskali we mnie rozżarzonymi kolczastymi kulami, zmijowymi słowami?

Bąłem się złości, ciosów, które spadały, choć nie rozumiałem dlaczego. Czy te ciosy były dla mnie? Dlaczego budziłem taką złość?

Zawsze najbardziej bąłem się samotności. Tej, która kryje się za ciosami, wyzwickami. A jednak prawie przez całe życie bąłem samotny. To tak, jakbym stał sam na zalany deszczem pustym polu i czekał, by ktoś, za kim tęsknię, do mnie przyszedł.

Tej jesieni otworzyło się niebo.

Deszcz dręczył miasto, pola i lasy, ludzi. Padało na wszelkie możliwe sposoby.

Kilka razy przepełniła się kanalizacja. Zalało studzienki ściekowe, z których na ulice Linkópingu wyptynęły zdechłe żuki i utopione myszy. Szczury wielkie jak koty, z nabrzmiały- 5

mi, gnijącymi, białymi brzuchami. Postrach wszystkich mieszkańców.

Młode węże krzyczą o powietrze, chcą choć raz zmienić skórę, nim się utopia, chcą żyć jako węże, zanim ich wężowe życie się skończy.

Kto wie, co jeszcze może wypłynąć spod ziemi?

My, ludzie, jesteśmy jak psy. Potrafimy czuć się najsamotniej w towarzystwie innych. Ale boimy się bardziej niż psy, bo wiemy, że ból ma swoją historię, rozpoznajemy go, gdy się do nas zbliża.

W mojej krwi są młode węże, które nie chcą przestać się uskarżać, nie chcą zostawić mnie w spokoju.

Te węże syczą.

Plują jadem. Ich języki drgają pod moją skórą.

Dziś wieczorem świat na zewnątrz jest jeszcze ciemniejszy niż na zdjęciach.

Krople deszczu są jak ciężkie sny na nieprzyjemnej szybie. Co mam zrobić?

Odzyskam tylko część tego, co moje.

Pamiętam ojca.

Ale najlepiej pamiętam strach. Jak potrafił uderzyć, właściwie kiedykolwiek, jak szukał mojego ciała zaciśniętą pięścią.

Ojciec nosił kamerę w jednej ręce, trzymał ją tuż przy prawym oku, a wolną ręką machał w powietrzu, próbował pokierować mnie to tu, to tam w swoich beznadziejnych próbach naprawienia rzeczywistości, ustawienia jej tak, jak chciał, sprawienia, by była taka, jak sobie życzył.

Ale zawsze coś zostaje utracone.

I już nigdy nie da się tego odzyskać.

Teraz wiem, czym jest strach. Uczuciem, że tylko to będzie, tylko to było. I że nigdy nie było żadnej różnicy.

Obrazy na ekranie rozpiętym w dużym pokoju. Rozchwiane obrazy na filmie Super 8, wyblakłe, prawie czarno-białe. Ja, milczący i rozchwiany chłopiec, tak jakby tylko jednooka 6 kamera potrafiła wychwycić mój niepokój.

Widziałem, jak moje życie staje się na tych obrazach. Widzę, że teraz dzieje się to samo.

Nagie, zimne stopy bębniące po mokrej od rosy trawie i chłodnym żwirze, piłka kopnięta wysoko w powietrze, pokrzywione ciało, które przewraca się jak długie w piaskownicy.

Wtedy przychodzi rozgoryczenie. Wstyd. Skulone ramiona pokonanego stają się prawdziwą postawą w życiu. I coś takiego się dziedziczy.

Czasami chciałem iść prosto do jądra zła. Stałem pod jego domem, pod drzewem, i czekałem.

Czego chce ten chłopiec na filmie, który jest mną? Co myśli w swojej wiecznej terażniejszości?

Czy wierzy, że życie to śmiech? Gonitwa?

Teraz mama musi trzymać kamerę. Jestem w pachnących tytoniem objęciach taty, jego ramiona są ukryte pod szarą wełną, a w tle czarno-biało świeci choinka. Płacę. Moja twarz dwulatka jest samą rozpaczą, a ja jestem zredukowany do może trzech uczuć: smutku, paniki i tego przekłętą strachu.

Co myśli ten chłopiec? Ten o spuchniętych, czerwonych policzkach?

Dostaję całusa w czoło.

Ojciec miał wtedy brodę, tak jak nakazywała moda, a mama wygląda zabawnie w tej swojej krótkiej spódnicy, i teraz znów się cieszę, przez parę krótkich sekund jestem radością.

W lesie kryje się pewna możliwość. Szarpana na strzępy ostrym, zimnym deszczem i trującym, szarym wiatrem. Szansa, żeby odzyskać siebie samego, człowieka, którym mam prawo być, tego, którego życie jest serią czarno-białych, ładnych i paskudnych ruchomych obrazków w pachnących perfumami białych kopertach.

Projektor syczy za moimi plecami, zacina się, moje ramiona i głowa rzucają cień na ścianę na krawędzi obrazów, tak jakbym chciał w nie wejść, znów być tym chłopcem. Odzyskać tego, kim mógł się stać.

Dokąd odeszła miłość? Zapach tytoniu. Szedłem do ciebie, tato, chociaż biłeś. Szedłem do ciebie, bo tylko to znałem.

Wrażliwość drugiego człowieka musi się gdzieś kończyć, musi tak być.

Tata i ja w parku. Odwraca się ode mnie, kiedy upadam. Mama odwraca ode mnie kamerę, kieruje ją prosto na jego twarz, a on się krzywi. A może po prostu tak wygląda?

W jego twarzy nie ma miłości.

Tylko obrzydzenie.

Tak film się kończy.

Wszystko miga. Czarno-biało, czarno-biało. Tyr, tyr.

Pamiętam chłopca z tego filmu.

Wiem, do czego mógłby być zdolny.

Wiem, co ta noc ukrywa w swoim zaropiałym brzuchu. Wiem, że młode węże muszą się wydostać, wydostać ze mnie, że ich złe twarze muszą raz na zawsze zniknąć.

Dzięki przemocy mogę odzyskać samego siebie.

rowoli, powoli w noc.

Dodać gazu tylko trochę, tak, żeby niczego nie trafił szlag.

Dłonie drżą na kierownicy, za oknami samochodu jest czarno i mokro, wichura sprawia, że deszcz zacina poziomo, wielkie krople mieszają się z tymi mikroskopijnymi, szyba pełna czarnych łez, z którymi nie poradzą sobie żadne wycieraczki.

Malin Fors czuje, jak serce wali jej w piersi, widzi je przed sobą, czarne, zakrzepłe i szarpiące się jak noc na zewnątrz. Jedzie dalej leśną drogą, a nagie gałęzie drzew wyciągają się za samochodem jak sękaty macki jakiegoś prahistorycznego potwora.

Malin puszcza jedną ręką kierownicę, zwalnia, ociera oczy, wmawia sobie, że to tylko deszcz na policzkach.

I nic innego.

Wciąga do płuc zatęchłe powietrze i robi jej się niedobrze.

Coś bębni w blaszany dach białego służbowego volvo. Małe, białe kulki całymi chmurami spadają z nieba. Wkrótce ten dźwięk narasta do grzmotu, więc grad, który wali o dach, musi być wielkości zaciśniętej pięści, zagłusza silnik, zdaje się krzyczeć do niej: „Teraz już wybrałaś, teraz nie ma już powrotu, teraz się poddałaś, Malin Fors!”

Jej ciało drży.

Twarz Jannego tańczy przed przednią szybą. I Tove.

Twarz piętnastoletniej córki Malin jest przerażająco blada, a zarys jej sylwetki pojawia się i znika w ciemnej jesiennej nocy, a kiedy Tove próbuje coś powiedzieć, jej głos zagłusza grad walący w dach.

A potem robi się cicho.

Słysząc tylko silnik i ostrożne krople uderzające o szybę, niezbyt mocno, tak że wycieraczki mogą już sobie z nimi poradzić.

Ubranie Malin jest mokre, przykleiło się do ciała.

Światła od strony autostrady w kierunku Linkópingu, teraz je wyczuwa, wibrujące latarnie morskie w ciemności nocy, są coraz bliżej i Malin przyspiesza, myśli: Mam to gdzieś, byle jak najszybciej się stąd wydostać. Widzi przed sobą twarz Jannego - nie jest zła, nie jest smutna, tylko zmęczona, i to ją przeraża.

To była piękna myśl: że ona, Janne i Tove należą do siebie i że muszą próbować udźwignąć ten dar.

Wprowadziły się z powrotem do Jannego, do domu pod Malmslatt, późnym latem ubiegłego roku. Ponad dziesięć lat po rozwodzie powinni spróbować jeszcze raz, czuli się do tego zmuszeni po tym szalonym, gorącym lecie, które niemal kosztowało życie Tove, gdy została porwana przez morderczynię ściganą przez Malin.

We wrześniu Malin siedziała w ogrodzie przy domu, tym samym, w którym dawno temu mieszkali razem, i patrzyła, jak Tove i Janne pracują, jak pielą i grabią liście przy wrakach samochodów. Patrzyła na nich i wierzyła, że naprawdę można zacząć wszystko od początku, że można stworzyć nowy świat, byle tylko znalazła się chęć i jakiś powód.

Z początku dobrze im się grało w tę grę. Nie pracować za dużo, razem przygotowywać posiłki, jeść, jeść, kochać się, kochać się, spróbować pogadać, spróbować powiedzieć coś, co rzeczywiście mogłoby mieć znaczenie.

12 I wtedy nadeszła prawdziwa jesień.

Poszli z Tove do psychologa na oddział psychiatrii dziecięcej Szpitala Uniwersyteckiego. Tove nie chciała z nią rozmawiać, mówiła, że nie ma o czym, mówiła: „Mamo, ja się nie boję. Poradziłam sobie. Wszystko jest w porządku. To nie była twoja wina”.

- To nie była niczyja wina.

Ale Malin wiedziała, że to była jej wina. Tove została wciągnięta w sprawę ubiegłego lata i jeśli to, co się stało, nie było winą Malin, to czyją? Gdyby nie jej praca w policji, nigdy by się to nie wydarzyło.

- Ludzie robią dziwne rzeczy, mamo.

Malin często pragnęła być tak racjonalna i rozsądna jak jej córka, umieć równie łatwo godzić się ze stanem rzeczy: Tove, z pozoru niewzruszona.

Wraki samochodów na działce. Tubki pasty do zębów bez zakrętek. Banalne kartony z mlekiem otwarte nie tak, jak trzeba. Słowa rzucane w przestrzeń, które odbijają się z powrotem, nieusłyszane i bez odpowiedzi. Dachówki, które trzeba wymienić. Jedzenie, po które trzeba jeździć samochodem do wstrętnych supermarketów. Poczucie winy i wyrzuty sumienia, tłumione codziennymi obowiązkami, i próżny żal, że z upływem lat nie stała się mądrzejsza. Rozpoznała rozdrażnienie, gdy pojawiło się ukradkiem na początku listopada: piła wrzynająca się w duszę, łagodna, lecz okrutna pogarda miłości, a w snach powrócił ten mały chłopiec i chciała porozmawiać o nim z Jannem, kim mógł być, kim był. Leżała w łóżku obok Jannego, wiedziała, że nie śpi, ale na jej skoło-waciałym języku nie chciały powstać żadne słowa.

Mieszkanie w mieście wynajęła studentom. Wieczorami przesiadywała w komisariacie, Janne dbał o to, żeby mieć dyżur w remizie, kiedy ona miała wolne, wiedziała o tym, rozumiała to i nie potrafiła mieć mu tego za złe.

W wolnym czasie zaczęła grzebać w sprawie Marii Murvall. Chciała rozwiązać tę zagadkę, znaleźć odpowiedź na pytanie, co się stało z tą młodą kobietą, którą znaleziono zgwałconą, błąkającą się po leśnej drodze nad Hultsjón, a która teraz się działa niema i bez kontaktu w sali szpitala w Yadstenie.

Cierpliwość Jannego wobec jej złości. To ją wkurzało jeszcze bardziej.

- Rób, co chcesz, Malin. Rób, co musisz.

- Do diabła, przecież możesz mieć jakieś zdanie o tym, co powinnam robić.

- Może powinnaś trochę się zrelaksować, nie myśleć o pracy, kiedy jesteś w domu z nami?

- Janne. Nigdy, nigdy nie mów mi, co mam robić.

A potem nadeszła Wigilia, poszło o szynkę, czy powinni kupić łagodną czy ostrą musztardę do pieczenia, Janne wziął ostrą, gdy ona odpowiedziała „jakakolwiek”, w ogóle nie słuchając jego pytania, a potem wściekła się na niego, że „nie wie nawet takich prostych rzeczy jak to, że do opiekania świątecznej szynki musztarda powinna być łagodna”.

Krzyczał na nią.

Żeby wzięła się w garść. Żeby czasem, do diabła, spróbowała być miła i normalna, bo inaczej może zbierać swoje manele i wyprowadzać się do tego pieprzonego mieszkania. Krzyczał, że może iść do diabła, że to był od samego początku idiotyczny pomysł, że pytali go w Służbie Ratowniczej, czy pojedzie do Sudanu po Nowym Roku, i że, do cholery, powinien się zgodzić tylko po to, żeby uciec od jej pieprzonych docinków i humorów.

- Do diabła, Malin, jesteś chora, rozumiesz?

Uniosła w jego stronę kieliszek z tequilą i colą.

- Przynajmniej nie jestem tak durna, żeby zepsuć pieprzoną szynkę.

Tove siedziała kilka metrów od nich, przy kuchennym stole, jej dłonie spoczywały na czerwonym bawełnianym obrusie, obok świątecznych dekoracji i czerwonego serwisu z porcelany, który niedawno kupili w Ahlens.

Janne zamilkł.

Malin chciała mu coś odkrzyknąć, ale zamiast tego spojrzała na córkę.

Jej niebieskie oczy, wielkie, wytrzeszczone, tak jakby z lękiem zadawały pytanie.

Więc tak to jest, jak się kogoś kocha?

W takim razie uratuj mnie przed miłością.

Malin wyczuwa, że dojeżdża do miasta, niebo robi się jaśniejsze.

Ruch jest niewielki.

Zastanawia się, czy ma w mieszkaniu coś suchego, w co mogłaby się przebrać, ale wie, że nie ma, może coś w jakiejś skrzyni na strychu, ale wszystkie inne ubrania są w domu, u Jannego.

Mija ją czarny samochód, we mgle nie sposób dostrzec, jaka to marka, ale kierowcy się spieszy, jedzie niemal dwa razy szybciej od niej.

Znów pada i świeżo opadłe, pomarańczowe i złociste liście trzepoczą przed przednią szybą, tańczą przed nią jak iskry, jak świetliki z ognia samego diabła, płomienie, które szepczą, przywołują zło z miasta i okolic: wylaźcie, złośliwość i wszelkie inne cholerstwo, wypełnijcie ze swoich zimnych, zalanych nor, pokażcie, jak wygląda wasz pozbawiony miłości świat.

Usprawiedliwienia Jannego brzmią w tych dźwiękach i w niej.

Już nigdy takich świąt jak poprzednie. Obiecała to sobie.

- Muszę jechać.

Rozmawiali o tym znowu w pierwszy dzień świąt, Malin męczył kac i nie miała siły się sprzeciwić, tylko po cichu była zła i smutna, że wszystko znowu wydaje się takie jak zawsze.

- Muszę tam jechać. Nie będę mógł sobie spojrzeć w oczy, jeśli odmówię. Potrzebuję mojego doświadczenia, żeby szybko postawić latryny w obozie dla uchodźców, bo inaczej ty siące ludzi pomrą jak muchy. Widziałaś kiedyś dziecko, które umiera na cholera, Malin? Widziałaś?

Już wtedy chciała dać mu w pysk.

Kochali się ostatni raz w noc przed jego wyjazdem.

Ostro i bez ciepła i miała wrażenie, jakby leżała na niej twarde ciało Daniela Hógfelda, dziennikarza, z którym czasami chodziła do łóżka. Podrapała Jannego po plecach, ugryzła go w pierś i czuła metaliczny smak jego krwi, a on jej na to pozwalał, jakby mu się podobało, że tak go dręczy swoją złością.

Tej nocy miała w sobie mięso. Twarde, sztywne mięso.

A kiedy Janne wrócił do domu po miesiącu, była już mocno zaangażowana w sprawę Marii Murvall, w wolne dni próbowała zdobyć jak najwięcej informacji od kolegów z policji w Motali, którzy pracowali nad tą sprawą.

Tove żyła gdzieś obok nich. To się musiało stać.

- Nigdy jej nie ma w domu. Zauważyłaś? - spytał Janne pewnego kwietniowego wieczoru, kiedy oboje mieli wolne, a Tove pojechała do miasta, do kina.

Malin nie zauważyła, jak miałyby zauważyć, skoro sama też nigdy nie bywała w domu.

Rozmawiali o tym, żeby pójść do poradni rodzinnej. Żeby jednak spróbować terapii rodzinnej. Kilka razy Malin stała już z telefonem w ręce, chciała zadzwonić do psychoanalityk Vi-veki Crafoord, która proponowała jej darmowe sesje.

Ale jej język był jak sparaliżowany.

Wiosną Malin znów widziała, jak pracują w ogrodzie, ojciec i córka, ona sama obecna była tylko ciałem, jej myśli pochłaniała skomplikowana sprawa morderstwa honorowego.

- Jak, u diabła, ojciec może kazać synowi zamordować własną siostrę? Możesz mi powiedzieć, Janne?

- Nie pij już tequila dziś wieczorem.

- Nienawidzę, kiedy mnie upominasz. To brzmi tak, jakbym była twoją własnością.

Linköping jest spowity lodowatym deszczem.

Czym jest tak właściwie to miasto, jeśli nie poczwarą ludzkich marzeń?
Ramie przy ramieniu mieszkańcy piątego co do 16 wielkości miasta w kraju mozolnie pchają naprzód swoje ży-

cie. Patrzą na siebie. Osądzają się. Próbują się kochać mimo uprzedzeń. Ludzie w Linkópingu chcą dobrze, myśli Malin. Ale ponieważ życie wielu z nich to nieustanny niepokój, czy nie stracą pracy i czy pieniędzy starczy do końca miesiąca, a tylko nieliczni mają wszystkiego aż nadto, nie zawsze łączy ich poczucie wspólnoty. Mieszkańcy miasta żyją tuż obok siebie, oddzielają ich tylko cienkie geograficzne linie. Jeśli ktoś krzyknie zza ogrodzenia eleganckiej willi, ktoś inny z biednych osiedli z „programu milion” może usłyszeć jego głos i odkrzyknąć z obskurnego balkonu.

Jesień to czas rozkładu, myśli Malin. Cały świat jest zgniły, czeka, aż otoczy go chłód zimy. Równocześnie barwy jesieni to barwy ognia, ale to zimny ogień, który potrafią kochać tylko zimnokrwiste zwierzęta, tylko one potrafią się nim cieszyć. W pięknie jesieni, w płomieniach liści kryje się jedynie obietnica, że wszystko będzie jeszcze gorzej.

Jej dłonie nie drżą już na kierownicy.

Pozostała tylko zimna wilgoć przylegająca do jej szczupłego ciała. Mam silne ciało, myśli. Może i zaniedbałam prawie wszystko, ale nie zaniedbałam treningu, jestem silna, taka silna, do diabła, jestem Malin Fors.

Przejeżdża obok starego cmentarza.

Widzi odbicie katedralnej wieży padające na przednią szybę, jak lanca średniowiecznego rycerza, gotowa ją przebić.

Co się stało dziś wieczorem?

Jakie słowa padły?

Jakie uniesienie brwi, jaki ton i w którym głosie sprawił, że znów zaczęli?

Nie ma pojęcia, piła, niedużo, ale na pewno o wiele za dużo, żeby teraz prowadzić ten samochód.

Jestem pijana? Adrenalina mnie otrzeźwiła. Całkiem trzeźwa nie jestem. Ale przecież dziś wieczorem chyba nie ma żadnych kolegów na patrolu?

Ty świni. Ty leniwa świni, ty uciekająca, tchórzliwa świni. Uspokój się, Malin, zachowuj się normalnie, do diabła, prze-

stań, nie pij już więcej, nie pij już więcej, do diabła, możesz sobie iść, czy go uderzyłam? Uderzyłam cię w kuchni, Janne? Czy stałam tam tylko z pięścią uniesioną w powietrze, wkurzona na te wszystkie twoje przekłete nie rób tego, nie rób tamtego?

Machnęłam pięścią w powietrze, teraz to pamiętam, gdy zatrzymuję samochód przed bramą przy Agatan.

Zegar na S:t Larskyrkan, spowitym teraz w ulotnej mgle, wskazuje za piętnaście jedenasta, a na tle nieba słabo odcinają się sylwetki kilku zerwanych ze snu wron.

Nie ma ludzi na ulicy i nie chcę myśleć o tym wieczorze, o tej nocy. Przy ciemnoszarych kamiennych murach kościoła na mokrej trawie leżą ogromne sterty zgrabionych liści. W ciemności wyglądają tak, jakby rdzewiały, jakby chciały oddać swoje piękne kolory i pozwolić się pożreć milionom robaków, które wypelzają z zalanej ziemi.

Cofnąłeś się, Janne, uskoczyłeś zwinnie, tak jakby wiele razy w przeszłości ktoś wymierzał ci znacznie gorsze ciosy niż mój, a ja wrzasnęłam, że teraz jadę, teraz jadę i już nigdy nie wrócę.

Nie jedź w takim stanie, Malin, a ty próbowałeś zabrać kluczyki i była tam Tove, zasnęła na sofie przed telewizorem, ale w tym momencie się obudziła i zawołała, mamó, przecież wiesz, że nie możesz tak jechać.

Uspokój się, Malin, chodź tutaj, daj się przytulić, znów uderzyłam, i jeszcze raz, ale tam, gdzie miałam nadzieję, że będziesz, było tylko powietrze.

Udałam, że cię pytam, Tove, czy chcesz ze mną jechać, ale ty pokręciłaś głową.

A ty, Janne, mnie nie zatrzymywałaś.

Spojrzałeś tylko na kuchenny zegar.

Wtedy pobiegłam do samochodu.

Przejechałam przez najciemniejszą jesienną pogodę i teraz się zatrzymałam. Otwieram drzwi samochodu. Czarne macki rozdierają czarno-szare niebo. Otwarte dziury strachu, tam, skąd powinno sączyć się światło gwiazd.

Moje buty na mokrym asfalcie.

Mam trzydzieści pięć lat.

18 Do czego doszłam?

CZWARTEK, DWUDZIESTY TRZECI,
PIĄTEK, DWUDZIESTY CZWARTY PAŹDZIERNIKA

lxlucz w zamku.

Malin męczy się z nim nieporadnie, ręce nie chcą słuchać, choć już jakiś czas temu przestały się trząść.

Trafia.

Nie trafia.

Trafia.

Jak ze wszystkim.

Mieszkanie zwolniło się w zeszłym tygodniu, powiedziała Jannemu, że znów je wynajęła kolejnym ewangelickim studentom. Wybuch dziś wieczorem, nieunikniony, upragniony, odkładany aż do chwili, gdy będzie możliwy.

Malin wchodzi do mieszkania, strząsa krople deszczu ze swoich blond włosów ostrzyżonych na pazia. Woń wilgoci miesza się z zapachem cytrynowego płynu do naczyń i Malin czuje, że jesień wdarła się przez szczeliny w futrynach okien i rozpełzła po ścianach, podłogach i sufitach.

Drży.

Musi podkręcić kaloryfer.

Teraz to inne uczucie.

Uczucie samotności. Ale także uczucie czegoś nowego, prawda?

Meble stoją na swoich starych miejscach.

Zegar z Ikea na ścianie w kuchni nadal jest zepsuty, sekundnik leży na dnie obudowy.

Malin stoi w dużym pokoju i chce zapalić lampę, ale nie może zdobyć się na to, żeby wcisnąć przycisk. Lepiej opaść na sofę w stosunkowo przyjemnej ciemności. Ciemności, która jest jej własna.

Tove.

W tym roku skończyła piętnaście lat.

Wciąż czyta jak szalona i jest najlepsza w klasie, ale wszystko w niej ma teraz jakiś twardszy ton, tak jakby zabawa zmieniła się w coś poważnego i czas zaczyna już odciskać na niej swoje piętno.

Jesteś na to za młoda, Tove.

W ciągu roku pojawiło się i znikło paru chłopaków.

Cześć, Peter. Cześć, Viggo.

Odważę się ją puścić? Nie mogę przecież karać jej za moje poczucie winy. I wygląda na to, że czuje się dobrze. Malin widzi to w swojej córce, ten blask w jej oczach, dziewczęcą sylwetkę, która zaczyna się zmieniać w kobiecą. Nadzieja Malin pozostaje niewypowiedziana: Uważaj na siebie, Tove. Nie chcesz zostać matką jeszcze przez wiele lat.

Skup się na szkole.

Czy nie mam przypadkiem niedługo wykładu w szkole? -myśli Malin. Sama myśl o tym, że ma coś gadać do zmęczonych, znudzonych uczniów, sprawia, że czuje się przybita. Odsuwa ją od siebie.

Kładzie się na sofie.

Czuje mokre ubrania przylegające do ciała.

Tequila już z niej wyparowała.

Jest trochę tak, jakby hipokryzja studentów ze szkoły ewangelickiej wciąż unosiła się w mieszkaniu, i robi jej się od tego trochę niedobrze.

Janne. Chciałaby powiedzieć przepraszam, ale nie wie, jak zacząć. I Tove. Jak jej to wytłumaczyć? Czy ty w ogóle potrafisz to zrozumieć?

Właściwie co ja wiem teraz o twoim życiu, Tove? Tak na-20 prawdę to nie mam o nim zielonego pojęcia, wiem tylko tyle,

że to mieszkanie jest twoim domem, że sprowadzisz się tu do mnie, nic innego nie wchodzi w rachubę.

Twoje książki są tam, u Jannego.

W tym roku tysiące razy próbowałam usiąść przy tobie na sofie albo na twoim łóżku i zapytać, jak się czujesz, ale wydobyłam tylko od ciebie: „Czuję się dobrze”, a potem ciche: „Zostaw mnie w spokoju, mamó”.

I czego od ciebie chcę, Tove?

Twojego przebaczenia? Zapewnienia, że wszystko jest w porządku?

Czy kiedykolwiek będzie w porządku? Ona, morderczyni, przycisnęła cię do podłogi, zacisnęła zakrwawione dłonie na twojej szyi i chciała cię zabić.

I to ja do tego doprowadziłam.

Deszcz potrafi padać na tysiące paskudnych sposobów. Krople potrafią mieć wszystkie kolory, nawet w nocy, potrafią odebrać miedzianą barwę jesiennym liściom i uczynić ją swoją, potrafią się zmienić w dziwny deszcz iskier w świetle ulicznych latarni, iskier, które są jak fruwające karaluchy.

Malin osuwa się na podłogę w dużym pokoju.

Widzi czerwone, pomarańczowe i żółte karaluchy fruwające w powietrzu, słyszy ich zgrzytające szczęki, odgania je, goni z miotaczem płomieni i wypędzając je ze swoich wizji, czuje swąd spalonych trupów.

Na zewnątrz zwyczajna rzeczywistość.

Chmury.

Tygodnie, całe tygodnie nad głową tylko różne odcienie szarości, żadnego błękitu w zasięgu wzroku. Rekordowe opady i meteorolodzy w telewizji, którzy gadają o potopie.

Znalazła butelkę w głębi szafki nad mikrofalówką. Wiedziała, że te wspaniałe ewangelickie typki nawet jej nie powąchają. Dlatego ją tam wcześniej zostawiła, świadomie albo nieświadomie, na przyszły użytek.

Pije prosto z flaszki.

Do diabła, to nie ma żadnego znaczenia, czy jutro będzie

miała kaca. Odkąd posadziła ojca i brata, którzy razem zaplanowali i przeprowadzili morderstwo swojej córki i siostry, jesień była całkiem spokojna. Dziewczyna miała szwedzkiego chłopaka. To wystarczyło.

Bydlaki.

Kac może się okazać nawet całkiem miły. Jutro będzie musiała zabrać całe to gówno, przywieźć rzeczy od Jannego, czy on przypadkiem nie jest jutro na służbie? Jeśli tak, to może uda mi się na niego nie wpaść. Zabiorę też rzeczy Tove. Porozmawiam z nią o przeprowadzce.

Jestem pijana, myśli Malin, i to jest piękne.

Ivi arna.

Jesteś taka zła, myśli Tove, naciągając kołdrę na głowę i słuchając, jak deszcz tłucze w dach domu, mocno i wściekle, jakby tam na górze był jakiś niecierpliwy Bóg, który bębni w niego milionami swoich długich palców.

W pokoju pachnie ziemią. Przed chwilą zerknęła na dywan ze skrawków materiału, leżą na podłodze jak rozpląszczone węże, a ich cętkowane wzory są jak seria pięknych czarno-białych obrazów, których nikt nigdy nie będzie w stanie zrozumieć.

Wiem, mamó, myśli Tove, że obwiniasz się za to, co się stało ubiegłego lata, i że myślisz, że muszę tłumić w sobie mnóstwo uczuć. Ale nie chcę gadać z żadnym psychologiem, nie chcę siedzieć przed jakąś ciotką i wygadywać głupot. Rozmawiałam o tym z innymi, na czacie, na trauma.com. Tak wolę. Po angielsku. To jest tak, jakby wszystko stawało się dla mnie łatwiejsze, kiedy tylko widzę własne, nieskładne słowa o tym, co się stało, i jak strasznie się wtedy bałam. Słowa zabierają strach, mamó, obrazy wciąż zostają we mnie, ale obrazy nie mogą mnie pochłonąć.

Musisz patrzeć w przyszłość, mamó. Może się nie domyślasz, że widzę, jak pijesz. Może ci się wydaje, że nie wiem, gdzie chowasz butelki, że nie czuję, jak smród alkoholu przebija się przez zapach gumy do żucia. Myślisz, że jestem głupia, czy co?

Kiedy Malin znikła z całą swoją wściekłością, Tove i Janne dalej siedzieli przy kuchennym stole. Janne powiedział:

- Mam nadzieję, że się nie zabije w tym samochodzie. Myślisz, że powinienem zadzwonić na policję? A może za nią jechać? Jak myślisz, Tove?

A ona nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć. Najbardziej ze wszystkiego chciała, żeby mama wróciła, żeby wpadła do kuchni i była cała w skowronkach, ale coś takiego zdarza się tylko w kiepskich książkach i filmach.

- Nie wiem - powiedziała. - Nie mam pojęcia.

Rozbolał ją brzuch, wysoko, tuż pod mostkiem, paskudny ucisk, który nie chciał ustąpić, a Janne zrobił kanapki, powiedział jej, że wszystko się ułoży, kiedy tylko mama trochę się uspokoi.

- Nie możesz za nią jechać?

Spojrzał na nią, a potem tylko potrząsnął głową w odpowiedzi. I wtedy to wstrętne uczucie z brzucha przedarło się do serca, do głowy i do oczu i poczuła, że musi powstrzymać łzy.

- Płacz, jeśli chcesz - powiedział ojciec, usiadł przy niej i ją przytulił. - To jest smutne. Smutne, bo nikt nie chce, żeby było tak, jak jest. Płacz, jeśli chcesz - powtórzył.

- Tak zamierzam.

Jak mogę ci pomóc, mamó? Bo cokolwiek mówię, jest tak, jakbyś nie słuchała, jakbyś nie chciała słuchać, jakbyś znajdowała się w jakiejś jesiennej rzece pełnej brudnej, wzburzonej wody, i jakbyś postanowiła, że dasz się jej porwać prosto w ciemność.

Widuję cię w kuchni, w drodze do pracy, rano, na sofie przed telewizorem albo ze wszystkimi tymi papierami o Marii.

I chcę cię zapytać, jak się czujesz, bo widzę, że jest ci źle, ale boję się, że tylko się rozszłościś. Kompletnie zamknęłaś się w sobie, mamó, i nie wiem, jak cię z tego wyciągnąć.

I mam tyle innych rzeczy, o których wolę myśleć: szkołę, książki, wszystkich kumpli, wszystko, co jest fajne i o czym wiem, że dopiero się zaczyna. Chłopaków. 24 Tove zsuwa kołdrę. Znów dookoła ściany pokoju.

Wciąż czuję ból w żołądku, w sercu. Ale dla mnie to nic niezwykłego, że nie mieszkacie razem, ty i tata. I będą dalsze kłótnie. Bo nie wierzę, że tutaj wrócisz, i nie wiem, czy chcę teraz z tobą mieszkać.

Na parapecie usiadła wrona. Zagląda do środka, patrzy na Tove. Dziobie w szybę, a potem odlatuje.

W pokoju jest ciemno.

Poradzę sobie, myśli Tove. Poradzę sobie.

Janne leży w łóżku przy zapalanej nocnej lampce. Czyta publikację brytyjskich sił zbrojnych na temat budowy urządzeń sanitarnych. To mu pomaga przenieść się w pamięci do Bośni, Rwandy i Sudanu, gdzie ostatnio budował latryny w obozach dla uchodźców. Chce, żeby te wspomnienia z czasu, gdy pracował dla Służb Ratowniczych odsunęły jego myśli od tego, co się stało dziś wieczorem, tego, co już się stało i co teraz musi się stać.

Jednak te czarno-białe obrazy w jego pamięci, obrazy ludzi żyjących w najgorszej nędzy w odległych miejscach na świecie, są nieubłagane wypierane przez twarz Malin, jej czerwoną, nalaną, zużytą twarz alkoholiczki.

Kilka razy doprowadził do konfrontacji. A ona robiła uniki. Wrzeszczała na niego, gdy powylewał alkohol z jej ukrytych butelek, krzyczała, że to nie ma sensu, bo i tak ma schowanych kolejnych dziesięć, których on nigdy nie znajdzie.

Błagał, żeby się z kimś spotkała, z jakimś psychologiem, terapeutą, z kimkolwiek, do diabła. Rozmawiał nawet z jej szefem, Svenem Sjómanem, opowiedział mu, że Malin pije coraz więcej, że może w pracy tego nie widać, prosił go, żeby coś z tym zrobił, i usłyszał obietnicę, że coś się zmieni. Ta rozmowa odbyła się w sierpniu, ale jeszcze nic się nie zmieniło.

Ta jej złość. Na siebie samą. Na pewno za to, co się stało z Tove. Nie chciała pojąć, że to nie była jej wina, że zło jest zawsze i wszędzie i że każdy może wejść mu w drogę.

To było tak, jakby jej upór zwrócił się w niewłaściwą stronę. Jakby postanowiła zepchnąć siebie samą na dno.

I tego wieczoru uderzyła: nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobiła.

Kop głęboko. *Dig deep.*

Regular check ups. Bacteria sanitation.

Janne ciska publikację przez pokój. Gasi lampkę.

To był skończony idiotyzm, myśli. Wierzyć, że takie straszne wydarzenie może nas do siebie zbliżyć jako rodzinę. Tak jakby coś złego mogło być katalizatorem czegoś dobrego. Do diabła, przecież jest dokładnie na odwrót.

Patrzy na drugą stronę łóżka, gdzie zwykle spała Malin. Wyciąga rękę, ale nikogo tam nie ma.

Dezsenny świt.

Axel Fagelsjő wkrótce podniesie się ze swego skórzanego fotela, ale przedtem pociera palcami błyszczącą, wytartą powierzchnię poręczy i gasi papierosa w popielniczce na obitym skórą niskim kredensie. Później pozwala, by nogi poniosły krzepkie, wciąż pełne życia ciało siedemdziesięciolatka, wciąga brzuch, czuje się dziwnie silny, tak jakby tam na zewnątrz, przed drzwiami, stał jakiś wróg, a on musiał z nim walczyć za pomocą jednej z myśliwskich strzelb z szafy w sypialni na piętrze.

Axel Fagelsjő zatrzymuje się w salonie. Widzi, jak za oknami budzi się Linkóping, wyobraża sobie jego mieszkańców w łóżkach, wszystkich tych ludzi o najróżniejszym statusie. Ci, którzy twierdzą, że jeden człowiek nie różni się od drugiego, nie mają pojęcia, o czym gadają.

Drzewa w Tradgardsföreningen, wiatr kołysze ich koronami w tę i z powrotem. Deszcz pada teraz spokojnie. Nie ma już takich ulew, które wypędzają szczury z kanalizacji. Tej jesieni zdarzyło się to parę razy. I urocza klasa średnia miasta była zde gustowana tymi bestiami, które gnieźdzą się w podziemiach Linkópingu. Tak jakby nie chcieli się pogodzić z faktem, że pod ich wspaniałymi stopami mieszkają szczury. Szczury o nagich ogonach i zębach ostrych jak brzytwy, szczury, które będą tu jeszcze długo po tym, gdy ich samych już nie będzie.

Od dawna nie przespał całej nocy. Musiał wstawać trzy razy, żeby iść do toalety, i za każdym razem cisnąć z pięć minut, nim popłynęło parę kropel.

Ale nie narzeka. Są ludzie, którzy mają o wiele gorsze dolegliwości niż on.

Brakuje mu Bettiny, gdy budzi się w nocy. Tam, gdzie zawsze była konturem, ciepłem i oddechem, teraz jest tylko białe, puste łóżko. Na całe szczęście odeszła przed katastrofą, zanim Skogsa wyśliznął mu się z rąk.

W takie poranki jak ten zamek był najpiękniejszy.

Widzi go w myślach, tak jakby przed nim stał, tam, na skraju lasu.

Siedemnastowieczne mury z piaskowca zdają się wyłaniać z mgły pełniejsze życia niż sama przyroda.

Zamek Skogsa. Rozbudowywany i zmieniany z upływem lat wedle ekscentrycznych kaprysów jego przodków.

Miedziany dach lśni nawet wtedy, gdy niebo pokrywają niskie chmury, podobnie zresztą jak niezliczone oczy budynku - stare otwory strzelnicze i nowo wstawione okna szcze-blinowe. Zawsze miał wrażenie, że te otwory na niego patrzą, przyglądają mu się z jakiegoś odległego miejsca w historii, mierzą go i oceniają, porównują z tymi, którzy przed nim byli panami na zamku.

W porównaniu z nimi nowe okna są jakby ślepe, jakby szukały czegoś, co zaginęło. Z miejsca, z którego patrzy w swoich wspomnieniach, nie widać kaplicy, ale wie, że tam jest. Bettina nie jest w niej pochowana, chciała, żeby rozsypał jej prochy w lesie w północnej części posiadłości.

Słyszycie je.

Ryby, które trzepoczą się niespokojnie w czarnej wodzie fosy, być może skubią je w skrzela martwi rosyjscy żołnierze, ich głodne, zamurwane duchy.

Hrabia Erik Fagelsjő.

Hrabia-rozbójnik z czasów wojny trzydziestoletniej. Ulubieniec Gustawa II Adolfa, najbrutalniejszy ze wszystkich walczących, mówi się, że potrafił okaleczyć dwudziestu mężczyzn w ciągu jednego dnia podczas czystki po bitwie pod Liitzen. Zawsze czułem krew tego człowieka płynącą w moich żyłach, myśli hrabia Axel Fagelsjő. 28 W młodości chciał służyć w siłach zbrojnych ONZ. Ojciec

się nie zgodził, ojciec, przyjaciel Niemców, pułkownik, który jeździł po Prusach w latach trzydziestych i podlizywał się tym w czarnych mundurach, pan na zamku, który na początku lat czterdziestych jeszcze długo wierzył w niemieckie zwycięstwo.

A teraz?

Hrabia Erik Fagelsjő musi się przewracać ze wstydu w rodzowym grobowcu w kaplicy zamkowej, może jego trup wy dostał się z grobu i leży tam nagi, krzycząc z wściekłości.

Ale przecież jest pewna możliwość. Gdyby nie ten pieprzony goguś, gówniarz, który przypelźł ze Sztokholmu jak jakaś beznoga jaszczurka.

Axel Fagelsjő znów patrzy na park. Czasem jesienią wydawało mu się, że wyczuwa pod drzewami jakiegoś człowieka, który zagląda w jego okna.

Czasami myślał, że to Bettina.

Rozmawia z nią codziennie, robi tak od trzech lat, od czasu, gdy zmarła. Czasem wyjeżdża do lasu, gdzie rozsypał jej prochy, chodzi po okolicy bez względu na porę roku, ostatnio w gnijących, czerwono-żółtych liściach, wśród grzybów kołyszących się na cienkich nóżkach, a jego mroczny głos jest jak echo między drzewami, które zdają się nie mieć korzeni, tak jakby unosiły się wokół niego.

Bettina.

Jesteś tu? Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że możesz odejść pierwsza. Brak mi ciebie, wiesz o tym. Myślę, że nikt, nawet dzieci, nie wiedzą, jak bardzo cię kocham, jak bardzo cię kochałem.

I ty odpowiadasz. Słyszę, jak mówisz mi, że muszę być silny, że nie wolno mi pokazywać, co czuję. Ty wiesz, co się dzieje, kiedy człowiek da za wygraną. Axel, szepcze wiatr, i ten wiatr jest twoim głosem, twoim oddechem na mojej szyi.

Bettina.

Moja piękna Dunka. Równocześnie pełna ogłady i nieokrzęsana. Zobaczyłem cię po raz pierwszy latem 1958, gdy 29

pracowałem jako zarządca w posiadłości Madsborg na Jutlandii, żeby zdobyć doświadczenie w uprawie ziemi.

Przez lato pracowałaś w kuchni. Zupełnie zwyczajna dziewczyna. Kapaliśmy się razem w jeziorze. Zapomniałem, jak się nazywało to jezioro, ale znajdowało się na terenie majątku, a potem, kiedy lato się skończyło, wziąłem cię ze sobą do domu, i pamiętam ojca i matkę, najpierw byli pełni wątpliwości, ale potem ulegli twojemu urokowi i twojej radości, która wzięła Skogsa w posiadanie.

Jak mogłaś, Bettino? Jak mogłaś poddać się rakowi? Czy byłaś smutna, dlatego że nasze dochody nie wystarczały, żeby utrzymać zamek w dobrym stanie? To by pochłonęło zbyt dużo kapitału, wszystkie te miliony, które byłyby na to potrzebne.

Nie chcę w to wierzyć. Ale mam poczucie winy, takie jak człowiek, który skrzywdził kogoś, kogo najbardziej kocha.

Ból. Musiałaś się nauczyć wszystkiego o bólu i powiedziałaś mi, że w tej wiedzy nie da się znaleźć niczego rozsądnego.

Obrazy na ścianach. Ty je wybrałaś. Ancher, Kirkeby. I portret mojego przodka Erika i wszystkich tych innych wspaniałych szaleńców i wariatów, którzy byli tu przede mną.

Umarłaś tam, na zamku, Bettino. Nie zniosłabyś tego, gdybyś musiała go opuścić, i teraz wstydę się przed twoim duchem. Potrafiłaś być taka łagodna, ale również twarda, gdy broniłaś czegoś, co należało do ciebie.

Najbardziej martwiłaś się o chłopca.

To były jedne z ostatnich słów, jakie wypowiedziałaś: „Zajmij się Fredrikiem. Chroń go. Sam sobie nie poradzi”.

Czasami się zastanawiam, czy wtedy podsłuchiwał pod twoimi drzwiami.

Z nim nigdy nie wiadomo. A może nie chcę tego wiedzieć. Tak jak wszyscy, kocham moją córkę i jego, mojego syna. Zawsze jednak widziałem jego słabości, nawet gdy tego nie chciałem. Pragnąłem odegnąć ten widok sprzed oczu, zamiast tego dostrzegać jego dobre strony, ale to jest niemożliwe. Wi-30 dzę mojego syna i dostrzegam w nim niemal wyłącznie wady,

i nienawidzę za to samego siebie. Czasem nawet traci kontrolę nad picciem.

Zegar na sekretarzyku wybija szóstą, a Axel Fagelsjo wciąż stoi przy oknie w salonie. Wtedy coś odrywa się od ciemności na dole i ktoś idzie przez park. Człowiek ubrany na czarno. Ten sam, którego, jak mu się wydawało, widział wcześniej?

Axel Fagelsjo odsuwa od siebie tę myśl.

Wiedziałem, że to był błąd, myśli. A jednak byłem zmuszony to zrobić: pozwolić, żeby Fredrik, mój pierworodny, kolejny hrabia Fagelsjo, zajął się tymi sprawami, musiałem dać mu dostęp do kapitału, gdy ogarnęła mnie czarna rozpacz po tym, jak rak zwyciężył. On nigdy nie chciał osiąść na zamku, nie chciał się zajmować rolnictwem ani gospodarką leśną na terenach, które wciąż nam jeszcze zostały, teraz, kiedy bardziej się opłaca dostawać dotacje z Unii za nieużytki albo wydzierżawić grunty.

Nie chciał. Nie potrafił. Z pieniędzmi powinien był jednak sobie poradzić.

Miał dyplom z ekonomii i dostał wszystko prócz wolnej ręki.

Ale wszyscy ludzie mają swoje dobre i złe strony, swoje wady i braki, myśli.

Nie wszyscy mają w sobie tak wiele z drapieżcy, tyle bezwzględnej siły, jaką trzeba mieć na tym świecie. Ojciec próbował mi uświadomić odpowiedzialność, jaka wiąże się z przywilejami, to że musimy pełnić przywódcze role w społeczeństwie. Jednak na swój sposób należał do dawno minionych czasów. To prawda, prowadziłem prace w Skogsa, budziłem respekt wśród miejscowej śmietanki, ale być przywódcą? Co (o, to nie. Próbowałem sprawić, by Fredrik i Katarina zrozumieli przynajmniej wartość tych przywilejów, by nie traktowali ich jak czegoś oczywistego. Nie wiem, czy mi się udało.

Bettino, możesz mi powiedzieć, jak mogę uszczęśliwić Kata rinę? I nie wyciągaj znowu tych starych spraw. Myśleliśmy inaczej, wiesz o tym.

Cicho, Bettino.

Cicho.

Pozwól, że zapytam tak:

Czy to przez ciebie krew naszego rodu osłabła, Bettino? Tak właśnie myślał, gdy patrzył na Fredrika, a czasem nawet na Katarinę.

Zielony płaszcz marki Barbour napina się na brzuchu Axela Fagelsjóa, ale ma go od dwudziestu pięciu lat i nie chce kupować nowego tylko dlatego, że zbędne kilogramy teraz lepiej trzymają się ciała niż kiedyś.

Sprawy muszą się toczyć swoim torem, myśli, stojąc w holu.

My, hrabiowie Fagelsjói, żyjemy mniej więcej w taki sam sposób od prawie pięciuset lat. Nadawaliśmy ton w tych stronach, w tym mieście.

Czasami myślał, że ludzie w tych okolicach próbują naśladować życie, jakie wiódł on i jego ród. Pierwszy klozet w Ostergötland był w Skogsa, jego dziad ze strony ojca pierwszy nosił trzyczęściowy garnitur. Zawsze byli jakby drogowskazem i w życiu gospodarczym, i wśród sił politycznych, nawet jeśli teraz to już tylko historia.

W tym roku nie nadeszło zaproszenie na kolację z władzami hrabstwa.

Przez te wszystkie lata, gdy gubernatorzy wydawali uroczyste kolacje dla najwybitniejszych osób w hrabstwie, zawsze wśród gości był jakiś Fagelsjói. Ale nie w tym roku.

Widział zdjęcia z zamku w Linkópingu w „Óstgöta Correspondenten”.

Był tam hrabia Douglas. Historyk Dick Harrison. Dyrektor zakładów lotniczych Saaba. Szef działu informacji w Volvo. Podsekretarz stanu pochodzący z naszego miasta. Dyrektor szpitala. Redaktor naczelny „Corren”. Prezes Szwedzkiego Związku Sportowego. Baron Adelstal.

Ale nie było nikogo z rodu Fagelsjói.

Wkłada swoje grube, czarne kalosze.

Idę, Bettino.

Skórzane rękawiczki. Cieleca skórka!

Axel Fagelsjói myśli, że przecież wszystko może się jeszcze 32 ułożyć. Słyszy głos Bettiny:

„Chroń chłopca”.

Chroniłem Fredrika. Zrobiłem wszystko, co było konieczne, nawet jeśli teoretycznie można było pociągnąć do odpowiedzialności bank.

Wspomnienie twarzy żony blaknie.

Może i ze względu na chłopca powinienem był pozwolić, żeby to wszystko diabli wzięli, myśli Axel Fagelsjo, nim naciska zimny przycisk, by zjechać windą na dół. A potem wychodzi na zewnątrz, w samotny świt.

5

Dźwięk silnika rangę rovera jest jedyny w swoim rodzaju: elegancki, ale równocześnie pełen mocy. Samochód także wspaniale reaguje, gdy Jerry Petersson naciska pedał gazu, może w dawnych czasach konie też tak reagowały, gdy hrabiowie, teraz już od dawna martwi, wbijali ostrogi w boki swych spoconych wierzchowców.

Teraz nie ma już koni.

Nie ma hrabiów.

Zawsze jednak może sobie sprawić parę koni, jeśli pozna kobietę, która lubi te zwierzęta. One, kobiety, często lubią konie. Dokładnie tak jak głosi stereotyp, ale ten stereotyp jest zgodny z rzeczywistością, tak jak wiele innych.

Jerry Petersson widzi, jak tumany mgły nadciągają nad pola i kładą się na skraju świerkowego lasu, dalej na wschód. Pies siedzi obok niego na miejscu pasażera, jego doskonale proporcjonalne ciało porusza się w rytm kołysania wozu, a oczy szukają czegoś żywego, co mógłby upolować, zagonić swoim szczekaniem, wystawić. Jerry Petersson przesuwa jedną dłońią po jego szorstkiej, wilgotnej sierści. Pies wydziela intensywną woń, ale ten zapach ze swoją surową, natrętną autentycznością pasuje do wsi. To beagle, samiec o imieniu Howie, na cześć Howarda Hughesa, szaleńca z Hollywoodu z lat trzydziestych, którego uważa się za ojca nowoczesnego przemysłu lotniczego i który, jak mówią, z czasem stał się od-ludkiem w jakimś zamku pod Las Vegas, gdzie podobno prze-34 taczał sobie krew.

Jerry Petersson czytał jego biografię i myślał: Jeśli kiedykolwiek kupię sobie psa, dam mu imię po kimś, kto był jeszcze większym szaleńcem niż ja i ktokolwiek, kogo znałem.

Nozdrza psa ściąga ją się i rozchylają, a wielkie czarne źrenice wyglądają, jakby chciały pożreć ziemię wokół Skogsa.

Posiadłość jest najpiękniejsza rankiem, gdy nadchodzący dzień zdaje się powlekać światłem ziemię i kamień. Deszcz uderza w przednią szybę i dach samochodu, Jerry zatrzymuje się na poboczu, patrzy, jak kilka ptaków podskakuje w tę i z powrotem po ziemi w kolorze muszli ostrygi, dziobiąc w poszukiwaniu robaków wśród gnijących roślin i kałuż, które powiększają się z każdym dniem. Liście leżą w stertach i wydaje mu się, że wygląda to jak zniszczona warstwa farby na cudownie pięknym, zapomnianym obrazie olejnym. Pod tą warstwą życie może biec swym naturalnym torem. Larwy mogą się przepoczwarzać. Chrząszcze mogą toczyć swoje batalie. Myszy mogą płynąć w strumieniach deszczu ku jakiemuś celowi, który jest tak odległy, że nie potrafią sobie nawet wyobrazić, że istnieje.

Pies zaczyna się niepokoić, skomle, chce wyjść, ale Jerry Petersson go uspokaja.

- Już dobrze, spokojnie. Zaraz sobie pobiegasz.

Krajobraz.

Czy kiedyś może się stać pustkowiem?

Czasem, gdy Jerry Petersson jeździ po tych terenach, wydaje mu się, że widzi wszystkie postacie, które pojawiały się w jego życiu i odchodziły. Unoszą się wokół drzew, kamieni i domów.

To było nieuniknione, że tutaj skończy.

Prawda?

Śnieg, który spadł pewnego sylwestra, tak gęsty, że w porównaniu z jego płatkami mgła dzisiejszego ranka wydaje się przezroczysta jak świeżo umyte szkło.

Dorastał zaledwie parę kilometrów stąd.

Ze swoimi rodzicami w wynajętym mieszkaniu w Berga.

Jerry Petersson przygląda się sobie we wstecznym lusterku. Uruchamia silnik i jedzie dalej.

Pokonuje jeszcze dwa zakręty, a potem znów zatrzymuje samochód. Pies niepokoi się jeszcze bardziej i teraz Jerry otwiera drzwi, najpierw wypuszcza psa, a potem sam wysiada. Howie rzuca się biegiem przez otwarte pole, pewnie zwietrzył jakąś sarnę albo łosia, zająca czy lisa.

Mężczyzna przez jakiś czas patrzy na pole, a potem rusza przez podmokły teren. Brnie przez mokradła, widzi, jak pies biega w tę i z powrotem na skraju lasu, wskakuje do głębokiego rowu, a potem znów się wyłania, tylko po to, by zniknąć w stercie, gdzie wyblakłe liście w kolorze ochry rywalizują z innymi, które wyglądają jak pokryte matowym pyłem z brązu i pozbawionymi blasku płatkami złota.

Nie licząc psa, Jerry Petersson jest tu całkowicie sam, lecz mimo to czuje się dobrze w tym miejscu, gdzie wszystko może umierać, ale również się rodzić, jak jakaś linia graniczna w ludzkim życiu, różaniec możliwości.

Przesuwa dłonią po swoich rozjaśnionych włosach, myśli o tym, jak świetnie kontrastują z jego ostrym nosem i twardym spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu. Zmarszczki na czole. Zmarszczki biznesmena. Zapracował sobie na nie.

Las, tam, w oddali.

Świerki i sosny, zarośla. W tym roku jest dużo zwierzyny. Później mają się zjawić jego połownicy, spróbują upolować cielę łosia albo parę saren. Trzeba je odłowić.

Ród Fagelsjő.

Daliby wszystko, by znów móc polować w tych lasach.

Patrzy na swoje ręce, na jaskrawożółty płaszcz przeciwdeszczowy od Prądy krople, które bębnią w głowę i w żółty goreteks.

- Howie! - woła. - Howie! Pora wracać!

Twardy. Nieugięty. Zimna maszyna. Człowiek, który idzie po trupach.

Tak o nim gadali, gdy był u szczytu w sztokholmskich kręgach biznesowych. Dla większości człowiek-cień. Plotka. Te-36 mat do rozmów. Ktoś, kto nierzadko budził podziw w świe-

de, w którym każdy pragnie odnosić takie sukcesy, by móc się zaszyć na uboczu, zamiast rzucać się w oczy i zasiadać na sofach w telewizji, żeby zdobyć więcej klientów.

Jerry Petersson?

Błyskotliwy, jak słyszałem. Świetny adwokat. Czy to przypadkiem nie on się wzbogacił na tych interesach w branży IT? Czy nie wycofał się na czas? Ten gość działa na laski jak magnes.

Ale również:

Strzeż się go.

Czy jego współnikiem nie jest przypadkiem Jochen Goldman? Czy nie prowadzą razem firmy?

- Ho wie!

Pies nie wraca, nie chce wrócić. I Jerry wie, że może go zostawić, pozwolić, żeby sam przybiegł przez las do zamku. Zawsze wraca po paru godzinach. Z jakiegoś powodu chce go jednak przywołać, dojść z nim do porozumienia, zanim się rozdziela.

- Howie!

Pies musiał usłyszeć ponaglenie w głosie swojego pana, bo pędzi prosto przez to pieprzone pole i wkrótce jest już przy nim. Skacze wokół jego nóg i Jerry kłęka, czuje wilgoć przenikającą przez tkaninę spodni. Mocno klepie psa, wie, że on to lubi.

- No i co, przyjacielu? Sam wrócisz do domu czy pojedziesz *te* mną samochodem? Zdecyduj. Może wolisz pobiec sam, ale nigdy nie wiadomo, może gdzieś zjadę z drogi.

Pies liże go po twarzy, a potem odwraca się i wybiega na pole, nurkuje w stercie liści, po czym znika w ciemnych, otwartych wrotach lasu.

Jerry Petersson znów wsiada do rangę rovera, przekręca kluczyk w stacyjce, wsłuchuje się w dźwięk silnika, rusza powoli drogą i wjeżdża w gęsty, spowity mgłą las.

Nie zamknął na klucz bramy zamku, gdy wybierał się na ten spontaniczny poranny objazd posiadłości, po tym jak obudził się wcześniej i nie mógł już zasnąć. Kto by mógł przyjść? Kto by się odważył?

Lekkie podniecenie.

Pewnie chcieliby przyjść.

Fredrik Fagelsj . Ten starzec Axel.

Katarina.

Trzymała si  od tego z daleka.

C rka bylego wlaściciela zamku.

Teraz to m j dom.

Dawno temu był z ni  blisko.

Wrona przelatuje przed przedni  szyb , trzepocze skrzydłami, jedno skrzydło wydaje si  uszkodzone, może złamane.

Zamek jest wielki. Będzie potrzebował kobiety,  eby go z ni  dzielić. Wkr tce jak s znajd , myśli. Zawsze tak myślał, we wszystkich swoich coraz wi kszych mieszkaniach -  e musi znaleźć jak s kobiet , z ktor  m głby to wszystko dzielić. Ale to była tylko taka gra w wyobraźni, w ktor  lubił grać, i kiedy rzeczywi cie potrzebował kobiety, to dla kogoś takiego jak on było to proste: wystarczyło wejść do lokalu albo wykr cić numer i zaraz zjawiała si  mi ość z dostaw  do domu. Albo jakaś napalona m żatka na konferenq'i w mieście. Jakakolwiek. Kobiety, z ktorymi moŹna dzielić teraźniejszość, kobiety bez  adnego zakotwiczenia w przeszłości i w przyszłości, kobiety, które słuŹą do zaspokajania  ądz. Nie ma si  czego wstydzić. Po prostu tak jest.

Usłyszał plotki,  e Skogsa jest na sprzedaŹ.

Sześćdziesiąt pi c milion w koron.

Spraw  zajmowało si  biuro nieruchomości Wrede w Sztokholmie.  adnych ogłoszeń, tylko plotka,  e w okolicach Lin-k pingu jest na sprzedaŹ zamek wraz z ogromn  posiadłości . MoŹe byłby zainteresowany?

Skogsa.

Zainteresowany?

Sześćdziesiąt pi c milion w zabołało. Ale nie bardzo. Za te pieni dze dostał wi cej niŹ tylko sam zamek. Siedemdziesiąt pi c hektarów najlepszego lasu i prawie tyle samo grunt w rolnych. I na dodatek opuszczony zb r, który zawsze m gł wyburzyć i zbudować na jego miejscu coś nowego.

I teraz, w ten pi kny, mroczny, jesienny poranek, we mgle i rozpaczliwym deszczu, jego ciało przepelnia wraŹenie lek-

38 kości, poczucie,  e jest w domu, i wie,  e to były dobrze za-

inwestowane pieniądze, bo do czego innego miałyby służyć pieniądze, jeśli nie do tego, by tworzyć uczucia?

Zamierzał się spotkać z Fagelsjów, kiedy mieli dobijać targu przy Karlavagen. Może i nie chciał się do niego szyderczo uśmiechnąć, raczej zmierzyć wzrokiem, żeby ten staruch zrozumiał, jak bardzo się pomylił, i by mógł mu opowiedzieć o nowych czasach, które nadeszły.

Axel Fagelsjów nie zjawił się na spotkaniu w Sztokholmie.

Zamiast tego przysłała asystentka jakiegoś adwokata z Linköpingu. Ciemnowłosa, młoda laska, o okrągłych policzkach i z buzią w ciup. Gdy kontrakt został już podpisany, zaprosił ją na lunch w Prinsen. Potem zerznął ją w biurze, przycisnął ją do okna, podciągnął jej spódnicę wysoko na brzuch, wyszarpał dziurę w czarnych rajstopach, a potem pompował, znudzony, przyglądając się równocześnie autobusom, taksówkom i ludziom poruszającym się niczym strumień, tam w dole na Kungsgatan, i wydawało mu się, że słyszy ostrza wielkich kosiarek gdzieś w Kungstradgarden.

W zamku powinny być jakieś upiory.

Potępiony duch hrabiego Erika, o którym się mówi, że zabił swojego syna, gdy okazało się, że jest niedorozwinięty umysłowo. Rosyjscy żołnierze, którzy podobno zostali zamurovani w fosie.

Jerry Petersson nigdy nie widział żadnych duchów, słyszał tylko trzeszczenie i zawrodożenie w kamiennych murach, nocami wyczuwał chłód nagromadzony przez stulecia w starym budynku.

Duchy.

Upiory.

Zamek i przyległe budynki były podupadłe, ale wszystko odnowił. Przez ostatni rok czuł się jak inwestor budowlany.

Parę razy widział na terenie posiadłości czarny samochód, myślał, że to ktoś z rodu Fagelsjów wybrał się na nostalgiczną przejażdżkę. Dam im spokój, myśli. Choć przecież nie wie na pewno, że to któreś z nich, tak naprawdę to może być ktokolwiek, bez wątplenia znajdują się tacy, którzy tu przyjadą.

Gdy rozeszła się wieść, że zamek Skogsa ma nowego pana, w „Corren” pojawił się o nim artykuł. Udzielił wywiadu, gadał jakieś ugrzecznione kłamstwa o tym, że udało mu się zrealizować marzenie życia. Ale co to pomogło?

Ten dziennikarz, jakiś Daniel Hógfeldt, skupił się na tym, że jest adwokatem biorącym udział w jakichś podejrzanych sprawach, i dał do zrozumienia, że Petersson wyгнаł ród Fagelsjo z siedziby, która była ich domem od niemal pięciuset lat.

Biadolenie.

Przeście wreszcie biadolić. Prawa z tytułu urodzenia nie dają w prawdziwym życiu prawa do niczego.

Jeszcze dziś się wkurza, kiedy myśli o tym artykule. Żałuje, że pofolgował swojej próżności, pragnieniu, by wysłać całej okolicy przesłanie, że oto powrócił. Przywrócić porządek, którego nigdy nie było; wyobrażał sobie, że właśnie to chciał zrobić.

A czyż ród Fagelsjo nie dręczył ludzi w tych okolicach? Iluż to chłopów, dzierżawców i parobków zaznało bicia wójta? Iluż to ludziom utarto nosa tylko dlatego, że Fagelsjo myśleli, że są lepsi od innych?

Jerry Petersson nikogo nie zatrudnił, zamiast tego wynajmował robotników na dniówki do wszystkich niezbędnych prac i zadbał, żeby dobrze im płacić i przyzwoicie traktować.

I ta historia o fosie wokół zamku. O tym, że wykopano ją na początku dziewiętnastego wieku, długi czas po tym, gdy jakiegokolwiek fosy na tych terenach przestały być potrzebne. O tym, że jeden z hrabiów zapragnął mieć fosę i zarekwirował rosyjskich jeńców od von Platena podczas budowy kanału. Kazał im kopać do upadłego, wielu umarło z wycieńczenia. Mówi się, że wmurowali trupy w ściany fosy, kiedy je wybrukowali, i że na wieczność zamknęli dusze tych Rosjan w tej bezsensownej fosie.

Jednak czasami zamek wiał pustką. I po raz pierwszy Jerry poczuł potrzebę, by mieć jakiegoś towarzysza. Poczucie bezpieczeństwa, kiedy ma się obok siebie inną żywą istotę, taką, która stanęłaby po jego stronie niezależnie od tego, co się wydarzy, która by go ostrzegła, gdyby zbliżało się jakieś niebezpieczeństwo. Poza tym pies przydawał się do polowania.

Czy tam dalej na drodze coś się poruszyło? Howie? Tak szybko by wrócił? Niemożliwe. Absolutnie niemożliwe.

Jeleń?

Sarna.

Nie.

Leje deszcz, ale tu, w pachnącym psią sierścią wnętrzu range rovera jest ciepło i przyjemnie.

Zamek wyłania się z mgły, trzy piętra otynkowanego na szaro kamienia zdają się wyrwać ze skorupy ziemi, pochyłe mury pną się w bure niebo, jakby im się wydawało, że powinny o wszystkim decydować tam, w górze. I blask kołyszących się zielonych latarni, które kazał poustawić wzdłuż fosy. Kocha ten blask.

Czy ktoś stoi na schodach prowadzących do zamku?

Dzierżawcy, z którymi ma polować, przyjdą dopiero później, dotychczas jeszcze nigdy nie stawili się na czas.

Dodaje gazu.

Wyciąga rękę, szukając obok siebie psa, ale nie znajduje ciepłego futra.

Właśnie.

Jerry Petersson chce szybko dojechać, chce usłyszeć chrzęst żwiru pod oponami na zamkowym wzgórzu. Jest już pewien, że ktoś stoi na schodach.

Sylwetka człowieka. Niewyraźna we mgle. A może to jakieś zwierzę?

Duchy z zamku?

Żadne zemsty dusze rosyjskich żołnierzy.

Hrabia Erik, który wyszedł mu na spotkanie z kosą i w kapturze.

Teraz jest dziesięć metrów od czarnej sylwetki.

Kto to? Kobieta? Ty?

Czy to może być znów tamta osoba? W takim razie to męczące.

Zatrzymuje samochód.

Trąbi.

Czarna istota na schodach rusza bezgłośnie w jego stronę.

6

Ozaro.

Poranne światło jest szare, mimo to razi Malin w oczy. Światło jest łagodne, jak nienaostrzony nóż kuchenny, który znajduje się w głębi jakiejś szuflady, w kuchni jakiegoś dalekiego zmarłego krewnego. Podnosi wzrok, wygląda przez okno w dużym pokoju. Kilka warstw chmur zasłania słońce i Malin czuje nabrzmiałą skórę na opuchniętych mięśniach, i próbuje rozejrzeć się dookoła, ale ciągle musi zamykać powieki, dać niechętnemu mózgowi trochę spokoju, uciszyć to nieprzyjemne dudnienie ciemności.

Ciało skulone na parkiecie, kaloryfer przy jej głowie cieplejszy niż wczoraj wieczorem; słyszy, jak nagrzana woda cicho szumi w rurkach.

Obok niej prawie pusta butelka tequili, na wpół dokręcona nakrętka. Malin rozgląda się po mieszkaniu.

Szaro.

Cały mój świat jest szary, myśli Malin. Więcej odcieni szarości, niż jest w stanie pojąć mózg, od ciemnego grafitu pod sofą do niemal brudnobiałych ścian.

Kto zagląda przez okno? Czyja to twarz wyłania się z mgły? Zarysy wyrzutów sumienia. Mdłości. Jak, kurwa, mogłam coś takiego zrobić? Ręka, która uderza.

Śmierdę. Mam ochotę wywrócić moją twarz na drugą stronę, żeby przestać widzieć samą siebie w lustrze.

Jak, do ciężkiej cholery, mam się z tego podnieść?

Chcę do nich zadzwonić, do Jannego i Tove, ale co mam im 42 powiedzieć?

Że ich kocham?
Że pada?
Że jest mi przykro?

- Zacharias! Zacharias!

Jego żona Gunilla woła z dołu, z kuchni, swoim ostrym jak sygnał telefonu głosem. Czego znowu chce?

- Martin strzelił dwie bramki! - woła.

Inne kobiety mają inny głos.

Zacharias „Zeke” Martinsson, komisarz policji w Linköpingu, zmusza się do wstania z łóżka. Czuje, że w pokoju panuje wilgoć i że jego ciało jest nienaturalnie zdrętwiałe. Przy krawędziach czarnych rolet sączy się trochę światła i Zeke wie, że pogoda za oknem dalej musi być gówniana, idealny dzień, żeby zostać w domu, zrobić niezbędne drobne naprawy w willi.

Martin.

Dostał kontrakt w NHL. Gdy odniósł sukces podczas mistrzostw świata w Moskwie, jego agenta dosłownie obrzucali pieniędzmi i pół roku temu przeniósł się do Vancouver.

Bogaty.

I sławny.

- Tato, jeśli potrzebujesz pieniędzy na urlop albo na nowy domek letniskowy, albo żeby przyjechać tutaj, to wystarczy, że mi powiesz. Linus rośnie, chyba chcecie go zobaczyć?

Dwanaście tysięcy koron.

Tyle kosztują najtańsze bilety do Vancouver.

Od osoby.

Spory wydatek jak na policyjną pensję.

Teraz ma osiem miesięcy. Chłopiec, mój wnuk. Chcę go zobaczyć. Ale żeby jechać za pieniądze Martina?

Nigdy.

Pomyśleć, ile milionów zarabia ten dzieciak tylko na tym, że daje trochę rozrywki jakimś zapracowanym, niedokształt-innym biedakom. Czasami Zeke jest tym zniesmaczony, podobnie jak błazenskim zgrywaniem się na macho, które tak często zdarza się w hokeju - zawodnikom, trenerom i kibi-

com wydaje się, że są tacy twardzi. Ale co oni wiedzą o tym, jak naprawdę być twardym? Co wiedzą o prawdziwym niebezpieczeństwie i o tym, co trzeba zrobić, gdy człowiek spojrzy mu prosto w oczy. Czy któraś z tych lodowych panienek w gigantycznych szortach z ochraniaczami rzeczywiście ma w sobie to, czego potrzeba, gdy naprawdę robi się gorąco? Sundin, Forsberg. Kretyni.

- Zeke, właśnie pokazują bramki na czwórcę. No szybko, chodź tu!

Gunilla dźwigała całe brzemię tego hokeja. Podwoziła. Niańczyła ich syna, gdy Zekemu nie udało się pozbyć niechęci do tego sportu i zamiast tego wolał śpiewać w chórze.

Naciąga kalesony, czuje, jak napinają się na pośladkach i na kroczu. Stojąc w ciemności sypialni, przesuwa dłońią po ogolonej czaszce. Czuje na dłoni ostrą, dwudniową szczecinę, ale jest na tyle krótka, że nie musi jej dzisiaj golić.

Bramki. Mój syn.

I Zeke się uśmiecha wbrew woli, chłopak dobrze sobie radzi z tymi lodowymi panienkami. Ale żeby gnać z tego powodu na dół?

Nigdy.

Ona nie śpi obok mnie. To łóżko jest morzem straconych możliwości.

Szef policji Karim Akbar chciałby móc objąć swoją żonę ramieniem, ale jej tu nie ma, porzuciła go dla innego. Ale może tak jest lepiej? Przez ostatnie lata nie śmiał się do niej zbliżyć, bał się jej odmowy.

Zawsze była zmęczona.

Pracowała na dwie zmiany jako opiekunka społeczna, po rym jak połowa jej kolegów z pracy przeprowadziła się do Norwegii, żeby pracować za dwa razy większą pensję na krótszym o jedną trzecią etacie.

Karim często myślał, że tego nie rozumie. I co z tego? Zrobił z tego uczucia jakąś abstrakcję, zamiast je chwycić i spróbo-

44 wać zrozumieć, co oznaczało i jakie mogło mieć konsekwen-

t je. Myślał o tym, jak dwoje ludzi może trwać obok siebie przez całe życie, nie rozumiejąc się nawzajem, i że to uczucie pustki, od której się umiera i którą się równocześnie żyje w takim związku, musi przypominać uczucie, jakiego doświadczył jego ojciec inżynier, gdy przyjechał do Szwecji i nie znalazł ani pracy, ani miejsca w społeczeństwie. Skończył w pełli z nylonowego krawata w mieszkaniu w Nacksta pod Sundsvall.

Czasami Karimowi przychodziło do głowy, że ona chce odejść. Że chce się rozwieść. Ale w takim razie dlaczego mu o tym nie powiedziała? Jest na tyle świątym człowiekiem, że nie czuł wobec niej żadnych praw własności.

Ale nigdy nie udało mu się doprowadzić tej myśli do końca, nigdy nie postawił jej pod murem.

A potem uciekła. Wzięła ich dziewięcioletniego syna i przeprowadziła się do jakiegoś pieprzonego kolegi z pracy, kuratora z Malmö.

Odważyła się. Karim wie jednak, że się bała, może wciąż się boi.

Ale nie musi się bać.

Nigdy nie zrobiłbym tego co moi rodacy, ten brat i ojciec, których posadziliśmy jakiś miesiąc temu. Niedobrze mi, kiedy o nich myślę.

Rozwód.

Lepsze słowo na samotność i chaos. Próbuje uciec w pracę nad nową książką o problemach integracyjnych postrzeganych z zupełnie nowej perspektywy, ale pisanie idzie mu opornie. Zamiast tego wymyśla jakieś atrakcje, żeby ich syn był zadowolony, kiedy się spotykają.

Jest tatą co trzeci weekend. Żona chciała, żeby to jej przyznano opiekę nad dzieckiem, i Karim ustąpił. Bycie samotnym ojcem co drugi tydzień kolidowałoby z jego harmonogramem pracy. I byłoby niemożliwe ze względów geograficznych.

W ten weekend Bajran jest u niej i u tego drugiego.

We wrześniu, kiedy miał urodziny, byli w Sztokholmie i syn poszedł z nim do Gótrich, gdy kupował nowe garnitury. Pozwolił nawet Bajranowi wybrać parę krawatów.

Garnitury z delikatnej, miękkiej wełny. Kaszmir. Ekstrawagancja, na którą może sobie pozwolić jako nowobogacki, jako szef policji. I na mercedesa.

Podciąga wyżej kołdrę, słyszy deszcz bębniący w parapet, myśli o tym, że chciałby się przeprowadzić do mieszkania w centrum miasta, być bliżej wszystkiego, ma już dość Nack-sta i Sundsvall, i Lambohov.

Ale mógłbym przecież mieć gorzej. I Karim widzi przed sobą wyraźnie twarz Bórejego Svarda, jego zawadiackie, podkręcone wąsy. Teraz jest na zwolnieniu, jego żona Anna ma stwardnienie rozsiane i wymaga opieki dwadzieścia cztery godziny na dobę, musi używać respiratora, gdyż choroba objęła nerwy międzyżebrowe.

- Pożyje jakieś pół roku - powiedział Bórje, gdy prosił o zwolnienie, żeby móc opiekować się żoną.

- Zajmuj się żoną tak długo, jak długo będzie to konieczne - odparł Karim. - Potem wracaj do nas.

I Malin Fors. Coś się tam rozleci, myśli Karim. Ale co mogę z tym zrobić? Ona za dużo pije, ale Bóg wie, jak bardzo jej potrzebujemy w wydziale.

Sven Sjóman, komisarz i szef Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego policji w Linköpingu, chce patrzeć na to w taki sposób, że wydobywa z drewna jego najgłębiej skrywane tajemnice, jego piękno, całą jego funkcjonalność i urodę. To romantyczne, i to aż nadto, jasne, ale jeśli struganie dla przyjemności nie może być romantyczne, to czy może być przepełnione miłością?

Tokarka mruczy. Wióry sypią się na jego niebieski T-shirt z nadrukiem reklamowym składu drewna Berg.

Warsztat Svena, w pomieszczeniu z izolacją akustyczną w piwnicy domu w Valla, pachnie świeżo zheblowanymi wiórami, lakierem i werniksem, pachnie potem.

Poranne godziny spędzone tu na dole są najlepsze, ale to również najsamorniejsze godziny w ciągu dnia.

Nigdy nie lubił samotności.

Woli towarzystwo ludzi.

Na przykład swojej żony. Nawet jeśli po tych wszystkich latach nie mówią już do siebie więcej, niż to konieczne.

Kolegów.

Karima.

I Malin. Jak to z tobą jest, Malin? Nie miała za dobrego roku, myśli Sven, wyjmując z tokarki przyszłą miskę. Potem wyłącza maszynę i delektuje się ciszą która wkrótce bierze pokój w posiadanie.

To nie był zbyt dobry pomysł, żebyś znów wprowadzała się do Jannego. To w ogóle nie był dobry pomysł, ale nigdy nie będę mógł ci tego powiedzieć. Sama musisz się zajmować swoim życiem, Fors. W pracy mogę ci czasem pokazać drogę, ale to jest potrzebne coraz rzadziej, coraz mniej.

A wżyciu...

Coraz częściej czuć od ciebie alkohol. Wyglądasz szaro, smutno, jesteś jakaś taka zużyta.

No tak.

Byle nie było gorzej. Janne, twój mąż, a raczej były mąż, ten, z którym znowu mieszkasz, dzwonił do mnie, chciał, żebym coś z tym zrobił. Mówił o twoim piciu i jasne, widać to po tobie. Czasami. Obiecałem mu. Ale co? Że z tobą pogadam? Wtedy tylko się wściekniesz. Że cię zawieszę? Nie było jeszcze do tego żadnych powodów. Że cię pošlę do jakiegoś specjalisty? Odmówisz, jesteś taka uparta.

Tak naprawdę to policjanci muszą sobie od czasu do czasu trochę wypić.

Z powodu całego tego gówna, na które muszą patrzeć, potrzebują od czasu do czasu spuścić sobie trochę pary.

Zaciąga ciaśniej pasek. Cztery dziurki mocniej, dwanaście kilogramów mniej. Lepsze wyniki badań krwi. Ale za dużo nudnych obiadów.

- Włóż kombinezon. No już! Nie będę ci powtarzał jeszcze raz. Inspektor Johan Jakobsson stoi w przedpokoju szeregowca w Linghem. Pięciolatka jest jakby wewnątrz bańki mydlanej, śpiewa, jego słowa nie mają nawet szansy dotrzeć do jej świata. 47

Dlaczego, u diabła, zgodzili się jechać do teściów na ten weekend, kiedy wreszcie dostał wolny piątek? Naprawdę nie potrzebują teraz kolejnego nerwowego poranka, gdy mnóstwo niepotrzebnych, agresywnych słów śwista w powietrzu niczym zbłąkane kule z pistoletu.

- Zajmiesz się Hugonem? Tak, żeby ja mógł się zająć Emmą?

Jego żona kiwa głową i schyla się po niebieską kurtkę chłopca.

- Ile razy mam powtarzać?

- Musisz być taki nerwowy? - pyta jego żona.

I znów się zaczyna.

- To nie był mój pomysł, żeby tak cholernie wcześnie wyjeżdżać do Nassjów.

- Tata ma urodziny.

- Tak, sześćdziesiąte trzecie. Chyba sobie sam poradzi, co?

Jego żona zaciska usta. Nie zamierza odpowiadać na ten ostatni głupi komentarz. Johan wyciąga rękę po dziewczynkę, łapie ją za cienkie, ale silne ramię i przyciąga do siebie.

- No już, wkładaj kurtkę.

- Ale przecież nie musi mieć kurtki w samochodzie. Puszczam ramię córki.

Zamyka oczy.

Żałuje, że nie ma w ten weekend służby. Tak, żeby mógł udać, że coś się stało, albo żeby naprawdę coś się stało.

Dzieci. Wciąż ma przymknięte powieki, ale słyszy je, ich głosy stają się jakby wyraźniejsze. Słyszy, że są szczęśliwe, pełne ufności wobec życia, choć trochę nadąsane, i myśli, że tysiąc przytułeni i całusów, sto tysięcy pochwał i milion uśmiechów i zapewnień, że kocha je najbardziej na świecie, rzeczywiście działa. Da się stworzyć szczęśliwych ludzi, to proste. I warto.

- Johan - mówi jego żona. - Uspokój się. Możemy zrobić to wszystko na spokojnie, jeśli chcesz.

Na pomalowanej na biało brudnej ścianie przed nim są cztery wieszaki. Środkowy jest obluzowany, wygląda, jakby 48 miał zaraz odpaść.

Waldemar Ekenberg otwiera drzwi tarasu i zaciąga się głęboko papierosem. Na tarasie nie ma wiatru, w przeciwnym razie by tutaj nie stał, paliłby pod wentylatorem w kuchni.

Patrzy w górę, w niebo. Na ten zwarty, szarobiały dach nad ludzkimi głowami.

Poranna fajka.

Nic nie smakuje lepiej. Nawet jeśli jego żona zacznie narzekać, że śmierdzi dymem, kiedy wróci do łóżka.

Waldemar nie wahał się ani chwili, gdy pojawiło się ogłoszenie, że w Linköpingu poszukują kogoś na zastępstwo. Podobało mu się, kiedy poprzednio tam pracował w związku /. tą makabryczną sprawą zamordowanych nastolatek.

Nie chcieli go, wiedział o tym, ale z jego kwalifikacjami nie mogli odmówić, zwłaszcza że wszyscy inni kandydaci byli żółtodziobami tuż po akademii policyjnej.

Fors. Sjóman. Jakobsson. Akbar. Martinsson.

Na dobrą sprawę całkiem niegłupi zespół gliniarzy. Wysoki odsetek wyjaśnionych spraw. Umiarkowane tarcia w grupie.

Fors.

Stuknięta laska, a mówią, że zrobiło się jeszcze gorzej po tym, co się stało z jej córką, i gdy znów się wprowadziła do swojego strażaka.

Ale cholernie dobry z niej gliniarz. Tylko strasznie drażliwa.

Może mieć z tym niezły ubaw.

I ciągnie ją do kieliszka. W minionych latach miał wielu kolegów, których wykończyło picie. I za każdym razem gównem mógł na to poradzić. Kiedy już się zakochają w butelce, nie ma odwrotu.

Jakobsson.

Wykończony użeraniem się z dziećmiakami.

Waldemar i jego stara, która czeka na niego w łóżku, nigdy nie zrobili sobie dzieci, i bardzo dobrze.

Teraz dbamy o siebie nawzajem. W zeszłą zimę byliśmy w Tajlandii. Tylko we dwoje. Mogliśmy się naprawdę zrelaksować, w przeciwieństwie do rodziców z małymi dziećmi, których widzieliśmy w hotelu.

Miłość dziecka.

Miłość do dziecka.

Człowiekowi nie może brakować czegoś, czego nigdy nie przeżył, myśli Waldemar, po raz ostatni zaciągając się papierosem.

A może jednak?

Malin stoi przy kasie w Seven Eleven przy Agatan.

Włosy ma mokre od deszczu, a majtki wrzynają jej się między pośladki, obrzydliwe uczucie, tak jak ta pieprzona pogoda na zewnątrz. Znalazła stare, sprane džinsy i różowy sweterek, upchnięte gdzieś głęboko w szafie w sypialni, na pewno mają z dziesięć lat, ale się nadadzą. Sklep H&M wciąż jeszcze jest zamknięty i jeśli zdąży, przywiezie swoje rzeczy z Malmslatt. Bo tak właśnie zrobi: przywiezie rzeczy, Tove, znów będzie wiodła takie samo życie jak wtedy, zanim ponownie zamieszkali razem jako rodzina, nim naraziła Tove na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Szczoteczka i pasta do zębów, dezodorant i kawa leżą na ladzie przed nią. Gruby ekspedient wydaje się senny, gdy nabija jej zakupy.

- Mecz na wyjeździe? - pyta.

Mecz na wyjeździe. LHC znów grało wczoraj mecz na wyjeździe?

I wtedy dociera do niej, o co mu chodziło, i ma ochotę mu zamknąć tę tłustą gębę, ale tylko kręci głową.

- No to nie mecz na wyjeździe. Ale zrobiło się późno, no nie? Gdybym się czuł tak, jak ty wyglądasz, w ogóle nie zwlekałbym się z łóżka.

- Ty, przymknij się już i kasuj.

Ekspedient rozkłada ręce.

- Próbowałem tylko zażartować, to zwykle trochę pomaga.

Przepraszam.

Malin bierze resztę i pokonuje w deszczu te sto metrów, które dzielą ją od mieszkania.

50 Wkrótce stoi pod prysznicem.

Woda zimniejsza od deszczu, który przed chwilą padał jej na głowę.

Wypędza to, co złe.

Zamraża to.

Nie myśl o tym, co się stało wczoraj, mówi do siebie, napij się kawy z filiżanki, która stoi na półeczce na mydło, udawaj, że podwójna dawka alvedonu, który znalazłaś w szafce z lekami, działa na twój ból głowy.

Dudni jej pod czaszką.

Tove sprowadzi się tutaj w tym tygodniu. Może jeszcze dziś wieczór.

Dzisiaj mam robotę. Ale chyba nie zdarzy się nic, co odwróci moją uwagę od tego cholernego bólu głowy?

7

Oóte Lindman, który dopiero co skończył pięćdziesiąt dwa lata, głaszcze się po mokrej, ogolonej czaszce. Był już kiedyś na zamku Skogsa.

Miał osiem lat i stał obok swojego ojca w komnacie Axela Fagelsjo, słuchając, jak dyktuje warunki pracy tego lata i na przyszłość, w zamian za dzierżawę żołnierskiej działki w południowo-zachodniej części posiadłości.

- Kiedy was wezwę, macie się stawić.

Gótemu Lindmanowi wydaje się, że nadal słyszy głos hrabiego, jego twardość i ukrytą przemoc, teraz, gdy wraz z Ing-marem Johanssonem, o parę lat starszym od niego, przemierzają korytarze na pierwszym piętrze i patrzą na zimne, szare kamienne ściany, na których co pięć metrów wisi jakiś dziwny obraz.

- On ma psa - mówi Lindman. - Ale teraz go tu nie ma, bo już dawno byśmy go usłyszeli.

- Hałaśliwy beagle - mruczy pod nosem Johansson.

Ponad czterdzieści lat temu Góte Lindman był tutaj ze swoim ojcem.

Jego sprawy z hrabią Fagelsjo były załatwiane za pośrednictwem kancelarii adwokackiej w mieście i na całe szczęście teraz dzierżawił już tylko ziemię; kupił sobie własne, pozbawione gruntu gospodarstwo pod Bankekindem.

Dostał wiadomość od adwokata, gdy sprzedaż Skogsa stała się faktem. Warunki dzierżawy miały pozostać bez zmian. 52 Mijają pokój za pokojem.

Zaglądają do środka, ich kroki skrzypią na drewnianej podłodze i kamiennej posadzce, kolejne metry kwadratowe niewykorzystanej powierzchni. Przyjechali tutaj czarnym saabem I indmana, który teraz stoi na zamkowym wzgórzu obok rangę rovera Peterssona. Wrota zamku nie były zamknięte na klucz, a panel alarmu migał na zielono. Wahali się, zanim weszli do środka, nie mieli zamiaru rozżłóścić nowego właściciela.

Pewnego dnia Jerry Petersson zatrzymał się na podjeździe gospodarstwa Lindmana, wysiadł ze swojego rangę rovera / szerokim uśmiechem na twarzy, w tym pieprzonym, głupawym, żółtym płaszczu. Wiatr rozwiał mu grzywę rozjaśnionych włosów i Góte Lindman wiedział, że ta wizyta może oznaczać tylko jedno: kłopoty.

- Wiesz, kim jestem? - spytał Petersson. Góte kiwnął głową w odpowiedzi. - Zaprosisz mnie na kawę?

Jeszcze jedno kiwnięcie głową.

Potem usiedli przy kuchennym stole, jedli bułeczki Sve-tłany i pili świeżo zaparzoną kawę. Petersson powiedział, że warunki dzierżawy pozostają bez zmian, ale że ma jeden warunek: kiedy go wezwie na polowanie, ma się stawić, niezależnie od złej pogody, niezależnie od okoliczności.

- Kiedy cię wzywam, masz się stawić. Zrozumiano?

Ingmar Johansson zagląda do zamkowej kuchni.

Miedziane garnki wiszą w lśniących rzędach pod sufitem. Błyszczą nawet w mglistym porannym świetle. Cała kuchnia jest nowa, biały marmur na ścianach i na podłodze, lśniące stalowe sprzęty, długa na dwa metry kuchenka z dziesięcioma palnikami gazowymi.

Ale żadnych ludzi.

Jerry'ego Peterssona też nie ma. Nigdzie nie widać właściciela gruntów, które dzierżawią razem z Lindmanem.

Rozmowa odbyła się w czwartkowy wieczór.

- Potrzebuję cię jutro o ósmej rano. Będziemy polować na sarny. Zaczyna ich być za dużo.

Do diabła, jasne. Za dużo saren w Skogsa. Chyba już prę-

dziej za mało, ale ton Peterssona nie pozostawił szansy na sprzeciw. Zresztą wcześniej bardzo jasno dał do zrozumienia, jakie są warunki dzierżawy.

- Chyba umawialiśmy się na ósmą - mówi Johansson.
- Punkt - odpowiada Lindman.

Rozmawiali przez telefon tuż po tym, jak Petersson złożył im obu wizytę. Doszli do wniosku, że mogło być o wiele gorzej, że mógł chcieć przekształcić zamek i przyległe posiadłości w wielkie gospodarstwo rolne. Jerry Petersson nie odpowiedział, gdy Johansson zapytał go wprost, jakie ma plany zagospodarowania terenu, rzucił tylko, że warunki dzierżawy dalej obowiązują, z jednym zastrzeżeniem: mają pomagać przy polowaniach.

- Bądź punktualnie.

Stanowczy głos Peterssona w słuchawce.

A teraz obaj są na miejscu.

Ale Jerry'ego Peterssona nigdzie nie widać.

Schody są wysokie i niebezpiecznie śliskie pod ich mokrymi butami. Wspinają się ostrożnie po kamiennych stopniach na drugie piętro, wołają właściciela po nazwisku, ale słowa odbijają się tylko od zimnego kamienia. Nad ich głowami, w wysokiej na dwadzieścia metrów klatce schodowej, wisi żyrandol, który musi mieć kilkaset lat, ozdobiony ponad setką na wpół wypalonych świec, rozmieszczonych na kilku ogromnych kołach. Na jednej ze ścian przy wejściu wisi obraz z przewagą błękitu, przedstawiający mężczyznę rozsmarowującego krem do opalania na plecach kobiety.

Zasapani docierają na drugie piętro.

- Powinien zainstalować windę - mówi Ingmar Johansson.
- Drogo by go to kosztowało - odpowiada Góte Lindman.
- Stać go na to.
- Nie powinniśmy przypadkiem zacząć szukać w piwnicy?
- Mam to gdzieś. Tam na dole jest pewnie jedna wielka pieprzona izba tortur. No wiesz, żelazne dziewice i jakieś samot-

54 ne krzesło stojące pośrodku sali.

- Nie wiedziałem, że masz taką fantazję - mówi Góte Lindman.

Przechodzą przez kolejne pokoje.

- Na tym piętrze mieszka - mówi Johansson.

-Popieprzone, dziwaczne obrazy - szepcze Góte, gdy wchodzi do sali z kilkoma wielkimi fotografiami, które przedstawiają figury ukrzyżowanego Jezusa zanurzone w jakimś żółtym płynie.

- Myślisz, że to szczyny?

- Kurwa, nie mam pojęcia.

Z kąta zerkna na nich wielka rzeźba przedstawiająca rózowoliliowego, plastikowego niedźwiedzia z szablстыми zębami, wysadzanyimi kamieniami szlachetnymi i z przypominającymi diamenty oczyma.

Obraz przedstawiający jeńca z kambodżańskiego obozu wygląda tak, jakby chciał ich przegonić z pokoju.

Meble wydają się jakby stworzone na potrzeby statku kosmicznego: proste linie, czerń i biel, formy, które Góte Lindman rozpoznaje z czasopism o wystroju wnętrz, które zwykle przegląda u fryzjera.

- Ja pierdolę, na co to człowiek może wydawać ciężko zarobione grosze - mówi Ingmar Johansson.

- Petersson! Petersson! Już jesteście!

- Czas na łowy! Polowanie na sarny!

Przystają, szczerzą do siebie zęby, potem tylko zimna cisza.

- Jak myślisz, gdzie może być? - zastanawia się na głos Góte Lindman, rozpinając swoją zieloną pikowaną kurtkę i ocierając pot z czoła.

- Pojęcia nie mam. Może gdzieś na terenie posiadłości? Tu na zamku go nie ma. Gdyby był, na pewno by nas usłyszał.

- Ale samochód stoi przecież na dole. I drzwi nie były zamknięte.

- Jebana bryka na pokaz.

- Sam byś taką chciał.

Obaj patrzą na wolno stojący metalowy wieszak na ubrania, na którym wiszą wyprasowane bawełniane koszule we wszystkich kolorach, jakie tylko można sobie wyobrazić.

- No i co o nim myślisz? - pyta Johansson.

- O Peterssonie?

- Nie, o Panu Bogu. No jasne, że o Peterssonie.

Patrzy na Lindmana. Na zmarszczki zgorzknienia wokół oczu i ust, na głębokie bruzdy na jego czole.

Ingmar Johansson wie, że Lindman już od dawna mieszka samotnie na swoim gospodarstwie, odkąd piętnaście lat temu opuściła go baba. Pojechała na jakąś konferencję do Sztokholmu i kiedy wróciła do domu, kompletnie jej odbiło, powiedziała, że już dłużej nie zniesie życia w tym gospodarstwie.

Tam, w Sztokholmie, ktoś ją musiał tak przerznąć, że poprzestawiało jej się w głowie.

Ale potem poznał nową, Rosjankę z importu.

- Co o nim myślę? - Góte Lindman cedzi każde słowo. - Wygląda na to, że nie chce ruszać naszej dzierżawy. A potem wyskakuje z tym gównem, że to niby mamy latać jak jakieś pachołki, kiedy tylko zadzwoni. Taaa... Co tu można powie dzieć.

Johansson kiwa głową.

- Znałeś go wcześniej? - pyta po chwili Góte Lindman.

Johansson kręci głową.

- Podobno wychował się w Berga. A o jego interesach nigdy nie czytałem. Takie gówna mnie nie obchodzą.

Ingmar Johansson widzi świecące oczy olbrzymiego niedźwiedzia. Czy naprawdę mogą być zrobione z prawdziwych diamentów?

- A potem od razu kupił ten pieprzony zamek.

- Hrabia musiał to strasznie przeżyć.

- Tak, ale dobrze mu tak. Zatrzymują się w jednym z pokoi. Patrzą po sobie.

- Słyszysz to co ja? - pyta Ingmar Johansson. Góte Lindman kiwa głową.

Na zewnątrz słychać uparte szczekanie psa. Pełne strachu.

-Jest czymś podenerwowany - mówi Lindman. - Bez 56 dwóch zdań.

Przez chwilę stoją nieruchomo, a potem podchodzą do okna.

Niska chmura rozpuszcza się w mgłę, przesuwając się powoli za szybą, pozostawia na jej powierzchni drobne kropelki wilgoci.

Stają obok siebie, czekają, aż ta chmura czy mgła odpłynie. Nasłuchują psa, słyszą niepokój w jego poszczekiwanii.

Potem wyglądają na teren posiadłości.

Las świerkowy, sosny, pola. Pasma mgły zasłania widok na fosę.

- Pięknie tu - mówi Johansson. - Widzisz psa?

-Nie.

-No tak. Można zrozumieć, dlaczego hrabia kocha tę ziemię.

- Nie czuje się za dobrze w mieście.

Ingmar Johansson uśmiecha się szyderczo i odrywa wzrok od krajobrazu. Na dole, na wygrabionym żwirze zamkowego wzgórza stoi rangę rover i samochód, którym przyjechali.

A potem mgła odpływa znad fosy. Stoi tam pies, jego cierniu' ciało szarpie się za każdym razem, gdy wyciąga głowę w stronę nieba i szczeka.

-Szczeka, jakby naprowadzał - mówi Gote Lindman. -Może jakaś sarna wpadła do wody?

Woda w fosie jest czarna, nieruchoma. Zielone latarnie dookoła świecą słabym światłem.

Ale coś tu się nie zgadza. W wodzie jest coś, czego nie powinno tam być. To nie sarna, myśli Gote Lindman.

Pies patrzy w dół, a potem znów to rozpaczliwe szczekanie.

Coś żółtego unosi się w czarnej wodzie, niewyraźne, coś, CO dla coraz słabszych oczu Lindmana wygląda jak pulsujący /óły krąg.

- Ty, Johansson! Co to pływa tam na dole w fosie? To coś j.isnego? To, na co szczeka ten cholerny pies.

Ingmar Johansson patrzy w dół, w stronę wody.

Czarny wąż, zamknięty w prastarych krawędziach szarych kamieni. Czy to prawda, co mówią o tych zamurowanych rosyjskich żołnierzach? - myśli.

Jakieś pięćdziesiąt metrów niżej, tuż przy powierzchni wody, coś jasnego, żółtego porusza się powoli w tę i z powrotem, jakiś ciemny kształt, zarys, kontur w wodzie, rozpoznaje go instynktownie i ma ochotę odwrócić wzrok.

Głowa.

Ciało ukryte, lecz równocześnie wyraźnie widoczne w wodzie.

Blond włosy.

Twarz odwrócona na bok.

Usta.

Wydaje mu się, że widzi lśniące ryby, drobny narybek, wpływający do tych ust, które już dawno musiały przestać szukać powietrza.

- O kurwa!

- Ja pierdolę!

- O kurwa - jeszcze raz mówi Ingmar Johansson i nie ma pojęcia, co powinien teraz poczuć lub zrobić, wie tylko tyle, że chce, żeby ten pies przestał szczekać, ale pies będzie szczekał w jego snach aż do końca czasu.

Jest coś, co już się nie porusza.

Coś, co zamarło na zawsze. Zamiast tego porusza się to, co mnie otacza. Nie muszę oddychać, żeby tutaj żyć, dokładnie tak jak dawno temu, gdy wszystko się zaczynało, a ja unosiłem się, kręciłem się w tobie, mamo, i wszystko było ciepłem, ciemnością i szczęściem, prócz tych głośniejszych dźwięków i wściekłych uderzeń, które pozbawiały mnie zmysłów, moich małych zmysłów.

Tu nie ma ciepła.

Ale nie jest też zimno.

Słyszę psa. Howie. To musisz być ty, rozpoznaję twoje szczekanie, i chociaż brzmi tak, jakbyś był nieskończenie daleko.

Brzmisz tak, jakbyś był zaniepokojony, niemal przerażony, ale co taki pies jak ty może wiedzieć o strachu?

Mamo, dowiedziałaś się wszystkiego o strachu, który jest zakorzeniony w bólu. Czy teraz jestem bliżej ciebie, tak jak mi się wydaje?

Woda powinna być taka zimna, zimna jak te drobne, ciężkie ziarna gradu, które posypały się z nieba tej jesieni.

Próbuję się odwrócić, tak żeby moja twarz była skierowana do góry, ale ciała już nie ma i próbuję sobie przypomnieć, co mnie tutaj doprowadziło, ale pamiętam tylko ciebie, mamo, jak kołysałem się razem z tobą do rytmu, dokładnie tak jak teraz w wodzie tej fosy.

fak długo będę tu leżeć?

Jest w tym jakaś bezwzględność i przeglądam się w tej bezwzględności, ona jest moją twarzą, moje ostre, czyste rysy, nozdrza, których ściągnięcie może budzić w ludziach strach, budzić strach w każdym.

Wyniosłość.

*Czy jestem wyniosły?
Czy ten czas już minął?
Teraz, kiedy wszystko zamarło.
Mogę dryfować przez tysiąc lat w tej zimnej wodzie i być panem
tej ziemi, i tak jest dobrze.
Trzeba polować na sarny.
Strzelać do zajęcy.
Ludzie opuszczą swoją ciepłą, bezpieczną wodę.
Narodzą się nowe dni.
A ja przeżyję to wszystko.
Będę ich wszystkich posiadać.
Będę tutaj leżeć i widzieć samego siebie, chłopca, jakim byłem.
I będę to robić, chociaż się boję, teraz mogę się do tego przyznać,
boję się oczu tamtego chłopca, tego, jak światło otwiera przed nim
świat w urywany, szarpany sposób, jak desperackie szczekanie opusz-
czonego psa.*

Owiat powstaje w oczach, bo kiedy się je zamyka, nie ma żadnych obrazów, a chłopiec ma cztery lata, gdy uczy się rozpoznawać własne oczy, te wielkie, ogromne cosie, niebieskie jak morze, które siedzą w doskonałej odległości od siebie, w równie doskonałe ukształtowanej czaszce. Jerry wie, co może robić tymi oczami, sprawiać, żeby błyszczały, a wtedy dzieją się najdziwniejsze cuda i, co najlepsze ze wszystkiego, dzięki temu panie przedszkolanki dają mu wszystko, czego chce.

Jego rzeczywistość jest wciąż jeszcze prosta i nieskomplikowana. Co może wiedzieć o tym, że tego dnia zrzuca się całymi tonami agent orange i napalm na lasy tropikalne, w których przerażeni ludzie wciskają się w nory głęboko pod ziemią, czekają, aż płonąca galareta wryje się w grunt i ich unicestwi.

Dla niego ciepło jest po prostu ciepłem, zimno jest zimnem, a pomalowana na czarno miedziana rynna przymocowana do nieskończonej, chropowatej, czerwonej powierzchni drewna jest tak gorąca, że parzy go w palce, ale nie w jakiś niebezpieczny sposób, tylko w przyjemny, i czuje się przez to równocześnie bezpieczny i przestraszony; przestraszony dlatego, że ciepło budzi w nim przeczuć, że wszystko może się skończyć.

W tym życiu dużo się dzieje.

Samochody i pociągi jeżdżą. Trąbią łodzie na Stangan.

Leży w trawie, w ogrodzie gospodarstwa babci i czuje gęstą woń chlorofilu, która go wypełnia, widzi, jak trawa zabarwia na zielono kolana i całe ciało. Wieczorami, gdy atakują komary, tata ustawia na trawie jasnożółtą balię do kąpieli, i jego ciało jest zanurzone w ciepłej wodzie, a otaczające go powietrze jest chłodne. Później biegnie obok ryczącego, połykającego trawę potwora, który wydziela ostrą, nieprzyjemną woń, a tata się poci, kiedy popycha go przez trawnik. Noże chcą złapać chłopca za stopy, wypluwają ściętą trawę z wielkiej, czarnej paszczy, to nie zabawa, i tata widzi spojrzenie jego oczu, ale nie daje się uprosić. Odwraca potwora, goni chłopca przez ogród, krzyczy: „Zaraz ci obetnę stopy, zaraz ci obetnę stopy”, i chłopiec biegnie w stronę skraju lasu, chce biec aż do chwili, gdy nie będzie już słyszeć dźwięku kosiarki.

Jednak w domku, w kuchni, u mamy i babci, oczy działają, i rozumie, że najlepiej zjeść bułeczki wcześniej, zanim pleśń spod podłogi zdąży nadać drożdżowemu ciastu zatęchły smak.

Tata przyjeżdża do gospodarstwa po pracy.

Z torebkami, które dzwonią. I wtedy mama chce siedzieć cicho. Czuje się lepiej, kiedy tata przyjeżdża z torebkami, i babcia też, obie się cieszą, ale to nie jest taka prawdziwa radość.

Słońce się chowa i ciepło pomalowanej na czarno miedzi zastępuje metaliczny zapach w chłodnej klatce schodowej, a połyskujące szklane kulki w różnych kolorach toczą się po piasku w piaskownicy, a potem wpadają do dziurek, i ktoś staje im na drodze, jakiś inny chłopiec.

Spadaj. Nie wolno ci tu być. Ręka Jerry'ego frunie do góry, trafia tam, gdzie chce, w nasadę nosa, i wtedy zaczyna lecieć krew, i chłopiec krzyczy, krzyczy ten, którego uderzył, a on sam krzyczy: „Plaster!”, a nie: „On mnie bije!”, uważa, że takie kłamstwo jest poniżej jego godności.

W tym prostym, bezpośrednim świecie jest martwy kot w koszu na śmieci przy huśtawkach w parku. Kiedyś dał temu kotu śmietanę. 62
Są uczucia, które unoszą się w dwóch pokojach miesz-

kania, są pytania, które mu zadają. „Wiesz, że mieszkamy w Berga?“, „Wiesz, że tata pracuje w Saabie i montuje samoloty, które potrafią latać szybciej niż słowa w powietrzu?“ I rozpoznaje śmiechy, brakuje w nich ciepła, a oni siedzą na tej po-marańczowo-brązowej, nakrapianej sofie, na której co wieczór szykują mu posłanie i nalewają coś do picia z butelek, które zawsze trzymają w torebce. Potem mówią głośniej, powietrze robi się słodkawe i nieprzyjemne, i patrzą na czarno-białych ludzi na ekranie, a mama potrafi się podnieść, choć kiedy indziej nie potrafi, potrafi się zerwać z sofy, i tańczy, ona to robi tylko wtedy, kiedy piją alkohol, a on lubi patrzeć, jak mama tańczy. Ale wtedy tata zaczyna go gonić, jest tą kosiarką, która próbuje go złapać i bić go po łydkach i ramionach, a chłopiec ma cztery lata, wymyka się przez niezamknięte drzwi mieszkania w świat na zewnątrz, który jest pełen życia i który tylko czeka, aż ktoś go podbije; trzeba pochować kota, huśtawka ma się huścić aż do nieba, trzeba jeździć samochodami i pociągami, ludzie nie powinni leżeć w wymiocinach i w bólu, nie powinni go znikąd przeganiać.

Wtedy krzyczy.

Rozbija, tłucze.

Maluje kredkami po ścianach.

Znajduje gdzieś zapałki i podpala świat, patrzy, jak jego drewniana łódka pali się na piasku, i uczucia, których nazwy nie zna, uczucia, które być może nie mają żadnej nazwy, unoszą się w płomieniach, a tłący się kadłub leży na pustym piaszczystym dnie, otoczony drewnianymi deseczkami.

Zmęczenie taty. Małe ciało chłopca wpada na kaloryfer pod oknem w dużym pokoju, kiedy tata po pijaku przewraca się na niego.

Zmęczone mruganie mamy.

Ból, który wciąż jeszcze za każdym razem jest nowy.

Nic nie jest stałe ani pewne.

Nic nie zastyga w swojej formie.

I może właśnie dlatego nic nie jest możliwe.

Nocą chłopiec leży w swoim łóżku. Nie śpi. W sierpniowy wieczór po raz pierwszy można poczuć jesienny chłód.

Wie już o tym, że istnieje inny świat, ale nie myśli o nim, zajęty jest życiem w swojej prostej, bezpośredniej rzeczywistości.

Nie ma w tym żadnych ukrytych zamiarów, gdy leży w ciemności i śni na jawie o tym, żeby zabić swojego ojca. O tym, że zabija go promieniami, które płyną z jego niebieskich, ogromniastych oczu. Uciszy tę kosiarkę.

Jej ostrza już nigdy nie będą łapać go za pięty.

Oko, czarne jak woda, zdaje się mrugać do Malin Fors, gdy głowa kołysze się na drobnych, ledwo dostrzegalnych falach.

Żółty płaszcz przeciwdeszczowy niemal fosforyzuje w wodzie.

Dudnienie w jej własnej czaszce.

Pies, który szczeka, tam niżej, w samochodzie, na skraju lasu. Dźwięk jest taki jak ciche, dalekie wystrzały z armaty, tak jakby siedział w jakimś szybkowarze.

Kiedy przyjechali, pies stał na skraju fosy. Szczekał jak opętany, ale się nie zezłościł, kiedy zaprowadzili go do samochodu, po prostu szczekał dalej.

Bang, bang.

Co teraz widzi to oko w wodzie? Co było ostatnią rzeczą, jaką widziało to oko?

Kołysanie się głowy, drobne, podobne do węży ryby wokół niej, ból w głowie Malin: to dwie rzeczy, które sprawiają, że ten dzień będzie miał własną szaloną strukturę i logikę.

Skogsa. Kilka razy przejeżdżała obok prowadzącego do niego zjazdu, ale nigdy wcześniej nie widziała zamku, nie miała powodów, żeby wjechać w las i potem dalej przez pola. Ale widziała jego zdjęcia w książce o szwedzkich zamkach i dworach w mieszkaniu rodziców przy Infektionsparken. Pieprzone kamienne pudło, z całą pewnością pełne zadęcia, Choć z drugiej strony w atmosferze budynku wyczuwa się coś •pokojnego i zrównoważonego. Linie są proste, ozdób prawie nie ma, jakby jakaś pokora w obliczu dramatu, który rozgrywał się tutaj w ciągu lat.

Malin kuca na skraju fosy. Wielkie, lśniące, ciosane kamienie, które musiały pochodzić z wnętrza jakiejś starej góry, opadają stromo w dół, ku wodzie, zielone światło latarni odbija się na powierzchni. Ryby, całe setki, niewiele większe niż kijanki, czarniejsze niż woda, poruszają się całymi ławicami wokół ciała.

Malin zasunęła aż pod szyję suwak czarnej, goretksowej kurtki, kaptur ciasno przylega do głowy, pod spodem ma trzy swetry, a mimo to marznie, czuje, jak ciężkie krople deszczu bębnią w wiatroszczelny materiał. Zeke miał tę kurtkę w samochodzie, skomentował jej prastary sweterek, kiedy po nią przyjechał, zastanawiał się, czy kupiła go w lumpeksie. Kiedy zobaczył dzinsy, wyszczerzył zęby i powiedział: „Widzę, że moda wschodnioeuropejska to *next big thing*”.

Ale nie skomentował tego, że odbiera ją spod mieszkania, choć musiał się zastanawiać, co tam robiła.

Od zimna przejaśnia jej się w głowie.

Obrazy się już nie rozmywają i teraz może się skupić na ciele, które unosi się tuż pod powierzchnią wody, na blond włosach i na wybałuszonym oku, które się na nich gapi.

Zeke obok niej.

Zaspany.

Zastanawia się.

- Jak my go, kurwa, wyciągniemy na górę?

- Musimy sprowadzić nurków ze straży pożarnej. Odnalezienie

ciała zgłoszono przez telefon na policyjnej centrali kwadrans po ósmej, Malin usłyszała dzwoniący telefon i wyszła spod prysznic; w tym dźwięku był ten ponagląjący, pilny ton, którego nie sposób pomylić z niczym innym, zupełnie jakby telefon miał własną świadomość i potrafił zmieniać sygnał w zależności od sytuacji.

Głos Zekego: „Zadzwonili jacyś rolnicy i powiedzieli, że znaleźli zamordowanego człowieka na zamku Skogsa”.

Narzuciła na siebie ciuchy i pojechali na południe. Rzucił jakąś uwagę na temat jej oddechu i powiedział, że wygląda na wykończoną, zastanawiał się na głos, czy piła, ale odparła, że wypiła tylko mały kieliszek tequila wieczorem, i żartowała, że musi mieć superwrażliwy węch.

Dotarli na miejsce jako pierwsi i kiedy już zaparkowali na

skraju lasu, otworzyły się wielkie wrota i na zewnątrz wyszło dwóch mężczyzn. Teraz wie, że to dzierżawcy, Ingmar Johansson i Göte Lindman.

Czekali tam, gdzie im kazano, gdy Malin i Zeke przejęli miejsce zbrodni i odprowadzili psa, ostrożnie, żeby niczego nie naruszyć. Dzierżawcy wyjaśnili, że mieli polować na sarny /. Jerrym Peterssonem, ale on nie spotkał się z nimi w ustalonym czasie, i że go znaleźli, a właściwie to znaleźli coś, co uważają za jego ciało, tam na dole, w fosie.

- Nie widać przecież na pewno - powiedział Ingmar Johansson.

- Ale to on - dodał Göte Lindman. - On ma taki płaszcz przeciwdeszczowy.

Zwłoki w wodzie.

Jerry Petersson.

Błyskotliwy adwokat. Biznesmen. Nieco podejrzany specjalista od prawa handlowego, który dorobił się fortuny w Sztokholmie, a potem wrócił w rodzinne strony, gdy nadarzyła mu się okazja, żeby kupić zamek Skogsa. Malin czytała o nim artykuł w „Corren”.

Jeżeli to on.

Dudnienie pod czaszką. Szczekanie psa. Dalej na skraju lasu zatrzymują się dwa wozy patrolowe. Pełna mobilizacja, gdy zachodzi podejrzenie morderstwa.

Jerry Petersson.

Któż inny mógłby to być? Malin przymyka oczy, czuje ból głowy, nasłuchuje i wydaje jej się, że słyszy, jak krople deszczu padają na jakieś niewidzialne ciało, na kogoś, kto szep-Cze jakieś słowa, których ona nie potrafi pojąć, słowa, które mają sprawić, że świat będzie zrozumiały, łatwy do ogarnięcia i wchłonięcia, ale te słowa znikają prędzej, niż udaje jej się uchwycić ich znaczenie.

Pół godziny później zjawili się nurkowie i teraz czerwony wóz ratowniczy stoi obok samochodu Zekego, niebieskiego mercedesa technik kryminalistyki Karin Johannison i czerwonego volvo Svena Sjömana. Samochody są zaparkowane na stoku 67

po drugiej stronie fosy, daleko od rangę rovera Peterssona i saaba jednego z dzierzawców. Zjawili się dziennikarze, jeden po drugim. Reporterzy stoją zbici w grupkę, z dużymi i małymi aparatami fotograficznymi, błyska tak, jakby nadciągnęła jakaś gigantyczna burza z piorunami. Wołają coś do policjantów, ale są ignorowani.

Dziennikarze czują łakomy kąsek. Sensacyjne nagłówki. Bestsellerowa opowieść zaspokajająca ludzką potrzebę, by z bezpiecznej odległości obcować ze śmiercią i przemocą.

Dokładnie jak w jakimś gównianym kryminale, myśli Malin. Rzeczywistość naśladuje fikcję.

Żaden z policjantów ani pracowników straży pożarnej nie wjechał na zamkowe wzgórze. Nikt nie chce zatrzeć kolein po kołach, odcisków butów lub śladów walki, które mogły pozostać na żwirze, ani niczego innego, co mogłaby teraz znaleźć Karin Johannison. Malin widzi, jak Karin obchodzi rangę ro-vera dookoła, robi zdjęcia, kręci głową, ociera z czoła krople deszczu. Nawet w żółtej nieprzemakalnej kurtce ta kobieta wygląda świetnie.

Kiedy przyjechała, skinęła głową Zekemu, a on szczerzej otulił się swoim ciemnoniebieskim płaszczem.

O wiele za długo trwało to kiwnięcie głową, myśli Malin, i wie, że kryje się w nim coś, czego za nic nie chce wiedzieć, ja kaś prawda, i że tylko porządny kac może pokazać wszystko w nowym świetle.

Wraz ze zubożeniem pojawia się klarowność spojrzenia. Co ja właściwie wiem o tym, co oni robią? Może to sobie wszystko wyobrażam.

Nie zna żadnego ze strażaków ani z nurków.

I całe szczęście. Ale oni na pewno wiedzą, kim ona jest, wie dzą wszystko o niej i o swoim koledze Jannem.

Nie myśl teraz o wczoraj.

Zamiast tego dziękuj Bogu za tę sprawę. Myśl o tych zwłokach w fosie: kim jest ten mężczyzna, jak tam trafił. I Malin patrzy, jak nurkowie w czarnych kombinezonach i żółtych maskach opuszczają się na grubych linach z mostu nad fosą i jak ich ciała powoli przecinają czarną powierzchnię wody.

Karin podchodzi do niej i Zekego.

Deszcz zaczął zacinać, pada prosto w oczy, a na skraju lasu, jakieś dwieście metrów od nich, za łąką, kładą się kłęby nisko sunącej mgły.

- Ostrożnie! - krzyczy Karin, gdy nurkowie zbliżają się do «i.ila. - Najostrożniej, jak możecie!

Zapinają uprząż na zwłokach, unoszą do góry kciuki w stronę trzeciego strażaka, który stoi z wyciągiem na moście, i po chwili słyszą terkot liny, a ciało unosi się powoli, delikatnie podtrzymywane przez płynących w pionowej pozycji nurków.

- Co za pieprzony poranek - rzuca Zeke.

Dołącza do nich Sven Sjöman w zielonym płaszczu przeciwdeszczowym.

-I co o tym myślicie?

- Raczej nie wskoczył tam z własnej woli - mówi Malin. - I raczej nie wpadł. Dorośli rzadko wpadają do wody, chyba że są pijani w sztok albo mają atak serca czy coś w tym stylu.

-Jeśli to Petersson, to miał około czterdziestu pięciu lat. W tym wieku atak serca nie zdarza się często.

- Zgadza się. Pewnie ktoś mu pomógł.

- Najprawdopodobniej. Będziemy wiedzieć na pewno, gdy Ivlko Karin obejrzy ciało.

Malin kiwa głową.

-Jeśli to faktycznie Petersson i został zamordowany, to dziennikarze dostaną orgazmu.

- Ostrożnie! - woła Karin, gdy ciało, obracając się wokół własnej osi, zostaje wyciągnięte z wody, a potem zawisa stopami w dół, woda kapie z żółtej tkaniny płaszcza, z brązowych spodni i czarnych skórzanych butów.

Ociekająca woda zabarwia się na czerwono. Żółty płaszcz przeciwdeszczowy jest w wielu miejscach poprzebijany i przez kilka dużych dziur Malin widzi pokryte ranami ciało, krew zmieszana z wodą z fosi ścieka drobnymi strużkami z kilkunastu ran kłutych. Miesza się z deszczem. Pada deszcz krwi, myśli Malin. I nie wpadłeś do tej fosi po pijaku.

Drobne, połyskujące srebrzyście rybki wypadają z ust ofiary, trzepocząc się jak opuszczone niemowlęta w drodze ku bezpiecznej powierzchni wody.

Ryby-węże, myśli Malin.

Czarne oko wpatrzone w deszcz i cienką warstwę mgły, która napłynęła nad fosę. Drugie oko jest zamknięte.

Wyglądasz na zaskoczzonego, myśli Malin. Ale czy naprawdę jesteś zaskoczony?

Czy jestem zaskoczony?

Bynajmniej.

Już nie otacza mnie woda.

Zostawiam twoje wspomnienie, mam, zamiast tego wiszę tu, wpatrzone w dół, w wodę, w zamek, w tych nieznanym ludzi.

Słyszę i widzę Howiego, teraz szczeka jeszcze intensywniej. Czy widzi dziury w moim ciele? Wiem, że jest ich dużo, ale nie czuję żadnego holu, tylko wiatr, który przenika mnie na wylot.

Co to za jedni, ci ludzie?

Czego ode mnie chcą?

Czy to ci Rosjanie, o których mówią legendy?

Wznoszę się powoli, z terkoczącym dźwiękiem, i obracam się dookoła, dookoła, ale nie kręci mi się w głowie, wyjeżdżam na most, podtrzymywany przez jakieś mocne ramiona, i równie powoli opadam, moje zastygłe, zakrwawione ciało.

Rozlega się chłopot, kiedy opadam na ziemię.

Leżę na plecach.

Pod moim ciałem jest czarny plastik. Skąd mogę to wiedzieć, skoro leżę na plecach, skoro niczego nie czuję ani nie widzę?

Ale teraz chyba tak jest?

Wszyscy ci ludzie, którzy stoją na skraju fosy i patrzą na mnie. Co to za jedni?

Coś przeczuwam, ale nie chcę wierzyć, że to prawda. Że to się w końcu stało. Nie mogę się z tym pogodzić. Ale chyba nie ma sensu się sprzeciwiać? A jeśli to się stało, jest wiele zagadek do rozwiązania.

I nie słyszę warkotu kosiarek do trawy.

Kobieca twarz w moim polu widzenia. Jest piękna.

Jest też inna kobieta.

Ona też mogłaby być piękna, ale wygląda tak, jakby powinna spać przez pół roku, czy jakby puste, pozbawione woli życia.

70 *I to, co mówią, naprawdę nie chcę tego słyszeć, jeszcze nie teraz.*

To Petersson - stwierdza Karin, gdy razem z Malin kucają nad ciałem leżącym na moście nad fosą. - Rozpoznaję go ze Zdjęć w „Corren” i z czasopism biznesowych Kallego.

- Możemy poprosić któregoś z dzierżawców, żeby go zidentyfikował - mówi Malin - ale ja też go poznaję, więc w sumie nie ma potrzeby.

Johansson i Lindman czekają w wozie policyjnym. Przesłuchują ich szczegółowo, gdy tylko skończą tutaj.

- Oprócz ran ma dużego siniaka na karku - mówi Karin. - Rany na tułowiach pochodzą najprawdopodobniej od pchnięć nożem. Wszystko wskazuje na użycie potężnej siły, z jaką może na się spotkać właściwie tylko wtedy, gdy napastnik jest wściekły. Możecie wyjść z założenia, że nie zadał sobie sam tych obrażeń. Ale tutaj nie jestem w stanie zrobić nic konkretnego, muszę go zabrać do miasta i zobaczyć, czego jeszcze uda mi się dowiedzieć, badając ciało. Tej ziemi nie da się raczej zbadać. Deszcz zmył właściwie wszystkie ślady. Może uda mi się znaleźć jakieś resztki krwi na żwirze, ale raczej nie ma na co liczyć.

Przed chwilą przyjechała karetka.

Prowadzi ją Stiglund, dawny kumpel Jannego z pracy. Przywitał ją wesoło i spytał, czy Janne czuje się dobrze, a Malin odparła, że tak.

Patrzy na zwłoki. Otwarte, niemal magicznie błękitne oko chce się wyrwać z oczodołu i Malin czuje, że jej niedobrze, chce wstać, ale zamiast tego podnosi wzrok, patrzy na Zekego.

- Co myślisz?

- Ktoś wpadł w furję, zadźgał go nożem i uderzył w kark, albo na odwrót, a potem go tu wrzucił.

- Od tej chwili oficjalnie jest to śledztwo w sprawie morderstwa - mówi Sven.

Furia, myśli Malin. Moja ręka podniesiona na Jannego, kurwa, byłam taka wściekła, pomyśleć tylko, co by było, gdybym miała w ręce nóż, ale nie myśl o tym, nie myśl, zamiast tego powiedz:

- Musimy zbadać samochód i grunt dookoła, cały zamek i pozostałe budynki. Zobaczymy, czy coś znajdziemy. Coś, co by wskazywało na walkę wręcz, albo jakieś inne ślady. I być 71

może znajdziemy narzędzie zbrodni. Najprawdopodobniej nóż i kamień albo coś takiego.

- Zróbcie tak - mówi Sven. - Musimy zebrać ludzi, omówić wstępne ustalenia, zanim ruszymy z robotą. Musimy przesłuchać tych dwóch, którzy go znaleźli. Zadzwońcie po innych z grupy. Karin, możesz nam przygotować jakiś pokój na zamku, z którego moglibyśmy korzystać?

Karin kiwa głową.

Na skraju lasu pojawia się jakiś samochód.

Niebiesko-biały wóz reporterski z „Corren”.

Wszystko musi się toczyć swoim torem, myśli Malin, a równocześnie czuje, że jej żołądek się ściska i ogarniają ją nudności.

Idzie po żwirze w kierunku bramy zamku, myśli o tym, że w ciągu kilkuset lat setki ludzi musiały tędy przechodzić dokładnie tak jak ona teraz. Ludzi pełnych lęku albo dumy, zmęczonych albo przepelnionych radością, którą może dać tylko tak wielki majątek.

Ci ludzie są jak duchy zakorzenione w tych stronach, upiory, które nie chcą opuścić tej ziemi i odpłynąć.

Właśnie zamknęła otwarte oko Jerry'ego Peterssona.

Chciała, żeby zaznał spokoju, żeby przestał patrzeć na świat tym swoim martwym, uporczywym, zimnym wzrokiem. Wystarczy, że my, żywi, tak patrzymy na świat, pomyślała. A potem spojrzała na niego. Na jego zamknięte w sobie oblicze, na obnażone rany w jego nieźle wytrenowanym torsie. Kim byłeś, pomyślała. Kim człowiek musi być, żeby wylądować tam gdzie ty? Jak to wszystko się stało? Kto tak oszalał z wściekłości, że dźgnął cię w brzuch, a potem jeszcze raz i jeszcze raz.

Obeszła zamek dookoła, znalazła małą kaplicę na tyłach, ale drzwi były zamknięte na klucz. Zajrzała do środka i zauważyła kamienne wzniesienie pośrodku ośmiokątnego pomieszczenia. Doszła do wniosku, że to musi być rodzinny grobowiec rodu Fagelsjów. Ze ścian spoglądało na nią jakieś dwadzieścia ikon, złoto otaczające wizerunki Chrystusa zdawało się mówić wbrew porze roku: „Piękno jest możliwe”.

Po drugiej stronie zamku zaparkowano dwie duże, czerwone samojezdne kosiarki marki Stiga, stały ciche, tak jakby 72 użyto ich po raz ostatni i pozbawiono ostrzy.

Malin wspina się po schodach prowadzących do zamku, wciąga do płuc poranne powietrze.

Mimo mdłości jest w dobrym humorze.

Wstydzi się tego uczucia. Trzeba się wstydzić wszystkich UCZUĆ, myśli. Czy to poczucie wstydu odebrało ci życie, Jer-ry? Czego się wstydziłeś? Jeżeli w ogóle czegoś się wstydziłeś. Być może, żeby posiadać zamek i w nim mieszkać, trzeba być wolnym od wszelkiego wstydu.

W holu wisi gigantyczny żyrandol, dziwnie samotny w tej przestrzeni. Tak jakby czekał na to, by móc roztaczać światło, myśli Malin. I ten obraz na ścianie. Mężczyzna, kobieta. Trochę kremu do opalania na plecy, kochanie? Być może. Tłumiona przemoc. Zdecydowanie.

Ten obraz na pewno kosztuje fortunę, myśli Malin.

Szmer głosów.

Pytania.

Nie wierz w to, że na nie odpowiem.

Chyba coś zrobicie, żeby zarobić na swoją pensję, co?

Szmer kamery.

Moja wieczność uwieczniona.

Nie mogę się poruszyć. Mimo to widziałem, jak Malin Fors oglądała moją kolekcję ikon.

Może i będę miał niezły ubaw z tym wszystkim. Pobawię się z wymiarem sprawiedliwości, jak już tyle razy w przeszłości.

Ale jak będę w stanie to zrobić? W moim ciele jest pełno dziur. To nie może być prawda. To nie może być prawda.

Pomocy.

Pomóż mi.

Malin Fors.

Nie rozpoznaję mojego strachu, jest czymś zupełnie nowym.

Tylko ty możesz mnie stąd zabrać, Malin, prawda?

Tylko ty możesz ukoić strach, od którego tak rozpaczliwie próbuję uciec. Tak jak ty sama próbujesz uciec, prawda?

IN a długiej ścianie biblioteki wisi wielka, czarno-biała fotografia przedstawiająca sylwetki ludzi w hamaku. Wygląda to tak, jakby ci ludzie uciekli ze zdjęcia, pozostawiając tylko swoje cienie.

Malin nie ma pojęcia, który artysta stworzył to dzieło, ale wydaje jej się, że to coś drogiego, wręcz śmierdzi ekskluzywną sztuką.

Pokój ma co najmniej dziesięć metrów wysokości.

Pomieszczenie zostało przeszukane przez Karin Johanni-son i dwóch nowo przybyłych policjantów. Nie znaleźli niczego interesującego i teraz biblioteka służy im jako pokój odpraw.

Ściany są wyłożone ciemnymi drewnianymi panelami i zabudowane pustymi regałami na książki, które kiedyś z pewnością musiały mieścić wiele obcojęzycznych tomów. Jacy pisarze? Rousseau? Pewnie nie. Shakespeare? Z pewnością. Sven Sjoman zajął miejsce w jednym z obitych na biało foteli z łukowatym oparciem, które stoją na środku pokoju. Wygląda na zmęczonego i wychudzonego, myśli Malin, ale jeśli Sven tak wygląda, to jak ja muszę wyglądać?

Zeke siedzi na kanciastym nowoczesnym krześle, po drugiej stronie smukłego metalowego stołu. Zdjął kurtkę przeciwdeszczową, na jego ogolonej czaszce widać jeszcze krople deszczu. Przyjechał też Waldemar Ekenberg, zajął miejsce na sofie, gdzie zaraz usiądzie też Malin. Czuć od niego dymem 74 papierosowym, jego oczy wydają się ciemne w przyćmionym

■ u ietle biblioteki, a długie, chude nogi niemal nikną w jego 0 wiele za luźnych, brązowych spodniach z gabardyny.

- Siadaj, Malin - mówi Sven i wskazuje ręką na miejsce obok Waldemara. - Ale zdejmij tę mokrą kurtkę.

Zdejmij kurtkę. Wydaje mu się, że mam pięć lat?

- Jasne, kurwa, że zdejmę kurtkę - mówi Malin, a Sven wydaje się zaskoczony jej złością.

- Malin, nie o to mi chodziło.

Zdejmuje kurtkę, siada przy Waldemarze, a woń dymu tytoniowego, którym przesiąknięte jest jego ubranie, sprawia, że mdli ją jeszcze bardziej.

- Jerry Petersson - mówi Sven. - Zamordowany z użyciem ogromnej siły. Na razie możemy wychodzić z takiego założenia, póki Karin nie ustali dokładnej przyczyny śmierci. To pierwsze, choć nieco pospiesznie zorganizowane spotkanie grupy śledczej, której zadaniem będzie wstępne dochodzenie w sprawie zabójstwa Jerry'ego Peterssona.

Grupka policjantów siedzi w milczeniu.

Da się wyczuć powagę i skupienie, koncentrację, która zawsze pojawia się na początku każdego śledztwa w sprawie morderstwa, uczucie, że muszą się spieszyć, że muszą szybko do czegoś dotrzeć, bo wiedzą, że z każdym mijającym dniem pracy śledczej szanse na znalezienie rozwiązania maleją.

Sven ciągnie:

- Kazałem go szybko sprawdzić. Jerry Petersson urodził się w 1965 roku i z tego, co udało nam się na razie dowiedzieć, ma tylko jednego bliskiego krewnego. Jego ojciec przebywa w szpitalu dla przewlekłe chorych w Aleryd. W tej chwili jadą tam ksiądz i opiekun społeczny, żeby poinformować go o śmierci syna. Będziemy się musieli pospieszyć z przesłuchaniem ojca. To stary człowiek.

Przed chwilą Góte Lindman i Ingmar Johansson zidentyfikowali Jerry'ego Peterssona na moście nad fosą. Nie mieli żadnych wątpliwości i obaj byli dziwnie spokojni.

- Jakież pomysły, od czego powinniśmy zacząć? - pyta Sven.

Ton jego głosu wyraża zainteresowanie, właściwie brzmi pytająco, ale Malin wie, że Sven znów zabierze głos.

- No dobra - mówi Sjóman. - Co jeszcze wiemy o Jerry Peterssonie?

- Adwokat, pochodził z tej okolicy - rzuca Zeke. - Studiował w Lund, ale pracował w Sztokholmie. Dorobił się fortuny i wrócił w rodzinne strony, gdy nadarzyła mu się okazja odkupienia Skogsa od rodziny Fagelsjő. Artykuł w „Corren” sugerował, że stali się niewypłacalni i byli zmuszeni sprzedać zamek. Autor artykułu insynuował również, że Jerry Peters-son maczał palce w wielu podejrzanych sprawach.

- Ja też to czytałam - wtrąca Malin, pamięta, że to Daniel Hőgfeldt napisał ten artykuł. - Musiał mieć naprawdę potężny kapitał, żeby móc to kupić. I wyobrażam sobie, jak rozgoryczeni musieli być Fagelsjő koniecznością sprzedaży posiadłości. Należała przecież do rodziny od prawie pięciuset lat, prawda?

Fagelsjő, myśli Malin. Jeden z najbardziej znanych rodów szlacheckich w hrabstwie. To taka rodzina, o której każdy coś wie. Choć właściwie nie wiadomo po co.

-Zostaną przesłuchani w związku z okolicznościami sprzedaży zamku - stwierdza Sven. - Dowiedźcie się, kogo z rodziny mogło to dotknąć.

- Rodzina składa się z głowy rodu i dwojga jego dzieci. Wydaje mi się, że syna i córki - mówi Zeke.

- Skąd to wiesz? - dziwi się Malin.

- O tym też było w „Corren”. W artykule jubileuszowym, kiedy stary skończył siedemdziesiąt lat.

- Imiona dzieci?

- Nie mam pojęcia.

- Ale tego łatwo się dowiedzieć - mówi Waldemar.

- Podzielicie się przesłuchaniami - nakazuje Sven. - Przeprowadźcie je jak najszybciej. Ja dopilnuję, żeby przepytano mieszkańców okolicznych domów i zamieszczono w lokalnych mediach informację, że poszukujemy wszystkich, którzy w ciągu ostatniej doby mogli zauważyć w tej okolicy coś niezwykłego.

- Jeśli rzeczywiście był taki bogaty - wtrąca Malin - mogło

76 to być po prostu morderstwo na tle rabunkowym. Ktoś usły-

szał o tym nowym bogaczu w zamku i postanowił na niego napaść.

- Może tak być - mówi Sven. - Brama była przecież otwarta. Ale wygląda na to, że w środku niczego nie brakuje. Karin znalazła jego portfel w tym złotym płaszczu. Poza tym rany klute brzucha wskazują, że sprawca wpadł w furję, a coś takiego rzadko się zdarza przy morderstwach na tle rabunkowym.

- Ja też nie odnoszę wrażenia, że mamy tu do czynienia z rabunkiem czy włamaniem. To coś innego - stwierdza Malin.

- A relacje biznesowe Peterssona? - zastanawia się na głos /eke. - Jeśli był lekko podejrzanym typem, tak jak głosi plotka, to mogłoby się przecież znaleźć z kilkuset ludzi, którzy nie życzyli mu najlepiej. Ludzi, którzy byli na niego wściekli.

-W tej chwili to nasz najważniejszy trop - mówi Sven. -Musimy przeszukać zamek pod kątem papierów i dokumentów, które mogłyby nas zaprowadzić dalej. W jakie podejrzone interesy był zamieszany? Byli współpracownicy? Firma? Czy prowadził jakieś interesy, które poszły nie tak? Musimy to wszystko dokładnie sprawdzić. Na pewno jest tu mnóstwo papierów. Waldemar, zajmiesz się tym z Jakobssonem. Zaczynajcie od przeszukania zamku, w miarę jak technicy będą kończyć pracę w poszczególnych pomieszczeniach. Musimy się też dowiedzieć, czy pozostawił jakiś testament. Kto to wszystko dziedziczy? To co najmniej interesujące pytanie.

- Jakobsson ma wolne - mówi Waldemar.

-Zadzwoń po niego. Malin i Zeke, przesłuchajcie tych dwóch, którzy go znaleźli.

Najpierw rozmawiają z Ingmarem Johanssonem.

Dzierżawca siedzi po drugiej stronie stołu w zamkowej kuchni i siorbie kawę, w równych odstępach czasu przesuwa dłonią po swoich blond włosach i opowiada o tym, jak to się najpierw niepokoił, gdy na zamku pojawił się nowy właściciel, ale że kiedy już porozmawiał z Peterssonem, wszystko wydawało się „w porządku”.

- Nie zamierzał zmieniać warunków dzierżawy.
- Wszystko miało pozostać bez zmian? - pyta Zeke.
- Właściwie tak.
- Właściwie? - naciska Zeke.
- No cóż, chciał, żebyśmy mu pomagali przy polowaniach, kiedy o to poprosi.

- I pan nie miał nic przeciwko temu?

- Nie, dlaczego miałbym mieć coś przeciwko? Przecież dla mnie to też nie byłoby za dobrze, gdyby na ziemi, którą dzierżawię, było za dużo zwierzyny.

- Jak często miał się pan stawiać? - pyta Malin.

- Na telefon.

- Ale jak często?

- Tego nigdy nie powiedział. Wczoraj zadzwonił po raz pierwszy od długiego czasu.

- Nie zauważył pan nic niezwykłego, kiedy pan tu przyszedł? - dopytuje się Malin, choć zadawała mu już to pytanie, gdy dotarli na zamek. Chce wyciągnąć z Ingmara Johanssona prawdę metodą wielokrotnych powtórzeń.

- Nie. Przyjechałem z Lindmanem, a rangę rover stał na wzgórzu. Myślałem, że Petersson jest w zamku i wyjdzie do nas, a ponieważ się nie zjawił, weszliśmy do środka, żeby go poszukać.

- Nie mijaliście żadnego samochodu? - Nie.

- Wrota były otwarte?

- Pytaliście już o to. Tak. Inaczej nie moglibyśmy przecież wejść do środka. Tych drzwi nie da się tak łatwo sforsować.

- Nie był pan tutaj wcześniej dzisiaj? - pyta Zeke. - Albo w nocy?

- Nie, po co miałbym tu być? - Twarz Ingmara Johanssona wydaje się pochmurna; mężczyzna zaciska usta i patrzy na nich podejrzliwie. - Jak mi nie wierzycie, zapytajcie mojej starej. Cały wieczór oglądaliśmy telewizję, a potem poszliśmy się położyć. Dziś rano zrobiła mi śniadanie.

- Wie pan coś o Jerry'ym Peterssonie, coś, co według pana mogłoby nas zainteresować? - pyta Malin.

78 - Nie, gównie wiem.

- A może coś o jego interesach? -

Nic.

- Mieszkał tutaj sam?

- Tak mi się wydaje. Nikogo nie zatrudniał na stałe. Mówili, że jak potrzebował jakichś usług, wynajmował ludzi.

Ingmar Johansson patrzy na nich z miną, która mówi: Wystarczy tych pytań. Powiedziałem już swoje.

- Może pan iść - mówi Malin zmęczonym głosem. - Zgłosimy się do pana, jeśli będziemy mieli więcej pytań.

- Dam pani numer na komórkę - mówi Ingmar Johansson, wstając z krzesła.

Cióte Lindman jest samotnym człowiekiem, myśli Malin, patrząc na jego twarz na tle białych kafelków w kuchni.

Samotny rolnik, który pewnie czuje się najlepiej sam ze sobą, w kabinie kombajnu albo ze swoimi zwierzętami, jeżeli je ma. () tej kobiecie, o której wspominał, Svetlanie, mówił tak, jakby była bardziej jakimś meblem niż jego towarzyszką życia.

Lindman opowiedział im dokładnie to samo co wcześniej Johansson. O tym, jak zostali wezwani na polowanie, że to miał być nieformalny punkt umowy z nowym panem na zamku i że nie miało to dla Lindmana żadnego znaczenia, bo poluje się przecież jesienią, a to jest taki okres, kiedy ma najmniej roboty w gospodarstwie.

- Ten Petersson wyglądał na uczciwego gościa. - Góte Lindman wypowiada te słowa z emfazą, a potem ciągnie: - Kurwa, tylko tego nam było trzeba... Znaleźć go tak w fosie. Mogło być tak miło. Jestem tego pewien. Fagelsjó to paskudny typ.

- Który Fagelsjó? - pyta Zeke.

- Miałem do czynienia tylko ze starym, z Axelem.

- Co znaczy paskudny? - dopytuje się Malin.

- Te jego humory, to było... Dawał człowiekowi do zrozumienia, kto tutaj rządzi, że tak powiem.

Góte Lindman milknie, kręci głową, nagle w jego oczach pojawia się strach.

- Jak dawał to panu odczuć? - pyta Malin.

- Na przykład ogromną podwyżką kosztów dzierżawy - odpowiada szybko Lindman.

Malin kiwa głową.

Nowocześni właściciele zamków. Ta sama władza co zawsze, tak samo uciskani dzierżawcy, ta sama unizoność. Ale równocześnie pewni ludzie mają tendencję, żeby nie lubić żadnej władzy.

- Wie pan coś o Peterssonie?

- Tylko tyle, że wychowywał się w mieście i zarobił kupę szmalu w stolicy.

- Wie pan, w jaki sposób się dorobił? - pyta Zeke.

Lindman kręci głową.

- Pojęcia nie mam.

- Mieszkał tutaj sam?

- Z tego, co wiem, tylko z psem. Co się z nim teraz stanie? -

Zajmiemy się nim - mówi Malin i równocześnie zdaje sobie sprawę, że nie ma zielonego pojęcia, co zrobią z psem, który wciąż szczeka w samochodzie.

A potem pytania i odpowiedzi: czy jadąc tu, widzieli coś niezwykłego, czy mijali jakiś samochód, czy gdy dotarli na miejsce, ranę rover stał na zamkowym wzgórzu, czy Lindman ma jakieś pojęcie, kto mógł to zrobić, i co on sam robił ubiegłej nocy i dziś rano?

- Nie mam pojęcia, kto mógł to zrobić.

- Byłem w domu, w gospodarstwie. Zapytajcie Svetlany.

- Nie myślicie chyba, że ja to zrobiłem? Chybabym przecież po was wtedy nie dzwonił?

- Nie sądzimy, by był pan zamieszany w domniemane morderstwo Jerry'ego Peterssona - zapewnia go Malin. - Po prostu musimy zadawać pytania, dbać, by wszystkie drogi w śledztwie były otwarte, a równocześnie wykluczać niektóre możliwości.

Malin i Zeke siedzą sami w kuchni.

Białe kafle na ścianach nasuwają Malin myśli o rzeźni, a potem o kostnicy i o tym, że ta mgła w lesie i na polach jest jak 80 dym wystrzałów na siedemnastowiecznym polu bitwy.

Krew i krzyki.

Odrąbane kończyny.

Zgnilizna i oślizłe grzyby pod stopami.

Ludzie bez rąk, którzy krzyczą w cuchnącym siarką dymie z płonącej słomy. Istoty bez nóg, dzieci z odciętymi uszami.

Dokładnie takie, jakie Janne widział w Rwandzie.

-Jak myślisz, dlaczego drzwi były otwarte? - pyta Malin. - Te dzieła sztuki, które tutaj miał, są na pewno warte parę milionów.

- Może był w zamku, gdy zobaczył, że ktoś się zbliża, więc wyszedł i nie zamknął za sobą drzwi? To by było przecież całkowicie naturalne.

- Albo poszedł się przejść lub wybrał się na przejażdżkę samochodem i zapomniał zamknąć drzwi na klucz.

- Albo był takim typem - dodaje Zeke. - Takim, co nie znosi codzienności i ma gdzieś zamykanie drzwi, by móc się tym nakręcać.

-Albo nie mieszkał tutaj sam. Może kiedy wyszedł, ktoś został w zamku.

- Jakaś kobieta?

- Może. To by było cholernie dziwne, no nie? Żeby mieszkał w tym ogromnym zamczysku, na takim zadupiu, zupełnie sam.

-Ale wszyscy twierdzą, że faktycznie mieszkał tu sam. Może lubił samotność? Słyszysz psa? - pyta po chwili Zeke.

- Nie. Musimy dać mu wody.

Zeke kiwa głową.

- Co z nim zrobimy? - zastanawia się Malin.

- Zawieziemy go do schroniska w Siaka.

- Albo do Bórejego Svarda. Ma przecież w domu psiarnię.

- Myślisz, że dałby radę?

Jego żona Anna. Podłączona do respiratora w najgustowniej urządzonej domu, jaki Malin kiedykolwiek widziała. Dobry człowiek w zepsutym ciele.

Myśli o swoim mieszkaniu. Tyle że ta kuchnia tutaj jest trzy razy większa.

- Musimy się dowiedzieć więcej o Peterssonie - mówi Malin i myśli: W tej chwili błądzimy po omacku w jesiennej mgle. Jedno jest pewne, zrobił coś, co mnie się nie udało, wyrwał się z tego pieprzonego Linkópingu. Ale dlaczego, dlaczego wrócił? Jakie wewnętrzne głosy przyzwały go tutaj z powrotem?

- Jak myślisz, kim był? - pyta Malin.

Zeke wzrusza ramionami, a ona zastanawia się, jakie marzenia i pragnienia mógł mieć ktoś taki jak Jerry Petersson. Jakie mogły być jego radości, jego troski?



Co chcesz o mnie wiedzieć, Malin Fors ?

Mogę ci wszystko opowiedzieć, tylko słuchaj uważnie. Wiem, że jesteś dobra w słuchaniu tych głosów, których nie słychać, tych bezdźwięcznych szmerów, które niosą w sobie pewność, a może nawet prawdę.

Nie jestem twardym facetem.

Nigdy nim nie byłem, a jednak wierzyłem, że trzeba być twardzielem, bo widziałem, co mi to dało. Pewnie, byłem przez to samotny, ale postanowiłem wierzyć, że ta samotność była moim wyborem.

Nikogo nie potrzebuję. Nie potrafię z nikim żyć. Nie boję się samotności.

Tak sobie to wyobrażałem.

Zatrząskują się drzwi samochodu.

Przed chwilą zamek błyskawiczny zasunął się nad moją twarzą i przez sekundę wszystko było czarne, ale potem świat znów się otworzył przed moimi oczyma. Prosty i piękny, tak jak nigdy dotychczas, i nagle wiara w to, że trzeba być twardym, wydała mi się błędem.

Mylę się, pomyślałem. Mylisz się, Jerry Peterssonie.

A teraz toczymy się naprzód, karetka i ja, i przeklinam samego siebie, kiedy tak leżę na noszach w czarnym plastiku i podskakuję w górę i w dół, a koła suną po okrągłym żwirze drogą wiodącą w głąb lasu.

Jestem tu, w środku.

W tym zimnym, czarnym worku.

Jestem tu, w górze.

Wysoko na niebie. I patrzę w dół na Skogsa, na Malin Fors i Zachariasa Martinssona, którzy idą zamkowym wzgórzem - skuleni w sobie - do samochodu Malin, gdzie Howie przestał już szczekać i spragniony wywiesił język.

Na starego diabła Fagelsjő w jego mieszkaniu.

Dokąd zmierzają ci wszyscy ludzie? Teraz i w ogóle?

Mogę to zobaczyć, jeśli chcę.

Ale zamiast tego szybuję w inne przestrzenie, widzę samego siebie, jak poruszam się naprzód, tak samo jak teraz, tak samo, a jednak nieskończenie inaczej, ciało na noszach, ból, którego już nie czuję.

whłopiec jest zdumiony za każdym razem, kiedy czuje ból, ale w tej chwili, gdy karetka przechyla się z jakiegoś nieznanego powodu i jego pospiesznie unieruchomiona, złamana goleń uderza w krawędź noszy, uświadamia sobie, że ma różne wspomnienia i że nie wszystkie są dobre. W tej chwili czuje silniejszy ból, niż kiedykolwiek dotąd, i zdaje sobie z tego sprawę. To jest tak, jakby ten nowy ból był sumą całego bólu w jego życiu, i nagle rozumie mamę, ale tata pozostaje przed nim ukryty, nie potrafi pojąć bólu psychicznego.

Ani mama, ani tata nie jadą z nim karetką, i widzi, jak jego niepokój odzwierciedla się w mężczyźnie, który siedzi obok niego, w tym przyjaznym panu, który głaszcze go po włosach i mówi, że wszystko będzie dobrze. Tego czerwcowego dnia rozpoczęła się konferencja sztokholmska ONZ poświęcona ochronie środowiska, pierwsza tego rodzaju w historii, a na południowo-wschodnią Azję nadal spada deszcz bomb.

W domu w Berga nie ma windy. Ich mieszkanie jest na drugim piętrze i chłopiec wie, że mamie trudno jest chodzić po schodach, że ją boli, ciągle boli, ale nie wie, że jej stawy kolanowe są już od dawna objęte reumatyzmem i że prosiła lekarzy w szpitalu rejonowym, żeby zwiększyli jej dawkę korty/onu, ale oni nie chcą: „Musi pani wytrzymać - mówią. - Nie możemy nic zrobić”.

A ona, taka zmęczona, nie może nic zrobić dla niego, parę godzin po tym jak babcia odebrała go ze szkoły i zanim tata wróci do domu ze swojej zmiany w hali montażowej.

Chłopiec balansuje na wąskiej balustradzie balkonu, a klomb z różami, pięć metrów niżej, wydaje się taki miękki z tymi wszystkim kwiatami, czerwien i róż odcinają się od łuszczących się fasad domów z lat pięćdziesiątych, od zaniedbanych trawników, na których zwykle leżą pracownicy parku, kiedy piją swoje przedpołudniowe piwo i podają sobie ćwiartkę wódki Explorer z rąk do rąk, od ust do ust.

Nie boi się.

Jak się boisz, to spadniesz.

Kobieta woła chłopca z kuchni, zbyt zmęczona, żeby podnieść się ze stołka, który z trudem dosunęła sobie do kuchenki, gdzie gotuje się grochówka, mięso z koperkiem albo gołąbki; woła z niepokojem i ze złością:

- Zejdź z tej balustrady! Zabijesz się!

Ale chłopiec wie, że się nie zabije, wie, że nie spadnie.

-Opowiem wszystko tacie, już on ci spuści lanie, kiedy wróci do domu.

Ale tata nigdy nie spuszcza chłopcu lania, nawet po pijaku, bo wtedy zawsze potrafi mu się wymknąć. Natomiast kiedy jest trzeźwy, bierze go do sypialni, szepcze do niego, żeby krzyczał, tak jakby był bity, i to jest ich wspólna tajemnica.

Na dole, na podwórku, siedzi w piaskownicy dwóch chłopaków, a starsza siostra Jojjego huśta się na jedynej niezepsu-tej huśtawce. Cała trójka patrzy na niego, w górę, bez niepokoju, w ich spojrzeniach widać, że są pewni, że nie spadnie z balustrady.

I wtedy w mieszkaniu dzwoni telefon. Chłopiec chce odebrać, tak jak zawsze, zapomina, że jest na balustradzie, i górna część ciała się przechyla, najpierw w jedną stronę, potem w drugą, chłopiec zastanawia się, czy to babcia dzwoni, czy chce go zabrać w weekend na wieś, ale zapomniała o tym powiedzieć, i wąska żelazna balustrada znika spod jego stóp. Słyszy krzyk mamy, słyszy krzyk siostry Jojjego, widzi domy 86 i niebieskie niebo wczesnego lata, a później krzaki róż wrzy-

mija mu się w ciało, mocno uderza się w nogę, czuje palący **ból**, i próbuje się poruszyć, ale nic się nie dzieje.

Musi ponieść konsekwencje.

Zakładają mu gips, który sięga aż do uda, żeby go unieruchomić. Dają mamie więcej kortyzonu, żeby mogła się nim Aijmować. Tata wyjmuje dziecięcy wózek z piwnicy i chłopiec może w nim jeździć, kiedy wybierają się do Konsumu w cen-1 rum, a ludzie patrzą na niego, jakby w tym wózku leżało jakieś małe dziecko.

Kiedy zdejmują mu gips, biega szybciej niż kiedykolwiek wcześniej.

Teraz już wie, co oznaczają torebki. Kiedy się zjawiają, trzyma się z daleka, a przykre słowa taty dosięgają go coraz rzadziej. On, Jerry jest zawsze sto kroków przed nimi, mimo to Czasami rzuca się w objęcia taty, choć wie, że te ramiona mogą się wokół niego zamknąć jak wilcza paszcza, że silne palce taty mogą się zmienić w noże kosiarki, które wbijają się w jego ciało, że jego słowa mogą być jej ostrymi nożami: „Ty, mały, do niczego się nie nadajesz”.

Koniec lata, jego ostatnie w przedszkolu, będą tam przeprowadzać egzamin.

Powiedz, czego brakuje na tym obrazku. Połącz przedmioty w pary. Tego typu rzeczy. Chłopiec rozumie, co to znaczy być /dolnym, jaki podziw to budzi u ludzi, którzy nie spodziewają się po kimś, że może być zdolny. Ale spojrzenia, te jego ogromniaste oczy, są wciąż nie do pobicia, kiedy chce dostać to, czego chce.

Pani widziała wyniki egzaminu z przedszkola. Pierwszego dnia w szkole wywołuje jego nazwisko z nadzieją w głosie, ale potem widzi adres, jest rozczarowana, opadają jej ramiona, co to będzie za problem, chłopak z Berga, który ma głowę na karku.

Liczy najszybciej.

Pisze najlepiej.

Uczy się najwięcej słów. Podnosi rękę, kiedy nikt inny nie wie, i widzi, że pani czuje do niego niesmak, ale jeszcze nie rozumie dlaczego. Nie widzi brudu na swoich ubraniach. Bru-

du w uszach. Za długich, skołtunionych włosów. Dziur w koszulce. Zamiast tego posyła jej spojrzenie tych swoich oczu i w trzecim roku coś się wydarza. Staje mu się bliska, zajmuje się nim, widzi go takim, jaki jest i jaki może się stać.

Wieczorami chłopiec trzyma się z daleka. Zakrada się do domu, ale czasem tata nie śpi.

I sam robi to, co tata być może miałby ochotę zrobić wieczorami, kiedy już się napił wina i piwa, ale na co nigdy nie ma odwagi: bije, kiedy mówi, że to robi.

Bije tych, którzy wchodzą mu w drogę. Podnosi rękę na dyrektora, kiedy mama i babcia przychodzą do szkoły na wywiadówkę.

Ale może zostać w swojej klasie.

Niesamowicie uzdolniony, mówi pani.

I bije, kiedy nie widzą.

Biciem uwalnia się od wszystkich uczuć, od bezimiennych uczuć niemających ujścia z tego zamkniętego kręgu, który składa się z podwórka w Berga, mieszkania z dwoma pokojami i kuchnią, podstawówki w Anestad, różnych domów babci. Szybkie stopy bębnią bez wytchnienia o ziemię i zastanawiają się, po co jest ten świat.

igaretka z podziurawionym ciałem.

Odjeżdża w upatrzonym kierunku, w stronę lasu, powoli, tak by nie zbudzić ani nie zdenerwować zmarłego. Pies w samochodzie czeka za ambulansem, tłucze się o szybę.

Ze swojego miejsca na zamkowym wzgórzu Malin widzi /iHone latarnie kołyszące się na wietrze, ich światło w kolorze lasu rozmywa się w szarym świetle dnia. Sterty butwiejących liści na skraju lasu. Jak zgniecione kartki papieru, pomalowane w jaskrawe kolory przez dzieci z zagrożonego zamknięciem przedszkola. I drzewa, ich nagie korony, patrzą na to dziwne dzisiejsze widowisko sponad stert liści, machają na pożegnanie, kiedy wiatr porusza ich gałęziami.

Te same pytania co zawsze na początku śledztwa. Malin ■•liwia je samej sobie, wie, że pozostali z grupy dochodzeniowej też zadają sobie te pytania.

Jak to wszystko uporządkować?

Co się wydarzyło?

Kim był Jerry Petersson? Odpowiedź na pytanie, skąd się bierze przemoc, zawsze można znaleźć w życiu zabitego. I w jego śmierci. Co go skłoniło do powrotu do miasta i w te okolice? Mieszkał w rodzinnych stronach już od ponad roku, tle czasami zło nadchodzi powoli.

I wtedy las jakby otwiera się przed jej oczyma, odstępy między drzewami zdają się powiększać, i w tej pustej przestrzeni widzi ciemność pełną jakichś rozmytych postaci.

Malin się wydaje, że słyszy jakiś głos, tak jakby wszystkie te postaci równocześnie mówiły to samo: „Będę się tu unosić przez tysiąc lat. Będę panem tej ziemi”. „Uratuj mnie”, krzyczy potem głos. „Byłem winny wielu rzeczy, ale uratuj mnie, przebacz mi”. A potem uspokaja się, szepcze: „Dlaczego stałem się takim człowiekiem, jakim się stałem?”

Malin ma wrażenie, że wokół jej stóp pełzają bladozółte młode węże. Depcze po nich, ale nie znikają.

Powoli mruga.

Nie ma węży ani postaci.

Tylko zwyczajny, przygnębiający, brudnoszary jesienny las. Żwir pod stopami.

Co to było? Zaczynam tracić rozum? Mimo to się nie boi, pewnie alkohol i to wszystko... Za dużo tego było. A potem myśli o tym, że ktoś zaledwie parę godzin temu brutalnie za-dźgał tutaj człowieka nożem.

Zamordował go.

Załatwił Jerry'ego Peterssona.

Włącza komórkę, miała ją wyłączoną, odkąd tu przyjechała.

Dwa nieodebrane połączenia. Oba od Tove, ale żadnych wiadomości.

Powinam, naprawdę powinam do niej zadzwonić.

Pies jest cicho, nie rusza się. Musiał się położyć na tylnym siedzeniu.

- Malin! Malin!

Rozpoznaje głos Daniela Hógfeldta. Woła do niej ze swojego miejsca za kierownicą wozu reporterskiego „Corren”. Malin ma ochotę pokazać mu środkowy palec. Zamiast tego macha do niego.

- Możesz mi coś powiedzieć? Jego czujny głos.

- Zapomnij, Daniel! - woła.

- Został zamordowany, prawda? I to był Petersson.

- Później się dowiesz. Karin na pewno zwoła konferencję prasową.

- Chodź tu, Malin.

90 Malin kręci głową, a on uśmiecha się do niej ciepło i mięk-

ko, dokładnie takim uśmiechem, jaki jest jej w tej chwili porzebnny.

Aż tak wyraźnie to widać?

Daniel napisał ten artykuł o Peterssonie. Może coś wie? Nie mogę go teraz pytać, za wiele rzeczy bym potwierdziła.

Myślała, że przestanie sypiać z Danielem, kiedy przeprowadziła się do Jannego, ale potem, pewnego wieczoru, gdy wypociła z siebie wszystko na siłowni w piwnicy komisariatu i poczuła, że to nie wystarcza, żeby uspokoić ciało, zadzwonił do niej, gdy już miała wsiąść do samochodu i jechać do domu.

- Możesz przyjść?

Dziesięć minut później leżała naga w jego łóżku przy Lin-nógatan.

Nie odezwali się do siebie nawet słowem. Nie tym razem. Ani następnym, ani jeszcze następnym.

Po prostu wzięła ją z całych sił, jakie tkwiły w jego ciele, i ona wzięła jego, i oboje krzyczeli, a potem patrzyli na siebie i wydawali się zdziwieni. Co to, u diabła, było? Co my wyprawiamy? Co z nami?

I Daniel Hogfeldt patrzy na Malin i wbrew swojej woli nie może myśleć tylko: „Kurwa, wygląda na wykończoną. Niemal tak wykończoną, że przestaje być seksowna”.

Próbował sprawić, by zobaczyła w nim coś jeszcze prócz ciała, ale to się wydaje niemożliwe. Wygląda na to, że spodziewa się po nim samych najgorszych rzeczy, że chce od niej wyciągnąć informacje o śledztwie, chociaż w rzeczywistości to do niej pragnie się zbliżyć.

Znów się przeprowadziła do swojego byłego. Ale czy może im się dobrze układać? Skoro chce się ze mną pieprzyć do upadłego?

To oczywiste, że źle się czuje. Ale jeśli spróbuje coś powiedzieć, natychmiast odwróci się na pięcie, zrobi cokolwiek, żeby tylko uciec.

Odchyła się na fotelu. Widzi, jak Zeke, policjant z ogoloną na łyso głową, podchodzi do Malin.

Daniel przymyka oczy. Przygotowuje się do odgrywania twardego reportera, gdy będzie próbował coś wydobyć z pozostałych poli'antów.

Gdy Zeke i Malin podchodzą do samochodu, pies podnosi się na tylnej kanapie. Macha krótkim kikutek ogona i łapczywie wpatruje się w miskę wody w ręce Zekego, ale gdy otwierają drzwi, wycofuje się. Waruje na podłodze za fotelem kierowcy i wygląda, jakby czekał, co będzie dalej. Zeke stawia przed nim wodę i słyszą, jak zwierzę ją chłepcze.

- Zabierzemy go do Bórrjega - mówi Malin.

- Dobra - zgadza się Zeke.

Malin wybiera fotel dla pasażera. Zeke będzie prowadził.

Pies skomle z tyłu.

Nagie ciało Daniela Hógfelda.

Co się ze mną dzieje? - myśli Malin.

Pomalowany na rdzawobrązowy kolor domek stoi przy drodze prowadzącej do Skogsa, tuż przed zjazdem na Linkóping. Wokół domu las przechodzi w pole, które wygląda jak duży sad. Zatrzymali się w drodze do miasta, coś mówiło Malin, że powinni porozmawiać z kimś, kto mieszka w tym domu, że nie powinni tego zostawiać jakimś mundurowym.

- Pies sobie poradzi.

Malin podnosi rękę, by uderzyć w drzwi.

Ale zanim dłoń dociera do celu, drzwi się otwierają.

Malin się cofa. Zeke rzuca się w bok. Przed ich nosami sterczy wycelowana w nich lufa śrutówki, a na jej drugim końcu stoi niska, siwowłosa staruszka.

- Coście wy za jedni? - kracze ochryptym głosem.

Malin cofa się jeszcze dalej. Kątem oka widzi, że Zeke szuka dłonią broni.

- Spokojnie, spokojnie - mówi Malin. - Jesteśmy z policji. Pokażę pani legitymację.

92 Staruszka patrzy na Malin.

Wygląda, jakby ją poznawała.

Opuszcza broń.

- Ciebie znam z Óstnytt - mówi. - Wchodźcie. Wybaczcie tę dubeltówkę, ale człowiek nigdy nie wie, co się szwenda w tej okolicy.

Za nimi, w samochodzie, pies znów zaczyna szczekać.

- Powieście sobie kurtki w przedpokoju. Kawy? Wiem, że jest pora lunchu, ale nie mam was czym poczęstować.

Staruszka, która przedstawiła się jako Linnea Sjöstedt, prowadzi ich do kuchni.

Przy jej krokach moje wydają się krokami chorego człowieka, myśli Malin, a równocześnie na wspomnienie o lunchu robi jej się niedobrze.

Staruszka odkłada strzelbę na stół stojący na żółto-zielonym, z całą pewnością robionym ręcznie, szmacianym dywanie. Stara kuchenska Husqvarna. Ozdobne talerze na ścianach.

Woń starego człowieka, kwaśna, ale nie do końca nieprzyjemna, i silne uczucie, że czas zawsze biegnie swoim torem, niezależnie od tego, czego chcą ludzie.

- Siadajcie.

Dla staruszki incydent ze strzelbą jest już odległą przeszłością, ale Malin czuje pędzącą w żyłach adrenalinę, a ubranie Zekego jest mokre od trawy, w którą się rzucił. Patrzą, jak stawia na kuchence stary dzbanek do kawy, wyjmując niebieskie liliżanki w kwieciste wzory.

- Nie wolno tak celować z broni do ludzi - mówi Zeke, siadając.

- Tak jak mówiłam, kto może wiedzieć, co się tutaj szwenda..

Niewygodne zeberkowe krzesła, twardo w plecy.

- Ma pani na myśli coś konkretnego? - pyta Malin.

- Kto może wiedzieć, co diabli przyniosą? Musiało się coś stać, skoro tu jesteście.

-Tak - mówi Malin. - Jerry Petersson, nowy właściciel Skogsa, został znaleziony martwy.

Linnea Sjostedt kiwa głową.

- Zamordowany?

- Najprawdopodobniej - odpowiada Zeke.

- Nie dziwi mnie to - mówi starszka, nalewając im kawy - Nie mam was czym poczęstować. Tyję od pieczywa.

- No więc zastanawialiśmy się, czy widziała pani coś godnego uwagi, wczoraj, dziś w nocy albo rano. A może coś innego, co mogło się pani wydać dziwne w ostatnim czasie?

- Dziś rano - mówi Linnea. - Widziałam Johanssona i Lindmana, jak jechali na zamek. Było gdzieś koło wpół do ósmej.

Malin kiwa głową.

- Coś jeszcze?

Malin bierze łyk kawy. Gotowana kawa. Taka mocna, że aż unoszą jej się włoski na karku.

- Czasami, kiedy człowiek jest taki stary jak ja, nie zawsze wiadomo, czy się śni, czy to, co człowiek widzi albo przeżywa, naprawdę się wydarzyło - mówi Linnea Sjostedt. - Tego z Johanssonem i Lindmanem jestem pewna, bo byłam już wtedy po pierwszej kawie, ale to, co widziałam wcześniej? Tego nie wiem...

- Więc widziała pani coś wcześniej, Linneo?

Malin sili się, żeby jej słowa brzmiały poważnie. Tak jakby sny naprawdę istniały.

- Tak, wydaje mi się, że widziałam czarny samochód jadący w stronę zamku, gdy zaczynało świtać. Ale nie jestem pewna. Czasami mi się śni, że wstaję, i to też mógł być taki sen.

- Czarny samochód?

Kobieta kiwa głową.

- A jaka marka? Typ?

- Może furgonetka. Był duży. Do marek nigdy nie przywiązywałam żadnej wagi.

- Wynajmuje pani domek od zamku? - pyta Malin.

- Nie, pewnie, że nie. Mój ojciec kupił go od Fagelsjő w latach pięćdziesiątych. Sprowadziłam się tutaj dwadzieścia lat temu, kiedy ojciec odszedł.

- A Petersson? Co pani o nim wie?

94 - Przejeżdżał i się przywitał. Miły młody człowiek, chociaż

pewnie nie zawsze był taki miły. Te interesy, które miał z tym całym Goldmanem, i w ogóle.

- Z Goldmanem?

-Tak, z Jochenem Goldmanem. Tym, co oszukał tę spółkę finansową ze Sztokholmu na kilkaset milionów, a potem uciekł za granicę. Prowadzili razem interesy. Czytałam o tym w Internecie. Państwo poli'anci nic nie wiecie? Ten Goldman Id podobno naprawdę paskudny typ.

- Paskudny? - pyta Malin.

Linnea Sjöstedt nie odpowiada, tylko powoli kręci głową.

Żenujące, myśli potem Malin. Usłyszeć wykład od osiemdziesięcioletniej damy. Ale zgadza się, artykuł w „Corren” wspominał o Goldmanie, choć był poświęcony raczej najnowszym nowinkom o Peterssonie, jego planom dotyczącym zamku i temu, jak to niemal wygnał ród Fagelsjów.

Ale pamięta Jochena Goldmana. Pamięta, że wypompuwał pieniądze ze spółki giełdowej z pomocą pewnego francuskiego hrabiego, że trzymał się z dala przez dziesięć lat, media poświęcały mu wiele uwagi, wydał książki o życiu uciekiniera i że niedawno, zaledwie parę lat temu, jego przestępstwo uległo przedawnieniu.

Szkoda, że podczas spotkania na zamku nikt z nich nie przypomniał sobie związku między tym oszustem a ofiarą. I)ziwne. Ale ich umysły śledczych dopiero się obudzą. W tej chwili są równie mgliste jak jesień.

Malin pyta rozdrażniona:

- Co pani robiła dziś w nocy i rano?

- Pani inspektor myśli, że miałam coś wspólnego ze śmier-■ i.) Peterssona?

- Nic nie myślę - mówi Malin. - Proszę z łaski swojej po prostu odpowiedzieć na moje pytanie.

-Wróciłam do domu koło czwartej nad ranem. Taksówka z Linkópingu. Możecie to sprawdzić. Dziś w nocy byłam u Antona, mojego kochanka, który mieszka w Valla. Mogę w.im dać numer do niego.

- Dziękujemy - mówi Zeke - ale to nie będzie potrzebne. Wie pani może coś jeszcze, co mogłoby nam się przydać?

Staruszka mruży oczy.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale milknie, jeszcze zanim jakiegokolwiek słowa płyną z jej ust.

Zeke zaraz uruchomi silnik. Przed chwilą poklepał psa po głowie. Mówił do niego, uspokajał go, kazał mu znów położyć się na podłodze. Wydawało się, że pies nie chce patrzeć na las i łąki.

Mój mózg nie działa tak jak powinien, myśli Malin.

Mój mózg chce się napić.

Goldman.

Jeden z największych skandali finansowych w historii kraju, a udało mu się trzymać z daleka, póki przestępstwo się nie przedawniło.

I z kimś takim zadawał się Petersson. Mają mnóstwo do sprawdzenia, w kilku pokojach na zamku było pełno dokumentów, a w przypadku śledztwa w sprawie morderstwa mogą wziąć wszystko, co chcą, nie muszą czekać na zgodę spadkobiercy zmarłego. Jeśli Jerry Petersson prowadził interesy z Goldmanem, to z kim jeszcze mógł się zadawać?

Malin patrzy na spowite mgłą pole, las i drogę. Tysiące odcieni szarości, jeden przechodzi w drugi. Wiatr jest na tyle silny, że ciężkie liście fruwią w powietrzu jak miedziane łuski nad zielonoczną ziemią, krążą w tę i z powrotem jak unoszące się metalowe gwiazdy na o wiele za niskim niebie. Dalej na zboczu leży kilka pasm ciemnoczerwonych liści, jak krew, która płynęła z ciała Jerry'ego Peterssona.

Muszę oddzwonić do Tove.

Malin próbuje zatrzymać na czymś spojrzenie, ale wszystko przesuwa jej się przed oczami. Wsteczne lustro. Nie chce się w nim widzieć, nienawidzi tych obrzmiałych rysów, powodu, dla którego wygląda tak a nie inaczej, nie chce widzieć wstydu wypisanego na jej czole, na policzkach, w najdrobniejszych rysach jej twarzy. Wydaje jej się, że samochód zapada się w siebie. Trudno jej oddychać. Ma ochotę wyskoczyć. Tove. 96 Janne. Czy kiedykolwiek będziecie mogli mi wybaczyć?

Do diabła.

Dajcie mi porządnego drinka. W tej chwili. Poci się. Wiem, 00
powinam zrobić, ale nie jestem w stanie niczego zrobić.

- Nic ci nie jest? - pyta Zeke.

- Wszystko w porządku - odpowiada.

Zmusza się do tego, żeby myśleć o tej zesłanej im przez Boga
sprawie: Czarny samochód we śnie? Lindmana? Johans-ona? Ale
dlaczego?

Jochen Goldman.

Cała rodzina Fagelsjő.

Ogólnie typy napalone na pieniądze.

Ciekawe, którego z nich najgorzej jest wkurzyć?

Johan Jakobsson jest rozdrażniony na samą myśl o tym, że ma przejrzeć te wszystkie papiery. Ile teczek przytaszczyli już do tego pokoju?

Dwieście? Może trzysta?

Na jego jasnoniebieskiej koszuli widać szare plamy brudu od całego tego dźwigania.

Johan rozgląda się po pokoju zebranych - samym sercu komendy. Odbija mu się i czuje w ustach smak mięsnego sosu, który jadł do lunchu.

Pozbawione okien pomieszczenie z białoszarą tapetą i regałami będzie pełniło funkcję pokoju roboczego podczas śledztwa w sprawie zabójstwa Jerry'ego Peterssona.

Dwa twarde dyski.

Pełna sukcesów kariera zebrana w jakiejś klitce na policji. Przykre, myśli Johan, ale z drugiej strony czuje radość, że coś się jednak wydarzyło w ten piątek. Nie zdążyli jeszcze wyjechać do Nassjo, do teściów, kiedy zadzwonił Sven Sjóman, opowiedział mu, co się stało, i zapytał, czy mógłby przyjść.

- Przyjdę. Będę za godzinę, najdalej dwie.

Jego żona dostała napadu szału, ale nie mógł jej za to winić. Niechętnie odwiozła go do Skogsa, a potem zabrała dzieci i pojechała do Nassjo.

Ale nawet ta papierkowa robota, która ich teraz czeka, jest sto razy zabawniejsza niż siedzenie ze starymi w Nassjo. Mają o wiele za dużo poglądów na różne sprawy w ogóle, a na życie

98 rodzinne w szczególności, żeby Johan był w stanie ich znosić.

Każdy powinien się zajmować własnymi sprawami.

Tak jest o wiele lepiej.

Teczki z dokumentami i twarde dyski odnoszą się do przypadków, kiedy ludzie nie zajmowali się własnymi sprawami. Przynajmniej tego Johan jest pewny. Jakie gówna tam znajdują? I do jakiego gówna doprowadzi ich z kolei to, co znajdują? A może nie znajdują niczego. Wątpliwa reputacja nie jest żadnym przestępstwem.

Teczki są oznaczone datami, a w niektórych przypadkach nazwiskami.

Do tej pory przejrzeni tylko pobieżnie część z nich, ale Jerry l'ctersson sprawia wrażenie człowieka, który rygorystycznie dbał o porządek, każdy dokument zdaje się być dokładnie na właściwym miejscu. Sprawia to, że praca Johana i Waldemara jest trochę mniej żmudna, odrobinę łatwiejsza.

Nazwiska na teczkach.

Nie zna ich, z wyjątkiem jednego: Goldmana. Nieuchwytny cień, który zdaje się należeć do świata fikcji, choć istnieje w rzeczywistości. Dzwoniła Malin, wspomniała o związku /. Goldmanem i teraz teczki opatrzone jego nazwiskiem leżą na stole przed Johanem, co najmniej trzydzieści sztuk, każda wypełniona specyficznymi znakami chciwości.

Głos Malin. Brzmiał szorstko, w taki sposób, w jaki może go uczynić szorstkim tylko alkohol. Wydawała się wyczerpana i smutna. Ostatnio sprawia wrażenie coraz bardziej zmęczonej i Johan miał ochotę zapytać ją, jak się czuje, ale Malin Fors nie jest tym typem człowieka, z którym można sobie pogawędzić o samopoczuciu.

Drzwi otwierają się z wściekłym łoskotem.

To Waldemar przytaszczył dwa ciężkie kartony.

Teczki z dokumentami, twarde dyski.

Właściwie to dla mnie idealne, myśli Johan; ale Waldemar odbiera tę robotę jako karę, i może coś w tym jest: Sven chce przecież trzymać pod kontrolą tego notorycznego wariata, logo gówniana sława jest zasłużona, Johan widział parę razy, jak znęca się nad ludźmi, żeby wydobyć z nich informacje. Pewnego razu Ekenberg przycisnął podejrzanemu pistolet do

szy, żeby wyciągnąć z niego prawdę. Albo to, co Waldemar uważał za prawdę. Ale przemoc może się sprawdzać. Na krótką metę. Tyle że w końcu zawsze gryzie samą siebie w ogon.

Waldemar niedbale upuszcza pudła w kącie pokoju.

Rozprostowuje plecy.

Prycha i sapie, mruczy coś o tym, że musi zapalić, a potem siada na jednym z krzeseł przy stole i Johan widzi, jak niewygodne, obite materiałem oparcie ugina się pod ciężarem kolegi.

- Do diabła, ale mamy tu zasraną robotę.

- Jeśli będziemy mieli szczęście, pojawi się coś, dzięki czemu ledwie zdążymy z tym zacząć - mówi Johan Jakobsson.

I wtedy przypomina sobie, jak przed czterema laty sprzątał mieszkanie rodziców, kiedy jego ojciec zmarł zaledwie cztery miesiące po śmierci mamy. Pamięta, jak grzebał w papierach, z niechęcią szukał czegoś, co mogło oznaczać jakieś pieniądze, dokumentu z banku, wygranej na loterii, tego jedyne go sposobu, w jaki jego rodzicom kiedykolwiek mogłoby się udać zdobyć jakąś większą sumę pieniędzy.

Ale nie było żadnych pieniędzy. I było mu wstyd.

- Wierzysz w to? - pyta Waldemar.

-Nie.

- A kto powiedział, że ten cały Petersson nie był pieprzonym typem spod ciemnej gwiazdy? Mógł mieć kontakty z podziemiem w mieście. Powinniśmy to sprawdzić. Mogę iść i trochę popytać.

-Teraz skupiamy się na tych papierach - mówi zmęczonym głosem Johan.

Waldemar wyciąga z kieszeni marynarki paczkę papierosów i podsuwa Johanowi.

- Chcesz? Chyba nie masz nic przeciwko temu, żebym sobie tutaj zapalił?

Pomieszczenie wypełnia się wstrętnym dymem papierosowym.

Na terenie całego komisariatu obowiązuje zakaz palenia, ale Johan nie potrafił powiedzieć nie. Nie chce wyglądać

100 w oczach tego twardziela jak jakiś dupek ze słabymi płucami.

Dlaczego w ogóle się przejmuję, co on o mnie myśli, zastanawia się Johan.

Ale się przejmuję.

W roztertaniu przeglądają kilka teczek. Poprosili o dodatkowe monitory i klawiaturę z działu technicznego, żeby mogli przeglądać dokumenty z twardego dysku Peterssona w tym pokoju.

Od czego zacząć?

Nie mam pojęcia.

Waldemar myśli to samo, mówi:

- Kurwa, ile tego jest. Musimy dostać jakąś pomoc. I to będą dane finansowe, a ja, szczerze mówiąc, nie mam o tym zielonego pojęcia. Znasz się na tym?

Johan kręci głową.

- Nie za bardzo.

- Musimy tu sprowadzić kogoś z przestępstw gospodarczych.

-1 będzie lepiej, jeśli najpierw porządnie poszukamy w Internecie. Zobaczmy, czy natrafimy na coś podejrzanego. Tak jak te jego sprawy z Goldmanem.

Waldemar upuszcza na podłogę jakąś czarną teczkę. Przeklina, schylając się po nią i odkłada ją na pustą półkę na samej górze.

Papiery, papiery, papiery, myśli Johan.

Zycie adwokata, specjalisty od prawa handlowego.

Jakby był producentem papieru.

Jakby potajemnie był przestępcą? Człowiek nie może mieć takich znajomych jak Goldman i się przy tym nie pobrudzić. A może jednak?

1 278 989 trafień w Google na hasło „Jerry Petersson”. Może tysiąc z nich dotyczy tego Jerry'ego Peterssona. W kilku miejscach pojawia się nazwa jego firmy w Sztokholmie. Petersson Advokatbyrå AB.

Johan sprawdził szybko ostatnie sprawozdania roczne. Wygląda na to, że Petersson pracował sam, nie miał ani jednego pracownika, nawet sekretarki. Nazwiska rewidentów, 101

ale przecież nie musiał się z nimi spotykać osobiście. Nie ma żadnych sprawozdań rocznych dla kancelarii adwokackiej Peterssona, odkąd kupił Skogsa, są tylko dokumenty świadczące o tym, że zawiesił działalność firmy. Równocześnie założył nową spółkę Rom Productions, żeby prowadzić zamek i posiadłość Skogsa. Johan przejrzał je bardzo pobieżnie, ale przy swoich ograniczonych kompetencjach w zakresie księgowości nie zauważył niczego niezwykłego.

Całkiem sporo trafień, myśli Johan, próbując nie zwracać uwagi na kwaśny, przesycony dymem i kawą oddech Waldemara, który czuje na uchu za każdym razem, kiedy kolega wypuszcza powietrze.

Siedzą na stanowisku Johana, w otwartym biurze, przy jego komputerze, chcieli wydostać się z tej celi.

Wiele z tych trafień dotyczy jakiegoś siedemnastoletniego golfisty z Arboga.

Niektóre łączą Peterssona z Goldmanem. Artykuły z „Da-gens Industri”, „Veckans Affarer”, „SvD Naringsliv”. Gdy Goldman się ukrywał, Petersson był chyba jego pełnomocnikiem i pośrednikiem w kontaktach z władzami i mediami.

Jeszcze parę trafień w związku z interesami. Ale żadnych historii przykuwających uwagę, same nudne, z pozoru całkiem normalne umowy biznesowe.

A potem pojawia się nazwisko Jerry'ego Peterssona w związku z tą spółką informatyczną, która została sprzedana Microsoftowi na początku 2002. Petersson podobno był jednym z tych, którzy zainwestowali w spółkę, i w związku z jej sprzedażą zgarnął niemal dwieście pięćdziesiąt milionów koron.

Johan gwizdże pod nosem.

Waldemar wzdycha:

- A niech to diabli.

Praca prawnika zrobiła z ciebie dzianego gościa, myśli Johan, ale rany, ta sprawa zrobiła z ciebie naprawdę śmierdzącego bogacza.

Czytają o spółce.

Nie ma nic o żadnych rozłamach. Wydaje się, że wszyst-102 ko przebiegło całkowicie prawidłowo. Żadnych dziwnych

okoliczności, tylko mnóstwo nowych, szczęśliwych multimilionerów.

I znów Goldman.

Według artykułu sprzed roku, kiedy to jego przestępstwo uległo przedawnieniu, mieszkał na Teneryfie. W artykule są zdjęcia jakiegoś tęgawego, przypominającego ropuchę mężczyzny z ciemnymi włosami i w okularach przeciwsłonecznych. Siedzi za sterem dużej sportowej łodzi w zalanej słońcem przystani.

- Od tego powinniśmy zacząć - mówi Johan.

- Tak zrobimy - odpowiada Waldemar. - Ale według mnie powinniśmy też posłuchać głosu ulicy.

Sven Sjóman chodzi w tę i z powrotem po swoim biurze, w takich chwilach niemal brakuje mu dużego brzucha, tego przyjemnego, wspomagającego myślenie zaokrąglenia, o które można oprzeć splecione dłonie. Ale pod beżową koszulą i brązową marynarką prawie nic nie ma.

Przy jego biurku stoi Karim Akbar. Przed chwilą dzwonił do Sztokholmu i prosił o wsparcie z Wydziału do spraw Przestępczości Gospodarczej.

Konferencja prasowa zaczyna się za dwadzieścia minut.

Właśnie dostali wstępny raport od Karin.

Obdukcja Jerry'ego Peterssona wykazała, że śmierć nastąpiła wskutek uderzenia w kark jakimś tępym przedmiotem, być może kamieniem. Rany klute w tułowiu, w liczbie czterdziestu, zostały najprawdopodobniej zadane po śmierci Peterssona lub gdy już stracił przytomność po uderzeniu w głowę.

W płucach nie było wody, więc z całą pewnością był martwy, kiedy ciało wylądowało w fosie. Sądząc po stanie zwłok, śmierć nastąpiła między czwartą a wpół do siódmej rano. Nie leżał w wodzie dłużej niż cztery godziny. Jediną możliwą przyczyną śmierci było morderstwo. Sprawcą mógł być mąż czyżna lub kobieta, dźgnięcia nożem były głębokie, ale nie tak głębokie, by nie mogła ich zadać kobieta. Sądząc po umiejscowieniu i kącie zadanych ran, sprawca był praworęczny.

Badanie kryminologiczne samochodu Peterssona nie zostało jeszcze zakończone, ale poszukiwania na zamkowym wzgórzu nic nie dały. Deszcz zmył wszelkie ewentualne ślady.

W zamku znaleziono tysiące różnych odcisków palców. Wiele z nich mogło mieć kilkadziesiąt lat, lecz nigdzie nie natrafiono na żaden ślad zbrodni. Przedmioty należące do ofiary wydawały się nienaruszone. A więc nic nie wskazuje na morderstwo na tle rabunkowym. Zamkowa kaplica i pozostałe budynki również były czyste.

Fosę należało opróżnić w poszukiwaniu narzędzia zbrodni, ponieważ nurkom nie udało się niczego znaleźć w szlamie na dnie. Z początku Sven martwił się rybami, ale doszedł do wniosku, że trzeba je poświęcić.

- Jak to rozegrasz? Sven

patrzy na Karima.

- Powiem, jak jest. Nie podam niektórych szczegółów.

- O związku z Goldmanem?

- Tego już się sami dowiedzieli. „Corren” pisze o tym na swojej stronie internetowej. I jest tu TV4 Riks. Możemy się spodziewać kolejnych. Narobili pieprzonego szumu.

Potem Sven widzi twarz Malin. Tam, pod zamkiem, wydawała się tak wykończona, jak jeszcze nigdy dotąd. Zaczerwieniona, nabrzmiała twarz, niemal stara. Pewnie chłała przez całą noc. Czy coś się stało? Z Tove? Obwinia się o to, co się wydarzyło w Finspangu zeszłej jesieni. A może chodzi o nią i o Jannego? Wygląda na to, że nie jest za dobrze.

- Kurwa - mówi po chwili Sven. - Dlaczego mam wrażenie, że nasze kłopoty się dopiero zaczynają?

Dórje Svard stoi na deszczu w swoim ogrodzie w Tornhagen, ubrany w chabrowy płaszcz przeciwdeszczowy. Malin widzi z samochodu, jak unosi rękę i rzuca patyk pomiędzy jabłonie, w stronę pomalowanego na czerwono budynku psiarni. Sierść dwóch pięknych owczarków błyszczy od wilgoci, gdy biegną za patykiem, walczą o niego dla zabawy, obnażając ostre zęby.

Bórje jest wysoki, jego woskowane wąsy opadają w dół, ku ziemi.

Zeke zatrzymuje się przed bramą, parkuje za niebieskim wozem z domu opieki dla przewlekle chorych. Beagle Jer-ry'ego Peterssona zrywa się na tylnym siedzeniu, nie szczeka, tylko patrzy z wyczekiwaniem na psy w ogrodzie.

Bórje patrzy w ich stronę. Macha im ręką na powitanie, ale pozostaje na swoim miejscu pośrodku ogrodu.

Mały, jednopiętrowy dom jest pomalowany na biało i zadbane. Żona Bórjego, Anna, nie pozwoliłaby, żeby było inaczej, choć teraz jest tak słaba, że nie może już nawet oddychać o własnych siłach. Choroba zniszczyła włókna nerwowe odpowiedzialne za pracę płuc, i teraz Anna żyje w pożyczonym czasie. Ma pięćdziesiąt lat.

Zostawiają psa w samochodzie i gdy otwierają bramę, owczarki rzucają się w ich stronę.

Nie bronią posesji, lecz biegną im na powitanie, obwąchują ich i liżą, a potem wracają do ogrodu, nie zwracając uwagi na beagle'a.

Zeke i Malin podchodzą do Bórze. Ściskają jego mokrą dłoń.

- Co tam u was? - pyta Zeke.

Bórze kręci głową, spogląda w stronę domu.

- Nikomu nie życzę tego, przez co przechodzi.

- Aż tak źle? - pyta Malin.

- W tej chwili zajmują się nią pielęgniarki. Przyjeżdżają cztery razy na dobę. Poza tym radzimy sobie sami.

- Myślisz, że miałyby ochotę się z nami zobaczyć?

- Nie - mówi Bórze. - Ledwie znosi moje towarzystwo. Widzę, że macie w wozie psa? Raczej nie twój, Fors?

Malin opowiada, co się stało, czyj to pies, że może mógłby się nim na razie zająć, póki się nie dowiedzą, czy nie ma jakiegoś krewnego albo kogoś, kto by chciał go wziąć.

Bórze się uśmiecha. To uśmiech, który szybko przełamuje kolejne warstwy zmęczenia, smutku, jakby wzięty na kredyt.

- Suka?

- Nie, pies - mówi Zeke.

- To wszystko będzie dobrze.

Bórze idzie w stronę wozu, a pies podskakuje na tylnym siedzeniu. Parę minut później stoi przy Bórze, jakby na baczność, a owczarki obwąchują go po całym ciele.

- Wygląda na to, że czuje się tu jak w domu - stwierdza Malin. - Tak po prostu.

- Pracujcie dalej, a ja się zajmę psem. Jak się wabi?

- Nie mam pojęcia. Chyba możesz na niego mówić Jerry?

-Wtedy wszystko mu się naprawdę pomiesza - mówi

Bórze.

- Zaraz jedziemy dalej - stwierdza Zeke. Bórze kiwa głową.

- Naprawdę się cieszę, że wpadliście.

- Dbajcie o siebie - mówi Malin i odwraca się.

Komórka dzwoni dokładnie kwadrans po drugiej, gdy Malin i Zeke parkują samochód przy pustym placu autobusowym.

106 Niewiele zostało ze starego dworca, który mieścił się na pla-

CU od niepamiętnych czasów. Teraz jest tu parking otoczony domami z różnych epok. Brzydkie budy z lat sześćdziesiąte h z szarymi fasadami z blachy, zadbane domy z przełomu wieków, z czarnymi, przypominającymi szkielety drzewami I radgardsforeningen w tle.

Stąd już niedaleko do mieszkania rodziców. Wilgotne, ciemne pokoje, gdzie od lat już nikt nie mieszka. Mieszkanie jest pretensjonalnie wielkie, a jednak nie jest prawdziwym domem. Po co je trzymają? Żeby mama mogła powiedzieć swo-i ni przyjaciółkom z Teneryfy, że mają mieszkanie w mieście? Ich twarze zaczynają blaknąć w mojej pamięci, myśli Malin, gdy telefon dzwoni jeszcze raz. Szczupłe policzki i spiczasty nos mamy, zmarszczki od śmiechu wokół ust taty i jego gładkie czoło.

Ich cicha miłość. Układ. Tak jak mój i Jannego? Zapomniana miłość, która mieszka gdzieś głęboko w mojej pamięci, w jakimś pokoju, do którego nie zdążyliśmy jeszcze zamknąć drzwi.

Kwiaty, o których myślą, że jeszcze żyją.

Wyschnięte.

Nie żyje już ani jeden pieprzony kwiatek, ale czego oczekują, skoro nie byli w domu od ponad dwóch lat?

Wyławia komórkę z kieszeni goretexsowej kurtki.

Słyszysz, jak deszcz bębni w dach wozu. Zeke czeka obok.

Numer Tove na wyświetlaczu.

Co mam jej powiedzieć? Będzie smutna, wystraszona?

Jak z nią rozmawiać, żeby Zeke niczego nie zrozumiał?

Domyśli się. Wyczuwa mnie aż za dobrze.

- Tove! Cześć. Widziałam, że dzwoniłaś.

Cisza po drugiej stronie.

- Wiem, że wczoraj to dziwnie wyszło i powinnam była od-dzwonić, ale coś się stało i musiałam pracować. Jest tam tata?

Uderzyłam go, myśli Malin. Uderzyłam go.

-Jestem w szkole - słyszysz w końcu głos córki. Nie jest smutna ani wystraszona, brzmi prawie tak, jakby była zła. -Jak chcesz rozmawiać z tatą, to do niego zadzwoń.

-No właśnie, jesteś w szkole. Mogę sama do niego za-

dzwonić, jeśli będę czegoś potrzebować. Jeśli masz ochotę, to przyjedź dziś wieczorem do miasta, zjemy sobie jakiś obiad, dobrze?

Tove wzdycha.

- Jadę do domu, do taty.

- A więc chcesz jechać do taty? -

Tak.

Tove znów milczy. Tak jakby chciała o coś zapytać, ale o co?

- Zrobisz, jak zechcesz, Tove - mówi Malin i wie, że właśnie tego nie powinna mówić, powinna powiedzieć coś w stylu: wszystko się ułoży, odbiorę cię po szkole, mocno cię przytulę, poprawię się, jak się czujesz kochana córeczko...

- Jak się czujesz, mammo?

- Jak się czuję?

- Nieważne. Muszę kończyć. Mam teraz zajęcia.

- Dobrze, na razie. Pogadamy później. Buziaki.

Deszcz bębni o dach.

Zeke patrzy na nią ze współczuciem. Wie wszystko, dokładnie wszystko.

- Więc znów mieszkasz w mieście? Tak sobie pomyślałem, kiedy cię odbierałem dziś rano.

- Miło jest wrócić do domu.

- Nie bądź dla siebie taka surowa, Malin. Jesteśmy tylko ludźmi.

Tove kończy połączenie i patrzy na kolegów przechodzących pospiesznie szkolnym korytarzem. Widzi, jak wysoki sufit i przyćmione światło sączące się przez sklezione okna z zalanego deszczem świata sprawia, że uczniowie wydają się mniejsi, jacyś tacy bezbronni.

Cholerna mama.

W każdym razie mogła oddzwonić, jej powrót do domu chyba w ogóle nie wchodzi w rachubę. Tove znów czuje narastający ból w żołądku, pod sercem, niemal nie do zniesienia. Mama mówiła zdawkowo i rzeczowo, prawie tak, jakby chciała jak najszybciej skończyć rozmowę, nawet nie zapytała, jak

się czuje. Po co w ogóle do niej dzwoniła? Pewnie chce tylko chlać ten swój pieprzony alkohol.

Wiem, dlaczego zadzwoniłam.

Chcę, żeby wróciła do domu. Żeby oboje stali w kuchni i się obejmowali, i żebym mogła ich tak zobaczyć.

Nie myśl już o tym, Tove.

Udaje, że stuka się komórką w głowę.

Nie myśl o tym.

Jakieś dwadzieścia metrów dalej trzech większych chłopaków staje w kręgu i otacza mniejszego, grubego. Tove wie, kim on jest. Irakijczyk, który ledwie mówi po szwedzku i nad którym ci wielcy uwielbiają się znęcać. Pieprzone tchórze.

Chce wstać, pobiec tam i kazać im przestać. Ale są wielcy, o wiele więksi niż ona.

Mama wydawała się rozczarowana, gdy powiedziała jej, że jedzie do taty. Tove miała nadzieję, że dzięki temu ona też będzie chciała przyjechać, ale gdzieś w głębi serca wie, że w świecie dorosłych tak to nie działa, że tam wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane.

Teraz go biją.

Ma na imię Abbas.

Tove odkłada długopis i notes na podłodze przy szafce. Przeciska się przez grupkę uczniów w stronę trzech prześladowców. Popycha najwyższego z nich, krzyczy: „Możecie się chyba wyżywać na kimś waszego wzrostu, co?“, a Abbas teraz płacze, Tove to widzi, i siła w jej głosie musiała zaskoczyć, wystraszyć tych głupich, pieprzonych gości, bo teraz się cofają gapią się na nią. „Spadajcie“, krzyczy jeszcze raz, a oni patrzą na nią jakby była jakimś niebezpiecznym zwierzęciem, a wtedy do Tove dociera, dlaczego się jej boją musieli się dowiedzieć o tym, co się stało w Finspangu, przez co przeszła, i dlatego czują do niej respekt.

Kretyni, myśli. A potem przytula Abbasa, jest niski, a jego ciało jest miękkie, i wyobraża sobie, że on jest mamą i że potrafi ją pocieszyć, przytulając ją i obiecując, że wszystko będzie dobrze, że od teraz już wszystko będzie dobrze.

Mieszkanie Axela Fagelsjo przy Drottninggatan jest urządzone z okazałym przepychem, używając określenia agentów nieruchomości, myśli Malin. Jednak przepych tego mieszkania to zaledwie nikły ułamek tego, co można zobaczyć w zamku Skogsa.

Boazeria i orientalne, lśniące, gęsto tkane dywany o wymyślnych wzorach, od których znów zaczyna ją mocniej boleć głowa. Autentyczne i drogie, zupełnie inne niż te tanie dywany z wyprzedaży, które leżą na podłodze w mieszkaniu rodziców. Wytarta skóra foteli połyskuje w świetle kryształowych żyrandoli i kandelabrow.

I mężczyzna przed nimi.

Siedzi w skórzanym fotelu, z dopalającym się papierosem w prawej ręce.

Musi być po siedemdziesiątce, myśli Malin. I praworęczny.

Jest uosobieniem godności i powagi i Malin próbuje się uspokoić, nie przejść do defensywy, tak jak zawsze robi, gdy spotyka ludzi stojących w hierarchii społecznej wyżej, niż jej kiedykolwiek uda się dotrzeć.

To wszystko wciąż jest żywe.

Być może socjaldemokratom udało się w pewnym stopniu stworzyć w tym kraju zewnętrzne pozory równości, ale ta zewnętrzna warstwa jest cienka, przezroczysta i fałszywa.

Nad boazerią wiszą rzędem portrety przodków hrabiego Axela Fagelsjo. Ludzie władzy, o bystrych, przenikliwych oczach. Wielu z nich było wojownikami.

Mówią one o tym, że Axel Fagelsjo uważa się za lepszego od nas, wartego więcej niż inni. A może to tylko moje uprzedzenia? - myśli Malin.

W Szwecji Anno Domini 2008 jest pewna różnica między kimś a byle kim. Być może większa niż kiedykolwiek wcześniej, ponieważ istnieje rzekoma wola polityczna, by stworzyć błękitny blask równości, nieprawdziwy połysk, zupełnie jakby mógł zacząć świecić na zielono od pieniędzy, nawet nad życiem ubogich.

Niebiescy* twierdzą, że jesteśmy warci tyle samo. Że wszyst-

kim ma się powodzić równie dobrze. A potem to powtarzają. I wtedy to się staje prawdą, mimo że uprawiają politykę, dzięki której ci, co mają pieniądze w banku, stają się coraz bogatsi mimo kryzysu.

Blask kłamstwa unosi się nad całym społeczeństwem, myśli Malin.

I właśnie w tym blasku rodzi się uczucie, że jest się oszukiwanym, negowanym i umniejszanym. Być może właśnie to czuję gdzieś w głębi. Deptana w taki sposób, że nawet tego nie rozumiem.

Z natury pozbawiona głosu.

A gdy się nie ma ani głosu, ani nikogo, kto chciałby nas wysłuchać, wówczas u niektórych rodzi się przemoc. Widziałam to już tysiąc razy.

Malin patrzy na portrety w salonie Axela Fagelsjő, a potem na brzuchatego hrabiego o zaczerwienionych policzkach, z tym napuszonym, wyrażającym pewność siebie uśmiechem.

Nowe pieniądze, takie jak te, które miał Petersson. I stare, takie jak u Fagelsjő. Czy istnieje właściwie jakaś różnica? I czego szukają dziedziczne przywileje w nowoczesnym społeczeństwie?

- To bardzo miło, że zgodził się pan nas przyjąć - mówi Malin, sadwiąc się w niewiarygodnie wygodnym skórzanym fotelu.

Axel Fagelsjő gasi papierosa i uśmiecha się. Jego uśmiech jest teraz rzeczywiście przyjazny, życzy nam dobrze, myśli Malin, ale przy tych wszystkich jego przywilejach chyba może sobie na to pozwolić?

- Oczywiście, że państwa przyjmę. Rozumiem, dlaczego tu jesteście. Słyszałem w radiu o Peterssonie i wiedziałem, że wasze przybycie jest tylko kwestią czasu.

Zeke siada obok Malin, czujny, choć nawet on jest pod wrażeniem dominującej obecności starego.

-Tak, mamy powody przypuszczać, że został zamordowany. A w takiej sytuacji to naturalne, że chcemy zadać kilka pytań - mówi.

- Jestem do państwa dyspozycji.

Hrabia pochyla się, tak jakby chciał okazać zainteresowanie.

- Po pierwsze, co pan robił dzisiejszej nocy i rano? - pyta

- Malin.

- Wczoraj wieczorem byłem u mojej córki Katariny na herbacie.

Potem, koło dziesiątej, wróciłem tu, do domu.

- A później?

- Byłem w domu, tak jak powiedziałem.

- Czy ktoś może to potwierdzić?

- Od śmierci mojej żony mieszkam sam.

- Plotka głosi - mówi Zeke - że ród zbankrutował i to dlatego był pan zmuszony sprzedać Skogsa Peterssonowi.

- A kto rozgłasza takie plotki?

Oczy Axela Fagelsjő nagle wypełniają się złością, ale to udawana złość, myśli Malin: nie ma sensu ukrywać czegoś, o czym wszyscy wiedzą.

- Tego nie mogę powiedzieć - odpowiada Zeke.

- To tylko pogłoska - stwierdza Fagelsjő. - To, co napisali w „Corren”, to były brednie. Sprzedaliśmy zamek, bo przyszła już na to pora, odłużył swoje jako siedziba rodu. Teraz nadeszły nowe czasy. Czas po prostu dogonił nasz styl życia. Fredrik pracuje w Óstgótabanken, Katarina zajmuje się sztuką. Nie chcą uprawiać ziemi.

Kłamiesz, myśli Malin. A potem przypomina sobie niedawną rozmowę z Tove i robi jej się niedobrze na myśl o tym, że wbrew woli potraktowała ją niemal jak rozmowę służbową, że nie potrafiła się przemóc i powiedzieć tego, co należało powiedzieć. Jak możesz, Fors? Jak możesz?

-A więc nie doszło do żadnego podziału ani rozłamu? -pyta hrabiego. - Nie było żadnych problemów?

Axel Fagelsjő nie odpowiada na pytanie, zamiast tego ciągnie:

-Nigdy nie spotkałem się z Peterssonem w związku ze sprzedażą. Załatwiali to adwokaci, ale odniosłem wrażenie, że był jednym z tych biznesowych karłów, którzy się upierają, żeby mieszkać w zamku. Nie miał najmniejszego pojęcia, jakich to wymaga od człowieka nakładów pracy, niezależnie od tego, ile się ma pieniędzy na wynajmowanie ludzi.

- Dobrze zapłacił?

- Tego nie mogę powiedzieć.

Axel Fagelsjón uśmiecha się do swoich słów, a Malin nie potrafi powiedzieć, czy świadomie ironizuje i przedrzeźnia Ze-kego czy nie.

-Nie potrafię pojąć, jakie znaczenie dla śledztwa może mieć cena sprzedaży.

Malin kiwa głową.

O cenę można się dowiedzieć, jeżeli to będzie miało jakieś znaczenie.

- Przepisał pan zamek na swojego syna?

- Nie. Był wciąż w moim posiadaniu.

- Sprzedaż musiała być dla pana trudna - mówi Malin. -Pańscy przodkowie mieszkali tam przecież od wielu stuleci.

-Nadeszła na to pora, pani komisarz Fors. Nic poza tym.

-A pańskie dzieci? Nie podeszły do sprzedaży zamku emocjonalnie?

-Ani trochę. Cieszyły się z tych pieniędzy. Próbowałem przecież sprawić, by osiadły na zamku, ale to im nie pasowało.

- Sprawić, by osiadły?

- Tak. Chciałem, żeby przejęły prowadzenie posiadłości, ale nie były zainteresowane.

- Dobrze się panu tutaj mieszka? - pyta Zeke i rozgląda się po przestronnym mieszkaniu.

- Tak, dobrze. Mieszkam tu, od kiedy sprzedałem zamek. Czuję się tutaj tak dobrze, że chciałbym teraz, by zostawiono mnie w spokoju, jeżeli nie macie państwo dalszych pytań.

- Jakim samochodem pan jeździ?

- Mam dwa. Czarnego mercedesa i czerwoną toyotę SUV.

- Na razie to wszystko - mówi Zeke, wstając. - Wie pan, gdzie możemy znaleźć pańskie dzieci?

- Zakładam, że macie państwo ich numery telefonu. Proszę do nich zadzwonić. Nie wiem, gdzie są w tej chwili.

W przedpokoju uwagę Malin przykuwa para czarnych, wysokich gumiaków. To, że ziemia na nich jeszcze nie wyschła.

- Chodził pan po lesie? - pyta hrabiego, który odprowadza ich do drzwi.

- Nie. Tylko tu, po Tradgardsföreningen. Straszne tu błoto o tej porze roku.

Gdy drzwi mieszkania się zamykają, Axel Fagelsjo przechodzi do korytarza łączącego kuchnię z jadalnią.

Bierze do ręki telefon. Wybiera numer, który z wielkim wysiłkiem wyrył sobie w pamięci. Czeką, aż ktoś odbierze. Myśli o instrukcjach, jakich ma udzielić, do jakiego stopnia jasno i jednoznacznie będzie się musiał wyrażać, żeby dzieci zrozumiały. Myśli: Bettina. Tak bym chciał, żebyś tu teraz była. Moglibyśmy razem zająć się tym wszystkim.

- W najlepszym ze światów - mówi Zeke, gdy idą do samochodu.

- Co proszę?

- Żyje albo chciałby żyć w najlepszym ze światów.

- Okłamuje nas co do sprzedaży, tyle wiadomo na pewno. Ciekawe dlaczego? Chyba wszyscy wiedzą, że zbankrutowali. Pisali nawet o tym w „Corren”.

Zeke kiwa głową.

- Widziałaś, jak zacisnął pięści, kiedy zapytałaś go o sprzedaż? Wyglądał, jakby ledwie panował nad wściekłością.

-Widziałam - mówi Malin, otwierając drzwi od strony pasażera, i myśli o tym wrażeniu, które odniosła, że Axel Fagelsjo udawał złość. Dlaczego? - myśli.

- Musimy kopać dalej - stwierdza Zeke i patrzy na Malin, która wygląda tak, jakby w każdej chwili mogła zasnąć albo zacząć krzyczeć, żeby dali jej drinka.

Muszę pogadać ze Svenem. Stacza się na samo dno.

- Musimy mieć nadzieję, że to właśnie robią w tej chwili Ekenberg i Johan, kopią dalej.

-1 że Karim jak najlepiej wykorzysta błyski fleszy - dodaje Zeke.

Karim Akbar wręcz chłonie błyski fleszy, jego mózg pracuje, gdy reporterzy zarzucają go gradem agresywnych pytań.

-Tak, został zamordowany. Uderzony tępym przedmiotem w tył głowy. I prawdopodobnie wielokrotnie pchnięty nożem w tułów.

- Nie, nie mamy narzędzia zbrodni. Nie mamy noża.

- W tej chwili nurkowie przeszukują fosę - kłamie. Nurkowie skończyli już pracę. - Być może ją osuszamy - dodaje. Tępo woda jest już spuszczone. Jego drobne rozmijanie się z prawdą jest głupie, dziennikarze mogą łatwo sprawdzić fosę, ale Karim nie potrafi się powstrzymać, chce pokazać tym hienom, kto tu dyryguje.

-Na tę chwilę nie mamy żadnego podejrzanego. Pracujemy całkowicie bezstronnie i niczego z góry nie zakładamy.

Przed nim zbiorowisko szarych typków, w większości niechlujnie ubranych, tak jak nakazuje stereotyp dziennikarza. Daniel Hógfeldt stanowi wyjątek. Elegancka skórzana kurtka, porządnie wyprasowana czarna koszula.

Karim potrafi odpowiadać na pytania i równocześnie myśleć o czymś innym, robił to już tak wiele razy.

Czy pora już kończyć?

Kiedy włączy się autopilot?

Kiedy człowiek zaczyna się bawić poważnymi sprawami?

Widzi samego siebie, stoi tu niczym przebiegły, zaprawiony rzecznik prasowy Białego Domu, który spogląda na dzienni- 115

karzy odpowiada wymijająco na ich pytania i przez cały czas robi wszystko po swojej myśli.

- Tak, ma pan rację. Wielu ludzi mogło mieć powody do niezadowolenia z poczynań Jerry'ego Peterssona. Szukamy też w jego przeszłości.

- A Goldman? Mówił pan...

- Pracujemy całkowicie bezstronnie i w tej sytuacji niczego z góry nie zakładamy.

- Szukamy ludzi, którzy mogli zauważyć coś interesującego w nocy z...

Waldemar Ekenberg siedzi pochylony nad stołem w pokoju zebrań.

Czyta zawartość jednej z teczek poświęconych Goldmanowi. Johan Jakobsson garbi się po drugiej stronie stołu, obok technika, który naprawia coś przy monitorze.

- Mam tu zanotowaną ulicę, numer domu i obok jakiś numer. Vistamar, trzydzieści cztery. Do jakiegoś J.G. - mówi Waldemar.

- To musi być Jochen Goldman.

- Wygląda, jakby notatka była sprzed roku.

- Co w niej jest?

- Cyfry, jakaś spółka.

- Do jakiego kraju to kierunkowy?

- Trzydzieści cztery.

- To może być na Teneryfę, jeśli wciąż tam mieszka. Vista-mar.

Brzmi zdecydowanie po hiszpańsku. Mam zadzwonić?

- Przecież chcemy z nim pogadać.

Johan odchyła się do tyłu, sięga po telefon, dzwoni. Podsuwa słuchawkę Waldemarowi.

- Nikt nie odbiera, ale w każdym razie numer działa. Chyba nie ma automatycznej sekretarki.

-A myślałeś, że będzie miał? Zadzwonimy jeszcze raz później.

- Rodzice Malin mieszkają na Teneryfie - mówi Johan.

- Cholernie tam ciepło.

- Może powinniśmy pozwolić Malin przeprowadzić tę rozmowę?
- Chcesz powiedzieć, że to ona powinna dzwonić, dlatego *te* tam mieszkają jej rodzice?

Johan kręci głową.

- Powinieneś znać ją już na tyle, by wiedzieć, że będzie na mis zła. Takie zbiegi okoliczności są dla niej ważne.

-I pewnie jeszcze wierzy w duchy - mówi Waldemar.

- Wstrzymaj się z tą rozmową. Niech ona to zrobi. Jeżeli to w ogóle jest numer Jochena Goldmana.

Waldemar zamyka teczkę.

- Niewiele rozumiem z tych wszystkich liczb i w ogóle /. tego wszystkiego. Kiedy zjawi się ten gość z przestępczości gospodarczej?

Jakiś policjant, nie wiedzą jeszcze kto, ma przyjechać pociągiem następnego ranka.

- Już jutro - mówi Johan.

Waldemar kiwa głową.

Ostgotabanken na rogu Storgatan i S:t Larsgatan. Rzut kamieniem od mieszkania Malin przy Agatan, ale te dwa budynki nie mogłyby się bardziej różnić. Dom Malin jest w stylu późnego funkcjonalizmu z lat sześćdziesiątych, z niskimi sufitami i plastikowymi gzymsami, wstawionymi w połowie lat siedemdziesiątych. Ostgotabanken to wystawna secesyjna budowla z brązowego kamienia, o okazałych wnętrzach.

Deszcz pada tak samo na wszystkie budynki, myśli Malin, otwierając ciężkie drzwi i wchodząc do dużej sali wyłożonej lśniąącym marmurem, która na pewno ma co najmniej dziesięć metrów wysokości. Recepcja prowadząca do biur znajduje się na lewo od kas, które ledwie widać zza grubego pancernego szkła.

Zeke i Malin dzwoniли do Fredrika Fagelsjő na komórkę, .ile nikt nie odebrał. Dzwonili na jego numer domowy, ale tam leż nikt nie podniósł słuchawki.

- Pojedziemy do banku i sprawdzimy, czy tam jest - stwierdziła Malin, gdy odjeżdżali spod domu Axela Fagelsjón, i teraz rudowłosa recepcjonistka w wieku Malin przygląda się kaprawymi oczami jej policyjnej legitymacji.

- Tak, pracuje tutaj - mówi recepcjonistka.

- Możemy się z nim spotkać? - pyta Malin.

-Nie.

- Nie rozumie pani. Prowadzimy ważne śledztwo. Czy Fre-drik Fagelsjón...

- Spóźniliście się państwo - mówi sztywno recepcjonistka, ale w jej głosie słychać nutę triumfu.

- Wyszedł już z pracy? - pyta Zeke.

- W piątki wychodzi koło trzeciej. A o co właściwie chodzi? Już ty się nie martw, o co chodzi, myśli Malin i mówi:

- Wie pani, dokąd się udał?

- Sprawdźcie w hotelu Ekoxen. W piątki po pracy zwykle bywa tam w barze.

- Piątkowe piwko?

- Raczej piątkowy koniak - mówi recepcjonistka, teraz z ciepłym uśmiechem na ustach.

- Może nam pani opisać, jak wygląda? Żebyśmy mogli go znaleźć w barze?

- Proszę to wziąć. Jest na grupowym zdjęciu pracowników, z tyłu.

Chwilę później Malin trzyma w ręce roczne sprawozdanie. Ma wrażenie, że lśniący, ciemnoniebieski kredowy papier chce wypalić dziurę w jej dłoni.

Ekoxen.

Jeden z najbardziej ekskluzywnych hoteli w mieście, może nawet najbardziej ekskluzywny. Położony między kąpieliskiem Tinnerbacks a Tradgardsfóreningen, w podobnym do kostki cukru, otynkowanym na biało budynku. Hotelowy bar z pianistą, z okien widok na kąpielisko; i jest to zarazem jeden z najpopularniejszych lokali w mieście. Ale nie dla mnie, my-118 śli Malin. Wszystko tu jest za bardzo, kurwa, napuszone.

W zanikającej mżawce jadą powoli Klostergatan w stronę hotelu. Malin ma przed sobą zdjęcie ze sprawozdania rocznego. Sądząc na podstawie fotografii, Fredrik Fagelsjo ma około i/terdziestu lat. W szczupłej twarzy dominuje prosty, cienki nos i dwoje niespokojnych, zielonych oczu. Jest szczupły, w odróżnieniu od ojca, a klubowa marynarka, którą ma na zdjęciu, wygląda na nową. Jest lekko przygarbiony, sprawia wrażenie, jakby niemal bał się przewrócić, w jego postaci jest coś skrytego i zahukanego.

Zeke zwalnia przed wejściem do hotelu. Malin widzi we wstecznym lusterku, że boczne drzwi się otwierają i ktoś wychodzi.

Fredrik Fagelsjo.

To ty? Już wypiliśmy swój piątkowy koniaczek?

- To chyba Fagelsjo przed chwilą wyszedł, tam, z tyłu.

Czarne volvo stoi zaparkowane tuż przy tylnym wyjściu i nim Malin i Zeke mają czas zareagować, mężczyzna, którego uważają za Fredrika Fagelsjo, wsiada do samochodu i odjeżdża w przeciwną stronę.

- Do diabła - mówi Malin. - Zawracaj.

Zeke kręci kierownicą, ale w tej samej chwili jadąca z naprzeciwka ciężarówka skręca przed nimi i muszą się zatrzymać.

- Kurwa!

- Jeszcze raz dzwonię do niego na komórkę. Ciężarówka przepuszcza ich, Zeke zjeżdża na drugi pas i dodaje gazu. Pędzą w dół, w stronę Hamngatan, wyprzedzają jakiegoś nędznego białego volkswagena.

- Nie odbiera - mówi Malin, gdy skręcają w Hamngatan. - Widzę go - dodaje. - Czeka na czerwonym, tam dalej, przy McDonalddie.

- Dogonimy go i zatrzymamy - mówi Zeke. - Pokażemy, że chcemy z nim rozmawiać.

Żadnego koguta, myśli Malin, żadnej syreny. Po prostu podjedziemy z boku i pomachamy, tak jak mówią przepisy. Przecież chcemy z nim tylko pogadać.

Zeke pędzi naprzód i nim zmienia się światło, udaje im się podjechać z boku do samochodu, w którym - jak sądzą - jest 119

Fredrik Fagelsj . G odne nastolatki w McDonaldzie. Ludzie nieboj cy si  przybieraj cego na sile deszczu id  szybko przez Tradgardstorget.

Zeke tr bi, a Malin przysuwa do szyby swoj  legitymacj . Fredrik Fagelsj , teraz nie ma ju   adnych w tpliwo ci,  e to on, patrzy na Malin, na legitymacj , na jego twarzy pojawia si  wyraz paniki, gdy ona pokazuje mu gestem,  e ma si  zatrzyma  i zaczeka  na nich przy McDonaldzie.

Kiwa g ow , ale potem patrzy przed siebie, wydaje si ,  e ca ym cia em wciska peda  gazu i jego volvo wyskakuje naprz d na  o tym  wietle, skr ca przed nimi i b yskawicznie oddala si  Drottningatan.

Do diab a, my li Malin i krzyczy:

- Zwiewa! Sukinsyn zwiewa!

A Zeke kr ci kierownic , jedzie za czarnym volvo wzd u  Drottningatan, podczas gdy Malin opuszcza szyb  i wystawia koguta na dach.

- Co jest, do diab a! - wo a Zeke. -  acz si  z central  przez radio. Ka  im przys a  wi cej woz w, je li jakie s maj .

Malin milczy, chce, by Zeke m g  si  skoncentrowa  na po cigu, teraz, gdy Fredrik Fagelsj  z pr dko ci  co najmniej stu kilometr w na godzin  mija pomara czowy budynek, gdzie kiedy s mie ci  si  Riksbanken, i p dzi dalej w stron  Abisko-rondellen, obok starej perfumerii.

Co to, u diab a, jest? - my li Malin. Jeste  morderc , kt ry spanikowa ? Czemu, kurwa, uciekasz?

Malin widzi, jak sto metr w dalej jacy s przechodnie rzucaj  si  w bok, gdy Fredrik Fagelsj  przeje dza na czerwonym. Wykrzykuj c instrukcje przez radio, czuje,  e w jej  y ach pulsuje adrenalina.

- Pr ba ucieczki.  cigamy czarne... wyjazd na Bergsrondellen... wszystkie dost pne wozy na...

Zeke lawiruje zygzakiem mi dzy paroma samochodami, kt re znalaz y si  mi dzy nimi a uciekinierem. Zawrotna pr dko  , w tej chwili sto dwadzie cia na godzin , w centrum miasta, sprawia,  e znajomy  wiat za oknami znika, rozmazuje si  w dzikich liniach i kolorach. Malin czuje fa  nudo ci,

dudni jej w głowie, ale wkrótce dzięki adrenalinie wszystko staje się znów wyraźne i ostre.

- Skręca w stronę Ikea, i dalej na Vreta Kloster! - krzyczy Malin, a ryk silnika miesza się z wyciem ich syreny, tworząc dziwnie podniecającą symfonię.

Fagelsjő przejeżdża obok Ikea w Tornby, jego samochodem zarzuca.

Może być pijany, myśli Malin. Przecież wyszedł z Ekoxen. /nów czuje mdłości w żołądku, chce jej się rzygać, ale adrenalina ponownie tłumi to uczucie.

Zeke puszcza jedną ręką kierownicę, uruchamia CD i w wozie zaczyna grzmieć niemiecka muzyka chóralna z jednej z oper Wagnera.

- Do diabła! - wrzeszczy Malin.

- Tak mi się lepiej jedzie - uśmiecha się szeroko Zeke.

Fredrik Fagelsjő ma szczęście, zdążył przejechać, nim światła zmieniły się na czerwone, jedzie rondem przy E4. Mijają ostatnie budynki Skaggetorp, rejon „programu milion”, i nagle są już na wsi, otoczeni pustymi, smaganyymi wiatrem polami i małymi gospodarstwami.

Słowa z centrali są ledwie słyszalne wśród głosów chóru:

- Fredrik Fagelsjő mieszka za miastem, w lewo, patrząc w stronę Ledberg. Może jechać do domu.

On ucieka, myśli Malin.

- Goń go! - krzyczy. Czy to znaczy, że jesteśmy już blisko? Czy to Fredrik Fagelsjő zabił Jerry'ego Peterssona? Czy dlatego ucieka?

Z boku podjeżdża do nich radiowóz, ale Zeke pokazuje mu ręką do tyłu, i gdy dojeżdżają do skrzyżowania w Ledberg, Fredrik Fagelsjő z poślizgiem skręca w lewo i z trudem udaje mu się zapanować nad samochodem, a potem jeszcze bardziej przyspiesza, zmierzając w stronę niewielkiego skupiska domów, z rzadka otoczonych drzewami, jakieś dwa kilometry dalej na równinie, w kierunku jeziora Roxen.

Pot perli się na czole Zekego. Malin czuje swój krótki, pełen napięcia oddech i gdy droga znów zakręca przy grupce domów, wyciąga pistolet z kabury umocowanej pod ramieniem. 121

Duża willa z kamienia, pomalowana na żółto, stojąca w zagajniku. Prawdziwa chata dla wyższych sfer. Sto metrów dalej Fredrik Fagelsjő znów skręca, tym razem w alejkę.

Jadą za nim. Czarne volvo zatrzymuje się siedemdziesiąt metrów dalej, przed zapadającą się, pomalowaną na czerwono stodołą, otoczoną nagimi krzewami i klonami. Federik Fagelsjő wyskakuje z samochodu, biegnie w stronę stodoły i znika w środku.

Zeke hamuje tuż za volvo, radiowóz staje za nimi. Malin wyłącza CD, syrenę i światła i robi się jakoś dziwnie spokojnie.

Mówi cicho przez radio:

- Wsiadajcie, kryjcie nas, kiedy będziemy wchodzić do stodoły.

Mokry żwir i glina przed stodołą plaskają pod ich stopami. Malin patrzy w stronę budynku, czuje, jak deszcz się nasila, gdy pokonują tych parę metrów od samochodu do drzwi stodoły. Za plecami ma willę zbudowaną we włoskim stylu, z pewnością to tu mieszka Fredrik Fagelsjő. Jeśli ma rodzinę, to chyba są poza domem. Dwóch mundurowych wyciągnęło swoje SIG-sauery, kryjąc się za drzwiami samochodu - są gotowi strzelać, jeśli coś pójdzie nie tak.

Zeke obok niej, oboje trzymają broń przed sobą, gdy Malin kopniakiem otwiera drzwi stodoły, krzycząc:

- Fredrik Fagelsjő! Wiemy, że tu jesteś! Wychodź! Chcemy tylko porozmawiać.

Cisza.

Z wypełnionego wonią nawozu budynku nie dobiega żaden dźwięk.

Jeśli uciekasz, myśli Malin, to jest to najgłupsze, co możesz zrobić. Dokąd pójdziesz? Goldman. Trzymał się z dala przez dziesięć lat. Więc jak widać, można i tak. Ty jednak ukrywasz się tutaj, prawda? Czekasz na nas. Ale możesz mieć broń. Tacy jak ty na pewno mają przynajmniej broń myśliwską. Czekasz tu na nas z bronią?

Mówi sama do siebie. To pomaga jej zachować czujność, nie

dać się opanować przez strach. A teraz w ciemność, Malin. Co-
kolwiek tam czeka.

- Idę pierwszy - mówi Zeke i Malin czuje wdzięczność.
Zeke nigdy się nie uchyla, kiedy robi się gorąco.

Wchodzi do stodoły, ona za nim. Ciemno i czarno, smród
świeżego, świńskiego gnoju i starych odchodów jakichś nie-
określonych zwierząt. Światło płynące z kąta od strony pola, /eke
rusza biegiem w stronę światła, Malin za nim.

- Do diabła! - krzyczy Zeke. - Na pewno tędy zwiął.

Rzucają się biegiem do otwartych drzwi.

Jakieś sto metrów dalej polem, w deszczu i we mgle, biegnie
Fredrik Fagelsjo, ubrany w brązowe spodnie i coś, co musi być
zielonym nieprzemakalnym płaszczem. Przewraca się, wstaje, znów
biegnie, mija jakieś drzewo, na którym tkwią jeszcze liście.

- Stój, bo strzelam! - krzyczy Malin.

Tego nie powinna robić. Nie mają nic na Fredrika Fagelsjo, a
ucieczka przed policją nie jest wystarczającym powodem, żeby
strzelać.

Ale wygląda to tak, jakby z uciekającego zeszło powietrze.
Zatrzymuje się, odwraca, unosi do góry puste ręce i patrzy na nią i
na Zekego, gdy powoli zbliżają się do niego z wyciągniętą bronią.

Fredrik Fagelsjo kiwa się i zatacza.

Jesteś pijany w trupa, myśli Malin.

- Kładź się! Na ziemię! - krzyczy.

A on kładzie się na brzuchu na miękkiej glinie i Malin zatrzaskuje
kajdanki wokół jego nadgarstków, gdy wystawia ręce za plecy.
Zasrany, zielony, klasyczny płaszcz Barboura.

Od Fagelsjo śmierdzi alkoholem, ale nic nie mówi, może trudno
mu coś powiedzieć z ustami przy ziemi.

-1 na co ci to było? - pyta Malin, ale Fredrik Fagelsjo nie
odpowiada.

18

Oo to, kurwa, było?

Dłonie Zekego drżą lekko na kierownicy, gdy jadą z powrotem w stronę Linkópingu, mijając kamienice czynszowe z białej cegły w rejonie Skaggetorp i wielką fabrykę Aria w Tornby. Mijają wóz reporterski z „Corren”. Czy to Daniel prowadzi? Te pieprzone sepy są niezmordowane.

- Nie wiem - mówi Malin.

Działanie adrenaliny trochę już ustąpiło, wrócił ból głowy i niepokój, a Fredrik Fagelsjő, ewidentnie pijany, został wsadzony na tylną kanapę radiowozu. Malin nie chciała, żeby jechał ich wozem; musieli się trochę uspokoić.

Wóz Őstnytt.

- Może - ciągnie Malin - ma z tym wszystkim sporo wspólnego, pomyślał, że o tym wiemy, i dlatego chciał uciekać? A potem dotarło do niego, jakie to bezsensowne.

- A może po prostu był pijany i wpadł w panikę, kiedy próbowaliśmy go zatrzymać - mówi Zeke.

-Dowiemy się, kiedy go przesłuchamy. Bardzo możliwe, że to nasz człowiek - odpowiada Malin, ale myśli, że coś tu nie pasuje, że sprawa nie może być taka prosta. A może jednak?

Dzwoni jej komórka i widzi na wyświetlaczu numer Svena Sjómana.

- Słyszałem - mówi Sven. - Dziwne. Czy to może być on? Jak myślisz?

124 - Może. Przesłuchamy go, jak dojedziemy do komendy.

- Johan i Waldemar go przesłuchają - mówi Sven. - Wy po st.) rajcie się dotrzeć do Katariny Fagelsjő. Spróbujcie ją przy rznąć, póki głupota jej braciszka jeszcze nie wywietrzała.

Z początku Malin chce protestować, ale po chwili się odpręża. Jeśli jest ktoś, kto potrafi coś wycisnąć z Fredrika Fagelsjő, to tym kimś jest Waldemar Ekenberg.

Zatrzymany nie odezwał się ani słowem, kiedy go podnieśli i poprowadzili przez pole. Milczał, kiedy posadzili go w radiowozie.

- Dobra, tak zrobimy - mówi Malin. - Coś jeszcze?

- Niewiele nowego. Johan i Waldemar zadzwonili do paru i >sób, których nazwiska i firmy pojawiają się w dokumentach IVterssona. Ale to nic nie dało.

- Jakaś kochanka?

- Kochanki też nie ma - odpowiada Sven.

Katarina Fagelsjő odebrała telefon.

Zgodziła się z nimi spotkać, i teraz Malin i Zeke jadą drogą na Brokind, w milczeniu i przyćmionym świetle popołudnia.

Oboje próbują dojść do siebie, odzyskać spokój przed spo-I kaniem z Katarina Fagelsjő.

Mijają dzielnicę willową Hjulsbro.

W informatorze policyjnym dotyczącym sytuacji społecznej wymieniono ją jako dzielnicę wyższych sfer, ale nie mieszkają tu wyższe sfery, raczej dobrze sytuowana klasa średnia.

W Hjulsbro wille lekarzy tłoczą się obok siebie, z zewnątrz skromne, typowe domy, ale przestronne i okazałe urządzone, gdy wejdzie się do środka. To jedna z najdroższych i najbar dziej prestiżowych dzielnic w mieście, a jednak wydaje się ja kaś nędzna w porównaniu z Djursholm w Sztokholmie czy Orgryte w Goteborgu. Gdy tędy przejeżdżają, Malin rozumie tych wszystkich, którzy dorastają w miasteczku na prowincji i kiedy tylko mają okazję, przeprowadzają się do większego miasta, do świata, z którego mogą sięgnąć wyżej niż ze zwy czajnej, zasranej szwedzkiej - choćby i napuszonej - dziury na prowincji.

Sztokholm.

Gdy była w akademii policyjnej, mieszkała tam z Tove, w wynajętej z drugiej ręki kawalerce w Traneberg. Pamięta jedynie zakuwanie, odbieranie córki z przedszkola, opiekunki do dzieci znalezione w lokalnych gazetach, młode dziewczyny, które były drogie i nierzetelne, a także to, że Sztokholm miał gównem do zaferowania biednej samotnej matce. Miasto wydawało się zamknięte, tak jakby nie chciało przed nią otworzyć swoich możliwości i tajemnic, i przez cały czas uśmiechało się do niej drwiąco.

W przypadku Jerry'ego Peterssona musiało być dokładnie na odwrót.

Malin kilka razy proponowano służbę w Sztokholmie, ostatnio ubiegłego lata, gdy pojawił się wakat w wydziale kryminalnym, i szef, niejaki Kornman, osobiście się o nią ubiegał. Sam do niej zadzwonił, powiedział, że słyszał o jej pracy, i zapytał czy nie ciągnie ją na głębokie wody.

Malin podejrzewała, że potrzebowali kobiet.

Miała swoje upragnione życie z Jannem i Tove, wtedy jeszcze wszystko nie poszło w diabły. Więc odmówiła.

I teraz przeklina samą siebie. Może właśnie to by mi się przydało, zacząć od nowa? A może wielkie miasto by mnie złamało? Ale małe miasto przecież też to robi.

Albo prawie.

Mają włączone radio.

Przekonała Zekego, żeby nie słuchali jego muzyki chóralnej, i zgodził się włączyć zwyczajną plotkarską stację radiową. Właśnie przebrzmiały dźwięki *Tom bluefoam couch* Grand Ar-chives i Malin słyszy teraz ochryply głos swojej przyjaciółki, spikerki radiowej Helen Aneman.

Mówi o zamordowanym.

O Jerry'ym Peterssonie, którego, jak się wydaje, nikt nie żałuje i do którego nikt nie ma głębszych uczuć. Którego śmierć nie budzi w nikim smutku.

Ale gdzieś jest jakiś człowiek, który cię opłakuje, myśli Malin, słuchając głosu Helen, i dla tego człowieka dowiem się, co 126 się stało. Może to twój ojciec, niedługo z nim porozmawiamy.

Nie miałeś rodzeństwa, a twoja matka nie żyje. Tyle wiemy. Może jakaś kobieta, może dziecko, nawet jeśli nie twoje.

- Odszedł jeden z najbogatszych synów naszego miasta -mówi Helen. - Szybkie zyski w branży IT. Jak głoszą plotki, przyjaciel przestępców, ciekawy człowiek, o którym być może nie dowiemy się już wiele. Mniej więcej rok temu kupił Skogsa, posiadłość znanego rodu szlacheckiego Fagelsjö. Najwyraźniej Petersson nie był najlepszym dzieckiem bożym, ile nie zasłużył sobie na taki los. A co wy o tym sądzicie? Dzwońcie do nas, jeśli macie coś do powiedzenia o Jerry'emu Pe-lorssonie.

Piosenka Madonny.

American Pie.

Zeke nuci pod nosem. Może słysząc ten kawałek, myśli o Martinie w Vancouver? O swoim wnuku? A może śpiewa to Chór, do którego należy?

Minęli Hjulsbro.

Dusząca małomiasteczkowość zostaje za nimi.

Zeke dodaje gazu i samochód przyspiesza. Skręcają.

Przed sobą widzą pole golfowe w Landeryd. Gigantyczny, przypominający balon budynek, mieszczący miejski kryty driving range.

Golfowy raj w jesiennym piekle.

Tam gdzie deszcz spada z nieba jak piłki golfowe.

19

\ iłki golfowe świszczą w powietrzu pod dachem z żelaznych belek w długim na kilkaset metrów hangarze, spadają na ziemię i odbijają się wysoko.

Trzynaście stanowisk.

Dźwięk piłek odbijanych metalowymi kijami przypomina policzkowanie.

Wiaderko z pięćdziesięcioma piłkami kosztuje dwieście koron. Zapłacenie takiej sumy to żaden problem dla ludzi, których stać na członkostwo w którymś z klubów golfowych w mieście.

Puttery.

Drewniane kije.

Jerry'ego Peterssona uderzono w głowę tępym przedmiotem, ale to nie był kij golfowy, myśli Malin, gdy zbliżają się do smukłej, wysokiej postaci Katariny Fagelsjő.

„Jestem na stanowisku trzynastym. Najdalej od wejścia, przy ścianie”.

Żadnego zaskoczenia, że chcieli z nią porozmawiać, słyszała, co się stało, ale nie mogła wiedzieć, *co* właśnie zrobił jej brat.

Agresywne odbicia, przekleństwa, piłki uderzające w ściany i lecące na boki, hałas jak na pływalni, i zapach, też podobny zatęchły i wilgotny choć pozbawiony chloru.

Jak człowiek może z własnej woli spędzać tutaj popołudnie? - myśli Malin, obserwując Katarinę Fagelsjő, gdy ta bie-128 rze zamach, z pozoru lekko i elegancko. Ma silne ciało, wy-

i .i./nie widać, że traktuje życie z taką samą oczywistością jak wszyscy o jej pozycji społecznej, tak jakby mieli to w sobie od momentu, gdy otworzyli oczy na ten świat.

Katarina Fagelsjő unosi metalowy kij, celuje, a potem zwalnia ramię i kij wykonuje elegancki łuk, trafiając w piłkę umieszczoną na podstawie na sztucznej murawie.

Z pewnością ma niski handicap, myśli Malin. I trzyma kij w prawej ręce.

Katarina Fagelsjő musiała wyczuć, że się zbliżają.

Zatrzymuje się, odwraca, patrzy na nich, schodzi z niewielkiego podwyższenia, na którym stoi. Wyciąga rękę i Malin myśli, że kiedyś musiała być piękna, że nadal jest niemal piękna, z tym samym ostrym nosem jak u brata i delikatnymi kośćmi policzkowymi, ale ma za dużo zmarszczek na czole i wiele siwych włosów w sięgających do karku blond włosach.

Zmarszczki zgorzknienia. Bruzdy niezadowolenia wokół wąskich ust. Smutne oczy, pełne jakiejś dziwnej tęsknoty.

Najpierw wita się z Malin, potem z Zekem.

Pokazują legitymacje.

Katarina Fagelsjő przesuwa dłonią po czole. Malin myśli: Jest ode mnie starsza najwyżej pięć lat, może chodziła przede mną do tej samej szkoły średniej i do tej samej podstawówki co Jerry Petersson? Jeśli nie chodziła do Sigtuna albo do Lundsberg.

- Możemy to załatwić tutaj? - pyta Katarina Fagelsjő, opierając kij o podłogę. - Czy pójdziemy do restauracji?

- Możemy porozmawiać tutaj - mówi Malin. - Wie pani, dlaczego chcemy z panią rozmawiać? Nie zdążyliśmy wyjaśnić przez telefon.

- Jerry Petersson. Potrafię dodać dwa do dwóch.

-1 to, że pani brat próbował dziś przed nami uciekać. Katarina Fagelsjő otwiera usta, jej brwi szybko się unoszą, ale po paru sekundach panuje już nad sobą.

- Co takiego zrobił?

Malin opowiada o pościgu, o tym, jak jej brat próbował uciec, kiedy chcieli z nim porozmawiać, i że teraz czeka na komendzie na przesłuchanie.

- A więc wyszedł z Ekoxen - stwierdza Katarina Fagelsjó. - W takim razie musiał się bać, że aresztujecie go za jazdę po pijanemu. Miał o to sprawę w sądzie, po imprezie u znajomych trzy lata temu, i tym razem trafiłby pewnie do więzienia.

Jazda po pijanemu. To właśnie wczoraj zrobiłam, myśli Malin, lecz odrzuca od siebie tę myśl jak piłkę golfową.

- Zatrzymaliśmy go - mówi Zeke. - Był pijany.

- Może uciekał dlatego, że ma coś wspólnego z zabójstwem Jerry'ego Peterssona? - rzuca Malin i ma nadzieję, że to proste pytanie sprowokuje jakąś reakcję.

- Mój brat miałby kogoś zamordować? Wykluczone.

Świst piłek golfowych w powietrzu nasuwa Malin myśl o strzelnicy, o tym, jak brzmią kule z pistoletu lecące do tarczy. Brzmią dokładnie tak jak przed chwilą Katarina Fagelsjó, gdy powiedzieli jej o bracie.

I teraz.

Twarz kobiety jest kompletnie pozbawiona wyrazu, gdy czeka na kolejne pytanie, a Malin czuje się zmęczona od samego patrzenia na nią. Dochodzi piąta i choć Malin wie, że muszą szybko pchnąć śledztwo naprzód, chce już jechać do domu, wziąć prysznic... A potem?

Użalać się nad sobą.

Cholerne użalenie.

Użalenie w butelce.

Ból głowy minął, ale teraz ciało krzyczy o więcej, lęk jest jak pięść zaciskająca się wokół serca. Muszę załatwić mnóstwo spraw. Dam radę? I jeszcze ta kobieta przede mną, zarozumiała i zadzierająca nosa, ale z drugiej strony na swój sposób miła i otwarta. To się chyba nazywa kompetencja społeczna?

- Więc nie wierzy pani w to? - pyta Zeke.

- Mój brat jest nieszkodliwy. Może nie we wszystkim, ale na pewno nie jest zdolny do przemocy.

- Może nam pani coś o nim opowiedzieć? - pyta Zeke.

- Sam zrobi to najlepiej.

Katarina Fagelsjó wyjmuje z torby metalowy kij i przygląda mu się z uwagą. 130 - Pozwoli pani, że od razu przejdę do rzeczy - mówi Ma-

lin i myśli: Skupmy się na Katarinie Fagelsjő. - Co pani robiła ubiegłej nocy i dziś rano?

- Wczoraj wieczorem był u mnie ojciec. Piliśmy herbatę.

-Mówił, że wyszedł koło dziesiątej. Co pani robiła, kiedy wyszedł?

Katarina Fagelsjő odchrząkuje.

- Pojechałam do mojego kochanka. Ordynatora Jana Andersgrena. Może potwierdzić, że byłam u niego aż do dzisiejszego ranka.

Podaje im numer, który Zeke wprowadza bezpośrednio do swojej komórki.

- Lubię białe kitle - żartuje kobieta. - Ale powinniście wiedzieć, że spotkałam się z nim parę razy i nie planuję już zbyt wielu kolejnych.

-Dlaczego? - pyta Malin, a Katarina Fagelsjő robi minę, która mówi: A co cię to obchodzi?

- Nie wie pani? Złota zasada wszystkich romansów. Więcej niż pięć spotkań i facet może sobie zacząć wyobrażać, że to miłość.

Nie chwal mi się tutaj, że się pieprzysz z lekarzem, myśli Malin. Nie kokietuj mnie, Katarino Fagelsjő. Jestem zbyt zmęczona, żeby to znosić.

- Miała pani kiedyś do czynienia z Peterssonem? - pyta Zeke.

- Nie - odpowiada z wahaniem, a potem mówi dalej, teraz już pewnym głosem: - Tym się zajmowali Fredrik i ojciec. A o co chodzi?

- Sprzedaż zamku - mówi Malin. - Nie miała pani nic przeciwko temu?

- Nie. Przyszła już na to pora. Po prostu nadszedł czas, żeby go sprzedać. Żeby rodzina mogła pójść dalej.

Mówisz to samo co twój ojciec, myśli Malin. Powiedział ci, co masz mówić?

- A pani nie chciała go przejąć?

- Nigdy nie miałam takich ambicji.

Wokół nich wciąż świszczą piłki.

Pociski bez celu.

Pieprzony, durny sport, myśli Malin, gdy Katarina Fagelsjő poprawia pasek swoich niebieskich spodni, rozprostowuje kołnierzyk różowej bawełnianej bluzki i wsuwa kij do torby.

- Słyszeliśmy plotki, że byliście zmuszeni sprzedać zamek z powodu problemów finansowych. To prawda?

- Pani komisarz. Nasz ród istnieje od kilkuset lat. Niemal pół tysiąclecia. Niechętnie rozmawiamy o pieniądzach, ale nigdy nie mieliśmy żadnych problemów finansowych.

- Mogę zapytać, czym się pani zajmuje? - pyta Zeke.

- Nie pracuję. Po rozwodzie dałam sobie spokój. Przedtem zajmowałam się sztuką.

- Sztuką?

- Miałam galerię dziewiętnastowiecznego malarstwa. W większości artyści z Ostergötland, których prace mają przystępne ceny, tacy jak Krouthen. Ale również kosztowniejsi artyści. Słyszeliście państwo o Eugene Janssonie? Był moją specjalnością, podobnie jak obrazy duńskich romantyczek.

Malin i Zeke kręcą głowami.

- Znała pani wcześniej Jerry'ego Peterssona? -Nie.

- Rozwiodła się pani ostatnio? - pyta Malin.

- Nie, dziesięć lat temu.

- Dzieci?

Oczy Katariny Fagelsjő pochmurnieją, wygląda, jakby się zastanawiała, jakie to ma znaczenie.

- Nie - odpowiada.

- Byliście w tym samym wieku, pani i Petersson - mówi Malin. - Nie znała go pani ze szkoły średniej?

Kobieta patrzy na driving rangę.

- Chodziliśmy do Katedralskolan. On był w trzeciej klasie z moim bratem, kiedy ja chodziłam do pierwszej.

Malin i Zeke spoglądają po sobie.

- Pamiętam go - ciągnie Katarina Fagelsjő, wciąż zapatrzona na przestrzeń. - Ale nie zadawaliśmy się ze sobą. Nie należał do mojej paczki. Na pewno jednak byliśmy kiedyś na tej samej imprezie, takich rzeczy nie da się uniknąć.

132 Nie, myśli Malin. W szkole średniej krzyżowały się wszyst-

kio światy, czy człowiek tego chciał czy nie. Ludzie mogli wy-
łądować na tej samej imprezie, ale to nie znaczyło więcej, niż gdyby
dwoje nieznajomych przyszło dziś do tego samego baru. -A jaka to
była paczka? - pyta Zeke.

- Same dziewczyny.

- Więc nigdy nie znaliście się bliżej?

Katarina Fagelsjón znów na nich patrzy i wydaje się, że nagle w jej
oczach pojawia się przebłysk smutku.

- Już mówiłam - odpowiada.

- Słyszeliśmy - mówi Malin.

Wąskie usta Katariny Fagelsjón zaciskają się w cienką kreskę.

- A teraz Jerry Petersson siedzi w naszym zamku jak jakiś
pieprzony Gatsby. Pewnie niedługo też zacznie wydawać
przyjęcia? Pieprzone wielkie przyjęcia.

Nagła rozpacz w głosie i w spojrzeniu.

- Może i tam siedział jak jakiś Gatsby - rzuca Malin. - Ale
teraz leży w kostnicy w laboratorium kryminalistycznym.

Katarina Fagelsjón znów się od nich odwraca, kładzie piłkę na
podstawce, uderza w nią wściekle, a piłka niemal natychmiast odbija
w prawo.

- Jakim samochodem pani jeździ? - pyta Zeke, gdy Katari
na znów na nich patrzy.

-To moja sprawa - odpowiada Katarina Fagelsjón. - Nie
chciałabym być nieuprzejma, ale to nie powinno was interesować.

- Pozwól, że ci coś wyjaśnię - mówi Malin. - Dopóki szuka
my mordercy Jerry'ego Peterssona, interesuje nas nawet naj
mniejszy włoszek na twojej dupie.

Katarina Fagelsjón się śmieje i mówi:

-Spokojnie, pani komisarz. Spokojnie. Nie tak nerwowo. Jeżdżę
czerwoną toyotą, jeśli to takie ważne.

Malin się odwraca.

Wychodzi z golfowego piekła. Słyszy, jak Zeke dziękuje Ka-
tarinie Fagelsjón, że poświęciła im czas. Na całe szczęście nie
przeprasza za jej zachowanie.

-Bądźcie mili dla mojego brata - woła za nimi Katarina
Fagelsjón. - On jest nieszkodliwy!



- Nawet jeśli masz problemy z takimi typkami, musisz się wziąć w garść. Nie możesz się w ten sposób odzywać do ludzi. Niezależnie od tego, jak kiepsko się czujesz.

Zeke siedzi za kierownicą, upomina ją, gdy wyjeżdżają z parkingu w Landeryd. Deszcz wciąż leje i w ciemnościach zbliżającego się wieczoru Linköping wydaje się jeszcze bardziej niegościnnie. Malin ma wrażenie, że na skraju lasu, na wschodzie, widzi młode węże, które pełzają i syczą, próbują się nawzajem pożreć.

- Nie czuję się źle - mówi Malin. Po chwili kiwa głową. - Wiesz, jak to jest. Pieprzone, napuszone typki.

Wie, że złość jest sposobem na ukrycie niepewności, to podstawy psychologii dziecięcej. Wstydzi się, ma nadzieję, że Zeke nie widzi jej zarumienionych policzków.

- Ona coś ukrywa. Tak samo jak jej ojciec - mówi Zeke. - I być może brat.

- Owszem - przyznaje Malin. - Może to u nich rodzinne, bawić się prawdą.

- A może chcą nam po prostu utrudnić pracę, jak tylko się da - zastanawia się Martinsson.

Znów mijają wille w Hjulsbro i białe kamienice czynszowe z gankami po drugiej stronie drogi do Brokind. Deszcz zaczyna nad drogą, tak jakby wiatr i krople wody próbowały ze sobą związać te dwa różne światy.

- Zobaczmy po prostu, czy przesłuchanie Fredrika Fagelsjő coś da - mówi Zeke. - Pewnie zaczęli już jakiś czas temu, jak tylko trochę wytrzeźwiał.

W

skazówki zegara na ścianie w pokoju przesłuchań w piwnicy komendy w Linköpingu poruszają się bezgłośnie.

18.01

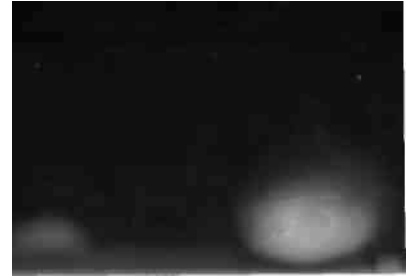
Czarnoszare ściany pokryte są dziurkowanymi, tłumiącymi dźwięk płytami, a halogenowe oświetlenie jest tak zainstalowane, by tworzyło stożki światła nad czterema przymocowanymi do podłogi krzesłami, stojącymi przy podłużnym metalowym stole. Niedawno przytwierdzili te krzesła, bo zbyt często się zdarzało, że podejrzani ciskali nimi o ściany, rozwścieczeni swoją paskudną sytuacją.

Na dłuższej ścianie jest lustro oddzielające ich od pokoju obserwacyjnego, z którego Sven Sjóman i Karim Akbar nadzorują policjantów prowadzących przesłuchanie.

Johan Jakobsson patrzy na Fredrika Fagelsjo. Badanie krwi wykazało prawie jeden promil, ale wygląda na to, że szybko wytrzeźwiał. W przyćmionym świetle jego spojrzenie po drugiej stronie stołu wydaje się przejrzyste i świadome. Waldemar Ekenberg sadowi się na krześle obok Johana, próbuje znaleźć wygodną pozycję. Fredrik Fagelsjo ma na sobie granatową klubową marynarkę i żółtą koszulę. Obok niego siedzi jego adwokat, elegancki facet o nazwisku Karl Ehrenstierna; Johan miał już z nim do czynienia przy okazji innych przesłuchań, które nigdy nic nie dały. Zobaczymy, czy tym razem uda nam się Ciebie przechytryć, myśli Johan.

Włącza mały czarny magnetofon stojący na środku stołu.

-Przesłuchanie Fredrika Fagelsjo w śledztwie w sprawie 135



morderstwa Jerry'ego Peterssona oraz w związku z innymi naruszeniami prawa. Piątek, dwudziesty czwarty października, godzina 18.04.

Jak do tej pory Fredrik Fagelsjő prawie się nie odzywał. Powiedział tylko „tak”, gdy go zapytali, czy chce, żeby podczas przesłuchania obecny był adwokat, i podał nazwisko Ehrenstierny bez żadnego numeru telefonu; pewnie uznał za oczywiste, że go znają. Potem zapytał, czy może zadzwonić do swojej żony Christiny, a Sven nie widział żadnego sensownego powodu, żeby mu odmówić. Mieli dość, żeby go aresztować za kilka drobniejszych przestępstw, ale w związku z morderstwem Jerry'ego Peterssona Fredrik Fagelsjő był *de facto* tylko nazwiskiem, które pojawiło się podczas śledztwa. To nie wystarczyło, aby przeszukać jego dom w związku ze śledztwem, ale skonfiskowali jego samochód, który teraz był badany w laboratorium kryminalistycznym.

- Zacniemy od dzisiejszych wydarzeń - mówi Johan. - Dlaczego pan uciekał, gdy policja dała panu znak, żeby się pan zatrzymał?

Fredrik Fagelsjő patrzy niespokojnie na swojego adwokata, tak jakby się zastanawiał, jak przejść przez to przesłuchanie po swojej myśli i nie wpaść w którąś z pułapek. Adwokat kiwa mu głową, żeby odpowiedział.

-Wystraszyłem się - mówi Fredrik Fagelsjő i ociera kilka kropli potu z górnej wargi. - Wiedziałem, że wypilem za dużo. I nie chciałem, żeby znów mnie złapali za prowadzenie po pijanemu, nie chciałem znów w lecie wylądować w Skan-ninge. Wpadłem w panikę i spróbowałem uciec. Tak jakbym nagle stracił zdrowy rozsądek, a potem, gdy zacząłem uciekać, tak jakby nie było już odwrotu. To było cholernie głupie. I chciałbym za to przeprosić.

- Pieprzone przeprosiny nie wystarczą - mówi Waldemar.

- Mogę prosić bez przekleństw? - wtrąca Ehrenstierna, a Waldemar zaciska zęby.

- Mógł pan pozabijać niewinnych ludzi - mówi. - Jest pan aresztowany pod zarzutem prowadzenia samochodu w stanie nietrzeźwym, utrudniania pracy policji, niezachowania

należytej ostrożności w ruchu drogowym i jeszcze z dziesięć innych rzeczy. Jest pan alkoholikiem? Ehrenstierna milczy.

- Może by się pan do tego przyznał? - mówi Waldemar.

- Nie zamierzam wam utrudniać postępowania - mówi Ligelsjő. - I nie, nie jestem alkoholikiem. Czasami tylko zdarza mi się wypić trochę za dużo. Ale to się chyba wszystkim zdarza? Wpadłem w panikę. I jestem winny jazdy po pijanemu. Ale to chyba nie jest główny powód, dla którego teraz tutaj siedzę?

- Nie - mówi Waldemar i pochyla się do przodu nad stołem. - Przede wszystkim chcemy z panem porozmawiać w związku z zabójstwem Jerry'ego Peterssona.

- Nie jest przypadkiem tak, że pan uciekał, bo myślał pan, że chcemy pana zatrzymać w związku z tym przestępstwem? -pyta Johan.

- Mój klient już odpowiedział, dlaczego uciekał, kiedy próbowaliście go zatrzymać - mówi Ehrenstierna.

- Nie wiedziałem nawet, że Petersson został zamordowany. Dowiedziałem się tego przed chwilą od adwokata.

Ehrenstierna kiwa głową.

I wtedy spojrzenie Fredrika Fagelsjő się zmienia i zaczyna mówić, nim Ehrenstierna ma czas go uciszyć.

- Coś wam powiem. Znalezliście tego pajaca martwego. Nawet zamordowanego. Mówię wam, to świetna nowina.

Jeszcze przed chwilą zmęczone ciało Fredrika Fagelsjő teraz budzi się do życia, wygląda, jakby każdy mięsień był napięty.

Nieładnie, myśli Johan i posyła Waldemarowi spojrzenie, które znaczy: „Teraz go przy ciśnij”.

Ehrenstierna kładzie rękę na ramieniu swojego klienta i mówi:

- Spokojnie, Fredrik.

- Więc chciałeś zobaczyć go martwego? - pyta Waldemar.

- Mój klient nie odpowie na to pytanie.

- Może nam pan wierzyć - mówi Johan - chcemy dla pana jak najlepiej. Jeśli nie miał pan nic wspólnego z tym morderstwem, to chcemy się o tym dowiedzieć, jeśli było inaczej, do-

pilnujemy, by w tej sytuacji zrobić, co w naszej mocy. Chyba się pan z nami zgodzi, że to było dziwne, że pan uciekał? Chce nam pan coś opowiedzieć, prawda?

- Na to pytanie mój klient też nie odpowie. Wyjaśnił już dlaczego...

- Co pan robił dziś w nocy i rano? - pyta Waldemar.

- Byłem w domu z moją żoną.

- Jest pan pewien?

- Czy ona może to potwierdzić? - naciska Johan.

- Może to potwierdzić - mówi Ehrenstierna. - Byli w Vil-la Italia przy Ledberg, tam, dokąd pojechaliście za moim klientem.

- Więc nie był pan w Skogsa - stwierdza Waldemar.

Żaden z siedzących po drugiej stronie stołu nie odpowiada.

- Mówi się, że za sprzedażą Skogsa kryły się problemy finansowe - odzywa się Johan.

- Byłem zmęczony tym gównem - mówi Fredrik Fagelsjő. - Najwyższa pora była je sprzedać. Ojciec jest za stary, a ja nie chcę się tym zajmować. Moja siostra też nie.

- Więc nie chce pan nam nic opowiedzieć o nieudanych interesach? O tym, jak nienawidzi pan tego pajaca, Jerry'ego Peterssona, który zabrał wam zamek? Którego chciał pan widzieć martwego?

W głosie Waldemara da się słyszeć poirytowanie, gdy ciska te słowa nad stołem.

- Ten cały Petersson - mówi Fredrik Fagelsjő - był dorobkiewiczem najgorszego rodzaju, który nigdy nie będzie w stanie pojąć znaczenia takiej posiadłości jak Skogsa. Ale dobrze nam zapłacił. A jeśli myślicie, że miałem z tym coś wspólnego... *Good luck!* Spróbujcie mi to udowodnić. Tak jak mówiłem, wystraszyłem się i wpadłem w panikę. Jestem gotów ponieść konsekwencje.

- Znał pan wcześniej Peterssona?

- Wiem, kim był - mówi Fredrik. - Chodziliśmy razem do Katedralskolan. Ale wcale go nie znałem. Nie obracaliśmy się w tych samych kręgach. Może kiedyś wylądowaliśmy razem

138 na jakiejś imprezie. To był mały świat.

- Więc właściwie nie mieliście ze sobą do czynienia? Wtedy .mi później?

-Tylko przy sprzedaży zamku. Ale nawet wtedy go nie spotkałem.

-Jestem zaskoczony - mówi Waldemar. - Wydawało mi się, że wszyscy tacy jak pan chodzą do Sigtuna albo do Lands-berg.

- Lundsberg - poprawia Ehrenstierna. - Do Lundsberg. Ja się uczyłem w Lundsberg. Macie jeszcze pytania do mojego klienta dotyczące jego wykształcenia albo jakieś inne?

Waldemar zrywa się szybko z krzesła i jak wąż wbija spojrzenie prosto w oczy Fredrika Fagelsjő.

-Gadaj, kurwa, wszystko, co wiesz! Ukrywasz mnóstwo gówna, co?

Fredrik Fagelsjő i adwokat Ehrenstierna podskakują na krzesłach, cofają się.

- Byłeś na zamku. Chciałeś pokazać Peterssonowi za to, że zabrał wam ziemię, zgadza się? Straciłeś panowanie nad sobą i zacząłeś dźgać go nożem. Raz za razem. Przyznaj się! - krzyczy Waldemar. - Przyznaj się od razu!

Drzwi otwierają się gwałtownie, wpada Karim, wyłącza magnetofon i razem z Johanem uspokajają Waldemara, podczas gdy Sven informuje przesłuchiwanego i jego adwokata, że prokurator właśnie zdecydował, że Fredrik Fagelsjő zostaje zatrzymany i jest podejrzany o prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym oraz poważne wykroczenia w ruchu drogowym.

Ehrenstierna protestuje, ale słabo, wie, że decyzja już zapadła i że w tej chwili nic z tym nie może zrobić.

Twarz Fredrika Fagelsjő jest zagadką, myśli Johan, gdy policjant w mundurze wyprowadza arystokratę z pokoju przesłuchań. Szlachetna, ale skryta. W tej chwili dominują w niej pełne niepokoju oczy. On wie, że nic na niego nie mamy, myśli Johan. Ale bardzo możliwe, że jest winny. Od tej chwili on jest naszym głównym podejrzanym.

Malin rozstaje się z Zeke przed jego czerwoną willą.

- Weź samochód - mówi Zeke. - Ale jedź jak normalny człowiek.

Zatrząskuje za sobą drzwi, bez złości, ale ze znużeniem, i odchodzi.

Czarne dachówki willi są jak skóra, która niechętnie znosi bębniące w nią krople deszczu. W kuchni pali się światło.

Jutro praca, mimo że sobota. Kurwa, nie ma nawet co myśleć o wolnym teraz, kiedy mają całkiem świeże morderstwo.

Sven Sjóman zwołał spotkanie grupy na ósmą. Asystent Aronsson rozmawiał z Christiną, żoną Fredrika Fagelsjó, tuż po tym, jak Johan Jakobsson i Waldemar Ekenberg go przesłuchali. Żona dała mu alibi na noc, w którą popełniono morderstwo, powiedziała, że na pewno wpadł w panikę, gdy chcieli go zatrzymać, i że czasami zdarza mu się za dużo wypić, ale nie jest żadnym alkoholikiem.

Malin pozwala pracować silnikowi na jałowym biegu. Próbuje się zmusić, by odjechać w ciemność, ale jak, powiedz mi, jak - myśli - mam sobie poradzić z tymi godzinami, które jeszcze pozostały z tego dnia.

Nie dam rady do niczego się zabrać. To, co wydarzyło się wczoraj, wydaje się nierzeczywiste, tak jakby się stało tysiąc lat temu, jeżeli w ogóle się stało.

Wrzuca pierwszy bieg.

Gdy ma już odjechać, widzi, jak Zeke otwiera drzwi i wybiega na deszcz, widzi krople deszczu, które niemal pieszczą jego ogoloną czaszkę, ale nie jest mu przyjemnie, czyta to z grymasu na jego twarzy.

Malin opuszcza szybę.

- Gunilla pyta, czy nie chcesz zostać na obiad.

- A ty nie pytasz?

- Nie gadaj głupot, Fors! Wejdz do nas. Zjedz coś ciepłego. Dobrze ci to zrobi.

- Innym razem, Zeke. Pozdrów ode mnie Gunillę i podziękuj za troskę.

Chyba wolałbyś mieć tam w środku Karin Johannison, myśli Malin.

- Wejdz i zjedz z nami - mówi Zeke. - To rozkaz. Naprawdę chcesz być sama dziś wieczorem?

Malin uśmiecha się ze znużeniem.

- Ty nie możesz wydawać mi rozkazów.

Odjeżdża z opuszczoną szybą, we wstecznym lusterku wid/i Zekego, który stoi nieruchomo na deszczu, parę opadających jesiennych liści połyskuje rdzawą czerwienią w świetle lylnych świateł.

(Idy jedzie w stronę miasta, za przednią szybą jest ciemno. Cholerna ciemność.

Co za pieprzony dzień! Morderstwo. Wielkie, tłuste morderstwo. Szaleńczy pościg. Baba ze strzelbą. Nie było czasu myśleć o całym tym innym gównie. Czasami kocham wszystkie te ludzkie brudy, jakie potrafi wyprodukować to miasto.

Ciuchy.

Muszę mieć jakieś ciuchy.

Może jednak pojechać do domu i wziąć szybko to, co mi jest potrzebne? Ale może Janne będzie chciał, żeby zostawała, Tove zacznie na mnie patrzeć tym swoim błagalnym wzrokiem i wtedy ja też będę chciała zostać.

Przypadkiem, kątem oka, Malin widzi swoją twarz we wstecznym lusterku i odwraca wzrok; nagle rozumie, co zrobiła: zostawiła mężczyznę, którego kocha, uderzyła go, naraziła swoją córkę na śmiertelne niebezpieczeństwo i zamiast pomagać jej dalej w życiu, uciekła od razu w swoje własne gówno, uległa swoim najgorszym stronom, uległa miłości do butelki, do tego bawełnianego świata o miękkich krawędziach, w którym niczego nie ma. Ani przeszłości, ani terazniejszości, ani przyszłości. Ale to jest złe, złe, złe, i wstydy się, wstydy, wstydy tak bardzo, że wstyd nie daje jej oddychać, ogarnia całe jej ciało. Malin chce jechać do domu w Malmslatt, ile zamiast tego jedzie do Tornby, na parking przy Ikea, parkuje w jakimś odległym kącie i wysiada.

Stoi na deszczu i patrzy w otaczającą ją ciemność. Miejsce jest zupełnie wyludnione i samotne, choć sklepy są otwarte, płynące z nich światło tutaj nie dociera.

Idzie w stronę centrum handlowego. Chce zadzwonić do Tove, poprosić ją o radę, ale tak się przecież nie da. To przecież dlatego tu jestem, dlatego że wszystko spieprzyłam tak bardzo, że niczego nie da się już uratować.

Chodzi między rzędami ubrań w H&M, zgarnia majtki, skarpetki, biustonosze, bluzki, spodnie i kamizelkę. Płaci za ubrania, nawet ich nie przymierzając, pospiesznie sprawdziła rozmiar, powinno pasować, ostatnie, na co ma w tej chwili ochotę, to zobaczyć w dużym lustrze swoje opuchnięte ciało, czerwoną twarz, pełne wstydu oczy.

Opada na jedną z ławek w pasażu centrum handlowego. Patrzy w stronę księgarni naprzeciwko, jej witryna jest pełna poradników. *Zostań szczęśliwym człowiekiem, Poczucie godności własnej!, Zostań szczęśliwym partnerem!*

Kurwa, zabierzcie mnie daleko stąd, myśli, gdy znów ogarniają ją mdłości.

Przed kioskiem Pressbyran stoją plakaty z nagłówkami „Expressen” i „Aftonbladet”.

Biznesmen zamordowany w zamku.

Miliarder zamordowany w fosie.

Który się lepiej sprzedaje? Ten drugi?

Pół godziny później siedzi przy barze w pubie Hamlet. W odosobnionym kącie, ale tak, że słyszy starych ukrytych alkoholików i oszustów, którzy są stałymi klientami lokalu.

Dwie szybkie tequile przyjemnie zamgliły wzrok, świat ma miękkie, bawełniane krawędzie, wydaje się przyjazny i serce też bije jakby w rytmie przebaczenia.

Piwo.

Rozgrzewający alkohol.

Zadowoleni ludzie.

Malin rozgląda się po pubie.

Ludzie, którzy cieszą się swoim towarzystwem.

Mama i tata. Mieliście tylko jedno dziecko, myśli Malin.

Dlaczego? Tato, na pewno chciałeś mieć więcej. Ale ty, mamo, 142 stałam ci na drodze, prawda? Pewnie tak sobie myślałaś. Czy

chciałaś stać się kimś więcej niż ktoś trochę ważniejszy od szeregowego pracownika w biurze Saaba?

Zawsze pragnęłam mieć brata. Niech cię diabli, mammo.

Tove, chciałaś mieć brata?

Do diabła ze mną.

- Proszę jeszcze jedną - mówi Malin. - Podwójną. I duże, mocne piwo na popitkę.

- Jasne - mówi barman. - Dziś wieczorem wszystko, czego chcesz, Malin.

Czego chcę? - myśli Fredrik Fagelsjő, kuląc się na pryczy w areszcie. Patrzy w otaczającą go ciemność, przesuwa dłonią po popękanej ścianie. Czy kiedykolwiek to wiedziałem?

Dopiero co rozmawiał z żoną, zaledwie godzinę temu. Tym razem też nie była zła, nie domagała się żadnych wyjaśnień, powiedziała tylko: „Tęsknimy za tobą w domu. Wracaj szybko”.

Dzieci spały, chciała je obudzić, ale on nie chciał, daj im spać, musiałbym je okłamywać, gdzie jestem.

Victoria, pięć lat.

Leopold, trzy.

Wydaje mu się, że czuje ciepło ich ciał, teraz, gdy szczelniej otula się kocem, chroniąc przed chłodną wilgocią panującą w tym piwnicznym pomieszczeniu.

Tęskni za nimi, za Christiną. Za tym, żeby się dowiedzieć, czego chce. Nie ogarnia go panika. Nie wie, dlaczego nie odpowiedział na pytania policji, dlaczego milczał i kłamał tak, jak prosił go ojciec, tak jakby nie mógł inaczej. Ależ wulgarny był ten polięant, agresywny. A wcześniej, kiedy uciekał, było w tym jakieś uczucie, że jednak próbuje kierować swoim życiem, oszałamiająca fala adrenaliny i strachu.

Fredrik Fagelsjő oddycha.

A właściwie komu muszę coś udowadniać? Ty, ojczu, ledwie zaakceptowałaś Christinę, jej wykształconych rodziców. I Bóg raczy wiedzieć, co zrobiłaś Katarinie.

Fredrik Fagelsjő przymyka oczy.

Widzi Christinę, przytuloną do dzieci w podwójnym łóżku w sypialni w Villa Italia.

Nie będzie łatwo, myśli Fredrik, ale i tak nikomu nie uda się stanąć pomiędzy nami.

Co mówi do mnie barman? - myśli Malin, próbując utrzymać się na barowym stołku. Nie chce spaść i stracić z oczu butelek na oświetlonych półkach przy ścianie.

Gwar za jej plecami. Jest już prawie pijana, ale z nikim nie rozmawiała.

I wtedy ktoś klepie ją po plecach.

Odwraca się.

Ale nikogo tam nie ma, w lustrze nad butelkami widzi tylko siebie samą.

- Wydawało mi się, że ktoś mnie klepał w plecy - mówi, a barman uśmiecha się szeroko.

- Masz jakieś zwidy, Malin. Nikogo tam nie było.

I wtedy znów czuje klepnięcie, widzi puste lustro, ale i tak się odwraca, mówi:

- Odwal się ode mnie.

Wydaje jej się, że słyszy, jak gwar głosów zlewa się w jeden głos, dokładnie tak jak tam w lesie przy Skogsa.

- Robię, co chcę - mówi głos. - Jak wylądowałem tam w wodzie? Dowiedz się tego - ciągnie po chwili. - Kogo tak skrzywdziłem?

- Idź do diabła - szepcze Malin. - Chcę się spokojnie napić.

- Brakuje ci Tove? - pyta głos.

- Tove może zginąć! - krzyczy Malin. - Słyszysz? I to jest moja wina.

Nie zauważa, że ludzie w barze ucichli, że się na nią gapią, zastanawiają się, dlaczego wyrzuca z siebie słowa w pustą przestrzeń.

Znów klepnięcie w plecy.

Odwraca się.

- Chyba już pora do domu, Malin? - pyta barman, z twarzą tuż przy jej twarzy.

Ona kręci głową. 144 - Spokojnie. Daj mi podwójną. *Please.*

SOBOTA, DWUDZIESTY PIĄTY PAŹDZIERNIKA

Malin czuje lekkie uderzenie w głowę.

Ciało, jeżeli wciąż jest tam, gdzie powinno, wydaje się napuchnięte, wszystkie mięśnie i stawy bolą. I co takiego się stało z głową?

Czy ja śnię?

Wciąż jestem Malin, a te okrągłe, małe planety, jakiś metr od moich oczu, dlaczego wyglądają jak gałki szafki w korytarzu?

Łóżko pode mną jest twarde, ale i tak chcę tylko spać, spać, spać.

Nie chcę się budzić.

I dlaczego łóżko jest takie twarde?

Prześcieradło drapie mnie w policzek, jest niebieskie i twarde jak dywan, a ten krąg, jeszcze wyżej, wygląda jak lampa w korytarzu. Pachnie farbą drukarską, boli. Światło płynące z lewej razi mnie w oczy. Co tu jest nie tak?

Zaśnij, Malin.

Pieprzyć ten dzień.

Powoli przejaśnia jej się przed oczami i uświadamia sobie, że leży na podłodze w korytarzu, tuż pod drzwiami. Musiała tutaj wczoraj zasnąć, była tak pijana, że nie dowlokła się do łóżka.

Ale to uderzenie w głowę?

„Svenska Dagbladet” na podłodze przy niej. To musi być prenumerata weekendowa studentów, tych protestanckich 145

typków, którzy pewnie zapomnieli podać nowy adres, kiedy się przeprowadzali. Albo doręczyciel pomylił drzwi.

Malin z trudem siada. Odsuwa od siebie torbę z ubraniami, którą mimo wszystko jakoś musiała zabrać do domu, kiedy wychodziła z pubu.

Milioner z branży IT zamordowany.

Szata graficzna gazety jest surowa i powściągliwa.

Malin pełźnie do kuchni, zerka na zegar z Ikea. Wpół do ósmej. Służba w weekend.

Jeśli wezmę się w garść, zdążę na poranne spotkanie, myśli, ale muszę się pośpieszyć.

Podnosi się, prawie upada, niemal traci przytomność i jest tylko jedno rozwiązanie tego problemu. Butelka tequili stoi na podłodze w dużym pokoju, tam gdzie ją zostawiła przedwczoraj. Bierze ją, pociąga siedem głębokich łyków i z sekundy na sekundę czuje, jak ból i nudności opuszczają jej ciało.

Prysznic. Mycie zębów, płyn do płukania ust i jestem gotowa na poranne spotkanie.

Ubiera się w dzinsy i czerwoną bawełnianą bluzkę z długim rękawem, którą wczoraj kupiła, pieprzone spodnie nie chcą się dopiąć, brzuch jest wzdęty od alkoholu, a czerwona bluzka sprawia, że jej twarz jeszcze bardziej przypomina spuchnięty pomidor.

Dzwoni po taksówkę, będą musieli wziąć inny wóz służbowy niż wczoraj, tamten stoi zaparkowany przy Hamlecie.

W taksówce, w drodze na posterunek, czyta gazetę, za którą pewnie teraz tęsknią protestancy studenci.

O ich sprawie. O adwokacie Jerry'm Peterssonie, że został zamordowany, w skrócie o jego interesach z Goldmanem i wątpliwej reputacji. Pieniądze, sumy. Nic, czego by już nie wiedzieli.

Taksówkarz trąbi. Deszcz pada gęsto na karoserię.

Ciało jakoś funkcjonuje.

Rzuca gazetę na tylną kanapę samochodu.

Gdy docierają do zjazdu prowadzącego do starych budynków koszar, w których mieści się komisariat i inne urzędy, 146 prosi taksówkarza, żeby się zatrzymał.

- Mogę panią podwieźć pod sam komisariat - mówi. - Bo przecież chyba tam pani jedzie? Poznają panią z gazety.

- Wsiadam tutaj.

Jeszcze mi trochę zależy na tym, co pomyślą koledzy, myśli Malin, zatrzymując drzwi samochodu.

Przed komisariatem, na deszczu, stoi tłum reporterów. Wśród nich jest Daniel Hógfeldt. Nawet przy tej zaszraj pogodzie udaje mu się wyglądać na czujnego.

Malin idzie od tyłu. Przez pomieszczenia sądu rejonowego. Kiedy przechodzi korytarzem obok jasnych drewnianych drzwi sal sądowych, wydaje jej się, że słyszy kilka wystrzałów. Słyszy je, ale rozumie, że te dźwięki są tylko w niej, i nie ma nawet siły się zastanawiać dlaczego.

- To jest Lovisa Segerberg - mówi Sven Sjóman, kładąc dłoń na ramieniu ładnej kobiety o blond włosach, mniej więcej trzydziestoletniej i ubranej po cywilnemu. - Jest z wydziału przestępczości gospodarczej w Sztokholmie. Pomoże nam z wszystkimi dokumentami Peterssona. Jest z wykształcenia ekonomistką. I policjantką. Może się przedstawimy?

Zeke, Johan Jakobsson, Waldemar Ekenberg i Malin przedstawiają się i witają Lovisę w grupie śledczej.

-Siadaj, proszę - mówi Sven i Lovisa siada na wolnym krześle obok Malin, posyła jej miły uśmiech, taki, jakim uśmiechają się kobiety do innych kobiet, na który Malin nie odpowiada. Zamiast tego przygląda się jej ubraniu, temu, jak modnie wygląda jej robiony na drutach czarny sweterek, że jej czarne wełniane spodnie są porządnie wyprasowane i że w całym wyglądzie Lovisy jest coś wyraźnie sztokholmskiego. W tym momencie Malin czuje się beznadziejnie niemodna i prowincjonalna w swoich dzinsach i taniej, czerwonej bawełnianej bluzce.

-Zaczynamy od podsumowania sytuacji - mówi Sven. -Dzień drugi. Wiecie, że mamy w areszcie podejrzanego, Fredrika Fagelsjóa, ale zaczniemy od początku. Czego jeszcze się dowiedzieliśmy w sprawie morderstwa Jerry'ego Peterssona? 147



Zegar na ścianie w pokoju zebrań wskazuje 8.15.

Formalności i uprzejmości zajęły pięć minut. Dobrze, że Lo-visa tu jest, myśli Malin. Sami ledwie jesteśmy w stanie przeczytać zwykły, prosty bilans.

Na początek Sven bierze na siebie przedstawienie ram czasowych ostatniej doby w życiu Jerry'ego Peterssona. Potem ciągnie:

- Niestety z powodu deszczu badanie miejsca zbrodni nie dało nam nic konkretnego. W żwirze nie znaleźliśmy żadnych śladów krwi. Nurkowie przeszukali dno fosy, ale nie znaleźli noża ani niczego innego, co mogłoby być narzędziem zbrodni. Spuściliśmy wodę z fosy, ale to również nic nie dało. Przed chwilą dostałem też raport techników dotyczący samochodu Peterssona. Nic nie znaleźli. Możemy jednak wykluczyć morderstwo na tle rabunkowym, tak jak przypuszczaliśmy wczoraj. Wygląda na to, że z zamku nic nie zniknęło, nie ma żadnych śladów świadczących o tym, że ktoś przeszukał budynek. A portfel Peterssona był w wewnętrznej kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego od Prądy, który miał na sobie. Było w nim ponad trzy tysiące koron w gotówce. W tej chwili badamy volvo Fredrika Fagelsjő.

- Które jest czarne - dodaje Zeke.

Ryby, myśli Malin. Co się z nimi stanie? Przecież nie mają dokąd uciec, kiedy fosa jest pusta. Jestem jedną z tych ryb. Duszę się na powietrzu, bo chyba tak się dzieje z rybami?

- Od Prądy? - pyta Waldemar.

- Karin odnotowała markę w raporcie - mówi Sven. - Więc na pewno to coś eleganckiego. - Po chwili zwraca się do Malin: - Petersson został znaleziony przez dzierżawców, Gótego Lindmana i Ingmara Johanssona, którzy przyjechali na zamek, żeby pomagać Peterssonowi w polowaniu na sarny. Czego się dowiedzieliśmy z ich przesłuchania?

Malin nabiera powietrza do płuc i przywołuje z pamięci rozmowę.

W ustach wciąż czuje smak tequili, chce więcej tego smaku, ale zamiast tego podaje krótkie streszczenie przesłuchań.

- Czy coś na nich wskazuje? - pyta Sven, gdy Malin kończy

148 mówić.

- Nie. Ale musimy zostawić tę kwestię otwartą. Mimo wszystko to bardzo prawdopodobne, że ich utrzymanie zależało od warunków umowy dzierżawy. Musimy spróbować sprawdzić, czy dane w kontrakcie się zgadzają. Któryś z nich mógł wpaść we wściekłość, gdy coś zagroziło jego sytuacji finansowej.

Sven kiwa głową.

- Zobaczcie, co znajdziecie w papierach.

- Zastali otwarte drzwi - dodaje Malin. - 1 alarm był wyłączony.

Pozwala Zekemu dokończyć:

- Co może oznaczać, że Petersson z jakiegoś powodu w pośpiechu wyszedł z domu, zamierzając do niego szybko wrócić.

Waldemar prychnął, mówi:

- Chcecie przez to powiedzieć, że to może oznaczać, że Petersson znał mordercę? Że po prostu wyszedł się z kimś przywitać? Albo że może nawet czekał na mordercę?

- Wszystko jest możliwe - stwierdza Zeke. - Ale nie jesteśmy w stanie dojść do żadnych konkretnych wniosków. Może wyszedł, żeby przygotować polowanie, i zapomniał zamknąć drzwi na klucz albo mu na tym nie zależało? A może lubił mieć otwarte drzwi. Myślał, że to podniecające, poczekać i zobaczyć, czy coś się stanie.

- Co wiemy o ofierze? - pyta Sven.

Petersson.

Jerry.

Jego twarz, gdy podnoszono go z fosy, ryby w ustach, jedno oko otwarte, zdziwione, i Malin teraz pamięta, jak wyglądał, teraz widzi to inaczej, jaki musiał być przystojny, imponująco przystojny w swoim żywiole, którym mogły być Riche lub Sturehof albo Prinsen w porze lunchu w Sztokholmie: miejsca, w których nigdy nie była, gdy studiowała na akademii policyjnej, i dziewczyny w błyszczących kostiumach, które widziała parę razy, gdy zabłądziła gdzieś w okolicy Biblioteksgatan lub Strandvagen.

Może i Petersson był świnią, taką, co to jej się wydaje, że jest lepsza od innych.

Może.

Ale jak wielką świnia?

Myśli o przemocy. O tych ludziach, którzy ściągali ją na siebie poprzez swoje działania. O tym, że czasami wbrew własnej woli myślała, że niektórzy ludzie zasłużyli sobie na tę przemoc, która ich dosięgła, jakby to była konsekwencją ich własnych czynów.

Ale czy rzeczywiście tak jest? Że można sobie zasłużyć na przemoc? Oczywiście, że nie.

- Johan.

Głos Svena wrywa ją z zamyślenia i słucha relacji Johana, o tym, czego udało im się dowiedzieć o Jerry'ym Peterssonie: że odniósł sukces jako prawnik w Sztokholmie, dorobił się fortuny na spółce z branży IT, w którą wcześniej zainwestował swój kapitał, że reprezentował Jochena Goldmana, wielkiego oszusta, kupił zamek Skogsa od Axela Fagelsjóa, że dorastał w Berga, nie miał żony ani dzieci, w każdym razie zarejestrowanych jako jego, miał tylko ojca, który został poinformowany o jego śmierci. Nie udało im się zbyt wiele dowiedzieć o Jerry'ym Peterssonie jako o człowieku. Wczoraj po południu Johan i Waldemar obdzwonili osoby, które pojawiały się w dokumentach, między innymi rewizora Peterssona ze Sztokholmu, ale wszyscy opisywali go tylko jako nienagannego człowieka, błyskotliwego i jak wyraziła się pewna kobieta: „diabelnie przystojnego”.

- Mamy do przejrzania tysiące papierów i dokumentów -kończy Johan. - Może w nich uda nam się znaleźć jakiś sensowny motyw zabójstwa. Do tej pory skupialiśmy się na Goldmanie tylko dlatego, żeby od czegoś zacząć.

- Mogę sprawdzić ten interes ze spółką informatyczną i te umowy dzierżawy - mówi Lovisa. - Powinno mi to szybko pójść. - Młoda kobieta wypowiada te słowa z profesjonalną pewnością siebie, a Malin wie, że Lovisa będzie tej pewności bardzo potrzebować, jeśli ma pracować z Waldemarem.

- Znaleziliśmy jakiś numer do Hiszpanii, prawdopodobnie do Goldmana - mówi Johan. - Na Teneryfę. Dzwoniliśmy tam raz, ale nikt nie odebrał. Pomyśleliśmy, że teraz ty powinnaś

150 zadzwonić, Malin.

Waldemar dodaje:

- Wydawało nam się naturalne, żebyś to ty przeprowadziła tę rozmowę. Masz przecież związki z tą wyspą.

Najpierw Malin czuje złość, fakt, że jej rodzice mieszkają na Teneryfie, nie znaczy przecież, że to ona musi przeprowadzać rozmowę z Jochenem Goldmanem. Lecz po chwili złość się ulatnia i Malin zdaje sobie sprawę, że Johan i Waldemar mają rację, że okazują w ten sposób szacunek jej sposobowi pracy jej intuicji, przeczuciom i przekonaniu, że pewne rzeczy faktycznie mają ze sobą związek, który czasem jest dla ludzi 11 i edostrzegalny

Istnieją bezwonne ślady zapachów.

Niewidzialne obrazy.

Bezdzwięczne dźwięki.

Mama, tata. Teneryfa.

Goldman. Teneryfa.

To nie ma żadnego związku, ale może coś oznaczać.

- Zadzwońię po spotkaniu - obiecuje Malin.

- A sprawa dziedziczenia? - pyta Sven. - Dowiedzieliśmy się już czegoś?

-Nie, jeszcze nie. Ale jeśli nie znajdzie się testament, wszystko dziedziczy ojciec - odpowiada Johan.

Później Zeke zdaje relację o tym, czego się dowiedzieli E rozmowy z Axelem i Katariną Fagelsjő. Że Katarina ma alibi, że pewien sztywny, nerwowy lekarz ze Szpitala Uniwersyteckiego potwierdził, że z nią był. Że Axel Fagelsjő nie ma alibi na czas po godzinie dwudziestej drugiej. Że oboje utrzymują, iż powszechna plotka o sprzedaży posiadłości z powodu trudnej sytuacji finansowej nie jest zgodna z prawdą, i że wprawdzie zdają się gardzić takimi nowobogackimi jak Petersson, ale nie żywili do niego żadnej większej urazy ani nie znali się bliżej, chociaż Fredrik był z nim w tej samej klasie.

- No właśnie, Fredrik Fagelsjő - wtrąca Malin. - Najdramatyczniejsze wydarzenie wczorajszego dnia.

Zeke zdaje relację z pościgu. Johan z przesłuchania. Że Fredrik Fagelsjő utrzymuje, iż wpadł w panikę, ponieważ był pijany

- Siedzi w areszcie - mówi Sven. - Możemy go tam trzy mać przez tydzień za inne przestępstwa związane z zatrzymaniem. Musimy go jeszcze raz przesłuchać. Przycisnąć go w sprawie morderstwa, nawet jeśli siedzi za coś innego. Spróbujemy z nim porozmawiać bez adwokata. Wydaje mi się, że nie wyjawiał całej prawdy. I szczerze mówiąc, nie wiem, czy kłamie o tym, dlaczego uciekał, czy nie. Wydaje się jednocześnie słabym i silnym człowiekiem. Ale w tym, że próbował uciec, jest coś bardzo podejrzanego, prawda? Na tę chwilę jest naszym głównym podejrzanym. Musimy sprawdzić finanse rodu Fagelsjő - ciągnie Sven - przyjrzeć się dokładnie okolicznościom sprzedaży Skogsa, czy to prawda, że byli bliscy bankructwa. Segerberg, możesz się tym zająć równoległe z tą drugą sprawą? Zaczniemy też sprawdzać rodzinę Fagelsjő w archiwach, sprawdzanie Peterssona jest już w toku.

Lovisa się uśmiecha.

Kiwa głową.

- Póki nie rozwiążemy tej sprawy, mogę pracować nawet dwadzieścia godzin na dobę. Nie mam nic innego do roboty tu w mieście.

Mówi to bez żadnej ironii, zupełnie poważnie i w oddaniu młodej policjantki Malin rozpoznaje samą siebie. Podziwia to, ale ma ochotę ją ostrzec: Ta robota może pożreć twoją duszę, jeśli na to pozwolisz, tysiąc razy łatwiej uciekać w nieszczęścia innych, niż zająć się własnymi, tysiąc razy łatwiej nurzać się w ciemności, niż widzieć własne światło.

- A e-maile rodziny? - pyta Johan. - Ich billingi telefoniczne? Mamy ich zażądać?

- Jeszcze na to za wcześnie - mówi Sven. - Żeby uciekać się do takich środków, musimy mieć coś konkretniejszego, co wiązałoby ich z morderstwem. Wystarczy, że na razie sprawdzamy billingi i e-maile Peterssona.

- A jego krewni? - pyta po chwili Sven. - Naprawdę nie ma nikogo prócz ojca?

- Na to wygląda - mówi Johan. - Według ewidencji ludności.

- Jakież kobiety? - pyta Malin. - Nie mógł przecież tam

152 mieszkać kompletnie sam. Dziewczyny z przeszłości? Przyja-

I icie? Przy tym typie przestępstw sprawcy najczęściej pochodzą z najbliższych kręgów ofiary. Jakies kochanki?

- Nikogo takiego nie znaleźliśmy - odpowiada Johan.

-I nikt taki się nie odezwał - mówi Sven. - Poza tym sama najlepiej wiesz, jak trudno ustalić historię czyjegoś życia.

- Może był z takich, co płacą za bykanie - rzuca Waldemar.

W pierwszej chwili Malin chce zażądać, żeby okazał trochę szacunku, ale w jakiś sposób czuje, że Ekenberg może mieć rację, a jeśli tak, to nie poznają nikogo z przeszłości Jerry'ego Peterssona. Powiedzmy, że to była jakaś prostytutka, przy całym tym chorym prawodawstwie naszego kraju. Wielu z tych, którzy płacą za seks, to przecież ludzie, którzy mogliby mieć każdą kobietę, jakiej by tylko zapragnęli. A jednak coś ich ciągnie do seksu pozbawionego zobowiązań, prostego, bez miłości.

-Ludzie, z którymi rozmawialiśmy, znali go wyłącznie na płaszczyźnie zawodowej. Wygląda na to, że chronił swoją prywatność - mówi Johan.

Samotnik, myśli Malin. Ekscentryczny samotnik na największym pieprzonym zamku w Östergötland. Ale przecież nikt, nikt nie chce być samotny. A może jednak?

- Nie miał żony - mówi Sven. - Może był homoseksualistą?

- Nie wiemy - stwierdza Malin. - Rozmawialiśmy już z ojcem Peterssona? - pyta po chwili. - Może coś wiedzieć. O seksualności Peterssona i wielu innych sprawach.

- Nie - mówi Sven. - Poinformowaliśmy go tylko o śmierci syna. Malin, zajmiesz się tym razem z Zeke, gdy już spróbujecie się dodzwonić do Jochena Goldmana.

- Tak wcześnie? - pyta Zeke. - Wczoraj umarł mu syn.

- Nie możemy czekać.

Malin przytakuje skinięciem głowy. Myśli z niesmakiem o czekającej ich wizycie. Na kacu naprawdę trudno znieść woń pieluch i cewników.

Szpital dla przewlekle chorych w Aleryd.

Stacja końcowa.

Może nawet leży na oddziale dla pacjentów z demencją.

- Coś jeszcze? - Głos Svena jest ożywiony. - Malin, masz coś? 153

Patrzy na nią wzrokiem, który zdradza, że wie, jakiego strasznego ma kaca, ale nie zamierza pozwalać, żeby to wpływało na jej pracę.

Malin kręci głową.

- Rozmawialiśmy z niejaką Linneą Sjöstedt - dodaje Zeke. - Starszą damą, mieszkającą w gospodarstwie na terenie posiadłości Skogsa. Gdy zapukaliśmy do jej drzwi, zagroziła nam strzelbą.

- Co zrobiła? - pyta Sven, a Malin widzi, jak Waldemar szczyrzy zęby.

-Tak, wydawała się przestraszona. Mówiła, że nigdy nie wiadomo, co się tam może kręcić po okolicy. I przecież ma raqę - tłumaczy Zeke.

- Starsza pani szybko się uspokoiła - wtrąca Malin. - Wiadziała jakiś ciemny pojazd, opuszczający tereny posiadłości nad ranem. W każdym razie tak jej się wydawało. Nie była pewna, czy to sen czy nie.

-Sen?

- Tak. Wspominała, że czasami trudno jest jej odróżnić sen od jawy.

Sven kręci głową.

- Jaka marka?

- Tego nie wiedziała.

-Musimy to uwzględnić w śledztwie. Czym jeździ Axel Fagelsj??

- Ciemnoniebieskim jaguarem - mówi Malin.

Ciemny samoch?d.

Mogła widzieć Axela Fagelsj??. Albo Johanssona i Lindma-na, kiedy przejeżdżali, myśli Malin. Albo kogoś innego. Kt?reś z dzieci? Może Katarina Fagelsj? ma jeszcze inny samoch?d? Ktoś z przeszłości Peterssona? Goldman?

- Nie dzwonił nikt z nowymi informacjami?

W głosie Waldemara brzmi nadzieja.

Sven potrząsa głową.

- Musimy dalej pracować tak jak dotychczas. Miejmy nadzieję, że zgłosi się ktoś, kto podsunie nam jakiś trop. Sprawa

154 trafiła przecież do mediów i Karim apelował o informacje.

- „Corren" będzie dziś miało wielki dzień - mówi Johan. -
Ogólnokrajowe media też. Morderstwo, pościg samochodowy,
aresztowanie Fredrika Fagelsjóa.

- Jest coś, czego nie uwzględniliśmy? - pyta Sven.

Johan kręci głową.

- Na pewno pojawią się jakieś tropy z jego przeszłości zawodowej -
mówi Lovisa. - Nawet jeśli będą anonimowe. Jeśli w ogóle coś tam jest.

- Jeśli był oszustem, to mógł mieć kontakty z podziemiem tutaj w mieście -
mówi Waldemar. - Może pójde i trochę popytam wśród moich kontaktów?

- Chcesz się wymigać od papierkowej roboty - mówi ze śmiechem Sven.
A potem znów poważnie. - Teraz priorytet mają papiery, rozumiano?

Waldemar kiwa głową w odpowiedzi.

- Malin - zwraca się do niej Sven. - Zadzwoń do Goldmana. Zobacz, co ma do powiedzenia, jeśli to jego numer.

Malin przymyka oczy.

Fredrik Fagelsjóa, który ucieka.

Ciało wrzucone do fosy. Przez Fredrika? Może. A może nie.

Po to, by na swój sposób pozostać w tej czarnej wodzie na całą wieczność.

Razem z dziesiątkami, może nawet setkami innych prastarych dusz uwięzionych w czasie i kamieniu, myśli Malin. Przykutych do swojego nieszczęścia, do losu, przed którym nie można uciec ani się z nim pogodzić.

Samotność biegnie niczym czerwona nić przez historię ludzkości, myśli Malin, jest tym tonem, który leży u podstaw naszych opowieści.

I eneryfa.

Jak wiersz, szkic w umyśle Malin.

Spalone góry, drzemiące wulkany, wiecznie świecące słońce nad skupiskami domów. Kołyszące się palmy, leżaki stojące w rzędach na brudnych plażach, baseny rzucające połyskliwe refleksy na mutujące plamy wątrobowe, rak, który wnika przez skórę i dalej do krwiobiegu, by po kilku miesiącach zakończyć marzenia o wiecznym życiu w słońcu.

Prześwietlone zdjęcia z rajy rodziców.

Mieszkanie, które według mamy jest o wiele za małe, może to dlatego ona i Tove zawsze są tam zapraszane tak, żeby nie przyjechały, bo mama uważa, że to miejsce, które sobie stworzyła w słońcu, jest tak naprawdę nędzne?

Może mama po prostu chce mieć spokój? Odkąd zrozumiałam znaczenie tego słowa, miałam wrażenie, że mnie unikasz, że się wycofujesz. Wstydzisz się czegoś, mamó, i zaprzeczasz temu? Chcesz mnie unikać, żeby nie musieć przeglądać się w lustrze? Może można tak zrobić z dorosłymi dziećmi, ale nie tak, jak zrobiłaś to mnie, gdy miałam zaledwie cztery lata i w jakiś sposób rozumiałam, że właśnie to się stało.

I co byśmy sobie powiedziały, mamó? - myśli Malin, siedząc przy swoim biurku i przeglądając w Internecie artykuły o Jochenie Goldmanie.

Na kilku stronach nazwany jest największym oszustem w historii Szwecji. Do tej pory nie ustalono, ile setek milionów 156 wyciągnął, gdy wyczyścili spółkę Finera Finans. I gdy wszyst-

ko wyszło na jaw, Jochen Goldman uciekł z kraju, opuścił Lindigó, bogate strony, w których dorastał.

Drwił sobie z policji, z Interpolu.

Jochen Goldman widziany w Punta del Este w Urugwaju.

W Szwajcarii.

W Wietnamie.

Dżakarta. Surabaja.

Zawsze o krok przed policją, tak jakby naprawdę nie chcieli go złapać albo jakby miał własne źródła w ich szeregach.

Jerry Petersson był jego adwokatem. Jego pośrednikiem w kontaktach z władzami i mediami tu w kraju. Podczas swej trwającej dziesięć lat ucieczki Goldman napisał dwie książki. Książki o tym, jak to wyczyścił firmę z pieniędzy, w których twierdził, że miał do tego pełne prawo, a potem jeszcze jedną o życiu uciekiniera, w której - sądząc po recenzjach - chciał przedstawić samego siebie jako Jamesa Bonda wśród kapitalistów.

Daleko ci do jego szlachetności, myśli Malin.

Nim Jochen Goldman ubił swój wielki interes, siedział przez trzy lata za oszustwo. W związku z tamtą sprawą został również skazany za bezprawne groźby, pobicie i wymuszenie.

Jego zdjęcia podczas ucieczki.

Ostry nos w okrągłej twarzy, rozbiegane, brązowe oczy i długie ulizane blond włosy na karku. Duże łódzie, lśniące sportowe samochody marki Königsegg. Później, gdy jego domniemane przestępstwa związane z wyczyszczeniem Finera Finans uległy przedawnieniu, Goldman pojawił się na Tene-ryfie. Reportaż w internetowym wydaniu „Dagens Industri” ukazuje uśmiechniętego, opalonego na brązowo Goldmana nad basenem wyłożonym czarnymi kafelkami, z widokiem na morze i góry. W tle lśniący biały dom.

Marzenie mamy.

Tak właśnie wygląda.

Otynkowany na biało beton, szkło albo może ogród z pedantycznie zadbanymi kwiatami i wygodnymi, miękkimi meblami, w które można się zapaść i zapomnieć o całym wypieraniu i zgorzknieniu.

Na koniec natrafia na starą kronikę w „Veckans Affarer”.

Artykuł jest napisany w swobodnym stylu, pojawiają się insynuacje, że Jochen Goldman sam rozprawiał się z ludźmi, którzy stanęli mu na drodze. Że niektórzy ludzie prowadzący z nim interesy znikali bez śladu. Artykuł kończy się stwierdzeniem, że to plotka i że legenda taka, jak legenda Goldmana, żyje i kwitnie właśnie dzięki plotkom.

Malin bierze do ręki karteczkę z numerem telefonu, być może do Jochena Goldmana. Kiwa głową do Zekego po drugiej stronie biurka.

- Dzwonię do człowieka-ducha.

Waldemar Ekenberg bębni palcami w biurko w ciasnym pokoju roboczym. Bawi się swoją komórką, zapala papierosa, nie pytając Lovisy Segerberg, czy to jej nie przeszkadza, ale ona pozwala mu palić, niewzruszona dalej czyta jakieś zestawienia, które znalazła w jednej z czarnych teczek.

- Nosi cię? - pyta ze swojego miejsca Johan Jakobsson.

- Bez obaw - mówi Waldemar. - Ale kończą mi się fajki.

- Chyba możesz sobie kupić w tej restauracji przy sądzie rejonowym?

-W soboty mają zamknięte. Widziałem, że w Lucullusie mają rabat na sztangi. Mogę wyskoczyć na kwadrans? Johan się uśmiecha.

Kręci głową.

- Myślisz, że to mądre? Jesteśmy tu teraz potrzebni we troje,

Waldemar. Kurwa, daj spokój.

- Wiesz, że mi odbija bez fajek.

- Możesz przecież od kogoś wysepić.

- Kurwa, jak tu dzisiaj duszno.

- Może to dlatego, że palisz - mówi ze swojego miejsca Lo-visa.

- Spadaj - mówi Johan. - Ale szybko, Waldemar. Cholera, szybko.

- Kupię tylko fajki - mówi Waldemar i uśmiecha się szeroko.

Za pierwszym razem, gdy Malin wybiera numer do Hiszpanii, linia jest zajęta, ale za drugim razem, po czterech sygnałach, odzywa się nosowy, odrobinę ochrypły głos.

- Jochen. Z kim rozmawiam?

Głos z Teneryfy. Czyste niebo, słońce, bryza. Żadnego pieprzonego deszczu.

-Tu Malin Fors, komisarz z policji w Linköpingu. Może mógłby pan odpowiedzieć na parę pytań?

Zapada cisza.

Przez moment Malin myśli, że Jochen Goldman się rozłączy, ale potem odchrząkuje, chichocze z rozbawieniem:

-Wszystkie moje kontakty z władzami załatwiam przez adwokata. Może się pani z nim skontaktuje?

Kotek i myszka.

Myszka na sznurku.

Brakuje ci tej gry, myśli Malin. Prawda?

- Właśnie w tej sprawie dzwonię. Chodzi o adwokata Jer-ry'ego Peterssona, który reprezentował...

- Wiem, co się stało z Jerrym - przerywa jej Goldman. - Nawet tutaj czytam gazety, Malin.

I masz swoje kontakty, myśli Malin.

- Wie pan też, dlaczego chcę panu zadać parę pytań?

- Zmieniam się w słuch.

- Czy był pan na Teneryfie w nocy z czwartku na piątek?

Jochen Goldman się śmieje, a Malin wie, że pytanie jest banalne, ale musi je zadać i równie dobrze może to już mieć za sobą.

-Byłem tutaj. Dziesięć osób może to potwierdzić. Chyba nie myślicie, że mam coś wspólnego z tym morderstwem?

- Jeszcze nic nie myślimy.

- A może sądzicie, że między mną a Jerrym doszło do różnicy zdań i wysłałem płatnego mordercę, żeby się zemścić? Chyba pani rozumie, że trochę mnie to śmieszy.

- Nie insynuowaliśmy niczego takiego. Ale to interesujące, że pan o tym wspomina.

Znów cisza.

Schlebiaj mu, myśli Malin. Schlebiaj mu, może wtedy opuści gardę.

- Wygląda na to, że ma pan tam cholernie piękny dom.
Znów milczenie. Tak jakby Jochen Goldman rozglądał się po swoich włościach, jakby patrzył na basen i morze. Malin się zastanawia, czy pochlebstwo nie sprawiło, że poczuł się zagrożony.

- Nie narzekam. Może ma pani ochotę tu przyjechać? Przepłynąć parę basenów? Słyszałem, że lubi pani pływać.

- Wie pan, kim jestem?

- Wspomniano o pani w „Svenska Dagbladet” w związku z tym morderstwem. Trochę googlowałem. Poza tym chyba wszyscy lubią pływać? Na pewno byłoby pani ładnie w kostiumie kąpielowym.

Jego głos. Malin czuje, jak się w nią wżera. Kolejne pytanie:

- A więc nie miał pan żadnych nieporozumień z Jerrym Peterssonem?

- Nie. Powinna pani wiedzieć, że przez wiele lat był jedynym człowiekiem, który mi pomagał. Pewnie, dobrze mu za to płaciłem, ale wiedziałem, że mogę na nim polegać, że stoi po mojej stronie. Uważam go, to znaczy uważałem, za jednego z moich najlepszych przyjaciół.

- A kiedy przestał go pan uważać za jednego z pańskich najlepszych przyjaciół? Teraz czy wcześniej?

-A jak myślisz, Malin? Teraz, teraz.

- W takim razie, moje kondolencje. Przyjedzie pan na pogrzeb?

- Kiedy ma się odbyć?

- Nie ustalono jeszcze daty.

-Był moim przyjacielem - mówi Jochen Goldman - ale mam inne sprawy na głowie niż żałoba. Nie uznaję oglądania się za siebie.

- Zna pan kogoś, kto mógłby mieć powody, by źle życzyć Jerry'emu Peterssonowi? Albo wie pan o czymś, co powinniśmy wiedzieć?

- Pilnuję własnego nosa - mówi Goldman. A potem dodaje: - Coś jeszcze?

- Nie - odpowiada Malin i w słuchawce zapada cisza, a świetlówka nad jej głową zaczyna mrugać, jakby nadawała

160 alfabetem Morse'a jakąś wiadomość z przeszłości.

Jednym z twoich najlepszych przyjaciół, Jochen?

Co ty wiesz o przyjaźni i zaufaniu ?

Nic.

Ale co ja o nich wiem?

Muszę przyznać, że niewiele, ale jednego jestem pewien, byłem tego pewien za pierwszym razem, kiedy się spotkaliśmy: Nie chciałbym być tym, kto stanie ci na drodze, gdy poczujesz się zawiedziony.

Ciągnęło mnie do ciebie od pierwszej chwili. Reprezentowałem cię w sprawie o pobicie, kiedy jeden z udziałowców firmy dostał zawału, i odkryłem, że lubię przebywać blisko ciebie, pławić się w blasku twojej żydowskiej hucpy, twojego tupetu. To było tak, jakbyś pokazywał środkowy palec wszystkim, którzy stanęli ci na drodze, bez względu na to, kim byli.

Ale przyjacielem, jochen?

No, daj spokój.

Być może w ostatnich latach byłeś jedynym człowiekiem, który mnie przerażał.

Żaden z nas nie był, czy raczej w twoim przypadku nie jest, takim typem człowieka, który by przywiązywał jakąkolwiek wagę do przyjaźni. Takie rzeczy są dla głupich pańienek i bab, prawda?

Twoja bezwzględność. Twoje kontakty.

Byliśmy równie bystrzy.

Ale może na koniec mnie przechytrzyłeś? A może to ja na koniec wywiódłem cię w pole? Być może łączyła nas swego rodzaju przyjaźń, taka, która sprawia, że dwóch ludzi zjada sobie nawzajem dusze, jeden podkrada się do tego drugiego i przegląda się w jego sukcesach i porażkach, zawłaszczając je sobie. Być może to był ten najdziwniejszy i najrzadszy rodzaj przyjaźni opartej na równości i dlatego tak kruchej: bo po co trzymać się czegoś, skoro właściwie nie ma nic do stracenia.

Dwóch ludzi.

Nasze drogi się przecięły, było nam pisane się spotkać, a łączyło nas to, że nie zamierzaliśmy pozwolić, by ktoś czy coś stanęło nam na drodze do tego, co chcieliśmy mieć. Ale twoja głupota i twoja odwaga były większe od moich, Jochen, a moja kieszeń bardziej pękata niż twoja, ale jakie to miało znaczenie: i tak ci zazdrościłem tego, jaki jesteś twardy, i czasem mnie to nawet przerażało.

Jochen, widzę twoje opalone ciało na lśniącem, chromowanym leżaku nad czarną chlorowaną wodą.

Widzę Malin Fors przy biurku.

Ukryła twarz w dłoniach, zastanawia się, jak przetrwa ten dzień. I wtedy myśli o mnie. O tym, jak leżałem twarzą w dół w fosie, martwy, teraz to już zaakceptowałem, i widok mnie unoszącego się w górę, z ciałem podziurawionym wściekłą przemocą, nie opuszcza jej ani na chwilę, ale daje jej to do myślenia i dlatego nie potrafi się temu oprzeć.

Przemoc daje jej coś, czemu może się przeciwstawić. Ma nadzieję, że powie jej, kim jest.

Potrzebuje mnie. Wyczuwa to.

A może zrozumiała to już aż za dobrze. Dokładnie tak jak ja wiem, że zrozumiał to chłopiec, gdy promienie nisko stojącego jesiennego słońca świeciły mu w oczy.

Owiatło pulsuje w oczach chłopca, który jest królem na szkolnym podwórku w Anestad.

Tydzień wcześniej wiek emerytalny w rządzonej przez socjaldemokratów Szwecji został obniżony do sześćdziesięciu pięciu lat, a przed kilkoma miesiącami sonda kosmiczna Mariner 10 przeleciała obok Merkurego i przesłała na Ziemię zdjęcia tej samotnej planety.

Tu i teraz, na szkolnym podwórku, w ostrych promieniach słońca, drżą gęste, bujne liście brzoź. Chłopiec biegnie za piłką, przyjmuje ją jedną nogą, odwraca się, a potem kopie białą kulę palcami, tak że piłka leci w stronę parkanu, gdzie stoi Jesper, gotowy ją wybić, ale coś idzie nie tak. Piłka trafia go w nos. Krew, która tryska mu z nozdrzy parę sekund później, ma głębszy, żywszy odcień czerwieni niż cegły niskich szkolnych budynków.

Nauczycielka Eva widzi, co się dzieje, i z krzykiem podbiega do chłopca, łapie go za ramię i nim potrząsa, jeszcze zanim podejdzie pocieszyć płaczącego Jespera. Wygląda na to, że woli łąać, niż pocieszać. Wrzeszczy chłopcu prosto do ucha: „Widziałam to, Jerry, widziałam, zrobiłeś to umyślnie!” Zostaje odciągnięty na bok, wie, że nie zrobił celowo nic złego, ale myśli, że może powinien zacząć. Drzwi do klasy znów się zamykają i tak jakby na coś czekał, ale na co?

Jesper.

Dzieciak lekarza z willi w Wimanshall. Jego tata to podobno taki lekarz, który kroi ludzi.

Chłopiec już wie, że dzieciaki z willi są traktowane inaczej niż on i inni z kamienic czynszowych w Berga.

To są drobne rzeczy; wydaje im się, że dziewięcioletek ich nie zauważy: kto śpiewa solo na zakończeniu roku szkolnego, kto według nich robi umyślnie coś złego, komu poświęcają więcej uwagi na lekcjach i kogo bardziej chwala.

W sali gimnastycznej śpiewa jakaś dziewczynka, dwóch chłopców gra na fletach poprzecznych i nie ma wśród nich nikogo, kogo by znał ze swojej okolicy. Wszyscy prócz niego są ubrani na białą i przyszli z rodzicami.

Ale nie czuje się samotny, nie czuje wstydu, pojął, że wstyd, choć nie rozumie samego słowa, nie ma żadnego sensu. Że nie jest jak mama albo tata.

A może jednak jest? Gdy stoi w drugim rzędzie, na wymalowanej linii pola bramkowego; oczekuje się od niego, że będzie śpiewał piosenki, które inni wybrali dla ludzi, na których mu nie zależy, czy wtedy nie jest jak mama i tata? Czy wtedy wszyscy nie chcą, żeby był taki jak jego rodzice?

Może jednak celował w nos?

Może mu się podobało, gdy patrzył, jak krew tryska z nosa głupiego Jespera, tak jakby odcięło go ostrze kosiarki?

Tutaj, w sali gimnastycznej, nie wie właściwie nic o świecie, może tylko tyle, że świat będzie należał do niego.

Przez całe lato włóczy się sam po podwórku. To nie pierwsze lato, kiedy tak robi.

Mama już dawno się poddała.

Dostała uczulenia na kortyzon, który w nią pompowali, żeby uśmierzyć ból stawów, zastyga coraz bardziej w dręczącym, trawiącym ją bólu, który powoli redukuje kobietę, jaką kiedyś była, do niemej złości. Babcia miała udar, gospodarstwo zostało sprzedane, tata wziął odprawę od Saaba i przepił ją przez jesień. Nie potrzebowali już jego umiejętności, pro-dukq'a powoli przedstawiała się na Viggena, i owszem, mógł sprzątać albo pracować w stołówce, ale czy nie byłoby lepiej, 164 gdyby wziął pieniądze, zaczął patrzeć w przyszłość?

Tata najlepiej się czuje z pracownikami parku. Na kosiarce, zielonej, z wygodnym, amortyzowanym siedzeniem. Faceci z parkowego towarzystwa nie oceniają go, nie oceniają swoich.

I chłopiec tęskni za tym, żeby letnie wakacje się skończyły, by znów zaczęły się treningi piłki nożnej. Na boisku nie ma żadnej różnicy. Na boisku to on decyduje. Na boisku może przycisnąć trochę mocniej i wtedy nie ma żadnego znaczenia, że jakiś chłopiec ze Sturefors przewróci się tak, że złamie sobie rękę.

Ma przyjaciół. Takich jak Rasmus, który jest synem kierownika sprzedaży w Cloetta. Przeprowadzili się ze Sztokholmu i pewnego wieczoru chłopiec jest w domu u Rasmusa, do jego taty przyszli na kolację znajomi z pracy i tata prosi Rasmusa, żeby pokazał gościom, że potrafi zrobić czterdzieści pompek z rzędu, a wtedy ktoś z towarzystwa proponuje konkurs. I po chwili leżą na parkiecie w dużym pokoju, Rasmus i on, podnoszą się i opadają obok siebie, a chłopiec robi to wciąż i wciąż na długo po tym, jak Rasmus kładzie się płasko na podłodze; a widzowie krzyczą: „Starczy już, starczy, *point taken, young men!*” Tata Rasmusa mówi: „Rasmusowi słabo idzie w szkole. Ale o Jerry'emu mówi się, że ma głowę na karku”. Potem wysyła Rasmusa do łóżka, a chłopca do domu, a chłopiec ma jedenaście lat i stoi w chłodnym jesiennym powietrzu przed wynajętą willą kierownika sprzedaży w Wimanshall, patrzy w rozgwieżdżone niebo.

Idzie do domu. Okna kamienic czynszowych są jak zamknięte powieki, ich ciała są jak czarne sylwetki na tle ciemnego nieba.

Mama śpi w łóżku.

Tata śpi na zielonej sofie.

Obok niego leży karton po pizzy i pół butelki wódki Explo-rer. W mieszkaniu śmierdzi brudem.

To gówno nie jest moje, myśli chłopiec, wpełzając do łóżka obok mamy, czuje ciepło jej śpiącego ciała.

24

Piętnaście po jedenastej Waldemar Ekenberg parkuje samochód przed zaniedbanym budynkiem warsztatu w samym sercu obszaru przemysłowego w Tornby.

Wreszcie na chwilę przestało padać, ale sunące nisko chmury niemal liżą zniszczony dach z blachy falistej, na którym wielkie platy zniszczonej czerwono-brązowej farby poruszają się na wietrze.

Budynek nie ma żadnego szyldu nad dwoma dużymi, czarnymi bramami garażowymi, ale Waldemar wie, co kryje się w środku: warsztat samochodowy, w którym nigdy nie naprawiono żadnego samochodu. To wszystko to tylko fasada do prania pieniędzy z wszelkiego rodzaju działalności przestępczej. Ale człowiek, który za tym wszystkim stoi, Brutus Karlsson, to bystry sukinsyn, którego nigdy nie udało im się posadzić za nic więcej niż pobicie.

Waldemar wysiada z wozu.

Spokojnie podchodzi do warsztatu i wali w jedną z bram garażowych, słyszy zbliżające się kroki.

Dobrze jest wykorzystać kogoś takiego jak Brutus, zmusić go do podania jakiejś informacj'i. Parę razy faktycznie pokazał Waldemarowi właściwy kierunek, gdy prowadzili śledztwo w sprawie jego konkurencji. Złodziejski honor Brutusa Karlssona obejmuje tylko tych, którzy są po jego stronie.

- Otwierać! - krzyczy Waldemar. - Otwierać!

Brutus pozna mój głos, myśli, i wtedy słycać metaliczny 166 szcęk, a brama garażowa unosi się pod dach.

- Ty! - odzywa się Brutus Karlsson. - Czego, kurwa, chcesz?

Człowiek, który przed nim stoi, ma na sobie dżinsy i skórzaną kurtkę, jest niski, ale barczysty, i Waldemar doskonale wie, że to ciało jest zdolne do przemocy. Plotka głosi, że Bru-lus Karlsson był odpowiedzialny za kilka przypadków ciężkiego pobicia w podziemnym świątku. Między innymi złamał kręgosłup jakiemuś Polakowi.

Twarz Brutusa Karlssona jest szeroka, a nad grzbietem nosa biegnie blizna, która niezbyt pasuje do jego blond loków.

- Mogę wejść?

Pytanie, ale nie pytanie.

Za Brutusem Karlssonem w brudnym garażu stoi trzech mężczyzn o słowiańskim wyglądem, wszyscy są ubrani w dresy Adidasa i wyglądają tak, jakby nie byli w stanie dać temu społeczeństwu nic dobrego.

Waldemar wchodzi do środka.

Brama garażowa zamyka się za jego plecami.

Pośrodku warsztatu stoi stół, a przy nim sześć krzeseł. Na ławce leżą jakieś narzędzia, ale nie czuć zapachu oleju ani benzyny, tylko wilgoci.

Waldemar myśli, że równie dobrze może od razu przejść do rzeczy.

- Jerry Petersson - rzuca. - Co ci mówi to nazwisko? Brutus Karlsson patrzy na niego.

- A kto to niby, kurwa, ma być?

- Wiesz, kto to taki - mówi Waldemar i podchodzi do niego o krok bliżej.

Trzech Słowian zbliża się do nich, ich spojrzenia pochmurnieją i Ekenberg widzi, że jeden z nich zaciska pięści.

- Przychodzisz tu, pieprzony glino, zadzierasza nosa, wypychasz się nieproszony i pytasz o jakiegoś gościa - denerwuje się Karlsson.

- Jerry Petersson.

- Wiem, kto to taki. Myślisz, że nie czytam gazet?

-I?

-I co?

Waldemar szybko robi krok naprzód, palcami jednej ręki mocno chwyta Karlssona za szczękę.

- Przestań się zgrywać na twardziela, skurwysynu! Czy Jerzy Petersson miał z wami jakieś interesy?

Słowianie się wahają, czekają na jakiś sygnał od Brutusa Karlssona, a Waldemar wolną ręką wyciąga pistolet z kabury na ramieniu pod marynarką.

- Dobrze, już dobrze - belkocze Brutus Karlsson. - Mogę ci powiedzieć jedno: Petersson nigdy nie miał z nami do czynienia tu w hrabstwie. Gdyby taki koleś się z nami zadawał, wiedziałbym o tym. Puszczaj mnie, kurwa!

Waldemar go puszcza, cofa się o krok i chowa pistolet. W chwili, gdy zapina kaburę, widzi, że popełnił błąd. Jeden ze Słowian rzuca się na niego i Waldemar czuje pięść trafiającą go tuż nad okiem, upada na pomalowaną na szaro betonową podłogę warsztatu. Trzech mężczyzn przyciska go do ziemi, ich oddechy ostro śmierdzą czosnkiem, widzi jedynie ich nieogolone policzki.

Twarz Brutusa Karlssona pochylona nad Waldemarem.

- Co ci się, kurwa, wydaje? Że kim jesteś? Przychodzisz sobie tutaj, zachowujesz się jak skończony cham... Twój koleś w ogóle wie, że tu jesteś?

Waldemar czuje, jak strach ściska mu żołądek, nikt nie wie, że tu jest, teraz może zdarzyć się wszystko.

-Wiedzą, dokąd pojechałem. Jak nie wrócę za godzinę, przyjadą tutaj.

Brutus Karlsson daje znak głową i Słowianie puszczejają Waldemara.

- Wstawaj - mówi Brutus.

Parę sekund później Ekenberg stoi naprzeciwko niego, Słowianie otaczają ich kołem.

Pięść leci w jego kierunku i Waldemar instynktownie się uchyła, ale cios trafia go w policzek. I jeszcze jeden, tym razem nad lewe oko.

- Jak śmiesz tak traktować poliganta?! - krzyczy Waldemar.

- Ty - mówi Karlsson - mam na ciebie dość gówna, żeby cię usadzić. Mogę przyprowadzić dziesięciu koleśków, których pobieles na służbie.

Piekący ból i Waldemar pluje, czuje, że musi się stąd wydo-stać, zapalić papierosa.

- Idź już, świnió - rzuca Karlsson i kiedy Waldemar słyszy ca swoimi plecami szcęk bramy, myśli, kurwa mać, może już pora przejść na emeryturę.

Malin i Zeke ściągnęli samochód spod Hamleta i teraz czekają przed pokojem, aż pielęgniarki ze szpitala w Aleryd wymienią pieluchę Akemu Peterssonowi.

Zeke nie pytał o wóz i Malin cieszyła się z tego. Ostatnie, na 00 miała teraz ochotę, to wykład umoralniający.

Z pokoju dobiegają jęki, ale żadnych utyskiwań, żadnych pełnych złości słów. Ściany korytarza są pomalowane na białą, z różowymi kwiatami z szablonu. Na ścianie wisi zegar z białą tarczą i czarnymi wskazówkami. Pokazuje czternastą dwadzieścia i Malin czuje, że pizza, którą niedawno zjadła w Conya, przewraca jej się w niespokojnym żołądku. Ale tłuszcz zagłusza kaca, a i tak nie może się już czuć gorzej niż w tej chwili. Muszę trenować, myśli. Wypocić z siebie całe to gówno.

Na szczęście Zeke nie skomentował tego, co opowiedziała mu wczoraj, że znów zostawiła Jannego.

Ten zapach.

Amoniak i środki czystości, tanie perfumy i odchody, woń, którą wydzielają powoli umierający, starzy ludzie.

Na końcu korytarza mężczyzna na wózku wpatruje się w deszcz za oknem. Przed chwilą przestało padać, ale tylko na krótko. Jak długo właściwie może tak lać?

W tym momencie otwierają się drzwi. Młoda jasnowłosa pielęgniarka wprowadza ich do środka. W łóżku z podniesionym oparciem siedzi chudy mężczyzna o wyrazistych rysach. Malin myśli, że jest podobny do swojego syna, swojego martwego syna, i jak by to było, gdyby Tove umarła, gdyby zginęła w tym mieszkaniu w Finspangu ponad rok temu?

Wtedy wszystko by się skończyło.

Jednak w wodnistych, szarych oczach alkoholika nie ma 169

smutku, tylko samotność. Jedna jego dłoń jest zaciśnięta, przykurcz poudarowy, to prawa ręka, więc może wciąż jest w stanie mówić, ale jeśli jest niemy albo trudno mu odróżnić sny od rzeczywistości? Jak wtedy poprowadzą tę rozmowę?

Jedno z oczu mężczyzny, to po sparaliżowanej stronie, wydaje się ślepe, nieruchome w oczodole, jak zepsuta kamera, która widzi tylko czerń.

-Wejdźcie - mówi Ake Petersson, gdy druga pielęgniarka opuszcza pokój. Jeden z kącików ust opada mu przy mówieniu, ale nie ma to wpływu na jego wymowę. - Możecie usiąść tam.

Pod ścianą stoi podniszczona zielona sofa, brązowe zasłony są zaciągnięte, odcinają jesień panującą na zewnątrz.

Sofa jest niewygodna i Malin patrzy na oprawione w ramki zdjęcia na stoliku obok łóżka: kobieta, młoda i piękna, na kolejnym zdjęciu starsza, ze zmęczonymi życiem oczyma.

- Eva. Zabrał ją reumatyzm. Zmarła z powodu reakcji alergicznej na kortyzon, kiedy miała czterdzieści pięć lat. Wzięła wszystko, co było w domu, pewnie miała nadzieję, że przeszła jej alergia na ten lek.

Jerry.

Twoja matka.

Więc ona też umarła. Ile mogłeś mieć wtedy lat? Dziesięć, piętnaście?

- To wtedy przestałem pić - mówi Ake Petersson i brzmi to tak, jakby chciał im opowiedzieć całą historię swojego życia, jakby czuł ulgę, że wreszcie ktoś chce go słuchać. - Wziąłem się w garść. Przestałem pić w parku, zrobiłem kurs komputerowy. Pracowałem przy wprowadzaniu danych.

- Nasze kondolenq"e - wtrąca Zeke.

- Chcieliśmy z tym zaczekać, ale... - dodaje Malin.

- Był moim synem - mówi Ake Petersson. - Ale nie mieliśmy ze sobą żadnego kontaktu od ponad dwudziestu pięciu lat.

- Pokłóciliście się? - pyta Malin.

- Nie, nawet nie to. Po prostu nie chciałem mieć ze mną do czynienia. Nigdy nie zrozumiałem dlaczego. Bądź co bądź, przestałem przecież pić, kiedy miał szesnaście lat.

Może go skrzywdziłeś, myśli Malin. Czy to dlatego?

- Może i nie byłem najlepszym ojcem na świecie, ale nigdy i hłopaka nie uderzyłem. Nic w tym stylu. Wydaje mi się, że po prostu chciałem uciec od wszystkiego, co w jego oczach reprezentowałem. Wydaje mi się, że już jako dziecko tak czułem. Był ode mnie lepszy. Po prostu.

- Jaki był jako dziecko? - pyta Malin.

- Nie sposób było nad nim zapanować. Robił różne dziwne rzeczy, bił się, ale dobrze mu szło w szkole. Mieszkaliśmy w kamienicy czynszowej w Berga i chodził do szkoły w Ane-stad z dziećmi lekarzy. Był lepszy od nich.

- A jaki był dla pana? Pan dla niego?

Słowa padające z ust Akego Peterssona brzmią szczerze.

-Kiedy był mały, dużo pracowałem. Cholernie dużo. To było w tych latach, kiedy w przemyśle lotniczym świetnie się wiodło.

Stary człowiek odwraca się na łóżku, wyciąga rękę po szklanekę stojącą na stoliku obok i pije przezroczysty płyn przez słomkę.

- Wie pan, czy miał jakichś wrogów?

Głos Zekego jest miękki, pełen nadziei.

-Nie wiedziałem o jego życiu nic więcej prócz tego, co można było wyczytać w gazetach.

- Wie pan, dlaczego kupił Skogsa? Dlaczego chciał wrócić w rodzinne strony?

- Nie. Dzwoniłem do niego wtedy, ale za każdym razem, gdy słyszał mój głos, odkładał słuchawkę.

- Może coś się stało, kiedy jeszcze mieliście ze sobą kontakt?

Stary człowiek jakby się zastanawiał, jego źrenice się zwięźają, a potem mówi:

- Nie. Pewnie, był szczególnym człowiekiem, wyjątkowym, ale nic dziwnego się nigdy nie zdarzyło. Tak naprawdę to już wtedy bardzo mało wiedziałem o jego życiu. Kiedy był w średniej szkole. Zanim przeprowadził się do Lund. Nigdy mi nic nie opowiadał.

- Jest pan pewien? - pyta Malin. - Proszę spróbować sobie przypomnieć.

Starzec przymyka oczy, milczy.

- Mógł być homoseksualistą?

Ake Petersson wciąż skupiony, odpowiada spokojnie:

- Nie mieści mi się to w głowie. Pamiętam, że lubił dziewczyny. Kiedy chodził do średniej szkoły, często wieczorem dzwoniły jakieś dziewczyny.

- A jaki był Jerry w szkole, tak bardziej konkretnie?

- Nie wiem. Wtedy już się ode mnie odwrócił.

- Więc Jerry przeprowadził się do Lund?

- Tak. Ale wtedy całkowicie zerwał kontakt.

- A jak było przedtem?

Nie odpowiada na to pytanie, zamiast tego mówi:

- Płakałem po Jerry'm już dawno temu. Wiedziałem, że już nigdy do mnie nie wróci, więc z góry to przebolełem, i teraz, kiedy go nie ma, czuję to co wtedy. Dziwne, prawda? Mój syn nie żyje, został zamordowany, a mnie stać jedynie na wracanie do dawnych uczuć.

Malin czuje, jak jej zamarynowany mózg nie potrafi zapanować nad myślami, które błądzą na Teneryfę, do mamy i taty na balkonie, w słońcu, na balkonie, który widziała tylko na zdjęciach.

Z jej pamięci wynurzają się czarno-białe obrazy: jest mała i chodzi po pokoju, i pyta o mamę, ale mamy tam nie ma, nie wraca do domu. Mała Malin pyta tatę, dokąd mama poszła, a on nie odpowiada. A może jednak odpowiada?

Dziwne, myśli Malin. Zawsze pamiętałam mamę, myślałam, że była przy mnie bez przerwy, a jednak nie. Może jej jednak nie było?

Tove.

Nie ma mnie przy tobie. I robi jej się strasznie niedobrze, ale powstrzymuje odruch wymiotny. Zmusza się, żeby powrócić do teraźniejszości, spogląda na ścianę pokoju. Półka pełna książek. Literatura piękna, znani, trudni pisarze: ci, których Tove połyka, a którym ona sama nie daje rady.

- Zaczęłam czytać późno w życiu - mówi Ake Petersson. - Kiedy zacząłem potrzebować czegoś, w co mógłbym wierzyć.

toto!

Tata, tato, tato!

Co miałem z tobą zrobić? Podnieść na ciebie rękę?

*Wiesz, dlaczego mama wzięła kortyzon, wiesz, że ból ciała w kon-
ni stał się bólem duszy.*

*Zwlokłeś się z tej zielonej sofy ze względu na samego siebie, nie ze
względem na mnie, i czym się zająłeś? Siedziałeś i programowałeś
najprostszy kod, jedyny, na jaki było stać twój rozpity mózg.*

*Widzę cię na łóżku, twoją skurczoną, sparaliżowaną połowę ciała,
która jest jak fizyczne ucieleśnienie tej niemoty, jaka zawsze charak-
teryzowała twoją stronę naszego rodu, biernych, nieobrotnych męż-
czyzn.*

*Próbowałeś się do mnie zbliżyć, tato. Ale nie odbierałem twoich
telefonów. Co mielibyśmy sobie powiedzieć? Do diabła, mieliśmy sie-
dzieć w Berga w święta i jeść serdelki? Klopsy, sardele z ziemniaka-
mi, marynowane śledzie?*

Przestałeś próbować się do mnie zbliżyć.

*Niektóre drzwi trzeba zamknąć, żeby inne mogły się otworzyć. Tak
jak teraz, raz na zawsze. A jednak czy jest coś bardziej podniecającego
niż zamknięte drzwi?*

*Miałem nadzieję, że się odezwiesz, gdy sprowadziłem się z powro-
tem w rodzinne strony. Gdy kupiłem zamek. Mogłem kazać cię tam
przywieźć, mogłem ci pokazać swój dom.*

Ktoś inny też mógł przyjechać.

*jest w tobie coś melancholijnego, teraz, gdy prosisz pielęgniarkę,
by odsunęła zasłonę, żebyś mógł wyglądać na deszcz. Mówisz do niej
przyjaźnie, z potulnością, którą opanowałeś do perfekcji.*

Patrzysz na pokój.

Twoje jedno oko jest ślepe po udarze.

Mrugasz.

*Tak jakbyś widział coś, czego nigdy wcześniej nie byłeś w stanie
dostrzec.*

Czy to mnie widzisz, tato?

I telefon w drżącej dłoni. Duży pokój pogrążony w ciemności, tak jakby ciemność mogła uspokoić nerwy.

Boję się, denerwuję, bo mam zadzwonić do własnej córki. Od dwóch dni boję się z nią rozmawiać. Czy to prawda?

Trzeci sygnał zostaje przerwany. Trzaski. Jakiś głos.

- Tove? To ty?

- Mama!

- Zle cię słyszę. Z jakiegoś powodu mam złe połączenie.

- Ale ja cię słyszę.

- Poczekaj, przejdę do okna w dużym pokoju, wiesz, że tam mam lepszy odbiór.

- Zrób tak, mam, podejdź do okna. -1 co, słyszysz mnie teraz lepiej?

- Słyszę cię lepiej.

- Przyjedziesz tu dziś wieczorem?

- Już jest wieczór, mam. Jestem u taty.

- Więc nie przyjedziesz?

- Jest trochę późno.

- No to spotkajmy się jutro.

- Na jutro umówiłam się z Filipką. Idziemy do kina. Może potem mogłabym przenocować w mieście?

- Myślę, że będę w domu. Pewnie czytałaś w gazecie o tym zamordowanym człowieku znalezionym w Skogsa. No wiesz, niewykluczone, że będę musiała pracować. Ale wtedy poradzisz chyba sobie tutaj sama? Może będę też musiała pojechać

174 do domu i zabrać trochę ciuchów i jakieś drobiazgi.

- Pogadamy jutro, mamó.

I Tove kończy połączenie, a Malin patrzy przez okno w dużym pokoju na kościół, który deszcz smaga tak, jakby chciał wygnać z niego Boga.

Tove.

Jest tak, jakby była jakaś przepaść między tym, co powinnam zrobić, i tym, co faktycznie robię. Malin chce jeszcze raz zadzwonić do córki, tylko po to, by usłyszeć jej głos, spróbować wyjaśnić, że jest taka, jaka jest, robi to, co robi, i sama nawet nie wie dlaczego.

Ale Tove chciała szybko zakończyć rozmowę, nie połknęła haczyka, który podsunęła jej matka, że być może mogłaby jutro przywieźć ubrania.

Dlaczego?

Czy Tove wierzy, że wrócę?

Może tak być?

Nie może ze mną wytrzymać? Wycofuje się, żeby chronić samą siebie?

W wodzie bijącej z kratek ściekowych płyną nabrzmiące ciała. Błyszczące, pokryte srebrnymi kroplami, ich białe zęby świecą w ciemności.

Skąd się biorą te wszystkie szczury? - myśli Malin. Z jakiejś podziemnej jaskini, w której próbujemy ukryć wszystkie nasze ludzkie niedoskonałości?

I wtedy myśli o swojej rozmowie z Tove, o tym, jak ludzie potrafią unikać rozmawiania ze sobą o tym, co naprawdę ważne, chociaż ich wspólny świat się wali. O tym, jak mogą to robić matka z córką. I jak ona sama nigdy nie porozmawiała z własną matką.

Reszta dnia nie przyniosła Zekemu i jej nic nowego. Odbyła się kolejna konferencja prasowa, na której Karim nie dał nic sępom.

Jednak Lovisa Segerberg, Johan Jakobsson i Waldemar Ekenberg mieli dobry dzień w swoim dusznym pokoju roboczym.

W jakiś sposób, który Malin wydał się cudem, Lovisa zna- 175

laźła dane świadczące o tym, że rodzina Fagelsjő zbankrutowała i w związku z tym była zmuszona sprzedać Skogsa Jer-ry'emu Peterssonowi.

Stłoczyli się w pokoju bez okien, zawalonym papierami i teczkami. Cała grupa śledcza, w tym również Sven Sjóman i Karim Akbar.

Dochodziła szesnasta. W ciągu dnia Waldemar nabawił się gdzieś siniaków na twarzy, o które żadne z nich nie chciało pytać. Jedno oko miał zapuchnięte i granatowe, a policzek przybrał niebieskofioletowy odcień.

- Wpadłem na pieprzony słup latarni, kiedy kupowałem fajki - wyjaśnił.

Jednak wszyscy w pokoju wiedzieli, że prawda jest zupełnie inna. Malin pomyślała: Może w końcu musiałeś posmakować trochę własnego gorzkiego lekarstwa.

Waldemar wyglądał na bardziej wykończonego niż zwykle, gdy oświadczył:

- Dopiero dwa dni śledztwa, a już mam dość tego pieprzonego papierkowego Hadesu.

Wszyscy się roześmiali, słysząc to wyrażenie.

Papierkowy Hades.

Królestwo zmarłych dla papierów, policyjne piekło na ziemi.

Malin zdała relację ze swojej rozmowy z Goldmanem, że wydawał się niemal rozbawiony tym, że do niego dzwoni, a potem opowiedzieli o ojcu Peterssona.

Nagła powaga, gdy głos zabrała Lovisa.

- Uzyskałam dane o transakcjach, które przeprowadził Fre-drik Fagelsjő w Östgötabanken dwa lata temu. Najwyraźniej kupił opcje na duże pozycje, wystawił dużo i większość zwróciła się przeciwko niemu.

- No i? - spytał Zeke, a Malin się ucieszyła, że zadał to pytanie.

- Stracił dużo, bardzo dużo pieniędzy. O wiele więcej, niż zainwestował. Ale dzień po sprzedaży Skogsa długi zostały uregulowane.

- Chcesz przez to powiedzieć, że zamek został sprzedany, 176 żeby je pokryć? - spytał Karim.

Lovisa kiwnęła głową.

- Tak. Najprawdopodobniej.

- No to stary Axel Fagelsjo nie był raczej zadowolony z syna - stwierdziła Malin.

- Najwyraźniej - odparła Lovisa. - Nie mogę na to znaleźć niepodważalnych dowodów, ale może dostał jakiegoś rodzaju pełnomocnictwo, żeby obracać pieniędzmi rodziny.

- Pracuje przecież w banku - stwierdził Sven. - Mógł robić własne interesy.

- Czy to się nie kłóci z dobrymi praktykami bankowymi? - spytał Waldemar.

- Tylko jeśli sam jesteś maklerem - wyjaśniła Lovisa.

- Jest doradcą - stwierdził Zeke. - To było w sprawozdaniu rocznym.

- Teraz wiemy, że bankructwo rodziny Fagelsjo to nie była tylko plotka - powiedział Sven. - To wzmacnia podejrzenia wobec Fredrika Fagelsjo. Teraz wiemy już na pewno, że mógł być zły, a wręcz wściekły, że rodzina straciła Skogsa, i może wyładował tę złość na Peterssonie. Wiemy też, że najprawdopodobniej on doprowadził do tego, że stracili posiadłość. Oczywiście zapytamy go o to podczas przesłuchania już jutro rano. Ale to chyba nie jest najlepszy pomysł, żeby jeszcze wypytywać o to pozostałych członków rodziny? Zataili już przecież prawdę, aby chronić dobre imię rodu, i tylko zwarliby szyki, więc musimy poczekać, aż będziemy mieli coś konkretniejszego. Wiem, że wszyscy mamy wrażenie, że ukrywają przed nami mnóstwo rzeczy, ale teraz spróbujemy po prostu poznać ich najgłębsze tajemnice w inny sposób, a nie od nich samych. Jeśli znajdziemy coś konkretnego, to ewentualne przesłuchanie może się okazać o wiele skuteczniejsze. A może Fredrik Fagelsjo coś nam wyjawia. Możliwe, że zacznie mięknąć w celi.

Malin myśli o Fredriku Fagelsjo, wyobraża sobie, jak leży skulony na pryczy w celi, tak bardzo samotny, jak może być samotny tylko morderca.

Ale trudno jej było w to uwierzyć.

Później słowa Svena:

- Znaleźliście coś jeszcze?

- Nie - zaprzeczyli zgodnie Waldemar, Lovisa i Johan. - Dalej pracujemy nad warunkami dzierżawy i tą spółką

z branży informatycznej - stwierdziła Lovisa. - Poza tym badamy też inne możliwe relacje biznesowe i kwestie dziedziczenia. Wygląda na to, że nie ma żadnego testamentu.

- W każdym razie dobra robota - chwali Karim.

Malin myśli, że brzmi tak, jakby w związku z rozwodem opuściły go siły. Wie, że on podziela jej żal, że tęskni za żoną i synem, że próbuje znaleźć jakieś drzwi do codzienności, jakąś szczelinę, przez którą mógłby się przecisnąć.

Malin siedzi na sofie w dużym pokoju.

Próbuje się opierać, dokładnie tak jak musiał to robić Ake Petersson. Najlepiej byłoby wylać resztę tequilę z butelki do zlewu w kuchni, ale nie potrafi się do tego zmusić. Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać. Może teraz?

Powinam była poprosić Tove, żeby wzięła taksówkę. Każda inna matka zrobiłaby wszystko, żeby tylko móc się spotkać z córką.

Ale nie ja.

Pozwoliłam, żeby ta rozmowa przebrzmiała w nicość, nie nalegałam.

Jak brzmiał głos Tove? Była rozczarowana, samotna? Neutralna? Zdystansowana? Tak naprawdę nie chciała tu przyjechać.

Teraz uległam strachowi, myśli Malin. Zrozumiałam, że nie będę cię mogła zawsze ratować, Tove?

Możesz umrzeć, ukochana córko. Nauczyłam się tego ubiegłego lata. I dlatego nie śmiem cię kochać, zajmować się tobą, bo tak się cholernie boję tego bólu, sama myśl o tym sprawia, że chcę zetrzeć własną świadomość.

Co jest ze mną nie tak, że nie jestem nawet zdolna do miłości, nawet tej uwarunkowanej genetycznie? Tove, rozumiem, jeśli mnie nienawidzisz.

Powinam była powiedzieć, że chcę rozmawiać z Jannem. 178
Zapytać, czy mogę przyjechać po rzeczy.

Ale ze wszystkich rzeczy, które zostały w Malmslatt, brakuje jej tylko papierów ze sprawy Marii Murvall. Chciałaby mieć je teraz przy sobie, rozłożyć na podłodze i spróbować znaleźć jakiś system, stworzyć jakiś wzór, konstrukcję, która wyjaśniłaby wszystkie tajemnice, sprawiłaby, że wszystkie niuanse okazałyby się czymś oczywistym, rozwiązaniem zagadki, które pozwoliłoby jej zrozumieć samą siebie.

Ale co z tego, że te papiery zostały w Malmslatt?

Bo to oczywiście beznadziejne przedsięwzięcie.

Jerry Petersson.

Jerry.

Czynszowe mieszkanie w Berga, może nie większe niż moje, albo nawet mniejsze. Bił cię? Tak? Po pijaku. A może tylko się go bałeś? Uderzyłam Jannego. Czy to to samo? Nie. Uderzyć dziecko to coś innego, prawda? A twoja mama, czy była oszołomiona tabletkami przeciwbólowymi? Czy wzięła kortyzon, żeby skończyć z tym wszystkim? Widziałeś, jak to się działo. Nie tak jak ten cichy dramat u mnie w domu, w willi w Sturefors, gdy mama i tata żyli obok siebie w milczeniu, wszystkie te słowa, które powinny były paść, ale pozostały niewypowiedziane, to, jak mama mnie unikała, choć nie rozumiałam dlaczego, jak tęskniłam za jej ramionami, ale one nigdy nie były otwarte. Można uderzyć, nie bijąc.

Oboje przyjechaliśmy do Sztokholmu, Jerry, ale twoja motywacja musiała być silniejsza, lepiej ukierunkowana niż moja, bo moja nie ma żadnego kierunku, prawda? Ty biłeś ludzi, ja biję w worek z piaskiem w siłowni. Piję. Ale tak właściwie to nie jest jakaś wielka różnica.

Zerwałeś kontakty z ojcem. Moje zerwanie z ojcem było długie i bolesne, z mamą było tak od początku mojego dorosłego życia. A może wcześniej? Może mama odsunęła się ode mnie na samym początku?

Malin chce przestać myśleć, więc włącza telewizor. Wiadomości dobiegają końca i nie wie, czy mówili coś o jej sprawie, ale na pewno były na ten temat jakieś relacje. W podsumowaniu pokazują zdjęcia z jakiegoś sądu w Stanach Zjednoczonych, jak przeciwnik aborcji strzela do lekarza, który wykonywał zabieg przerwania ciąży w swojej klinice.

Wyłącza telewizor.

Wczesny wieczór.

Całe ciało świerzbi z niepokoju i Malin kładzie się do łóżka, ale jedyny kolor, jaki widzi, gdy przymyka oczy, to ciemnobrązowa barwa tequili, nieskończenie kusząca.

Znów otwiera oczy.

Fredrik Fagelsjón.

Jego wystraszona twarz. Ciało pod kocem na pryczy w celi aresztu. Przestraszyłeś się po prostu? A może to ty uległeś wściekłości i odebrałeś życie Jerry'emu Peterssonowi?

Jeśli twoje nieudane interesy kosztowały rodzinę utratę zamku, twój ojciec musi tobą gardzić, może nawet cię nienawidzi. Być może twoja siostra Katarina czuje to samo, ale przecież jest twoją siostrą. Malin czuje, jak ściska jej się żołądek, miękka, lecz jednocześnie smutna tęsknota za rodzeństwem, którego nigdy nie miała.

I Jeny Petersson, który pojawia się w samym środku rodzinnego skandalu, a potem zostaje znaleziony martwy w fosie, zamieszkiwanej, jak mówią, przez niespokojne duchy rosyjskich żołnierzy. Jochen Goldman.

Ludzie, którzy podobno zniknęli. Zostali zamordowani.

Bezwzględność i niedoskonałości.

Malin znów zamyka oczy.

Czeka na sen, czuje, jak jej świadomość odplywa, i wkrótce świat na zewnątrz jest już tylko elektrycznym punktem wśród wielu innych, między którymi błądzi jej umysł.

Wiatr za oknem powoli cichnie, słychać tylko trzaski i szept, zastanawia się: Kto czegoś ode mnie chce?

Czy to ten głos z lasu, z *Hamleta*?

Nie ma żadnych postaci, nie chcą się ukazać; na granicy między snem a jawą Malin postrzega, że ten, a może ci, ktokolwiek to jest, boi się własnego losu, boi się obcować z własnym bólem.

I wtedy nadchodzi sen, widzi w nim kosiarkę poruszającą się po trawie i widzi to z perspektywy jej noży. To nie jest ręczna kosiarka, taka, jaką miał jej ojciec, tylko czerwona, marki Stiga, która goni parę drobnych, brudnych stóp po mokrej od

rosy trawie. Widzi, jak noże liżą pięty chłopca, słyszy krzyk: „Teraz zjedzą ci stopy, pokroją na kawałki te twoje wstrętne, małe stopy”.

Obrazy we śnie są czarno-białe, ale maszyna i noże są czerwone, a ryk silnika i opary benzyny zagłuszają jej myśli.

Wtedy chłopiec się zatrzymuje. Pozwala, by ostrza kosiarki przejechały po jego stopach.

Malin chce zobaczyć jego twarz, lecz przez cały czas jest od niej odwrócony.

Chłopiec biegnie na zakrwawionych kikutach nóg, rozpędza się i znika z jej pola widzenia.

NIEDZIELA, DWUDZIESTY SZÓSTY PAŹDZIERNIKA

Malin Fors miała sen o człowieku, który jest błędem, nie jest niechciany, ale jest błędem. Nie pamięta człowieka, nie pamięta nawet snu; ale czuje jego historię gdzieś w sobie, jak słabe trzęsienie ziemi, gdy stoi przy ladzie ze świeżym pieczywem w cukierni Filbyter, którą zaczęli otwierać w niedziele, żeby dorównać konkurencji, jaką są dla niej kawiarnie w centrum handlowym Tornby.

Pusto w lodówce. Gdy się obudziła, była głodna. Artykuły higieniczne, ciuchy, tylko na to wystarczyło jej siły.

Zeke jest już w drodze, mają szybko coś zjeść przed poranną odprawą w komisariacie. Niedziela jest jak zwyczajny poniedziałek, gdy prowadzą takie duże śledztwo jak to, praca w sobotę, praca w niedzielę.

Dwa dni od znalezienia ciała, nie ma co nawet myśleć o wolnym, teraz, kiedy śledztwo jest jeszcze takie świeże.

Właściwie to powinna mieć wolne. Porobić coś z Tove. Pójść z nią na pływalnię czy gdziekolwiek. Może nawet powinna przywieźć te pieprzone rzeczy, pogadać z Jannem, mogliby razem zjeść lunch, niedzielną pieczeń z sosem śmietanowym.

To by mogło zadziałać.

Prawda?

Całe to życie wydaje się jakąś kpina. Malin pragnie, żeby 182 Janne zadzwonił i na nią nawrzeszczał, ale nawet tego nie ro-

bi. Może ja powinnam zadzwonić i nakrzyczeć na niego, że nie dzwoni i nie jest zły? Że nie robi mi wyrzutów chociaż za to, że nie dbam o Tove? Ale on chyba rozumie, że muszę dzisiaj pracować, wszystkie media przecież piszą o naszej sprawie.

Siada na piętrze, z trzema kanapkami z białego chleba z serem i dużą filiżanką kawy patrzy na opustoszały plac; przezroczysty, cichy deszcz sprawia, że szyldy sklepów blakną i tylko gołębie chodzą po placu i dziobią tak jak zwykle.

Zdażyła zjeść jedną z kanapek, zanim zobaczyła przy schodach ogoloną czaszkę Zekego. On uśmiecha się na jej widok, woła w jej stronę.

- O wiele lepiej dzisiaj wyglądasz. Do twarzy ci w tej bluzce.

- Zamknij się - mówi Malin, a Zeke się uśmiecha.

- Wiesz, że po prostu martwię się o ciebie. A ta bluzeczka jest ładna.

Malin poprawia jasnoniebieską bluzkę, którą dziś włożyła, jedną z kupionych w H&M. Może Zeke mówi poważnie, musiała wyglądać wczoraj jak krowa w tej czerwonej bluzce.

Przyszedł z pustymi rękoma i Malin już ma go zapytać, czy coś zje, ale w tej samej chwili dzwoni jej telefon. Numer Svena na wyświetlaczu. Jego ponaglący głos.

- Malin, dzwonił jakiś gość, powiedział, że był adwokatem Peterssona. Chciał się spotkać z kimś z grupy śledczej. Wygląda na to, że chce nam coś opowiedzieć.

Twarz Zekego robi się czujna.

- To adwokat ma adwokata? - pyta Malin.

- Miał, Malin. Oni wszyscy mają.

- A gdzie on jest?

- To niejaki Max Persson, biuro przy Hamngatan 12, niedaleko Tradgardstorget.

- I on tam jest w niedzielę rano? -Tak.

- A przesłuchanie Fredrika Fagelsjó?

- Sam się tym zajmę. Bez adwokata. W formie takiej uprzejmej rozmowy w celi.

- Dobra, pogadamy z tym adwokatem. Jemy śniadanie w Filbyter. Możemy opuścić poranne spotkanie?

- Tak. Przecież od wczoraj niewiele się wydarzyło - mówi Sven.
 - Pojawilo się w ogóle coś nowego? - pyta Malin.
 - Nic. Żadnego cynku.
 - Zobaczmy, czy ten adwokat zdradzi nam jakieś tajemnice - mówi Malin.
 - Miejmy nadzieję.
 - To nasze tajemnice czynią z nas ludzi - stwierdza Malin. -Czy to nie twoje słowa, Sven?
- Sven się śmieje, a potem kończy połączenie.

Biuro Maksa Perssona znajduje się na najwyższym piętrze budynku z żółtej cegły z lat pięćdziesiątych. Wzdłuż pokoju biegnie taras, na którym kilka opuszczonych drewnianych krzeseł toczy nierówną walkę z jesienną pogodą, i Malin niemal widzi, jak lakier rozpuszcza się na deszczu.

Malin i Zeke zajęli czerwone fotele. Max Persson siedzi przygarbiony na biurowym krześle po drugiej stronie gigantycznego biurka ze szklanym blatem.

Na podłodze różowy chiński dywan.

Na ścianach obrazy w jaskrawych barwach, sylwetki, które musiały zostać namalowane aerografem. Mężczyzna za biurkiem jest w tym samym wieku co zmarły Jerry Petersson. Ma na sobie szary, lśniący garnitur, jego brak gustu jeszcze bardziej podkreślają różowy krawat i jasnoniebieska koszula.

Najwyraźniej Max Persson lubi samego siebie, myśli Malin.

Pajac-adwokat.

Ale całkiem przystojny.

Wyraziste rysy, szerokie kości policzkowe.

-Jak rozumiemy, był pan adwokatem Jerry'ego Petersso-na - zaczyna Zeke.

- Nie, nie byłem. Prawdą jest natomiast, że pomagałem Jerry'emu przy przejęciu Skogsa, przy sporządzaniu umowy. Gdy chodzi o tak wielką i niezwykłą posiadłość, umowa może być bardzo obszerna i skomplikowana.

- Więc nie był pan jego adwokatem? ■

- Absolutnie nie - odpowiada Max Persson.

Nagle Malin pojmuję, że Max Persson chce im opowiedzieć COŚ poufnego, ale nie chce dopuścić do tego, by Jerry'ego Perssona postrzegano jako jego byłego klienta, żeby nie mógł zostać oskarżony o naruszenie obowiązku milczenia, który spoczywa na adwokacie.

- Jerry'emu... - mówi Malin. - Byliście przyjaciółmi?

- Nie, właściwie to nie do końca. Studiowaliśmy razem w Lund, a potem wylądowałem tu, w Linköpingu, w jego rodzinnym mieście.

- Więc znaliście się od dawna? - dopytuje Zeke. Max

Persson kiwa głową.

- A teraz chciałby nam pan coś opowiedzieć? - pyta Malin.

Adwokat ponownie kiwa głową.

A potem zaczyna mówić.

- Tak jak wspominałem, pomagałem Jerry'emu przy zakupie Skogsa. Spotkałem Axela Fagelsjóa i jego dorosłe dzieci w związku z oględzinami nieruchomości i muszę powiedzieć, że wydawali się bardzo rozgoryczeni sprzedażą. Nie, żeby powiedzieli coś konkretnego, ale przez cały czas miałem wrażenie, że nie chcą tej sprzedaży. Proszę mnie nie pytać dlaczego.

- Słyszał pan coś o tym, że mieli problemy z pieniędzmi? - pyta Malin. - Wspominali o tym?

- Nie, ale tak jak mówiłem, miałem wrażenie, że raczej są zmuszeni do tej sprzedaży, niż jej chcą. I to wrażenie jeszcze się nasiliło po tym, co się stało w ubiegłym tygodniu.

Max Persson, wyraźnie zachwycony, że może przydać codzienności trochę dramatyzmu, zawiesza głos.

- No i? - dopytuje Malin.

- No i na początku ubiegłego tygodnia skontaktował się ze mną Axel Fagelsjói. Chciał odkupić zamek i ziemię. Był gotów zapłacić dwadzieścia milionów więcej, niż wynosiła cena sprzedaży. Był zdecydowany. Przekazałem ofertę Jerry'emu, ale on tylko potrząsnął głową, nieźle się uśmieł i powiedział mi, żeby odmówić staremu.

Kłamstwa.

Rodziny majątek, którego właściwie nie chcieli sprzedać. Ucieczka przed policją. „Nadeszła pora”. Nie ma mowy. Nie chodziło o styl życia, który stał się przeżytkiem.



Myśli przelatują Malin przez głowę, myśli o Axelu Fagelsjów, o jego potężnej posturze i okazałym mieszkaniu.

Może powinni się bardziej skupić na starym niż na Fredri-ku? Kto wie, do czego ten człowiek może być zdolny.

- Jak Fagelsjów przyjął odpowiedź Peterssona?

- Dostał napadu szału przy telefonie. Był naprawdę wściekły. Niemal się bałem, że dostanie udaru. Brzmiało to tak, jakby rzucał jakimiś przedmiotami.

Malin kiwa do Zekego, a on do niej.

- Wie pan coś jeszcze o Jerry'm Peterssonie, co według pana powinniśmy wiedzieć?

- Nie kontaktowaliśmy się często - mówi Persson. - Nawet po tym, jak przeprowadził się do miasta. Jerry był samotnym wilkiem. Był taki już w Lund. Niesamowicie bystry, wystarczyło, że poświęcał na naukę jedną piątą tego czasu co my, mimo to był samotnikiem. Nie potrzebował innych tak jak my, zwyczajni ludzie. Nigdy nie szukał kogoś, kogo mógłby pokochać, szukał takich, którzy mogli mu przynieść jakąś korzyść. Takich jak ja.

- Mieliliśmy trudności ze znalezieniem jego przyjaciół i znajomych - wyznaje Malin.

- Nikogo takiego nie znajdziecie - stwierdza Max Persson. - Przyjaźń to nie było coś dla Jerry'ego Peterssona.

Stoją w bramie budynku, w którym Max Persson ma biuro. W tej chwili na zewnątrz leje deszcz, krople bębnią o ziemię jak szarańcza, która chce zniszczyć wszystko na swojej drodze.

Na zewnątrz ani żywej duszy.

Miasto sparaliżowane jesienią.

- Sfrustrowany hrabia Axel Fagelsjów - mówi Zeke.


- Kocha te ziemie - stwierdza Malin.

-1 chciał je odzyskać, ale mu się nie udało.

- Jerry Petersson nie zgodził się ich odsprzedać.

- Tak jakby posiadał jego duszę - dodaje Zeke.

-1 Fredrik Fagelsjów, który przegrał zamek - mówi Malin. -Może chciał wszystko naprawić? Gdyby tylko Petersson wypadł z gry, rodzina mogłaby odkupić zamek. Ale skąd pocho-



dzily te nowe pieniądze? Te, za które stary Fagelsjő chciał odkupić Skogsa? Zadzwońię do Svena, może jeszcze nie zdążył przesłuchać Fredrika.

Drzwi do celi w areszcie się odsuwają.

Fredrik Fagelsjő siedzi na łóżku z filiżanką kawy w ręce i czyta „Svenska Dagbladet”.

- Mogę na chwilę wejść? - pyta Sven Sjóman.

Patrzy na zatrzymanego, widzi jego ramiona jakby przygięte do ziemi przez jakąś niewidzialną siłę, spierzchniętą skórę na twarzy i jego oczy, które zdają się prosić o alkohol, tak samo jak czasem oczy Malin. Dam ci, wiesz co, w niewielkich porcjach, myśli Sven.

- Ehrenstierny tu nie ma.

- Chciałbym tylko zadać parę pytań - mówi Sven. - Może być?

- Może być.

Fredrik Fagelsjő robi wrażenie zmęczonego, tak jakby z czegoś zrezygnował, myśli Sven, albo jakby był bliski tego, by z czegoś zrezygnować.

Siada obok niego na wyściełanej pryczy, czuje zapach moczu z lśniącej toalety z nierdzewnej stali.

- Wielu ludzi tu w komisariacie też ma problem z alkoholem. Nie ma w tym nic wstydlivego - zaczyna Sven.

- Nie mam żadnego problemu.

- Nie, ale nikt tutaj nie patrzyłby na pana z góry, gdyby tak było.

- Dobrze wiedzieć.

-Wiemy o pana interesach z opcjami - mówi po chwili Sjóman.

Fredrik Fagelsjő nie odpowiada.

Sven rozgląda się po posępnej, samotnej celi.



- Ma pan dzieci, małe dzieci. I żonę. Tęskni pan za nimi? -Tak.

Tęsknię. Ale przecież wydaliście zakaz odwiedzin.

- Nie my. Prokurator. Dobrze się wam układa w rodzinie?

- Dobrze.

-To wspaniale. Ja i moja żona jesteśmy małżeństwem od ^g7



trzydziestu pięciu lat i codziennie cieszymy się swoim towarzystwem.

- Wystraszyłem się. Wpadłem w panikę. Nie chciałem przez siedzieć lata w Skanninge. Stracić całego lata z życia dzieci. Rozumie pan to?

Sven kiwa głową, przysuwa się bliżej.

- Pański ojciec musiał wpaść w szal z powodu pańskich interesów?

- Zawsze był trochę szalony - mówi Fredrik Fagelsjő i się uśmiecha. - Był zły.

- Mówiliście nam, że przyszła pora, by sprzedać zamek.

- Jeśli się pochodzi z takiego rodu jak nasz, człowiek robi wszystko, żeby chronić dobre imię rodziny.

- Więc może to właśnie pan zrobił - mówi Sven. - Pojechał pan do Skogsa tego ranka, żeby się zemścić na Jerry'ym Peters-sonie, który odebrał wam zamek? Tak było? Na pewno poczuje się pan lepiej, jeśli pan o tym opowie.

- Nie zamierzam nic opowiadać - mówi Fredrik Fagelsjő. Przesadnym gestem poprawia gazetę na kolanie. - Proszę mi wybaczyć.

- W zeszłym tygodniu próbowaliście odkupić zamek. Fredrik Fagelsjő podnosi wzrok znad gazety, jest zaskoczony. A więc wiecie? - zdaje się myśleć.

Sven kiwa głową.

- Wiemy. Skąd wzięliście pieniądze? Z tego, co zrozumiałem, przegrał pan cały rodzinny majątek i jeszcze trochę.

- Zdobyliśmy pieniądze. Ale to nie moja rzecz, żeby opowiadać, w jaki sposób.

- Skoro pan nie chce - mówi Sven. - Ale Petersson tylko wyśmiał pańskiego ojca. Chciał się pan przed nim pokazać jako silny człowiek, Fredriku? Chciał pan po prostu to wszystko naprawić? Potrafię sobie wyobrazić, jak trudno mieć takiego człowieka za ojca. Pan chciał to wszystko naprawić, pojechał pan tam rano i zabił Jerry'ego Peterssona? Zgadza się? I wpadł pan we wściekłość, prawda? Poczuje się pan lepiej, kiedy...

Fredrik Fagelsjő zrywa się z pryczy Ciska gazetą o ścianę i krzyczy:

- Nic nie zrobiłem! Nic nie zrobiłem!

IV Mieszkania czynszowe.

Szyld Stangastaden na tablicy ogłoszeń przy wejściu.

Za pierwszym razem, kiedy tutaj byli, Malin nie zwróciła uwagi na szyld spółdzielni komunalnej, założyła z góry, że ktoś taki jak Axel Fagelsjő musi być właścicielem swojego mieszkania.

Jakie trzeba mieć kontakty, żeby dostać mieszkanie czynszowe przy Drottninggatan z widokiem na Tradgardsfőreningen? Ale z drugiej strony, Axel Fagelsjő musi płacić czynsz za mieszkanie tak samo jak ja.

Winda w budynku jest zepsuta, więc Malin i Zeke muszą wchodzić po schodach do mieszkania na czwartym piętrze. Malin brakuje tchu.

Ma mdłości. Kiedy ma się mdłości tak często jak ja, myśli, stają się one naturalnym stanem. Wie, dlaczego ciało teraz protestuje, alkohol działa jak każdy inny narkotyk, gdy organizm chce więcej, protestuje, sprzeciwia się głośno, że cudowne paliwo przestało płynąć. Abstynencję wczorajszego wieczoru jej organizm odbiera jak obrazę.

Alkohol to ucieczka.

Oddechy, głębokie, ciężkie oddechy i kamienie na klatce schodowej rozmywają jej się przed oczyma, a wtedy zaczyna myśleć o rodzinie Fagelsjő.

Byli zmuszeni do sprzedaży.

Wcale nie nadeszła pora.

Podtrzymać pozory.

I chcieli odkupić zamek.

Ale za jakie pieniądze? Niedawno dzwonił Sven. Nie wyciągnął tego od Fredrika Fagelsjő, który stracił ogromne sumy. A Petersson po prostu wyśmiał ich ofertę.

Co robić w takiej sytuacji?

Kazać synowi zamordować Peterssona, żeby móc odkupić zamek i ziemię od spadkobiercy, za każdą cenę. A może samemu zabić go w napadzie szału?

Malin patrzy na Zekego, widzi, że pogrążył się w myślach, gdy wspinają się zdyszani w swoich mokrych od deszczu kurtkach, wie, że myśli o tym samym co ona, nie jest przecież głupszy od niej. Przez okna na klatce schodowej widzą bębniący o ziemię deszcz, duże i małe krople łączą się ze sobą, by po chwili rozbić się o asfalt.

Czy ojciec i syn Fagelsjő są mordercami? Malin czuje niepewność ściskającą żołądek, niepewność graniczącą z wątpliwościami.

Stoją przed drzwiami Axela Fagelsjő.

Zeke kiwa do niej głową, mówi:

- Zobaczmy, co ma do powiedzenia.

Malin dzwoni i po drugiej stronie pomalowanych na brązowo frontowych drzwi z masywnego drewna słyszą dźwięk dzwonka, a potem kroki. Wyczuwają, jak oko przysuwa się do wizjera, a potem kroki się oddalają.

Malin dzwoni jeszcze raz.

Dwa, trzy razy. Pięć minut, dziesięć.

- Nie zamierza otworzyć - mówi Zeke i się odwraca.

Axel Fagelsjő usiadł w swoim skórzanym fotelu, patrzy w ogień trzaskający na kominku, czuje jego ciepło na stopach.

Wrócili. Poliq'anci.

Pewnie musiało tak być.

Czy znają okoliczności sprzedaży? Wiedzą o błazeństwach Fredrika? Może nawet o próbie odkupienia zamku? Na pewno, myśli Axel Fagelsjő. A jednak nie są tacy głupi, potrafią dodać dwa do dwóch.

Ale prawda jest czasem banalna, często najbanalniejsza Z możliwych.

Tego dnia, kiedy Fredrik mu o wszystkim opowiedział, siedział w tym samym fotelu, tyle że na zamku, i miał ochotę urwać głowę własnemu potomkowi. Widział swojego syna, który leżał na plecach na dywanie niczym jakiś nic niewart chrząszcz i szlochał. Nie miał innego wyboru, musiał wziąć sprawy we własne ręce.

Bettino, zrobiłem to, co musiałem, to, co ci obiecałem.

Przyjrzałem się sobie w lustrze, spojrzałem na portrety na ścianach, zobaczyłem pogardę w oczach moich przodków, miłość w twoich oczach. Uratowałem naszego syna. A jednak uczucie, które ogarnęło go wtedy, w tamtym pokoju, było niemożliwe do zignorowania.

- Nie jesteś moim synem. Nie możesz nim być.

Nie rozmawiali ze sobą przez miesiąc. Potem zadzwonił do Fredrika, kazał mu przyjść i syn znowu płakał u jego stóp, opierał się o futrynę drzwi jak bezsilne, bezwolne zwierzę.

Pogarda i wstyd.

Miłość może mieścić w sobie i te uczucia. Ale jeśli nie będziemy o siebie dbać, kto to za nas zrobi?

Obiecałem twojej matce, że będę cię kochać, opiekować się tobą, wami, gdy leżała na łożu śmierci. Słyszałeś to? Podśluchiwałaś pod jej drzwiami tej ostatniej nocy? To jest jedyna rzecz, która uczyniła mnie słabym, Bettino, twoja choroba, twoje przekłete cierpienie, twoje znenawidzone męczarnie. Ufałem ci, Fredriku. Wbrew własnemu przekonaniu. A ty byłeś tak cholernie głupi, prowadziłeś po pijanemu i uciekałeś przed policją. Niepotrzebnie skierowałeś na nas uwagę. Powinieneś był zatrzymać samochód, przyjąć tę śmieszłą karę. Coś takiego możemy załatwić. Ale siedź tam w celi i poczuj konsekwencje własnych działań. Twoje dzieci, moje wnuki, nie rozpoznają w nich siebie. Może to przez ich matkę? Ta kobieta nigdy mnie nie polubiła, chociaż próbowałem.

Fredrik.

Może byłoby lepiej, gdybyś był upośledzony umysłowo?

Poliqanci, ta silna, inteligentna, zmęczona kobieta i ten 191

uparty mężczyzna. Nie wpuściłem ich. Jeśli mam im opowiedzieć więcej, będą mnie musieli zmusić wszystkimi środkami, jakie mają do dyspozycji.

Fredrik i Katarina.

Teraz robicie to, co chcecie, prawda? Pewnie to robią, Bettino.

No to w takim razie zobaczymy, co się wydarzy. Nawet jeśli Fredrik o wszystkim opowie, co zrobi policja z tymi informacjami? Nawet jeśli ci policjanci wydają się ulepieni z zupełnie innej gliny niż ty, ukochany, znienawidzony synu.

Katarina.

O nią nie muszę się niepokoić. Robi to, co mówię. Zawsze robiła. Ona jest z tych, co wszystko akceptują.

Axel Fagelsjő się podnosi. Podchodzi do okna wychodzącego na Tradgardsföreningen.

Czy ktoś stoi tam na deszczu, pod nagimi gałęziami drzew?

Czy ktoś tam stoi i patrzy w górę, na mnie? A może wzrok mnie myli?

Fredrik Fagelsjő poprosił Svena Sjómana, by do niego przyszedł.

Wskazał mu miejsce na pryczy i powiedział zrezygnowanym głosem:

-Nie musi mi pan wierzyć, ale nie mam nic wspólnego z zabójstwem Jerry'ego Peterssona. Nie sądzę, żeby ktokolwiek z rodziny był w to zamieszany, ale tak ja widzę tę historię. - Nabiera powietrza do płuc i ciągnie: - Gdy ojciec był zrozpaczony po śmierci mamy, dał mi dostęp do rodzinnego majątku, żebym zajmował się wszystkimi bieżącymi sprawami. To nawet pasowało, bo pracuję w banku i znam się na ekonomii. - Milknie, tak jakby czegoś żałował.

- Co pan robi w banku? - pyta Sven. - Jest pan doradcą, prawda?

- Pracuję przy transakcjach korporacyjnych. Często korzysta się z naszych usług, gdy drobne miejscowe przedsiębiorstwa zmieniają właściciela. Zajmuję się wtedy kwestiami związa-

192 nymi z finansowaniem.

- Lubi pan to?

- Może i nie jest to coś, o czym marzyłem, ale to przyzwoita praca w banku, gdy się mieszka w Linkópingu. No cóż. Ojciec ciężko zniósł śmierć mamy. Dał mi pełnomocnictwa, żebym się zajmował sprawami ekonomicznymi, dopóki on nie poczuje się lepiej.

-I wtedy zaczął pan robić interesy na opcjach?

-Tak.

Fredrik Fagelsjő opiera się o ścianę celi i zaczyna opowiadać o tym, jak zamek podupadał, o stosunkowo kiepskich interesach ojca, o śmierci matki, o tym, jak sam zaczął trochę na boku spekulować akcjami i jak sprawy wymknęły się spod kontroli, gdy uzyskał dostęp do rodzinnego majątku, chociaż chciał tak dobrze...

Głos Fredrika Fagelsjő słabnie i Svenowi wydaje się, że się rozplacze, ale udaje mu się jakoś powstrzymać łzy, choć przed chwilą był ich bliski.

- Wtedy ojciec był zmuszony napomknąć w odpowiednich kręgach, że Skogsa jest na sprzedaż, a wówczas zjawił się ten Petersson. Akurat on, ze wszystkich możliwych ludzi. Tylko dzięki moim i taty znajomościom w banku udało się tak to przeprowadzić, że uniknęliśmy bankructwa przed zawarciem umowy.

- Bank nie ponosił żadnej odpowiedzialności?

- Nie. Obracałem rodzinnym majątkiem jako osoba prywatna. To zostało po prostu wyciszone. A ojciec sprzedał Skogsa, żeby uratować mnie przed bankructwem. Obiecał mamie na łożu śmierci, że zaopiekuje się mną i Katariną za wszelką cenę. I to właśnie zrobił.

- To musiało być trudne - mówi Sven.

- To było trudne dla ojca - odpowiada Fredrik Fagelsjő, pochylając się. - A dla mnie? Ja tylko troszczyłem się o ojca. Może to trudno zrozumieć, ale tak było. A ojciec to Skogsa.

- A potem? Ostatnio? Spróbowaliście przecież odkupić zamek?

-Tak.

- Ale jak? Skąd mieliście pieniądze?

- Dostaliśmy spadek. Z duńskiej strony rodu. Pewna stara hrabina, właścicielka dużych fabryk, zostawiła nam sumę, która nawet dla nas jest pokaźna.

- I wtedy chcieliście odkupić zamek?

- Petersson po prostu wyśmiał ofertę ojca.

- A pan skonfrontował się z Peterssonem? - pyta Sven, a Fredrik zdaje się wahać, zanim odpowiada.

- Będę z panem całkowicie szczery. Tego wieczoru, zanim Peterssona znaleziono martwego, byłem tam. Wpuścił mnie do środka i zdecydowanie odrzucił moją propozycję. Zapytał, czy mam ochotę na szklaneczkę koniaku na zamku, w którym dorastałem. Miał tak arogancki uśmiech, że miałem ochotę go zabić, ale tego nie zrobiłem. - Fredrik Fagelsjő przerywa, splata dłonie na kolanach. - Chociaż powinienem - dodaje po chwili.

- Uważa pan, że powinien był pan go zabić?

- Tak. Powinienem był. Ale kiedy właściwie człowiek robi to, co powinien?

- Jakim samochodem pan tam pojechał?

- Moim czarnym volvo. Tym, który mi skonfiskowaliście.

- Kiedy rozmawialiśmy z pańską żoną, powiedziała, że był pan w domu.

- Chciała mnie chronić. To chyba naturalne. Że chroni się swoich?

Robi to, co powinien ?

Wątpliwości, wahanie. To jedna z wielu różnic między mną a tobą, Fredriku Fagelsjo. Ja się nigdy nie wahałem.

Jesteście zadufani w sobie.

I co zrobić z takimi jak wy? Próbujecie przejmować obyczaje naszego świata i wydaje wam się, że wasi przodkowie i wasze portfele mogą rozwiązać wszystkie wasze problemy? A jednak nie rozumiecie najwyższej władzy: władzy, by powiedzieć „nie” pieniądзом, niezależnie od tego, jak wielka byłaby suma.

*Wyśmianie oferty starego sprawiło mi ogromną przyjemność. Za-
194 proponowanie ci koniaku również.*

Jak mnie potraktowaliście? jak traktujecie się nawzajem? Jak myślicie, jak to jest, mieć czterdzieści otwartych, palących ran w duszy?

Czy to ty wróciłeś rano, Fredriku? Wystraszony i słaby, tak jak teraz, kiedy opowiadasz swoją historię. I gdzie tu godność? Gdzie godność w twoim opowiadaniu ?

Mamrotałeś pod nosem.

Ten policjant był niemal zażenowany, ale tego nie zauważyłeś.

Chciałeś pokazać swojemu ojcu, że się nadajesz do obracania wielkimi pieniędzmi. Ze ty, przed swoim komputerem, zrobisz coś, co twoi przodkowie robili dawno temu na polach bitew.

A ty, Malin, co powinnaś zrobić?

Powinnam zadzwonić do Tove.

Jestem jej mamą, myśli Malin.

Może będzie mogła przyjechać dziś wieczorem.

Jest już dawno po lunchu, gdy Zeke i Malin wchodzą przez wahadłowe drzwi do komisariatu.

Niedzielne pustki w otwartym biurze, deszcz niczym wieczny mur za oknem.

Powinnam, powinnam, powinnam zadzwonić do Tove, ale moja komórka jest wyłączona już od wielu godzin. Tęsknię za tym, żeby pójść na dół, do siłowni.

Dlaczego teraz potrafię tracić cię z oczu, Tove? Przez pierwszych dziesięć miesięcy po tej katastrofie w Finspangu to było nie do pomyślenia. Byłam do ciebie przyssana jak pijawka, tak to musiałaś odbierać. Żeby cię chronić czy może po to, by zagłuszyć własny strach? Poczucie winy?

Malin siada za biurkiem, włącza komputer, Zeke robi to samo. Po chwili podchodzi do nich Sven Sjóman. Mówi im, co właśnie usłyszał od Fredrika Fagelsjóa.

- Myślisz, że mógł to zrobić? - pyta Malin.

- Kto wie? Może doszło do kłótni? Może wtedy przypadkiem zabił Peterssona? - rozważa Sven.

Malin patrzy na niego, widzi wątpliwości, które zaczęły kiełkować w jego spojrzeniu. A może jednak Fredrik Fagelsjói jest tym, którego szukają? Wie, że Svenowi na pewno przeszło 196 to przez myśl. I wie równie dobrze, że będzie go traktował

jako głównego podejrzanego, póki nie zostanie udowodnione, że jest inaczej.

- Jeśli Fredrik Fagelsjő zamordował Peterssona w czwartek wieczorem, to nie zgadza się to z czasem popełnienia morderstwa, jaki znamy - mówi Malin. - Według Karin ciało leżało w wodzie zaledwie parę godzin, najwyżej cztery. A był martwy najwyżej od pięciu godzin, czyli mniej więcej od czwar-tej rano. Poza tym technicy nie znaleźli żadnych śladów krwi w samochodzie Fredrika Fagelsjő, a gdyby to zrobił, powinni byli je znaleźć, sprawca musiał być naprawdę mocno zakrwawiony. To, że ziarenka żwiru znalezione w jego oponach są tego samego rodzaju co żwir na wzgórzu zamkowym w Skogsa, można wytłumaczyć tym, że, jak sam twierdzi, był tam poprzedniego wieczoru, ale to go nie łączy z morderstwem. Oczywiście, jeżeli nie kłamie co do czasu.

- Myślisz, że Fredrik Fagelsjő pojechał tam jeszcze raz nad ranem? - pyta Zeke.

- Nie wiem, ale przecież jego żona dała mu alibi i nigdy nie uda nam się jej zmusić, żeby zeznawała przeciwko mężowi. Może chce po prostu chronić swoją rodzinę.

- Odniosłem wrażenie, że Fredrik Fagelsjő mówi prawdę - stwierdza Sven. - Ale nie możemy tego wiedzieć na pewno. Mógł pojechać jeszcze raz. Ten ciemny samochód, który widziała ta staruszka Linnea Sjostedt, mógł być jego, chociaż wydawała się niezbyt dobrze zorientowana w czasie i przestrzeni.

- Kto to wie, co mógł zrobić Fredrik Fagelsjő? - mówi Zeke.

- Żeby ułagodzić swojego ojca - dodaje Sven. - Wygląda na to, że to prawdziwy patriarcha. Kiedy Fredrik Fagelsjő mówi o swoim ojcu, wydaje się niemal zapominać, że ma własną rodzinę.

- Przeszukanie domu? - pyta Zeke. - Może to coś da?

Sven kręci głową.

- W tej chwili po prostu nie możemy przeszukać domu Fredrika Fagelsjő w związku z tym morderstwem. Siedzi w areszcie za coś innego i Ehrenstierna natychmiast by to zastopował.

A jeśli byśmy faktycznie przeszukali dom w związku z pozo-

stałymi przestępstwami, nie moglibyśmy użyć tego, co znajdziemy, przy ewentualnym oskarżeniu o morderstwo.

- A Katarina Fagelsjón? - pyta Zeke.

- Możemy z nią teraz pogadać - odpowiada Malin. - To chyba naturalny kolejny krok.

Wypowiada te słowa, choć najbardziej ze wszystkiego pragnęłaby zejść do siłowni i rozwalić na strzępy ten pieprzony worek z piaskiem.

- Mamy jej adres?

- Tak - mówi Sven. - Mamy.

Malin włącza komórkę.

Żadnych nowych wiadomości.

Wybiera numer Tove, ale natychmiast włącza się sekretarka.

Gdzie jesteś? - myśli Malin. Tove? Czy coś się stało? I widzi jakąś bestię przyczajoną nad córką, czuje, że ona sama jest tą bestią.

Tove, gdzie jesteś?

- Tu mama. Gdzie jesteś? Zrozum, niepokoję się. Zadzwoń do mnie, gdy tylko to odsłuchasz.

Tove pozwala, by otoczyła ją ciemność sali kinowej. Filipa siedzi obok niej i obie zachwycają się tym, jaki przystojny jest Brad Pitt. Lubi głupie filmy, takie, w których się całują i przytulają i są w sobie zakochani w taki miły sposób. Jeśli chodzi o książki, to co innego, lubi takie, które według wielu ludzi są trudne.

Próbuje nie myśleć o mamie.

Nie chce myśleć o tym, że pewnie do nich nie wróci, ani o tym, co sama postanowiła zrobić.

Jak mam jej o tym powiedzieć? Będzie smutna, wściekła, może nawet zrobi coś naprawdę głupiego. Ale jak powiedział tata, nie mogę z nią w tej chwili mieszkać, teraz, kiedy jest taka, jaka jest, gdy nie daje rady powstrzymać się od picia.

I to, co dziś robi tata. Musi to robić już teraz?

Brad Pitt się uśmiecha. Jego zęby są białe.

Tove pragnie się pogрузьć w ich bieli, rozciągnąć ją na wszystkie uczucia, tak żeby zostały tylko te piękne.

Waldemar Ekenberg przesuwając dłoń po swoich coraz bardziej obrzękniętych siniakach, drugą rękę kładzie na ramieniu Lovisy Segerberg, ściska bardzo mocno, mówiąc przy tym:

- Jestem pewien, że masz na ciele bardziej miękkie miejsca niż to tutaj, Segerberg. Zgadza się?

Lovisa ma ochotę się postawić, nakrzyczeć na tego najwyraźniej mocno upośledzonego społecznie prowinq'onalnego policjanta, żeby wsadził sobie gdzieś te swoje seksistowskie komentarze, ale zna ten typ aż za dobrze: policjanci-macho w każdym wieku, którzy nie potrafią się powstrzymać od najdziwniejszych, obraźliwych komentarzy w obecności policjantek i na ich temat.

Pewnego razu wspomniała o podobnym incydencie podczas rozmowy ze swoją szefową, ale ona tylko pokręciła głową i powiedziała:

- Jeśli ktoś tak ładny jak ty wybiera pracę w policji, musi być przygotowany, że usłyszysz to i owo. Spróbuj to potraktować jako komplement.

Lovisie trudno traktować rękę wpijającą się w jej ramię jako komplement, bez słowa wyślizguje się z uścisku i kładzie na biurku papiery, które trzymała w rękach.

Ona, Waldemar i Johan Jakobsson siedzieli w papierkowym Hadesie przez cały dzień. Przejrzeli za ledwie ułamek materiałów.

Jedno mogą jednak powiedzieć na pewno: umowa dzierżawy była w porządku i wydaje się, że sprzedaż tej spółki informatycznej przebiegła prawidłowo, Petersson dostał należną mu część pieniędzy, nie więcej i nie mniej. W tym przypadku tylko inwestował, nie występował jako adwokat, więc nie było mowy o konflikcie interesów. Nie znaleźli żadnego testamentu, a Johan w ciągu dnia wykonał kolejnych dwadzieścia 199



bezsuktecznych telefonów do różnych osób - od innych prawników specjalizujących się w umowach handlowych, którzy pojawiali się w dokumentach, aż po stolarzy, elektryków i rzemieślników, którzy pracowali dla Jerry'ego Peterssona w Skogsa. Żadna z tych osób nie miała im nic ciekawego do powiedzenia. Wyglądało na to, że Jerry Petersson nienagannie załatwiał wszystkie swoje sprawy.

Zegar na wytapetowanej ścianie pokazuje 14.25.

Lovisa patrzy na Johana, tego spokojniejszego z dwóch policjantów, z którymi musi pracować. Miły, kompetentny i nieszkodliwy.

Wszystko wskazuje na to, że Waldemar też jest kompetentny, a podczas lunchu w kafeterii obok laboratorium kryminalistycznego zauważyła, że koledzy traktują go z szacunkiem, jaki policjanci zwykle rezerwują dla tych, którzy rzeczywiście potrafią sprawić, by sprawy posuwały się naprzód.

- Zegar zaczyna się spóźniać - mówi Waldemar, siadając na swoim miejscu przy stole, przed monitorem, na którym zawartość jednego z twardych dysków Jerry'ego Peterssona ułożona jest w porządne foldery.

- Nie jestem w stanie przejrzeć myśleć - mówi Johan. -Tyle tych pieprzonych papierków.

- Jedyne, co według mnie może mieć bezpośredni związek z naszą sprawą, to ta spółka z Jochenem Goldmanem. Księgowali tam przychody ze sprzedaży książek i honoraria za wywiady z Goldmanem. Interes szedł wyjątkowo kiepsko. Może gdzieś jest więcej pieniędzy, a może zainteresowanie albo kapitalizacja były tak małe - mówi Lovisa.

- Kapitalizacja? - mówi Waldemar. - Kobieto, gadasz jak jakiś pedał.

-Wspomnimy o tym na następnym spotkaniu - mówi Johan.

- Spotkanie podsumowujące jutro rano - oznajmia Waldemar, a Lovisa myśli, że nie ma człowieka, który by się gorzej nadawał do papierkowej roboty niż on.

k.itarina Fagelsjo, ubrana w ciemne dzinsy i różową bluzkę do tenisa, siedzi rozparta na sofie ze Svenskt Tenn. Malin wie, *te* musiała kosztować fortunę. Tkanina, którą obita jest sofa, /ostała zaprojektowana przez Josefa Franka, misterne czarne węże wiją się wśród liści w intensywnych jesiennych kolorach na jasnoblękitnym tle.

Fortunę, myśli. W każdym razie jeśli mierzyć moją miarą, i czuje, jak bardzo ona sama nie pasuje do tego pokoju, uświadamia sobie, jak tanio wyglądają jej dzinsy z H&M, jej wełniany sweter, jak wulgarne są jej skarpetki, w ogóle jak jest zanie-dbana w porównaniu z Katariną Fagelsjo. Ma ochotę skulić się pod ścianą, zniknąć, ale wie, że to się na nic nie zda i że będzie musiała ukryć swoją niepewność za bezczelnością.

Przed nimi stoi smukły drewniany stół, na nim trzy filiżanki kawy, których nikt nie tknął, ani Malin, ani Zeke, ani Katariną Fagelsjo. Cały pokój pachnie jakimś cytrynowym środkiem czystości i znanymi drogimi perfumami, których Malin nie potrafi rozpoznać. Obrazy na ścianach. Klasyczne, ale równie wysokiej jakości jak dzieła sztuki u Jerry'ego Peterssona. Wiele portretów kobiet przy oknie, w jasnym świetle, kobiet, które wyglądają tak, jakby na coś czekały. Uwagę Malin przykuwa zwłaszcza obraz przedstawiający kobietę w błękitnej sukni, stojącą przy oknie wychodzącym na spowite we mgle morze. Odczytuje podpis: Anna Ancher.

Przez duże okna w salonie Malin i Zeke widzą wolno płynącą Stangan, krople deszczu tworzą malutkie, szybko znikające kraterki na powierzchni wody. Po drugiej stronie rzeki przestronne wille pną się w stronę Tannerforsvagen, ale uważa się, że dużo lepiej mieszkać po tej stronie, bliżej centrum.

Katariną Fagelsjo mieszka sama w położonej nad Stangan dużej funkcjonalistycznej willi z lat trzydziestych. Dziś jest w bardziej przyjaznym nastroju niż podczas pierwszego spotkania.

- Proszę pytać - mówi z uśmiechem. - Odpowiem najlepiej jak potrafię.

- Wiedziała pani, że wasz ojciec próbował odkupić Skogsa od Jerry'ego Peterssona? - pyta Zeke.

- Wiedziałam. I nie podobało mi się to.

- Dlaczego?

-Dla mnie to był zamknięty rozdział. Mamy przecież wszystko, czego nam potrzeba. Ale oczywiście nie mogłam zapobiec temu, że próbował. Jerry. Jerry Petersson był prawowitym właścicielem zamku. I nic poza tym.

- A pani brat? - pyta Malin i patrzy na Katarinę Fagelsjő, widzi, że z czymś się zмага. Jeśli Malin będzie jej zadawać bezpośrednie pytania, może zacznie mówić, zdradzi jakąś tajemnicę, która zaprowadzi ich dalej.

- On też chciał odkupić zamek.

- Była pani na niego zła za tamte interesy?

- Więc wiecie o tym? - Katarina Fagelsjő udaje zdziwioną. - To był oczywiście błąd, że ojciec dał mojemu bratu dostęp do rodzinnego kapitału. Nigdy nie był do tego szczególnie utalentowany. Ale czy byłam zła? Nie. Wiecie o tym duńskim spadku?

Malin kiwa głową.

- Tylko nie pomyślcie sobie teraz, że usunęliśmy Peterssona tylko dlatego, że stał nam na drodze do odzyskania Skogsa.

Malin spogląda na Zekego, którego wzrok powędrował gdzieś za okno, i zastanawia się, o czym on myśli. O Karin Johannison? Może tak, może nie. Masz żonę, Zeke, ale kim ja, u diabła, jestem, żeby kogokolwiek krytykować. Oboje znamy swoje tajemnice, Zeke.

-Mogła nam to pani opowiedzieć na polu golfowym -stwierdza Malin.

- Na driving rangę - poprawia Katarina Fagelsjő i wzrusza ramionami.

- Jak pani myśli, dlaczego pani brat przed nami uciekał?

- Prowadził po pijanemu. Nie przetrwałby nawet miesiąca w więzieniu. Jest typem, który boi się życia. Tak jak mówiłam.

- Mieszka tu pani sama? - pyta Malin.

- Tak. Mieszkam sama od rozvodu.

- Nie ma pani dzieci?

- Nie. Na całe szczęście, jak sobie powtarzam.

- A ten kochanek? Lekarz? Też tutaj pomieszkuje?

- A dlaczego was to interesuje?
- Przepraszam - mówi Malin. - To nie nasza sprawa.
- To nie jest miłość - mówi Katarina Fagelsjő. - Łączy nas tylko naprawdę dobry seks. Jeszcze parę razy. Czasami kobieta potrzebuje czegoś takiego. Wie pani jak to jest, prawda?

SMS od Tove.

„Słyszałam, jak dzwoniłaś. Byłam w kinie”.

Tylko tyle.

Miała pójść do kina.

Co odpowiem?

Odpisuje:

„W porządku. Już wiem”.

Żadnego: Przyjedziesz wieczorem?

Zeke prowadzi. Jadą do jej mieszkania i tam ma ją wysadzić.

Zanosi się na samotny wieczór. Jakoś to znieśie.

Spódnice.

Bluzki.

Sandałki na obcasie.

Buty do biegania.

Album ze zdjęciami.

Kiedy Malin otwiera drzwi mieszkania, widzi swoje życie ułożone w wielką stertę na podłodze. Walizki i pudła z jej ciuchami, butami, książkami i drobiazgami. Wszystko w doskonałym porządku. Gdy zrozumiała, co ma przed sobą, miała ochotę się rozpłakać. Usiadła na podłodze w holu, ale choć starała się wycisnąć z oczu łzy, one nie napływały.

Moje rzeczy, jestem nimi. Nie, nie jestem nimi, ale są jak pokwitowanie na tego pozbawionego celu człowieka, jakim się stałam.

Janne przywiózł jej rzeczy, użył zapasowego klucza, a potem wrzucił go do środka przez otwór na listy. Chciała sama zabrać te rzeczy, chciała, żeby byli w domu, kiedy przyjedzie, 203

żeby oni - on i Tove - zaprosili ją, by usiadła przy zastawionym stole i zjadła coś ciepłego, co mogłoby złagodzić wrażenie zimna, ciężaru, tęsknoty i chaosu.

Zamiast tego znalazła swoje życie złożone w stertę w tym pieprzonym, zasranym, małym, dusznym, pustym, wilgotnym, samotnym mieszkaniu.

Czy Tove pomagała Jannemu? Czy oboje zwrócili się teraz przeciwko mnie?

Ale czego mogę się spodziewać? Uderzyłam go. Przy Tove. Jak mogłam, do diabła? Nie jestem wcale lepsza od tego ojca i brata z naszej sprawy honorowego morderstwa.

Boże, jak za wami tęsknię. Tęsknię za wami tak bardzo, że coś się we mnie przepełnia i zostajecie starci, zastąpieni czymś innym.

Dlaczego Tove tu nie ma? Gdzie jesteś, Tove? Twoje rzeczy? Chyba nie mogłaś zabrać wszystkiego naraz, prawda?

Malin siedzi oparta plecami o drzwi mieszkania. Trzyma w ręce butelkę tequila, ale nie pije. Znalazła teczki ze sprawy Marii Murvall w jednej z walizek, które przywiózł Jartne.

Czyta.

Widzi Marię Murvall siedzącą na podłodze tak jak ona, w innym pokoju. Samotną, odizolowaną, wykluczoną, odciętą, odurzoną tak, że jest na granicy nicości, być może przerażoną tak bardzo, że nie mieści się to w kategoriach tego, co my, inni ludzie, nazywamy strachem.

Malin obraca w myślach i dopasowuje wszystkie fakty ze sprawy, tak jak robiła to już setki razy wcześniej.

Co się stało w lesie, Mario?

Co tam robiłaś?

Kto może zrobić coś tak złego, jak ten ktoś, kto ci to zrobił, skąd się bierze cała taka zła wola, skąd się wzięły te żywe, ostre gałęzie, które wbiły się w twoje łono? Te elektryczne pająki? Karaluchy o ostrych szczękach, które wżarły się w nogi?

Zło jest jak fala sztormowa, myśli Malin. Jak tony błota osuwające się w dół, w nieubłaganej jesiennej wichurze. Jak rzeka śmierci i przemocy, która niszczy na swojej drodze wszystko, co żywe, i pozostawia za sobą spustoszony krajobraz, zaspę

popiołów, a ci którzy przetrwają, zjadają się nawzajem, żeby przeżyć.

Gniew został przywołany. Puszczony wolno.

Malin wstaje, zostawia teczki i rzeczy w holu. Wchodzi do pokoju Tove, widzi niepościelone łóżko, pragnie, żeby córka znów w nim leżała, i zaczyna płakać, gdy dociera do niej, że na swój sposób ono jest puste już na zawsze, że może już nigdy nie podniesie Tove z sofy przed telewizorem i nie zanieśie do łóżka, że to dziecko, jakim była, gdzieś znikło i zastąpił je młody dorosły człowiek, który ocenia wszystko w swoim otoczeniu, wartościuje i próbuje uciec jak najdalej od zadawanego mu bólu. Człowiek, który nie śpi już niewinnym snem.

We śnie Malin wilgoć, ciemność i chłód stają się jednym i tym samym. Skupiają się w czarne światło, a w centralnym punkcie tego światła jest tajemnica, może więcej tajemnic.

Kochałem, mówi głos. Poszukaj w miłości. Biłem, mówi ten sam głos. Poszukaj w ciosach, mówi trzeci głos we śnie. Młode węże posiekane na kawałki ostrzami kosiarki poruszają się przed jej oczyma, wypełzają ze ścieków na ulicach, których nazw nie zna.

A potem głosy cichną, okaleczone młode węże znikają.

Malin.

Ten dom jest częścią ciebie, myśli Janne, stojąc w kuchni, popijając zimne mleko ze szklanki i jedząc kanapki z kielbasą. Noc na zewnątrz jest sama dla siebie panią, pełna tych wszystkich demonów, które spotkał w życiu.

Malin, myśli Janne. Samotnie jest tu w lesie bez ciebie, ale te stare drewniane ściany nie pomieszczą nas obojga. Łóżko, z narzutą zrobioną na szydełku przez moją matkę, nie jest dla nas dość szerokie.

Dom pachnie wilgocią i budzącą się pleśnią, spory wysyłane w noc, jak ciche, roznoszące malarię komary.

Milczenie.

Jak ciche, bezgłośnie zwierzę, taka jest nasza miłość. I taka jesteś ty, Malin, a ja tego już dłużej nie zniosę.

Zawsze oskarżałaś mnie, że uciekam, pewnie to właśnie robiłem, uciekałem w troskę o innych, o ludzi, którzy mnie potrzebowali w Rwandzie, Bośni, a ostatnio na pograniczu między Etiopią i Sudanem. Pojechałem tam zeszłej zimy.

W ubiegłym tygodniu Służby Ratownicze znów mnie wezwały, ale odmówiłem, zrobiłem już swoje, zostanę i zmierzę się z moim życiem, tak jak ono wygląda tu i teraz.

To ty nie jesteś w stanie tego zrobić, Malin, i dopóki nie postanowisz, że poszukasz tego w głębi samej siebie, nie mogę ci pomóc. Tove też nie może ci pomóc. Nikt nie może. 206 Ale teraz już koniec, Malin. To nie ma żadnego znaczenia,

że mnie uderzyłaś. I że zrobiłaś to przy Tove. Ona to przeżyje. Jest silniejsza od nas, bystrzejsza. Nie o to chodzi.

Zostałem tutaj, w moim domu, i jesteś tu mile widziana, ale nie twój powrót. Pora, żebyśmy wreszcie przecięli ten łańcuch naszej miłości i niemej, miękkiej żądz, którym oplataliśmy się tak długo.

Co istnieje prócz tej miłości?

Nie wiem, Malin.

I to mnie przepelnia nadzieją i strachem.

Tove.

To wszystko ją tylko dezorientowało.

Chcesz, żebym do ciebie zadzwonił, tak? Choćby po to, żeby na ciebie nakrzyczeć. Tobie nigdy nie wpadnie na myśl, żeby zadzwonić do mnie. Na to jesteś zbyt dumna, ale nie sądzę, żebyś zdawała sobie z tego sprawę. Ale teraz już koniec z naszymi rozmowami przez telefon. Obiecuję, że będę nad tobą czuwać najlepiej, jak tylko się da, lecz teraz chyba postanowiłaś pójść do końca tą drogą prowadzącą w dół, w ciemność, i niewiele mogę na to poradzić, prawda?

Dzwonił do mnie dziś twój szef, ten Sven. Powiedziałem mu, że już nie mieszkamy razem, potwierdziłem, że niepokoję się o ciebie dokładnie tak jak on, a on odparł, że być może nie zdawał sobie do końca sprawy, ile piłaś wcześniej, że być może wyśle cię w krótką podróż, żebyś mogła pozbierać myśli. Powiedziałem mu, że to dobry pomysł. Przyznałem, że nie potrafię do ciebie dotrzeć. Jeśli próbuję, tylko się wkurzasz. I on to zrozumiał. Powiedziałem mu też, że nasz związek się skończył i że łatwiej mi rozmawiać z nim niż z tobą, że prawdopodobnie nie będę w stanie powiedzieć ci tego wszystkiego prosto w twarz. I że pewnie powinienem trzymać się z dala.

I wiesz, co mi odpowiedział, Malin?

Powiedział: „Obiecuję ci, że będą ją miał na oku. Możesz na mnie liczyć”. Tak powiedział, a on należy do tych ludzi, którym chętnie się powierza to, na czym nam najbardziej zależy.

Mogę żyć z tym, że podniosłaś na mnie rękę. Potrafię wytrzymać ten smutek i ból. Ale nie zagubiony wzrok Tove. W tej 207

chwili ona potrzebuje równowagi, Malin, pewności, że świat jest dobry i przyjazny dla nas, ludzi, i chociaż sobie jakoś radzi, naszym obowiązkiem jest oszczędzić jej złych przeżyć, dać jej wiarę w to, co dobre. O to w tym chodzi.

Niemal słyszę, jak parskasz.

Ale tak właśnie jest. Człowiek nie musi sam w to wierzyć, żeby przekazać komuś tę wiarę.

Ile nocy leżałem, nie mogąc zmrużyć oka, spocony w wilgotnej pościeli, rozpamiętując sny o tym, co ludzie potrafią sobie nawzajem zrobić. Mam za sobą tysiące takich nocy, Malin, ale nie straciłem jeszcze wiary.

Ale wiem, kiedy jest pora, by pójść dalej.

Wiem, kiedy ciemność nocy grozi, że opanuje się wszystko.

To dlatego zawiozłem ci dzisiaj rzeczy, Malin. Wiedziałem, że nie będzie cię w domu. Sam wtaszczyłem pudła po schodach, zdjąłem kurtkę i położyłem ją na twoich rzeczach, żeby nie zamokły na deszczu, kiedy je niosłem z samochodu.

Żebyś zrozumiała to, czego nigdy nie będę w stanie powiedzieć.

Tato! Tato!

Tove wie, że krzyczy przez sen. Ma ten koszmar bardzo często i ludzie na czacie próbowali ją przekonać, żeby się nie bała, lecz potraktowała go jako okazję, by nauczyć się żyć z tym, co wydarzyło się ubiegłego lata.

Zamaskowana postać nad nią.

A ona nie może się ruszyć.

Głosy taty i mamy niedaleko, ale może jednak za daleko, kobieta zbliża się do niej, niosąc ciemność i przemoc, i pragnienie, żeby wszystko się skończyło, tak żeby wszystko mogło się zacząć.

Razem z innymi próbowała zrozumieć kobietę, która chciała ją zabić. Próbowała zrozumieć, skąd pochodziła jej złość i zła wola. Gdy Tove poczuła, że to rozumie, strach znikł i nauczyła się akceptować ten sen. 208
Tato! Tato!

I on przybiega, ratuje ją razem z mamą, tam, w ciemności. Do pokoju wpada światło i jeśli jej krzyk zabrzmiał w tym śnie, ojciec przebiegnie dziesięć metrów, jakie dzielą jego łóżko od jej. On mnie obudzi, uratuje przed strachem.

Mama.

Ty też jesteś w tym śnie.

Czekasz.

Wyglądasz, jakbyś cierpiała.

Jak ci mogę pomóc? Widzę twoją udękę, może nawet ją rozumiem. To dlatego mnie opuściłaś? To dlatego się odwracasz?

Bo stałaś się swoim własnym bólem.

Swoim strachem.

Karim Akbar wstał z łóżka, wciąga woń pustego, ciemnego pokoju i czuje tylko swój zapach. W domu brakuje teraz innych zapachów. Dom wydaje mu się taki byle jaki, z tą swoją rozsądną architekturą z początku lat osiemdziesiątych, tak jak wino, które źle dojrzało i zle strony wzięły w nim górę. Kan-ciastość, surowość.

Zastanawiał się, czy nie sprzedać domu. Załatwić sobie mieszkanie gdzieś w mieście. Ale nie dał rady.

Jego żony nie ma.

Syna nie ma.

Są w Malmö. U jej nowego faceta, którego spotkała na zorganizowanym przez hrabstwo kursie dla kuratorów w Vaxjo.

Karim myślał, że ją zabije, kiedy mu powiedziała; ale była bystra, zaprosiła go do restauracji i już wtedy, gdy go poprosiła, żeby zjadł z nią lunch, wiedział, co się święci.

To było dwa lata temu. Wtedy jego żona spotkała tamtego mężczyznę - rodowitego Szweda wykonującego taką samą pracę jak ona.

Kariera Karima jest w zawieszaniu.

Dziś zadzwonił do niego head hunter z Göteborga.

Urząd Migracji w Norrköpingu, byłby tam drugą najważniejszą osobą, ale się waha.

Czy chce być odpowiedzialny za odsyłanie ludzi z powrotem do piekła na ziemi? Chcą, żebym był ich twarzą. Imi-grancką gębą, którą będą mogli wtykać dziennikarzom, żeby czuli się niepewnie.

Ale musi się zacząć coś nowego.

Ta sprawa, nad którą teraz pracują.

Jerry Petersson. Fagelsjő. Goldman.

Wszyscy ci uprzywilejowani ludzie, którzy nie potrafią dojść ze sobą do ładu, żyć zgodnie obok siebie w pozbawionym gustu bogactwie. Ale być może, myśli Karim, przemoc przyszła z innej strony. Ci dzierżawcy? Któż może wiedzieć, jaką urazę mogli żywić do właściciela zamku. Różnice w statusie majątkowym prędzej czy później wyzwalają przemoc. Pokazuje to historia.

Ktoś wymieniany w testamencie, jeżeli w ogóle jakiś znajdują? Wszystko jest możliwe.

Wstyd. On ma ze wszystkim coś wspólnego.

Według wielu ludzi z ich kręgu kulturowego jego żona popełniła najgorszy możliwy grzech i powinien kazać ją zabić.

I tak mu podpowiadał instynkt.

Z początku.

Potrafi się do tego przyznać sam przed sobą. Czy jednak może być coś bardziej obrzydliwego niż ten ojciec i brat z ich ostatniej sprawy, którzy zabili własną córkę i siostrę?

Nie jestem tak prymitywny, myśli Karim.

Wtedy w restauracji wycofał się, odpuścił sobie, pozwolił jej odejść, wziąć ze sobą chłopca, nie spierał się i dał jej to, czego chciała, za jej część domu. Wmawiał sobie, że tego właśnie chce, być wspaniałomyślny i hojny w obliczu zdrady.

Karim podchodzi do okna i widzi, że deszcz przestał padać. Na jak długo?

Krzyczy w pustym domu.

Imię żony. Syna.

Imię byłej żony.

Każda miłość jest lepsza niż samotność, myśli.

Lovisa Segerberg leży rozbudzona na łóżku w hotelu Du Nord. Ściany pokoju są tak cienkie, że czuje, jak wilgoć i chłód z zewnątrz próbują wdrzeć się do środka, i słyszy, jak pociąg towarowy przejeżdża, stękając, przez stację, zaledwie kilkaset metrów dalej.

Mrok. Ale nie dość ciemno, żeby spać.

Linoleum na podłodze, cienki materac z Ikea, w podniszczonej łazience tylko prysznic. Nie potrzebuję więcej, myśli Lovisa. Rozmawiała z Patrikiem koło jedenastej. Jeszcze nie spał, pracował; pytał ją o sprawę, nad którą pracuje, ale nie mogła mu niczego zdradzić, powiedziała tylko, że za nim tęskni i nie wie, jak długo jeszcze zostanie w Linköpingu.

Całusy. Całusy.

Do widzenia, kochanie, i czuje go w pokoju tak samo, jak czuła podczas ich pierwszej wspólnej nocy. Ciepły, obecny i prawdziwy. Pobiorą się latem. Czeka ich długie, cudowne, wspólne życie. Nie spieprzą tego, tak jak zdają się to robić wszyscy inni. Tak jak to pewnie zrobiła Malin Fors, przynajmniej według tego, co się mówi w komisariacie. Dziś czuć było od niej alkoholem, kacem, ale chyba nikomu to nie przeszkadzało, w każdym razie nikt nic nie powiedział ani nie zrobił. Ale co ja mogę wiedzieć o tym, co się dzieje za kulisami.

Co za paczka, myśli Lovisa. Waldemar. Wariat. Seksista. Ale tak naprawdę nie jest niebezpieczny. I Sven Sjóman. Szef wydziału, jakiego życzyłby sobie każdy policjant.

Patrzy w szary sufit pokoju. Myśli:

Patrik, gdzie jest teraz twoje ciało, gdzie jesteś, kiedy nie jesteśmy razem?

Zeke wstał.

Za oknami jego willi wciąż jest jeszcze ciemno, a drzewa i krzewy w ogrodzie przypominają wypalone prahistoryczne szkielety.

Popija kawę.

Myśli o Malin.

Ostatni rok ją wykończył.

Myśli o tym, że musi na nią uważać, że być może nie da się zrobić nic więcej. Dawać jej gumę do żucia, żeby inni nie czuli zapachu. Nie pozwalać jej prowadzić. Widzi ją przed oczami, samą w mieszkaniu, z butelką tequila.

Może powinienem porozmawiać ze Svenem? - myśli Zeke. Wcześniej też przychodziło mu to do głowy, ale taką rozmowę Malin odebrałaby jako najgorszą zdradę. Gdyby się o tym dowiedziała, pomyślałaby, że zrobił to za jej plecami, i być może zaufanie pomiędzy nimi zostałoby już na zawsze zniszczone.

Do diabła, pije za dużo. O wiele za dużo.

Własne demony deptają jej po piętach.

Twoje pięty krwawią, Malin, myśli Zeke i zauważa, że znów zaczął padać deszcz.

Rzucił palenie już dawno temu. Ale ten poranek sprawia, że chce mu się zapalić.

Przymyka oczy. Ciało Karin Johannison. Widzi jej miękkie, twarde, ciepłe ciało. Co my, kurwa, wyprawiamy? A tam w sypialni leży Gunilla. Kocham ją, myśli Zeke. *So much*. A jednak potrafię kłamać jej prosto w oczy.

Potem muszę iść do łazienki i rzygam. Ale jestem w stanie to zrobić. I robię to.

Waldemar Ekenberg stoi na tarasie w swoim ogrodzie i pali.

Deszcz smaga plastikowy falisty dach, świt powoli wstaje nad Mjölby, a niebo ma niemal taki sam kolor jak siniak na jego policzku.

Opowiedział swojej żonie o tym, co się stało. Jak zwykle, gdy mówił o takich twardej stronie swojej pracy, denerwowała się, ale powiedziała tylko: „Ty się nigdy nie nauczysz”.

Waldemar przeklina w myślach wszelką papierkową robotę. W dalszym ciągu jest zdumiony, ile papierów i dokumentów jest w stanie wyprodukować jeden człowiek w ciągu swojego krótkiego życia. I jest równie zdumiony ilością pieniędzy, jakie można wyprodukować, tworząc te papierki. 212 Gęsty dym w płucach.

Gdzie tu sprawiedliwość, że taki papierkowy pajac jak Pe-tersson mieszka sobie w zamku, gdy zwykli przyzwoci robole niemal lądują na ulicy, kiedy zamykają się fabryki i warsztaty? Zniknąć ma kilkaset tysięcy miejsc pracy w szwedzkim przemyśle. I co się wtedy stanie z fałszywą solidarnością niebieskich? Dokąd pójda ci robotnicy? Ci niezbyt rozgarnięci.

Gasi papierosa w puszcze po kawie wypełnionej do połowy piaskiem.

Myśli:

A ja, co ja bym robił, gdybym nie był gliną? Pewnie byłby ochroniarzem w Ica Maxi, oskarżonym o użycie przemocy wobec jakiegoś bogatego, pyskatego klienta.

- Walie, Walie!

Stara woła go z domu. Lepiej sprawdzić, czego chce. Bez niej byłbym tylko śmieszna wersją siebie.

Johan Jakobsson leży wyciągnięty w swoim łóżku, po obu jego stronach leżą dzieci, wczesnym wieczorem wróciły do domu od dziadków z Nassjó.

Obok śpi jego żona.

Błogosławiony owoc, myśli, słucha oddechu swojej żony. Tym właśnie jest rodzina. Myśli o niej, o tym, jak się nawzajem przeprosili, tak jak to zawsze robią.

Są najlepszymi przyjaciółmi, na dobre i na złe.

Ile jest wart prawdziwy przyjaciel? - myśli.

Tyle co rodzina? Co ojciec?

Nie. Ale prawie.

Wczesny ranek.

Świat, sinoniebieski jak nowo narodzony człowiek, za oknami rozległego biura.

Sven Sjoman patrzy na puste krzesła i biurka, wdycha woń papieru i zastarzałego potu. Światło jarzeniówki pod sufitem miesza się z szarym światłem z zewnątrz. Sven myśli o tym, ilu przychodzących i odchodzących policjantów widział w ciągu swojej kariery. Malin jest jedną z najlepszych, być może nawet najlepszą. Rozumie, że podczas śledztwa trzeba się wsluchiwać w ciche głosy, zebrać chór przeczuć i słów w wyraźną, jednoznaczną prawdę.

Ale to ją wykańcza.

Wczorajsza rozmowa z jej mężem, właściwie byłym mężem. Z Jannem. To rozsądny gość. Zadzwoił jeszcze raz; niepokoi się o nią.

Ja też się o nią niepokoję, myśli Sven. Ale wreszcie mam pomysł, co mogę zrobić, tak żeby się nie domyśliła, że próbuję jej pomóc. Gdyby zaczęła coś podejrzewać, strasznie by się wściekła. Może nawet nie zgodziłaby się pojechać. W każdym razie Janne uważa, że to genialny pomysł.

Wygląda na to, że w tej chwili wszystko Malin wykańcza. Wszystko jest tuż pod powierzchnią i można się poparzyć od 214 najlżejszego dotknięcia.

Johan, Zeke, Bórje, Waldemar.

Bórje w domu, ze swoją żoną, kolejny rzut stwardnienia rozsianego najprawdopodobniej będzie oznaczał dla niej śmierć.

Borjego to wykańcza. Ale nie w taki sposób jak Malin. Można odnieść wrażenie, że umie się cieszyć z tego, co dzieli ze swoją żoną, właściwie z tego, co dzielił.

Waldemar. Oszałeje w tym pokoju zawałonym papierami. Ale pewnie wymyślę coś, by wykorzystać jego wątpliwe talenty. Jestem przeciwny jego podejściu do policyjnej roboty, nie pochwalam uciekania się do przemocy, ale nie jestem na tyle głupi, by nie wiedzieć, że czasami to przynosi korzyści. To dlatego się nie sprzeciwiłem, gdy przyszedł tutaj z Mjølby. Bóg raczy wiedzieć, skąd ma te ostatnie siniaki na twarzy, ale nie narzeka, a jeśli ktoś pracuje w taki sposób jak Waldemar, może się czasami naciąć.

Petersson. Kto może wiedzieć, co ma na sumieniu? Jeśli się pozwoli ludziom zwietrzyć pieniądze, stają się zdolni do wszystkiego.

Sven wciąga brzuch, wzdycha, myśli o swoim bracie, przedsiębiorcy, który ma rozpocząć kolejną działalność, i o tym, jak on sam był poręczycielem jego kredytu i był zmuszony sprzedać swoją willę w Karlstad, żeby móc spłacić bank, kiedy firma zbankrutowała.

Kilka lat później jego brat się wzbogacił, gdy sprzedał następną firmę. Sven poprosił go wtedy, żeby zwrócił mu pieniądze. Stali na tarasie domu brata i brat odparł mu z twarzą pozbawioną wyrazu: „To były interesy, bracie, podjąłeś ryzyko i straciłeś. Nie mieszajmy teraz grochu z kapustą”.

Tamtego wieczoru Sven został na kolości.

Ale od tego czasu nie rozmawiał z bratem.

Otwiera egzemplarz „Corren” leżący na biurku. Spekulacje dziennikarzy zmiierzają w tę samą stronę co ich. Ród Fagelsjów, Goldman. Interesy.

Pieniądze, związki z bratem.

Kto był tak rozwścieczony albo tak smutny czy rozczarowany, że Jerry Petersson wylądował w fosie zamku, podziurawiony nożem, wśród zamurowanych rosyjskich jeńców?

Inni wyglądają na tak samo zmęczonych jak ja, myśli Malin, patrząc na śledczych, którzy zgromadzili się na pierwsze w tym tygodniu spotkanie dotyczące śledztwa w sprawie morderstwa Jerry'ego Peterssona.

Zegar pokazuje 8.30.

Johan Jakobsson ma ciemne worki pod oczami. Waldemar Ekenberg musiał palić jednego papierosa za drugim, Lovisa Segerberg wygląda, jakby źle spała, ale pewnie w Du Nord przy dworcu kolejowym mają kiepskie łóżka. Sven Sjóman jako jedyny wygląda rześko, Karim Akbar siedzi z apatycznym wyrazem twarzy przy krótszym końcu stołu, ale jego garnitur z lśniącej szarej wełny jest jak zawsze świetnie wyprasowany, a czerwono-fioletowy krawat został dobrany pewną ręką.

W pokoju zaległa cisza. Cisza, która potrafi czasem zapadać w pomieszczeniu pełnym polięantów szukających w myślach następnego kroku naprzód, tak by coś, co pozostaje ukryte, odsłoniło się przed ich oczami.

Rozmawiali już o kłamstwach rodziny Fagelsjő na temat jej sytuacji finansowej, o tym, że Fredrikowi Fagelsjő źle poszło w interesach i w związku z tym musieli sprzedać zamek. Że później dostali spadek i chcieli odkupić posiadłość, ale Petersson odmówił mimo atrakcyjnej oferty. O tym, że Axel Fagelsjő nie otworzył drzwi Malin i Zekemu, ale za to rozmawiali z Katariną, i że Fredrik Fagelsjő zaczął szczerze rozmawiać podczas przesłuchania i przyznał się między innymi, że pojechał do Peterssona wieczorem w dniu poprzedzającym morderstwo, ale rzekomo nie stało się nic poza tym, że próbował przycisnąć Peterssona do muru i również domagał się możliwości odkupienia zamku.

-Jeśli był tam poprzedniego wieczoru, to nie mógł zabić Peterssona. Z raportu Karin wynika, że śmierć nastąpiła nad ranem i że uderzenie w głowę zabiło go na miejscu - powiedział Sven. - Jeśli chodzi o odtworzenie ostatniej doby życia Peterssona, wygląda na to, że nie spotkał się z nikim innym prócz Fredrika Fagelsjő. Wykonał tylko jedno połączenie z komórki, pod numer, który, jak się okazało, należy do jego sprzę-

taczki. Filipinki, która ma świetne alibi i nie była na zamku od tygodnia.

- Jeśli to Fredrik Fagelsjo go zamordował - stwierdziła Malin - to musiał pojechać tam jeszcze raz nad ranem. Ale na ten czas alibi daje mu żona. Nie możemy jednak mieć pewności, mimo wszystko to alibi od współmałżonka.

- A ta filipińska sprzątaczką? - pyta Waldemar. - Może ma jakichś krewnych, którzy uwielbiają wycieczki po lesie?

- Aronsson ją przesłuchiwała - mówi Sven. - Sprawiała wrażenie ucieleśnienia porządnosci. No i w takim przypadku zostałby przecież obrabowany, prawda?

Potem zapoznali się z pozostałymi szczegółami śledztwa; nie przybyło zbyt wiele nowego.

- Sprawdziliśmy e-maile Peterssona - stwierdził Johan. - Wczoraj późnym popołudniem dostaliśmy też jego billingi z Telii. Z komórki i ze stacjonarnego. Ale w nich też nie znaleźliśmy nic godnego uwagi, z wyjątkiem dwóch rozmów z budki telefonicznej przy Ikea.

- A co w tym takiego dziwnego? - spytał Karim.

- Właściwie to nic, ale to są jedyne rozmowy, o których nie wiemy, z kim były. A poza tym można by pomyśleć, że w dzisiejszych czasach wszyscy mają komórki.

- Która to była budka?

- Na zewnątrz, na parkingu - odpowiada Johan.

- Może jest jakaś kamera przemysłowa, która zarejestrowała, co się tam wtedy działo?

- *Sorry*. Sprawdziłem. Nie ma tam żadnej kamery. To było kilka miesięcy temu, więc znalezienie świadków graniczyłoby z cudem.

Po podsumowaniu milczenie przerywa Karim:

- Dzwonił ktoś z jakimiś informacjami?

- Było dziwnie cicho - mówi Sven. - Myślałem, że będą nam się urywać telefony w związku z tym, co robił Petersson, ale może był takim typem człowieka, który pozostawiał za sobą tylko zadowolonych ludzi.

- A są tacy? - pyta Zeke.

- Nie - mówi Waldemar.

-1 nie znaleziono narzędzia zbrodni - stwierdza Sven.

- Co robimy dalej? - pyta Karim.

- Grupa z Hadesu dalej grzebie w papierach. Przede wszystkim ma sprawdzić, dlaczego spółka, którą prowadzili Jochen Goldman i Petersson, miała takie kiepskie wyniki - mówi Sven. - Malin i Zeke spróbują pogadać z Axelem Fagelsjő. Jak będzie się stawał, zabierzcie go na przesłuchanie. To przecież wcale nie jest takie nieprawdopodobne, żeby to któryś z członków tej rodziny zabił Peterssona, by móc później odkupić zamek od jego spadkobiercy.

- Myślisz, że mogli kogoś wynająć? - pyta Malin.

- Mało prawdopodobne - stwierdza Sven. - Ale przeszło mi coś takiego przez myśl, chociaż nic z tego, co udało nam się ustalić, na to nie wskazuje.

Malin kiwa głową.

- Spadkobiercą jest przecież ojciec Peterssona - mówi po chwili. - Jeżeli nie pojawi się jakieś nieznane dziecko albo żona z zagranicy.

- Ludzie zabijali z mniej ważnych powodów niż ten - mówi Waldemar, a w jego głosie Malin słyszy jakąś tęsknotę, ale nie potrafi uchwycić tego uczucia, ukrytego gdzieś głęboko w nim.

I może tak jest lepiej, myśli, patrząc na jego siniaki, które na krawędziach przybrały czerwonozłoty kolor, jak jesienny liść.

Sven podnosi słuchawkę po trzecim sygnale.

Nieznany numer na wyświetlaczu, a jednak to bezpośrednia rozmowa na jego telefon, która nie została przekierowana przez centralę. W tej chwili w biurze panuje zgiełk. Poranny spokój gdzieś znikł i w całym pomieszczeniu czuć zapach kawy.

Policjanci, ubrani w mundury i po cywilnemu, chodzą w tę i z powrotem, rozmawiają przez telefon, wyglądają na zajętych, zestresowanych.

- Sjoman.

- Rozmawiam ze Svenem Sjőmanem?

- Przy telefonie.

-Witaj! Tu Peter Svenungsson z Interpolu w Sztokholmie.
- Cześć.
- Dowiedziałem się z Internetu o zabójstwie Jerry'ego Peterssona.
- Zgadza się. Myśliwi znaleźli go w fosie przy zamku, w którym mieszkał.
- Mam coś, co mogłoby was zainteresować.
- No to mów. Wszelkie informacje są mile widziane.
- Na pewno wiecie, że Petersson był adwokatem Jochena Goldmana, gdy ten się ukrywał. Tak właściwie, to raz byliśmy bardzo bliscy złapania Goldmana, dostaliśmy cynk, że ma być w Verbier w Szwajcarii. W ekspresie była jeszcze gorąca kawa, gdy weszli tam żandarmi, ale i tym razem zdążył się wymknąć.
-No i?
- To Petersson dał nam ten cynk. Zadzwoił i powiedział, gdzie jest Goldman.
Sven czuje, że jego serce przyspiesza.
- No nie chrzań.
-Nie podał żadnego wyjaśnienia i był świadom tego, że złamał obowiązek milczenia, ale obiecaliśmy mu, że pozostanie anonimowy.
- Dzięki - mówi Sven. - No dobra. Kiedy to się stało?
- Jesienią, trzy lata temu. Dobrze to pamiętam. To było tuż zanim ukazała się druga książka Goldmana. Jeśli spytałbyś mnie o zdanie, to uważam, że powinniście cholernie dokładnie sprawdzić Jochena Goldmana. Jeżeli to się w ogóle da zrobić z tym oślizłym sukinsynem. Pewnie mógł czekać całe lata, aż nadarzy się właściwa okazja, żeby się zemścić. A wiemy przecież, co się o nim mówi i do czego jest zdolny.

Sven siedzi na krawędzi biurka Zekego, które jest zsunięte z biurkiem Malin.

- Więc myślisz, że Goldman się dowiedział, że Petersson na niego doniósł, i chciał się zemścić? - pyta Malin; wydaje jej się, że Sven chce dodać coś jeszcze, ale zatrzymuje to dla siebie. 219



- To się może zgadzać - mówi Zeke.

Sven kiwa głową.

- Goldman nie jest typem, który ze stoickim spokojem zapomina o czyjejsz zdradzie. Jak myślicie?

Teneryfa, myśli Malin. Widzi mamę i tatę na ich balkonie. Tekturowe figurki, ludzie z reklam w katalogu sprzedającym szczęśliwą starość.

Słońce, ciepło.

Żadnych chmur, zimna, ciemności, deszczu ani gradu.

Tylko światło.

Tylko cudowne, wspaniałe, wolne od trosk życie w chwale, jakby powiedziały te protestanckie sukinsyny, które wynajmowały od niej mieszkanie.

Oven zostawił Malin i Zekego samych przy biurku.

- Powinniśmy jeszcze raz spróbować pogadać z Goldmanem - oświadcza Malin. - Porządnie go przycisnąć. Zobaczyć, jak zareaguje.

- Zadzwoń do niego - mówi Zeke.

Malin wybiera numer, odczekuje dziesięć sygnałów, ale nikt nie odbiera. Kręci głową.

- Mógł nastać jakiegos pŁatnego mordercę - mówi Zeke. -Musimy spróbować się dowiedzieć, czy któryś ze znanych ludzi od mokrej roboty był ostatnio aktywny.

- Książka - mówi Malin. - Czy Segerberg nie mówiła przypadkiem na spotkaniu, że pierwsza książka Goldmana źle się sprzedawała? Gorzej, niż można było oczekiwać? Jeżeli spółka należała do nich obu, powinni się przecież dzielić dochodami.

- Więc myślisz, że Petersson chciał wsadzić Goldmana za kratki, żeby zwrócić uwagę na książkę? Żeby lepiej się sprzedawała?

- Być może. Sven przecież mówił, że Interpol dostał cynk mniej więcej w czasie, gdy ukazała się druga książka.

-Ale dlaczego miałby to robić? Wtedy miał już przecież forsę jak lodu - stwierdza Zeke.

- Jak masz dużo, chcesz więcej. A poza tym interes to interes. No wiesz, zasady.

- Tak jak Fredrik FagelsjÓ. Najpierw wyciągał zyski, potem chciał zarobić jeszcze więcej i wtedy stracił - dodaje Zeke.

- Zachłanność - mówi Malin. - Ona już niejednego zabiła.

Książki tu, książki tam.

Czy to zachłanność mnie zabiła?

Jak chcesz zarobić pieniądze, nigdy nie wchodź w branżę wydawniczą.

Drugą książkę wydrukowaliśmy sami, wydaliśmy ją własnym sumptem, ponieważ byliśmy przekonani, że będzie się sprzedawać lepiej niż pierwsza, i po co dawać zarobić na tym komuś innemu. Patrzyliśmy na tę książkę z naiwnym zachwytem, jak rodzice na własne dzieci.

Pieprzone księgarnie ledwie ją kupowały, a ja wyłożyłem pieniądze na wydrukowanie piętmastu tysięcy egzemplarzy i potrzebna była prawdziwa burza w mediach.

Zadzwońtem do tego policjanta. Dałem mu cynk.

Ale Jochen zdążył się wymknąć. On pewnie też dostał cynk, ale nigdy się nie bałem, że czegoś się dowie. Na tym policjancie, do którego zadzwoniłem, można było polegać. Poza tym zawsze mogłem zaprzeczyć, twierdzić, że Jochena musiał zdradzić ktoś z jego najbliższego otoczenia, przecież zawsze było parę osób, które wiedziały, gdzie jest.

Małostkowe, pewnie.

Zaczęli pisać o Jochenie, o tym, że policja depcze mu po piętach, i sprzedaż ruszyła trochę z miejsca, tylko pięćset egzemplarzy poszło na makulaturę, i w końcu mieliśmy niewielkie zyski.

W interesach kierowałem się tylko jedną zasadą: zasadą bilansu końcowego. Interes miał wyjść na plus niemal za wszelką cenę.

Interes to interes.

Gdybym nie mógł zarobić pieniędzy na Jochenie Goldmanie, to do czego byłby mi w ogóle potrzebny? Tak w sumie. Nie ma nic bardziej ulotnego niż przyjaźń.

Ale wiem również, do czego może go doprowadzić własna złość i zadufanie, jakie drzwi mogą się wtedy otworzyć.

Tym razem Axel Fagelsjó ich wpuszcza, zaprasza do salonu i prosi, żeby usiedli, a sam idzie do kuchni po kawę i drożdżówki.

Boazeria lśni na ścianach jak świeżo lakierowana.

Czy Axel Fagelsjő kiedykolwiek widział, choćby na zdjęciu, plastikową boazerię? - myśli Malin, kiedy potężny mężczyzna wraca, niosąc w rękach pełną tacę.

- Doszedłem do wniosku, że wróćcie - mówi, podając im kawę i cynamonowe bułeczki ze sklepu. - Przykro mi, że nie opowiedziałem całej prawdy.

- Dlaczego nas pan okłamał co do sprzedaży Skogsa, skoro tak naprawdę nie chcieliście go sprzedać? - pyta Zeke.

- To chyba oczywiste. Nie da się zaprzeczyć, że to kompromituje naszą rodzinę. Fredrika.

- Ale to, że pan kłamie - wtrąca Malin - sprawia, że cała sprawa robi się jeszcze bardziej kompromitująca.

Życzliwość mężczyzny znika, Malin widzi po jego twarzy, jak zamyka się w sobie, tak jakby z jego okrągłych, różowych policzków uleciało powietrze.

- A Fredrik? - mówi Malin. - Jak pan myśli, dlaczego przed nami uciekał? Przecież chcieliśmy z nim tylko porozmawiać.

- Bał się, że wyląduje w więzieniu - mówi Axel Fagelsjő. - Wpadł w panikę. I tyle.

- A więc nie sądzi pan, że wrócił do Skogsa w tamten piątek rano? Wiemy, że...

Potężna postać się podnosi, hrabia krzyczy, wściekle ciska w nich słowami, kropelki kawy i okruchy ciasta latają w powietrzu.

-Jakie, u diabła, macie prawo, przychodzić tu i węszyć? Nie potraficie niczego udowodnić!

Stalowe spojrzenie Zekego. Wbija wzrok prosto w oczy Axela Fagelsjő.

- Usiądź, starcze. Siadaj i uspokój się trochę.

Fagelsjő ze zwieszonymi ramionami podchodzi do okna wychodzącego na park.

- Potwierdzam wszystko, co wam powiedział Fredrik, i to, że próbowałem odkupić Skogsa. Ale nie mamy nic wspólnego z tym morderstwem. Możecie już iść. Jeśli będziecie ode mnie chcieli czegoś jeszcze, musicie mnie wezwać na formalne przesłuchanie. Z góry jednak mówię, że to się na nic nie zda.

- Jak to było, usłyszeć „nie”? - pyta Malin.

Axel Fagelsjő stoi nieruchomo przy oknie.

- Był pan zły na Fredrika? - ciągnie, i widzi jak ciało hra biego ogarnia tłumiona wściekłość. Myśli: To nie ty powinie neś być zły, to Jerry Petersson powinien być zły, i wtedy przy pomina jej się, jak to było w szkole średniej. Kiedy chodziła do Katedralskolan, również byli tam tacy jak Jerry Petersson, chłopcy z robotniczych rodzin, cholernie ambitni, uzdolnieni i przystojni, obracali się w wyższych kręgach, choć tak na prawdę nigdy ich do nich nie dopuszczano, i pamięta, jak myślała wtedy, że ich sytuacja jest tragiczna. Sama trzymała się od tego z daleka, miała Jannego, marzyła jednak o tym, by należeć do tego ekskluzywnego kręgu, do tych naprawdę cool, wpływowych uczniów tych, co to wyobrażali sobie, że są lepsi od innych.

-A właściwie co pan robił tego dnia nad ranem? - pyta agresywnie.

- Co? Pojechał pan do Skogsa, żeby zabić Peters-sona? Albo żeby go namówić do sprzedaży, kiedy Fredriko-wi się nie powiodło? I wtedy coś poszło nie tak? I przypadkiem go pan zabił? - Malin wyrzuca z siebie słowa. Ma ochotę smagać starego pytaniami, nastraszyć go, żeby powiedział prawdę, niech mnie szlag, jeśli się cofnę przed takimi jak ty. -A może wynajął pan kogoś, żeby to zrobił?

- Idźcie już - mówi spokojnie Axel Fagelsjő. - Tą samą drogą, którą tu przyszlście. Jestem już zmęczony tym cholernym Peterssonem.

Ale ja nie jestem jeszcze zmęczona tobą, myśli Malin.

Na klatce schodowej mijają reportera i fotografa. Malin wie, że są z „Aftonbladet”.

Życzę wam powodzenia, szepcze Malin za ścianami. Przyciśnijcie go porządnie.

Sven Sjóman je sałatkę, którą żona zapakowała mu rano do pojemnika na lunch.

Paluszki krabowe i rukola.

Czuje w nozdrzach sztuczny, rybi zapach, przypominają-

cy amoniak. Siedzi sam w kafeterii, zgłodniał już o jedenastej, bo musiał bardzo wcześnie wstać. Brzydkie metalowe krzesła są tak niewygodne, jak wyglądają, a na ścianie wisi ohydny gobelin przedstawiający panoramę Linkópingu w jesienny dzień, taki jak dzisiaj. Nieproporcjonalnie wielkie wrony krążą, kracząc, wokół wieży katedry, a na dachu zamku w Linkópingu siedzi brzydko utkany, szary kot.

Ta sałatka to żarcie dla królików.

To nie jest jedzenie na taki dzień jak dziś. Dziś jest pogoda na puree z ziemniaków i brukwi. Z lśniąca od tłuszczu wieprzową golonką.

Opowiedział Karimowi o telefonie z Interpolu i o tym, że Malin próbowała jeszcze raz dodzwonić się do Goldmana.

Sven bierze do ust ostatni kęs sałatki i myśli: Co jest lepsze, krótkie szczęśliwe życie czy długie i nijakie?

W tej samej chwili podejmuje ostateczną decyzję, że podróż może Malin dobrze zrobić, choć obecny stan śledztwa raczej tego nie usprawiedliwia, i że poprosi Karima, żeby z nią o tym porozmawiał. Wtedy nie zacznie nic podejrzewać.

Waldemar Ekenberg podchodzi do Malin i Zekego. Siedzą przy swoich biurkach i jedzą kanapki, które kupili na stacji Statoil przy Djurgardsgatan.

- Wycisnęliście coś z Axela Fagelsjón?

Malin kręci głową.

- Coś w tym jest - mówi po chwili. - Coś jest.

- Tak myślisz? Podpowiada ci to twoja kobieca intuicja? - pyta Waldemar.

Malin posyła mu zmęczone spojrzenie.

- Chciałabym spokojnie zjeść kanapkę.

Kiedy wypowiada te słowa, do jej biurka podchodzi Karim Akbar.

Kładzie rękę na jej ramieniu, kiwa głową Zekemu i Waldemarowi, a potem mówi:

- Malin, co byś powiedziała na wyjazd na Teneryfę? Żeby pogadać z Jochenem Goldmanem?

Malin mruży oczy. Pozwala, by pytanie Karima do niej dotarło. Słońce. Ciepło. Mama, tata, daleko od Tove, Jannego, od tego wszystkiego.

- Co ty na to? Przyciśnij go. Na pewno jest w domu - mówi Karim.

- Jadę - odpowiada prosto z mostu Malin. - To pomysł Sve-na? Bo myślisz, że muszę się oderwać? O to chodzi, prawda?

- Masz paranoję, Malin. Śledztwo wymaga, żebyś pojechała. Poza tym trochę słońca ci nie zaszkodzi. I chyba jeszcze nigdy nie byłaś u swoich rodziców?

Malin przygląda mu się podejrzliwie. Posyła mu spojrzenie, które mówi: „Odpieprz się”.

- Czy Janne jest w domu? - ciągnie dalej Akbar, w jego głosie jest jakiś dziwny ton, jakby załatwiał jakąś formalność, i ten ton zbija Malin z tropu.

Wydaje jej się, że wie, dokąd zmierza.

-Tove może mieszkać... - I wtedy się na tym przyłapuje. Karim nic nie wie o ich separacji i nie musi się o tym dowiadywać. A może już wie? - Janne zajmie się Tove - oświadcza Malin.

- Dobrze. Załatwiam bilet na jutro rano. Bądź spakowana i gotowa. I bądź ostrożna. Wiesz, co o nim mówią.

Malin siedzi sama przy ekspresie do kawy w kafeterii. Trzyma w ręce komórkę. Chce zadzwonić do Tove, ale wie, że teraz jest w szkole, ma lekcje; musi się z nią spotkać przed wyjazdem. Chce zadzwonić też do Jannego. Ale co mu powie? W każdym razie musi go poinformować, że jedzie. Zadzwonić do Daniela Hógfelda, żeby się z nim spotkać na porządne popołudniowe pieprzenie? Wymknąć się do Hamleta i strzelić sobie parę głębszych? Te dwa ostatnie pomysły brzmią naprawdę świetnie.

Ale musi pracować, a później się spakować. Powinam zadzwonić do rodziców? Powiedzieć, że jutro 226 przyjeżdżam? Znajac ich gotowość na niespodzianki, wy-

wołam u nich panikę. Mimo to muszę zadzwonić. Muszę się z nimi spotkać, chociaż nie chcę, nie mówiłam im o tym, że jesteśmy w separacji, że Tove mieszka u Jannego, że jeszcze się do mnie nie przeprowadziła, a może Janne im o tym powiedział, jeśli dzwonili do domu, tata tam czasem dzwoni, ale chyba Janne by im nic nie powiedział?

Pięknie będzie wyjechać na parę dni z tej pieprzonej dziury.

W pewien sposób można patrzeć na Jerry'ego Peterssona jak na ostateczny produkt Linkópingu, w którym mieszkańcy tracą swoje korzenie w pogoni za pieniędzmi i durnym statusem materialnym. Wystarczy spojrzeć na mamę; nigdy nie udało jej się stworzyć domu, w którym czułaby się jak u siebie, nie sędzę, żeby jej się to udało, myśli Malin, i wtedy przypomina sobie dom Jannego, mieszkanie, to boli, i odsuwa od siebie tę myśl, nie chce się przyznać przed samą sobą, że pod zbyt wieloma względami jest taka jak jej matka. Zamiast tego myśli o tym, że można postrzegać Jerry'ego Peterssona jak typowego zdrajcę klasowego, kogoś, kto nie zna swojego miejsca, kto chce być kimś, kim nigdy się nie stanie. Jak ładny, sympatyczny piesek, który nigdy nie wygra żadnej wystawy, bo nie ma rodowodu.

Nienawidzę rodziny Fagelsjów, myśli. Tego, co sobą reprezentuje. Ale nie potrafię się zmusić, żeby ich nienawidzić jako ludzi. I widzi Katarinę Fagelsjów na sofie, jej oczy, zastanawia się skąd ten smutek w jej spojrzeniu. Bezdzielnosc. Coś innego?


Malin bierze swoją filiżankę kawy, wdycha zapach czarnego płynu, a potem wraca do biurka.

- A mi nie przyniosłaś? - pyta Zeke, gdy zauważa filiżankę w jej dłoni.

- *Sorry* - mówi Malin i siada, a Zeke człapie w stronę kafeterii.

Malin delektuje się gorącą kawą, czuje, jak płyn parzy ją w usta. Wzdraga się na głos Johana Jakobssona, który podsuwa jej plik papierów.

- Dostałem to właśnie od pań z archiwum - mówi. - Okazuje się, że Jerry Petersson jako dziewiętnastolatek brał udział 227



w wypadku samochodowym. W sylwestra. Po jakiejś imprezie. Był pasażerem, siedział z przodu. Tych dwoje, którzy byli na tylnym siedzeniu, miało mniej szczęścia. Chłopak zmarł, a dziewczyna odniosła ciężkie obrażenia czaszki.

Malin nie przypomina sobie tego wypadku z mediów, musiała być za młoda, by zwrócić na to uwagę.

- A wiesz, dlaczego ta sprawa jest taka interesująca? - pyta Johan.

Malin rozkłada ręce.

- Do wypadku doszło na terenie posiadłości Fagelsjő.

***p&zCZ Z- C/ftffl*Y,
KTÓ*A //lfrDY HI* WtÓCl***

lękają skorupki jajek.

Wylęgają się z nich ślepe młode węże. Coraz więcej, więcej i więcej. Sprawiają, że moja krew się gotuje.

Ale zacznę od tego: Będziemy udawać, że to film.

Film o życiu pewnego człowieka, w którym każdy kadr coś wyjaśnia.

Mój film nie jest czarno-biały ani wielokolorowy. Jest matowoczerwony i w kolorze sepii; powolna podróż przez znieczulającą samotność.

Na obrazach widzę tysiące ludzi.

Migają mi przed oczyma, ale nigdy nie wracają. Nikt i nic nie pozostaje, to najbardziej samotny z samotnych filmów.

Na twarzach tych ludzi nie ma odrazy, w najlepszym wypadku jest obojętność. Większość z nich mnie nie widzi. Jestem człowiekiem jak powietrze, jak znikająca sylwetka w zmieniającym się krajobrazie. Kiedyś miałem coś, czego mogłem się trzymać, ale nauczyłem się być wolny. Zrobiłem tak? A może tylko oszukiwałem samego siebie, żeby jakoś to znieść.

A teraz? Po tym, co się stało? On, nie chcę wypowiadać jego imienia, unoszący się w zimnej, ciemnej wodzie. Nie robię sobie żadnych złudzeń co do przebaczenia czy zrozumienia.

Ale gniew był piękny. To było tak, jakby młode węże mnie opuściły, uciekły z mojego ciała, sprawiając, że stałem się spo-

kojny i potężny. Nie miało właściwie żadnego znaczenia, w co był wymierzony, a powiedzieć, że on sobie na to nie zasłużył, byłoby błędem. Mogę to zrobić jeszcze raz, jeśli będzie taka potrzeba, tylko po to, by doświadczyć uczucia, że coś złego we mnie znika, że węże się uspokajają, a ja, taki, jaki mogłem się stać, jaki powinienem był się stać, pozostaję na ich miejscu.

Ta przemoc była we mnie. Ona pochodzi od ciebie, ojcze, to ty jesteś człowiekiem na zdjęciach, gonisz mnie, bijesz, nie przejmujesz się tym, że inni mnie gonia, biją, robią ze mnie najmniejszego człowieka na świecie, i nikt, nikt się tym nie przejmuje, nikt nie przybywa mi na ratunek.

Oprócz niego. On przybywa.

Obrazy się zmieniają.

Mam przyjaciela. Prawdziwego przyjaciela. On mnie ratuje.

Czasami pracuję tej jesieni, choć to mnie ściga.

Czuję na karku ciepły oddech zagłady. Niezależnie od tego, co zrobię, muszę chronić samego siebie, tylko w ten sposób my, ludzie, potrafimy żyć.

Teraz mnie ścigają, próbują się dowiedzieć, kim jestem. Ale im ucieknę, teraz musi być moja kolej. Niczego nie żałuję, mimo wszystko to tylko porządek, który zostaje przywrócony. Czuję zarówno strach tego, który ściga, jak i tego, który jest ścigany. W pewien sposób tęsknię za tym, by przemoc znów dała mi uczucie spokoju, chociaż wiem, że to jest złe.

Jestem wszystkimi niuansami samotności, jakie tylko istnieją na świecie, całym tym cichym, bezdźwięcznym strachem.

Ojciec.

Biegasz dookoła z tą swoją kamerą, w drugiej ręce wciąż trzymasz papierosa. Unosisz zgorzkniałą, wystraszoną dłoń z żółtymi od nikotyny paznokciami. Tanecznym ruchem uderzasz ciało, które leży na ziemi. Nie chcę być tym ciałem.

Ale ciebie nie ma, ojcze. W pewien sposób mogę naprawić nawet tę niesprawiedliwość. Czekałem pod drzewami, przed bramą do samego serca zła. Może jednak teraz jest mój czas.

Wy, chłopcy, którzy mnie nienawidzicie, choć nie rozumiem dlaczego, wy też nie rozumiecie dlaczego. Nie ma was.

A potem nie ma i ciebie, mój wybawco, mój przyjacielu.

Dokładnie jak wszyscy inni, ty też zniknąłeś.

WTOREK, DWUDZIESTY ÓSMY PAŹDZIERNIKA

Viva Las Palmas. Viva Las Palmas.

Malin przypomina się kawałek ZZ Top, gdy schodzi po stopniach z samolotu i rusza dalej, do czekającego autokaru, który ma zabrać ją i pozostałych pasażerów do hali przylotów.

Jest ostre słońce i wczesne przedpołudniowe światło razi w oczy. Malin ma sucho w gardle, czuje gorące powietrze przez swoją o wiele za grubą bluzkę. Pachnie tutaj ciepłem, słodko, jak z garnka, tak jakby świat powoli wyparowywał.

Malin zaczyna się obficie pocić.

Musi być co najmniej trzydzieści stopni.

Na szczęście ma na sobie białą bawełnianą spódnicę i sandały, rajstopy zdjęła w toalecie w samolocie.

Przy gigantycznych hangarach kołyszą się palmy, między pasami startowymi spalona trawa i w słonecznej mgiele przed oczyma Malin mający poszarpany stożek wulkanu.

Viva Las Palmas. Vegas. To wszystko to jedna wielka pieprzona gra, rzuć kostką i zobaczysz, gdzie wylądujesz.

Ale nie jest nawet w Las Palmas, tylko na lotnisku Tenerife, i myśli, że wszystkie te pieprzone wyspy są takie same.

Wkrótce rozwrzeszczani pasażerowie lotu czarterowego tłoczą się wokół niej w autokarze, jakaś wykończona matka trzyma w objęciach śpiącego dwulatka, grupka porządnie 233

podpitych chłopaków ryczy jakieś kibicowskie przyśpiewki IFK Norrköping.

Autokar rusza z miejsca i wszyscy spoceni pasażerowie podskakują w jego wnętrznościach, próbują się utrzymać na nogach, choć i tak nie ma miejsca, żeby się przewrócić.

Z porów ich skóry sączy się zmęczenie i zaspokojona tęsknota.

Wczoraj, kiedy dzwoniła do rodziców, usłyszała panikę w głosie ojca, wzmocnioną jeszcze bardziej obecnością mamy. „Co? Przyjeżdżasz jutro? Sprawa służbowa? Jaką możesz mieć tutaj sprawę służbową? Więc zatrzymujesz się w hotelu? Dobrze. Nie, ale przecież nie zdążyliśmy się przygotować, przyjeźdź do nas na kolarę, kiedy już się urządzisz. Wyjechać po ciebie? Jutro o drugiej. Wtedy mamy *tee-time* w Abama. Powinnaś zobaczyć to pole golfowe, Malin, najlepsze na całej wyspie, strasznie trudno się tam dostać”.

Autokar się zatrzymuje.

Malin wysiada, toczy swoją ciężką walizkę w stronę wyjścia.

Jest na zewnątrz.

Teraz ciepło nagle staje się piękne i przyjemne. Nie za ciepło, nie za zimno, i miło jest uciec od tego pieprzonego deszczu i gradu, które jakiś złośliwy wiatr posyła prosto w bezbronną twarz.

- *Taxi, madame? Limousine?*

Pod długim portalem z pomalowanym na biało betonu stoi szereg taksówek.

Kierowcy kręcą się przy swoich wozach, z papierosami w kącikach ust, i sprawiają wrażenie umiarkowanie zainteresowanych tym, by zawieźć ją na Playa de las Americas, gdziekolwiek to, u diabła, jest.

Udaje jej się wygrzebać karteczkę z przedniej kieszeni spódnicy; wysiłek powoduje, że robi jej się jeszcze bardziej gorąco. Odczytuje nazwę swojego hotelu.

Podaje nazwę taksówkarzowi, który, jak jej się wydaje, jest pierwszy w kolejce. Ale on tylko pokazuje dalej do tyłu, na swoich kolegów.

Jakiś niski, gruby, łysy mężczyzna z jednej z dalszych taksó-234 wek unosi ręce i macha na nią, żeby podeszła.

- Taxi?

Kiwa głową, a mężczyzna bierze jej walizkę i nieostrożnie wrzuca do bagażnika swojego białego seata.

Malin wsiada na tylne siedzenie.

Nie ma klimatyzacji.

Bluzka i spódnica przylepiają się do czarnego tworzywa fotela i zauważa, że taksówkarz patrzy na nią pytająco we wstecznym lusterku.

- *Where to?* -pyta.

-Hotel Pelicano - mówi Malin, a taksówkarz z troską marszczy czoło, zupełnie jakby zaczął się właśnie niepokoić, czy będzie w stanie zapłacić za kurs.

Dwadzieścia minut później Malin siedzi na zapadniętym łóżku w niewielkim pokoiku z małymi oknami. Średniowieczna klimatyzacja jęczy gorzej niż dziesięć starych lodówek. Szara farba łuszczy się na ścianach, a na żółtym plastikowym dywaniku jest pełno powypalanych dziur.

Rebecka, nowa recepcjonistka z komisariatu, rezerwowała dla niej hotel i musiała dostać od Karima wyjątkowo niski budżet.

Po obu stronach hotelu nocne kluby, na pewno ze dwa kilometry do plaży Playa de las Americas, którą mijali po drodze, żadnego hallu, tylko podniszczona recepcja, w której równie wykończony czterdziestopięcioletni mężczyzna o potarganych włosach zameldował ją, stwierdzając: *Room already paid for.*

Malin wstaje z łóżka. Tęskni za tym, żeby popływać. Ale w hotelu nie ma nic, co choćby przypominałoby basen.

Idzie do łazienki, która mimo wszystko jest czysta i wysprzątana, ale nic nie jest w stanie stłumić woni kanalizacji. Kabina prysznicowa, żadnej wanny, a Malin ma ochotę wziąć kąpiel, zanim pójdzie na lokalny posterunek policji. Wiedzą, że przyjeżdża, zaofiarowali pomoc.

Malin widzi w lustrze swoje odbicie.

Przywołuje z pamięci twarz Tove i myśli, że właściwie jest bardziej podobna do Jannego.

Wczoraj dzwoniła do niej, najpierw pomyślała, że pojedzie pod szkołę, poczeka tam do końca zajęć, weźmie ją do domu,

ugotuje coś, porozmawia z nią, przytuli, zrobi wszystko to, co powinna, ale zamiast tego tylko zadzwoniła, bała się, że nie da rady wyjechać, jeśli spotka się z Tove, jeśli weźmie ją w ramiona.

Powiedziała, że musi wyjechać służbowo, ale tylko na parę dni, a Tove odparła w odpowiedzi:

- Teraz ty robisz tak jak tata, mammo? Wyjeżdżasz, kiedy robi się gorąco?

- Tove, proszę.

Usłyszała własne słowa i było coś wyzwalającego w tym, że musiała błagać swoją piętnastoletnią córkę. Tove umilkła i w końcu powiedziała:

- Przepraszam, mammo. Jedź. Rozumiem, że fajnie może być wyjechać.

- To moja praca.

- Dokąd jedziesz?

Malin nie zamierzała jej tego mówić. Nie chciała.

- Na Teneryfę.

- Ale to tam mieszkają babcia i dziadek. Chcę z tobą jechać.

- To niemożliwe, Tove. Będę pracować. A ty masz szkołę.

Jeszcze półtora roku temu Tove by się upierała, może nawet krzyczałyby w słuchawkę, ale tym razem się nie odezwała.

- Pomagałaś tacie nosić walizki i moje rzeczy? - spytała Malin.

- Nie. Nie chciał. - A później, po kolejnej chwili milczenia: - Spotkasz się z babcią i dziadkiem?

- Nie wiem. Dopiero co ustaliliśmy, że jutro tam jadę.

- Musisz się z nimi spotkać, mammo.

- Pozdrowię ich od ciebie.

- Uściskaj ode mnie dziadka i powiedz, że za nim tęsknię. Babcię też uściskaj.

Później zadzwoniła na komórkę Jannego, miała nadzieję, że włączy się sekretarka, i tak się stało, zostawiła mu wiadomość o wyjeździe. Nie oddzwonił, uznała więc, że go to nie obchodzi.

Malin wraca do pokoju, rozbiera się do naga i myśli, że nawet jeśli ta klimatyzacja jest cholernie głośna, to przynajmniej

działa. Później idzie pod prysznic i odkręca wodę, jest zdumiona tym, jak dobre jest ciśnienie; pozwala, by woda spływała jej po twarzy i całym ciele.

W samolocie nic nie piła.

Całe szczęście, że w pokoju nie ma minibaru.

A później znów myśli o córce, zastanawia się, dlaczego nie przyjechała do mieszkania albo do komisariatu, dlaczego nie nalegała, że powinny się spotkać albo przynajmniej tego nie proponowała, i czuje, jak coś zaciska się w jej piersiach, rozumie, że Tove ma tak samo mieszane uczucia jak ona. Uważasz, że lepiej ci na dystans, prawda, Tove?

Udaje, że ją przytula. Ciepłe krople płynące z prysznicą są jej ciepłym ciałem.

Jestem twoją mamą i kocham cię.

Na posterunek policji jest ponad kilometr piechotą, ale Malin postanawia się przejść. Wkłada cienką białą sukienkę i białe płócienne buty.

Po drodze mijają duże wille w stylu hacjend, ukryte za wysokimi murami z otynkowanych na biało cegieł, nowo wybudowane szeregowce i podupadłe kamienice czynszowe, w oknach suszy się pranie. Mijają kompleksy hotelowe, którego gigantyczne baseny lśnią za skąpym żywopłotem z roślin tropikalnych, których nazw nie zna. Tysiące pubów, barów i restauracji wykrzykuje swoją ofertę: „Full English breakfast”. „Svenska köttbullar”. „Pizza”. „German specialities”.

Ma ochotę odwrócić wzrok.

Ma nadzieję, że Los Cristianos, gdzie mieszkają jej rodzice, jest spokojniejsze, ma więcej zalet niż to getto dla turystów, jakim jest Las Americas.

Posterunek policyjny mieści się w prostym trzykondygnacyjnym budynku przy niewielkim placu otoczonym wyludnionymi lokalami ze stolikami na świeżym powietrzu. Morze, migotliwie niebieskie w popołudniowym świetle, widoczne na końcu uliczki odchodzącej od placu.

Gdzie są wszyscy ludzie? - myśli Malin. Na plaży?

Popycha ciężkie drzwi prowadzące na posterunek i wchodzi do środka.

Na nakrapianej kamiennej posadzce w holu nie ma żadnych krzeseł, tylko tablica ogłoszeń na ścianie, z plakatami pokazującymi twarze terrorystów.

Za szybą pancerną siedzi młody policjant w mundurze. Pali papierosa, posyła jej nieprzychylnie spojrzenie, tak jakby aż za często widywał tu takich jak ona.

Na pewno myśli, że jestem jakąś durną turystką. Pewnie sądzi, że obrabowali mnie Rosjanie. A może mu się wydaje, że jestem dziwką? Czy to możliwe?

Malin podchodzi do pancernej szyby, pokazuje swoją legitymację policyjną.

Policjant unosi brwi w przesadnym latynoskim geście.

-Ach! Miss Fors, from Sweden. We were expecting you. het me cali for Mister Gomez, who will assist you. He will be right out.

Waldemar Ekenberg zatrzaskuje drzwi samochodu, a Johan Jakobsson biegnie za nim w ulewie pod daszek nad wejściem do kamienicy czynszowej z czerwonej cegły w Gottfridsberg. Osiedle zbudowano w latach czterdziestych, małe wielopoko-jowe mieszkania, doskonałe dla wszystkich tych rodzin, które sprowadziły się do miasta, by podjąć pracę w Saabie, NAF-ie i w LM Ericsson.

Czy ten deszcz kiedyś się skończy? - zastanawia się Johan i na kilka krótkich chwil deszcz zmienia się w jego myślach w śnieg, w bezwonne zimno. Wtedy myśli, że to dopiero początek ciemności, listopad, grudzień, styczeń, luty, marzec, ciemne miesiące, które wrywają dusze z ciał ludzi, protestujące dzieci, które nie chcą włożyć kombinezonu, butów i czapek, od których swędzi je głowa.

Dziś był naprawdę zasrany poranek.

Dzieciaki dostały napadu wściekłości, oboje, Bóg raczy wiedzieć, co poszło nie tak, żona wciąż jest na niego nadąsana, że nie pojechał z nimi do Nassjón.

Wspaniale jest pójść do pracy.

Cholernie wspaniale.

A teraz patrzy, jak Waldemar wprowadza kod przy wejściu do budynku, popycha drzwi, jakby był wściekły na całą tę pieprzoną jesień, i po chwili stoją obok siebie na cuchnącej pleśnią klatce schodowej i rozglądają się wokół, tak jakby było tu coś jeszcze do zobaczenia prócz łuszczącej się, szarozielonej 239

farby, tablicy z nazwiskami lokatorów i schodów z szarego, nakrapianego kamienia.

- Kurwa mać - mówi Waldemar, a Johan nie wie, czy kolega ma na myśli klatkę schodową czy pogodę, ale zgaduje, że Waldemarowi chodzi o pogodę, i mówi:

- Naprawdę wstrętna pogoda jeszcze przed nami.

Jonas Karlsson.

Trzy piętra.

- Na samą górę - stwierdza Waldemar, a Johan myśli, że jego zapuchnięte oko mówi wszystko, co ktokolwiek chciałby wiedzieć o brutalności Waldemara.

Pół minuty później stoją przed szarobrązowymi drzwiami do mieszkania, słyszą dźwięk dzwonka w środku, a potem kroki powoli zbliżają się do drzwi.

Jonas Karlsson. To on siedział za kierownicą podczas tego wypadku na terenie ówczesnej posiadłości Fagelsjo, o którym dowiedzieli się z archiwów. Młody chłopak, Andreas Eks-tróm, zginął, dziewczyna, Jaśmin Sandsten, odniosła trwał obrażenia.

Wspaniale jest się urwać od papierkowej roboty, myśli Waldemar.

Słowa Svena Sjómana tego ranka: „Przyjrzyjcie się temu wypadkowi. Zobaczcie, czy ta historia ciągnie za sobą jakieś brudy, bywało tak już wcześniej”.

Przeszłość ludzi, myśli Johan. Są w niej zakotwiczeni, przykuci łańcuchami, jest wmurowana w ich pamięć.

Jonas Karlsson.

Wszystko wskazuje na to, że to, co się zdarzyło w sylwestra ponad dwadzieścia lat temu, było wypadkiem, ale ile razy żałowałeś tego od tamtej nocy? Czujesz się winny śmierci młodego człowieka i poważnego kalectwa drugiego? A jeśli tak jest, jak wyglądało po tym wszystkim twoje życie?

Drzwi się otwierają.

Mężczyzna o przeredzonych włosach, z brzuchem sterczącym pod bordowym swetrem z owczej wełny patrzy na nich zmęczonym wzrokiem, nie mówi nic na powitanie, tylko 240 gestem prawej ręki zaprasza ich do środka.

Workowate policzki, ale ostry nos, i Johan myśli, że trzydzieści kilogramów mniej i dwadzieścia lat wstecz być może Jonas Karlsson był przystojny Słaba woń alkoholu w jego oddechu.

- Zdejmijcie buty. Potem usiądźcie na sofie. - Można odnieść wrażenie, że Jonasowi Karlssonowi podoba się, że może im tak rozkazywać, w jego głosie jest siła, której nie widać w jego postawie. - Zaraz do was przyjdę, tylko się odleję.

Jonas Karlsson znika w toalecie, a Waldemar i Johan zajmują miejsca na białej sofie w dużym pokoju, czują, jak tapety w niebiesko-białe paski zamykają się wokół nich.

Czysto i schludnie. Ale niewiele mebli i wielki, płaski telewizor.

Typowe mieszkanie kawalera, myśli Johan. Jeśli raport mówił prawdę, Johan Karlsson musi mieć czterdzieści trzy lata, ale wygląda na znacznie starszego, zużytego i zmęczonego. W kącie stoi barek z uchylonymi drzwiczkami, na stole popielniczka z paroma petami, ale w pokoju nie unosi się natarczywa woń dymu.

- Myślisz, że pije? - pyta Johan.

Nim Waldemar ma czas odpowiedzieć, dobiega ich głos Karlssona:

- Zdarzają mi się okresy, kiedy za dużo piję. Ale daję radę.

Potem siada przed nimi w fotelu stojącym przy oknie, z widokiem na wewnętrzne podwórko, gdzie czarne, z pozoru martwe gałęzie kilku brzoź kołyszają się wściekle na wietrze i chwilowo niezdecydowanym deszczu. Półka pełna płyt DVD, kaset VHS i pudełek na filmy Super 8, z nieczytelnymi, wypisanymi odręcznie etykietami.

- Mieszka pan tu sam? -

Tak.

- Żadnej rodziny? - pyta Waldemar.

- Nie, na całe szczęście. Więc chcecie rozmawiać o tym wypadku?

- Tak. Ale na początek: walisz pan prawą czy lewą? -Co?

- Słyszał pan.

- Jestem praworęczny, jeśli o to pan pyta.

- Wie pan chyba, co się stało z Jerrym Peterssonem? - pyta Waldemar.

- Czytałem o tym w gazecie.

- Prowadzimy szeroko zakrojone poszukiwania - mówi Johan. - Sprawdzamy większość osób, które w ten czy inny sposób miały coś wspólnego z Jerrym Peterssonem.

- Nie znałem Peterssona. Ani wtedy, ani potem - stwierdza Karlsson.

- To jak to się stało, że tamtego dnia byliście w tym samym samochodzie?

- Mieliśmy wracać do miasta. Stary pożyczył mi samochód, a Jery Petersson zapytał, czy mógłbym go podrzucić. Tyle z tego pamiętam. I miałem miejsce w wozie. No więc dlaczego nie? Zaproponował mi sto koron i naprawdę chciał się stamtąd urwać.

Dokładnie to samo jest w aktach dotyczących wypadku. Jo-nas Karlsson potwierdza to, co powiedział dwadzieścia cztery lata temu.

- Impreza odbywała się na terenie posiadłości rodu Fagelsjo, w jakimś domu zebrań? - pyta Johan.

- Tak, w zborze, który wybudowali jako dar dla Kościoła, o ile wiem.

-1 Jerry Petersson chciał się wyrwać z imprezy. Jak pan myśli, dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Tak jak mówiłem, nie znałem go szczególnie dobrze. Było zimno i późno. Może chciał do domu?

- Znał pan rodzeństwo Fagelsjo? Zna ich pan? - pyta Waldemar.

Jonas Karlsson kręci głową.

- Nie, no co pan. To były bogate bufony. Chodziłem do równoległej klasy z Fredrikiem Fagelsjo, i to on organizował tę imprezę sylwestrową. Czasami zapraszał na swoje imprezy mnie i jeszcze paru innych, kiedy potrzebował jakiegoś wypełniacza.

Johan kiwa głową.

- A Jerry Petersson. Kumplował się z którymś z rodzeństwa Fagelsjo?

- Nie. Nie sędę. On był bardziej taki jak ja. Zwyczajny chłopak z robotniczej rodziny, którego czasami z łaski mogli ze sobą zabrać.

- A wy nie byliście kumplami, pan i Jerry?

- Nie. Już mówiłem.

-A pozostałe osoby w samochodzie? Byli kolegami Jerry'ego?

-Andreas Ekström należał do paczki Jerry'ego. Jaśmin Sandsten była chyba zakochana w Jerry'm i dlatego chciała jechać. Wydaje mi się, że większość dziewczyn była w nim zakochana.

-Więc uważa pan, że Jaśmin Sandsten była zakochana w Jerry'm Peterssonie? - pyta Johan.

- Nie wiem. Wszystkie łaski były na niego napalone. Taki już był.

- Do paczki Jerry'ego? - dopytuje Waldemar.

- Po prostu miał paru kolegów - mówi Jonas Karlsson i jedną dłonią ociera pot znad górnej wargi.

Dziwne, myśli Waldemar. Nie znaleźliśmy ani jednego człowieka, który nazywałby siebie przyjacielem Peterssona.

- Ale nie przyjaźnił się z rodzeństwem Fagelsjów?

- Nie. Nic mi o tym nie wiadomo. To była klika bogatych bachorów, do której nikogo nie dopuszczali, chyba że jako wypełniacz na imprezy.

- Może pan opowiedzieć o tamtym wieczorze?

Waldemar sili się, żeby jego głos brzmiał przyjaźnie, budził zaufanie, i Johan jest zaskoczony, jak autentycznie mu to wychodzi.

Jonas Karlsson odchrząkuje, tak jakby chciał wziąć rozbieg, a potem znów zaczyna mówić:

- Tak jak mówiłem. Fredrik Fagelsjów urządzał imprezę w sylwestra. Byłem zaproszony, stary pożyczył mi samochód, żebym mógł tam dojechać, pod warunkiem że nie będę nic pić. Po północy chciałem wracać do domu, takie popijawy to żaden ubaw, jeśli samemu nie jest się wstawionym.

- Święta prawda - mówi Waldemar.

-A kiedy chciałem jechać, Jerry Petersson, Jaśmin Sand-

sten i Andreas Ekström chcieli się ze mną zabrać. Andreas z tą dziewczyną usiedli na tylnym siedzeniu, a Jerry z przodu, a potem było, jak było. Jechałem całkowicie zgodnie z przepisami, ale mimo to wpadliśmy w poślizg, w ciemności i w śniegu, wyjechaliśmy na pole i parę razy dachowaliśmy. My z przodu mieliśmy zapięte pasy, ale z tyłu nie mieli i rzucało nimi jak w wirówce, a potem wylecieli przez bagażnik. Andreas zmarł wskutek obrażeń głowy, Jaśmin... Tak, ona już nie jest człowiekiem.

- Pozostali pili? - pyta Waldemar.

- Przecież był sylwester.

- Czy na imprezie wydarzyło się coś szczególnego? Karlsson kręci głową.

- Myśli pan często o tym wypadku?

Johan wypowiada te słowa powoli i widzi, jak na twarzy mężczyzny pojawia się napięcie, jak jego źrenice się rozszerzają.

- Nie. Zostawiłem to za sobą. To był wypadek. Zostałem uwolniony od wszelkiej odpowiedzialności i czułem, że nikt mnie o to nie winił. Ale pewnie, czasami o nich myślę.

- Kolegował się pan z Andreasem albo z Jaśmin?

- Niezbyt blisko. Czasami bywaliśmy na tych samych imprezach. Rozmawialiśmy na przerwach.

- Czy w ciągu minionych lat miał pan jakiś kontakt z Peterssonem? - pyta Waldemar.

- Zero. Zupełnie nic. Ani razu z nim nie rozmawiałem. Ale przecież mu się powiodło. Nie da się zaprzeczyć.

Waldemar pociera dłońmi kolana, niespokojnie przebiera palcami.

- Będzie w porządku, jeśli zapalę? Jonas

Karlsson kiwa głową.

- Jeśli mnie pan poczęstuje.

- Mogę zapytać, gdzie pan pracuje?

- Jestem pielęgniarzem. Pracuję w rentgenie.

- Nigdy się pan nie ożenił? Żadnych dzieci?

- Nie, to nie dla mnie.

Pokój wypełnia się przyprawiającym o mdłości dymem tytoniowym, Johan tłumi kaszel i pyta:

- Miał pan poczucie winy?

Mężczyzna w pierwszej chwili wygląda na zaskoczonego, ale zaraz dochodzi do siebie i mówi:

- Czasami.

- Jak to przyjęli rodzice? Byli na pana źli?

- Wydaje mi się, że wszyscy zaakceptowali, że to był wypadek, że takie rzeczy się zdarzają. Nie wiem. Myślę, że rodzicom Andreasa udało się z tym pogodzić. Takie odniosłem wrażenie na jego pogrzebie.

- Czy Jerry był na tym pogrzebie? - pyta Johan. -Nie.

- A Fredrik Fagelsjő?

- Nie. Żartuje pan?

- A rodzice Jaśmin?

- Stała się warzywem - mówi Jonas Karlsson. - Słyszałem, że jej ojciec strasznie to przeżył. Podobno się rozwiedli.

Johan milczy, patrzy przez okno, myśli o tym ojcu, który tamtej nocy właściwie stracił córkę, widzi własną córeczkę biegającą po domu w Linghem.

W białej, powiewnej sukience.

Córka, której dusza znika pewnej nocy na pokrytym śniegiem polu. Córka, która nie przestaje oddychać, ale czekają ją całe dziesięciolecia cierpienia. Jakie siły może coś takiego wyzwolić w człowieku?

Zeke Martinsson chowa twarz w dłoniach, próbuje się odciąć od wszystkich dźwięków komisariatu. Próbuje myśleć, ale gwar i elektroniczne piski wypełniające otwarte biuro doprowadzają go do szału.

Malin na Teneryfie.

Musiała już wylądować. Czy spotka się z rodzicami? Diabli wiedzą.

Zeke właśnie zakończył rozmowy telefoniczne z Axelem i Katariną Fagelsjő w sprawie tamtego wypadku. Wcześniej Sven Sjóman przesłuchał Fredrika Fagelsjő w obecności jego adwokata. Wszyscy członkowie rodu Fagelsjő stwierdzili, że 245

ledwie pamiętają tego sylwestra, gdy doszło do wypadku, że to już przeszłość i żadne z nich nawet nie pomyślało o tym, że Jerry Petersson był pasażerem, który przeżył. Ani wtedy, gdy się pojawił jako osoba zainteresowana kupnem zamku, ani gdy został zamordowany.

- Osobom, które jechały tym samochodem, daleko było do naszego najbliższego kręgu - jak wyraził się Axel Fagelsjő podczas rozmowy telefonicznej. - Dzieci zapraszały je czasami, żeby wypełnić salony, że tak to ujmę.

Oczywiście, że pamiętają. Oczywiście, że pamiętają, że Jerry był pasażerem.

Katarina Fagelsjő powiedziała: „W ogóle nie pamiętam tamtej imprezy. Nie mam o niej żadnych wspomnień, mam kompletną pustkę w głowie”.

Co tutaj nie pasuje? - myśli Zeke. Czuje, że to jest ważne. Ale w jaki sposób?

Za dużo.

Za mało.

Skogsa.

Ciągle ten zamek, te ziemie.

Samochód wpada w poślizg, zjeżdża z drogi w sylwestra i dla dwojga młodych ludzi to się źle kończy. Jeden z tych, którzy siedzieli w samochodzie i przeżyli, zostaje wiele lat później znaleziony martwy w fosie, na terenie posiadłości, która należy do niego.

„Mam kompletną pustkę w głowie”.

Kłamstwo, myśli Zeke. Nic tak nie wbija się ludziom w pamięć jak śmierć.

JONAS KARLSSON, SYLWESTER 1984

L/zołgam się do niej przez śnieg, myślę, że nie żyje, nie porusza się, a ja ją przywrócę do życia, tak zrobię, będę wdmuchiwał powietrze do jej płuc i przywrócę jej życie. Krew płynie jej z uszu i cały świat, wszystkie ustępstwa tej sylwestrowej nocy brzęczą mi w uszach i nic nie słyszę, ale widzę, reflektory samochodu mrugają, pompują swoje martwe światło, w którym Jerry porusza się jakby w zwolnionym tempie, biega w kółko na czarno--białych, krzyczących obrazach; jest tu zimno i cisza, czarna cisza, o której wiem, że będzie mnie prześladować do końca życia.

Jaśmin, tak miałaś na imię?

Andreas? Gdzie on jest? Czołgam się, a Jerry stoi nade mną, coś krzyczy, ale nie rozumiem co. Chcę go słyszeć, pokazać, że jestem godny być jego przyjacielem, niczego tak bardzo nie chcę, jak być jego przyjacielem.

Obejmuję twoją głowę rękoma, Jaśmin, a śnieg wokół ciebie jest zabarwiony na szaro od szarej krwi, i dlatego noc nie ma żadnych dźwięków ani barw? Nawet krew nie wydaje się czerwona.

I co krzyczy Jerry? Co takiego krzyczy?

On czegoś chce. Teraz pamiętam słowa wykrzykiwane w samochodzie, jedź wolniej, zwolnij, a później świat wirował, wirował, wirował, pękł na tysiąc różnych dźwięków i krzyki się 247

skończyły, a ja zawisłem głową w dół, w ciszy, i patrzyłem na kierownicę, na Jerry'ego szarpiącego się z pasem, a potem upadłem i zacząłem się czołgać.

Wydawało mi się, że ktoś stoi nad ciałem Andreasa.

Jakaś istota w bezbarwnych kolorach strachu.

I Jaśmin w moich ramionach. Oddycha. Skąd to wiem? Jerry stoi obok mnie i krzyczy: Ona oddycha! Ona oddycha! I jego słowa docierają do mnie powoli, zimno, jak przez watę, krzyczy, patrzy na mnie tymi swoimi nieubłaganymi niebieskimi oczami, czegoś ode mnie chce, naprawdę czegoś chce.

Tak bardzo, że ja sam nigdy niczego nie będę chciał bardziej.

Mogę teraz powrócić na tamto pole. Leży nieruchome, blade w deszczu i we mgle, w surowym zimnie, które sprawia, że normikom mąci się w głowie.

Nie zamierzam nikomu opowiadać o tamtym wieczorze i nocy. O miłości i determinacji, i śmierci, o białym śniegu i wąskich strużkach krwi z głuchych uszu dziewczyny, krwi, która z niej wypływała i zbierała się pod jej ciałem jak miękka poduszka z najdelikatniejszego aksamitu.

Byłem zły.

Rozczarowany, ale zdeterminowany, żeby iść w życiu naprzód. Stanę się najbardziej nieostrożny z nieostrożnych.

Teraz unoszę się wyżej.

Patrzę z góry na Skogsa. Widzę mały domek Linnei Sjostedt, siedzi tam w środku i czeka na śmierć, która jeszcze długo nie przyjdzie do niej w odwiedzin.

Śnieg wiruje w powietrzu, pada małymi, doskonałymi płatkami, niewiele większymi od pyłków kurzu.

Używałem, używam moich niebieskich oczu.

Stoję na polu, zaledwie parę metrów kwadratowych z nieskończenie ogromnego świata, który jest mój, całej przestrzeni, która teraz należy do mnie.

Chłopiec przestaje być chłopcem, a śnieg i deszcz kładą się na spoczynek na ziemi.

Kim byłem wtedy, późnym latem, gdy stałem na schodach przed szkołą, kilka miesięcy wcześniej, i czułem ciepłe, matowe promienie słońca pieszczące moje policzki?

LINKÓPING, 1984 I PÓŹNIEJ

Ohłopak, którym nadal jest, stoi na schodach przed Katedral-skolan w słońcu późnego lata, ciepłym jak wspomnienie zimnej dłoni jego mamy.

W przeciwieństwie do wielu uczniów najbardziej elitarnej szkoły średniej w Linkópingu, chłopak nie pali papierosów. Mimo to stoi na schodach, jest duszą towarzystwa, patrzy na ludzi wokół siebie, z każdym dniem uczy się, jak nimi manipulować, tak żeby robili to, czego chce, myśli, że nie ma w tym nic złego, bo inni i tak nie wiedzą, czego chcą.

I wtedy przychodzą chłopaki i dziewczyny z wielkich posiadłości, rezydencji i zamków z całej Ostergötland i nie ma żadnego znaczenia, co mówi albo robi ani z jak wielkim podziwem inni na niego patrzą, bo ci ludzie i tak traktują go jak powietrze. Rozmawiają z nim i o nim, ale zawsze w tym, co mówią i robią, jest coś żartobliwego i na dystans, z jednej strony pozwalają mu być, ale z drugiej strony nie pozwalają.

Pragnie być na tyle silny, by mieć ich gdzieś, by nie chcieć zabiegać o ich względy, ale nie potrafi się powstrzymać, próbuje być dowcipny na schodach, na lekcjach, w stołówce, ale to go donikąd nie prowadzi.

W szkole są kliki.

Dla chłopaków z zamków i z posiadłości, dzieci lekarzy, takich z rodowodem, ale nie dla chłopaków z Berga, z matką, 249

która umarła na reumatyzm, i bezsensownym ojcem, który akurat musi chodzić na kursy dla dorosłych, jakby nie było tylu innych możliwości.

On, który jest najprzystojniejszy i najbystrzejszy z nich wszystkich, powinien być oczywistym kandydatem do towarzystwa nauk przyrodniczych czy do kółka erudytów, tam, gdzie przesiadują ci kretyńscy poeci, tacy pewni siebie i puszający się swoim statusem.

Niech was szlag.

I imprezy. Ci, którzy je urządzają i na które często zapraszają wszystkich, oprócz niego. Jego błyskotliwość im zagraża, przeraża ich.

Jerry widzi tylko zamknięte drzwi.

Drzwi, które trzeba otworzyć.

Za wszelką cenę. I chociaż chłopacy z tymi swoimi kretyńskimi nazwiskami, rezydencjami i samochodami są śmieszni, to z dziewczynami to już trochę inna sprawa. Dziewczyny z zamków i rezydencji, o smukłych ciałach, delikatnych blond włosach otaczających szczupłe twarze o wąskich wargach.

W tym, jak się poruszają, jest coś pięknego i trudno się temu oprzeć; poruszają się tak dla niego, tak jak niemal wszystkie inne dziewczyny, ale podczas gdy inne ulegają jego niebieskim oczom, te piękne i eleganckie wymykają się w ostatniej chwili. Te piękne i eleganckie wiedzą, kim jest ten chłopak, skąd pochodzi, że jest ciekawostką, rozrywką, ale nie kimś, kogo traktuje się poważnie.

Ale jest pewna dziewczyna, najładniejsza z tych pięknych, która widzi, kim naprawdę jest chłopak, oprócz tego, kim się wydaje, widzi, jakim jest niesamowitym facetem, jakim mężczyzną się stanie i jakie życie będzie mógł zaoferować.

Ma na to dość odwagi.

Pewnego wieczoru, po dorocznych szkolnych zawodach i związanej z nimi imprezie, idą razem nad Stangan, która wije się przez Linkóping, i leżą obok siebie na materacu w opuszczonej pompowni, a dziewczyna pod nim jest naga, jej ciało jest białe, a on ją wypełnia swoją gorącą, twardą, mięsistą 250 duszą i oboje wiedzą, że nigdy nie będą mogli zapomnieć

tej chwili, tego uczucia, które tkwi w instynktowej miłości, w tym, jak ich podświadomość potrafi się uwolnić od wszelkich wątpliwości i zawrzeć w pocie, bólu, eksplozji i przestrzeni wolnej od strachu.

A potem sylwester.

Biały śnieg, który pada z czarnego nieba na zakrwawione pole.

Chłopak wykrzykujący słowa, które czynią z niego mężczyznę.

Morze lśni odcieniami błękitu, których Malin nigdy wcześniej nie widziała, i wygląda na to, że tego dnia słońce uznało za swoje zadanie zatrzeć wszelkie różnice między żywiołami. Malin czuje, jak jej sukienka przykleja się do dolnej części pleców, a ciepły wiatr zamyka ciało w swoich miękkich, lekkich objęciach.

Dokoła widzi przepych.

Taras z basenem został zbudowany na skale jakieś sto metrów nad pustą plażą z czarnym piaskiem.

Basen wyłożony czarną mozaiką. Malin myśli o tym, jak pięknie byłoby do niego wskoczyć, patrzy na mężczyznę w wodzie, który przepływa jedną długość basenu za drugą, nie przejmując się tym, że zjawili się goście.

Taras musi mieć przynajmniej czterysta metrów kwadratowych. Malin razem z inspektorem Jorge Gomezem, ubranym w pognieciony, beżowy lniany garnitur, siedzą pod parasolem przy stole z drewna tekowego na końcu tarasu. Po drugiej stronie basenu, przed ogromnym białym domem w kształcie sześcianu, dwie biuściaste blondynki siedzą na leżakach, bawią się telefonami komórkowymi i poprawiają ogromne okulary przeciwsłoneczne, podczas gdy trzech ubranych w dzinsy goryli wygląda z salonu, którego wielkie szklane drzwi wychodzą na taras.

Nowoczesny zamek, myśli Malin. Położony na uboczu, ale najwyżej parę kilometrów od gwaru Playa de las Americas. 252

Funkcyjny marzenie.

W bieli i stali, w słońcu i ciepłe. To chyba o czymś takim marzyłaś, mamo?

Mężczyzna dalej pływa i drobne fale rozchodzą się do krawędzi basenu, chlapią poza nie, jedna z blondynek się podnosi, macha do nich ręką, a Gomez macha jej w odpowiedzi.

Przywiózł tutaj Malin, niewiele mówił, tylko tyle, że zdają sobie sprawę z podejrzanego przeszłości Jochena Goldmana, ale że na wyspie jest wielu gorszych sukinsynów od niego, takich, którzy faktycznie zostali skazani za morderstwo, a nie tylko mają nadszarpiętą reputację, i że oczywiście zostawili go w spokoju, ponieważ nie wydano na niego żadnego nakazu aresztowania.

- Nie należy do tych, którzy sprawiają kłopoty - powiedział Gomez swoją łamaną angielszczyzną. - W przeciwieństwie do Rosjan. Ich musimy trzymać krótko.

- Myślisz, że nas wpuści?

- Jeśli jest w domu, to pewnie tak.

Dziesięć minut później ich czarny seat na jałowym biegu stał już przed bramą, a jakiś męski głos z głośnika polecił im:

- Podjedźcie do domu, ktoś tam po was wyjdzie.

Na spotkanie wyszła im młoda kobieta w kostiumie, która zaprowadziła ich do stołu na tarasie, i zanim znikła w głębi domu, oświadczyła:

- *Mister Goldman will be with you shortly.*

Kraul.

Woda.

Goldman w basenie.

Malin widzi, jak pracują mięśnie jego ramion, marzy o tym, by znaleźć się w basenie, czuć, jak jej ciało zмага się z wodą, odsuwa od siebie tę przyjemną, miękką przeszkodę.

Muskularne, lecz równocześnie grube ciało jest pełne dynamiki, opalony Jochen Goldman wychodzi z basenu, bierze ręcznik od jednego z goryli i idzie w ich stronę, z uśmiechem i mokrymi jasnymi włosami.

Ręcznik na karku. Potężny zegarek na jednym nadgarstku, 253

opalona skóra i ciężki złoty łańcuch na szyi. Wybielane zęby, nienaturalnie białe u czterdziestopięcioletniego mężczyzny, który z całą pewnością nie wiódł najspokojniejszego życia. Morderca? Taki, który pozbywa się ludzi? Nie sposób to wiedzieć.

Malin nie czuje przed nim strachu. Czuje coś innego.

Jochen Goldman zatrzymuje się dziesięć metrów od nich, wypina swój zaokrąglony brzuch, prawą ręką wyciera mokre włosy, a potem owija się w pasie ręcznikiem.

Wyciąga dłoń do Malin.

Ona ją ścisną; uścisk jego dłoni jest równie mocny i zdecydowany jak jego nieszczerzy uśmiech. Malin widzi, że podczas tych lat, gdy się ukrywał, musiał przejść kilka operacji plastycznych, ma tylko kilka zmarszczek wokół oczu, wyrazistsze rysy i bardziej spiczasty nos niż na starych zdjęciach w prasie. Gdy Jochen Goldman siada w słońcu na krześle obok nich, podchodzi do niego goryl z okularami słonecznymi wysadzanymi po bokach diamentami. Malin się uśmiecha, mówi: „Ładne okulary”, a potem się przedstawia.

- Komisarz Malin Fors, z policji w Linköpingu. Rozmawiamy liśmy przez telefon. To mój hiszpański kolega Jorge Gomez.

Gomez kiwa głową Goldmanowi, który w odpowiedzi lekko unosi brodę.

- Czy mógłby pan zdjąć okulary? Chciałabym widzieć pana oczy, kiedy będziemy rozmawiać.

- Są od Toma Forda. Ma pani dobry gust - mówi Goldman i zdejmuje okulary. - To pani dzwoniła w sprawie Jerry'ego, prawda?

Przecież wiesz, myśli Malin, a on uśmiecha się z rozbawieniem.

- I teraz przyjechała pani aż tutaj, żeby ze mną porozmawiać.

Malin rozumie, że nic na świecie nie może skłonić tego człowieka, by powiedział więcej, niż postanowił, więc przechodzi prosto do rzeczy.

- Mamy podstawy sądzić, że pan wiedział, iż Jerry Petersson próbował pana wydać, kiedy się pan ukrywał.

Znowu uśmiech. Jego brązowe oczy błyszczą w słońcu, gdy mówi.

- Oczywiście, wiedziałem o tym. Dowiedziałem się tego od mojego źródła w Interpolu. W ostatniej chwili zdążyłem uciec.

- Chciał się pan zemścić?

- Nie. Przecież udało mi się. Poza tym dlaczego miałbym chcieć to zrobić teraz, kilka lat później? Nigdy całkowicie nie polegałem na Jerrym. Nie był typem, do którego można było mieć całkowite zaufanie, a w sytuacji, w jakiej się wtedy znajdowałem, najlepiej było mieć się na baczności przed każdym.

-Ale mówił pan przecież, że byliście przyjaciółmi.

- Bo byliśmy. Mimo wszystko budził więcej zaufania niż inni.

Malin kiwa głową.

Widzi krople wody, które powoli schną na skórze Jochena Goldmana; siedzi odchylony do tyłu, z szeroko rozsuniętymi nogami i bezwstydnie delektuje się tym dniem, tak jakby miał być ostatnim dniem w jego życiu.

- Chciał po prostu sprzedać te książki - mówi po chwili. - Jego zachłanność była wręcz wruszająca. Dopiero co zgarnął kilkaset milionów z tej spółki IT, a mimo to nie potrafił się powstrzymać, by spróbować podbić sprzedaż książki.

Na morzu, na horyzoncie, pojawił się jakiś wielki pasażerski liniowiec.

Królowe biustu znikły z tarasu.

Pozostały tylko czujne spojrzenia goryli z salonu.

- Dobrze się tu panu żyje.

- Ciężko pracuję. Ale przydałaby mi się kobieta.

- Przecież ma pan parę sztuk - mówi Malin.

- Ale żadna nie jest taka jak pani.

Malin się uśmiecha, czuje spojrzenie Jochena Goldmana i zastanawia się, czy powinna poprawić sukienkę, którą podwiał wiatr, ale nie robi tego. Ma zasadę, żeby nigdy sobie w ten sposób nie pogrywać, teraz jednak postanawia zrobić wyjątek. Dla siebie? Żeby zbić z tropu Jochena Goldmana?

Wszystko mi jedno dlaczego, myśli Malin i patrzy na swoją skórę.

Gomez ma w ręku komórkę, która piszczy, gdy wchodzi jakiś SMS.

- A więc twierdzi pan, że nie był pan nawet zły na Peters-sona?

- Nie byłem. Jeśli człowiek nie oczekuje lojalności, nie wytrąca go z równowagi zdrada, prawda?

- Nie wiem - odpowiada Malin i widzi Jannego w domu, w przedpokoju, kiedy miał po raz pierwszy jechać do Bośni, ten wieczór przed jego odjazdem, kiedy na próżno próbowała go powstrzymać przed spakowaniem plecaka w maskujących barwach moro.

- Ale tak właśnie jest.

- Dalej prowadził pan z nim interesy?

- O tak.

- Mimo że nie mógł pan na nim polegać?

- On przecież nie wiedział, że ja wiem. I powinnaś sobie zdawać sprawę z jednego, Malin. Czasami Jerry Petersson był dokładnie takim typem człowieka, jakiego chciało się mieć po swojej stronie.

- Dlaczego?

- Miał swoje zalety. Bezwzględność, którą można było wykorzystać.

- Co pan ma na myśli, mówiąc „bezwzględność”?

Goldman unosi brwi, dając do zrozumienia, że nie ma za miaru odpowiadać.

- Jak się poznaliście? - pyta zamiast tego Malin.

- Pewnego razu, kiedy miałem kłopoty. Adwokat z jego firmy, z którego usług zwykle korzystałem, był akurat na urlopie. Jerry od razu przypadł mi do gustu. A kiedy otworzył własną kancelarię, przenieśliśmy się do niego jako klient.

- Wie pan, dlaczego ją otworzył?

- Pozostali się go bali.

- Bali się?

- Tak, był o wiele bystrzejszy od nich, więc byli zmuszeni go wyrzucić.

Malin się uśmiecha. Jochen Goldman głaszcze się po brzu-256 chu, rozszerza nozdrza w taki sam sposób jak Tony Soprano.

-Jest może coś, co według pana powinnam wiedzieć? O waszych interesach? O Jerrym?

- Nie. Chyba czegoś powinna się pani dowiedzieć sama? -Znowu uśmiech.

- A więc nie postanowił pan po tym wszystkim się zemścić i nie wysłał pan nikogo, żeby załatwił Jerry'ego?

Goldman szczyrzy zęby do Malin, tak jakby ona sama była nastanym mordercą, ale takim mile widzianym i wyczekiwany. Znowu wkłada okulary słoneczne i odwraca głowę w taki sposób, że ostre promienie słońca odbite od kamieni szlachetnych rażą Malin, tak że musi zmrużyć powieki.

- Nie przynudzaj, Malin. Stać cię na coś lepszego. A gdy bym nawet to zrobił, to i tak bym ci o tym nie powiedział.

Malin odwraca twarz w stronę morza. Myśli o

Tove.

Zastanawia się, co teraz robi.

Myśli o mamie.

O tacie. O tym, że on na pewno cieszy się i czeka niecierpliwie na jej wizytę dziś wieczorem.

- Chodź ze mną na spacer - mówi Jochen Goldman. - Pokażę ci moją posiadłość.

Idzie za Goldmanem po stromych schodach wijących się w dół, w stronę morza. On wciąż ma na sobie tylko kąpielówki. Jego opalone ciało błyszczy w słońcu, kiedy opowiada jej o hiszpańskim architekcie, który zaprojektował ten dom i zbudował też willę dla Pedra Almodóvara w górach pod Madrytem.

Malin milczy.

Pozwala mu mówić, myśli o tym, że są teraz poza zasięgiem spojrzeń goryli i że Gomez dalej pewnie siedzi na tarasie, gadając przez komórkę.

Goldman pyta, czy czytała jego książki, a ona odpowiada, że nie, i uświadamia sobie, że powinna była to zrobić.

- Nic nie straciłaś - mówi.

Zeskakuje na plażę, biegnie nad wodę, żeby nie poparzyć sobie stóp na rozgrzanym czarnym piasku, a Malin siada na



ostatnim stopniu schodów, zdejmując białe płócienne buty i też biegnie w stronę wody.

- Możesz się rozebrać. Wykąpać. Mogę kazać przynieść ci kostium. Nie masz pojęcia, jak to cudownie leżeć na tym piasku i czuć sól krystalizującą się na ciele.

- Wyobrażam sobie - mówi Malin, i wbrew swojej woli ma ochotę położyć się na piasku obok Jochena Goldmana i patrzeć na niego, na tę niewłaściwie ukierunkowaną siłę, którą ucieleśnia.

On ciska kamień, który kilka razy odbija się od powierzchni wody.

- Dokładnie tak jak ten kamień - mówi. - Tak się właśnie czułem przez dziesięć lat.

- Z własnej winy. I całkiem się to panu opłaciło.

- Jesteś brutalna.

- Jestem realistką- odpowiada Malin. - Czy Jerry Petersson wspominał kiedyś o wypadku samochodowym, w którym brał udział? - pyta po chwili.

Ciepła morska woda między palcami stóp, drobna, spieniona falka, która z sykiem wtacza się na czarny piasek.

- Był nastolatkiem, zginęli ludzie.

Jochen Goldman się zatrzymuje.

Patrzy na nią i Malin nie widzi jego oczu ukrytych za ciemnymi okularami, ale czuje, że zaraz jej to powie. To, po co tu przyszli, to, co podświadomie przeczuwała, że powie, jeśli go potraktuje jak zwykłego człowieka.

- Pewnego razu się tym chwalił. W sylwestra w Punta del Este. Mówił, że to on prowadził ten samochód, że był pijany, ale udało mu się namówić kogoś innego, kto był trzeźwy, żeby oświadczył, że to on prowadził. Jerry był z tego cholernie dumny.

tlieciesz bzdury, Jochen.

Na temat tego wypadku. Nie przypominam sobie żadnego sylwestra w Funta del Este. A może jednak?

Widzę cię, jak stoisz na tarasie przy tym swoim nowoczesnym zamku i patrzysz na morze.

Pewnie, że chciałem cię wydać.

Jak na westernie - John Wayne ucieka tak jak ty, tyle że przed Apaczami, w jakimś masywie górskim między Teksasem a Meksykiem.

Odpywam teraz od ciebie, jochen, zostawiam cię z twoim niepokojem, przed którym jeszcze nie udało ci się uciec.

Przeplłyn sobie parę basenów w tej twojej czarnej, lśniącej fosie.

Powinieneś coś wiedzieć: tu, gdzie teraz jestem, nie ma niepokoju, tylko ciekawość i strach, i tysiąc innych uczuć, których nazw nie znam. Nie muszę trzymać innych ludzi na dystans, nie potrzebuję żadnej fosy.

Wreszcie jestem wolny od lęku i wstydu.

Ale ty chyba nie, Malin ?

Malin patrzy na pokój hotelowy.

Teraz jest tu ciepło, klimatyzacja wyłączyła się automatycznie, kiedy wyszła, i woń pleśni stała się wyraźniejsza. Roze brała się do naga, leży na łóżku i żałuje, że nie zarezerwowali dla niej hotelu z basenem, chciałyby poczuć chłód wody oblewającej jej ciało.

Zamiast tego patrzy na szarozielone plamy wilgoci na suficie i czeka, aż Zeke odbierze komórkę. Jest czwarta, powinien teraz odebrać.

Zachrypnięty głos Zekego przy uchu.

- Malin. Co robisz? Jak się czujesz?

- Leżę w najobszerniejszym pokoju hotelowym, w jakim w życiu byłam.

- Jaką masz pogodę?

- Słońce. Ciepło.

- Spotkałeś się z Goldmanem?

-Tak.

-No i?

Z jednego z nocnych lokali słychać nagle jakieś podenerwowane okrzyki, a po chwili muzyka dyskotekowa zaczyna dudnić głośniej.

- Dyskoteka?

- Bar z dziwkami - mówi Malin.

- Ale egzotycznie - stwierdza Zeke.

- Dowiedziałam się tylko tyle, że według Goldmana to Jerry Petersson prowadził w tego sylwestra, a nie ten cały Jonas Karlsson. Goldman twierdzi, że podobno Jerry Petersson był pijany i namówił Karlssona, żeby powiedział, że to on prowadzi, by się z tego wywinąć.

W słuchawce zalega cisza.

- O cholera - mówi po chwili Zeke. - Wierzysz mu? Czy tylko sobie z nami pogrywa?

- Trudno powiedzieć. Ale możemy przecież przycisnąć o to Jonasa Karlssona. Przy ciśnijcie go.

Znowu wrzaski dziwek.

- Rozmawialiście już z nim?

- Tak. Jakobsson i Ekenberg z nim gadali. Ale teraz chyba będą musieli pojechać tam jeszcze raz.

- A rodzina Fagelsjów?

- Twierdzą, że ledwie pamiętają ten wypadek.

- Pamiętają - mówi Malin. - Możesz być tego pewien.

Zeke milczy przez chwilę, a Malin myśli o tym, jak Gomez zaproponował, że postawi jej piwo, a ona odmówiła, choć jej

ciało krzyczało o zimne piwo albo jeszcze lepiej coś mocniejszego.

Ale wytrzymała.

Zeke ciągnie dalej:

- Waldemar i Johan przesłuchają jeszcze raz Jonasa Karlsso-na. A potem musimy przesłuchać krewnych pasażerów tego samochodu. To jest jakiś trop. Jonas Karlsson mógł szantażować Peterssona. Ktoś z rodziny mógł się dowiedzieć prawdy, a wtedy mogło być bardzo różnie. Czterdzieści pieprzonych pchnięć nożem.

- Przesłuchajcie Fagelsjő - mówi Malin.

- Tak zrobimy. Kto wie, dokąd to gówno nas zaprowadzi.

Dzwoniłaś do domu, do Tove?

Nie wtrącaj się, myśli Malin. Nie chciała dzwonić do Tove, bo ona miała przecież lekcje, prawda?

- Odpieprz się, to nie twoja sprawa - rzuca Malin obrażonym głosem. - Przepraszam - odzywa się po chwili.

- Spokojnie, Malin - mówi Zeke. - Musisz zrozumieć, że ta sprawa nie jest ważniejsza od twojej córki.

Zamknij się, Zeke.

- Ktoś puka do drzwi - rzuca Malin. - Pewnie sprzątaczką. Muszę kończyć.

Martinsson się rozłącza.

Nie było słyhać żadnego pukania, chciała po prostu skończyć tę rozmowę.

Jerry, myśli Malin. Jerry. Jeśli to ty prowadziłeś tamtej nocy, to włożyłeś całe to wydarzenie do jakiejś małej, czarnej kasy pancерnej i wyrzuciłeś klucz, prawda? Wyjąłeś go tylko wtedy, kiedy chciałeś zaszpanować przed Jochenem.

Ja nigdy nie wyciągam moich tajemnic, myśli Malin, bo nawet nie wiem, jakie one są. A ty, Jochen, nie chcesz znać swoich prawdziwych tajemnic, prawda? Chcesz wierzyć, że wszystko da się kontrolować, że da się zmusić świat, by robił to, co chcesz.

Przymyka oczy.

Czuje, jak jej ciało ogarnia niepokój.

Jestem już zmęczona tym, że czuję się taka smutna i przy-

gnębiona, myśli. Wystraszona i zła. Dlaczego moje oczy są takie jak
oczy Katariny Fagelsjót?

Niedługo mama i tata.

Kije golfowe świszczące na tle błękitnego nieba. Najgorsze
pseudozajęcie ze wszystkich możliwych.

Ta sprawa, myśli Malin. Przez nią muszę zajrzeć w najgłębsze
zakamarki samej siebie.

Malin zasnęła. Leży bezbronna, z głową zasłoniętą ramieniem, jak
dziecko, które instynktownie wie, że mama nigdy nie zniknie.

Śni o mężczyźnie siedzącym w fotelu o futurystycznym kształcie
przy biurku w kolorze mahoni w jakimś pokoju z dużymi oknami
wychodzącymi na ruchliwą ulicę. Mężczyzna jest ubrany w szary
garnitur i nie ma twarzy.

Mówi do niej. Malin chce, żeby to się skończyło, ale nie wie, jak
to zrobić.

Leżysz nieruchomo na łóżku, mówi mężczyzna. W twoim
obskurnym pokoju. I pragniesz z całych sił móc tak przeleżeć cały
wieczór i noc, ale wiesz, że musisz się obudzić, że musisz wyjść i
niedługo wejdiesz pod prysznic, spróbujesz otrząsnąć się ze
wszystkich tych uczuć, zanim udasz się w samo ich centrum.

Przyjechałaś tutaj, na tę zatłoczoną wyspę, żeby poznać moją
tajemnicę, odkryć, jak to się stało, że zostałem tyle razy pchnięty
nożem.

I jestem ci za to wdzięczny, mówi mężczyzna.

Ale bardziej niż moja tajemnica interesuje cię twoja.

Wydaje ci się, że poznasz ją dziś wieczorem u twoich rodziców?
Nie licz na zbyt wiele, Malin. Czy nie byłoby lepiej, gdybyś
pojechała do domu? Przestała tyle pić i zajęła się córką? Ale nawet z
tym sobie nie radzisz. Jesteś na to za słaba.

Bo przecież łatwiej jest skupić się na mnie.

Tu, u mnie, możesz przeczuwać prawdę i odwlekać moment, kiedy
będziesz musiała wziąć się za siebie. 262 Napij się czegoś, Malin.

Pij, Malin.

To sprawi, że poczujesz się lepiej.

I wtedy znika mężczyzna i pokój. Pozostaje tylko głos.

Malin słyszy w sobie ten głos, głos, który szepcze: „Pij, pij, pij”.

We śnie zastanawia się, skąd pochodzi ten głos. Czy to cicha modlitwa jej własnego ciała o spokój, o to, by uwolnić się od smutku, tęsknoty i strachu?

Budzi się i głos znika, ale wrażenie wciąż unosi się w pokoju.

Wchodzi pod prysznic.

Kwadrans później siedzi przy barze w obskurnym lokalu i widzi swoją twarz w obtłuczonym lustrze.

Szklanka z tequilą napełniona do połowy, mgiełka na zimnym kuflu z piwem.

Mama.

Tata.

Here I come. Ale powinna być ze mną Tove. Żebyście mogli ją zobaczyć. Najpiękniejsze ze wszystkiego, co piękne.

- Znowu nie ma go w domu - mówi Waldemar Ekenberg, gdy po raz trzeci tego samego dnia dzwonią do drzwi mieszkania Jonasa Karlssona. -1 nie ma nawet pieprzonej komórki.

- Gdzie on może być? - zastanawia się Johan Jakobsson.

- Nie mam pojęcia. Johan patrzy na drzwi.

Masywne i zamknięte na głucho, jakby chciały strzec jakichś tajemnic. Byli tu dwie godziny temu, po rozmowie Malin z Zekem, i wtedy Karlssona też nie było w domu. Nie było go też w pracy, w szpitalu.

Pracownicy komendy szukali rodziców dziewczyny i chłopaka poszkodowanych w wypadku samochodowym. Obie pary się rozwiodły, ale nadal mieszkają w mieście.

Teraz jest wieczór. Nie możemy ich niepokoić o tak późnej porze z takiego powodu, myśli Johan. Ale musimy to zrobić jutro. Nie czekam z niecierpliwością na jutrzejszy dzień, myśli, odwracając się na pięcie i schodząc po schodach, zostawiając za sobą Waldemara i mieszkanie Jonasa Karlssona.

IN iechętna tęsknota ma swój adres.

Calle Amerigo 3.

Dwie szybkie tequile i piwo zrobiły swoje.

Dłonie Malin spoczywają spokojnie na jej nagich udach. Ma na sobie krótką białą spódnicę i różową bluzkę, całkiem nieźle wyprasowaną, chociaż była upchnięta w walizce.

Zegar na desce rozdzielczej taksówki pokazuje za pięć wpół do ósmej. Słowa taty przez telefon:

„Bądź o wpół do ósmej, wtedy już na pewno zdążymy wrócić z golfa”.

Taksówka oddala się od Playa de las Americas drogą biegnącą wzdłuż brzegu morza, zostawiając za sobą najgorszy zgiełk i ruch, które teraz zastępuje spokój dzielnicy mieszkalnej, nie ma już hoteli zbudowanych w pośpiechu nad wodą, zamiast tego pojawiają się wzniesione w równie dużym pośpiechu apartamentowce; dekoracje na starannie urządzonych balkonach świadczą o tym, że mieszkają tu emeryci.

Mama.

Długo szukali mieszkania przy plaży, ale było za drogo.

W Los Cristianos taksówka skręca pod górę, coraz więcej wysokich, bielonych kamienic czynszowych wspina się po skałach w kolorze ochry.

Nie widziałam rodziców od trzech lat.

Czy tęskniłam za nimi?

Może czasami, gdy słyszałam przez telefon głos taty, kiedy prosił mnie, żebym do nich przyjechała z wizytą, albo maru-264 dziś o kwiatkach.

Mama.

Rozmawiałam z tobą jakieś dziesięć razy, lecz wymienialiśmy informacje o pogodzie.

Czy brakowało mi was, gdy byłam sama z Tove? Pewnie, tato, pytałeś o nią. Ale nie przejmowaliście się tak naprawdę.

To dlatego przeprowadziłam się z nią do Sztokholmu, kiedy byłam w szkole policyjnej. Czułam, że nie byliście tak naprawdę ani przy mnie, ani przy niej.

Czy Tove za wami tęskniła?

Malin przed chwilą próbowała do niej dzwonić, ale z linią było coś nie tak.

To cholernie oczywiste, że Tove tęskniła za babcią i dziadkiem. Ojciec i matka Jannego już od dawna nie żyją, oboje byli nałogowymi palaczami.

Malin jest na lekkim rauszu po tequili. Czuje, że teraz, w taksówce, może być ze sobą szczerą.

Te domy tutaj. Przechowalnie ludzi.

Co jeszcze jest na tej pieprzonej, spalonej, wulkanicznej wyspie? Prócz ciepła i ucieczki przed odpowiedzialnością?

„Bądź o wpół do ósmej”.

Malin przemyka oczy.

„Wtedy na pewno wrócimy z golfa”.

Winda zatrzymuje się na czwartym piętrze, porysowane metalowe drzwi się rozsuwają i Malin chce je z powrotem zamknąć, uciec z tego domu, pojechać taksówką na lotnisko i wsiąść do pierwszego lepszego samolotu, który zabierze ją z powrotem w ciemność, deszcz i zimno.

Podchodzi do drzwi, które muszą prowadzić do mieszkania rodziców.

Tam w domu jest cieplej niż tu. Biały, podobny do marmuru kamień na ścianach i podłódze klatki schodowej zdaje się tworzyć jakiś dziwny chłód, którego wcześniej nie znała. Ma osiem lat i stoi pod domem w Sturefors, jest zimno i pada, a ona zapomniała klucza. Słyszy, że mama jest w domu. Mama wie, że Malin stoi na schodach, marznie, płacze i chce wejść do środka, ale nie otwiera, jest zła, bo Malin zgubiła klucz.

Malin stoi przed drzwiami.

Drzwi na Teneryfie.

Teraz się odwróć.

Może nie ma ich w domu.

Ale słyszy znajome głosy za drzwiami, jak najpierw rozmawiają ze sobą tonem zwykłej rozmowy, a potem zaczynają na siebie krzyżeć, leży w swoim łóżku w dziecięcym pokoju i słyszy, jak krzyczą w sypialni na drugim końcu domu. Są zimne jesienne noce, zimowe noce, wiosenne noce i letnie noce, a ona nie rozumie, co mówią, ma siedem, osiem, dziewięć lat i nie rozumie słów, ale wie, że mama i tata wykrzykują coś takiego, co na zawsze wszystko odmienia, coś, co zmienia kierunek w życiu, czy człowiek to sobie uświadamia czy nie.

I teraz, przed tymi drzwiami, słowa mamy i taty cichną w pamięci. Czy te słowa w ogóle padły? Pamięta tylko samą siebie w ciemności. Jak wszędzie było cicho, a ona leżała i czekała, aż życie się rozpocznie.

Szelest.

Malin odskakuje do tyłu.

Nie zdąża zauważyć cienia w wizjerze i już stoi przed nią tata, opalony, wesoły i ucieszony, że ją widzi. Jego twarz jest okrągłjsza i wygląda, jakby czuł się dobrze. Przyciąga ją do siebie, bierze w objęcia, i trzyma ją tak długo, nie mówiąc ani słowa, aż w końcu Malin mówi:

- Tato, nie mogę oddychać.

Wtedy ją puszcza. Odsuwa się na bok. Mówi:

- Teraz idziemy do mamy.

Malin wchodzi do mieszkania, widzi meble i dywany, które wzięli z Linkópingu, jak kiepsko pasują do nowych mebli w stylu hiszpańskiej hacjendy, które musieli kupić już tu.

- Jak się czujesz? - pyta tata, idąc za nią do dużego pokoju.

- Dobrze - odpowiada Malin.

Na zewnątrz, na balkonie z widokiem na Atlantyckie, widzi mamę odwróconą do niej plecami, w dziwnym świetle ulicznych latarni. Mama siedzi przy stoliku, ma na sobie różową bluzkę do tenisa, jej fryzura na pazia jest jak zawsze blond, a Malin zastanawia się, jak wygląda jej twarz.

Pomarszczona? Tryskająca zdrowiem, zła czy może tylko starsza?

Mama się nie odwraca i po chwili Malin stoi obok niej na balkonie, słyszy głos taty: „Już jest!” W tym momencie mama ją zauważa i Malin myśli, że jej twarz wygląda tak jak zawsze, tyle że jest bardziej opalona, ale ma ten sam skwaszony, zgorzkniały wyraz, który nie znika nawet mimo uśmiechu na ustach.

Teraz mama wstaje.

Lekko całuje ją w policzki.

- Piłeś, kochanie? Czuć od ciebie alkohol. I marnie wyglądasz. - I nie czekając na odpowiedź, ciągnie: - Ale świetnie, że tu jesteś, kochanie. Naprawdę świetnie. Była już najwyższa pora. Kupiliśmy najlepszą paellę po drodze z Abama. Powinnaś zobaczyć to pole! Co za pole! Henry, bądź tak miły i przynieś kieliszek białego wina dla córki. No chodź, usiądź tutaj.

I Malin siada naprzeciwko swojej matki na balkonie rodziców na Teneryfie, i nie wie, czy powinna patrzeć na mamę, w głąb mieszkania czy na morze.

-Co ty tu tak właściwie robisz?

Mama gorączkowo i nerwowo pije swoje wino, a Malin pociąga wielkimi łykami z kieliszka, który przed chwilą postawił przed nią tata, i zastanawia się, czy właśnie tak dziecko wita się ze swoimi rodzicami, a rodzice z jedynym dzieckiem, którego nie widzieli od trzech lat. Potem Malin bierze jeszcze jeden spory łyk wina i myśli, że na coś takiego nie ma żadnych reguł, żadnych ludzkich standardów zachowań. Chciałaby, żeby był tu tata, ale zamiast tego słyszy go, jak krząta się gdzieś w kuchni. Przed nią mama, z zawieszonym w powietrzu pytaniem.

- Pracuję nad pewną sprawą - odpowiada Malin. - Trop prowadził tutaj. Więc przyjechałam.

Każdy inny człowiek na świecie z zaciekawieniem wypytywałby dalej, chciałby wiedzieć, o co chodzi, jaki był konkretny powód, który sprawił, że policjant z Linkópingu leciał samo lotem przez pięć i pół godziny, by dotrzeć tu, na Teneryfę.

Ale mama zaczyna mówić o polu golfowym.

- Rozumiesz, to pole golfowe jest w Abama, najbardziej luksusowym hotelu na całej wyspie, i granie tam jest cholera nie drogie, jeżeli w ogóle człowiek dostanie *tee-time*, ale zrobili losowanie w szwedzkim klubie i wiesz co? Wygraliśmy. Powinnaś zobaczyć pierwszy dołek. Byliśmy tam ze Svenem i Maggan...

Malin udaje, że słucha.

Kiwa głową.

W myślach opowiada mamie o Tove, jak ona się czuje, że zaczyna dorastać. Opowiada o Jannem, że się rozstali i nie mieszkają już razem, że jest zrozpaczona i czasami nie wie, co ze sobą zrobić, i słyszy „jeśli się tam wybiję piłkę, może polecieć prosto do morza, i wtedy dostaje się trzy karne uderzenia, a wtedy cała runda jest do niczego”, a Malin opowiada, że sama czuje się tak, jakby w jej życiu wszystko było do niczego, że chce się napić, że za dużo pije, że chleje jak świnia i że w głębi serca przyznała się przed sobą, ale tylko przed samą sobą, że jest pieprzoną alkoholiczką, ale że nigdy, przenigdy nie przyzna się do tego przed nikim innym. Z zadowoleniem kiwa głową, kiedy tata znów nalewa jej wina, a potem nagle na stole stoją talerze, a obok paella na wynos w aluminiowej foremce, a nad zabarwionym na żółto ryżem królują trzy duże homarce.

Zapadła ciemność.

Malin słyszy niepewną, odległą muzykę z pubów przy plaży i słyszy, jak tata mówi:

- Proszę, Malin, nałóż sobie.

Wyciąga rękę za szybko i przewraca swój kieliszek. Cholera.

- Ups - mówi tata. - Zaraz to posprzątam.

- Taka sama niezdara jak zawsze - stwierdza mama i Malin ma ochotę wstać i wyjść, ale nadal siedzi.

Malin słyszy, jak mama w dużym pokoju trajkuje przez tele-268
t^{oni} z którąś ze swoich przyjaciółek.

JtE^BBK-'-i^B-' Jfa^f^H

Naprzeciwko niej tata, ze spokojną twarzą, wygląda tak,

I^H

jakby niemal mu ulżyło, że mama odeszła od stołu.

Paella już zjedzona.

Dobra była, myśli Malin. Mimo wszystko.

Mama gadała o golfie, o fryzjerach, o tym, że jedzenie podróżowało, że mieszkanie może i nie jest duże, ale z całą pewnością jego wartość wzrosła, o jakimś kursie jogi, na który zaczęła chodzić, o tym wszystkim i jeszcze o wielu innych rzeczach, a wtedy zadzwonił telefon i poszła odebrać. Teraz tata pyta:

- Co tam słyhać u Tove?

Wino uderzyło Malin do głowy.

- Zaczyna dorastać.

- Tak jak ty dawno temu.

Uśmiechasz się do mnie, tato.

- A Janne?

Musi wiedzieć, że się rozstaliśmy.

- W porządku. To i tak nie mogło zadziałać. To był kiepski pomysł, żeby w ogóle znów próbować. - I dokładnie wtedy, gdy tata ma skomentować to, co powiedziała, w drzwiach pojawia się mama.

- To Harry i Ewy. Jadą do nas. Strasznie chcieli poznać naszą dzielną córkę policjantkę.

Nie, myśli Malin. Nie.

A tata patrzy na nią i mówi:

- Wiesz co, Malin? Może pomożesz mi sprzątnąć ze stołu, a potem się przespacerujemy do sklepu i kupimy lody, zanim przyjdą?

- Zróbcie tak - mówi mama. - Mnie bolą stopy. Musieliśmy dzisiaj przejść pewnie ze dwadzieścia kilometrów. Ilu sześćdziesięciosiedmiolatek by to wytrzymało?

Malin dopija swoje wino.

Starannie opróżnia kieliszek do ostatniej kropli, ale mama nie zwraca uwagi na to, jak ją suszy.

t-Mfe
SOE
H*""**
i -7: M
^H
■ ;';";;^TM-iSiSsSS

^H

1

H

n

^H

Ołychać stękanie lodówki na napoje i klimatyzacja"i w małym *supermercado*.

Właściciel przywitał ojca Malin, jakby był jego drogim starym przyjacielem, a tata długo z nim rozmawiał niemal płynnym hiszpańskim. Malin nie rozumiała ani słowa z ich rozmowy.

- To Ramon - powiedział tata. - Miły gość. I co powiesz? Waniliowe czy czekoladowe? Lubisz czekoladowe, prawda?

- Wolałabym piwo w barze obok.

Tata bierze opakowanie lodów czekoladowych z zamrażarki, a potem odwraca się do niej, na gorsie jego jasnoniebieskiej koszuli są małe, żółte plamki po ryżu z paelli. Teraz Malin dostrzega, że jego włosy bardzo się przerzedziły, odkąd widzieli się po raz ostatni.

- Możemy tam iść, jeśli chcesz, Malin.

Minutę później siedzą w barze we wciąż niesłabnącym, trzydziestostopniowym upale, pod obracającym się na suficie wentylatorem, a Malin osusza kropelki rosy z kufła i myśli, że wrażenia są takie same, jak w Hamlecie czy w Puli & Bear. Na ścianach baru są niebieskie kafelki z wzorem przedstawiającym białe ryby złapane w sieć.

Tata bierze spory łyk piwa i mówi:

- Mama wcale się nie zmieniła.

- Zauważyłam.

- Ale w jakiś sposób tutaj jest łatwiej.

270 - Jak to?

- Mniej udawania.

Malin pociąga łyk i kiwa głową, że rozumie, co on ma na myśli, a potem głęboko wciąga powietrze do płuc.

- Ciężko ci było - mówi ojciec. - Tak.

- Chcesz o czymś porozmawiać, dziewczyno? Czy tego chcę?

Co mielibyśmy sobie powiedzieć, tato? O tych rybach na kafelkach, z których połowa ma zamknięte oczy, tak jakby znajdowały się w ciemnej fosie, i chce mu opowiedzieć o swoich snach, o tym chłopcu, opowiedzieć i dowiedzieć się, kim jest, co się kryje w ciemności, w tych snach.

- Śnił mi się chłopiec - mówi w końcu.

- Chłopiec? -

Tak.

- Mały chłopiec? -

Tak.

Tata milknie, pije.

- Czy mamy nie było, kiedy byłam małą? - pyta po chwili Malin.

- Lody się rozpuszczą. Wracajmy - odpowiada ojciec.

- Tato.

- Niektóre rzeczy najlepiej zachować dla siebie, Malin. Niektóre rzeczy są takie, jakie są, i trzeba się z nimi pogodzić. Tobie też dobrze idzie niewpuszczanie nikogo do swojego życia. Zawsze tak było.

- Co to ma niby znaczyć?

- Nic - mówi ojciec. - Nic.

Malin opróżnia swój kufel w czterech wielkich łykach, kładzie na barze pięć euro w banknocie, a potem wstaje.

Stoją obok siebie na chodniku. Ulicą przejeżdżają samochody, a gwar głosów miesza się z jakąś nieznaną muzyką.

- Macie jakąś tajemnicę, ty i mama, prawda? - mówi Malin. - Coś, czego nie chcecie mi powiedzieć, chociaż powinniście.

On patrzy na nią i otwiera usta, porusza językiem i wargami, ale z jego ust nie płyną żadne słowa.

- Powiedz mi, tato. Wiem, że jest coś, czego muszę się do wiedzieć.

A on wygląda, jakby miał coś powiedzieć, a potem patrzy w górę, w stronę balkonu ich mieszkania i Malin wyczuwa postać mamy, tam na górze.

- Tajemnica. Jest jakaś tajemnica, prawda?

A on mówi:

- Musimy wracać na górę z lodami, zanim się stopią. Zaraz przyjdą nasi znajomi.

Odwraca się i idzie.

Malin dalej stoi na chodniku.

- Jestem zmęczona, tato - mówi, a on się zatrzymuje, znów odwraca się w jej stronę. - Nie idę z tobą na górę. Wracam do hotelu.

- Musisz się pożegnać z mamą.

- Wyjaśnij jej to, proszę.

I stoją naprzeciwko siebie, w odległości pięciu metrów, przez jakąś minutę, patrzą na siebie i Malin czeka, że ojciec do niej podejdzie, obejmie ją tak, by z rzeczywistości znikło wszystko, co piecze i boli. Tata unosi lody.

- Wytłumaczę mamie.

A potem Malin widzi jego plecy. Jasnoniebieskie i spocone, w słabym blasku płynącym z barów, sklepów, latarni ulicznych, gwiazd i księżycy.

»

Co tu robisz?

Jochen, przychodzisz tu czasem? Czy to ty siedzisz tam dalej, przy barze, i pokazujesz swoją opaloną na brąz skórę?

Co ona tutaj robi?

Wyglądają tak, jakby się nad tym zastanawiali. Ci faceci siedzący przy barze wokół podium, gdzie w niebieskim fluorescencyjnym świetle tańczą nagie dziewczyny. Jest w nocnym lokalu naprzeciwko hotelu. Da radę doczołgać się do pokoju.

Lesbijka? 272 Mam gdzieś, co myślicie, myśli Malin. Mam gdzieś to, że

każda kolejna tequila kosztuje trzydzieści euro i że dziewczyny znikają z mężczyznami za zasłoną.

Afrykanki.

Dziewczyny z Bałkanów.

Rosjanki.

Niektóre z nich na pewno wylądowały tutaj pod groźbą i za sprawą przemocy. Ile z nich skończy tak jak Maria Murvall?

Ale teraz tańczą, ich naoliwiona skóra błyszczy, wirują apatycznie wokół swoich rur, uśmiechają się ustami, ale w oczach nie ma żadnych uczuć.

Malin wypija czwartą tequilę i nareszcie bar, dziewczyny, mężczyźni wokół niej zaczynają zatracać kontury i zlewają się w jeden ciepły i spokojny obraz rzeczywistości.

Tutaj mogę sobie siedzieć, myśli Malin.

To miejsce przy barze to moje miejsce.

Unosi palec, przywołuje do siebie barmana.

Napełnia jej szklanke, a ona kładzie na ladzie pieniądze. Wie, że dopóki za siebie płaci, może pić, a jeśli spadnie ze stołka, wyniosą ją na zewnątrz, na ulicę i położą gdzieś na boku, żeby się przespała i wytrzeźwiała.

Ale nie zniknę z tej planety, myśli.

Potem przymyka oczy.

Twarz Tove. Co ona teraz robi? Czy potwór jest przy jej łóżku i chce ją udusić? Czy utopione szczury ze ścieków chcą obgryźć skórę z jej śpiącego ciała? Idę, Tove, zaopiekuję się tobą.

Twarz Jannego. Daniela Hógfelda. Mamy. Taty.

Znikajcie. Czy wy w ogóle chcecie dla mnie dobrze?

Znikajcie.

Maria Murvall. Niema i bez wyrazu, ale jednak wyraźna. Jakby wybrała wycofanie się ze świata, żeby nie widzieć ciemności.

Jerry Petersson w fosie. Próbuje się poruszać, wspiąć na górę, ale zielone duchy trzymają go na dole, ryby, robaki, kraby, węgorze i czarne, agresywne raki zżerają jego ciało, wypadają mu z ust i pustych oczodołów.

Ciało Jochena Goldmana. Czy teraz przyjdzie i mnie załatwi?
Weszłam mu w drogę? Czy teraz będę żarciem dla rekinów?

Nie mam nic przeciwko temu.

Wyniosłość i zgorzknienie rodziny Fagelsjów. Samochód, który wiruje, wiruje, wiruje, jak ogromna śniegowa kula jakiejś zimnej i śnieżnej sylwestrowej nocy.

Ciemne samochody.

Oczy, które patrzą, ale niczego nie widzą. Świat znika i staje się miękki, plastyczny, prosty i da się go zrozumieć, polubić.

Pij, pij, pij, mówi głos. Pij. Poczujesz się od tego lepiej i wszystko będzie dobrze.

Chętnie słucham tego głosu, myśli Malin.

ŚRODA, DWUDZIESTY DZIEWIĄTY PAŹDZIERNIKA

rowinnaś ich teraz widzieć, Malin.

Jak oni się nazywają, ci twoi koledzy? Waldemar? Johan?

Stoją w porannym chłódzie z Jonasem Karlssonem przed budynkiem, w którym mieszka, proszą go, żeby wszedł do środka, mówią, że muszą z nim porozmawiać, że nie powiedział prawdy o tym, co się wydarzyło tamtej nieszczęsnej sylwestrowej nocy.

Widzisz, Malin ? Sprawdzam, co robicie.

To nie był zbyt dobry poranek dla twoich kolegów. Prokurator orzekł, że Fredrik Fagelsjő ma zostać wypuszczony z aresztu, otrzymał wniosek od adwokata Ehrenstierny, który go przekonał, że Fredrik Fagelsjő nie popełni dalszych przestępstw i będzie pozostawał do dyspozycji prokuratury. „Nie możemy przetrzymywać tak wybitnego członka lokalnej społeczności przez cały tydzień z powodu stosunkowo drobnych przestępstw”.

Ale wy, policjanci, i tak go podejrzewacie.

Sylwestrowa noc. Kiedy ten śnieg przestanie padać? Kiedy ucichną noże kosiarki?

Czy to ja prowadziłem ?

Co robiłem na imprezie sylwestrowej u Fredrika Fagelsjő? Nie chcę pamiętać, ale to była jedna z tych rzeczy, jakie my, ludzie, robimy, Malin, gdy równocześnie czegoś chcemy i nie chcemy, gdy chcemy pokazać naszą niezależność, ale równocześnie musimy z niej zrezygnować, żeby coś dostać.

Teraz jonas się boi.

Czuję to, gdy jestem zaledwie parę centymetrów od niego.

Wie, że czas go dogonił.

Kiedy policjanci wrócili, był w drodze do pracy. Wyjaśnia im, że wczoraj przez cały dzień był na wyścigach kłusaków w Mantorp.

A może to jednak on prowadził?

Jochen potrafi się bawić i pogrywać z każdym dla samej tylko zabawy, bez tego jego życie nie ma sensu.

Teraz zamykają się drzwi do budynku, w którym mieszka Jonas Karlsson.

Dłoń Waldemara na jego ramieniu, gdy znikają w budynku. A ja jestem teraz przy tobie Malin, przy twojej śpiącej głowie, dziesięć tysięcy trzysta siedemdziesiąt dziewięć metrów nad ziemią.

Tajemnice, Malin. Kiedy byłaś mała, uwielbiałaś sekrety i teraz masz je cały czas w głowie.

Odrzutowiec mknie w powietrzu. Spisz, ale nie masz żadnych snów. Zastąpiłaś sobie na to. Kazałaś taksówkarzowi zatrzymać się w drodze na lotnisko, żebyś mogła się wyrzygać, wyrzucić z żołądka wczorajszy dzień.

Jesteś niereformowalna, Malin?

Wyglądasz na taką wykończoną, kiedy siedzisz oparta o zimną, wklęsłą szybę, głucha na szum silników. Tak naprawdę mam ochotę pogłaskać cię po policzku, Malin, a ty chyba tylko tego pragniesz.

Zatopić się w ciepłe ludzi.

Poczuć, że istnieje coś jeszcze prócz zimnych kamieni fosy.

Jonas Karlsson siedzi na sofie w dużym pokoju. Johan Jakobs-son usiadł naprzeciwko w fotelu, a Waldemar Ekenberg ciężkim krokiem przemierza pokój w tę i z powrotem. Stół jest zavalony pustymi butelkami po piwie i zgniecionym kartonem po winie, a kwaśna woń alkoholu wgrzyza im się w nozdrza. Jednak z wyjątkiem bałaganu na stole w mieszkaniu Jonasa Karlssona jest czysto.

Wysokie ciało Waldemara drży, jego głos jest głęboki, słysząc w nim tysiące wypalonych papierosów.

- Okłamałeś nas - mówi i Johan myśli, że od tego głosu ciar-

ki przechodzą mu po plecach: słowa kończą się ostro, mimo óstergótländzkiego akcentu, mimo papierosowej chrypki.

Jonas Karlsson wygląda, jakby już skapitulował, jakby był gotów na zbliżającą się burzę.

-Ja nie...

- Zamknij się, mięczaku! - krzyczy Waldemar. - Przecież to, kurwa, jasne, że nas okłamałeś. To Jerry Petersson prowadził wóz tamtego sylwestra. Nie ty.

-Ja...

Johan ma ochotę powiedzieć Waldemarowi, żeby się uspokoił, okazał trochę taktu, ale milczy. Jest coś takiego w atmosferze panującej w pokoju, że wbrew własnej woli nie jest w stanie się temu oprzeć.

-Jeśli powiesz prawdę, nie będziesz musiał ponosić żadnych konsekwencji - mówi Johan. - To było tak dawno temu...

-To nie ja...

Johan patrzy w wystraszone oczy Jonasa Karlssona, widzi, że tamten wie, że cała okolica pozna jego historię z mediów i plotek, że będzie szeptać za jego plecami.

Wtedy Waldemar unosi rękę, rozczapierza palce i mocno uderza Jonasa Karlssona w usta; Jonas krzyczy, z jego rozciętej wargi płynie krew.

Waldemar pochyla się nad nim.

- Chcesz jeszcze? Co?

-Ja...

Kolejny cios trafia Karlssona w tył głowy. Mężczyzna leci naprzód, na stolik przy sofie. -Co?!

- To nie ja prowadziłem! - krzyczy Jonas Karlsson. - To nie ja. Jerry, Jerry, Jerry.

Malin się budzi.

Szum samolotu, cichy odgłos pracy silników i wrzawa rodziny z dziećmi dwa rzędy przed nią otaczają jej mózg ze wszystkich stron. Obok siedzi para emerytów, opalonych, najwyraźniej byli długo na słońcu, mogliby być jej rodzicami. 277

Uśmiechnęli się do niej, gdy się obudziła, otworzyła swoje skacowane, zaczerwienione oczy.

Przed nią puszka z heinekenem, wypita do połowy. Piwo uspokoiło ciało, stłumiło nudności.

Wycieczka w ciepło.

Ale tylko fizyczne. Tęsknię, żeby stąd uciec, myśli. Widzi Jerry'ego Peterssona w fosie, jak jego ciało kołysze się w przód i w tył, wraz z regularnym, choć nieplanowanym ruchem wody.

Z całą pewnością byłeś świnią, myśli Malin. Skończoną świnią. Więc po co właściwie się tobą przejmuję?

I wtedy słyszy głos w głębi dudniącej czaszki: A czym innym miałabyś się przejmować, Malin? Wszystkim tym, co powinnaś zrobić, ale nie dajesz rady?

- Opowiedz nam o wszystkim.

Głos Ekenberga jest spokojny, lecz władczy, w słowach czai się groźba dalszej przemocy.

Waldemar usiadł na sofie obok Jonasa Karlssona, dał mu rolkę papieru toaletowego, którą przed chwilą przyniósł z łazienki.

Johan pochyla się na swoim fotelu, mówi:

- Teraz opowiedz nam prawdę. Jerry nie żyje. Już nic ci nie może zrobić.

I Jonas Karlsson odkaśluje, podnosi wzrok, a potem zaczyna mówić, z kawałkiem papieru przytkniętym do pękniętej wargi.

- Kiedy tam przyjechałem, Jerry już był na imprezie. Myślę, że przywiózł go ktoś inny. O wpół do drugiej Jerry chciał wracać do miasta, a ja zaproponowałem, że podwiozę jego i pozostałych. Poszliśmy na parking, gdzie stał samochód. Impreza się rozjechała. Fredrik Fagelsjö poszedł do zamku z ludźmi, z którymi chciał się dalej bawić, a my się do nich nie zaliczaliśmy.

- Więc byliście z Jerrym przyjaciółmi?

278 - Należałem do jego paczki. Ale przyjaciółmi? On nie miał

przyjaciół. Jasne, potrafił zrobić tak, żeby człowiekowi się wydawało, że jest jego przyjacielem. A ja chciałem nim być. Podziwiałem go, był taki, że człowiek chciał być taki jak on, chciał być przez niego lubiany za wszelką cenę.

- Więc go podziwiałeś. A potem?

- Mieliśmy we czwórkę wracać do miasta, ja, Jeny, Andreas i Jaśmin. Kiedy doszliśmy do samochodu, Jerry się uparł, że będzie prowadził. Był czymś mocno podenerwowany, przez cały wieczór wydawał się jakiś obrażony. Najpierw odmówiłem, ale wtedy zrobił się naprawdę agresywny. Krzyczał i stawiał się. Wtedy rzuciłem mu kluczyki i powiedziałem: „No to, kurwa, jedź, jak chcesz”. Zapiąłem się pasami na przednim siedzeniu, a Andreas i Jaśmin wskoczyli do tyłu, ale byli za bardzo pijani, żeby pamiętać o pasach.

- Czym Jerry był taki podenerwowany?

- Nie mam pojęcia. Zawsze miał mnóstwo tajemnic. A potem ruszyliśmy.

Waldemar kładzie dłoń na ramieniu Jonasa Karlssona.

- Jerry dawał gazu jak cholera.

- Daleko nie ujechaliście.

- Musieliśmy jechać jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt na godzinę, kiedy weszliśmy w zakręt. Koła straciły przyczepność i pamiętam tylko, jak pomyślałem, że teraz wszystko szlag trafi, a potem samochód toczył się, toczył i toczył po zaśnieżonym polu i to było tak, jakbyśmy się znaleźli w pralce pełnej błyskających świateł, a potem wszystko znieruchomiło i zrobiło się cicho. Po chwili zobaczyłem Jerry'ego, który wisiał głową w dół obok mnie, próbował się uwolnić i odpiął mój pas. Nawet jeśli jeszcze niedawno był pijany, to teraz adrenalina go kompletnie otrzeźwiła.

Johan widzi przed sobą ten obraz. Dwóch młodych mężczyzn, którzy potykając się, idą chwiejnie przez śnieg, próbują się osłonić przed wiatrem i pędzącymi płatkami śniegu, widzą ciała leżące dalej na polu.

- Zobaczyliśmy ich. Andreasa i Jaśmin. Leżeli na polu.

- Podeszliście do nich?

- Tak. Jaśmin leciała krew z uszu, ale oddychała.

-I przekonaliście się, że Andreas nie żyje. -

Tak.

- A później? - pyta Waldemar.

- Jerry złapał mnie za ramiona i powiedział: „Pójdę za to siedzieć, byłem pijany, ale jak powiem, że to ty prowadziłeś, jakoś się z tego wywinę”. Patrzył na mnie tymi niebieskimi oczami i rozumiałem, że nie dam rady mu odmówić. I pomyślałem, jaki to ma sens, żeby niszczyć życie Jerry'emu? A on powiedział: „Jeśli powiem, że to ty prowadziłeś, a ty jesteś trzeźwy, to policja uzna to za zwyczajny wypadek na śliskiej drodze”.

-I zgodziłeś się na to? - pyta Johan. -Tak.

- Tak po prostu? Wydaje mi się to jakieś za proste.

-Jerry potrafił być bardzo przekonujący. I obiecał mi masę rzeczy, zanim zjawiła się policja i karetka. Obiecał, że będzie moim przyjacielem, a ja niczego bardziej nie pragnąłem, to było moje marzenie. Obiecał mi też, że jeśli kiedykolwiek będzie bogaty, dostanę od niego pieniądze. -I został twoim przyjacielem?

- Nie. Przeprowadził się przecież do Lund.

- Dostałeś jakieś pieniądze? -

Nie.

- Dopominałeś się?

- Nie. Minęło tyle czasu, nim w gazetach zaczęli pisać o jego interesach.

Waldemar z sykiem wyrzuca z siebie słowa:

- Nigdy nie próbowałeś go naciskać o pieniądze, kiedy już zaczęło mu się dobrze powodzić? Albo kiedy wrócił w te strony? Nie groziłeś mu, że opowiesz prawdę?

- Nie. A co mógłbym na tym zyskać? Gdyby prawda wyszła na jaw, wszyscy w mieście dowiedzieliby się przecież, że kłamałem, i wyszedłbym na mięczaka. Może by mnie nawet zaskarżyli.

- A nie jesteś nim? - pyta Waldemar. - Mięczakiem?

Jonas Karlsson śmieje się nerwowo.

280 - Dokładnie tym jestem - mówi.

- Nigdy nie przyszło ci do głowy że rodzice mieli prawo się dowiedzieć, co się naprawdę stało?

Jonas pokazuje na butelki stojące na stole.

- Codziennie o tym myślę.

- Więc nie próbowałeś wycisnąć pieniędzy z Jerry'ego? A może pojechałeś do niego tamtej nocy? I wtedy wszystko poszło nie tak?

- Tamtej nocy byłem w domu z dwoma kumplami. Imprezowaliśmy aż do rana. Możecie do nich zadzwonić.

- Możesz być pewien, że to zrobimy - oświadcza Waldemar.

Jonas Karlsson uwalnia się z uchwytu Waldemara. Podnosi się i staje na środku pokoju.

-Jerry Petersson nie był taki jak inni. I nie dotrzymał nic z tego, co mi obiecał tamtej nocy. Ale dzisiaj nadal uważam, że postąpiłem słusznie. Andreas nie żył, Jaśmin odniosła trwałe obrażenia. Wiedzieli, co robili, kiedy wsiadali do tego samochodu, chociaż byli pijani. Byli na tyle dorośli, żeby móc ponosić konsekwencje własnych czynów. Nie musiałem się niczego wstydzić, wszyscy uznali to za zwykły wypadek, a takie rzeczy się zdarzają. Po co było jeszcze niszczyć życie Jerry'emu? Czegoś takiego ludzie nigdy nie zapominają.

- Tego, że jechało się po pijanemu i zabiło ludzi? - pyta Johan.

- Tak, dokładnie tego - mówi Jonas Karlsson i odrywa papier od wargi, która znów zaczyna krwawić.

41

Wycieraczki na przedniej szybie pracują z całych sił, żeby zgarniać deszcz, utrzymać widoczność.

Zegar na desce rozdzielczej pokazuje 13.35.

Przez okno Malin widzi pola, zagajniki i pomalowane na czerwono domy, cały świat wygląda tak, jakby był pokryty matowym popiołem.

Ani razu się nie wykąpała na Teneryfie. Ani razu jej rozpalone ciało nie zanurzyło się w wodzie.

Ale teraz czuje się trochę lepiej. Alkohol wyparował już z jej krwi na tyle, że może przejechać z Norrkópingu do Lin-kopingu. Ma ochotę jechać prosto do Folkungaskolan, wpaść do klasy, niezależnie od tego, jaką lekcję ma teraz Tove, i po prostu ją przytulić. Minął już prawie tydzień, odkąd uciekła z domu po tym, jak po pijanemu uderzyła Jannego. Prawie tydzień, odkąd znaleziono ciało w fosie.

Ciepło Teneryfy. Deszcz i chłód. Ubrała się w ciepły sweter polo w norweskie wzory, który spakowała sobie na podróż powrotną.

Ale Tove musi poczekać.

Rozmawiała z Zekem. Wie już, że Fredrik Fagelsjő został zwolniony z aresztu, a Jonas Karlsson przyznał się, że to Jerry Petersson prowadził, ale ma alibi na noc, kiedy popełniono morderstwo i na następny ranek.

Malin dostała adres matki chłopaka, który zginął w tamtą sylwestrową noc - Stiny Ekström zamieszkałej w Linghem. 282 - Załatwię to po drodze - zaproponowała Zekemu.

- Możemy się tam spotkać.
- Sama się tym zajmę. Nie martw się.
- Jak było na Teneryfie?
- Ciepło.
- A twoi rodzice?
- Pogadamy, jak już porozmawiam ze Stiną Ekström, jeżeli zastanę ją w domu.

Malin włącza radio. Zbliża się do Linkópingu, ustawia lokalną stację.

Rozpoznaje miękki, seksowny głos Helen Aneman. Nie widziały się już od paru lat, choć mieszkają w tym samym mieście. Czasami rozmawiają przez telefon, mówią, że muszą się spotkać, ale nic z tego nie wychodzi.

Jesteśmy bardziej znajomymi niż przyjaciółkami, myśli Malin, słuchając, jak Helen opowiada o wystawie psów, która ma się w weekend odbyć w Cloetta Center, a potem, gdy głos spikerki cichnie, w samochodzie zaczyna rozbrzmiewać muzyka, i Malin czuje, jak ściska jej się żołądek... czemu akurat teraz ten pieprzony kawałek?

„Zaraz wylądują anioły, szum skrzydeł na niebie... Czy wolno mi powiedzieć, że należymy do siebie...”

Głos Ulfa Lundella.

Ciało Jannego przyciśnięte do jej ciała. Ten kretyński romantyzm, kiedy tańczyli do tego kawałka w dużym pokoju w jego domu, popijając wino, a Tove spała na sofie, nie zwracając uwagi na muzykę.

Linghem.

Tablica ledwie widoczna w ulewnym deszczu.

Spośród wszystkich ludzkich koszmarów ten o utracie dziecka jest najgorszy.

Udało mi się zatrzymać ciebie, Tove, myśli Malin.

Samochód, który toczy się po pustym zimowym polu.

Pukanie do drzwi.

„Niestety musimy poinformować...”

Malin skręca na Linghem, przejeżdża obok boiska i kościoła. Na małym, otoczonym murem cmentarzu, przy nagrobku, stoi jakiś samotny mężczyzna w kurtce z kapturem i z bukietem w ręce, wygląda, jakby mówił coś do siebie.

Wnętrze w niewielkim szeregowcu urządzone jest meblami z sosnowego drewna.

Na lakierowanych powierzchniach leżą zrobione na szydełku serwety, a na nich figurki od Swarovskiego, imponująca kolekcja, myśli Malin, gdy Stina, matka Andreasa Ekstróma, stawia na stole w dużym pokoju dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą.

Na komodzie stoi siedem fotografii w ramkach.

Blondynek ze szczeliną między zębami uśmiecha się szeroko na zdjęciu z przedszkola. Zdjęcie z boiska. Zakończenie roku szkolnego. Dobrze zbudowany nastolatek na jakiejś plaży. Przycięte na pazia włosy rozwiął wiatr, a parę metrów dalej, w wodzie, stoi jakiś mężczyzna, który może być tatą Andreasa Ekstróma.

- Teraz już pani wie, jak wyglądał - mówi Stina Ekstróm, siadając naprzeciwko w takim samym bordowym, pluszowym fotelu, w jakim siedzi Malin.

Podobne zdjęcia Tove stoją u niej w domu na komodzie w sypialni.

- Wygląda na to, że był naprawdę czarującym skrzatem - mówi Malin.

Stina Ekstróm uśmiecha się potwierdzająco.

Ile masz- lat? - myśli Malin.

Sześćdziesiąt?

Siedząca przed nią kobieta ma krótkie, jasne włosy, szpakowate na skroniach, a zmarszczki wokół jej wąskich ust świadczą o wielu latach palenia. W domu pachnie tytoniem, ale Malin nigdzie nie widzi popielniczki ani papierosów. Może Stinie Ekstróm udało się rzucić? Może potrafiła zapanować nad nałogiem?

Czarne dżinsy.

Szaro nakrapiany, robiony na drutach sweter.

Oczy, które się przyzwyczyły, że dzień się zaczyna i kończy i że nie ma w nim właściwie żadnych niespodzianek. To nie znużenie widzę w jej oczach, myśli Malin, to coś innego. Jakiś spokój? To nie gorycz. Nie, raczej uczucie zadowolenia, chyba coś takiego?

Stina Ekström nalewa kawę lewą ręką, a potem pokazuje gestem na półmisek z domowymi drożdżówkami.

- Czegóż takiego może chcieć ode mnie poliqa'a?
- Chodzi o Jerry'ego Peterssona.
- Tak przypuszczałam. Czytam gazety.
- Był tam wtedy, gdy zginął pani syn.

Spojrzenie oczu Stiny Ekström nie zmienia się. Czy tak wygląda smutek, kiedy człowiek się z nim pogodzi?

- Siedział z przodu. Miał zapięte pasy i przeżył. Malin kiwa głową.
- Dużo pani myśli o tym wypadku?
- O wypadku nie. O Andreasie. Codziennie.

Malin upija łyk kawy, słyszy deszcz bębniący o szyby, kilka metrów na lewo od niej.

- Mieszkaliście tutaj?
- Tak, wprowadziliśmy się, kiedy Andreas miał dwanaście lat. Przedtem mieszkaliśmy we Vreta Kloster.

Malin czeka, aż kobieta zacznie mówić dalej.

- Najpierw byłam zła - stwierdza Stina Ekström - ale po tem, z biegiem lat? To było tak, jakby cała złość i smutek ustą piły, a dziewiętnaście lat z Andreasem i tak było cudownym prezentem. Myślę, że nie ma sensu opłakiwać czegoś, czego nigdy nie było.

Malin czuje, jak wokół jej serca zaciska się jakaś ogromną pięść i jak jej oczy, wbrew woli, stają się zamglone od łez. Stina Ekström patrzy na nią.


- Dobrze się pani czuje?

Malin kaszle, mówi:

- To chyba jakaś reakcja alergiczna.
- Mam jeszcze dwoje dzieci - mówi Stina Ekström, a Malin uśmiecha się, ocierając z oczu łzy.
- Nienawidziła pani tego, który prowadził?
- To był wypadek.

Malin przez chwilę siedzi w milczeniu, a potem pochyla się do przodu.

-Mamy powody sądzić, że to Jerry Petersson prowadził tamtej nocy i że był pod wpływem alkoholu.



Stina Ekstrom nic nie mówi, spojrzenie jej oczu też się nie zmienia.

- Namówił Jonasa Karlssona, żeby powiedział, że...

- Rozumiem - mówi Stina Ekstrom. - Nie jestem głupia. Może myślicie, że o tym wiedziałam albo się dowiedziałam i postanowiłam zabić...

- Nic takiego nie myślimy.

- Ale jest pani tutaj.

Malin patrzy w oczy Stiny Ekstrom.

- Dużo straciłam tamtej nocy. Po kilku latach rozwiodłam się z mężem. Nie byliśmy w stanie rozmawiać o Andreasie i to było tak, jakby w końcu zostało tylko milczenie. Ale bez względu na to, kto prowadził, nie czuję już żadnej złości, żadnej nienawiści. Smutek pozostał, ale jest tylko jednym z wielu odcieni, które tworzą życie człowieka.

- Czy ktoś jeszcze bardzo to przeżył?

- Wszystkim było smutno. Ale to było dawno temu.

- A ojciec Andreasa?

- Sam może na to odpowiedzieć. Teraz

Zeke jest u niego w Malmslatt.

- A rodzina Fagelsjów? Czy okazali jakieś zainteresowanie?

- Nie. Miałam wrażenie, że udają, jakby to wszystko się w ogóle nie stało. Że to nie było na ich ziemi po imprezie zorganizowanej przez ich syna.

Malin przymyka oczy. Czuje się opuchnięta i ma nudności.

- Mogę spytać, gdzie pani pracuje? - odzywa się po chwili. - A może jest już pani na emeryturze?

- Zostały mi jeszcze cztery lata. Pracuję na pół etatu z upośledzonymi umysłowo w dziennym ośrodku pomocy. Dlaczego pani pyta?

- Bez jakiegoś szczególnego powodu - mówi Malin, a potem wstaje i wyciąga do niej rękę nad stołem. - Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas. I za kawę.

- Proszę się poczęstować bułeczką.

Malin sięga do półmiska, bierze bułeczkę i po chwili miękkie ciasto drożdżowe wypełnia jej usta.

Cynamon. Kardamon.

*

- Nie zapyta pani, co robiłam w nocy z czwartku na piątek w ubiegłym tygodniu?

Malin przeżyła, uśmiecha się.

- Co pani robiła?

- Byłam tutaj, w domu. Przez pół nocy siedziałam na czacie. Jeśli chcecie, możecie sprawdzić logowanie.

- Nie ma takiej potrzeby - stwierdza Malin.

Stina Ekström wstaje i wychodzi z pokoju. Po jakiejś minucie wraca z opakowaniem gumy do żucia i mówi życzliwie:

- Niech pani weźmie, zanim się pani spotka z kolegami.

Malin parkuje samochód przed Folkungaskolan.

Wyłącza silnik, słyszy deszcz, który próbuje niemal wdrzeć się przez karoserię, kładzie ręce na kierownicy, robi wdech i wydech, wdech i wydech, udaje, że Tove siedzi obok niej, że może się na nią po prostu rzucić i mocno, mocno przytulić ją do siebie.

Malin wpatruje się w wejście, w wielkie schody prowadzące do przypominającego zamek szkolnego budynku, którego drzwi są trzy razy wyższe niż uczniowie. Rosłe dęby wokół desperacko trzymają się swoich ostatnich liści w kolorach zachodzącego słońca, tak jakby wierzyły, że jeśli liście znikną, razem z nimi zniknie cały świat.

Gdzieś tam w środku jest Tove. Malin nie zna jej rozkładu zajęć. Co teraz ma? Szwedzki, matematykę? Wystarczy wejść i zapytać w recepcji, podejść do klasy, zabrać córkę na kawę i przytulić ją. Ale przecież śmierdzą alkoholem, prawda? A może ta guma do żucia pomogła.

Może Tove wyjdzie na dwór podczas przerwy? Wtedy będę mogła ją zobaczyć, podbiec do niej, może powiedzieć „przepraszam” albo tylko popatrzeć na nią z samochodu. Może, jeśli mnie zobaczy, podejdzie. Ale przecież chyba nie wyjdzie na deszcz.

Idę do niej.

Malin otwiera drzwi samochodu i stawia jedną stopę na ziemi, widzi paru uczniów przechodzących szkolnym podwór-

kiem, ich pozbawione cieni sylwetki na tle szarpanych wiatrem dębów, równie starych jak sama szkoła.

Cofa nogę. Zamyka drzwi. Kładzie drżące dłonie na kierownicy, chce, żeby przestały się trząść, ale one nie słuchają. Oddycha. Muszę się czegoś napić. Ale udaje jej się odepchnąć od siebie to uczucie całą siłą woli.

No tak. Teraz już się nie trzęsie.

Wyjmuje telefon, wybiera numer Tove. Włącza się sekretarka.

- Tove, tu mama. Chcę tylko powiedzieć, że jestem już w domu. Możemy dziś wieczorem zjeść razem kolację. Zadzwoń do mnie, proszę.

Malin przekręca kluczyk w stacyjce, pozwala, by dźwięk silnika zagłuszył deszcz.

Przymyka oczy.

Przed oczyma widzi ogromny kamienny zamek piętrzący się w górę w gęstej, jesiennej mgle.

To nie Skogsa.

Jakaś inna budowla, której nie znam.

Pozwala, by jej wzrok zawędrował nad fosę.

Jest pełna nagich, spuchniętych, białych ciał, małe srebrzyste rybki próbują łapać powietrze. Pulsujący strach.

ć-*eke* biegnie przez parking do wejścia na posterunek. Wilgoć skapuje ze starych koszar w kolorze ochry, teraz otynkowanych, które znów powróciły do życia jako siedziba miejskiej policji, sądu i laboratorium kryminalistycznego.

W duchu przeklina tę pieprzoną pogodę, ale wie, że nie ma sensu złożyć wyższym siłom *-fucking useless* - i że to jeszcze nikogo donikąd nie doprowadziło.

W deszczu jego myśli biegną do Martina.

Gra w NHL. Chłopak ma już pewnie tyle pieniędzy, że moglibyśmy się zrelaksować i wylegiwać na słońcu do końca naszych dni.

I wnuk, którego ledwie widziałem.

Co ja właściwie robię?

Ojciec Andreasa Ekstróma, Hans.

Wyjechałem stamtąd zaledwie kwadrans temu.

Stary człowiek, pełen złości, w starej, źle utrzymanej willi. Dostał napadu szału, kiedy Zeke mu opowiedział, że prawdopodobnie to Jerry Petersson prowadził, gdy zginął jego syn.

Hans Ekstróm zerwał się z krzesła w kuchni, na którym siedział, i krzyczał na Zekego, że to tylko takie gówniane gadanie i że żaden sukinsyn nie będzie sobie przychodził i grzebał w czymś, co wreszcie udało mu się zostawić za sobą.

Hans Ekstróm nie chciał potem odpowiadać na żadne pytania, ale sądząc po jego reakcji, było oczywiste, że nie miał wcześniej pojęcia o tym, co powiedział mu Zeke. A co za tym idzie, nie miał powodu, żeby zamordować Jerry'ego Petersso- 289

na. Chyba że był naprawdę świetnym aktorem. W dodatku praworęcznym.

Na koniec Hans Ekström przeklinał rodzinę Fagelsjów: nie przystali nawet jednego kwiatka na pogrzeb.

Powinni byli to zrobić, myśli Zeke, otwierając drzwi komisariatu. Nowe automatyczne drzwi najwyraźniej nie działają, pewnie mechanizm zawilgł i jest już do niczego.

Malin.

Zeke widzi ją, jak siedzi przy swoim biurku, i rany boskie, naprawdę wygląda na wykończoną. Jeśli na Teneryfie świeciło słońce, to na nią nie poświeciło ani trochę.

Człowiek-cień.

Tym właśnie się staniesz, Malin?

Zeke ma ochotę podejść do niej i objąć ramieniem swoją koleżankę, powiedzieć jej, żeby wzięła się w garść, ale wie, że tylko by się na niego wściekła.

Malin podnosi wzrok, zauważa go, nie wita, tylko zamiast tego spuszcza wzrok i przegląda jakieś papiery.

Zeke się odwraca, idzie na górę po schodach do gabinetu Svena Sjómana.

Zdąży o tym porozmawiać przed odprawą.

Sven stoi przy oknie, patrzy na główny budynek Szpitala Uniwersyteckiego i na jego wschodnią bramę. Białe i żółte blaszane płyty stanowiące fasadę dziesięciopiętrowego budynku trzęsą się w porywach wiatru, wyglądają, jakby chciały pofrunąć nad miasto i wylądować w jakimś łatwiejszym do zniesienia miejscu.

Zeke staje kilka metrów dalej.

- Nie mów nic Malin - zaczyna - nigdy by mi nie wybaczyła, że zrobiłem to za jej plecami, ale sam widzisz, jak się czuje. Cholernie dużo pije, za dużo.

Sven kręci głową.

- Ta rozmowa zostanie między nami. Dobrze, że poruszasz

tę sprawę, sam o tym myślałem, ale cóż, no wiesz. - Odwraca się.

- Ona sobie z tym nie radzi - mówi Zeke. - Już nie mogę na to patrzeć. Próbowałem...

- Porozmawiam z nią, Zeke. Ta podróż na Teneryfę po części była po to, żeby dać jej trochę odetchnąć.

- Powinieneś ją teraz zobaczyć. Niezupełnie wygląda, jakby dopiero co wróciła ze spa.

-Może to był głupi pomysł. Zobaczymy, co z tego dalej wyniknie - mówi Sven. - To ty prowadzisz samochód, kiedy wyjeżdżacie?

Zeke kiwa głową.

- Właściwie to na okrągło prowadzę. - Przerzywa na chwilę. - Wydaje mi się, że strasznie przeżyła to, co się stało w zeszłym roku w Finspangu - stwierdza po chwili.

- Zgadza się - mówi Sven. - Ale kto nie przeżyłby czegoś takiego? Tyle że wydaje mi się, że ona sama tego nie rozumie. I nie akceptuje.

Zegar na ścianie pokazuje 15.37.

Grupa śledczych czeka w pokoju spotkań.

W odróżnieniu od papierkowego Hadesu są tutaj okna.

Na przedszkolnym placu zabaw nie ma żadnych dzieci, ale Malin widzi przez okno ich sylwetki, jak biegają w tę i z powrotem po salach, bawią się, jakby ten świat był z gruntu dobry. Czerwononiebieska plastikowa zjeżdżalnia. Żółty materiał. Same jasne kolory. Przejrzysty świat dla ludzi, którzy odbierają rzeczywistość w prosty, bezpośredni sposób, żyją chwilą obecną.

Z ludźmi w tym pokoju jest dokładnie na odwrót, myśli Malin.

Skupiona twarz Karima Akbara, ciało jakby ogarnięte nowym rodzajem powagi wieku średniego, która graniczy ze znużeniem.

Ta jesień nas redukuje, myśli Malin. Do postaci z czarnobiałego filmu.

Zeke, Sven Sjoman, Waldemar Ekenberg, Johan Jakobsson, 291

a nawet młoda Lovisa Segerberg ze Sztokholmu wyglądają tak, jakby bardzo im się przydała długa przerwa od pracy w policji i od deszczu.

Śledztwo.

W tej chwili jest na takim etapie, że istnieje ryzyko, iż wszystko przerzewieje i się rozpadnie, podobnie jak całe miasto.

Tropy w dochodzeniu.

Wiją się wzdłuż i wszerz jak pociski smugowe w naszym mózgu.

Przecucia. Głosy. Wszyscy ludzie, zdarzenia, które wychodzą na wierzch, gdy zaglądamy pod kolejne kamienie w dość krótkim życiu Jerry'ego Peterssona.

Sven stoi przy białej tablicy przy krótszej ścianie pokoju. Wypisał na niej flamastrem kilka nazwisk.

Jochen Goldman.

Axel, Fredrik i Katarina Fagelsjő.

Jonas Karlsson.

Rodzice Andreasa Ekstrőma i Jaśmin Sandsten.

A poniżej kilka znaków zapytania. Jakies nowe nazwiska? Informacje? Coś, co może nas zaprowadzić dalej?

Malin wciąga głęboko powietrze. Przygląda się dzieciom w przedszkolu. Słyszy głos Svena, ale nie jest w stanie się skupić na słowach.

Fragment spotkania:

Jej relacja z Teneryfy.

Że Jochen Goldman jest uosobieniem dwuznaczności.

Spotkanie z matką Andreasa Ekstrőma. Pozostali uważnie słuchają. Lovisa opowiada o tym, jak uparcie przedziera się przez sterty dokumentów i zawartość twardego dysku Jer-ry'ego Peterssona, ale żeby zrobić to w rozsądnym tempie, potrzeba by było co najmniej pięciu policjantów ze specjalnymi kwalifikacjami, i Karim, który mówi: „Nie mamy takich zasobów”. Nadal nie znaleźli żadnego testamentu, niczego, co by 292 przypominało listy od jakiegoś szantażysty, ani nic podejrzę-

nego, porozmawiali z jeszcze paroma biznesowymi znajomymi Peterssona, ale te rozmowy nic nie dały.

Waldemar i Johan opowiadają o ostatnich przesłuchaniach członków rodziny Fagelsjów, którzy twierdzą, iż ledwie pamiętają wypadek, o tym że skontaktowali się z ojcem Jaśmin Sandsten zatrudnionym w Collins Mekaniska, ale rozmowa nie dała nic prócz tego, że ma alibi na noc, gdy popełniono morderstwo. Nie mieli jeszcze okazji porozmawiać z matką Jaśmin; wygląda na to, że razem z córką jest w jakimś ośrodku rehabilitacyjnym pod Söderköpingiem.

Zeke streszcza swoje spotkanie z Hansem Ekstrómem.

Smutek.

Śmierć dziecka.

Być może po tylu latach nie ma już żadnego znaczenia, kto prowadził i czy ta osoba była trzeźwa czy nie.

Dziecko, ukochane dziecko nie żyje. A może jeszcze gorzej? Śmierć za życia.

Poczucie winy.

W gruncie rzeczy bezsensowne. Ale czy złość się kiedyś kończy? Czterdzieści pchnięć nożem, cały gromadzony przez lata gniew spuszczonego z uwięzi.

Sven szybko zrelacjonował poczynania prokuratora, który postanowił wypuścić Fredrika Fagelsjów. A potem dodał: „Musimy mieć go na oku”. Puste słowa, i doskonale o tym wie. Nie mają tylu ludzi, by kogokolwiek mieć na oku.

- Znajomości - syknął Waldemar. - Kto to może wiedzieć, jakiego haka na prokuratora może mieć ten pajac Ehrenstierna.

Malin myśli o własnej pracy.

Śledztwa.

Maria Murvall.

Przemoc i pogoń za prawdą. Wmówiła sobie, że może pocieszyć tych, którzy zostali, kiedy ich krewni, otoczeni światłem, unoszą się na promiennie pogodnym niebie.

- Sprawdziłaś przez swoje kontakty w półświatku? - pyta Sven Waldemara.

- Na to wygląda, prawda? - odpowiada Waldemar, a pozo- 293

stali śmieją się wyczekująco. - Sprawdzałem. Ale wygląda na to, że Jerry Petersson nie miał tego rodzaju kontaktów.

Potem słucha, jak Sven mówi, że muszą dalej grzebać w życiu Jerry'ego Peterssona, nadal podążać za różnymi liniami śledztwa, wytrwale i uparcie. Podążać za tymi tropami, które mają.

- Znaleźliśmy się na takim etapie śledztwa - mówi Sven - na którym wszystkie spirale w jakiś sposób prowadzą w dół. Możemy doprowadzić do przełomu albo utknąć. Teraz może nam pomóc tylko ciężka praca.

Słuchaj głosów, szepnęła do siebie Malin.

- Jadę do Vadstena porozmawiać z matką Jaśmin.

- Sóderköping - powiedział Sven. - Jutro możecie tam jechać razem z Zekem.

- Chcę z tobą porozmawiać, Malin.

Głos Svena przed pokojem spotkań brzmiał formalnie i urzędowo. Teraz Malin idzie obok niego po schodach do jego gabinetu. Sven zamyka za nimi drzwi i prosi, żeby usiadła.

Strugane drewniane misy na białej szafce przy biurku. Malin wie, że Sven zrobił je sam.

Siada naprzeciwko niego przy biurku. Znajoma, poorana zmarszczkami twarz Sjómana i Malin nie potrafi do końca wyczuć jej wyrazu i tych nowych, głębszych zmarszczek, które się pojawiły, kiedy schudł.

Siedzi przede mną obcy człowiek, myśli Malin. Cały świat jest obcy.

Sven wygląda na skrepowanego, chce ze mną rozmawiać, martwi się o mnie, nie martw się Sven, mam dość własnych zmartwień, dlaczego po prostu nie zostawisz mnie w spokoju?

- Jak się czujesz?

- Dobrze się czuję.

- Nie jestem tego taki pewien.

- Czuję się dobrze. Na Teneryfie było świetnie.

- Więc było w porządku?

294 - Tak.

- Byłaś trochę na słońcu?
- Malin kiwa głową.
- I spotkałaś się z rodzicami?
- Tak. Spotkałam się z nimi, było miło.
- Niepokoiłem się o ciebie, Malin. I dalej się niepokoję.

Wiesz o tym. Malin

wzdycha.

- Nic mi nie jest. Po prostu ostatnio dużo się działo. Odeszłam od Jannego i jeszcze się z tym nie uporałam.

Sven patrzy na nią.

-A alkohol? Za dużo pijesz, masz to wypisane na czole. Ty...

- Panuję nad tym.

- Słyszę i widzę coś innego.

- Ktoś z tobą gadał? Za moimi plecami? Kto?

- Nikt nic nie mówił. Sam mam oczy.

- Zeke? Janne? On potrafiłby...

- Zamknij się, Malin. Weź się w garść.

Po ostrych słowach Svena siedzą w milczeniu naprzeciwko siebie i Malin wie, że on chce dodać coś jeszcze, ale co miałby powiedzieć? Nie jest przecież tak, że przychodziłam pijana na posterunek.

A może jednak?

- Zeke coś ci mówił?

- Nie. Sam mam oczy.

-I co teraz?

- Pracuj dalej. Ale dobrze się zastanów, zanim wsiądziesz za kierownicę. Daj prowadzić Zekemu. I spróbuj wziąć się w garść. Musisz.

- Mogę już iść? - pyta Malin.

- Jak chcesz - mówi Sven. - Jak chcesz.

43

Mamo?

- Tove? Szukałam cię.
- Byłam w szkole.

Powiedzieć jej, że byłam przed szkołą? Ucieszy się? A może zrobi jej się przykro, że nie weszłam?

- Przyjdiesz dziś wieczorem? Dostałaś moją wiadomość?
- Idę do kina.
- Nie chcesz usłyszeć, jak było u babci i dziadka?
- Jak było?

- Tove, proszę.
- Okay.

- Przyjdiesz do domu po kinie? Musisz przyjść. Chcę się z tobą spotkać. Nie rozumiesz tego?

- Po kinie będzie za późno. Chyba będzie najlepiej, jeśli wrócę autobusem do taty.

- Mogę zrobić kanapki.
- Wszystkie rzeczy mam tam. Tak właściwie to tam mieszkam.
- Sama zdecyduj.
- Może jutro wieczorem, mamo.
- Przecież u mnie też możesz mieszkać. Wcześniej było dobrze.

Tove milczy po drugiej stronie.

- Mam cię błagać, Tove? Nie możesz po prostu przyjechać?
- Obiecujesz, że nie będziesz pić, jak przyjadę?
- Co? - mówi Malin. - Przecież piję tylko czasami. O tym

296 też wiesz.

- Jesteś kompletnie niewiarygodna, mammo, wiesz? Zupełnie ci się pomieszało.

I Tove kończy rozmowę, a słowa wbijają się jak igły w błonę bębenkową. Malin chce się ich pozbyć, wytrząsnąć je z przewodu słuchowego i zamiast tego słyszeć inne, ciepłe słowa, które przywołałyby inną rzeczywistość, taką, w której nie okłamuje swojej córki, żeby okłamać samą siebie.

I wtedy widzi potwora pochylonego nad Tove, gotowego, by ją zabić. Potwór odwraca swoją zamaskowaną twarz w stronę Malin, uśmiecha się, szepcze: „Daję ci to, czego chcesz, Malin”. I w tej samej chwili zdaje sobie sprawę, że pije głównie dlatego, że gdy Tove niemal straciła życie, ona znalazła dobry powód, wreszcie znalazła okazję, by stworzyć sobie intelektualną konstrukcję, która usprawiedliwiłaby to, że uległa swojej największej miłości: miłości do picia, do pozbawionego kantów miękkiego świata bez tajemnic, świata, w którym strach nie jest uczuciem, tylko czarnym kotem, którego można pieścić i głaskać i którego pazury nigdy nie zostawiają piękających śladów na twojej skórze.

Popatrz na mnie. Nie żal ci mnie? Ma ochotę rozerwać samą siebie na strzępy, ale jeszcze bardziej ma ochotę strzelić sobie szklanekę tequili.

Gdzie ja jestem?

Stoję w drzwiach komisariatu i zastanawiam się, dokąd mam iść, myśli Malin, patrząc w ciemność, na krople deszczu, które odcinają się w pomarańczowym świetle latarni niczym szare odłamki. Widzi, jak stare koszary zmieniają kolor w jesiennej ciemności, stają się szaro-nieme, a nie jak zwykle matowobeżowe. Jest tuż po siódmej. Papierkowa robota po wyprawie na Teneryfę zatrzymała ją na posterunku.

Malin wciąż stoi.

Włącza telefon.

Odbiera po trzech sygnałach.

- Tu Daniel Hógfeltd.

- Malin.

- Wyświetlasz mi się. Kupa czasu.

- Wiesz, jak to jest.

-I teraz chcesz się spotkać?

-Tak.

Drzwi się rozsuwają i mija ją trzech byczków w mundurach, krótko kiwają jej głową.

- Nie dam się długo prosić. Możesz być u mnie za pół godziny?

-Tak.

Już w chwili, gdy się rozłącza, czuje go w sobie.

Dokładnie trzydzieści pięć minut później Malin jest w jego łóżku w surowo urządzonej mieszkanie przy Lirnegatan. Klęczy na czworakach jak pies, trzymając się cienkich metalowych prętów wezglowia, a on pieprzy ją mocno i niemiłosiernie głęboko, a ona krzyczy, jest gorący i twardy, obcy i równocześnie znajomy.

Jest jak bicz w moim ciele, myśli.

Jego dłonie szarpią moje plecy jak drut kolczasty. Malin chce krzyczeć, szybciej, głębiej, mocniej, i jest tak, jakby słyszał jej myśli, bo z każdym ruchem ciała wbija się w nią coraz głębiej, zatapia paznokcie w jej karku, a ona czuje jego pot, spadający jak zimny deszcz, wnikający przez skórę w jej ciało, kości i duszę.

Nie powstrzymuj się.

Ekspłoduj.

Pozwól, żeby twoja świadomość zniknęła w bólu i pięknie, by małe węże o różnych twarzach wycofały się w swoją ciemność.

Leży koło niej na plecach, na szarym prześcieradle, a światło przenikające przez opuszczoną żaluzję obrysowuje jego muskularne ciało. Mówi coś, jego głos jest spokojny i wyraźny, brzmi w nim cała jego twardość i ciepło, a ona próbuje zrozumieć, o co ją pyta.

- Więc już nie mieszkanie razem?

Malin leży obok niego i słyszy własną odpowiedź, swoje zdyszane, zawieszony w powietrzu słowa.

- Nie dało się. Na koniec go uderzyłam.

- Takie rzeczy nigdy się nie udają. Jak mogłaś w to wierzyć?

- Nie wiem.

-A ta sprawa Peterssona? Doszliście do czegoś? Na waszym miejscu przyjrzałbym się lepiej Goldmanowi.

- Pieprzyć sprawę, Daniel.

Jego ochrypli śmiech. Ma ochotę podpełznąć do niego bliżej, objąć go ramieniem, ale jest tak, jakby jego przy niej nie było, a może to ona nie potrafi znieść niczyjej bliskości?

- Jeszcze jedna rundka?

Jego dłoń na moim udzie, ale jej nie czuję, a jego neutralne słowa brzmią tak, jakby chciał wyrazić coś innego, tak jakby naprawdę na mnie czekał, jakby wierzył, jakby to było możliwe, że w jakiś sposób coś razem odkryjemy.

Albo właśnie tego nie zrobiliśmy, myśli Malin.

I wtedy wstaje, ubiera się, a on przez cały czas patrzy na nią w milczeniu.

- Idziesz? Idiotyczne pytanie.

- A jak ci się wydaje?

- Możesz zostać. Mogę ci zrobić kanapki, jeśli jesteś głodna. Wyglądasz na zmęczoną, może chciałabyś, żeby ktoś cię trochę porozpieszczał?

- Nie pieprz bzdur, Daniel. Nie potrafię sobie wyobrazić czegoś gorszego na deser.

- No to idź. Hamlet jest chyba jeszcze otwarty.

- Zamknij się, Daniel. Po prostu się zamknij.

Zacharias Martinsson zadarł spódnicę Karin Johannison wysoko na brzuch, wyrwał dziurę w jej białych rajstopach, przeniósł ją przez położone w piwnicy laboratorium i położył ją na plecach na stole z nierdzewnej stali.

Rozsuwa przed nim nogi, a on ją zjada, wciąga w siebie jej wilgoć, słodki zapach i smak, i słyszy jej jęki, który to już raz, dziesiąty, dwudziesty?

Gunilla, tam, w domu. Na pewno czekała z obiadem, kiedy zadzwonił i powiedział, że musi pracować po godzinach, że będzie w domu dopiero po jedenastej.

Próbuje odsunąć od siebie obraz żony czekającej samotnie w kuchni, ale on nie chce zniknąć.

Stało się to ubiegłej jesieni. Pewnego razu miał jakąś sprawę do Karin, a ona została dłużej, zeszła z nim na dół do laboratorium, żeby mu coś pokazać, i wtedy to się stało. Oboje tęsknili i teraz ona szepcze, wejdź we mnie, wejdź we mnie, Zacharias, a on przenosi ją na podłogę, zsuwa spodnie i jest twardy, a ona jest ciepła, miękka i uległa, patrzy na niego, szepcze, mam pot na karku, zliż pot z mojego karku.

Twarz Marii Murvall przed oczyma Malin.

Zdjęcie posiniaczonej ofiary gwałtu leży na parkiecie w dużym pokoju, a ona obsesyjnie obraca je na wszystkie strony.

Maria.

Twoja tajemnica.

Ukryta w tobie.

W twoim niemo krzyczącym ciebie, w pomalowanym na biało pokoju w szpitalu psychiatrycznym w Vadstena, jutro jadę do innego szpitala, do innego niemego człowieka.

Zegar na S:t Larskyrkan wybija dziesiątą i Malin się zastanawia, czy Maria teraz śpi, a jeśli tak, to co jej się śni?

Tove.

Na pewno jest teraz w autobusie z jakąś koleżanką.

Nie przyjdzie tu. Jeszcze tego brakuje, żeby mi mówiła, jak mam się zachowywać. Prosiłam ją, ale ona gdzieś głęboko jest chyba taka jak wszyscy inni. Jak tylko zobaczą jakąś słabość, korzystają z okazji, żeby pokazać swoją siłę.

Czy właśnie tak pomyślałam o mojej córce?

Malin zatrzymuje się w myślach, czuje, jak ogarnia ją wstyd.

Odrzuca tę myśl od siebie.

Z kim była w kinie? Z jakimś chłopakiem? Jak mogę sobie tak odpuszczać po tym, co się stało? Zło znika, z czasem zaciera się w pamięci. Pozostaje tylko mglisty strach, jak niezdecydowany elektryczny prąd, prawda? Strach, który może usprawiedliwić wszystko?

Nie pojmuję tego wszystkiego. Nie rozumiem samej siebie.

Janne. Jego ciepło, jak jakiś zacierający się sen głęboko w zakamarkach pamięci. Nie chce z nim rozmawiać, nie chce go prosić o przebaczenie. Co ze mnie za człowiek, myśli, skoro czuję tylko pogardę dla własnej miłości?

Malin idzie do kuchni i wyciąga butelkę tequili z szafki nad lodówką.

Została połowa.

Pije prosto z butelki.

Co ta jesień z Ciebie robi, Malin Fors? Z was wszystkich?

Dokąd Cię zaprowadzi?

Zobacz, dokąd zaprowadziła mnie.

Powinnaś wiedzieć jedno: czasami czuję obok siebie Andreasa, wyczuwałem jego oddech, całkowicie wolny od ciepła i zapachu. Nie mogłem go widzieć ani słyszeć, ale wiem, że jest tu, niedaleko mnie, a równocześnie tak daleko, jak tylko może być.

jest tu też jaśmin, jakaś jej część.

Czy powinienem się ich bać?

Czy teraz źle mi życzą?

Mój świat jest biały. Ich może jest czarny albo szary i zimny jak ta noc, kiedy dachujący samochód wtoczył się w pamięć żywych i umarłych.

Nie potrafisz poznać swojej tajemnicy, Malin, a gdybyś potrafiła, to i tak pewnie by ci to nie pomogło. W tajemnicach tkwi siła.

A moja tajemnica?

Poznaj ją, jeśli chcesz.

Podążaj za tropem prosto w samotność i strach.

Może wtedy uzyskam przebaczenie.

jeśli w ogóle są do tego jakieś podstawy.

Przebaczenie.

To słowo tłucze się Jannemu po głowie, gdy rozsmarowuje masło na kanapce dla Tove, patrząc na kuchenny blat, przy którym zaledwie tydzień temu stała Malin i krzyczała, a potem podniosła rękę i go uderzyła.

Czy przebaczenie można rozciągnąć w czasie?

Jak możemy zbliżyć się do przebaczenia, Malin i ja? Bo z jakiegoś powodu jest tak, jakbyśmy razem mogli robić tylko jedno: czuć, że mamy wobec siebie poczucie winy, że nasze życie to jedno wielkie obrażanie się, jakieś niedociągnięcie czy krzywda, za którą trzeba przeproszać.

Zrobiliśmy się za starzy, Malin?

Ile czasu potrzeba, żeby między takimi ludźmi jak my zaczęło działać „przepraszam”? Dwanaście lat? Trzydzieści?

Tove lubi pasztet z wątróbki z kiszonym ogórkiem.

Siedzi na górze przed telewizorem.

Skulona w płynącym od niego świetle.

Tutaj jest jej dom.

Będziesz chciała, żebym cię przeproszał za to, że to ona decyduje, Malin. Prawda?

Była w kinie ze swoją koleżanką Fridą.

Wygląda na to, że trzyma się z daleka od chłopaków, nie miała właściwie żadnego od czasu Markusa. Od Finspangu.

- Kanapki gotowe, Tove. Chcesz ziołową herbatę czy imbirową?

Żadnej odpowiedzi.

Może zasnęła.

Tove odchyła się do tyłu na sofie i przełącza kanały.

Gotowe na wszystko. Reality show. Mecz piłki nożnej. Zatrzymuje się na jakimś filmie dokumentalnym o artyście, który wykonał rzeźbę przedstawiającą jedną z tych ofiar, które rzuciły się z World Trade Center. W chwili, gdy spada na ziemię. Rzeźba miała stać tam, gdzie kiedyś były wieże, ale ludzie stwierdzili, że jest wytworem zdegenerowanej wyobraźni, że jest niegodna, by tam stać.

Zupełnie jakby nie chcieli zaakceptować, że byli ludzie, którzy musieli skakać z budynków.

Bierze do ust kęs kanapki.

Nie dała rady pojechać do domu, do mamy. Nie dziś wieczorem. Dziś wieczorem chce po prostu siedzieć w ciemności i patrzeć w telewizor, słyszeć, jak tata krząta się na dole.

I ta rzeźba w telewizji.

Skulona, z brązu. Mała na wietrze, dokładnie tak jak w rzeczywistości. Przypomina ciębie, mamó, myśli Tove. I wtedy ma ochotę zejść na dół, do taty, poprosić go, żeby pojechali do mamy, zobaczyli, jak się czuje, być może zostali u niej na noc. Ale on pewnie nie będzie chciał. A mama mogłaby być zła, gdyby tak po prostu przyjechali.

Telefon piszczy.

SMS od Sary. Tove wystukuje odpowiedź, a w telewizji pokazują zbliżenia przerażonej twarzy rzeźby, jej rozwiane na wietrze lśniące włosy z brązu.

CZWARTEK, TRZYDZIESTY PAŹDZIERNIKA

/Leke Martinsson patrzy na zegar w górnym rogu monitora.

8.49. Mimo to na posterunku jest stosunkowo spokojnie, ludzie są pewnie zabiegani w terenie. Dziś nie ma porannego spotkania, wczoraj wystarczająco wszystko podsumowali, wiedzą, czym się mają zajmować.

Malin już dawno powinna tu być. Mieli jechać do Söder-kópingu.

Gdzie jesteś, Malin?

Na dole, w siłowni? Bynajmniej.

Coś się pojawiło i zrezygnowałaś z wyjazdu? To też raczej nie wchodzi w grę.

Zabolało cię to wczoraj.

Miałaś ochotę się napić?

Choć wcześniej dzwonił i mówił, że ma pracę, Gunilla dziwiła się, dlaczego tak późno wrócił do domu. Stał w kuchni i kłamał jej prosto w oczy, bez najmniejszego wahania i nie udało mu się nawet poczuć wstydu, zamiast tego było mu jej żal, że ma męża, który po tylu latach małżeństwa bez wahania ją zdradza. Potem szybko zasnął, mając w pamięci otaczające go mocno uda Karin.

Zeke patrzy na kolegów wokół. W mundurach. Bez mundurów. Świadomi celu, a jednak bez żadnego planu. Czego 304^{wy} właściwie chcecie?

Malin nie wie, czego chce, ale robi to każdego dnia. Tutaj, w tym biurze, pograża się w pracy, by spróbować przekonać ludzi, aby wierzyli, że nie może im się przytrafić nic złego.

No i gdzie jesteś, Malin? Zeke dzwonił trzy razy, dwa razy na komórkę, raz na stacjonarny, ale nikt nie odbiera. Może jest u Jannego?

U Jannego też nikt nie odbiera.

U Hógfeldta?

To zbyt skomplikowane. Nic nie wiem o ich relacjach.

- Gdzie masz Malin? Nie powinniście być przypadkiem już w Söderkópingu?

Zmęczony, jakby ściśnięty głos Svena Sjomana, wołający do niego od drzwi windy.

Zeke wstaje. Patrzy na Svena, a ten marszczy brwi i wygląda, jakby myślał, że tym razem mogła porządnie się zaprawić i że być może powinien potraktować jej problem jeszcze poważniej.

Dwaj policjanci spotykają się pośrodku pokoju.

Patrzą po sobie.

- Myślę, że jest w domu - mówi Zeke.

- Jedziemy prosto do niej - stwierdza Sven.

Zeke naciska dzwonek w mieszkaniu Malin i słyszy ostry, złośliwy sygnał po drugiej stronie drzwi.

Sven, milcząc, stoi obok niego, ubrany w ciemnoniebieską policyjną kurtkę przeciwdeszczową z podszewką.

W samochodzie nie zamienili ani słowa.

Co mieliby powiedzieć?

Zeke dzwoni jeszcze raz.

I jeszcze raz.

Sven podważa klapkę otworu na listy i zagląda do środka. Na klatkę schodową dociera odgłos ciężkich oddechów, ruchów śpiącego człowieka.

- Masz wytrych?

- Mam jakiś w pęku z kluczami - odpowiada Zeke.

- Leży na podłodze w przedpokoju.

Zeke kręci głową, szybko odsuwa od siebie instynktowny niepokój, ściskający mięśnie brzucha, skupia się na działaniu.

Malin oddycha.

Śpi.

Może być ranna.

- Daj mi wytrych - mówi Sven.

Kilka sekund później drzwi są otwarte, i widzą Malin na podłodze w przedpokoju, w białej koszulce, podciągniętej nad pępek i skąpych majtkach w małe, różowe serduszka.

Żadnej krwi.

Żadnych siniaków czy ran, tylko odgłosy upragnionego głębokiego snu i wyraźna woń alkoholu.

Pusta butelka po tequilii.

„Corren” przy jej głowie.

Kłękają obok niej, patrzą po sobie, nie muszą zadawać na głos pytania, które obu przelatuje przez głowę.

Co teraz zrobimy?

Weźcie ode mnie ten deszcz. Jest za zimny. I cholernie irytująco bębni o skórę. I dlaczego jest mi tak zimno w nogi?

Nie chcę nic o tym wiedzieć, i kto to mówi?

Janne.

Malin krzyczy:

- Daniel, odpieprz się! Odpieprz się!

I krople w nią uderzają, są lodowate, i co ja robię naga przy tej pogodzie? Co oni mówią? Sven. Zeke. Co tu, kurwa, robicie?

- Przytrzymaj ją.

- Siedź spokojnie.

Materiał przylegający do mojego ciała. Twarz Zekego, jego ogolona głowa, wygląda, jakby był zdeterminowany, Sven, jesteś tutaj? I teraz widzę łazienkę, prysznic, czuję go przy mojej głowie, jaka ta woda jest zimna, i teraz ich widzę, obu, siedzę w wannie, a oni polewają mnie prysznicem, koszulka

i majtki przyklejają mi się do ciała, najbardziej kretyńskie majtki, jakie mam, ledwie zasłaniają włosy tam na dole... przestańcie...

- Przestańcie. Co wy, do diabła, wyprawiacie?!

Macha ramionami.

Próbuje odepchnąć od siebie prysznic.

Krople.

Ale ten płynny lód, te drobne, ostre kolce dalej w nią uderzają, musi się poddać.

- Dajcie mi spać, skurwysyny!

Ciepły szlafrok tuż przy ciele, kawa, która spływa do jej gardła, też jest ciepła. Dudni jej w głowie i wydaje jej się, że widzi podwójnie, widzi dwóch Sjömanów i dwóch Martinssonów, i ma ochotę po prostu krzyknąć albo się napić, ale powstrzymują ją ich spojrzenia.

Sven na krześle przy oknie. Zeke stoi przy zlewku, patrzy najpierw na zepsuty zegar z Ikea, potem na gołębia, który przysiadł na parę sekund na parapecie, a potem odleciał w stronę kościelnej wieży.

No powiedzcie coś.

Opieprzcie mnie.

Powiedzcie, że jestem powalonym, złym człowiekiem.

Że jestem słabą pijaczką, kimś, kto nie potrafi się oprzeć nawet najsłabszym wewnętrznym demonom.

Mówcie, że jestem gównem warta. Że jestem dnem.

Ale żaden z jej kolegów nic nie mówi.

Wmusili w nią dwie tabletki Treo, dwa Resorby, a teraz wie, że oczekują od niej, że wypije kawę.

Wychodzą do przedpokoju, słyszy, jak rozmawiają. Słyszy głos Svena:

- Przypilnuję ją, postawię na nogi, nie obędziemy się bez... Zeke:

- Ona musi iść na odwyk.

Czy on naprawdę to mówi? Musiałam się przestyszeć. Ni
gdy by czegoś takiego nie powiedział.

Wracają. W milczeniu stoją przy niej w kuchni. A kiedy dopija kawę, Sven mówi:

- Ubierz się. Jedziesz z Zekem do Sóderkópingu. Masz robotę.

Jakimś cudem Malin zniosła podróż samochodem, nie wie nawet jak, i teraz, gdy zbliża się pora lunchu, stoją razem z Zekem w pokoju z tapetą w kwiaty w ośrodku rehabilitacyjnym w Sóderkópingu. Przed nimi, w różowoczerwonym fotelu siedzi Ingeborg Sandsten. Obok niej, na niebieskim wózku inwalidzkim, leży Jaśmin Sandsten, a pod jasnozielonym kocem rysuje się jej pokurczone ciało, wykrzywione całymi latami mimowolnych skurczów mięśni. Jedno z jej brązowych oczu jest otwarte, drugie zamknięte, a w spojrzeniu nie ma śladu świadomości. Jaśmin Sandsten oddycha ciężko, rżąc; od czasu do czasu wydaje z siebie dźwięk przypominający ryk i za każdym razem, gdy ten dźwięk wydobywa się z jej ust, jej matka prawą ręką wyciera jej ślinę z kącika ust.

W tle okno. Nagie, szarpane wiatrem drzewo, opustoszały brzeg kanału, który zdaje się czekać na letnich rowerzystów, i stare łódzie wycieczkowe pomalowane na biało, pełne amerykańskich turystów.

Matka, która nigdy nie odeszła od swojej córki, myśli Malin, i czuje głęboki szacunek dla obu tych obcych kobiet. Nawet jeśli Jaśmin kompletnie nie rozumie, co się wokół niej dzieje, to z pewnością wie, że nigdy nie została opuszczona. Wiesz o tym, myśli Malin, patrząc na kobietę na wózku inwalidzkim, że masz u swojego boku czystą miłość. Ona, twoja matka, jest taka, jak ludzie powinni być. Prawda?

Gdyby Tove skończyła w ten sposób...

Co bym wtedy zrobiła? Nie potrafię nawet o tym myśleć.

- Miałyśmy być na Teneryfie - mówi Ingeborg Sandsten, kładąc swoje chude dłonie na równie chudych udach. - W klinice Vintersol. Ale w ostatniej chwili odmówili, gdy się dowiedzieli, jak bardzo upośledzona jest Jaśmin. Więc zamiast tego

308 przyjechałyśmy tutaj. Tu też jest dobrze.

Malin w pierwszej chwili ma ochotę powiedzieć: „Co za zbieg okoliczności. Byłam tam parę dni temu”. Ale to by było jak sztyderstwo wobec matki i córki, które tam nie pojechały.

Twarc Ingcborg Sandsten jest szczupła i pomarszczona, nieskończenie znużona i znużenie tej kobiety sprawia, że Malin czuje się różniej.

- Opiekuję się Jaśmin od czasu tego wypadku. Zatrudnia mnie gmina.

- Czy ona nas słyszy? - pyta Zeke.

- Lekarze twierdzą, że nie. Ale nie wiem. Czasami myślę, że tak.

- Wczoraj nasi koledzy rozmawiali z pani byłym mężem -mówi Malin.

- On dalej jest zły.

- Rozmawiała pani z nim? Słyszała pani, co, jak podejrzewamy, stało się tamtej nocy, gdy doszło do wypadku?

- Tak, dzwonił do mnie.

-I co pani o tym sądzi?

- Mogło tak być, ale teraz to przecież nie ma żadnego znaczenia. Prawda?

- O niczym pani nie wiedziała? - pyta Malin.

- Rozumiem, do czego zmierzacie. Nie wiedziałam. I byłam tu w ośrodku, z Jaśmin, przez cały ubiegły tydzień.

Znowu ten ryk, twarc Jaśmin wykrzywia się w niewyobrażalnym bólu, kiedyś, dawno temu musiała być naprawdę śliczna. Ingcborg wyciera kąciki ust swojej dorosłej córce.

- Czy Jaśmin znała Jerry'ego Peterssona przed tym wypadkiem? Pamięta pani? - pyta Malin, i czuje się tak, jakby łowiła ryby, jakby zarzucała sieć i haczyki, a potem je ciągnęła, jakby próbowała uchwycić głosy spod wody.

- Nie wydaje mi się. Nigdy o nim nie wspominała. Ale co człowiek może wiedzieć o życiu nastolatki?

- A rodzeństwo Fagelsjó? Znała ich?

- Chodziła do równoległej klasy z Katariną Fagelsjó. Ale nie sądzę, żeby się przyjaźniły.

- A więc nic pani nie wiedziała o tamtej nocy? Że być może to Jerry Petersson prowadził? - pyta znów Zeke.

- A jak pan myśli? - pyta Ingeborg Sandsten. - Ze może Jaśmin coś mi opowiedziała?

Kilkanaście nabrzmiąłych kropli deszczu uderza w szybę, jakby zebrane w wiązkę.

- Głęboko w swoich snach Jaśmin pamięta, co się stało - do daje po chwili. - To tkwi gdzieś głęboko, głęboko w niej.

Samochód przedziera się przez podmokły krajobraz Oster-gótländ. Szary, bezlistny las, szare, samotne pola, szare ludzkie siedziby.

Pewne dłonie Zekego na kierownicy.

Malin nabiera tchu. Bierze kilka głębokich oddechów.

- To ty prosisz Svena, żeby ze mną pogadał, prawda? - pyta w końcu.

Zeke na chwilę odrywa wzrok od drogi. Patrzy na nią. Potem kiwa głową.

- Wściekniesz się teraz, Malin? Musiałem coś zrobić.

- Mogłeś powiedzieć mi to wprost.

- A ty byś posłuchała? Jasne, Malin, jasne.

- Zrobiłeś to za moimi plecami.

- Dla twojego dobra.

- Wiele rzeczy robisz za plecami, Zeke. Pomyśl o tym, co możesz stracić.

Zeke jeszcze raz odwraca wzrok od drogi. Patrzy na nią a potem jego twarde, zielone oczy napełniają się ciepłem.

- Żadne z nas nie jest cudownym bożym dzieciątkiem -mówi.

- A swój ciągnie do swego - dodaje Malin, a potem wsłuchują się w odgłos pracy silnika. Malin przełyka ślinę, żeby stłumić nudności.

Mniej więcej dziesięć kilometrów od Linkópingu dzwoni jej telefon.

Numer, którego Malin nie zna. Odbiera.

- Tu Stina Ekström. Matka Andreasa.

- Dzień dobry - wita się Malin. - Jak się pani czuje?

310 ~ Jak ja się czuję?

- Przepraszam - mówi Malin.

- Pytała mnie pani, czy pamiętam coś szczególnego sprzed wypadku. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale przypomniałam sobie jednego z przyjaciół Andreasa z czasu, zanim zaczął chodzić do szkoły średniej. Nazywał się Anders Dal-stróm. On i Andreas byli przyjaciółmi, zaprzyjaźnili się, kiedy przeprowadziliśmy się do Lingham, a Andreas poszedł do siódmej klasy. Z tego, co pamiętam, Andreas się nim opiekował. Ale potem, kiedy poszli do różnych szkół, nie spotykali się już tak często. Pamiętam go z pogrzebu. Wyglądało na to, że strasznie przeżył śmierć Andreasa.

- Wie pani gdzie teraz mieszka?

- Wydaje mi się, że nadal tu, w mieście. Ale od dawna go nie widziałam.

- Więc byli przyjaciółmi?

- Tak, w szkole podstawowej.

A potem Stina Ekstróm milknie, ale Malin z jakiegoś powodu jeszcze się nie rozłącza.

- Byliśmy wtedy źli - mówi po chwili Stina Ekstróm. - Rodzice Jaśmin byli źli. Na różne sposoby straciliśmy swoje dzieci. Ale złość donikąd nie prowadzi. Nauczyłam się, że jedyne, co nam na koniec zostaje, to nasze czyny wobec bliźnich. Możemy wybierać. Albo się czuje empatię, albo nie. To takie proste.

45

rodą

żaj za głosami w śledztwie, Malin.

Podążaj za nimi, prosto w najciemniejsze lasy Ostergötland, jeśli to tam słyszysz ich szept. W naprawdę trudnych śledztwach chwytaj się wszystkiego.

Gęsty las wokół Malin i Zekego cierpi na tę samą bezbarwność co niebo, tak jakby cały świat dopasował się do daltonistów. Liście leżące na ziemi są tutaj czarne, nic nie zostało z ich płomiennych kolorów. Zbutwiały zapach wdziera się niemal do samochodu, świeży, ale równocześnie niewrózący nic dobrego.

Malin dostrzega mały parterowy domek w zagajniku, parę kilometrów na południe od Bjórsater, jego brązowoczerwo-ne ściany wyglądają, jakby kipiały w monotonnym deszczu i martwym popołudniowym świetle.

Najnowszy głos w śledztwie należy do Andersa Dalstróma. Malin jeszcze nie wie, jak będzie do tego wszystkiego pasował.

Podążaj za głosami w śledztwie, póki nie ucichną.

A potem podążaj za nimi dalej, a wtedy być może, czasami, czeka cię nagroda w postaci jakiegoś związku, powiązania, prawdy.

To tego chcą od nas ludzie, prawdy, myśli Malin.

Niczego więcej i niczego mniej.

Zupełnie jakby prawda mogła sprawić, że będą się mniej bać.

Zatrzymują volvo na zagrabionym żwirze przed domem. Przed warsztatem stoi czerwony golf. Gdyby Skogsa było pudełkiem, myśli Malin, to w tym pudełku zmieściłoby się trzy-312 dzieści takich domów i zostałyby jeszcze trochę miejsca.

Na drzwiach wisi ręcznie wypisana tabliczka z nazwiskiem Andersa Dalstróma. Drzwi się otwierają i stoi przed nimi mężczyzna w dżinsach i T-shircie z Bobem Dylanem na piersiach. Jego twarz jest pociągła, ale ma mały, perkaty nos, a policzki pokrywają płytkie blizny po krostach.

- Anders Dalstróm? - pyta Zeke.

Mężczyzna kiwa głową, a jego długie, czarne włosy poruszają się na wietrze.

- Ma pan może szklanę wody? - pyta Malin, gdy wchodzi do podniszczonej kuchni.

Anders Dalstróm się uśmiecha:

- Pewnie, że mam.

Jego głos jest ochrypły i szorstki, pełen oczekiwania, ale równocześnie silny i przyjazny. Prawą ręką podaje Malin szklanę.

Ściany kuchni pokryte są plakatami z koncertów EMA Tel-star. Springsteen na Stadionie, Clapton w Scandinavium, Dy-lan w Hovet.

- Bogowie - mówi Anders Dalstróm. - Nigdy nie zdołałem im dorównać.

Malin i Zeke siedzą na starej sofie w kuchni, popijają świeżo zaparzoną, gorącą kawę.

- Gra pan? - pyta Malin.

- Kiedyś grałem częściej - odpowiada mężczyzna.

- Chciał pan zostać gwiazdą rocka? - pyta Zeke, a Anders Dalstróm siada naprzeciwko nich, pociąga spory łyk kawy i znów się uśmiecha, a ten uśmiech sprawia, że jego perkaty nos wydaje się jeszcze mniejszy.

- Nie, nie gwiazdą rocka. Ale kiedy byłem młodszy, chciałem zostać piosenkarzem.

- Tak jak Lars Winnerback? - pyta Malin i przypomina sobie koncert, na którym była, tłumy w Cloetta Center, kiedy występował wielki syn tego miasta.

- Tak, chciałem być jak Lars Winnerback. Ale jakoś nigdy mi nie wyszło.

Wciąż czekasz, prawda? - myśli Malin.

- Mam studio w warsztacie. Sam je zbudowałem. Nagrywam tam własne kawałki. Ale nie za często. Praca pochłania cały mój czas.

- Gdzie pan pracuje?

- W domu opieki w Bjórsater. W dzień jestem taki cholernie zmęczony. Pracowałem dzisiaj w nocy i wieczorem znów idę do pracy.

Przed chwilą Malin opowiedziała Andersowi Dalstrómowi o tym, co ich tu sprowadza, czego się dowiedzieli w związku z Jerrym Peterssonem, o tej nocy, gdy doszło do wypadku, i o tym, co im opowiedziała matka Andreasa Ekstróma. Może powinnam była zachować te informacje dla siebie, myśli teraz. Ale mój mózg za wolno pracuje, a poza tym nie mamy najmniejszych powodów, by o cokolwiek podejrzewać Andersa Dalstróma.

- Odniósł pan jakieś sukcesy? W muzyce?

- Skromne. W ostatnich latach szkoły średniej byłem nawet dość popularny na imprezach, ale po maturze to się skończyło.

- Znał pan wtedy Jerry'ego Peterssona?

- W ogóle go nie znałem.

- Nie chodziliście do tej samej szkoły?

- Nie. On i Andreas chodzili do Katedralskolan. Ja chodziłem do Ljungstedtska.

- Więc nie znał pan Jerry'ego? - powtarza pytanie Malin.

- Przed chwilą mówiłem.

- A Andreasa? Jego matka twierdziła, że byliście bliskimi przyjaciółmi.

- Tak, byliśmy. Trzymaliśmy się razem. Byliśmy kumplami.

- Jak to? - pyta Malin.

- Cóż, robiliśmy razem różne rzeczy. Na lekcjach siedzieliśmy w jednej ławce.

- Dorastaliście razem?

- W szkole w Linghem chodziliśmy do tej samej klasy. Od siódmej klasy, kiedy Andreas się tam przeprowadził.

Malin widzi siebie samą na szkolnym podwórku w Sture-fors, ze swoimi kolegami z klasy. Większość z nich rozproszy-

ła się teraz po całym kraju. Widzi tych silniejszych, którzy rządzą innymi, chłopaków, którzy mieli zwyczaj dręczenia tych wyraźnie słabszych. Do dziś to pamięta, mieli na imię: Johan, Lasse i Johnny. Do dziś pamięta własne tchórzostwo, to, że chciała im powiedzieć, żeby przestali, ale zawsze znajdowała jakiś powód, by tego nie zrobić.

- Ale w szkole średniej wasze drogi się rozeszły?

-Nie.

- Nie? - pyta Malin. - Takie odniosłam wrażenie po rozmowie ze Stiną Ekström.

- Dalej się spotykaliście. To było dawno temu, musiała zapomnieć.

- Ale nie było pana na tej imprezie sylwestrowej?

Głos Zekego jest ochrypły, ostry jak deszcz na zewnątrz.

- Nie. Nie byłem zaproszony.

Malin pochyla się nad kuchennym stołem. Patrzy spokojnie na Andersa Dalströma. Tak jakby chciał ukryć swoją twarz za cienkimi kosmykami czarnych włosów.

- Bardzo pan przeżył jego śmierć, prawda? Musiało być panu ciężko stracić przyjaciela?

- W tym czasie najlepiej mi szło z muzyką. Ale pewnie, byłem smutny.

- A teraz? Ma pan wielu przyjaciół?

-A co mają z tym wspólnego moi przyjaciele? Mam ich tylu, że nie nadążam się z nimi spotykać.

- Co pan robił w nocy z czwartku na piątek i w piątek rano? - pyta Zeke, stawiając swoją filiżankę z kawą na stole.

-Byłem w pracy. Możecie zapytać szefa oddziału, dam wam do niego numer.

- Musimy sprawdzić - mówi Malin. - To rutynowe postępowanie.

- Nie ma problemu. Róbcie, co musicie, żeby dorwać tego, kto zamordował Jerry'ego Peterssona. Pewnie, wygląda na to, że był świnią, i jeśli prowadził tamtej nocy, to zasłużył na karę. Ale żeby go zamordować? Na to nie zasługuje nikt, z żadnego powodu.

- Więc pan wiedział? - pyta Zeke.

|

- Co wiedziałem?
- Że to Petersson prowadził.
- Nie miałem pojęcia. Przecież sami mi przed chwilą o tym powiedzieliście. Ona.
- Ma pan numer do siebie do pracy? - pyta Malin, patrząc na Zekego, a potem dopija resztkę wody.

Gdy Zeke wysadza Malin przed wejściem do budynku na Agatan, nad Linkópingiem zdążyły już zapaść ciemności.

Z pubu Puli & Bear płynie światło, na ulicy słychać gwar i za parę sekund mogą stać przy barze i mieć przed sobą szklanekę leżakowanej w beczce tequili.

- Idź od razu na górę! - woła do niej Zeke, zanim odjeżdża.

Malin stoi w wejściu do budynku i odsłuchuje wiadomości na komórce: wiadomość od Tove, która mówi, że nocuje u Jannego. Uplłynął już tydzień, odkąd się widziałyśmy, myśli Malin. Jak to się stało?

W drodze powrotnej Malin zadzwoniła do kierowniczkii oddziału domu opieki w Bjórsater, która potwierdziła alibi Andersa Dalstróma, sprawdziła w skoroszycie z rozkładem godzin i powiedziała, że pracował tamtej nocy.

Malin chowa komórkę, robi krok w stronę ulicy i patrzy na szyld pubu, świecący miękkim, ciepłym i obiecującym światłem. Kac wciąż drzemie w jej ciele, równie mocny jak wcześniej, ale teraz dodatkowo wzmocniony tonami żalu, tęsknoty i poczucia straty, mimo to ma ochotę iść do pubu, usiąść przy barze i zobaczyć, co się stanie.

Znajomy sygnał telefonu.

Numer ojca na wyświetlaczu.

Odbiera.

- Cześć, tato.
- Dotarłaś do domu bez problemów?
- Jestem w domu. Wczoraj i dziś pracowałam.
- Rozumiesz chyba, że mama się zastanawia, dlaczego zniknęłaś...
- Wyjaśniłeś jej?

- Powiedziałem, że zadzwonili do ciebie z pracy i musiałaś lecieć.

Niewinne kłamstwa z konieczności.

Tajemnice.

Te dwie rzeczy są jak rodzeństwo.

- A jak tam z Tove?

- Czuję się dobrze. Czeka na mnie na górze w mieszkaniu. Stoję teraz pod domem. Zrobimy sobie na kolację kanapki z gotowanym jajkiem.

- Pozdrów ją ode mnie - mówi tata.

- Pozdrowię. Będę się z nią widzieć za jakąś minutę. Ktoś dzwoni, wyświetla mi się rozmowa przychodząca, muszę kończyć...

Pa!

Malin wsuwa klucz do zamka.

Otwiera drzwi.

Poczta na podłodze. Gazetki reklamowe różnych supermarketów.

Ale jest coś pod reklamami.

Biała koperta A4, z jej nazwiskiem wypisanym wielkimi, wyraźnymi literami niebieskim tuszem.

Bez znaczka.

Bierze ze sobą pocztę do kuchni, rzuca reklamy na stół, rozcina kopertę kuchennym nożem i wyjmuje zawartość.

Zdjęcia.

Mnóstwo zdjęć. Czarno-białych zdjęć.

Malin czuje, jak robi jej się zimno i jak strach zmienia się we wściekłość, która zaraz znów staje się strachem.

Tata przed domem na Teneryfie.

Niewyraźna postać mamy na balkonie.

Oboje w supermarkecie, za wózkiem z zakupami, między półkami z żywnością.

Tata na plaży. Na polu golfowym.

Mama w jakiejś restauracji pod gołym niebem, siedząca samotnie, z kieliszkiem białego wina. Wygląda na spokojną i zrelaksowaną.

Zdjęcia jak wyjęte z filmu z kamery Super 8. Zdjęcia zrobione przez kogoś, kto szpieguje, dokumentuje, śledzi.

Czarne, czarno-białe zdjęcia.

Wiadomość.

Przysłane pozdrowienia.

Goldman, myśli Malin. Ty pieprzona świnió.

Oven Sjóman odchyła się do tyłu na bordowej skórzanej sofie w salonie swojej willi i pokazuje na jedno ze zdjęć leżących na wyłożonym kafelkami stoliku. Stojący w kącie zegar marki Mora przed chwilą wybił ósmą, własnoręcznie zmontowany mechanizm zegarowy ma doskonały dźwięk. Na podłodze leżą ręcznie tkane dywany, a duże, zadbane rośliny doniczkowe zasłaniają widok na ciemności w ogrodzie.

Sven patrzy na Malin, która siedzi naprzeciwko niego w fotelu, pochylona do przodu.

Zadzwonila i kazał jej natychmiast przyjechać.

Zdjęcia na stole. Wyłożone ostrożnie za pomocą pesety. Palec Svena w powietrzu.

- Chce cię wystraszyć, Malin. Chce po prostu, żebyś się bała.

I Malin poddaje się panice.

Tove. Kto powiedział, że nie będą chcieli jej dorwać?

- Uspokój się, Malin. Uspokój się.

- To nie może się znowu zdarzyć.

- Myśl, Malin. Myśl. Jak ci się wydaje, kto stoi za tymi zdjęciami? Co się wydaje logiczne?

Malin oddycha głęboko.

W samochodzie próbowała przejrzeć się myśleć, odepchnąć od siebie strach.

Doszła do tego samego, co było jej pierwszą myślą:

- Goldman.

Sven kiwa głową.

- Nie będziemy tego lekceważyć - mówi. - Ale nie sądzę, żebyś musiała się niepokoić. To tylko Goldman bawi się w jedną z tych swoich gier, które podobno tak uwielbia.

- Tak myślisz?

- A kto inny mógłby to być? To musi być Goldman. Bawi się z nami, na pewno delectuje się tym, że cię wystraszył. I wszystkie zdjęcia są z Teneryfy.

- Ale dlaczego?

- Spotkałaś się z nim, Malin. Jak ci się wydaje?

Jochen Goldman przy basenie. Niebo i morze, które prześcigały się w błękitach, jego ciało na plaży, zabawiłaś się ze mną, żebyś zrobiła to, co chcesz. A tutaj: deszcz uderzający jak kastaniety w plastikowy daszek nad tarasem domu Svena Sjómana.

- Myślę, że jest znudzony. Chce po prostu pokazać, kto tu rządzi.

Sven kiwa głową.

- Ale jeśli jest choć trochę prawdy w plotkach o tym, co robi z ludźmi, którzy wejdą mu w drogę, musimy być ostrożni. Traktować to poważnie.

- Co możemy zrobić? - pyta z rezygnacją Malin.

- Przekażemy te zdjęcia Karin Johannison. Sprawdzi odciski palców, może uda jej się znaleźć coś jeszcze. Ale wątpię, żeby im się udało. - Sven milczy przez chwilę, a potem ciągnie: - Więc nie uważasz, żeby to mógł być ktoś inny? Ktoś, kogo posadziłaś, i teraz chce się zemścić?

Jadąc tu, Malin zastanawiała się nad tym, kto mógłby chcieć ją dorwać. Było wielu przestępców, ale nie przychodził jej do głowy nikt, kto mógłby się posunąć do tego, by grozić policjantce, która go złapała.

Mordercy.

Gwałciciele.

Bandyci.

Jakiś gang motocyklowy? Wątpliwe.

Trzeba będzie sprawdzić, czy nie wypuścili ostatnio kogoś, kto mógłby uruchomić taki porąbany plan. 320 - Nic mi nie przychodzi do głowy - odpowiada Malin. -

Ale musimy sprawdzić, czy któryś z moich starych przyjaciół niedawno nie wyszedł.

- Tak zrobimy - mówi Sven.

Do pokoju wchodzi jego żona, wita się z Malin i pyta:

- Napijesz się herbaty? Wyglądasz na przemarzniętą.

- Nie, dziękuję. Źle śpię po herbacie.

Sven śmieje się pod nosem, a jego żona wygląda na zdziwioną.

Sven mówi:

- Nic, nic. To taki nasz żarcik.

Malin się uśmiecha, wie, że to jedyne, co może zrobić.

- Ja się chętnie napiję - mówi Sven.

Jego żona znika w kuchni, a Sven pyta Malin, jak się czuje.

Zadaje to pytanie powoli, takim tonem, że Malin wie, iż chciałby, by brzmiało to serdecznie i ciepło. Odpowiada mu:

- Wczoraj wieczorem miałam jakiś zjazd. Przykro mi, że widzieliście mnie w takim stanie dziś rano.

- Wiesz, że powinienem coś zrobić.

- Co? - Malin pochyla się jeszcze bardziej nad stołem. Powtarza pytanie. - Co takiego zrobić, Sven? Wysłać mnie na odwyk?

- Być może dokładnie tego ci potrzeba.

Malin się zrywa, syczy na niego z wściekłością:

- Właśnie dostałam list z pogrózkami, robione z ukrycia zdjęcia moich rodziców, a ty potrafisz tylko gadać o odwyku?

- Nie tylko o tym gadam, Malin. Mówię poważnie. Weź się w garść albo dopilnuję, żebyś została zawieszona i skierowana na jakieś leczenie, zanim znów będziesz mogła podjąć pracę. Mam poważne powody, żeby cię do tego zmusić.

W jego głosie nie ma już żadnej miękkości, jest władczy i mentorski, i Malin znów siada, mówi:

- Jak myślisz, co powinnam zrobić z mamą i tatą?

- To by ci mogło dobrze zrobić, Malin. Pomóc ci wrócić na właściwe tory.

- Mam im o tym powiedzieć?

- Zastanów się nad tym. Kiedy już zamkniemy tę sprawę.

- Czy możemy poprosić polię z Teneryfy, żeby mieli ich na oku? I Goldmana?

- Tak zrobimy Malin.

- Co zrobimy?

-Jeśli chodzi o ciebie, poczekamy i zobaczymy. A co do reszty, skontaktujemy się z polią na Wyspach Kanaryjskich. Miałaś chyba z nimi kontakt?

Malin już nie czuje nudności: ośrodek odwykowy.

Po moim trupie.

Pojmij to, Sven.

Nigdy w życiu. Miałam po prostu mały dołek. Poradzę sobie, musisz w to wierzyć, Sven.

Dłoń na ramieniu Svena, filiżanka herbaty na stole przed nim.

- Twój earl grey. Bardzo mocny, tak jak lubisz.

Deszcz bębni uparcie w dach samochodu.

Kabinę wypełnia jej mdły oddech, męczy się z komórką, wybiera numer Jochena Goldmana, ale nie słyhać żadnego sygnału, tylko pisk, po którym następuje jakaś wiadomość po hiszpańsku. Pewnie informacja, że abonent jest chwilowo poza zasięgiem lub że abonament się skończył albo jakieś inne cholerne bzdury. Malin się rozłącza, odkłada komórkę na fotel obok. Czy jej się tylko wydaje, czy od wilgoci kabina samochodu zaczęła śmierdzieć pleśnią?

Uruchamia silnik.

Nic nie powie tacie. Ani mamie.

Jedzie do domu, do swojego pustego mieszkania i ma nadzieję, że uda jej się zasnąć.

Jednak sen nie przychodzi. Malin patrzy przez okno na deszcz, jak rysuje poszarpane kreski na nocnym niebie.

Jej ciało pod kołdrą jest ciepłe, spokojne, nie krzyczy o alkohol ani o nic innego. Ma odwagę dopuścić do siebie tęsknotę za Jannem i Tove, za tym, by byli tu z nią w pokoju.

Naciąga kołdrę na głowę. 322 Tam pod spodem jest Janne. I Tove, jako pięcio-, sześćio-,

siedmio-, ośmio- i dziewięciolatka, w każdym wieku, w jakim kiedykolwiek była.

Kocham ideę naszej miłości. To właśnie kocham, prawda?

Pukanie do okna.

Dwanaście metrów nad ziemią.

To niemożliwe.

Znów pukanie i znajomy dźwięk szyby, która lekko wibruje.

Dalej leży w łóżku. Chce przeczekać dźwięk. Czy coś szeleści na zewnątrz? Zrzuca z siebie kołdrę. Przebiega parę metrów do okna.

Deszcz i ciemność. Niewidzialne ciało unoszące się nad dachami domów?

Pij. Pij.

Słowa jak pulsowanie w skroniach. I znowu pukanie do okna, trzy długie, trzy krótkie, jak wołanie o pomoc z jakiejś odległej planety.

Czy to ja wołam o pomoc? - myśli Malin, gdy parę sekund później kładzie się pod kołdrą i czeka na kolejne pukanie, które nigdy nie nadchodzi.

Jestem teraz daleko od ciebie, Malin.

Ale jednak blisko.

Wiesz kto pukał, prawda? Może to byłem ja, a może to tylko twój przesiąknięty alkoholem mózg płata ci figle.

Pij, Malin.

Ciemność rzuci ci się do gardła, jeśli okażesz słabość.

Wszystko jedno, czy chodzi o alkohol, pieniądze czy miłość.

Ja zrezygnowałem z miłości tamtej sylwestrowej nocy. Później skupiłem moje wysiłki na pieniądzach. Wiedziałem już wtedy, w tamtym pokoju w akademiku w Lund, w którym widzę samego siebie pochylonego nad książkami prawniczymi, że pieniądze były dla mnie jedyną szansą, by kiedykolwiek zdobyć miłość. To dlatego tak gorliwie przesuвам palcami po cienkich, gładkich kartkach kodeksu.

LUND, 1986 i PÓŹNIEJ

Młody mężczyzna stuka palcem w cienki, gładki papier kodeksu.

Włożył sobie zatyczki do uszu, żeby odciąć się od wszystkich dźwięków z korytarza akademika Óstgóta nation w Lund. Swoimi nieubłaganymi niebieskimi oczyma fotografuje strony książki. Patrzy, widzi, składa je w pamięci. Prawo jest dla niego najprostszą z możliwych rzeczy, trzeba wyryć w świadomości słowa, a potem wykorzystywać je stosownie do potrzeb danej chwili.

Jest w Lund od trzech lat. Dłużej nie trzeba, bo na egzaminach zdobył wszystkie punkty, które są potrzebne, by mógł zasiadać w sądzie w Sztokholmie. Są to trzy lata zapomnienia, prób zagłuszenia umysłowego ograniczenia w mieście takim jak Linköping, w szkole takiej jak Katedralskolan, w życiu, jakie kiedyś wiódł.

Pewnie, tutaj też są; ci, których nazwiska widnieją wypisane gęsim piórem w księgach Domu Rycerstwa, ale tu mniej się zwraca na nich uwagę.

Pewnej nocy wspina się po fasadzie okazałego budynku koła naukowego studentów. W dole stoją dziewczyny i krzyczą. Chłopaki też krzyczą. Jedzie do Kopenhagi kupić amfetaminę, żeby nie zasnąć nad książkami. Przemycą tabletki pod 324 napletkiem, uśmiecha się do celników w Malmö.

Podczas karnawału, który przypada na jego drugi rok studiów, trzyma się z boku. Zjawia się w pubach i barach, pokazuje się, pozwala, by rozeszła się plotka o tym, kto jest najbystrzejszy z bystrych, kto zalicza najładniejsze laski.

Ciałem jest w Lund. Ale coraz więcej jest szeptów i domysłów. Kim jest, skąd się wziął. Pewnego wieczoru bije do krwi pewnego chłopaka z Linköpingu na parkingu za akademikiem Malmö nation. Opowiadał każdemu, kto tylko chciał słuchać, kim naprawdę jest Jerry Petersson: zerem. Nikim, z beznadziejnego mieszkania w nic niewartej dzielnicy w nic niewartym mieście.

„Nic o mnie nie wiesz!” - krzyczy, stojąc nad chłopakiem leżącym na ziemi, który nie jest nikim więcej niż tylko ciemnym konturem w świetle jakiejś samotnej ulicznej latarni. „I nic nie będziesz opowiadał. Pozwolisz mi być, kim chcę. Inaczej cię zabiję, skurwysynu”. Pochyla się nad nim, bierze do ręki kawałek metalu leżący na ziemi, przysuwa go do gardła leżącego chłopaka jak ostrze noża, krzyczy: „Słyszysz ją, słyszysz ją? Słyszysz kosiarkę, skurwysynu?”

Uczy się wszystkiego o kobietach. O ich łagodności i ciepłe, że każda jest inna i zmienia się w inny sposób, i że potrafią go przepoczwarzyć, tak by rodził się znów i znów od nowa.

Dowiaduje się, czym jest fizyczna tęsknota, gdy leży w łóżku w swoim pokoju w akademiku i śni o kobiecie, która powinna była należeć do niego, i wciąż jeszcze marzy, że będzie do niego należeć.

Te marzenia są jego tajemnicą.

Tajemnicą, która czyni z niego człowieka.

48

I eraz to się zbliża, Malin.

Wyczuwasz to w swoim czarnym śnie utkanym z tajemnic.

Ludzie, którzy nie radzą sobie ze swoim życiem, którzy nigdy nie pogodzą się ze swoim strachem. Którzy wołają o pomoc niemymi, węzowymi głosami.

Ludzie skazani na wędrówkę w smutku.

Oni wszyscy są w twoim śnie, Malin. I on tu jest. Chłopiec.

Malin.

Kto szepcze twoje imię?

Cały świat, wszelkie ludzkie życie, wszystkie uczucia spalone w krematorium, wszystkie młode węże pełzające wokół nabrzmiałych, bezwłosych szczurów w zalanych rynsztokach miasta.

Pozostaje tylko strach.

Najbardziej popielate ze wszystkich uczuć.

Chcę się teraz obudzić.

Maria.

Zasnęłam o wiele za wcześnie.

Fredrik Fagelsjő jest całkowicie rozbudzony. Myśli, wpatrując się w wahadłowy zegar na kominku, widzi, jak kolumna z czarnego marmuru zdaje się stapiać w jedno z czarnym kamieniem otwartego paleniska. Zegar zaraz wybije wpół do 326 dwunastej.

Na zewnątrz jest zimno i mokro, ale tu w środku jest sucho i ciepło. Dzikie jezioro Roxen jest zaledwie kilkaset metrów stąd.

Ogień trzaska, polana żarzą się pomarańczowo i szaro, całe pomieszczenie pachnie palonym drzewem, spokojem i bezpieczeństwem.

Lekkim ruchem ręki potrząsa kieliszek z koniakiem, unosi go do nosa i wciąga aromat, słodką woń owoców; myśli o tym, że już nigdy więcej nie będzie pić nic innego prócz Delamain. Że ostatnią rzeczą, jakiej się napije w tym ziemskim życiu, będzie kieliszek koniaku Delamain.

Dobrze, że Ehrenstierna uruchomił swoje kontakty. Te noce w areszcie były paskudne. Samotne. Miał o wiele za dużo czasu na myślenie. I doszedł do jednego wniosku, zrozumiał to, kiedy ten stary dziad, komisarz, gadał o jego rodzinie, o Christinie i dzieciach. Zrozumiał, że pieniądze, Skogsa i całe to gówno nie mają żadnego znaczenia. Wszystko, co cokolwiek znaczy, ma tutaj, i to jest Christina, ich niezdarna miłość, dzieci. To, że ich związek funkcjonuje, choć Christina nigdy nie pogodziła się z ojcem, mimo iż z biegiem lat upodobniła się do nich.

Dzieci. Opuścił je, żeby zdobyć to, czego - jak mu się wydawało - chciał, to, czego chciał ojciec.

W lecie będę musiał przesiedzieć miesiąc w zakładzie w Skanninge. Dam radę. Teraz to wiem. Christina i dzieci są w tej chwili u jego teściów. To było ustalone od dawna i żaden czas spędzony w areszcie nie mógł tego zmienić, co do tego byli zgodni. Ale on sam chciał zostać w domu. Nacieszyć się Villa Italia w jesiennych ciemnościach.

Niedługo powinni wrócić do domu.

W takie wieczory jak ten Fredrik Fagelsjő kocha spokój panujący w willi, ale chciałby już usłyszeć nadjeżdżający samochód.

Usłyszeć dzieci biegnące w deszczu po schodach.

Ich kroki.

Fredrik Fagelsj  nalewa sobie jeszcze jeden kieliszek koniaku.

Długo ich nie ma i chce zadzwonić do żony, ale tłumi ten impuls. Pewnie zostali dłużej i oglądają jakiś film albo grają w jakąś grę, którąś z tych plebejskich gier towarzyskich, które uwielbia jego teściowa, ta pozbawiona gustu kobieta.

Zamek.

Teraz jego spadkobiercą jest ojciec Peterssona. Policja nie znalazła żadnych innych spadkobierców, ale rodzina znów ma pieniądze, dzięki jakiejś starej babie z gałęzi rodu, z którą nigdy nie mieli do czynienia. Pieniądze płynące z ich historii.

Ojciec złoży spadkobiercy ofertę.

Porządek zostanie przywrócony.

Bo kto ma mieszkać w Skogsa, jeśli nie my? Ja, dzieci. Bo nawet jeśli tak właściwie to nie jest ważne, zamek jest przecież nasz. Będziemy dalej trwać.

Jerry Petersson.

Podróżujący przez klasy społeczne. Człowiek, który nie zna swojego miejsca, nigdy go nie znał. W prosty sposób można by wyrazić to tak, myśli Fredrik Fagelsj : Utopił się we własnych ambicjach.

Spadkiem zajmuje się adwokat Stekanger. Wystarczy szybko złożona, dobra oferta i jeśli ojciec Peterssona ją przyjmie, sprawa będzie załatwiona. Jeżeli będzie się sprzeciwiał, trochę podwyższymy ofertę. Ta ziemia jest nasza i żadne inne dzieci prócz moich nie będą się tutaj bawić, czuję to bardzo mocno, wbrew własnej woli.

Potem dojdę do ładu z rolnictwem. Będę uprawiał rośliny energetyczne i zarobię nową fortunę dla rodziny. Pokażę ojcu, że wiem, jak to działa, że potrafię coś tworzyć i sprawiać, by się wydarzało.

Że potrafię być bezwzględny. Tak samo jak on.

Że nie jestem tylko jakimś pracownikiem banku, który nadaje się jedynie do tego, by tracić pieniądze, ale że potrafię zapewnić rodzinie przyszłość.

Fredrik Fagelsj  czuje gorąco na policzkach, gdy myśli o opcjach, o stratach, o swojej nieodwracalnej nieudolności. 328 Ale teraz znów są pieniądze.

Pokażę ojcu, że zasługuję na to, by mój portret wisiał na ścianie w Skogsa. A kiedy już mu to pokażę, powiem mu, że to, co o mnie myśli, nic dla mnie nie znaczy, że może sobie iść do diabła z tym swoim portretem.

Fredrik Fagelsjő wstaje.

Czuje parkiet kołyszący się pod jego stopami, gdy koniak uderza mu do głowy.

Znowu siada. Patrzy na zdjęcie swojej matki, Bettiny, stojące przy zegarze wahadłowym. Łagodna twarz oprawiona w potężną złotą ramę. Myśli o tym, że po jej odejściu ojciec nigdy nie doszedł do siebie.

Fredrik Fagelsjő tej ostatniej nocy w życiu matki podkradł się potajemnie pod drzwi jej pokoju na zamku. Słyszał, jak zmusiła ojca, by obiecał, że zaopiekuje się nim, swoim słabym synem.

Jego matka zupełnie nie przypominała tej komisarz, która złapała go na polu, gdy próbował uciekać przed policją, ale mimo to Fredrik Fagelsjő o niej właśnie zaczyna myśleć.

Malin Fors.

Całkiem ładna.

Ale prostacka. Ubrana w złym guście i za bardzo zużyta jak na swój wiek. Ma w sobie coś taniego, tak jak wszystkie proste dziewczuchy z gorszych rodzin. Od innych jej podobnych odróżnia ją jedynie to, że wydaje się całkowicie świadoma tego, kim jest. I że jej to przeszkadza. Może i jest inteligentna, ale naprawdę bystra raczej być nie może.

Przyjedziecie niedługo?

Stara willa zdaje się skrywać tajemnice w każdym zakamarku, a dom trzeszczy od wilgoci i deszczu, jakby chciał przesłać mu wiadomość alfabetem Morse'a.

I wtedy Fredrik Fagelsjő coś słyszy.

Czy to samochód się zatrzymuje? Czarne volvo jego żony? Do jego uszu dobiega pojedyncze bicie zegara; oczywiście, to muszą być oni. Dzieci śpią pewnie teraz w samochodzie, gdyby mieli zostać u teściów na noc, Christina by zadzwoniła.

Wstaje.

Chwiejnym krokiem idzie do hallu i otwiera podwójne drzwi.

Deszcz zacina w jego stronę, ale nie widzi na podjeździe żadnego samochodu.

Na zewnątrz głęboka ciemność.

I deszcz.

I w tym momencie, dalej, przy stodole, zapalają się światła samochodu.

I znów gasną.

I znów się zapalają, nie widzi auta na tyle wyraźnie, aby móc odróżnić markę, ale samochód jest czarny, na pewno czarny. Fredrik zastanawia się, dlaczego jego żona nie podjechała pod sam dom, może przez deszcz i wilgoć zgasł jej silnik? Wychodzi na ganek, macha ręką, a wtedy światła samochodu mrugają jeszcze raz i jeszcze. Żona i dzieci. Może chcą, żebym poszedł po nich z parasolem? A może przyjechał ojciec? Albo moja siostra?

Mrugnięcie.

Mrugnięcie.

Fredrik Fagelsjő wkłada nieprzemakalny płaszcz.

Otwiera parasol.

Mrugnięcie.

A potem ciemność.

Wychodzi na deszcz, w stronę samochodu stojącego ze zgaszonymi światłami, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej.

Ciemność.

Niemal czuje, jak jego źrenice się rozszerzają, oczy pracują gorączkowo, by pomóc mózgowi zinterpretować świat, tak jakby ten świat miał zniknąć bez właściwych sygnałów.

Powinien był zapalić lampy ogrodowe. Wrócić się?

Nie. Pójdzie dalej, do żony i dzieci.

Zbliża się do samochodu.

Samochód żony.

Nie.

Przyciemnione szyby, nie sposób zobaczyć, co jest w środku.

Jakiś ruch przy samochodzie.

Zwierzę?

Lis, a może wilk?

Szybki dźwięk, coś się porusza.

I Fredrikowi Fagelsjo robi się zimno, ciało jest jak sparaliżowane i chce uciekać, tak jak jeszcze nigdy w życiu nie uciekał.

To tylko sen, myśli Malin. Ale nigdy się nie kończy.

Strach istnieje tylko w tym śnie.

Pukanie w najgłębszych zakamarkach mojej istoty.

Piec, do którego kiedyś wjadę, nie jest czymś, czego trzeba by się bać.

Dałam za wygraną. I dlatego się boję.

Tym właśnie jestem, moim strachem. Prawda?



of

!

M
5
of



m&m

%&&\$*

I~ ilm się nie kończy tylko dlatego, że ja chcę, aby tak było.

Jest nieskończony. Obrazy stają się coraz bardziej niewyraźne, rozmyte i szare, a równocześnie ich krawędzie płoną.

Niezależnie od tego, co się stanie, nie złapią mnie.

Będę się bronić.

Będę oddychać.

Nie zamierzam powściągać mojej furii. Chcę czuć, jak młode węże, te ostatnie, opuszczają moje ciało.

Muszę przyznać, że tym razem to było dobre uczucie. Nie jakiś gwałtowny wybuch, tak jak poprzednio. Wiedziałem, co mam robić. I były tysiące powodów. Widziałem twoją twarz, ojczę, w jego twarzy, widziałem w niej wszystkich chłopców ze szkolnego podwórka. Rozebrałem go, tak jak oni rozbierali mnie, i udałem, że kładę go na ołtarzu młodych węży.

Przemoc dała mi spokój. Szczęście. I nieskończoną rozpacz.

Ciemność się zagęszcza, krople deszczu zmieniają się w kule z ołowiu, uderzające w ziemię i w ludzi.

Teraz moja kolej. Jestem najpotężniejszy.

Już nikt nigdy się ode mnie nie odwróci. I komu tak właściwie potrzebne te świnię z ich przodkami, nazwiskami, z ich wynikającą z urodzenia wyższością? Chwiejne, migoczące obrazy, czarno-białe, z żółtawymi cyframi. Opowiadanie o mnie, które wyrzuca z siebie projektor, zbliża się do końca.



Ale wciąż jeszcze jestem.

Ojciec znów mnie obejmuje. Jest wychudzony, mama już niedługo pożyje z rakiem. Chodź do mnie, synu, stój spokojnie, żebym mógł cię uderzyć.

Mam przyjaciela.

Da się uciec przed samotnością, niewolą. Przed obcymi i strachem, wszystkim tym, co jest nie do zniesienia. Życie może być błękitnym, gładkim jak lustro morzem.

Pieniądze.

Wszystko kosztuje.

Ma swoją cenę.

Chłopiec, który biegnie przez ogród na obrazach wyświetlanych na białym ekranie, jeszcze o tym nie wie, ale to wyczuwa.

Pieniądze. To miała być moja kolej.

Ojczy, nie masz pieniędzy. Nigdy nie miałeś. Ale czemu ja nie miałbym ich mieć? Twoja zgorzkniałość nie jest moją i być może mogliśmy razem coś zrobić, coś dobrego.

Ale wyszło, jak wyszło.

Mieszkanie czynszowe, szeregowiec, marne ludzkie siedziby.


Na filmie biegnę sam przez ogród. Niech szlag trafi tych, co stworzyli samotność, strach, który przychodzi razem z nią.

Niech ich szlag.

Chłopcy. Żywi i martwi, mężczyźni ze skórą, do której próbują się dopasować.

I wtedy kończy się szpula.

Projektor mruga na białą. Nie ma już ani chłopca, ani mężczyzny.



Dokąd pójdę? Jestem wystraszony i samotny, jestem człowiekiem, którego nie ma na żadnych obrazach. Pozostaje tylko wrażenie młodych węży pełzających pod moją skórą.

PIĄTEK, TRZYDZIESTY PIERWSZY PAŹDZIERNIKA

Advokat Johan Stekanger dodaje gazu i włącza wycieraczki na maksymalną szybkość, a one trzepią się jak zarzynane kury na szybie przed nim.

Jaguar jest mu posłuszny i z łatwością wymijają autobus, zanim z naprzeciwka nadjedzie smutne, czarne volvo kombi.

Podgrzewany fotel przyjemnie grzeje siedzenie. Ranek jest wyjątkowo paskudny. Samochód nadal pachnie nowością i świeżością, a szary wystrój kabiny bez wątpienia pasuje do pory roku.

Dzieła sztuki na ścianach zamku, każda ściana obwieszona obrazami, które niczego właściwie nie przedstawiają, ale -jak sądzi - mają dużą wartość.

I dlatego właśnie ten pajac w tweedowym garniturze na fotelu obok niego: ta ciota, o przepraszam, pan Paul Boglów, ekspert sztuki współczesnej, który za darmo zgodził się przyjechać ze Sztokholmu, żeby udokumentować i wycenić zbiory Jerry'ego Peterssona.

Pewnie ten pedzio ma nadzieję, że będzie mógł sprzedawać to gównno, myśli Johan Stekanger, gdy przejeżdżają przez most nad pustą fosą i zatrzymują się na zamkowym wzgórzu.

Nie powiedział za dużo.

Pewnie czuje, że nim gardzę, myśli Stekanger. Faktycznie był to jeden z powodów, dla których postanowił wrócić do 337

Linkópingu po ukończeniu prawa w Sztokholmie. Ludzie tutaj są normalniejsi, i ciot, których zawsze nie cierpiał, prawie się nie spotyka na zadbanych ulicach miasta.

Zegar na desce rozdzielczej pokazuje 10.12.

To będzie imponująca inwentaryzacja, największa w jego karierze. W końcu będzie z tego niezłe honorarium, tego jednego może być pewien.

A w tego typu sytuacjach trzeba znosić takiego artystycznego pedzia z Pedziolandii.

Gardzi mną, myśli Paul Boglov, gdy nieokrzesany adwokat w tandetnym zielonym garniturze i ze zbyt długimi blond włosami na karku, wprowadza kod na panelu alarmowym przy wrotach zamku.

Ale co mnie obchodzi jego pogarda?

Prowincjonalny cham.

- Niezłe wejście, co?

- O ja pieprzę!

Te słowa wyrywają się z ust Paula Boglova, nim zdąży się powstrzymać. Gdy wreszcie udaje mu się oderwać wzrok od ogromnego obrazu wiszącego na wprost wejścia do zamku, widzi, jak ten adwokacina się uśmiecha.

- Czyli dużo. Jest wartościowy?

- To Cecilia Edefalk. Ze swojej najbardziej znanej serii.

- Jeśli ktoś by mnie pytał, to nic specjalnego. Jakiś facet rozsmarowuje olejek do opalania na plecach jakiejś babki. Mógłby jej chociaż smarować cycki.

Puszczę to mimo uszu, myśli Paul Boglov. Wyjmuje aparat, fotografuje obraz, odnotowuje coś w swoim małym czarnym notesie.

- Takie rzeczy wiszą tu w prawie każdym pokoju.

Paul Boglów przechodzi z komnaty do komnaty, robi zdjęcia, kalkuluje i jest zdumiony, tak jak potrafią się zdumiewać tylko dzieci. Nim wchodzi do kolejnego pokoju, narasta w nim przecucie, że dokona jakiegoś wielkiego odkrycia, czy to tak czuli się ci, którzy odnaleźli chińską terakotową armię?

Mamma Andersson, Annika von Hausswolff, Bjarne Mel-gaard, Torsten Andersson, piękna praca Marii Miesenberger, Martin Wickström, Clay Ketter, Ulf Rollof, zgaszona głowa Tony'ego Ourslera.

Doskonały gust. Współczesne dzieła. Musiały zostać kupione w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Czy Jerry Petersson sam wybierał dzieła sztuki?

Idealne wycucie. Z czymś takim człowiek się rodzi.

I ten adwokacina.

Jego idiotyczne komentarze.

- Jeśli ktoś by mnie pytał, wygląda to jak zwykłe zdjęcie. O niewielkiej pracy Miesenberger.

- Trochę szkła z dziurą w środku.

O pracy Ulfa Rollofa nad łóżkiem, w pomieszczeniu, które musiało być sypialnią Jerry'ego Peterssona.

Dzieła sztuki za jakieś trzydzieści milionów. Co najmniej.

Gdy przeszli już wszystkie pokoje, Paul Boglov nalewa sobie wody w kuchni i przegląda swoje notatki, przewija zdjęcia obrazów w aparacie fotograficznym.

Oko.

Petersson, albo ktoś inny, musiał mieć doskonałe oko.

Chodźcie po moich pokojach.

Ty rozdziawiasz usta, on kpi.

Nie wiecie, co wkrótce znajdziecie, co przed chwilą widziałem.

Był powód, dla którego ciągnęło mnie do sztuki, przynajmniej to jest prawdą.

Ale nie zamierzam teraz o tym opowiadać. Zostawię to Malin Fors, żeby się mogła domyślić.

Sztuka mnie zaskoczyła. Dała mi o wiele więcej, niż się spodziewałem. Najpierw nie było mnie stać, ale dość szybko się to zmieniło.

Na moich obrazach widziałem, widzę wszystkie te uczucia, których nie potrafię nazwać. Wystarczy choćby spojrzeć na to niebieskie przestrzelone szkło nad moim łóżkiem. Jest w nim piękno i ból. Albo na pieprzące się małpy Melgaarda, ich kiepsko ukryty strach przed tym, czym są, czym się stały, przed miłością, którą gdzieś zgubiły. 339

*Albo na puste ludzkie cienie Marii Miesenberger. Jak grzechy,
których nigdy nie uda nam się zostawić za sobą.*

- Jest jeszcze kaplica - mówi adwokacina. - Wisi tam trochę złotych obrazków Jezusa. Może je też pan obejrzy?

Ikony, myśli Boglov. Nie wie nawet, co to takiego ikony, bo chyba nie może to być nic innego.

- Gdzie jest ta kaplica?

- Za zamkiem, pod lasem.

Paul Boglov odstawia szklankę obok zlewu.

Na zewnątrz rządzi cesarz Deszcz, dzień jest ponury, choć zegar dopiero co wybił dwunastą.

Żwawym krokiem obchodzą zamek. Kaplica, samotna i opuszczona, stoi na skraju gęstego świerkowego lasu.

Adwokat wyciąga klucz.

Ikony, myśli Paul Boglów zastanawia się, czy Jerry Peters-son miał równie dobry gust, jeśli chodzi o nie.

- Chyba jest otwarte - mówi adwokat.

Otwierają drzwi kaplicy. Skrzydła rozsuwają się powoli, skrzypiąc.

Przez szczeliny w pozbawionych okien ścianach sączy się matowe światło.

Obaj wydają okrzyk przerażenia, gdy dostrzegają coś nagiego i jakby udrapowanego na kamiennym grobowcu rodu Fagelsjó.

Omierć nie ma tutaj zapachu. Woń zgnilizny, uderzająca w nozdrza Malin, nie pochodzi od ciała, lecz z lasu wokół zamkowej kaplicy.

Ziemia jest podmokła, ale nie wygląda na tereny zalewowe.

Ciało Fredrika Fagelsjő jest nagie.

Malin wie o tym, choć zwłoki leżą już na noszach w czarnym plastikowym worku, przeznaczonym właśnie do tego celu: transportowania zwłok.

Stoi przy wejściu do kaplicy Skogsa, próbując schronić się przed deszczem, który wiatr zawiewa w jej stronę, widzi złote obrazy Chrystusa na ścianach, aureolę wokół głowy Syna Bożego, której tej jesieni, jak się wydaje, nie ma żaden z żyjących.

Sępy są trzymane na dystans. Dostrzegła wyczekiwanie w ich oczach, kiedy przed chwilą ich mijała. Ich małe Black-Berry do robienia notatek, wygłodzone kamery, rozbudzone instynkty. Wreszcie znowu coś się dzieje. Nie było wśród nich Daniela. Może dopiero przyjedzie.

Obok niej Sven Sjóman i Zeke, milczący i zawzięci, ale równocześnie zamyśleni.

Fredrik Fagelsjő.

Zamordowany. Jakby złożony w ofierze na rodzinnym grobie.

Ofiara w środku jesieni.

Ale dlaczego? I przez kogo?

Trójka policjantów ma ochotę z góry założyć związek z morderstwem Jerry'ego Peterssona, ale wiedzą, że nie wolno im

tego robić. Tym razem nie ma żadnych ran od noża, niemniej jednak przesłanie jest jasne: nagie ciało na grobie.

Muszą zadbać o to, by wszystkie tropy w śledztwie pozostały otwarte. Fakt, że miejsce zbrodni jest niemal to samo i że ofiary miały wspólną historię, nie daje jeszcze pewności, że te dwa morderstwa są ze sobą powiązane. Kto może wiedzieć, jak wyglądają labirynty przemocy? - myśli Malin. Ślepe zaułki, ciemne i samotne. Sposób działania jest wyraźnie inny, ale to tylko mit, że morderca zawsze zabija w ten sam sposób.

Adwokat i znawca sztuki.

Obaj byli podekscytowani, gdy Malin, Sven i Zeke zjawili się na miejscu mniej więcej godzinę temu, ale mieli dość rozsądku, by nie wchodzić głębiej do kaplicy i ostrożnie oddalić się na pewną odległość.

Sprawa, którą mieli tu do załatwienia, jest jasna jak słońce. Nic nie widzieli ani nie słyszeli.

Nie ma sensu ich zatrzymywać.

Karin Johannison i jej dwóch kolegów z laboratorium kryminalistycznego poruszają się wokół grobowca, szukają odcisków palców, wsuwają do plastikowych torebek jakieś przedmioty niewidzialne dla oka.

Opinia Karin wygłoszona, kiedy ciało Fredrika Fagelsjö trafiło już do czarnego plastikowego worka:

- Najprawdopodobniej przyczyną śmierci było uderzenie w głowę. Rana wygląda tak, jakby zadano ją młotkiem. Został trafiony prosto, więc nie da się ustalić, czy sprawca był prawo- czy leworęczny. Na ciele nie ma żadnych innych wyraźnych śladów, z tego, co udało mi się zauważyć podczas pobieżnych oględzin, nie ma żadnych uszkodzeń genitaliów.

- Został zamordowany tutaj czy przeniesiono go później? - spytała Malin.

- Najprawdopodobniej został przeniesiony. Przy wejściu są wyraźne ślady krwi. I choć nie ma ubrań, myślę, że został rozebrany tutaj. Włókna, które znalazłam na zwłokach podczas wstępnych oględzin, wyglądają tak samo jak te na posadzce.

- Więc został zamordowany gdzieś indziej, ale rozebrano

342 go tutaj.

- Przypuszczalnie tak.
- I sposób... Został położony w kaplicy, na tym grobie.
- Na nagrobku.
- Na jedno wychodzi.
- Co o tym myślisz?
- To już twoja sprawa, Malin. Ja nic nie myślę.
- A sposób działania?
- To musiało być mocne uderzenie.
- W afekcie?
- Być może. Ale raczej nie była to furia, wtedy uderza się przecież kilka razy.

Karin daje znak swoim kolegom.

Dwóch mężczyzn wyciąga zwłoki z kaplicy.

Co chcesz, albo chcecie, mi opowiedzieć? - myśli Malin, gdy przechodzą obok niej.

Co próbujecie powiedzieć?

Przed nią rodzinny grób.

Fredrik Fagelsjo, który na spekulacjach stracił pieniądze i rodowy majątek. Czy to jego ojciec i siostra się zemścili? Ale dlaczego mieliby to robić teraz, gdy rodzina dostała spadek i najprawdopodobniej będzie w stanie odkupić posiadłość od spadkobiercy? A może członkowie rodu wspólnie zadbali o to, by pozbyć się Jerry'ego Peterssona, a teraz musieli się pozbyć Fredrika, bo z jakiegoś powodu nie mógł zachować milczenia albo za dużo wiedział?

A może zaszło tutaj coś zupełnie innego? Czy Fredrik Fagelsjo miał jakieś związki z Goldmanem? Wydaje się to cholernie naciągane. A może Fredrik odegrał jakąś większą rolę w tej tragedii w sylwestrową noc, może nie tylko zorganizował imprezę? Albo może jest tak, że Fredrik Fagelsjo został zabity, bo zamordował Peterssona?

Dlaczego to wszystko dzieje się właśnie teraz? Jeżeli to Jo-chen Goldman w jakiś sposób pociąga za sznurki, to może być tak, że po prostu nie zdążył zrobić tego wcześniej. Kto wie, ile ktoś taki jak on ma do posprzątania w swojej przeszłości. Może już niejednego posłał na dno morza? Wysłał wiele zdjęć?

A jeśli te morderstwa nie mają ze sobą nic wspólnego? Jakich wrogów miał Fredrik Fagelsjo? Dzierżawcy?

Jerry Fredrik. Czy ktoś miał powody, żeby nienawidzić ich obu?

Ikony na ścianach zdają się żarzyć, tak jakby ponaglały ją do działania.

Malin czuje, że mimo zimna i deszczu, mimo całego tego diabelstwa, sprawia jej przyjemność, że mózg znów pracuje, próbuje uporządkować różne możliwości, jakie nasuwa podwójne morderstwo.

Znów budzi się w niej dusza detektywa.

A wtedy nie ma już wątpliwości ani trosk. Tylko skupienie na zagadce, którą trzeba rozwiązać.

- Wejdziemy do zamku, żeby podsumować sytuację?

W głosie Svena nie słyhać zmęczenia, jest raczej pełen oczekiwania, tak jakby i u niego dusza policjanta przebudziła się do życia.

- Zróbmy to - mówi Zeke i odwraca się plecami do miejsca zbrodni.

Malin, Zeke i Sven stoją w zamkowej kuchni i rozważają różne możliwości, te same, nad którymi Malin zastanawiała się w kaplicy, i jeszcze parę innych.

- Inny sposób działania - stwierdza Sven. - Mimo to myślę, że mamy do czynienia z tym samym mordercą.

Malin kiwa głową.

- Zbyt wiele łączy ze sobą te dwa morderstwa. Miejsce, historia ofiar. Byłabym bardzo zdziwiona, gdyby to nie był ten sam sprawca.

- Może pierwsze morderstwo popełniono w afekcie, a drugie było zaplanowane? - zastanawia się Zeke.

- Może też być tak, że Fredrik Fagelsjo zamordował Peters-sona, a później ktoś się na nim zemścił - mówi Sven. - Po prostu nie wiemy. Ale najprawdopodobniej mamy do czynienia z tym samym mordercą.

344 - A wtedy możemy wykluczyć rodziców tych młodych lu-

dzi, którzy ucierpieli podczas wypadku - stwierdza Malin. -Nie mieli przecież żadnego powodu, żeby chcieć zamordować Fredrika Fagelsjő. Gdyby chcieli odebrać mu życie za to, że zorganizował te imprezę, mogli to zrobić już dawno temu.

Wspominają Goldmana, dochodzą do wniosku, że ten związek jest naciągany, ale że nie mogą go całkowicie wykluczyć.

Trójka policjantów przez chwilę stoi w milczeniu, rozważają wszystkie możliwe scenariusze, czują, jak nieuchwytna jest prawda i jak wiele ma aspektów.

- Wy dwoje pojedziecie do Axela Fagelsjő - wydaje dyspozycje Sven. - Johan i Waldemar przekażą wiadomość Katarinie Fagelsjő.

-I przesłuchają ją, a my pogadamy ze starym. Mimo wszystko to bardzo prawdopodobne, że mogli mieć z tym coś wspólnego - mówi Zeke.

- Mogli - zgadza się Sven. - Mogli chcieć pozbyć się Fredrika ze względu na te jego interesy albo są winni śmierci Petersona, a on zaczął pękać i chciał się przyznać.

Malin z powątpiewaniem kręci głową, ale nic nie mówi.

-I musimy się dokładnie przyjrzeć życiu Fredrika Fagelsjő. Jego interesom w banku - dodaje Sven. - Może zdefraudował nie tylko rodzinne pieniądze. Może mieć wrogów. Johana, Waldemara i Lovisę w Hadesie czeka jeszcze więcej roboty.

- Co za pieprzony burdel - mówi Zeke. - I jak, do diabła, mamy tu do czegoś dojść?

- Hades sprawdzi interesy. Kiepskie interesy zazwyczaj nie zdarzają się pojedynczo - stwierdza Sven, a potem posyła Malin współczujące spojrzenie, które ją drażni, sprawia, że ma ochotę mu powiedzieć: „Przestań się już tak przejmować. Dam sobie radę”. A potem myśli: A co, jeśli będzie inaczej? Jeśli sobie nie poradzę? Co wtedy będzie? I w tym momencie pojawia się niejasna wizja ośrodka odwykowego jak przedwczesne zimne ognie w mózgu.

- Musimy też porozmawiać z żoną Fredrika Fagelsjő -mówi Zeke.
- Nie zgłosiła, że zaginał.

- Tak zróbcie. Może jej mówił, że dokądś się wybiera. Jesz-

cze jakieś możliwości? - zastanawia się Sven. - Ten wypadek samochodowy?

- Wątpliwe. Ale musimy też zadać sobie pytanie, dlaczego został położony nagi na rodzinnym grobowcu - mówi Malin. - Niemal jak jakaś ofiara.

- Myślisz, że morderca chce nam coś powiedzieć?

- Nie wiem, może. Albo on lub ona chce, żebyśmy tak myśleli. Żebyśmy spojrzeli w określonym kierunku. Może na rodzinę Fagelsjów? Przecież o wszystkim można było przeczytać w gazetach.

-To może być ktoś z rodziny, kto chce zwrócić na siebie uwagę. O to ci chodzi? - pyta Zeke.

- Raczej na odwrót - mówi Malin.

- To znaczy?

- Nie wiem. Po prostu mam wrażenie, że coś tutaj nie pasuje.

- Masz całkowitą rację, że coś tu nie pasuje. Ale jutro dostaniemy raport od Karin i będziemy mogli posunąć się dalej - stwierdza Sven.

- Musimy też odtworzyć ostatnią dobę z życia Fredrika Fagelsjów. Z Peterssonem nie udało nam się zająć tak daleko. A może po prostu wiemy już wszystko i nie zostało nic do uzupełnienia z wyjątkiem jego spotkania z mordercą.

-Jak myślicie, jak Fredrik Fagelsjów tu wylądował? - pyta Zeke.

- Technicy zbadają ślady kół na wzgórzu zamkowym. Sprawdzą, czy nie uda się znaleźć jakichś nowych, które się nie zgadzają ze śladami samochodu tego adwokata. Nic nie wskazuje na to, żeby ktoś był w zamku. Kiedy przyjechali, alarm był włączony. Jedźcie teraz do Katariny Fagelsjów. Zanim to się dostanie do mediów.

- Już się dostało - mówi Zeke.

Samochody „Corren” i lokalnego radia. SVT. Czwórka. Kanał lokalny.

Jadowite sępy. Nawet jeśli nie wymienią żadnych nazwisk, krewni ofiar zawsze potrafią dodać dwa do dwóch, a nikt nie powinien się dowiadywać o śmierci bliskiej osoby z mediów. 346 Na zewnątrz nadal nie ma Daniela.

Zamiast niego jest jakiś starszy reporter, którego Malin ku swojemu zdziwieniu nie zna, i fotograf, młoda dziewczyna z dreadami, o której wie, że robi dobre zdjęcia. Co próbuje teraz uchwycić?

Śmierć?

Przemoc? Zło. Albo strach.

Cokolwiek robisz, nie rób mi żadnych zdjęć. Wyglądam jak świnia.

Dzwoni telefon Svena.

Mruczy coś pod nosem. Rozłącza się.

- To był Groth z technicznego - mówi, odwracając się do Malin. - Badanie zdjęć twoich rodziców niestety nic nie dało.

Malin kiwa głową.

- *Shit* - przeklina cicho Zeke. Był zły, gdy dziś rano dowiedział się o zdjęciach. - Czy te zdjęcia mogą mieć jakiś związek z tym?

- W jakiś sposób wszystko się ze sobą wiąże, prawda? -mówi Malin. - Pytanie tylko, jak?

Wychodzi z kuchni, przechodzi dalej do holu i po raz kolejny zatrzymuje się przed ogromnym obrazem, na którym mężczyzna rozsmarowuje krem do opalania na plecach kobiety.

Myśli o tym, że ten obraz jest równocześnie piękny i gówniany.

Kiedy na niego patrzy, czuje coś, ale nie potrafi tego dokładnie określić.

Mija ją Sven.

Malin mówi:

- Wolałabym, żebyśmy to my mogli porozmawiać z Kata-riną Fagełsjo.

- No to zróbcie tak, jeśli uważasz, że tak będzie lepiej -stwierdza Sven. - W takim razie Waldemar i Johan pogadają z żoną Fredrika Fagełsjo. Ale zaczynajcie od jego ojca. I ani słówka mediom.

Ax

el Fagelsj3 stoi nieruchomo przy oknie w salonie. Mgła, która napłynęła, gdy deszcz na chwilę przestał padać, przesłania widok na Tradgardsforeningen, nagie drzewa wyglądają jak chude sylwetki ciał. Axel Fagelsj3 zdaje się czegoś wypatrywać, jakby miał przeczucie, że tam na dole, w parku, ktoś obserwuje go z oddali i tylko czeka na okazję, żeby się na niego rzucić.

Było tak, jakby wiedział, dlaczego przyszli, jakby wiedział, co się stało. Już w przedpokoju poprosił Malin i Zekego, żeby „powiedzieli, co mają do powiedzenia”, tak jakby czekał na nich przez całą noc. Poprosili go, żeby przeszedł do salonu i usiadł, ale nie chciał: „Powiedzcie mi tutaj, co macie do powiedzenia”. Malin usiadła na starym, podniszczonym rokokowym taborecie przy drzwiach i powiedziała wprost:

- Pański syn. Fredrik. Dziś rano znaleziono go martwego w kaplicy w Skogsa.

Straszliwe znaczenie tych słów sprawiło, że cała jej niepewność gdzieś znikła.

- Odebrał sobie życie? Powiesił się?

I w obliczu Axela Fagelsj3, w różowej płataninie zmarszczek na tłustej twarzy, Malin zobaczyła coś twardego, lecz równocześnie wyrazistego.

Gardziłem moim synem. Kochałem go.

Teraz nie żyje i może jego grzechy zostały przebaczone. Grzechy przeciwko mnie. Przeciwko pamięci jego matki. Jego 348 przodków.

I gdzieś głęboko, w pustych źrenicach smutek, ale to uczucie jakby ukryte pod pokładami samokontroli.

- Został zamordowany. Pański syn został zamordowany - oznajmia Zeke.

Tak jakby chciał sprowokować jakąś reakcję u Axela Fagelsjóa. Ale on tylko się odwrócił, podszedł do okna, gdzie stoi teraz odwrócony do nich plecami, odpowiada na pytania i zdaje się nie przejmować okolicznościami. Malin chciałaby teraz widzieć jego twarz, jego oczy, ale jest pewna, że po policzkach starego mężczyzny nie płyną żadne łzy.

- Możemy panu opowiedzieć o szczegółach związanych ze śmiercią pańskiego syna, jeśli chce pan to usłyszeć - mówi Malin. - Wiemy to i owo.

- To znaczy, jak go znalezione?

- Na przykład.

- Niedługo będę mógł o tym przeczytać w gazecie, prawda?

Mimo wszystko Malin opowiada, co wiedzą, nie ujawniając paru szczegółów.

Hrabia nadal stoi nieruchomo przy oknie.

- Czy Fredrik miał jakichś wrogów?

- Nie. Ale przecież wiecie, że nie byłem z niego zadowolony po tej finansowej katastrofie.

- Może to ktoś, kto chciał dobrać się do pana? Axel

Fagelsjói kręci głową.

- Co pan robił wczoraj wieczorem i w nocy? - pyta Zeke.

- Byłem u Katariny. Rozmawialiśmy o możliwościach od kupienia Skogsa od spadkobiercy. Byliśmy sami. Później wróciłem spacerem do domu.

Ojciec i córka, myśli Malin. Są razem dokładnie tej nocy, gdy Fredrik zostaje zamordowany. Dlaczego?

- Jest coś jeszcze, co powinniśmy wiedzieć o Fredriku? Jakies inne interesy, które mogły pójść nie tak?

- Nie zajmował takiego stanowiska w banku, które by to umożliwiło.

-Nie?

- Był tylko chłopcem na posyłki.

- Czy mógł mieć coś do czynienia z Jochenem Goldmanem?

- Z Jochenem Goldmanem? Z jakim Goldmanem?
- Z tym oszustem - mówi Zeke.
- Nie znam żadnego Goldmana. I tym bardziej nie sądzę, żeby Fredrik mógł mieć jakieś interesy z oszustem.

- Dlaczego nie?

- Bo był na to za wielkim tchórzem.

Malin i Zeke spoglądają po sobie.

- A żona Fredrika? Jaki był ich związek?

- O to możecie zapytać jego żonę.

- Chce pan, żebyśmy tu kogoś przysłali? Wolelibyśmy, żeby pan nie był sam.

Axel Fagelsjő parska, słysząc słowa Malin.

- A kogo niby mielibyście przysłać? Księdza? Jeśli nie macie dalszych pytań, to idźcie już. Najwyższa pora zostawić starego człowieka w spokoju. Muszę zadzwonić do przedsiębiorcy pogrzebowego.

Malin zaczyna tracić do niego cierpliwość.

- A nie było przypadkiem tak, że wasza rodzina kazała za mordercę Jerry'ego Peterssona, a potem Fredrik zaczął pękać i chciał się przyznać? A wy go zamordowaliście?

Axel Fagelsjő śmieje jej się w twarz.

- Oszaleliście - mówi.

I Malin sama słyszy, jak dziwnie brzmi ta teoria.

- Jedziemy teraz do Katariny. Może chce pan do niej najpierw zadzwonić?

- Równie dobrze wy możecie jej przekazać te wieści. Przestała mnie słuchać już dawno temu - oświadcza Axel Fagelsjő.

Malin i Zeke schodzą po schodach, ich kroki odbijają się echem na klatce schodowej. W połowie drogi na dół mijają ciemnoskórą sprzątaczkę, która myje mopem kamienne stopnie.

- Co za zimny sukinsyn - mówi Zeke, gdy zbliżają się do wyjścia.

- Potrafi się od wszystkiego odciąć. Albo raczej zamknąć wszystko w sobie - stwierdza Malin.

- W ogóle nie wydawał się zdenerwowany. Jakby się nawet nie zastanawiał, kto zabił jego syna.

- I chyba jeszcze mniej się przejmował żoną Fredrika - zauważa Malin.

- I wnukami. Tak jakby w ogóle miał gdzieś wnuki - dodaje Zeke.

- Pewnie jest za stary na gniew.

- On? Nigdy nie będzie na to za stary. Nikt nie jest na to za stary.

Axel Fagelsjő usiadł w fotelu przed kominkiem.

Zaciska swoje szorstkie dłonie, czuje, jak jego oczy robią się wilgotne, a po policzkach spływają łzy.

Fredrik.

Zamordowany.

Jak to się mogło stać?

Poliq'anci.

Nie ma nikogo, z kim można by porozmawiać, im mniej słów, tym lepiej.

Widzi swoje wnuki biegające po pokojach w Villa Italia i Fredrika, który je goni, a wtedy wybiegają poza obraz w jego myślach i dziecięce stopy uderzają w kamienną posadzkę komnat w Skogsa. Jakie to dzieci? Fredrik, Katarina? Victoria? Leopold?

Chciałbym mieć przy sobie wnuki, ale jak mam się do niej zbliżyć, Bertino? Christina nigdy mnie nie tolerowała, ani ja jej.

I co tak właściwie miałbym z nimi robić?

Prawda, myśli Axel Fagelsjő, jest dla tych, których nie stać na nic lepszego. Dla mnie jest działanie.

Teraz jesteś w domu.

Twoje dzieci nie mają ojca.

Johan Jakobsson patrzy na kobietę siedzącą przed nim na sofie w dużym salonie w Villa Italia, jest skulona i zapłakana, mimo to promieniuje jakąś wiarą w przyszłość. Na pewno

ma zapewnione bezpieczeństwo finansowe; Johan widywał to już wcześniej u kobiet z dziećmi, które informował o śmierci męża: wydawało się, jakby natychmiast kierowały wszystkie siły w przyszłość, na dzieci, by wychować je na spełnionych ludzi.

Johan siada głębiej w fotelu.

Christina Fagelsjő nie patrzy na niego, tylko dalej, na Waldemara Ekenberga, który siedzi na stołku przy fortepianie i trzyma jedną dłoń nieruchomo na klawiszach, podczas gdy drugą dotyka siniaka na policzku.

Christina Fagelsjő właśnie im opowiedziała, że postanowiła przemocować z dziećmi u swoich rodziców, bo pili wino do kolacji. Że często razem z dziećmi jadała kolację u swoich rodziców, bez Fredrika, że „nigdy do siebie nie pasowali, oni i Fredrik” i że jej rodzice mogą to potwierdzić.

- Nie dzwoniła pani do domu? - pyta Waldemar.

-Nie.

-I kiedy pani przyjechała, jego nie było? - pyta Johan, i uderza go myśl, że być może Christina Fagelsjő zamordowała swojego męża, żeby dobrać się do tego nowego spadku, zanim te pieniądze zostaną wydane na próbę odkupienia Skogsa.

Naciągane, myśli po chwili. Siedząca przed nim kobieta nie jest morderczynią. A spadek najprawdopodobniej należy głównie do Axela. Ale wszystko wskazuje na to, że jest praworęczna. Jak niemal wszyscy pozostali.

- Zakładałam, że jest w banku.

- Miał jakichś wrogów? - pyta Waldemar.

Johan czuje, że to pytanie jest postawione dokładnie tak jak trzeba, we właściwej chwili, i niechętnie przyznaje w duchu, że on i Waldemar świetnie się razem sprawdzają jako partnerzy. Jest przekonany, że Christina Fagelsjő mówi prawdę, gdy odpowiada:

- Żadnych, o których bym wiedziała.

- A jego ojciec? Siostra?

- Chodzi panu o te problemy finansowe?

352 Christina Fagelsjő wzrusza ramionami.

Waldemar Ekenberg powoli uderza w klawisze fortepianu. W oczach kobiety pojawia się błysk.

- Zadawaliśmy już wcześniej to pytanie - mówi Johan. -Ale czy wie pani, dlaczego przed nami uciekał? Czy to mogło mieć...

- Rozmawialiśmy o tym tego dnia, gdy wyszedł z aresztu. Wystraszył się, wpadł w panikę. Każdemu mogło się to przytrafić w takiej sytuacji.

- Miał jakieś refleksje związane z tym, że prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym jest niebezpieczne i sprzeczne z prawem?

- Czasami wydawało mu się, że jest ponad tym. Tak jakby myślał, że zasady są dla innych.

-Jakie było wasze małżeństwo? - pyta po chwili Johan, a Christina Fagelsjő odpowiada mu bez zastanowienia:

- To było dobre małżeństwo. Fredrik był wspaniałomyślnym człowiekiem. Rodzina Fagelsjő potrafi okazywać miłość.

I w tej samej chwili, gdy wypowiada słowo „miłość”, do pokoju wbiega dwójka małych dzieci, mała dziewczynka i jeszcze mniejszy chłopiec. Podbiegają do matki, pytają jedno przez drugie:

- Mamo, mamo! Co się stało? Mamo, powiedz!

- Mamo, jesteś tam? Mam złe połączenie.

Tove.

Zdażyło się już zrobić wpół do trzeciej i niebo zaczęło szarzeć nad poszarpaną ostergotlandzką równiną. Malin siedzi w volvo razem z Zekem, jadą do Katariny Fagelsjő.

Malin pragnie, by Tove powiedziała, że przyjdzie dziś wieczorem do domu, że będzie spała w mieszkaniu w mieście, a nie w domu Jannego.

Mijają Ikea, o tej porze parking jest pełen, a przy dystrybutorach paliwa w drodze na Skaggetorp ludzie napełniają baki swoich lśniących, zadbanych samochodów. Patrzy na miejsce, gdzie ostatnio parkowała, kiedy kupowała ciuchy, i wydaje jej się, że widzi dwóch mężczyzn gestykulujących przy samochodzie.

Malin mruga.

Gdy znów otwiera oczy, mężczyzn nie ma.

Niżej, nad Stangan, przy Cloetta Center wznosi się nowy wieżowiec o nazwie Tornet, miniaturowy drapacz chmur, bezsensowna, popisowa budowla kolejnego kretyńskiego inwestora, który chce, żeby jego nazwisko zapisało się w historii Linkópingu.

- Mamo, jesteś tam? Źle cię słyszę.

- Jestem - mówi Malin. - Przyjdiesz dziś wieczorem? Możemy sobie zrobić kanapki z jajkiem.

- Może jutro?

Tak rozmawiają, matka i córka, o tym, jak się czują, co robiły, co będą robić.

Malin słyszy własny głos, ale jest tak, jakby go nie było. Jakby nie było głosu Tove. I nieobecność ich głosów przekształca się w samotność, która przekształca się w bezsilność, która zmienia się w smutek.

Samochód zatrzymuje się przed funkcjonalistyczną willą Katariny Fagelsjő nad strumieniem, pod drzewami wciąż leżą opadłe jabłka i Malin dopiero teraz widzi, że budynek jest w kiepskim stanie, że przydałby się nowy tynk i że cały ogród należałoby wysprzątać i być może na nowo obsadzić.

Malin i Tove kończą rozmowę.

Wycieraczki pracują gorączkowo.

Ich ruchy tworzą serca, myśli Malin. Namalowane serca, tak jak wtedy, gdy łagodnie rozsmarowuje się krem do opalania na skórze kobiety.

Jak nigdy nierozszyfrowane znaki miłości.

I już wie, o co zapyta Katarinę Fagelsjő.

Tak jakby czekała, że to się wydarzy.

Katarina Fagelsjő siedzi naprzeciwko Malin i Zekego na sofie ze Svenskt Tenn. Jej twarz nie zdradza żadnego poruszenia, żadnego smutku ani rozpaczy.

Dopiero co została poinformowana o śmierci brata.

Pani brat został zamordowany.

Można odnieść wrażenie, jakby kobieta wzruszyła ramionami, strzepnęła z siebie jakiś pyłek i poszła dalej. Przecież był twoim bratem, myśli Malin, mimo wszystkich jego wad.

Malin patrzy na obraz Anny Ancher wiszący na krótszej ścianie pokoju, kobieta przy oknie, odwrócona plecami do obserwatora. Przypomina twojego ojca, Katarino, przy oknie wychodzącym na Tradgardsfőreningen, tak jakby oboje za wszelką cenę chcieli ukryć twarz, żeby nie pokazywać reszcie świata, co czują.

To tak się powinno robić? Udawać, że świat wokół i uczucia nie istnieją? A może masz coś innego do ukrycia?

Słyszysz, jak Zeke zadaje pytania, a Katarina Fagelsjő odpowiada.

- Tak, ojciec był tutaj. Pojechał do domu. Ja się położyłam. Nikt nie może tego potwierdzić. A jest taka potrzeba?

- Nie zamordowałam swojego brata, jeśli tak się wam wydaje. Nie stoimy za żadnym morderstwem. Koniec. Kropka. Wrogów? Fredrik był nieszkodliwy. Nie miał żadnych wrogów. Tak, w dniu, w którym umrze mój ojciec, ja odziedziczę 355

większość majątku. Ale już od dawna mam wszystko, czego mi potrzeba.

W ostatnich słowach Katariny Fagelsjő pobrzmiewa ironia, ostra jak brzytwa.

Zekemu skończyły się pytania.

Katarina Fagelsjő splata dłonie na kolanach, pozwalając, by jej palce spoczęły na niebieskim jedwabiu sięgającej do kolan spódnicy. Malin myśli, że ma w sobie ten milczący niepokój spotykany tylko u niektórych bezdzietnych kobiet, melancholijną tęsknotę wyrażającą się brakiem spokoju, ciągłą zmiennością i nagłymi próbami okazania ciepła.

Katarina Fagelsjő marszczy czoło i Malin myśli, że wystarczy jedno dość silne uczucie, by zdefiniować całe ludzkie życie, sprawić, by człowiek spoczął w tym uczuciu, choć ono już nigdy nie wróci.

Inny obraz, na innej ścianie. Samotna kobieta w niebieskiej sukni, namalowana w stylu impresjonistycznym, zwrócona w stronę zamglonego świata za oknem. Ona tęskni, myśli Malin.

- Pani i Jerry Petersson - mówi Malin. - Coś was łączyło, prawda?

Słyszy, jak twarde, niezręczne i nie na miejscu wydają się jej słowa, i widzi, jak twarz Katariny Fagelsjő się wykrzywia.

- Nie jest to chyba najlepsza pora na pani fantazje, pani ko misarz, prawda?

Widzę cię, Malin, jak opuszczasz dom Katariny, a potem jak wchodzisz do komisariatu.

Próbujesz potwierdzić własne słabości w cudzych, zgadza się? Tak bardzo chcesz wierzyć, że możesz złagodzić własny ból samą świadomością, że inni ludzie odczuwają podobnie.

To jest zarozumiałe, Malin.

Ale muszę przyznać, że dobrze to wyczuwasz. Masz odwagę iść za swoimi przecuciami, śladami uczuć, które wciąż jeszcze wiszą w powietrzu, tym, w jaki sposób my, ludzie, oddychamy nawzajem swoją miłością.

Nawzajem pasożytujemy na swojej miłości, Malin. Usiłujemy ją kontrolować, desperacko próbujemy zrozumieć, czego od nas chce. Co mamy zrobić z całą tą miłością, przyjaźnią, strachem i rozpaczą?

Myślałaś, że Katańna odpowie na twoje pytanie?

Albo że ja wyszepeczę ci odpowiedź, teraz, gdy unoszę się z ustami zaledwie parę centymetrów od twojego ucha?

Bynajmniej.

Zwycięstwo nie przychodzi tak łatwo.

Stać cię na coś lepszego, Malin.

Teraz witasz się ze swoim szefem Karimem Akbarem.

Nie mówi ci o tym, ale niedawno odrzucił ofertę pracy w Urzędzie Migracji. Nie mówi też o tym, że czuje się dobrze tu, gdzie jest, gdy patrzy na wnętrze komisariatu i na śledczych, i że podczas rozmyślań nad swoją karierą przytapał się na tym, że ceni ich bardziej, niż zdawał sobie z tego sprawę.

Karim myśli również o książce, którą pisze, o problemach integracyjnych, że odkłada pracę nad nią już zbyt długo.

No i ty, Malin.

Co my z tobą zrobimy?

Co zrobimy z całym tym życiem, które zastygło samo w sobie?

Papierkowy Hades wydaje się dziś bardziej klaustrofobiczny niż kiedykolwiek.

Lovisa, Waldemar i Johan byli w Ostgótabanken i przynieśli dokumenty oraz komputer z biura Fredrika Fagelsjóa, a także jego prywatny komputer i dokumenty z Villa Italia.

Zegar wskazuje wpół do czwartej.

Pod recepcją sępy czekają na jakieś oświadczenie, ale z wyjątkiem komunikatu dla prasy zawierającego nazwisko ofiary nic do tej pory nie dostali. Karim nie chce organizować konferencji prasowej, chce, żeby śledztwo mogło toczyć się spokojnie, przed chwilą powiedział o tym w kafeterii.

Johan przeciera oczy, myśli o żonie, która teraz najprawdopodobniej bawi się z dziećmi w domu.

Papiery Fredrika Fagelsjóa.

Dokumenty Jerry'ego Peterssona. Nie zdążyli jeszcze nawet

przejrzeć jednej dziesiątej papierów Peterssona, a już mają nowy zestaw, z nowego morderstwa.

Mimo że poliś'a milczy, zarówno radio, jak i telewizja poświęcają morderstwu dużo czasu. Przedstawiają profile Jer-ry'ego Peterssona i Fredrika Fagelsjő. Oczywiście na stronie internetowej „Corren” morderstwo jest najważniejszą informacją, wielki artykuł napisany przez tego dziennikarza, z którym, Johan jest przekonany, coś łączy Malin, a przynajmniej od czasu do czasu ze sobą sypiają. Píše, że być może dałoby się uniknąć drugiego morderstwa, gdyby policja była skuteczniejsza i rozwiązała pierwsze. Czy on w ogóle był wtedy w zamku?

Waldemar siedzi przy krótszej stronie stołu i popija kawę z filiżanki. Kawa jest czarna i mocna, a on wygląda na nieskończenie wynudzonego. Wzdycha i jęczy, jakby chciał odwlec rozpoczęcie pracy. Natomiast Lovisa pochyla się z zainteresowaniem nad komputerem Fredrika Fagelsjő, klikając kolejne dokumenty. Może ma nadzieję, że znajdzie jakiś związek między Jochenem Goldmanem a Fredrikiem Fagelsjő?

Waldemar się podnosi, staje za plecami Lovisy i zaczyna masować jej ramiona.

- Lubisz tak, nie? - pyta.

Lovisa wstaje.

Odwraca się do Waldemara. Mówi lodowatym głosem:

- Nie dotykaj mnie. Mam gdzieś, ile młodych poliś'antek molestowałeś w swoim czasie, ale ode mnie się odwal. Zrozumiano?

Waldemar się cofa.

Rozkłada ręce, szczerzy zęby w uśmiechu.

- Co z tobą, maleńka? Nie masz poczucia humoru?

- Dostałem e-mail z Interpolu w Sztokholmie - mówi Sven Sjóman, zbliżając się do biurka Malin.

Początki bólu głowy. Abstynencja, myśli Malin. Ale przynajmniej nie mam kaca.

- Jochen Goldman opuścił Teneryfę - ciągnie Sven. - Trzy

358 dni temu.

- Dokąd pojechał? - pyta Malin.
- Poleciał do Sztokholmu przez Madryt. Ale nikt nie wie, gdzie się udał po tym, jak wylądował na Arlanda.
- A więc to on mógł wsunąć te zdjęcia do mojej skrzynki na listy?
- Mało prawdopodobne. Ale mógł przecież dopilnować, żeby tak się stało. Może łatwiej robić mu to bezpośrednio ze Sztokholmu.
- A więc był w kraju, kiedy zamordowano Fredrika Fagel-sjó - konstatuje Malin.
- Do tej pory nie doszukaliśmy się pomiędzy nimi żadnego związku, ale zobaczymy, co znajdziemy w tych papierach.
- Nie mamy na niego kompletnie nic. Ma prawo robić, co chce. Może te zdjęcia to tylko jakaś porąbana gra.
- Dalej nic z tego nie rozumiem - mówi Sven. - Czego Goldman szuka teraz w Szwecji?
- A kto to może wiedzieć? Ale jestem przekonana, że to Jo-chen Goldman stoi za tymi zdjęciami. To nie może być nikt inny. Aronsson pokazała mi wyniki swoich poszukiwań: żaden z tych, których posadziłam i którzy mogliby chcieć się zemścić, nie wyszedł ostatnio na wolność.
- Sven wciąga brzuch, mówi jej, że za pięć minut zaczyna się spotkanie.
- Teraz musimy się postarać, żeby do czegoś dojść, Malin. A sępy przy wejściu żądają szybkich rezultatów.

Zmęczeni poliŃanci wokół stołu w pokoju spotkań.

Słowa rzucane w przestrzeń. Podsumowania i nowe pomysły. Śledztwo, które kręci się w miejscu, a każda rozmowa i wymiana poglądów grozi tym, że do głosu dojdą emocje zamiast logiki.

Plac zabaw przy przedszkolu jest pusty.

Sven Sjóman podsumowuje sytuację:

- Dalej pracujemy nad dokumentami Peterssona. Wciąż nie pojawiło się nic godnego uwagi ani żaden krewny czy jakaś osoba z jego życia. Nie znaleźliśmy też narzędzia zbrodni, 359

|

którym najprawdopodobniej był nóż. Musimy dalej przyglądać się związkowi Peterssona z rodziną Fagelsjów, a zwłaszcza z Fredrikiem i Katariną. Musimy spróbować dowiedzieć się więcej o jego wspólnych sprawach z Jochenem Goldmanem. Będziemy się też dalej przyglądać okolicznościom związanym z wypadkiem samochodowym. - Potem Sven milknie. Patrzy na Lovisę Segerberg.

- Coś nowego? Ona kręci głową.

- Na razie nic nowego.

-To cholernie dużo papierów - syczy Waldemar Ekenberg. - Mam wrażenie, że do niczego nie dojdziemy.

- Wejdźcie w to jeszcze głębiej - mówi Karim Akbar, a Malin myśli, że brzmi to tak, jakby próbował przekonać samego siebie, a nie podległych mu dochodzeniowców. - Musimy kontynuować. Wciąż do niczego nie doszliśmy.

- Masz całkowitą rację - stwierdza Malin.

- Media oszalały. Za dwie godziny jest konferencja prasowa.

- Jeszcze te zdjęcia twoich rodziców, które dostałaś. Zakładamy, że za tym stoi Goldman - dodaje Sven.

Malin próbuje nie słuchać, gdy opowiada dalej o zdjęciach.

Później omawiają postępy drugiego śledztwa w sprawie morderstwa Fredrika Fagelsjów, mówią o tym, że Axel i Katariną Fagelsjów mają wątpliwe alibi i że teściowie Fredrika Fagelsjów potwierdzili alibi jego żony.

- Sprawcy większości morderstw wywodzą się z rodziny - mówi Waldemar. - Axel i Katariną mieli przecież świetny powód, by chcieć się pozbyć czarnej owcy po tych spieprzonych interesach. A może się bali, że słaby Fredrik załamał się i ich wyda?

- Naprawdę myślisz, że to zrobili? - pyta Malin. - Że zamordowali własnego syna i brata? Z jakiegokolwiek powodu?

- Nawet jeśli Axel i Katariną nie zrobili tego sami, to mogli przecież dopilnować, żeby tak się stało. To dotyczy obu morderstw.

- W tak spektakularny sposób? - pyta Zeke.

360 ~ Żeby odwrócić uwagę - wyjaśnia Waldemar.

- Musimy po prostu dalej nad tym pracować, w każdy możliwy sposób. Wygląda na to, że to w tej chwili nasz główny trop. Na początek spróbujcie sprawdzić poczynania rodziny i billingi z ich komórek - nakazuje Sven.

- A maile? - pyta Johan.

- Musielibyśmy im skonfiskować komputery. Zaczniemy od billingów. To można przynajmniej w tej chwili uzasadnić.

- Za wcześnie na komputery - dodaje Karin. - W sumie to nie mamy na nich nic konkretnego.

- Dziś znów pukaliśmy do wszystkich drzwi w okolicy zamku i w pobliżu willi Fredrika Fagelsjő, gdzie najprawdopodobniej się znajdował tego wieczoru, gdy został zamordowany. Ale nikt niczego nie zauważył. No i tym razem Linnea Sjóstedt dała sobie spokój z dubeltówką - mówi Sven.

Wszyscy się śmieją.

- A raport Karin? - pyta po chwili Zeke.

Sven kiwa głową.

- Szybko się uwinęła. Już do nas trafił, a nie dopiero jutro, jak początkowo mówiła. Fredrik Fagelsjő zmarł wskutek uderzenia w tył głowy. To był tępy przedmiot, kamień albo coś podobnego. Mocne uderzenie, ale nie na tyle mocne, by można było wykluczyć, że sprawcą jest kobieta. I tak jak mówiła już na miejscu zbrodni, nie sposób ustalić, czy sprawca jest praw- czy leworęczny. Nie było dużo krwi, ale uderzenie spowodowało masywny krwotok w mózgu, od którego musiał natychmiast stracić przytomność. Śmierć nastąpiła mniej więcej między dwudziestą drugą w czwartek wieczorem a drugą w nocy, co zasadniczo daje alibi Axelowi i Katarinie Fagelsjő, jeżeli nie zrobili tego w zмовie. Axel rzekomo wyszedł od swojej córki dopiero około drugiej w nocy.

- Goldman - wtrąca Zeke. - On mógł tam być.

Sven robi przerwę, a potem mówi dalej:

-Fredrik Fagelsjő został najprawdopodobniej rozebrany w kaplicy, już po śmierci. Na ciele nie było ziemi ani innych zanieczyszczeń, co wskazuje na to, że nie rozebrano go w jakimś innym miejscu. Nie znaleźliśmy jednak żadnych ubrań. Poza tym Karin znalazła na ciele takie same włókna materiału,

jakie były na posadzce w kaplicy. Mogą pochodzić z ubrania mordercy, prawdopodobnie ze zwykłych dżinsów.

- Czy Karin potrafi stwierdzić, czy został tam zabity? - pyta Zeke.

- Ślady krwi w kaplicy pochodziły od Fredrika Fagelsjo, ale nie da się ustalić, czy to tam zadano mu cios.

- Czyli chcesz przez to powiedzieć - Malin odchrząkuje - że ktoś mógł zabić Fredrika Fagelsjo w jego willi i przenieść ciało do kaplicy, ale że jest również możliwe, że został zamordowany w jakimś innym miejscu i przeniesiony do kaplicy albo że ktoś zmusił go, by poszedł do kaplicy, i tam go zabił?

-Tak.

-Albo że znajdował się w kaplicy lub w pobliżu zamku z własnej woli i ktoś go tam zaskoczył. Albo że się z kimś tam umówił. To nam daje kilka tysięcy różnych możliwych scenariuszy. Zakładam, że technicy sprawdzili Villę Italia? - pyta Malin.

- Technicy nie znaleźli żadnych śladów przemocy ani w willi, ani w jej pobliżu - wyjaśnia Sven. - Ale na wzgórzu koło stodoły było mnóstwo kamieni, które mogły posłużyć jako narzędzie zbrodni. Ale ponieważ przez co najmniej dziesięć godzin bez przerwy padało, wszystkie ewentualne ślady i tak uległyby kompletnemu zniszczeniu.

- A wokół zamku? W kaplicy? - pyta Zeke.

- Drzwi nie były zamknięte na klucz - odpowiada Malin. - Rodzina Fagelsjo na pewno miała dostęp do kluczy. Z drugiej strony morderca mógł przecież użyć kluczy ofiary, jeśli Fredrik miał je przy sobie.

- Nie znaleźliśmy żadnych kluczy - stwierdza Sven Sjö-man. - Musimy zapytać Christinę Fagelsjo, czy wie, gdzie są klucze jej męża.

- Może i na miejscu zbrodni nie było żadnych dowodów rzeczowych - mówi Malin - ale na pewno to miejsce może nam coś powiedzieć. Leżał na tym grobie jak jakaś ofiara. Rodowa ofiara? Czy to może być jakiś staronordycki sposób,

362 żeby odzyskać honor rodu?

- Dlatego właśnie skupiamy się na żyjących członkach rodziny - mówi Karim.

- A jeśli ktoś chce, żebyśmy się przyjrżeli rodzinie Fagelsjo? - pyta Malin, żeby jeszcze raz wyrazić wątpliwości, jakie czuła na miejscu zbrodni.

- To znaczy, żeby chronić samego siebie? - pyta Zeke.

- Naciągane - stwierdza Waldemar. - Ale może to Fredrik Fagelsjo zamordował Peterssona, a teraz ktoś, kto o tym wiedział, chce pomścić to morderstwo? Kto mógłby chcieć pomścić śmierć Peterssona?

- Jego ojciec - mówi Johan.

- Ale on jest stary i raczej nie miałby możliwości zaaranżować czegoś takiego - odpowiada Malin.

- Kto lubił Peterssona? - pyta Sven.

- O ile wiem, to nikt - mówi Zeke.

- Myślę, że Katarina Fagelsjo bardzo go lubiła - mówi Malin.

Zebrani milkną, patrzą z wyczekiwaniem w jej stronę.

Malin rozkłada ręce.

-To tylko przecucie, dobra? Pozwólcie mi dalej myśleć. Chcę się jedynie wyrwać z tego pieprzonego krążenia w kółko, które wciąż uprawiamy.

- Spróbuj podać jakieś fakty, Malin - naciska Karim. - Nie mamy czasu na przecucia.

Malin próbuje skupić wzrok na białej tablicy, na notatkach Svena, uporządkować słowa, linie, kolory.

Ale wszystko jej umyka, całe to śledztwo jest jak paleta wymieszanych barw, jak jakaś szara masa.

-Żaden z nich raczej nie był Mister Popularity - mówi Zeke. - Fagelsjo się nie udało. A Petersson był *smali pig turned big swine*, jeśli zapytasz ludzi o zdanie.

Siedzicie tam, w tym waszym przygnębiającym pokoju, i próbujecie odstąpić prawdę.

/a big swine?

Może i byłem kiedyś wielką świnia, jeśli chodzi wam o to, że byłem bezwzględny w interesach.

Ale jak myślicie, skąd się wzięła moja bezwzględność?

Dlaczego przerażałem pozostałych wspólników tej wspaniałej kancelarii adwokackiej do tego stopnia, że wyrzucili mnie na ulicę, choć przynosiłem firmie więcej pieniędzy niż którykolwiek z nich?

Dlaczego przegrałem w konkursie popularności?

Ten, który stoi samotnie w biurze na Kungsgatan, tuż przy Stureplan, i czuje, jak powiew z nowo zainstalowanej klimatyzacji pieści jego twarz, w ogóle się o to nie troszczy. We wszystkich sprawach, z wyjątkiem jednej, patrzy w przyszłość.

SZTOKHOLM, 1997 i PÓŹNIEJ

Jerry czuje, jak chłodne powietrze pieści jego policzki. W dole, pod nim, po drugiej stronie dopiero co umytego okna kancelarii, Kungsgatan wije się w słońcu późnego lata w stronę Stureplan, w Humlegarden czerwone kosiarki poruszają się po zmęczonej trawie, ich noże wciąż są w jego snach, nośniki czegoś, co, jak sądzi, pozostawił za sobą. Te noże zmuszają go, żeby parł naprzód, nie pozwalają mu odpocząć, ale wie, że kiedyś będzie musiał stawić im czoło.

Jest tutaj z powodu pieniędzy, w każdym razie tak mu się wydaje, albo po to, żeby lepiej się prezentować w barze na najwyższym piętrze Sturehof. Nie wie tego i w ogóle się tym nie przejmuje.

Kartony po przeprowadzce stoją wciąż nierozpakowane; dopiero co rozmawiał z pierwszym klientem Petersson Advokat AB. Jochen Goldman potrzebował pomocy przy ustanowieniu zabezpieczenia kapitałowego w Liechtensteinie.

Ten pokój. Jego czyste linie, wolne od brudu, możliwość tworzenia własnej rzeczywistości. Sofa w kącie obita lśniąca, białą tkaniną.

Klienci wchodzą i wychodzą z tego pokoju. Ludzie, autobusy i samochody przemierzają się Kungsgatan we wszystkich porach roku, młody człowiek, który dopiero co skończył dwadzieścia lat, siedzi naprzeciwko dojrzałego mężczyzny 365

i opowiada o pewnym pomysle, możliwości, zaawansowanej technologii, która może być przydatna w nowej sytuacji gospodarczej.

Jerry'ego bawi ten młody człowiek, daje mu na jego pomysł dwa miliony i trzy lata później, rok po zamordowaniu Anny Lindh, firma zostaje sprzedana, a mężczyzna w pokoju przy Kungsgatan jest o kilkaset milionów bogatszy.

Większe mieszkanie na najwyższym piętrze budynku z przełomu wieków, przy parku Tegnerlunden; tutaj dzieła sztuki są na właściwym miejscu, to jedyne, co sobie kupuje. Mógł je kolekcjonować już od dawna, ale zabiera się do tego dopiero teraz.

Wspomnienie balustrady balkonu, na której można balansować, park, jak złudzenie życia, które kiedyś było jego życiem, jaskółki, które przelatują blisko, ale nieskończenie daleko od swoich cieni.

Czasami mu się wydaje, że widzi ją w innych. Jej włosy, ruchy, jakiś zapach. Dowiaduje się na bieżąco o tym, co dzieje się w jej życiu, ma swoje sposoby, ale nigdy się do niej nie zbliża. Wierzy, że to, co czuje, zniknie wraz z upływem lat, ale nie, to jest coraz bliżej i bliżej.

Zamiast tego poznaje je wszystkie.

Podstarzałe „poszukiwaczki złota” polujące na bogatych facetów w Sturehof, ich smutne, zwiotczałe ciała, rosyjskie dziwki w Bandhagen, przypadkowy seks, który może się przytrafić niemal wszędzie, ciało przy ciele, mocno i szybko, być może ramiona splecione na wezgielciu łóżka. Czasami udaje, że to ona, daje im jej twarz, ale już nie wie, jak wygląda, stała się dla niego zamazanym wspomnieniem.

I wtedy dzwoni jego znajoma, agentka z biura nieruchomości, która pomogła mu znaleźć mieszkanie przy Tegnerlunden, mówi, że na sprzedaż jest zamek na południowy zachód od Linköpingu, nie jesteś przypadkiem z tamtych stron, może byłbyś zainteresowany?

Wspomnienie znów staje się wyraźne. 366

Wciąż jest w jego ciele.

Stoi we wszystkich pokojach, które należą do niego, i czuje te chłodne dłonie, które kiedykolwiek pieściły jego policzki czy piersi. Czuje, że to właśnie tam zawsze zmierzał, tam pojedzie, może jakiejś mrocznej jesiennej nocy, pełnej płynnej ciemności.

Ale pojedę tam.



Ax

el Fagelsj3 wyjął album ze zdjęciami ze starej dębowej szafy w jadalni, teraz siedzi w swoim skórzanym fotelu i przesuwa palcami po plastikowych kieszonkach z czarno-białymi fotografiami.

Bettina trzymająca w ramionach dzieci, jeszcze za małe, żeby chodzić do szkoły, przed kaplicą.

Katarina nad jeziorem, z piłką plażową.

Fredrik wahający się przed grządką truskawek.

Zdjęcie pracowników. Mężczyźni i kobiety, którzy dla mnie pracowali. I ten skończony kretyn, który wjechał traktorem w drzwi kaplicy, tak że trzeba je było wymieniać.

Na jednym ze zdjęć Fredrik i Katarina biegną po łące w stronę lasu. To ty zrobiłaś to zdjęcie, prawda, Bettino?

Czy on jest teraz z tobą, Bettino? Czy Fredrik jest u ciebie?

Zamyka oczy. Czuje się bardziej znużony niż kiedykolwiek w życiu. Chce mieć przy sobie syna. Porozmawiać z nim. Powiedzieć coś miłego.

I wtedy w jego głowie pojawia się pustka, wszystkie myśli milkną i Axelowi Fagelsj3 wydaje się przez chwilę, że umrze, że jego serce albo jakieś naczynie w mózgu nie wytrzymało, czuje swój oddech. Chce otworzyć oczy, ale pozostają zamknięte.

Wydaje mu się, że słyszy głos Fredrika:

Widzę cię w fotelu w salonie, ojczec.

Widzę siebie samego na zdjęciach w albumie. I muszę powiedzieć, że tęsknię za tym czasem, kiedy byłem mały i nie 368 wiedziałem, jakie jarzmo nakłada historia na takich jak ja.

Byłem wtedy mały, ale pamiętam tych pracowników ze zdjęcia.
Ze nazywałeś ich parobkami, służącymi.
I że bywałeś skłonny do przemocy wobec nich.
Teraz jesteś sam, tato, ale tego nie rozumiesz.
Odkup Skogsa. Znow tam zamieszkaj.
Siedź teraz w swoim mieszkaniu i rozglądaj się dookoła, zobacz
mamę, mnie i Katarinę na tych czarno-białych zdjęciach.
Nigdy nie zrozumiesz, tato, że jedyne trzy rzeczy, które coś
znaczą, to narodziny i miłość.

A trzecia?

Trzecia to śmierć, tato. Śmierć.

To tam teraz jestem. Chcesz do mnie dołączyć?

Z tymi słowami głos milknie, a myśli znow napełniają głowę
Axela Fagelsjóa, pragnie przywołać ten głos, ale wie, że już znikł i
nigdy nie powróci. Zostały zdjęcia. Panoszą się w albumie jak
zepsuty film.

*Nie słyszysz mnie, ojczu, prawda? Nie widzisz mnie, Fredrika, wi-
dzisz mnie tylko na zdjęciu. Czy w ogóle mnie oplakujesz? A może
oplakujesz tylko własne niedoskonałości, to, że nie potrafisz zrozu-
mieć samego siebie?*

*Jeszcze nie jest za późno, ojczu. Masz Katarinę. Masz wnuki.
Christina chętnie wpuściłaby cię do swojego i ich życia, gdybyś tylko
najpierw trochę ustąpił i dał jej do zrozumienia, że naprawdę jest
tego warta.*

Żeby to nie była tylko taka pozorna uprzejmość.

*Musisz stać się większy niż twój instynkt. Musisz stać się dorosłym
człowiekiem, bo w przeciwnym razie będziesz samotny. Musisz
zrozumieć, że my, ci, których stworzyłeś, jesteśmy tacy, jacy jesteśmy,
i nic nie możesz na to poradzić.*

I jeszcze jedno, ojczu.

*Powinieneś o tym wiedzieć: zawsze próbowałem dawać z siebie
wszystko.*

Unoszę się za tobą, Fredriku, jesteś tak samo zdezorientowany i kompletnie samotny po śmierci, jak za życia.

Mgła gęstnieje wokół lasów, wokół miasta i zamku.

Co się dzieje pod jej osłoną? W przestrzeni między tym, co widzimy, a tym, co słyszymy?

Na posterunku Lovisa Segerberg i Waldemar Ekenberg brną dalej przez papiery i dokumenty elektroniczne, próbują się dowiedzieć, kim byliśmy, co się kryje w tym, co pozostało z naszego życia.

Zeke Martinsson rozmawia przez telefon ze swoim synem Martinem.

Nie mają sobie zbyt wiele do powiedzenia, ale pyta o wnuka.

Johan Jakobsson wrócił do domu, do swoich dzieci i zmęczonej żony.

Karim Akbar pokłócił się właśnie przez telefon ze swoją byłą żoną.

Sven Sjomán je ostatnie w tym roku kiszone ogórki z własnego ogródka, patrzy na kobietę, z którą przeżył życie i którą nadal kocha.

Bór je Svard jest w ogrodzie i próbuje wyjąć patyk z pyska Howiego, a w wielkiej sypialni ich domu jego żona Anna trzyma się życia najmocniej, jak potrafi, butle z tlenem syczą przy jej łóżku.

Teraz jestem bardzo blisko ciebie, Fredriku, unoszę się tuż obok. Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że mogłeś stanąć po mojej stronie tego popołudnia, wieczoru i nocy?

Widzisz Malin Fors, tam, w dole.

jest szczęśliwa.

jest u niej Tove. W końcu jednak przyszła. Zjedzą razem kolację, zamówioną pizzę. Będzie tam spała dziś w nocy.

Matka i córka. Razem. Tak jak powinno być.

I ove jednak przyszła.

Siedzi naprzeciwko Malin przy stole w kuchni. Malin jest zmęczona pracą, myśleniem, pićciem i niepićciem, zmęczona całym tym pieprzonym deszczem. Czy możesz sprawić, bym znów poczuła się różnie, Tove?

Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek. Jesteś jedynym, co czyste, jasne i bez skazy w moim życiu. Kiedy zadzwoniłaś i powiedziałaś, że możesz przyjść na kolację, krzyknęłam z radości do telefonu, a ty mnie uciszałaś, uważałaś, że zachowuję się żenująco.

Tik-tak.

Słychać, jak zegar z Ikea odmierza sekundy, choć jego wskazówki odpadły. Zepsuta lampa nad zlewem mruga co dwadzieścia sekund.

Jak to możliwe, Tove, że wyglądasz na starszą, bardziej dorosłą, choć upłynął zaledwie tydzień?

Napięta skóra na kościach policzkowych, ostrzejsze rysy, oczy takie same, a jednak obce. Z tą pozorną dorosłością jest jej do twarzy.

- Tęskniłam za tobą - mówi Malin, a Tove patrzy w dół, na pizzę, upija łyk ze swojej szklanki z wodą.

Pizza na wynos.

Nie dała rady zrobić zakupów, nie miała nic w domu, a Tove przecież lubi pizzę, bardzo lubi.

Tove grzebie widelcem w pieczarkach.

- Coś nie tak z pizzą?

-Nie.

- Przecież zawsze lubiłaś pizzę.

- Pizza jest w porządku.

- Ale nie jesz.

- Mamo, to jest za tłuste. Dostanę pryszczki, będę gruba. W zeszłym tygodniu miałam krostę na brodzie.

- Nie masz do tego predyspozycji. Ani ja, ani tata...

- Nie mogłaś czegoś ugotować?

I Tove patrzy na nią, jakby chciała powiedzieć: Wiem, co się z tobą dzieje, mamo, wiem, jak to jest być dorosłym, nie próbuj mnie okłamywać ani wmawiać mi, że dajesz sobie radę.

Malin dolewa sobie wina z kartonu, które kupiła w drodze do domu parę dni temu. Trzeci albo czwarty kieliszek, nie, piąty, i widzi, że córka marszczy nos.

- Dlaczego musisz pić dziś wieczorem? Skoro przyjechałam do ciebie, tak jak chciałaś?

Jej pytanie jest tak oczywiste i bezpośrednie, że zaskakuje Malin.

- Świątuję - odpowiada. - Że tutaj jesteś.

- Masz problemy.

- Nie mam problemów.

- Masz. Jesteś alkoholiczką.

- Co powiedziałaś? Tove milczy, grzebie w pizzy.

- Musisz zrozumieć jedno, Tove. Czasami piję. Ale nie jestem żadną alkoholiczką. Zrozumiano?

Oczy dziewczyny pochmurnieją.

- W takim razie, po co pijesz?

- Nie o to chodzi - mówi Malin.

- No to o co?

- Jesteś za młoda, żeby to zrozumieć. Teraz w oczach Tove widać zniesmaczenie, a Malin chce

zetrzeć ze swojej twarzy wstyd, wyryć sobie na czole słowa: „Masz rację, Tove”. Jedną jej ręką zaczyna się trząść i Tove wbija spojrzenie w tę rękę, wydaje się wystraszona, nic nie mówi.

- Jak tam w szkole? - pyta po chwili Malin.

- Tata mówi, że ty...

372 - Co mówi?

-Nic.

- Powiedz, co mówi.

Jej głos jest zbyt rozdrażniony przez to całe zmęczenie, a lampa nad zlewem mruga dwa razy, nim znów zaczyna świecić równym światłem.

-Nic.

- Zmawiacie się przeciwko mnie, prawda?

Tove nawet nie kręci głową.

- Nastawia cię przeciwko mnie - rzuca Malin.

-Jesteś pijana, mamo. To tata uważał, że powinnam tu przyjechać.

- Więc sama nie chciałaś przyjeżdżać?

- Jesteś pijana.

- Nie jestem pijana i piję tyle, ile chcę. -

Powinnaś...

- Wiem, co powinnam. Powinnam wypić cały ten pieprzony karton. Postanowiłaś mieszkać u taty, tak? Zgadza się? - Tove bez słowa wpatruje się w Malin, a ona krzyczy: - Zgadza się?! Przyznaj się!

Malin wstała i patrzy na swoją córkę ze złością, ale równocześnie błagalnie.

Tove podnosi się z kamienną twarzą i mówi spokojnie, patrząc matce prosto w oczy:

- Tak, zdecydowałam się. Tutaj nie mogę mieszkać.

- Oczywiście, że możesz. Czemu miałabyś nie móc?

Tove idzie do przedpokoju i wkłada kurtkę. Otwiera drzwi i wychodzi.

Malin w przedpokoju dopija duszkiem wino. Potem, gdy słyszy kroki na schodach, ciska kieliszkiem w ścianę i woła za córką:

- Poczekaj! Wracaj! Tove! Wracaj!

Tove biegnie Storgatan w stronę Stangan. Mija supermarket Hemkóp i kępielnię, czuje na twarzy wiatr i krople deszczu, chłód jest przyjemny, rozprasza myśli, a mokry deszcz sprawia, że nie widać łez na policzkach.

Cholerna mama. Cholerna, pieprzona mama. Myśli tylko o sobie.

Tata dziś wieczorem pracuje. Musiałabym być sama w domu. Ale mam wystarczająco dużo odwagi, chcę tego, powinnam była tak zrobić.

Mam nadzieję, że jest teraz w remizie. Cholerna mama.

Serce roszadza jej piersi, chce się wyrwać, uciska żołądek. Tove marzy, żeby uciec od tej jesieni i tego pieprzonego, zasranego miasta.

Tam dalej, po drugiej stronie mostu, widzi remizę. Połyskuje w świetle wysokich, dużych, żółtych latarni ulicznych.

Wbiega do remizy.

Gudrun w recepcji poznaje ją, wygląda na wystraszoną, pyta:

- Tove, co się stało?

- Jest tu tata?

- Jest na górze. Idź do niego.

Pięć minut później leży w ciemności, z głową na kolanach taty, na łóżku w jego pokoju. On głaszcząc ją po policzku, mówi, że wszystko się ułoży.

W tym momencie zapala się światło, zaczyna wyc alarm.

- Cholera - mówi tata. - Pewnie znowu jakieś zalanie. Muszę jechać. Nie chcę, ale muszę.

- Zostanę tutaj - mówi Tove, kiedy tata całuje ją w policzek.

Po chwili w pokoju jest ciemno i cicho. Próbuje nie myśleć o niczym. Widzi samą siebie stojącą w ciemności na skraju ogromnej równiny. Nie ma mapy, nie widać żadnych świateł, a jednak wie, że da sobie radę. Po prostu wie, co ma robić, ta pewność jest w niej jak dźwięk, dźwięk całkowicie pozbawiony dziecinnego brzmienia.

Wzrok zamglony od taniego wina.

Malin leży w swoim łóżku, słyszy krople deszczu uderzające zawzięcie w szybę za opuszczoną żaluzją.

Dzwoniła do Tove, ale komórka była wyłączona.

Zaciska powieki.

Przed jej oczyma unoszą się twarze.

Tove. Mamy. Taty. Jannego.

Idź sobie, Tove. Mieszkaj, gdzie chcesz. Nie obchodzi mnie to.

Nie może znieść ich szyderczych uśmiechów, więc mruga, odpycha ich od siebie, a potem widzi twarz Daniela Hógfeld-ta, jego usta są wilgotne i czuje wilgoć między nogami, pijacka żądza, trudno jej się oprzeć, ale nie jest to niemożliwe, a potem widzi Marię Murvall krążącą po swoim zamkniętym pokoju.

Fagelsjó.

Martwi i żywi, pozbawieni duszy.

Jochen Goldman.

Wygłupy Waldemara, jego marudzenie.

Matka Andreasa Ekstróma. Matka Jaśmin Sandsten w innym smutnym pokoju.

Jonas Karlsson. Szantażowałaś Peterssona o pieniądze? Chciałeś być taki jak on? Ale ponieważ najprawdopodobniej jest tylko jeden morderca, nie możesz nim być. Sprawdzaliśmy, masz świetne alibi na noc, gdy popełniono drugie morderstwo.

Anders Dalström, przyjaciel Andreasa Ekstróma. Czy mógł się dowiedzieć, kto prowadził, i zemścić się za utraconego przyjaciela?

Fredrik Fagelsjó. Jak to wszystko się ze sobą wiąże? Nici życia śpiewają w ciemności, czarne ptaki krzyczą, siedząc na nich w deszczu.

Łóżko, cały świat wiruje wokół niej. Co mi umyka? - myśli. Czego nie mogę dostrzec?

Ile wina wypiałam? Dwa kieliszki? Czy pięć? Pewnie mogę prowadzić. Jasne, że mogę. I chyba żadnych kolegów nie ma w tej chwili na patrolu.

Wysiadasz z samochodu na zamkowym wzgórzu, Malin.

Piękny zamek, ale twój pijacki wzrok tego nie ogarnia.

Ten zamek nigdy nie mógł być mój, ale chciałem mieć coś, co -jak wierzyłem -znajdowało się tutaj.

Zielone latarnie są zgaszone. Kotyszą się wzdłuż fosy, uwięzione dusze jeńców wojennych szepczą, ich usta płoną.

Miałaś szczęście, kiedy tu jechałaś.

Żadnych nieszczęśliwych wypadków, żadnych pieszych, których można przejechać, żadnego patrolu, który poprosiłby cię, żebyś dmuchnęła w alkomat.

Współczuję ci, Malin. Ty smutna ruino człowieka, która nie daje sobie rady nawet z miłością do własnej córki.

Wrota zamku są zamknięte.

Malin wzięła z sobą wódkę, którą kupiła razem z kartonem wina, pije prosto z butelki, obchodząc zamek i idąc w stronę kaplicy.

Krople deszczu zdają się zeskakiwać z nieba jak z płonącego drapacza chmur.

Cienka bawełniana kurtka, którą z jakiegoś powodu włożyła, szybko przemaka na wylot, jest jej zimno i kaszle, idzie szybkim krokiem wzdłuż ciemnego skraju lasu, w stronę budynku.

Syn, zamordowany i położony nagi na rodzinnym grobie. Nowobogacki w fosie. Przywileje. Zaprzeczenie. Degeneracja i impreza w jakąś zimną sylwestrową noc. Historia niczym szybkożar dla ludzkich dusz.

Drzwi do kaplicy są zamknięte. Nie ma klucza, więc staje pod sklepieniem przy wejściu, przez szczelinę widać ikony, ale nie patrzy na nie ani na miejsce, gdzie leżały zwłoki. Pije z butelki, dwa rozgrzewające łyki, i tęskni za słodkim, pełnym niuansów smakiem tequili.

Ale ordynarny smak wódki lepiej pasuje do tej chwili.

Las za kaplicą zdaje się poruszać. Wije się w nim zło. Malin się zdaje, że we wszystkich oknach zamku palą się światła, trupie czaszki szczerzą zęby w otworach strzelniczych, śmieją się z jej niedoskonałości, wiedzą, że śmierć i martwi zawsze zwyciężają.

Co ja tutaj robię?

Szukam jednej prawdy. Uciekam przed inną.

Rzuca butelkę po wódce do fosy.

Znów jest w niej woda.

Czarna woda żarłocznie połyka szkło. Nie ma już ryb.

W dole szczeliny między kamieniami lśnią na zielono. Skąd płynie to światło?

Czuje, że traci kontakt z otoczeniem, ale deszcz nie pozwala jej się oderwać od rzeczywistości, robi kilka okrążeń wokół zamku, żeby trochę przejaśniło jej się w głowie, a potem wsiada do samochodu i czeka, słucha muzyki z radia, otępiających, monotonnych melodii, od których niemal zasypia. Patrzy w stronę lasu. Między drzewami znów są młode węże, ledwo dostrzegalne w ciemności. Są tam postacie, ale nie słyszy ich głosów. Może powiedziały już wszystko, co chciały?

- Nie boję się was! - krzyczy Malin w stronę lasu. - Cholerne węże.

Zamyka oczy, a gdy znów je otwiera, węży nie ma. Pozostała tylko ciemność. Malin niemal tęskni za pełzającymi zwierzętami, nie chce być sama, bez nich. Wtedy słyszy odgłos kosiarki i tupot stóp, które próbują uciec przed jej ostrzami.

Zatyka sobie uszy i dźwięk znika.

Kiedy kilka godzin później przekręca kluczyk w stacyjce i zostawia za sobą zamek, zjawy i dusze, czuje się niemal trzeźwa.

Mija pole, na którym musiało dojść do tamtego wypadku. Zatrzymuje się, ale nie wysiada.

Jest tak, jakby ciemność i deszcz przywoływały postacie z przeszłości, czarne dusze, które wciąż jeszcze poruszają się po trawie, mchu i kamieniach, jakby próbowały uciec przed tym, czym są.

Jedzie dalej.

Przyspiesza.

Przed wjazdem do Sturefors stoi trójkąt. Sto metrów za trójkątem oświetlony, pomalowany pojazd.

Napakowany policjant w mundurze, którego nie zna, macha do niej, żeby zjechała na bok.

Ma ochotę dać gaz do dechy.

Zrobić tak jak Fredrik Fagelsjő.



Uciekać.

Ale zatrzymuje się.

Kiedy opuszcza szybę, policjant unosi brew, patrzy na nią zatroskanym wzrokiem.

- Inspektor Fors - mówi. - Co pani tu robi o tej porze?

Jest maską, myśli Malin. Gadającą maską, o cienkiej skórze napiętej na kościach policzkowych.

Policjant marszczy czoło.

- Niestety, muszę panią prosić, żeby pani w to dmuchnęła.

SOBOTA, PIERWSZY LISTOPADA

INieubłagany Sven Sjóman stoi za drzwiami swojego biura, przed chwilą zamknął je z trzaskiem za sobą, po tym jak przywiózł Malin z jej mieszkania. Siedziała tam ubrana w swoją najbardziej pruderyjną, białą bluzkę, którą nawet specjalnie rano wyprasowała. Malin nie wie, dokąd wczoraj poszła Tove, na pewno wsiadła w pierwszy autobus do Malmslatt. Jeszcze nie zdążyła sprawdzić, co słychać u niej i u Jannego, nie chciała ich budzić w sobotni poranek, odpowiadać na kłopotliwe pytania; gdyby Tove nie dotarła do domu, Janne na pewno by zadzwonił. Przecież nigdy nie było mowy, że córka miała u niej nocować, chociaż Malin tego właśnie chciała. A może jednak? Nie rozmawiała z Jannem przed przyjazdem Tove, uznała, że na pewno musieli ze sobą rozmawiać. Powinnam do nich zadzwonić. A jeśli nie wróciła do domu?

Spojrzenie Svena.

Najpierw muszę się z nim zmierzyć.

Wie, że tam pojechałam.

A kiedy myśli o ucieczce Tove, ma ochotę zrzygać się na samą siebie, znaleźć się tysiąc kilometrów dalej i już nigdy nie wrócić.

Zegar na ścianie w biurze Svena pokazuje parę minut po dziesiątej, dziś rano nie ma spotkania grupy śledczej, bo ostatnie odbyło się wczoraj po południu, a poza tym jest sobota.

I oczywiście czeka ich sobotnia praca nad dwoma świeżymi, nierozwiązanymi morderstwami.

Sven patrzy na Malin przez długą chwilę, a potem mówi podniesionym głosem:

- Mam nadzieję, że rozumiesz, w jakiej sytuacji nas wszystkich stawiasz. I siebie też.

Malin ma ochotę wstać, nawrzeszczyć na niego, że ma to gdzieś, że nie prosiła o żadne tuszowanie sprawy, ale się powstrzymuje, żałuje, żałuje wszystkiego i teraz chce zachować to, co jeszcze należy do niej.

- Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

- Półtora promila, Malin. Prowadziłaś po pijanemu. Najpewniejszy objaw alkoholizmu. Co ty tam, do diabła, robiłaś?

- Nie jestem alkoholiczką.

- Nie wiesz, kim jesteś ani co robisz.

- W takim razie możesz mnie zaskarżyć. Zgłoś to.

- Nie wiesz, co mówisz. Nie tylko ja ryzykuję pracę z twojego powodu.

W głosie Svena nie ma tego opiekuńczego tonu co zwykle, w tej chwili wydaje rozkazy i oczekuje od niej, że weźmie na siebie odpowiedzialność, zrobi to, co musi.

Wczoraj w nocy, kiedy wracała z zamku, dmuchnęła w alkomat, a ten zabarwił się na jaskrawoczerwony kolor.

A napakowany policjant i jego kolega spojrzeli po sobie, zadzwonili gdzieś, tak jakby działo się coś ważnego, jakby chcieli coś załatwić, i powiedzieli jej, że rozmawiali ze Svenem i obaj są gotowi udawać, że to się nigdy nie zdarzyło. Miała ochotę powiedzieć im, żeby poszli w diabły, w tę zimną, deszczową ciemność, ale chociaż była pijana, siedziała cicho, wiedziała, czym ryzykują i że to musi się klócić z ich poczuciem sprawiedliwości.

Ale poczucie solidarności w policji, poczucie przynależności, jest silniejsze. A może to poczucie, że stoi się ponad prawem?

- Każdy popełnia błędy - powiedział jeden z policjantów.

Zawieźli ją do domu i odprowadzili jej samochód, powie dzieli, że tego właśnie chciał Sven, a ona obudziła się na czas, 380 z lekkim tylko kacem, i czekała, aż Sven po nią przyjedzie.

- Próbowałam wsłuchać się w głosy - mówi, a Sven podchodzi do biurka, siada na krześle i patrzy na nią.

- W jakie głosy, Malin?

- Głosy w tym śledztwie. Te, o których często mówisz. One są tam, przy zamku, tam jest prawda, wiem o tym, tylko nie potrafię usłyszeć tych głosów.

- Ach tak, głosy.

- Tak, twoje głosy. Te, o których wszystkiego mnie nauczyłeś.

Sven mruczy coś pod nosem i Malin się zastanawia, czy zaraz porówna ją z Fredrikiem Fagelsjő, który też prowadził po pijanemu, ale raczej mało prawdopodobne, żeby zniżył się do czegoś takiego.

Długo patrzy na nią w milczeniu, a potem mówi:

- Donikąd nie doszliśmy w tej sprawie.

- Od deszczu prawda robi się śliska - mówi Malin.

- To, co się stało wczoraj w nocy, to przeszłość. Rozmawiałem z Larssonem i z Almanem. Dla nich jest tak, jakby to się nigdy nie wydarzyło. Ale ludzie mogą gadać. A ty masz siedzieć cicho.

- Wszyscy tutaj wiedzą, że zdarza mi się od czasu do czasu zalać.

-Nie.

- Owszem, wiedzą. Zauważyłam to wczoraj. Tak jakby po twierdziło się coś, co myśleli wcześniej.

On nie odpowiada, bierze tylko głęboki oddech i mówi:

- Teraz potrzebuję cię do tego śledztwa. Jesteś moim najlepszym człowiekiem i wiesz o tym. Gdybyśmy nie byli w takiej podbramkowej sytuacji, zawiesiłbym cię. I to też wiesz. Ale teraz cię potrzebuję.

- Dziękuję - mówi Malin.

- Nie dziękuj mi. Weź się w garść.

- Zrobię tak.

- Tylko tym razem nie wciskaj mi kitu, Malin. Słyszysz? Prowadzisz tylko wtedy, kiedy jesteś trzeźwa jak świnia. A jak tylko rozwiążemy tę sprawę, dopilnuję, żebyś poszła na odwyk. A ty się podporządkujesz. Zrozumiano?

Malin kiwa głową.

Zagubionym wzrokiem rozgląda się po pokoju.

Malin ma już wyjść, lecz Sven znów ją przywołuje.

- Wykład - mówi, a ona zatrzymuje się i odwraca.

- Jaki wykład?

- Ten dla starszych klas w szkole w Sturefors, który masz poprowadzić w poniedziałek. O dziewiątej. Zapomniałaś o tym?

I wtedy jej się przypomina. Rozmawiali o tym parę miesięcy temu, a ona się zgodziła, ogarnęła ją dziwna chęć, żeby wrócić do swojej dawnej szkoły.

- A nie mam ważniejszych rzeczy na głowie? Może powinniśmy to odwołać?

- Zajmiesz się tym wykładem, Malin. - Sven patrzy w dół, na jakiś papier. - I zrobisz to tak jak trzeba. Choć raz bądź dobrym przykładem dla młodych ludzi. Potrzebują tego. I ty też. Jutro niedziela, weź sobie wolne. Zrelaksuj się, odpocznij. I nie dotykaj butelki.

Malin puka do drzwi papierkowego Hadesu i słyszy zrezygnowane „proszę”.

Ochrypiły od papierosów głos Waldemara Ekenberga i jeszcze dwa głosy, które dołączają do niego jak słabe echa, ożywionej młodej kobiety i mężczyzny w jej wieku.

Papiery od podłogi do sufitu. Czarne teczki, skoroszyty.

Wystarczy tego, żeby mózgi obumarły, uschły. W pokoju pachnie wilgocią, potem, wodą po goleniu i tanimi perfumami, zmęczeniem w obliczu niemożliwego zadania.

Mimo to trójka policjantów gorączkowo pracuje, przeszukując twarde dyski i teczki. A Malin poprawia się humor od tej łagodnej, ale skupionej energii panującej w pokoju.

- Nic nowego - mówi Johan Jakobsson, nawet na nią nie patrząc.

Lovisa Segerberg kręci swoją blond głową. Waldemar podnosi wzrok i patrzy na nią. Co oznacza jego spojrzenie? Czy on, oni wiedzą o tym, co się stało w nocy? Nie. A może? Pieprzyć to.

- Może potrzebujesz pomocy? - pyta Waldemar.

<

- Chodzi ci o to, czy mogę cię wyciągnąć z Hadesu?
- Właśnie.
- Możesz sobie pomarzyć. -A wy?
- Ja i Zeke?
- Nie, ty i król.
- Zaraz pogadam z Zekem. Zobaczymy. Pewnie wszystko dogramy po południu.
- O ile coś się pojawi - wtrąca Johan.
- Bawcie się dobrze - kończy Malin.
- Zamknij za sobą drzwi - rzuca Johan.
- Przecież nie chcemy, żeby nam stąd wywietrzył ten zapach potu
- mówi Lovisa i szczyrzy zęby.
- Waldemar rozszerza nozdrza, wygląda, jakby próbował wymyślić jakąś zabójczą ripostę, a potem śmieje się, odsłaniając poźółkłe od nikotyny zęby, i mówi:
 - Jedź ostrożnie, Malin.

Gdy Malin jest w drodze do swojego biurka, dzwoni jej telefon.

Odbiera, nie fatyguje się nawet, żeby sprawdzić numer.

- Malin.
- Cześć, to ja.

Minęło dziesięć dni, odkąd uciekła z domu, dziesięć dni, odkąd z nim rozmawiała, i jedyne, na co ma ochotę, to się rozłączyć.

- Słuchaj, Janne, jestem teraz strasznie zajęta. Możesz za dzwonić. ..

Zatrzymuje się, wściekłość w jego głosie sprawia, że nie jest w stanie zrobić następnego kroku.

-Nie, Malin. Teraz ty mnie posłuchasz. Jak, do cholery, mogłaś pozwolić, żeby Tove po prostu sobie poszła *wczoraj* wieczorem? Co jej powiedziałaś? Co jej zrobiłaś? Była wczoraj kompletnie roztrzęsiona. Przyszła do remizy i była zrozpaczona. To, że mnie uderzyłaś, to jedno, ale kiedy robisz coś takiego Tove, to...

383

W



Słowa. Nie chce ich słyszeć. Nie chce o tym myśleć. Aż do teraz odsuwała to od siebie. -Ja...

- Zamknij się! Jest tak: Tove mieszka u mnie. Ty tu nie masz wstępu. Jak czegoś od niej chcesz, dzwonicz do niej, ale cholernie uważaj na to, co mówisz, i tak będzie aż do czasu, kiedy doprowadzisz się do jakiegoś porządku. Zrozumiano?

On może to zrobić, myśli Malin. Nie będzie mu szczególnie trudno udowodnić, że jestem matką-alkoholiczką.

- Idź do diabła - mówi. - Odpieprz się ode mnie i idź do diabła.

Powiedz, że mnie kochasz, myśli.

- Malin - mówi Janne już bez złości. - Weź się w garść. Tove potrzebuje mamy. Poszukaj pomocy.

Kiedy Malin wraca, miejsce przy biurku Zekego jest puste.

Trzęsą jej się ręce i parę razy uderza nimi o blat, żeby przestały, żeby znikła cała złość.

Jak nisko upadłam? Pozwoliłam Tove zniknąć w ciemności. Zostawiłam ją na pastwę wszystkiego, co może się w niej kryć. A potem się upiłam.

Rozgląda się po pokoju. Odsuwa od siebie uczucia i myśli. Próbuje się wyzerować.

- Byłem w kiblu - mówi Zeke, wracając.

Malin siedzi i czeka na niego na swoim miejscu. Czeka, aż zajmą się konkretnymi zadaniami na ten dzień, aż praca przejmie kontrolę nad mózgiem i uczuciami.

Zeke patrzy na nią dokładnie tak samo jak dziś rano, kiedy zjawiła się w komisariacie.

Przyjaźnie. Życzliwie. Ale też niespokojnie. Nie był zirytowany. Ani trochę. Raczej jej współczuł. I wtedy odwróciła wzrok.

Zeke wie.

I myśli dokładnie tak samo jak Sven. Dajmy jej dokończyć to śledztwo, a potem musi pozwolić sobie pomóc. 384 Teraz jego spojrzenie jest jeszcze bardziej niespokojne.

- Coś się stało? - pyta. - Wyglądasz...

- Cicho bądź. Teraz pracujemy.

Nie chcę żadnej pomocy, myśli Malin. Chcę Jannego. Tove. A może jednak nie?

Chcę odzyskać nasze życie.

Naprawdę tego chcę?

Twarz psychoanalityk Viveki Crafoord, jej słowa: „Zawsze jesteś mile widziana na mojej sofie, Malin, kiedy tylko zechcesz” .

I wtedy do ich biurka podchodzi Aronsson. Policjantka trzyma w ręce jakiś papier.

- Właśnie to dostałam z archiwów - mówi. - Trochę im to zajęło, ale wygląda na to, że tym razem zajrzeli w najgłębsze zakamarki. To jedyne, co znaleźli o rodzinie Fagelsjő. Wygląda na to, że w latach siedemdziesiątych Axel Fagelsjő ciężko pobił jednego ze swoich robotników. Oślepił go na jedno oko.

lowalił mnie na ziemię i zaczął okładać batem. Plecy mnie paliły, jakby je ktoś przypalał, odwróciłem się, żeby się podnieść, i wtedy bat trafił mnie w oko. Kolejny głos z chóru w rym śledztwie. Malin i Zeke siedzą w fotelach w mieszkaniu Sixtena Eriks-sona, w domu opieki Serafen. Z dużego pokoju *ma* widok na nagie korony drzew w Tradgardsforeningen, które poruszają się wolno na wietrze. Deszcz przestał padać.

Sixten Eriksson. Człowiek, którego Axel Fagelsjo brutalnie pobił w 1973. Okoliczności były opisane w dokumentach, które dostali z archiwów. Sbcten Eriksson był zatrudniony w Skogsa jako parobek i wjechał traktorem w kaplicę. Axel Fagelsjo wpadł w szał i pobił go tak, że oślepl na jedno oko. Został skazany jedynie na grzywnę i zapłacił Sixtenowi niewielkie odszkodowanie.

Mężczyzna siedzi naprzeciwko nich na obitej niebieskim materiałem sofie, z opaską na jednym oku. Drugie jego oko jest szarzielone, niemal mętne z powodu zaćmy. Za nim, na ścianie, wiszą reprodukcje obrazów Bruna Liljeforsa: lisy na śniegu, cietrzew w lesie. Cały pokój pachnie tytoniem i Malin zakłada, że ten zapach musi pochodzić z porów skóry Sbctena Erikssona.

- To było takie uczucie, jakbym był w jajku, które pękło -mówi mężczyzna. - Do dzisiaj śni mi się ten ból, czasami go czuję.

386 Pielęgniarka, która ich wpuściła, powiedziała im, że Sixten

Eriksson jest całkowicie niewidomy, że zaćma nieodwracalnie odebrała mu wzrok w drugim oku.

Malin *patrzy* na niego, myśli, że mimo iż jest niewidomy zachowuje się bardzo bezpośrednio.

- Oczywiście, że miałem żal, że Axel Fagelsjő nie został surowiej ukarany, ale przecież zawsze tak jest. Nie tak *łatwo* ruszyć kogoś, kto ma władzę. Odebrał mi jedno oko, opatrność zabrała mi drugie. I tyle.

Sąd skazał Axela Fagelsjő jedynie na grzywnę, okazał zrozumienie dla jego gniewu, a według dokumentów Sixten Eriksson nie zachował należytej ostrożności, prowadząc traktor, i poważnie uszkodził drzwi kaplicy.

Ten starzec nie mógł się zemścić na hrabim, zabijając jego syna tyle lat później. To jasne, myśli Malin. Ale Axel Fagelsjő? Skoro wtedy tak brutalnie pobił człowieka, może teraz mógł coś zrobić swojemu synowi.

- Co pan robił później? - pyta Zeke.

- Dostałem pracę w NAF-ie. Pracowałem tam aż do zamknięcia zakładu.

- Przeszedł panu ten żal?

- A co mogłem zrobić?

- A ból? - pyta Malin. - Zniknął?

- Nie, ale człowiek potrafi się nauczyć żyć ze wszystkim.

Sixten Eriksson milczy przez chwilę, a potem dodaje:

- Nie ma takiego bólu, z którym nie można się nauczyć żyć.

Człowiek odreagowuje to w inny sposób, odsuwa od siebie.

Malin czuje, że coś w pokoju się zmienia. Ciepło zostaje zastąpione chłodem i jakiś wewnętrzny głos każe jej zadać następne pytanie.

- A pańska żona? Żyje?

- Nigdy nie byliśmy małżeństwem. Ale mieszkaliśmy razem, odkąd skończyliśmy osiemnaście lat. Umarła na raka wątroby.

- Mieliście dzieci?

Nim Sixten Eriksson zdąży odpowiedzieć, otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi młoda kobieta o blond włosach, w jasnoniebieskim stroju pielęgniarki.

- Pora na lekarstwa - mówi, i gdy podchodzi do sofy Sixten Eriksson odpowiada na pytanie Malin.

- Syna.

- Syna? -

Tak.

- Jak się nazywa? Pielęgniarka ostrożnie zamyka za sobą drzwi, a Eriksson

się uśmiecha, czeka jeszcze kilka sekund, a potem mówi:

- Przybrał nazwisko swojej matki. Nazywa się Sven Evaldsson. Od wielu lat mieszka w Chicago.

Autobus przeciska się Djurgardsgatan, a za jego szybami bladzi mieszkańcy Linkopingu siedzą skuleni, ich twarze są jak niewyraźne grymasy rozmyte przez krople wody, które znów lecą z nieba.

Malin i Zeke stoją w deszczu, oboje są pogrążeni w myślach.

- Czy tamci farmerzy nie powinni wiedzieć o tym, że Fagelsjő go pobił? Ludzie mogą gadać o tym do dzisiaj - zastanawia się Zeke.

- Nawet jeśli wiedzieli, to może nie wpadli na to, że mogłoby nas to interesować - stwierdza Malin. - Albo woleli o tym nie mówić. Jeśli spojrzeć na to z ich perspektywy, to wcale nie wydaje się takie nieprawdopodobne, by Fagelsjő powrócili na zamek. A w takiej sytuacji najlepiej przecież siedzieć cicho.

Kiedy wracają do samochodu, dzwoni telefon Malin. Odbiera na zewnątrz, w deszczu. Nieznany numer na wyświetlaczu.

- Malin Fors.

- Tu matka Jaśmin.

Jaśmin.

Czy to któraś z koleżanek Tove? Ale wtedy przypomina sobie kobietę w ośrodku w Söder-

kópingu, siedzącą przy wózku inwalidzkim swojej córki. Poczucie, że jej miłość do dziecka jest nieskończona. Gdyby coś takiego stało się Tove, czy poradziłabym sobie z tym? Znów 388 wraca do niej to pytanie.

Kropki na twarzy, mokra kurtka, zniecierpliwiona mina Ze-kego w samochodzie.

- Witam. W czym mogę pomóc?

- Dziś w nocy miałam sen - mówi matka Jaśmin Sandsten. Tylko nie to, nie kolejny sen, myśli Malin i widzi twarz Linnei Sjöstedt. Potrzeba nam teraz czegoś konkretnego, a nie jakichś pieprzonych snów. -Sen?

- Śnił mi się chłopak o długich, czarnych włosach. Nie pamiętam, jak się nazywa, ale zaraz po tym wypadku odwiedził Jaśmin, mówił, że ledwie się znali, ale że przyjaźnił się z Andreasem, który wtedy zginął. Koledzy Jaśmin nic o nim nie wiedzieli. Pamiętam, że wydawało mi się to dziwne, że się zjawił, ale był sympatyczny, a większość w ogóle nie przychodziła. Miałam nadzieję, że może głosy rówieśników pomogą przywrócić ją do życia.

-I teraz się pani przyśnił?

Malin nie czeka na odpowiedź, zamiast tego myśli o Andersie Dalströmie, tym piosenkarzu mieszkającym w lesie, on ma długie, czarne włosy. A teraz znów pojawia się w śledztwie. We śnie.

- Długie, czarne włosy. Nie pamięta pani, jak się nazywał?

- Niestety nie. Ale w tym śnie przyszedł do mnie młody, dobrze ubrany mężczyzna bez twarzy. Pokazał mi film o tym chłopaku, który odwiedzał Jaśmin. To był stary czarno-biały film z rozchwianym obrazem. Chwileczkę. Wydaje mi się, że miał na imię Anders. Chyba Fahlström, albo jakoś tak.

An

ders Dalstrom upija łyk kawy w Roberts Coffee przy Akademibokhandeln, tuż obok Stadionu i Gyllentorget. To jedna z tych krzykliwych amerykańskich kawiarni, które wyparły prawdziwe kawiarenki, istne piekło latte, myśli Malin.

Dużo ludzi jak na sobotę. Pieniądze aż palą w portfelach.

Księgarni musi się dobrze powodzić przy tej pogodzie, gdy ludzie siedzą znudzeni w domach.

- Jestem w mieście - powiedział Anders Dalstrom, kiedy Malin do niego zadzwoniła; nie chcieli jechać taki kawał do lasu pod Bjórsater, gdyby miało się okazać, że nie ma go w domu. - Kupuję książki. Możemy się spotkać, jeśli pani chce.

Siedzi teraz naprzeciwko nich, ubrany w niebieską kurtkę z kapturem i żółty T-shirt z zielonym Bruce'em Springsteenem na piersi. Wygląda na zmęczonego i ma podkrążone oczy, długie, czarne włosy są zmierzwione i nieumyte.

Wyglądasz, jakbyś był jakieś dziesięć lat starszy niż wtedy w domu, myśli Malin. Czy mamy prawo znów cię niepokoić? Ale po rozmowie z matką Jaśmin chciała pójść tym tropem, zapytać Andersa Dalstróma o Jaśmin.

- Dlaczego pan ją odwiedzał? Przecież podobno pan jej nie znał.

- Nie, nie znałem. Ale czułem się przez to lepiej.

- Jak to „lepiej”? - pyta Zeke.

Anders Dalstrom zamyka oczy i wzdycha.

- Pracowałem dzisiaj w nocy. Jestem na to zbyt zmęczony.

390 - Jak to „lepiej”? - powtarza Zeke stanowczym tonem i Ma-

lin zauważa, że wchodzi w jej rolę, pyta zgodnie z jej intuicją, nie z własną.

- Nie wiem. Dobrze się z tym czułem. To było tak dawno temu.

- Więc Jaśmin nie była pana dziewczyną?

- Nie. Nie znałem jej. W ogóle. Mimo to było mi jej żal. Ledwie to wszystko pamiętam. To było tak, jakby jej niemożność komunikowania się była w jakiś sposób moja. Podobała mi się ta cisza.

-I nie wiedział pan, że to Jerry Petersson prowadził w tę sylwestrową noc?

- Już za pierwszym razem mówiłem, że nie.

Przy krześle Dalstroma stoi reklamówka z książkami, parę płyt DVD.

- Co pan kupił?

- Nową biografię Springsteena. Parę kryminałów. Dwa filmy z koncertów Boba Dylana. I *Władcę much*.

- Moja córka uwielbia czytać - oznajmia Malin. - Głównie powieści. Lubi te o miłości. Ale *Władca much* jest świetny, jako książka i jako film.

Anders Dalström spogląda na nią, przez dłuższą chwilę patrzy jej w oczy, a potem mówi:

-A propos miłości. Na pewno słyszeliście już o tym od kogoś innego. Ale w czasie, kiedy doszło do tego wypadku, w szkole chodziły plotki, że Jerry Petersson spotykał się z Ka-tariną Fagelsjo.

Potrafię wyczuć nieszczęśliwą miłość na tysiąc kilometrów, myśli Malin. Czuję jej zapach teraz, w salonie Katariny Fagelsjo, sączy się ze wszystkich porów skóry tej zgorzkniałej kobiety. Chcesz mi o tym opowiedzieć, prawda? To ty jesteś kobietą z obrazu Anny Ancher, który wisi u ciebie na ścianie? Kobieta, która chce się odwrócić i opowiedzieć swoją historię. - Pojadę do niej sama. Może ją skłonię, żeby coś opowiedziała.

Zeke kiwnął głową.

Pozwolił jej jechać do Katariny Fagelsjő. Teoretycznie mogło to być niebezpieczne, ale to raczej mało prawdopodobne.

- Jedź. Wyciągnij od niej to, co chcemy wiedzieć.

Białe rajstopy. Niebieska spódnica, noga założona na nogę. Wysokie obcasy we własnym domu.

Otwórz się. Opowiedz mi o tym. Chcesz tego, widziałam, jaka byłaś poruszona, gdy mówiłam, co opowiedział nam Anders Dalström. O plotkach. O miłości.

- Opłakuje pani Jerry'ego Peterssona, prawda?

Za jej plecami wygodne oparcie sofy ze Svenskt Tenn, cętkowane, uśmiechnięte węże na tkaninie Josefa Franka.

I wtedy opada maska Katariny Fagelsjő. Rozpada się w umęczony grymas i Katarina *zaczyna* płakać.

- Proszę mnie nie dotykać! - krzyczy Katarina, kiedy Malin próbuje ją objąć. - Niech pani usiądzie, to wszystko opowiem. I po chwili z ust zapłakanej kobiety płynie potok słów.

- Zakochałam się w Jerry'ym Peterssonie tej jesieni przed wypadkiem. Widywałam go na korytarzach szkolnych, wie działałam, że jest poza zasięgiem dla takiej dziewczyny jak ja, ale powinnaś go była widzieć, Malin. Był tak niesamowicie przystojny. Przypadkiem wyładowaliśmy na tej samej imprezie w lokalu młodych moderatów i nie pamiętam dlaczego, ale przez całą noc siedzieliśmy na cmentarzu, a potem poszliśmy nad Stangan. Była tam opuszczona pompownia, teraz jest już wyburzona. - Wstaje. Podchodzi do okna z widokiem na rzekę i odwrócona plecami do Malin pokazuje coś, czeka, aż Malin do niej podejdzie, a potem mówi dalej: - Tam dalej, na tej małej wysepce na strumieniu, była pompownia. Było zimno, mimo to było mi wtedy cieplej niż kiedykolwiek tamtej jesieni. Spotkałam się z Jerry'ym tak, że nikt o tym nie wiedział. Byłam zakochana po uszy. Ale ojciec nie chciałby o nim słyszeć. Nawet słowa.

Milknie, wydaje się, że chce utrzymać przy życiu tamtą chwilę, zachować wspomnienia dla siebie. 392 Malin otwiera usta, chce coś powiedzieć, ale Katarina ją uci-

sza, posyła jej spojrzenie, które mówi: Teraz słuchaj, słuchaj mnie, a nie siebie samej.

- A potem zniknął. Wyjechał do Lund. Ale ja nie zapomniałam. Sprawdziałam, co się z nim dzieje przez wszystkie te lata, przez całe moje nieudane małżeństwo z tym pajacem, którego uwielbiał ojciec. Nigdy nie zapomniałam Jerry'ego, chciałam się z nim znów skontaktować, ale nigdy tego nie zrobiłam, zamiast tego poświęciłam się sztuce, zagrzebałam się w obrazach. Dlaczego, dlaczego, dlaczego musiał znów wrócić w te strony, dlaczego chciał mieć ten zamek? Nigdy tego nie pojmowałam. Jeśli zamierzał wrócić do mojego życia, mógł przecież po prostu zadzwonić? Prawda? Mógł po prostu zadzwonić?

Sama mogłaś do niego zadzwonić, myśli Malin.

- Powinnam była zadzwonić do niego. Albo pojechać. Pojechać do diabła wszystkich tych kochanków, którzy nic dla mnie nie znaczyli. Był przecież tutaj, może wreszcie była pora, żeby coś zrobić z tą cholerną, odwlekaną miłością.

Zawsze go kochałaś. Tak jak ja zawsze kochałam Jannego. Czy nasza miłość może się kiedyś skończyć?

- Czy Jerry spotkał się kiedyś z pani ojcem? - pyta po chwili Malin.

Kobieta nie odpowiada. Zamiast tego odchodzi od okna, wychodzi z pokoju.

Katarina Fagelsjő stoi przed lustrem w łazience. Nie rozpoznaje własnej twarzy.

I wtedy wydaje jej się, że ktoś przesuwają obrazy przed jej oczyma, czarno-białe zdjęcia, których nigdy nie zrobiono żadnym aparatem, ale które mimo to istnieją.

Zdjęcie dwojga młodych ludzi, którzy idą brzegiem potoku.

Pompownia.

Płonące drewno. I jest tam głos, jego głos, głos, za którym tęskniła, który chciała usłyszeć.

- Pamiętasz, jaka byłaś wtedy piękna, Katarino? Tamtej jesieni? Gdy szliśmy razem wzdłuż Stangan, ostrożnie, żeby nikt nas nie widział, kiedy leżeliśmy w starej pompowni,

ogrzewani ogniem, który rozpaliliśmy w zapomnianym piecu. Głaskałem cię wtedy po plecach, pieściłem je i udawaliśmy, że jest lato, że smaruję twoje plecy kremem, żebyś nie poparzyła sobie skóry.

Nowe obrazy.

Padający śnieg. Ona sama w swoim pokoju na zamku. Postać, która idzie zimą przez las. Zamknięta brama zamku.

-1 chciałaś, wbrew mojej woli - ciągnie głos - żebyśmy poznali twoich rodziców. Więc przyszedłem do zamku w sylwestra po południu, tak jak ustaliliśmy. Pojechałem tam autobusem, a później szedłem przez mroźny las i przez pola i zobaczyłem zamek wynurzający się z lasu, na niskim wzgórzu otoczonym fosą.

Przeszedłem mostem nad fosą.

Zobaczyłem dziwne, zielone światło.

Twój ojciec otworzył drzwi i zorientowałem się, że rozumie, dlaczego tu jestem. Ty podeszłaś do bramy, a on zobaczył coś w twoich oczach i zaczął krzyczeć, że nigdy, do diabła, ten tutaj nie przekroczy jego progę, a potem uniósł rękę i uderzył mnie. Gonił mnie po wzgórzu, za fosę, okładał parasolem, a ty krzyczałaś, że mnie kochasz, kocham go, tato, a ja biegłem, biegłem i myślałem, że pobiegniesz za mną, ale kiedy odwróciłem się na skraju lasu, nie było cię, na wzgórzu było pusto, a brama była uchylona i stała w niej twoja matka, Berti-na, i wydawało mi się, że się uśmiecha.

I znowu ona - odwraca się w wejściu do zamku. Biegnie po schodach. Leży w łóżku, stoi tuż obok swojego ojca, poprawia szminkę przed lustrem.

Cicho, chce krzyknąć do tego głosu, bądź cicho, ale on mówi dalej:

- Przyjechałem na imprezę. Byłaś tam. I Fredrik. Wypił za dużo, był arogancki wobec wszystkich. Zachowywałaś się tak, jakby mnie nie było. Nawet nie spojrzałaś w moją stronę i to mnie doprowadzało do szaleństwa. Piłem, wlewałem w siebie alkohol, tańczyłem, macałem jakieś dziewczyny, wszystkie chciały mnie mieć, ale ja byłem nie do zdobycia, wziąłem 394 Jaśmin, która chodziła z tobą do klasy, tylko po to, żebyś się

przejęła, usiadłem za kierownicą w tamtym samochodzie, żeby pokazać temu światu, kto tu rządzi i że miłość właściwie nie gra żadnej roli. To ja decydowałem i nawet miłość nie mogła uczynić mnie bezsilnym.

A później, na polu, w śniegu, we krwi i w ciszy spojrzałem na Jonasa Karlssona, poprosiłem go, żeby powiedział, że to on prowadził, obiecywałem mu cały świat.

I wiesz co? Zrobił tak, jak mu powiedziałem, nakłoniłem go do tego, i wtedy do końca zrozumiałem, że mogę dostać prawie wszystko, czego chcę na tym świecie, jeżeli tylko będę wystarczająco bezwzględny. Wtedy będę mógł uciszyć noże kosiarki.

Ale nie ciebie, Katarino. Ciebie nie będę mieć nigdy. Nie ciebie.

W pewien sposób tej sylwestrowej nocy umarłem i narodziłem się na nowo.

Obrazy rozbitego samochodu. Pogrzeb, wózek inwalidzki z niemym ciałem, mężczyzna zwrócony do niej plecami na krześle w biurze, cichy strumień obrazów z życia, którego nigdy nie znała.

- A kiedy kupiłem Skogsa, chciałem obudzić do życia coś, co umarło - mówi dalej głos. - To była najgorsza próżność, gorsza niż próżność alchemika. Wkrótce stałem w tym samym wejściu, do którego odmawiano mi dostępu przez te wszystkie lata. Obnażony do pasa, siedłem przez pokoje, czułem na skórze szorstką, chłodną powierzchnię kamieni.

Obrazy znikają. Pozostaje tylko lustro, jej oczy, łzy, o których wie, że są gdzieś w nich ukryte.

59

LINKOPING, MARZEC I PÓŹNIEJ

Jerry ociera się o ściany w pokoju oświetlonym przez sto trzy świece żyrandola wiszącego pięć metrów nad jego głową. Kamienie dotykające jego piersi i pleców są nieregularne i ostre, jak powierzchnia jakiejś jeszcze nieodkrytej wrogiej planety.

Przed nim wisi obraz mężczyzny smarującego kobietę kremem do opalania.

Komnaty na zamku. Jedna przechodzi w drugą i w kolejne.

Telefony. Dzieli go od niej tylko jedna rozmowa. Siedzi pod swoimi obrazami i powtarza jej numer jak mantrę.

Nie przychodzi mu do głowy, że może być zła za to, co zrobił, może myśleć, że wyrwał z rąk jej rodziny kawał historii.

Ale nigdy nie wybiera jej numeru. Zamiast tego zajmuje się praktycznymi sprawami wiążącymi się z posiadłością, kieruje pracami dzierżawców i wszelkiego rodzaju rzemieślników, odwiedza dziwki, które znajduje w sieci, są nawet tu, w Lin-kópingu, nierzadko są to kobiety w średnim wieku, z nienaturalnie silnym popędem seksualnym, które chętnie biorą pieniądze za zaspokojenie własnej żądz. Zastanawia się, czy nie zadzwonić do tej młodej asystentki z kancelarii, którą przeleciał, gdy podpisywał umowę, ale myśli, że wtedy wszystko będzie za blisko.

Czasami - wieczorem lub rano wybiera się na objazd po-396 siadłości. Jedzie przez czarny krajobraz, mijają domy, drzewa

i pola, i to pole, które zdaje się zawierać w sobie trzy jedności, które są nim: przeszłość, teraźniejszość i to, co przyjdzie jutro.

Wydaje mu się, że widzi zielone światło płynące z fosy i każe zainstalować wokół niej zielone latarnie, jakby w odpowiedzi na to zjawisko optyczne na dole, w wodzie.

Stoi po drugiej stronie bramy, spoczywa sam w sobie, czeka na rozmowę, na samochód. Pragnie, by przyjechał i zatrzymał się na zamkowym wzgórzu, ale on nigdy nie nadjeżdża. Stoi w miejscu, omija okrężną drogą miłość, na którą nigdy nie udaje mu się otworzyć po raz drugi. Staje się ona lękiem, którego nigdy nie pokona.

Zamiast tego znajduje w swojej poczcie list. Pisany odręcznie.

Czyta go przy stole w kuchni, wczesnym popołudniem tej jesieni, gdy otworzyło się niebo i zdaje się zalewać żrącym kwasem ludzki świat.

Składa list, myśli, muszę się tym zająć, spalić to raz na zawsze.

60

SOBOTA I NIEDZIELA, PIERWSZY I DRUGI LISTOPADA

Wypchnij tę sztangę do góry.

Jesteś sama tu na dole, w siłowni, Malin, jeśli nie dasz rady, sztanga zmiażdży ci krtań, i wtedy skończą się wszystkie twoje problemy.

Skończy się oddychanie. I cała miłość.

Sztanga waży siedemdziesiąt kilogramów, więcej niż Malin; unosi ją do góry dziesięć razy, nim pozwala jej spocząć na widelkach stojaka.

Janne. Teraz mi mówi, co wolno, a czego nie wolno mi robić.

Do diabła z tym.

A może ma rację?

Tove. Chcę powiedzieć „przepraszam”. Ale najlepiej zostawić cię na jakiś czas w spokoju, prawda?

Jak mogłam?

Ciało wilgotne od potu. Jakby biegała w deszczu, który widzi przez niewielkie świetliki pod sufitem.

Położyli nową tapetę w tym pomieszczeniu. Poprzednią, zieloną, która wyglądała, jakby ją ktoś obrzygał, zmienili na jeszcze gorszą, różową, z małymi liliowymi kwiatkami.

To jest siłownia, myśli Malin, a nie jakiś pieprzony paniński pokój.

Znów kładzie się na ławeczce. 398 Kolejnych dziesięć powtórzeń, czuje, jak pracują jej mięśnie,

jak wysiłek wypiera wszystkie myśli o piciu. Ośrodek odwykowy. Jasne, kurwa. Nie potrzebuję tego.

Za każdym razem, gdy unosi sztangę ku zakurzonemu białemu sufitowi, który ją oślepia, próbuje zbliżyć się do sedna śledztwa.

Kwas mlekowy zalewa jej mięśnie, Malin wstaje, boksuje z wyimaginowanym przeciwnikiem, budzi do życia odrętwiałe, niedotlenione tkanki, i mówi w rytm uderzeń:

- Coś. Mi. Umyka. Ale. Co?

W saunie, po długim zimnym, a potem gorącym prysznicu, czyta najnowszy artykuł Daniela Hogfeldta o morderstwach, strony „Corren” są gorące pod jej palcami.

Porusza temat związku pomiędzy morderstwami i pisze, że źródła w poliq'i są przekonane, iż są one powiązane, ale jeszcze nie wiedzą tego na pewno.

W odrębnym artykule przedstawia dobrze udokumentowaną relację na temat nieudanych interesów Fredrika Fagelsjő, pisze o tym, jak rodzina straciła Skogsa. Kończy stwierdzeniem: „Być może teraz należałoby skierować podejrzenia na członków rodziny Fagelsjő, bo według niektórych oni byliby gotowi zrobić wszystko, żeby tylko odzyskać posiadłość”.

Nie wspomina nic o nowych pieniądzech, o spadku. Są jednak zdjęcia domów, w których mieszkają. Z całą pewnością zrobione w ostatnim czasie. Sępy nie potrafią zostawić w spokoju ludzi oplakujących bliską osobę.

Jest jeszcze zdjęcie Linnei Sjóstedt przed jej domem przy zjeździe na Skogsa. Daniel zamieszcza jej komentarz:

„Pewnie, mogli się zemścić na Fredriku za to, że przepuścił majątek. Ta ziemia była dla nich wszystkim”.

Dziewięćdziesiąt stopni w saunie.

Dziesięć minut i ciało krzyczy, pot wypływa z każdego poru skóry, ale Malin podoba się ten ból.

Daniel nie wywahał też tego, że Axel Fagelsjő pobił człowieka. Ani tego, że to Jerry Petersson prowadził samochód tamtej sylwestrowej nocy, gdy doszło do wypadku. To dobrze, 399

być może jest teraz mniej przecieków w komisariacie. A Daniel właściwie zachowuje się w porządku. Nigdy nie wyciągał od niej informacji, kiedy była pijana, nie próbował sprawić, by stała się kolejnym źródłem przecieków w policji.

Malin stoi naga w szatni.

Wiadomość w telefonie.

Numer Daniela Hógfeldta, cóż za zbieg okoliczności; przychodzi jej do głowy, że dziś wieczorem ma ochotę powtórzyć to co ostatnio. Dzwoni na pocztę głosową i odsłuchuje, co ma do powiedzenia.

„Tu Daniel. Chciałem tylko powiedzieć, że dostałem anonimowy cynk dotyczący waszego śledztwa. Możesz do mnie oddzwonić?”

Daniel.

Nigdy nam nic nie daje. Zatrzymuje dla siebie wszystkie informacje, które zdobywa. A w dzisiejszych czasach napaleni na media i żądni pieniędzy ludzie częściej dzwonią z informacjami i wskazówkami do gazet niż do nas, na policję.

Jak mogło do tego dojść?

- Daniel.

- To ja. Dostałam twoją wiadomość.

- Tak. Chciałem ci tylko powiedzieć, że dostałem przez telefon cynk o Fagelsjó. Że to na pewno ojciec i córka Fagelsjó zamordowali Fredrika. W ramach zemsty. Że to oni za tym stoją.

- Jasne. Braliśmy to pod uwagę.

- Tak. Oczywiście, Malin. Ale ten informator był tym w nie-naturalny sposób podekscytowany. Ulżyło mu, kiedy powiedziałem, że myślałem już, żeby napisać coś o tym związku.

- Jakiś wariat?

- Nie, ale było w nim coś takiego... Coś, co się nie zgadzało.

- Jak się nazywał? Masz numer?

- Nie. Numer nie pokazał się na wyświetlaczu. I nie podał nazwiska. To też jest dość niezwykłe.

To tylko pretekst, żeby do mnie zadzwonić, myśli Malin.

Nie ma nic nowego. Musi do nich dzwonić mnóstwo informatorów.

Anonimowo.

Akurat to, ze wszystkich możliwych rzeczy.

- Wiem, co myślisz, Malin. Ale było inaczej. Był tak natarczywy, że mnie to przeraziło.

- Miał ci do powiedzenia coś nowego?

-Nie.

- Dobra - mówi Malin. - Możesz do mnie przyjechać koło dziewiątej wieczorem i dostaniesz to, czego chcesz.

Daniel milczy.

Malin przegląda się w lustrze w szatni, odwraca wzrok od przepitej twarzy, zamiast tego patrzy na świetnie wytrenowane ciało.

- Do diabła, jesteś dla mnie kimś bardzo szczególnym, Fors. Myślałem, że choć raz mógłbym ci trochę pomóc w pracy.

- Jak to? Tym czymś?

- Na przykład tym, że dzwonił do mnie mężczyzna, a nie kobieta.

- Przyjedziesz?

Daniel odkłada słuchawkę i w telefonie zalega cisza.

Przyjedzie.

Powiedz, że przyjedziesz. Wtedy wszystko będzie dobrze, przynajmniej na pół godziny, albo coś koło tego. To by wystarczyło.

Malin leży w szlafroku na łóżku, czeka, aż Daniel przyjedzie, chce poczuć go w sobie.

Robi się dziewiąta.

Wpół do dziesiątej.

Dziesiąta. I ma ochotę do niego zadzwonić, ale wie, że takie upokorzenie nic by jej nie dało, że rzeczywiście nie chciał jej mieć, tylko pomóc. Na swój niezdarny sposób - bezużyteczną informacją.

Ktoś, kto chce, żeby rzeczy wyglądały tak, a nie inaczej. Kto chce skierować ich uwagę w pewną stronę, choć w rzeczywi-

stości powinna być skierowana gdzie indziej. Znowu pojawia się ta myśl.

Po drodze z siłowni zadzwoniła do ojca.

Najwyraźniej nie zauważył kilku hiszpańskich policjantów, którzy czuwali nad nim i nad mamą, ale z drugiej strony nie zauważył też przecież, kiedy robiono mu zdjęcia.

Powiedział, że może razem z mamą przyjadą do domu na święta. Malin odparła, że Tove by się ucieszyła, ale że poza tym mogą się spodziewać napiętej sytuacji w rodzinie.

- Ciężko ci? - spytał tata.

- Nie, ale w tej chwili jest tu po prostu strasznie jesienno - odparła, myśląc: Tato, na mojej planecie trwa walka o życie.

Robisz to, Malin? Walczysz o swoje życie?

Wydaje mi się, że mój ojciec też to robi na swojej planecie.

Axel Fdgelsjo.

Ojciec.

Widzę wyraźnie ciebie i jego, leżysz w swoim łóżku, zasnąłś i nic ci się nie śni, zasługujesz na trochę odpoczynku, po tym jak się namęczyłaś, żeby utrzymać na wodzy pożądanie.

Axel siedzi przy kuchennym stole w mieszkaniu przy Drottninggatan. Wyjął z szafy na broń w sypialni swoją ukochaną śrutówkę.

Wącha broń, już wcześniej widywałem, jak to robi, i nie wiem, dlaczego to robi. Teraz znowu zamyka broń na klucz w szafie w sypialni.

Sam nie wiem, co mi się stało, Malin. Nic nie pamiętam. Z tego, co rozumiałem po rozmowach z innymi, tu, w górze, w moim wymiarze, jest to czymś niezwykłym.

Ale to nie ma żadnego znaczenia.

Bo mam przecież ciebie.

Ty mi opowiesz, jaki spotkał mnie los.

Mówisz o swoim losie, Fredriku Fdgelsjo, ale co ty, w czepku urodzony, możesz wiedzieć o losie.

Nie ma czegoś takiego jak los, tylko zdarzenia, które są rezultatem 402 świadomych działań.

To, że wylądowałem w tej fosie, to była to wyłącznie moja wina, moja i tylko moja.

W najbardziej podstawowy sposób sam spowodowałem to wydarzenie.

Wmawiasz sobie, Malin, że dasz mi jakąś sprawiedliwość albo zadośćuczynienie po śmierci. Tak jakbym czegoś takiego potrzebował.

Nie potrzebuję od was niczego.

Już jestem wszystkim.

W niedzielę potężna ulewa chłostuje ziemię i ludzi.

Malin stoi w oknie swojego mieszkania i patrzy na kościelną wieżę, wydaje jej się, że nawet wrony cierpią na tym wietrze.

Chce słyszeć głos Tove, spotkać się z nią, powinny spędzić ze sobą cały dzień, teraz, gdy Sven zmusił ją, by wzięła wolne.

Ale nie dzwoni do córki, robi tak, jak powiedział Janne. Przynajmniej wydaje jej się, że właśnie to miał na myśli. Trzyma się na dystans. Unika swojego odbicia w lustrze. Gdyby miała czternaście lat, pocięłaby się po nadgarstkach.

Zamiast tego przebiera się w ubrania do biegania i przebiega trzy kilometry ulicami Linkópingu. Poci się pod grubym materiałem, miasto znika przed jej oczyma i czuje swoje serce, to, że wciąż może polegać na jego sile.

Kiedy wraca do domu, dzwoni do komisariatu.

Waldemar Ekenberg informuje ją, że w śledztwie nie wydarzyło się nic nowego.

Przegląda akta Marii Murvall. Przygotowuje swoją prelekcję, siedząc przy kuchennym stole. Za oknem zapadają wieczorne ciemności.

Malin rozgląda się po kuchni, myśli: Nie mam nic, nie mogę nawet mieć Tove. Jeżeli w ogóle jeszcze ją odzyskam.

PONIEDZIAŁEK, TRZECI LISTOPADA

Tu musi być ze czterysta oczu, myśli Malin. I wszystkie wpatrują się we mnie. Mam nadzieję, że beżowy kołnierzyk bluzki pod jasnoniebieskim wełnianym swetrem leży tak jak trzeba, ale dlaczego, u diabła ciężkiego, w ogóle się przejmuję, co ten tłum sobie pomyśli o moim wyglądzie.

Aula szkoły w Sturefors jest wypełniona, uczniowie wyciągają komórki. Malin stoi za pulpitem, patrzy na młodych ludzi, na aulę, w której kiedyś sama siedziała.

Dyrektorka Birgitta Svensson, pomarszczona od papierosów pięćdziesięcioletnia kobieta, ubrana w szary kostium, staje obok Malin, stara się zwrócić na siebie uwagę, a potem lekko puka palcami w mały, czarny mikrofon.

- Wyłączamy teraz komórki.

I ku zaskoczeniu Malin, zgromadzeni uczniowie słuchają jej polecenia.

Blip, blip, wyłączają się kolejne telefony, głosy przechodzą w szmer, a potem w auli zapada cisza.

Zapach wilgotnej tkaniny, słodkawych oddechów nastolatków, łuszczonego się tynku.

- Gościmy dziś komisarz Malin Fors z policji w Linköpingu. Opowie nam o pracy policji. Przywitajmy ją brawami.

Ostre gwizdy. Wszyscy biją brawo, a kiedy znów zapada ci-404 sza, Malin nie może zebrać myśli, nie wie, od czego ma zacząć,

*



czuje wywołane abstynencją nudności i próbuje skupić wzrok na zegarze ściennym.

9.09.

Ma mówić przez godzinę. Ale o czym?

Młodzi ludzie przed nią zdają się wiedzieć wszystko o świecie, ale równocześnie nie wiedzieć niczego. Nazwać ich niewinnymi byłoby grubą przesadą, ale z drugiej strony, co oni wiedzą o przemocy, o tym, co potrafią zrobić ludzie? Ale na pewno większość z nich widziała więcej frustracji u dorosłych w swoich domach, niż powinna.

Tak jak Tove. Moja ręka podniesiona na Jannego. Jak mogłam?

Cisza.

Żadne słowa nie chcą popłynąć z jej ust. Mija minuta, potem dwie.

Uczniowie wiercą się na swoich krzesłach.

- Przemoc - mówi Malin. - Pracuję nad tym, co mamy zwyczaj nazywać przestępstwami z użyciem przemocy. Gwałty, pobicia.

Znów robi przerwę.

Chce ich wyczekać.

-1 morderstwa. Jak wiecie, takie rzeczy zdarzają się nawet w tak spokojnym mieście jak Linköping.

Później słowa przychodzą same; opowiada im, jak wygląda śledztwo w typowym przypadku pobicia, o kilku prawdziwych przypadkach, ale nic z tego, co najgorsze.

- Robimy, co w naszej mocy - mówi Malin. - Musimy mieć nadzieję, że to wystarczy.

Podczas prelekcji nudności nie dawały jej się we znaki, adrenalina i koncentracja sprawiły, że czuła się dobrze, ale gdy uczniowie zaczęli zadawać pytania o morderstwa, którymi zajmują się w chwili obecnej, poczuła, że powietrze z niej uchodzi.

- Dziękuję wam za uwagę - kończy i schodzi ze sceny, za nim ktoś zdąży jej postawić kolejne pytanie.

Po chwili znów słysząc gwizdy i brawa. W

całej tej sytuacji jest coś rytualnego.

Gwizdaliby i biliby brawo, nawet gdybym mówiła o Holokauście, myśli Malin.

Na zewnątrz podchodzi do niej dyrektorka.

- Świetnie pani poszło - mówi. - Było nawet trochę pytań. Zazwyczaj nigdy o nic nie pytają. Ale pewnie myślą, że ma pani bardzo interesującą pracę, biorąc pod uwagę to, co się dzieje.

- Można było odnieść wrażenie, że słuchali - potwierdza Malin. - Ale czy się czegoś nauczyli? Trudno powiedzieć.

Dyrektorka bierze ją pod ramię.

- Nie powinna pani być dla siebie taka surowa. - Malin ma ochotę zrobić unik, ale spojrzenie tej kobiety jest dziwnie intensywne, kiedy patrzy jej w oczy i mówi: - Na pewno się czegoś nauczyli, zobaczy pani. I bardzo pani za to dziękujemy. Ma pani ochotę na filiżankę kawy w pokoju nauczycielskim.

Ku własnemu zaskoczeniu Malin słyszy, że przyjmuje zaproszenie.

Lovisa Segerberg siedzi sama w papierkowym Hadesie.

Waldemar i Johan są w kafeterii.

Zastanawia się, czy powinna włączyć komputer Fredrika Fagelsjő, czy też poszperać w którejś z kilkuset teczek, których nie zdążyli jeszcze nawet otworzyć.

Ale zamiast tego zaczyna myśleć o Malin Fors.

Czy to prawda, co mówi plotka? Że prowadziła po pijanemu? Że sprawa została wyciszona? I że ma pójść na odwyk, kiedy tylko rozwiążą tę sprawę?

Ludzie są tylko ludźmi i nawet policjantom musi się czasami upiec. W przeciwnym razie zostaliby tylko ci sprawiedliwi i zadufani w sobie, a przecież nikt by nie chciał takich policjantów. Czy ta grupa śledcza poradzi sobie bez Malin Fors.

To by już nie było to samo, bo to Malin nadaje tutaj ton. Pozostali nieświadomie zdają się na nią.

Może powinnam umówić się z nią na kawę? Jak kobieta 406 z kobietą? Zapytać, jak się czuje?

Lovisa odsuwa od siebie tę myśl. Wstaje.

Na półce przy drzwiach leży samotna czarna teczka. Na boku. Bóg raczy wiedzieć, jak tam wylądowała. Sięga po nią. Wraca na swoje miejsce. W środku trzy puste, białe arkusze. Pod nimi koperta bez znaczka i słowa wypisane odręcznie na jeszcze bielszym papierze.

Lovisa czuje, jak czas staje w miejscu, jak po jej ciele rozlewa się ciepło.

Czy to tego listu szukali, nawet o tym nie wiedząc?

Birgitta Svensson opiera się wygodnie na zielonej sofie i odgryza kawałek suchego ciasta.

Malin trzyma filiżankę z kawą w obu dłoniach, ciepły napój przyjemnie ogrzewa jej ręce.

Są same w pokoju nauczycielskim i Malin myśli, że panuje tu jakiś spokój, spokój, który pachnie herbatą, kawą, książkami i papierem.

-Tak właściwie mamy w szkole tylko jeden problem -mówi dyrektorka. - Znęcanie się nad słabszymi. To spory problem, ale niezależnie od tego, jak bardzo próbujemy, nie możemy sobie z nim dać rady.

- Stoją za tym jacyś konkretni uczniowie?

Malin przypomina sobie chłopaków, na których natknęła się kilka lat temu w związku ze śledztwem w sprawie morderstwa - udało im się sterroryzować całą szkołę w Ljungsbro.

- Gdyby to mogło być takie proste. Ale nie chodzi o jakichś pojedynczych łobuzów, którzy dokuczają słabszym. To się przez cały czas zmienia. Ten, który wczoraj był ofiarą, dziś zmienia się w prześladowcę.

- Co zrobiliście, żeby rozwiązać ten problem?

-Mieliśmy pogadanki. Zajęcia w grupach. Indywidualne rozmowy. Ale to jest jak nawracająca choroba. Kiedy już nam się wydaje, że jest po problemie, dzieje się coś nowego.

- Może będzie lepiej, kiedy obecne roczniki skończą szkołę. Może wtedy problem sam się rozwiąże.

- Ale szkoła musi działać teraz. Dla wszystkich.

Tove.

Nigdy nie byłaś dręczona przez innych uczniów, myśli Malin. Co bym zrobiła z tymi, którzy odważyliby się ci dokuczać?

Nie chcę nawet wiedzieć.

- W zeszłym tygodniu mieliśmy tu chłopca z ósmej klasy, który potarł sobie policzki papierem ściernym w sali do prac ręcznych - mówi dyrektorka. - Okazało się, że duża grupa chłopaków ósmej i dziewiątej klasy prześladowała go i szykanowała, bo jego rodzice mają stary, zardzewiały samochód. Wyobraża to pani sobie? To było tak, jakby można było mu dokuczać tylko dlatego, że inni też to robią. Nie mogliśmy znaleźć prowodyra, nikt nie czuł się odpowiedzialny, wszyscy „trochę się do tego przykładali”.

Birgitta Svenson robi palcami cudzysłów w powietrzu. Potem pochyla się do przodu, zjada ostatni kęs swojej babeczki.

- Papier ścierny - mówi Malin. - Musiał się naprawdę potwornie czuć.

- To był bardzo ostry, gruby papier. Szczerze mówiąc, wyglądał potwornie. Jakby miał na sobie maskę z ran.

Przy drzwiach do stołówki wiszą plakaty fundacji Friends.

Zachęcają, żeby być przyjacielem dla wszystkich, by nikogo nie wyrzucać poza nawias i zawsze próbować dostrzec zalety i wyjątkowość drugiego człowieka.

Utopia, myśli Malin. Odsłoń tylko gardło, a możesz być pewien, że znajdzie się taki, który ci je poderżnie.

Czy Jerry Petersson odsonił gardło?

Albo Fredrik Fagelsjón?

Czy choć przez parę sekund byli otwarci i słabi, a wtedy dopadła ich rzeczywistość, ukąsiła swoimi jadowitymi kłami?

Jeden z plakatów przedstawia dziewczynkę stojącą samotnie w kącie.

Jakieś pięć metrów od niej stoi grupa innych dziewczyn; tekst u góry plakatu brzmi: „Każdy potrzebuje przyjaciela. Czy ty nim jesteś?” 408

Malin idzie do samochodu, deszcz wreszcie przestał padać.

W myślach widzi Andersa Dalstróma, przypomina jej się, co powiedziała o nim matka Andreasa Ekstróma, że był samotny, że być może Andreas był jego jedynym przyjacielem, że się nim opiekował.

Odwiózł Jaśmin, chociaż jej nawet nie znał.

Informator, mężczyzna.

Władca much. Dlaczego właśnie ten, ze wszystkich możliwych filmów? Najcięższy film o znęcaniu się, jaki tylko można było nakręcić. Prawda?

Wsiada do wozu i dwadzieścia minut później siedzi w papierkowym Hadesie razem z Zekem, Johanem Jakobssonem, Lovisą Segerberg, Waldemarem Ekenbergiem i Svenem Sjó-manem.

Przed nimi na stole leży list w plastikowej teoczce. Nierówne litery napisane czarną kredką. Tekst brzmi: „Wiem wszystko o sylwestrowej nocy. Pora zapłacić. Wkrótce się z tobą skontaktuję. Bądź gotów”.

- Więc Jerry Petersson był szantażowany - mówi Sven. -Ale przez kogo?

- Przez Jonasa Karlssona? - zastanawia się Waldemar.

- Być może - zgadza się Zeke. - Ale on ma alibi na noc i rano tego dnia, gdy Petersson został zamordowany. Musimy porównać charakter pisma i sprawdzić, czy na liście są jakieś odciski palców. Ale kto jeszcze mógł wiedzieć, że to Petersson wtedy prowadził? Wiedział o tym tylko Karlsson, a on twierdzi, że nie mówił o tym nikomu.

- Ale przecież Jonas Karlsson sam twierdzi, że pije. Może chlapnął o tym komuś po pijaku? - mówi Waldemar i znacząco szczyrzy zęby do Malin.

- Jochen Goldman - odzywa się Malin. - On o tym wiedział. Wygląda na to, że ma zwyczaj wysyłać listy. Może potrzebował pieniędzy? Co tak właściwie wiemy o jego finansach? Tylko zakładamy, że jest niesamowicie bogaty.

-I rodzina Fagelsjó. Może chcieli przycisnąć Peterssona, żeby się wyprowadził? - dodaje Lovisa.

- Pewnie tak - mówi Sven. - Ale dostałem billingi z różnych telefonów Fagelsjó. Nie było w nich nic podejrzanego. 409

Żadnych rozmów z Jerrym Peterssonem. Nie sądzę, żeby to oni stali za tym listem, jakoś nie czuję, żeby to był ich styl.

- Pamiętajcie, że do Peterssona ktoś dzwonił z budki telefonicznej pod Ikea? - pyta Malin. - Może te rozmowy były z tym związane?

Myśli o informatorze Daniela Hógfelda, który zadzwonił z nieznanego numeru. Budka telefoniczna? Trudno sprawdzić, nie żądając przy tym billingow Daniela. A ponieważ jest dziennikarzem, to niemal niewykonalne.

- Damy ten list do zbadania technikom. Może coś znajdą. Poczekamy z przesłuchaniami w tej sprawie, aż śledztwo posunie się naprzód, żebyśmy mieli w rękach coś konkretnego - mówi Sven.

- Chciałabym jeszcze raz pogadać z Andersem Dalstrómem, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

- Dlaczego? - pyta Johan.

- To tylko przeczucie.

M

alin przyspiesza i wrzuca wyższy bieg, myśli, że być może powinna była zabrać ze sobą Zekego, ale to przecucie chce sprawdzić sama, pójść za nim tam, dokąd ją doprowadzi.

Zeke nie protestował, ale Malin wie, że Sven zakładał, iż na pewno pojedą razem. Jeśli się do czegoś zbliży, może się narazić na niebezpieczeństwo, ale jakie to ma znaczenie?

Jeśli prowadzisz śledztwo w sprawie morderstwa, możesz się narazić na przemoc, ale pewne rzeczy, pewne głosy można usłyszeć tylko wtedy, kiedy jest się samemu.

Deszcz, który padał przez całą drogę, ustaje, gdy dojeżdża na miejsce. Dom i warsztat na leśnej polanie wydają się opuszczone, z okien nie płynie żadne światło. Niewielka polana jest właściwie łąką otoczoną gęstym mieszanym lasem i całe to miejsce przypomina Skogsa w miniaturze, tyle że okazałość i siła zostały tu zastąpione uniżonością i namacalnym lękiem przed złem, które może się czaić w ciemności lasu.

Andersa Dalstróma nie ma w domu, myśli Malin. Pewnie jest w pracy, w domu opieki. A może znów pracuje na nocną zmianę.

Wysiada z samochodu. Zapina czarną kurtkę z goreteksu.

Czerwonego golfu Andersa Dalstróma nie ma przed domem.

Malin przechodzi przez wysypany żwirem plac, wchodzi po schodach na ganek i zagląda do domu. Widzi plakaty na ścianach.

Cicho tu w lesie.

Na pewno tęskni za jakąś dziewczyną albo za rodziną. Piosenkarz, któremu się nie powiodło, musi mu być ciężko śledzić sukcesy Larsa Winnerbacka, który jest przecież od niego młodszy. Po czterdziestce i pracuje w domu opieki. Trudno to nazwać karierą. Masz tu w lesie spokój, żeby komponować muzykę? To dlatego się tu przeprowadziłeś? A może masz żal do ludzi?

Ale gdzie teraz jesteś? - myśli Malin. Chcę ci jedynie zadać parę prostych pytań.

Puka do drzwi, dzwoni, ale nigdzie nie widać gospodarza.

Próbuje zajrzeć przez okno, ale zasłony są zaciągnięte.

No tak. Samochodu nie ma.

Odwraca się, patrzy w stronę lasu, zastanawia się, gdzie może być Anders Dalström. Może jest w warsztacie? Podchodzi tam, ale brama jest zamknięta. Otworzyć ją? Nie. A może powinnam? Nie, to by było wtargnięcie.

Znów patrzy w stronę lasu.

Obserwuje ją ze skraju lasu. To ona. Ta policjantka. Jest sama. Ale dlaczego? Wydawało mu się, że zawsze jeżdżą parami, dla bezpieczeństwa. Czego szuka w warsztacie? Myśli, że tam stoi golf? Tam go mam. A może szuka jakiegoś innego samochodu?

Powinienem do niej podbiec?

Co ona tu robi? Powinna szukać gdzie indziej. Ale może przyjechała, żeby zadać mi kilka pytań?

Teraz znów patrzy na las, w jego stronę, a on przypada do ziemi, czuje wokół siebie mokre świerkowe gałązki, długie kosmyki włosów opadają mu na oczy.

Widziała mnie? Nie mogła mnie widzieć. I co teraz robi? Wygląda, jakby fotografowała swoją komórką tabliczkę z moim nazwiskiem na drzwiach.

Czy ktoś tam jest, na skraju lasu?

Malin nie jest pewna. Chowa telefon. Może to Anders Dalström, który był w lesie na polowaniu albo zbierał grzyby czy

coś takiego i teraz wraca do domu? Ale mnie zobaczył i nie chce się ze mną spotkać.

Pistolet.

Ma go przy sobie. Pokazywała go podczas prelekcji przed południem, wie, że widok prawdziwej broni zawsze wzbudza zainteresowanie u młodych ludzi.

Coś zielonego w całej tej szarości.

Idzie w stronę lasu, mija podmokłe pole i czuje, jak jej buty przemakają, ale chce sprawdzić, co widziała.

Znowu jakiś ruch; coś przemyka przez las, oddalając się od niej.

Człowiek? Lis?

Nie sposób powiedzieć. Malin wyciąga pistolet z kabury. Idzie w stronę lasu, w ciemność pomiędzy drzewami.

Anders Dalström przemyka przez las, jego długie, czarne włosy są mokre od deszczu.

Nie może mnie zobaczyć. Co ona tutaj robi? Jak bym wyjaśnił, że unikam spotkania z nią?

Ale wie, dokąd może pójść. Zaledwie dwadzieścia metrów dalej jest wielki, stary korzeń powalonego drzewa, jest pod nim jama, niewidoczna, jeśli się o niej nie wie.

Wpełzam do niej, jak młode węże we mnie.

Przemoczony na wylot. I zmarznięty. Ale to nie ma teraz żadnego znaczenia. W dół, do jamy. Mam nadzieję, że drzewo mnie nie przywali. W jamie przykryć się świerkowymi gałązkami, pieprzyć oddychanie.

Gdzie on jest? Albo gdzie jest to, co widziałam?

Malin bada grunt w lesie, ale nie widać żadnych śladów, bo deszcz przygiął do ziemi całą roślinność, tworząc chaotyczną plątaninę.

Las jest cichy i pusty, słychać tylko jej oddech i wiatr szumiący w koronach drzew.

Dalej widzi korzeń obalonego drzewa.

Idzie w jego stronę.

Ktoś tu był? Ktoś tu jest? Kilka dużych, zimnych kropli deszczu spada jej na kark. Podnosi wzrok. Wysoko między świerkami przelatuje sowa.

Musiało mi się przywidzieć.

Nikogo tu nie ma.

Gdy Anders Dalström słyszy, że Malin uruchamia silnik i odjeżdża, wyslizguje się ostrożnie ze swojej kryjówki, biegnie na skraj lasu i upewnia się, że znów jest sam.

Potem biegnie do domu.

Rozważył wszystkie za i przeciw, próbował zrozumieć, co się dzieje, pragnie, żeby wciąż jeszcze dało się to powstrzymać, a równocześnie chce, żeby to się skończyło raz na zawsze, chce wygnać młode węże ze swojej krwi, poczuć spokój, który nadchodzi, gdy podnosi rękę.

Klucz w zamku.

Drżące dłonie.

Zamek zgrzyta i Anders myśli, że trzeba go naoliwić, powinien był to zrobić już dawno temu.

Otwiera drzwi i wbiega do dużego pokoju, staje przed szafą na broń. Widzi strzelbę, którą przechowuje tu dla ojca, ojciec nie może jej używać już od wielu lat, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby pozwolić, by to on mógł jej używać.

Malin trzyma kierownicę jedną ręką, drugą wysyła do Karin Johannison zdjęcie wypisanej odręcznie tabliczki na drzwiach Andersa Dalstroma.

„Porównaj ten charakter pisma z tym w liście szantażysty. Teraz. Jak tylko będziesz wiedziała, daj znać. MF”.

Deszcz zalewa przednią szybę. Wkrótce widzi przed sobą zarysy Linkópingu. Miasto wygląda, jakby zapadało się w swoje ścieki, miejsce, które opuściły nawet szczury.

Łeke przy biurku. Jego głowa jest nieogolona, czarne włoski sterczą na wszystkie strony jak małe, ostre kolce.

- Doszłaś do czegoś? - pyta, gdy Malin siada na swoim miejscu.

- Nie wiem. Dasz radę słuchać, jak myślę na głos?

- Dam radę.

Telefon Malin piszczy. Karin? Tak szybko? Malin odczytuje wiadomość na wyświetlaczu. „Sprawdź od razu. Karin”. Zeke się uśmiecha.

- Od Karin?

Malin odwzajemnia uśmiech.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Niezbadane są ścieżki Pana, Malin.

- Chodźmy się napić kawy. Siadają przy stoliku na uboczu.

- Pozwól, że najpierw ci powiem, że Christina Fagelsjő nie znalazła kluczy Fredrika - mówi Zeke. - Więc najprawdopodobniej było tak, że morderca użył jego kluczy, żeby otworzyć kaplicę, pewnie Fredrik miał je przy sobie.

Malin kiwa głową.

- Anders Dalström - mówi po chwili. - Andreas Ekström, który zginął w tym wypadku samochodowym, był jego je dynym przyjacielem. Opiekował się nim, jak powiedziała mi matka Andreasa Ekstroma. Pomyśl. Wygląda na to, że jego życie stanęło w miejscu, kiedy Andreas zginął. A jeśli w jakiś 415

sposób się dowiedział, że to Jerry Petersson prowadził? Jeśli on i Jonas Karlsson spotkali się w jakiejś knajpie i Karlsson powiedział mu prawdę o tej sylwestrowej nocy, ale potem tego nie pamiętał, albo jeśli dowiedział się w jakiś inny sposób... Być może na początku zaakceptował, że to był wypadek, ale potem, gdy o wiele później dowiedział się, że to Petersson prowadził, mógł zobaczyć to w zupełnie innym świetle. Petersson był przecież pijany, a w takim wypadku mamy do czynienia z poważnym przestępstwem.

- I Dalström teraz zapragnął się zemścić?

- Tak. Być może. Możliwe, że zanim Andreas przyszedł do jego klasy, inni mu dokuczali. Może jest w nim mnóstwo tłu mionej przemocy, która teraz zaczęła znajdować ujście. A jeszcze bardziej możliwe, że chciał szantażem wyciągnąć pieniądze od Jerry'ego Peterssona. Może tamtego ranka pojechał do Skogsa, żeby go przycisnąć, coś poszło nie tak i zrobiło się zamieszanie. Zabił Peterssona. Być może Dalström poczuł, że przemoc uczyniła go silniejszym? Że poczuł jakąś przyjemność i kiedy już zaczął dźgać go nożem, nie był w stanie prze stać? I ta agresja...

Zeke patrzy na nią sceptycznie.

- Ale dlaczego dopiero teraz? Petersson mieszkał przecież w Skogsa od półtora roku. Nawet jeśli Karlsson wygadał się dopiero ostatnio, Dalström nie jest typem mściciela, Malin. Nie wygląda na wystarczająco energicznego i dość odważnego, żeby szantażować kogoś o pieniądze. A poza tym sprawia dość dobronudne wrażenie.

- Może i tak - mówi Malin, ale w wypadku ofiar prześladowania, jeżeli się do nich zalicza, mówi się, że z wiekiem często nabywają skłonności do przemocy. - Co tak właściwie o nim wiemy?

Zeke kiwa głową.

- To się może zgadzać - mówi. - Ale Fredrik Fagelsj? Jak to wyjaśnisz? Czy może za tym drugim morderstwem stoi ktoś inny?

- Przyszła mi do głowy taka myśl, że Anders Dalström za-
416 mordował Fredrika Fagelsj z tego prostego powodu, żeby

odwrócić podejrzenia od siebie i skierować je na tę rodzinę. A oni zdecydowanie mieli powody, żeby nie przepadać za Fredrikiem. To może wyjaśniać rozmowę Daniela z jakimś natrętnym informatorem.

- To teraz jeszcze Daniel?

- Zamknij się.

- Dobra. Ale jaką rozmowę?

Malin opowiada o rozmowie Zekemu, który tylko unosi brwi.

- Mimo wszystko to zbyt mgliste - mówi. - Czy ktoś może popełnić dwa morderstwa ot tak, po prostu?

- Ludzie zabijają z o wiele mniej ważnych powodów. I mogło mu się to spodobać po pierwszym morderstwie. Przemoc stała się wentylem, którego potrzebował. I być może da się wyjaśnić różnicę w sposobie popełnienia przestępstwa tym, że stał się odważniej szy, kiedy udało mu się nie wpaść po pierwszym morderstwie.

- Więc naprawdę myślisz, że Anders Dalström mógł rytualnie zamordować Fredrika Fagelsjő, żeby ratować własną skórę? Że odnalazł w sobie niezbędną do tego przemoc?

Malin kiwa głową.

- Ale czy to wystarczy, Malin? Obnażone zwłoki na rodzinnym grobie. Rzadko mieliśmy do czynienia z czymś poważniejszym.

- Wciąż brakuje jakiegoś kawałka układanki. A może kompletnie się mylę? Mam wrażenie, że trudno mi przejrzeć myśleć. Za dużo tego gówna.

-Faktycznie istnieje niewielka możliwość, że stoi za tym rodzina Fagelsjő. Fredrik mógł zamordować Jerry'ego, a Axel i Katarina mogli zlecić komuś zamordowanie Fredrika. Albo Goldman przysłał zabójcę. A może chodzi o coś zupełnie innego.

- Może - mówi Malin.

- A Anders Dalström ma alibi. Podobno pracował w obie te noce, kiedy popełniono morderstwa.

- Zadzwoń tam jeszcze raz - oświadcza Malin.

- Jedźmy tam. Poprosimy ich, żeby dokładnie to sprawdzili - proponuje Zeke.

Pielęgniarka w ośrodku opieki w Bjorsater przyjmuje Malin i Zekego w pomieszczeniu dla personelu, jasnym pokoju z widokiem na niski świerkowy las. Na ścianie wisi pstrokata, haftowana tkanina, na pewno wykonana przez kogoś z pensjonariuszy w ramach ergoterapii.

- Nie - mówi pielęgniarka. - Anders Dalström dziś nie pracuje. Najczęściej ma nocki.

Malin kiwa głową.

Chodzi niecierpliwie w tę i z powrotem po ciasnym, pozabawionym okien pokoju, patrzy na opakowania z tabletkami stojące w szeregach za zamkniętymi, szklanymi drzwiami.

- Już wcześniej dzwoniłam i pytałam, ale chcielibyśmy za pytać jeszcze raz. Czy pracował w nocy z czwartku dwudzie stego trzeciego października na piątek dwudziestego czwarte go? I w nocy z czwartku na piątek w zeszłym tygodniu?

Pielęgniarka sięga po teczkę na niskim regale. Otwiera ją i czyta uważnie, jakby chciała pokazać, że poważnie traktuje pytanie Malin.

- Według grafiku pracował w obie te noce.

- Według grafiku?

- Tak. Czasem się zamieniają, nic mi o tym nie mówiąc. To wbrew przepisom, ale dopóki wszystko dobrze funkcjonuje...

Malin pyta:

- Mogłaby mi pani zrobić przysługę? Może pani sprawdzić, czy nie zamienił się z kimś w któryś z tych dni?

Pielęgniarka kiwa głową.

- Mogę zadzwonić do pozostałych pracowników z nocnej zmiany. Ale w tej chwili większość z nich śpi. Czy to pilne?

- Bardzo pilne - mówi Zeke.

Pięć minut później zrezygnowana pielęgniarka rozkłada ręce.

- Nikt nie odbiera. Śpią. Może oddzwonię do pani później, po południu?

- Proszę tak zrobić - mówi Malin. - Wie pani, gdzie może być Anders Dalström?

- Dziś w nocy nie pracował. Ale na pewno jest w domu.

- Byłam tam jakąś godzinę temu. Nie było go.

- Próbowala pani dzwonic na komorkę?
- Nie odbiera - mowi Malin.
- Nie? To moze spróbujcie sprawdzic u jego ojca. Mieszka w ośrodku opieki w mieście. Jest niewidomy i Anders czasem do niego chodzi.

- Jaki to dom opieki? - pyta Zeke.

- Serafen.

Serafen, myśli Malin. Ten sam, w którym przebywa niewidomy Sixten Eriksson, ten pobity przez Axela Fagelsjó. Malin i Zeke spoglądają po sobie.

- Wie pani jak się nazywa jego ojciec?

- Sbcten - mówi pielęgniarka. - Sixten Eriksson.

Oixten Eriksson siedzi na sofie w pokoju w domu opieki Se-rafen, zapatrzonej w swoją ciemność, nie musi patrzeć na tanie reprodukcje na ścianach. Woń tytoniu teraz jest jeszcze intensywniejsza niż przy pierwszej wizycie.

Nie chce odwrócić się w naszą stronę, myśli Malin, chociaż nic nie widzi.

Jej rozmowa z Zekem w samochodzie, w drodze do domu Andersa Dalstróma, po wizycie w ośrodku w Bjórsater.

- To mu niewątpliwie daje podwójny motyw - stwierdza Zeke.

- Zemsta za krzywdę wyrządzoną jego ojcu, poprzez zamordowanie Fredrika Fagelsjóa, syna człowieka, który się tej krzywdy dopuścił.

- Ale dlaczego teraz? - pyta Zeke.

- Jak już mówiłam, przemoc mogła mu się spodobać, zakładając, że morderstwo Peterssona było próbą wymuszenia i coś poszło nie tak. A kiedy już raz się zabiło, można to zrobić po raz drugi. Granica została przekroczona. Być może miał też nadzieję, że uda mu się jeszcze bardziej wprowadzić nas w błąd i tym sposobem uratować własną skórę.

- Uwielbiasz ludzi, prawda? - stwierdza Zeke.

- Nikt nie wie, gdzie przebywa.

Tym razem Andersa Dalstróma też nie było w domu. Zadzwonili do komisariatu. Sven powiedział, że roześle za nim list gończy, bo nawet jeśli się okaże, że to nieistotne, i tak mu-420 szą z nim porozmawiać.

A teraz Sixten Eriksson w swoich ciemnościach. Sam. Tu też nie ma Andersa Dalstróma.

- Evaldssona wymyśliłem. Svena też - mówi Eriksson. - Anders przybrał nazwisko Dalstróm, po matce. Nie wiem, co zrobił albo czego nie zrobił, ale cokolwiek by się stało, i tak nie naślę na niego poliği. Pewnie, że chronię chłopaka, zawsze go chronięm.

- Myśli pan, że pański syn mógł zamordować Fredrika Fagelsjó w ramach zemsty za to, że pana pobito?

Malin stara się, by w jej głosie brzmiała ciekawość, łagodność.

Ale mężczyzna nie odpowiada.

- Myśli pan, że mógł zamordować Jerry'ego Peterssona? Głos Zekego jest ostry, agresywny.

- Ból musi znaleźć jakieś ujście.

- Mówił coś? - pyta Malin.

- Nie, nic nie mówił.

- Wie pan, gdzie może być?

Sixten Eriksson wyśmiewa pytanie Zekego.

- Gdybym wiedział, gdzie jest, i tak bym wam nie powiedział. Czemu miałbym to zrobić? Ale często tutaj bywał. Czy to nie dziwne u dzieci, że niezależnie od tego, co rodzice im zrobili, i tak biegną do nich po miłość i oparcie?

Malin i Zeke patrzą w niewidome oko starego mężczyzny i Malin ma wrażenie, że widzi ono w tej chwili więcej niż jej oczy. Tak jakby w jego zamglonej soczewce kryła się pewność, jak zakończy się ten zły jesienny spektakl, jakby mężczyzna siedzący naprzeciwko poprzez własny ból oddał się nienawiści i złu.

- A więc bił go pan? - pyta Malin. - Bił pan Andersa, kiedy był mały?

- Wiecie, jak to jest, w ogóle nie widzieć głębi? - pyta Sixten Eriksson. - Mieć nerwobóle, które wżerają się prosto w mózg, na okrągło przez całą dobę? - Po chwili dodaje: - Mam nadzieję, że teraz, kiedy jego syn nie żyje, Axel Fagelsjó cierpi najgorsze piekielne męki. Wreszcie pozna ból tego życia.

- Prosił pan syna, żeby zamordował kogoś z rodziny Fagelsjó? Fredrika? Axela?

- Nie. Ale myślałem o tym. Muszę to przyznać.

Szukanie po regałach. Moje dłonie, tata miał zwyczaj bić je linijką.

Widzisz moje oko, chłopcze?

Co mi jest potrzebne?

Anders Dalström chodzi między regałami w sklepie żelaznym przy centrum handlowym w Ekholmen. Kebab, który dopiero co zjadł, przewraca mu się w żołądku.

Lina.

Taśma samoprzylepna. Inni ludzie patrzą na mnie, czego ode mnie chcą? Broń została w samochodzie. Teraz doprowadzę to do końca i to będzie piękne, policja go znajdzie, będzie się dziwić, nie będą wiedzieć, co z tym zrobić.

Zabiję go. Przecież od niego się zaczęło, prawda? Może tacie się to spodoba.

Anders Dalström czuje, że ostatnie młode węże wkrótce opuszczą jego ciało. A wtedy wszystko będzie dobrze, tak jak powinno być. Andreas, myśli, widzisz mnie teraz?

Usunę korzeń wszelkiego zła.

Płaci. Wsiada do samochodu, rusza w kierunku Drottning-gatan.

Niektóre głosy są jak smagnięcie batem, myśli Malin. Wdzierają się w najbliższe miejsca człowieka.

- Tu Jochen Goldman - powtarza głos.

Świnia.

Malin czuje telefon przy uchu i krople deszczu na dłoni, stoi przy Djurgardsgatan, pod domem opieki Serafen.

Ale równocześnie, kiedy słyszy jego głos, czuje jakieś dziwne ciepło. Ciepło w zupełnie niewłaściwych częściach ciała.

Jego opalona twarz nad basenem. Twardość i miękkość takich mężczyzn jak on i Petersson.

- W czym mogę pomóc?

Wolną ręką Malin otwiera drzwi samochodu, opada na siedzenie, trzyma komórkę tuż przy uchu, słucha oddechu Jo-chena Goldmana.

- Zdjęcia - mówi.- To ty zrobiłeś i przysłałeś zdjęcia moich rodziców, prawda? Ty kazałeś je zrobić.

- Jakie zdjęcia?

Widzi przed sobą uśmiech Goldmana. To oznacza zabawę, możemy przecież się trochę zabawić, ty i ja. -Wiesz jakie...

- Nic nie wiem o żadnych zdjęciach. Twoich rodziców? Po co miałbym im robić zdjęcia? Nawet nie wiem, gdzie mieszkają.

- Jesteś w Szwecji? -

Tak.

- Byłeś w Linköpingu?

- A co miałbym tam do roboty?

- Wysłałeś list z szantażem do Jerry'ego Peterssona? Próbowalesz wymusić od niego pieniądze?

- Pieniądzy mam więcej, niż mi potrzeba. Jeżeli to w ogóle możliwe.

Niebo znów się otworzyło. Grad, drobne białe ziarenka stukają rytmicznie w karoserię samochodu.

- Słuchasz jakiejś murzyńskiej muzyki?

- To grad - mówi Malin.

- Gdybym chciał coś zrobić w Linköpingu, chyba nie musiałbym tam jechać osobiście, prawda?

Aluzje, ślizganie się.

- Czego chcesz?

-Jestem w hotelu Grand w Sztokholmie. Wynająłem apartament. Pomyślałem, że może miałabyś ochotę tu przyjechać. Mogłoby być milutko. Pilibyśmy szampana i pstryknęli parę zdjęć. Tylko ty i ja. Co ty na to?

Malin się rozłącza.

Zamyka oczy.

Ma wątpliwości, czy Jochen Goldman w ogóle istnieje. Czy jej rodzice istnieją. Czy w ogóle istnieje jakiegokolwiek wytłumaczenie działań któregoś człowieka.

Mijają drzwi budynku przy Drottninggatan, w którym mieszka Axel Fagelsjo. Żadne z nich nie widzi długowłosej postaci, która wślizguje się przez nie jak cień.

Jochen.

Ty i te twoje podle gierki. Jednak w jakiś sposób w końcu mnie dopadłeś, prawda, nigdy nie wybaczasz wyrządzonej ci krzywdy. Choć sam często wyrządzasz je innym. Teraz unoszę się nad równiną i lasami, nad zamkiem i polem, gdzie doszło do wypadku, unoszę się nad domem dzierżawcy Lindmana, widzę, jak jego rosyjska żona pakuje walizki, szybciej, szybciej, pojedzie w inne miejsce, z innym facetem, weźmie ponad połowę tego, co Lindman posiada, tak jak planowała od samego początku.

Lindman.

To ja zerznąłem jego pierwszą babę, kiedy była na konferencji w Sztokholmie. Znalazłem ją przy barze w Baldakinen, jak ona krzyczała na górze, w kancelarii przy Kungsgatan. Po czymś takim pewnie już nie mogła znieść smrodu nawozu.

Skontaktowano się ze mną. Tak jak obiecano w tamtym liście.

Pamiętam, że sygnał telefonu poprzedzający rozmowę, w której wezwano mnie na parking przy Ikea, przypomniat mi tamte jej krzyki. Tak jakby sygnały w całej swojej bezpretensjonalności chciały rozsadzić mi błonę bębenkową w uchu.

LINKOPING, WRZESIEŃ

Jerry stoi przy swoim ranę roverze w jednym ze środkowych rzędów na niemal pustym parkingu przy Ikea w Torn-by słyszy deszcz bębniący o dach samochodu. Tym swoim upartym, natarczywym bębnieniem odgłos spadających kropli przypomina sygnały telefonu, które wezwały go tutaj. Parking z całą pewnością może pomieścić z tysiąc samochodów, ale w późny deszczowy wieczór, taki jak ten, jest niemal pusty.

W ciemności świecą szyldy sklepów: Ica Maxi, Siba, Coop Forum.

W oddali widać zieloną od patyny wieżę katedry, cyfry na zegarze prześwitują przez zasłony nocnej mgły i niskie czarne chmury.

„Czekaj przy samochodzie. Przyjdę do ciebie o jedenastej”.

I Jerry patrzy na zegarek, ociera oczy z kropel deszczu, wie, jak się zająć tą sprawą.

Wtedy widzi samochód skręcający na parking, czerwonego golfa, który po chwili zatrzymuje się obok niego, wysiada mężczyzna w jego wieku.

Czy to ty, Jonas? - myśli Jerry. Jonas Karlsson, który uratował mnie dawno temu.

Nie. To nie Jonas. To ktoś inny.

Nie czekając, aż mężczyzna w zielonej kurtce zacznie mówić - 425

wiść, Jerry rzuca się na niego, przyciska go do przednich drzwi range rovera, zaciska ręce na jego gardle i syczy:

- Co ci się, kurwa, wydaje? Kim ty, kurwa, w ogóle jesteś? Myślisz, że pozwolę tak ze mną pogrywać?

A mężczyzna w zielonej kurtce osuwa się w dół, jego ciało wiotczeje ze strachu i mówi:

- Nie chciałem tak. Przepraszam. Nie o to chodziło.

- To, co napisałeś o tamtej nocy sylwestrowej, to nieprawda.

- Tak. Pomyliłem się.

- Jak się tego dowiedziałeś?

- Z listu.

- Od kogo?

Uścisk dłoni na gardle, coraz mocniejszy, głos mężczyzny coraz słabszy.

- Nie wiem. Ale na liście był stempel z Teneryfy.

Jochen.

- A ty kim jesteś?

- Kimś, kto wszedł ci w drogę. Tak, że nawet nie zauważyłeś.

Facet w zielonej kurtce podaje swoje nazwisko, a Jerry szuka w pamięci, ale nie pojawiają się żadne obrazy.

- Mam w dupie, kim jesteś. - Z całej siły ciska na ziemię mężczyznę w zielonej kurtce. Kopie go, krzyczy: - Coś ty, kurwa, za jeden?

A mężczyzna znów stęka swoje nazwisko, mówi:

- Andreas Ekström był jedynym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem.

Jochen.

Punta del Este. Powinienem być trzymać głowę na kłódkę. Bóg raczy wiedzieć, jak znalazłeś tego żalostnego typa. Ale jeśli się tylko chce, można się dowiedzieć wszystkiego, prawda?

Jeszcze parę kopniaków. Trafiają w miękkie ciało pod zieloną kurtką, i to dobre uczucie.

- A teraz chciałeś pieniędzy co? Moich pieniędzy, co? Trzymaj się ode mnie z daleka. Bo inaczej to się bardzo źle skończy.

Znowu jęki, deszcz, jak czarno-biała masa w powietrzu. Jerry zostawia mężczyznę za sobą, widzi we wstecznym lusterku, że wije się na asfalcie, próbuje się podnieść.

Znów w domu, w swoim wielkim, pustym zamku, wybiera numer na swojej komórce, chce zadzwonić do kobiety, która czeka, żeby usłyszeć jego głos.

Ale ta rozmowa nigdy się nie odbywa, pozostaje niesłyszalnym szeptem w głowie Jerry'ego. Zagłusza ją dźwięk kręcących się, żarłocznych ostrzy kosiarki, tupot stóp na trawie, stóp, które nigdy nie są w stanie ponieść ciała ani dość daleko, ani dość blisko.

Axel Fagelsjo słyszy dzwonek u drzwi, słaby niczym wołanie o pomoc z jakiegoś dawno zapomnianego snu.

Kto to, u diabła, może być tym razem? - myśli, przechodząc przez salon obok portretów swoich przodków.

Znowu policja? Nie mogą mnie zostawić w spokoju? W spokoju, ze wszystkimi moimi wadami i niedoskonałościami, z całą tą miłością, którą straciłem?

Pieprzeni dziennikarze? Był zmuszony wyłączyć telefon i dzwonek do drzwi. Ale potem znów go podłączył. Miał nadzieję, że się nim zmęczą, ta czwarta władza w państwie.

Smutek.

Po tobie, Bettino, po naszym synu - tylko to mi teraz zostało.

Chcę, żeby zostawili mnie w spokoju z tym smutkiem.

Teraz dźwięk dzwonka jest przenikliwy i ostry. Jakiś akwizytor? Świadek Jehowy?

Axel Fagelsjo patrzy przez wizjer, ale nikogo tam nie ma.

Co, u diabła?

Patrzy jeszcze raz.

Na klatce schodowej jest pusto i cicho. Teraz mnie chce ktoś dorwać? Ma czas jeszcze pomyśleć, gdy drzwi otwierają się gwałtownie, trafiają go prosto w czoło, tak że zatacza się do tyłu.

Leżąc na parkiecie, patrzy prosto w lufę sztucera. Widzi długie, czarne włosy i parę oczu wypełnionych tęsknotą, de-428 speracją i samotnością.

Dom na polanie wciąż jest pograżony w ciemności i ciszy.

Gdy światło dnia nie oświetla fasady, wydaje się jeszcze bardziej niepokojący, tak jakby miał runąć pod ciężarem wszystkich smutków, które musi w sobie mieścić.

Malin i Zeke zatrzymują samochód. Nigdzie nie widać czerwonego golfa Andersa Dalstróma.

Wysiadają i Malin węszy w powietrzu, oddycha, próbuje wyczuć, czy jest tu ktoś prócz nich.

- Nie ma go tu - mówi. - Gdzie on, do diabła, może być?

Wchodzą po stopniach, zaglądną przez szybę we frontowych drzwiach.

Na stole w dużym pokoju migocze komputer. Malin naciska klamkę. Drzwi są otwarte.

- Nie możemy wejść - mówi Zeke. - Musimy dostać zgodę na przeszukanie domu.

- Jaja sobie robisz?

- Tak, nabijam się z ciebie, Fors. Drzwi są przecież otwarte.

Podejrzewamy włamanie.

Wchodzą do środka.

Szafa na broń w dużym pokoju.

Malin chwyta jej drzwiczki; nie są zamknięte. W środku samotna śrutówka. Na dnie szafki amunicja do sztucera, ale sztucera nigdzie nie widać.

Ma jeszcze inną broń, myśli Malin i mówi:

- Gdziekolwiek teraz jest, może być uzbrojony.

Wchodzi do sypialni Andersa Dalstróma. Żaluzje są opuszczone, w pokoju jest ciemno, zimno i wilgotno.

Na ławce stoi projektor, na podłodze porozrzucone w nieładzie szpule z wystającymi taśmami filmowymi. Jeden z filmów jest zamontowany w projektorze. Nie zastanawiając się, Malin włącza go i na białej ścianie widzi chłopca biegnącego po trawie, krzyżącego bezgłośnie, tak jakby przed czymś uciekał, tak jakby kamerę trzymał jakiś potwór, gotów go pożreć, jeśli się potknie albo będzie biegł zbyt wolno.

I wtedy chłopiec się zatrzymuje. Odwraca się w stronę kamery i szuka czegoś wzrokiem poza obrazem, kuli się, jakby

ktoś go miał uderzyć, czarne źrenice jego oczu jak małe planety strachu.

Szpula się kończy.

Zeke stanął cicho za Malin, kładzie rękę na jej ramieniu, mówi:

- Wolałbym tego nie oglądać.

Wychodzą z pokoju. W kuchni stoi komputer, otwarta strona z informacjami teleadresowymi, i Zeke odczytuje na głos z monitora:

-Axel Fagelsjő. Drottninggatan osiemnaście. Co on kombinuje?

- Axel Fagelsjő - mówi Malin. - Chce teraz napaść na tego, kto według niego jest przyczyną całego zła? Człowieka, który pobił jego ojca i zrobił z niego sadystę znęcającego się nad dzieckiem?

Twarz Zekego w słabym świetle monitora, krople deszczu na jego łysej głowie.

- Jesteś pewna?

- Tak. A ty nie? Zeke

kiwa głową.

- Zadzwonimy, żeby przysłali posiłki do mieszkania Fagelsjő?

- Zróbmy tak.

- Dzwonię - odpowiada Zeke, i Malin słyszy, jak rozmawia z centralą, potem zostaje przełączony do Svena Sjómana.

- Uważamy, że to pasuje - mówi Zeke, a Malin zauważa, że stara się, by jego głos brzmiał ponagląco i z przekonaniem. - Szybko się to potoczyło. Nie zdążyliśmy zadzwonić wcześniej. Karin porównuje charakter pisma.

Cisza.

Pewnie jednocześnie pochwały i bura od Svena. Powinni byli zadzwonić wcześniej, już wtedy, kiedy się dowiedzieli, że Sbcen Eriksson jest ojcem Andersa Dalstróma.

- Kto wie, co może mu przyjść do głowy - mówi Zeke. - W tej chwili musi być zdesperowany.

Wychodzą na zewnątrz, Malin idzie do warsztatu. Drzwi są uchylone. Zeke jest tuż za nią. Może jest tu, w środku? Malin wyciąga broń. Delikatnie otwiera nogą drzwi.

Stary czarny mercedes.

Rozgląda się po warsztacie. Pusto i cicho.

- To może być ten ciemny samochód, który widziała Linnea Sjöstedt - stwierdza Zeke.

Malin kiwa głową.

Minutę później znów siedzą w volvo.

Prędkość sprawia, że las i deszcz stapiają się w jedno. Czy Anders Dalström jest w mieszkaniu Axela? A może zupełnie gdzie indziej?

Jerry Petersson.

Fredrik Fagelsjő.

Czy to arogancja was dosięgła? Wasze czyny? Wasza próżność? Wasz strach? A może coś innego?

Na miejscu, w mieszkaniu przy Drottninggatan, jest już Sven Sjöman i czterech policjantów z patrolu. Otworzyli drzwi wytrychem. W mieszkaniu jest pusto, nigdzie nie widać Axela Fagelsjő ani żadnych śladów walki.

Malin i Zeke dojeżdżają na miejsce kwadrans później.

- Dobra robota - mówi Sven do Malin, gdy już stoją w salonie i patrzą na portrety na ścianach. - Cholernie dobra robota.

- Teraz pozostaje nam już znaleźć tylko Andersa Dalströma - odpowiada Malin. - I konkretne dowody obciążające.

- Znajdziemy je - mówi Sven. - Wszystkie poszlaki wskazują na niego.

- Ale gdzie on jest? - zastanawia się Zeke. - I gdzie, u diabła, jest Axel Fagelsjő?

- Są razem - mówi Malin. - Myślę, że byli razem już od dawna, choć żaden z nich tego nie rozumiał - dodaje po chwili. Myśli: Jeśli Axel Fagelsjő jest w rękach Andersa Dalströma, mam obowiązek spróbować go uratować. Ale czy jest wart tego, żebym się przejmowała, co się z nim stanie? Jak mam współczuć komuś, kto pod tyłoma względami wydaje mi się obrzydliwy?

Dzwoni jej telefon. Po drugiej stronie spokojny, wyniosły głos Karin Johannison:

- Charakter pisma na tabliczce na drzwiach i w tym liście z szantażem jest ten sam. List napisała ta sama osoba.



ANDERS DALSTRÓM, OBRAZY Z ŻYCIA

I Nie ma żadnego wytłumaczenia.

Wytłumaczenia nic nie dają, nikomu i tak nie chce się ich słuchać.

Ale to jest moja historia, wysłuchaj mnie, jeśli chcesz.

Ojciec.

Twoje jedyne sprawne oko za soczewką kamery, mówisz, że zdjęcia będą przypominać sposób, w jaki widzisz świat bez postrzegania głębi i bez prawdziwej nadziei. Czy odziedziczyłem twoją beznadzieję? Twoje zwątpienie wobec życia?

Musiałeś być najbardziej zgorzkniałym i sfrustrowanym człowiekiem na ziemi i wyładowywałeś tę złość na mnie, a ja nauczyłem się wymykać, znikać z mieszkania w Linghem i trzymać się z dala, dopóki się nie uspokoisz.

Ludzie mnie widzieli, mówiło się o tym, jak w swoim rozgoryczeniu z powodu chorego oka i bólu biłeś mnie i mamę.

Widziałem cię, ojczu, za kamerą i biegłem do ciebie, mimo całej twojej złości, ale instynktownie wahałem się i wątpiłem, i to zwątpienie przenieśliem na innych ludzi.

W szkole z początku byłem samotny, potem zaczęli mi dokuczać i żadnemu nauczycielowi nie chciało się tym przejmować. Gonili mnie, bili, szydzili ze mnie, a ja wycofywałem się w kąt. Pewnego dnia, w czwartej klasie, te potwory zdarły 432 ze mnie ubranie i biegałem nago po śniegu na szkolnym po-

dworku, a oni mnie gonili przed tysiącem oczu, i upadłem, a oni kopali mnie, gdy leżałem.

Wciągnęli mnie do szkolnego budynku. Wcisnęli moją głowę do toalety pełnej moczu i odchodów.

Zrobili to jeszcze raz i jeszcze raz, i w końcu nie próbowałem już nawet uciekać. Mogli zrobić swoje, a moja uległość sprawiała, że byli jeszcze bardziej wściekli, dzicy, żądni krwi.

Co im zrobiłem? Dlaczego właśnie ja?

Z powodu tych skulonych ramion, które mi dałeś, ojcze? Tych ramion, które obaj mamy?

„Przestańcie”, krzyknął ktoś pewnego dnia, a potem nad ścigającymi pojawiło się czyjeś umięśnione, pewnie poruszające się ciało, ktoś rozbijał im nosy do krwi, krzyczał: „Nigdy więcej mu nie dokuczajcie! Nigdy!”

I już tego nie robili.

Wreszcie znalazłem sojusznika.

Andreas.

Dopiero co przeprowadził się tu z Vreta Kloster.

Polubiłem go już pierwszego dnia, gdy pojawił się w szkole. Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego chciał być moim przyjacielem, ale taka jest chyba przyjaźń, dokładnie tak jak zło, pojawia się nagle tam, gdzie człowiek się jej najmniej spodziewa.

Przez te lata żyłem poprzez Andreasa, a jego rodzina czasami otwierała przede mną drzwi swego domu, pamiętam zapach bułeczek i świeżego soku malinowego, jego mamę, która pozwalała nam bawić się w spokoju. Co robiliśmy? To, co robią chłopcy. Zmienialiśmy mały świat w wielki i spędzałem mało czasu w domu. Nie mogłeś mnie osiągnąć, ojcze. Dzięki Andreasowi.

Twoja zgorzkniałość nie wgrzyła się we mnie, prawda? A może jednak? Tak, już się we mnie zakorzeniła.

Biłeś mnie, a ja garnałem się do tego, co było poza ciosami, wydawało mi się, że musi istnieć coś prócz nich.

Muzyka. Odnalazłem muzykę, nie pytaj mnie jak, ale była we mnie. Gdzieś głęboko we mnie, a Andreas mnie zachęcał,



pewnego lata kupił mi gitarę za pieniądze, które zarobił na zbieraniu truskawek.

Ale potem, gdy zaczęliśmy chodzić do szkoły średniej, coś się wydarzyło. Andreas się ode mnie odsunął, chciał się zadawać z innymi ludźmi oprócz mnie, odrzucił mnie, gdy jego świat urósł, ale ja nigdy nie straciłem nadziei, bo był moim przyjacielem i nigdy mi się nie udało zbliżyć w ten sposób do kogoś innego.

Przymiłał się do Jerry'ego Peterssona, najfajniejszego z fajnych. Podlizywał się też tej arystokratycznej paczce.

Ich nawet nie było na mojej mapie, w moich marzeniach. Wiedziałem, że nigdy nie będę taki jak oni.

A potem, w pewną sylwestrową noc, Andreas zginął.

Może wtedy się poddałem, ojcze?

Uciekłem w muzykę.

I śpiewałem na ostatnim zakończeniu roku szkolnego piosenkę o tym, jak to jest urodzić się w Linköpingu i dorastać w cieniu wszystkich możliwych marzeń, jak próbowaliśmy imprezowaniem w Tradgardsföreningen wygnać z siebie niepokój w te ostatnie wieczory w szkole średniej, i musiałem uderzyć w jakąś czułą strunę, bo brawa i okrzyki w auli nie chciały się skończyć. Zaśpiewałem tę piosenkę jeszcze dwa razy, a wieczorem wszyscy mnie prosili, żebym zaśpiewał ją na trawniku w Tradgardsföreningen - nawet jedna z najładniejszych dziewczyn.

Nie było cię z twoją kamerą w tej auli, ojcze.

Zacząłem pracować w służbie zdrowia, wynająłem działkę w lesie, żeby móc spokojnie komponować, zostałem tam, musiałem wysłać chyba z setką demo do Sztokholmu, ale nie dostałem żadnej odpowiedzi od Sonet, Polar, Metronome ani innych wytwórni.

Upływał rok za rokiem. Zacząłem pracować w domu opieki w Bjórsater. Często nocą byliśmy tylko we dwóch, spaliśmy na zmianę, nocki mi pasowały, nie musiałem budzić ludzi. A ty dalej mnie biłeś, kiedy do mnie przyjeżdżałeś, choć byłeś już niemal niewidomy z powodu zaćmy.

Mogłem ci oddać, ale tego nie zrobiłem.

Dlaczego? Bo wtedy stałbym się taki jak ty. Przemoc i żal zmieniłyby mnie w ciebie.

A potem umarła mama i wylądowałeś w domu opieki, całkowicie niewidomy. Twoja kamera zamarła na zawsze. Twoja złość stała się spokojną złością, żal spokojnym żalem, a życie czekaniem na śmierć.

Czasem czytywałem artykuły o Peterssonie, o jego sukcesach.

To było tak, jakby coś we mnie rosnęło, jakieś niewidzialne jajo, które stawało się coraz większe, aż wreszcie pękło, uwalniając do mojej krwi miliony żółtych młodych węży. Wszystkie miały twarze moich wrogów. Twoją, ojczyznę, chłopaków ze szkolnego podwórka, a nawet Axela Fagelsjóa. Świetnie wiedziałem, kim był, co ze mnie zrobił.

Chciałem się pozbyć tych węży.

Ale one swobodnie we mnie pęzwały.

I wtedy Jerry Petersson wrócił w rodzinne strony. Kupił zamek i ziemię od Fagelsjóa, a ja dostałem list, Bóg raczy wiedzieć od kogo, i była w nim opisana prawda o tamtej sylwestrowej nocy. Nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy, że to Jerry Petersson mógł prowadzić. W liście były czarno-białe zdjęcia Jerry'ego, który stał na tym polu, nieruchomo, z zamkniętymi oczyma, jakby medytował.

Więc napisałem własny list, ale na parkingu odwaga mnie opuściła. On, który miał wszystko i wszystko mi odebrał, znów mnie zdeptał jak jakiegoś owada.

Ale pozbierałem się.

Przysięgłem bronić samego siebie, drugi raz nie złamię ani mnie, ani Andreasa, postanowiłem zażądać od niego pieniędzy, z którymi nawet nie wiedziałem, co mógłbym zrobić.

I pewnego dnia, wcześniej rano, wsiadłem w samochód i tam pojechałem.

Młode węże syczały, niemal je widziałem, jak pęzają w moim ciele, widziałem ich drwiące twarze, które się ze mnie śmiały.

Czekałem na niego na zamkowym wzgórzu, ściskając w dłoni duży kamień do obrony, a w kieszeni miałem jeden z no-

ży marki Mora należących do mojego ojca. Przemoc wryta na rękojeści, tak często trzymał go w rękę, a pośrodku wypalona pieczęć Skogsa, musiał ukraść ten nóż, kiedy tam pracował.

W dłoni ścisnąłem kartkę.

Młode węże zawrzały w mojej krwi.

Zaroły się we mnie. Były gniewem i strachem zebranych w jedno.

Wiedziałem, że coś dobiegło końca. I że coś innego się rozpocznie.

ratrzę w dół, na ziemię, na wszystkie światy, które historia dała temu miastu i okolicznym ziemiom. Widzę deszcz padający na drzewa, trawę, mech i pradawne skały i wiem, że dużo jeszcze zostało. Widzę samochód zbliżający się do zamku pewnego dnia o świcie, za fosą czeka czarna postać.

Widzę samego siebie -jadę na spotkanie nadchodzącej śmierci, ale o tym nie wiem, a gdy już wiem, jest za późno. Ale teraz, w tej chwili, która może zawierać w sobie całą wieczność, czuję lekkie drżenie kierownicy pod moimi dłońmi.

Jerry patrzy przed siebie we mgle, mocno trzyma trzęsącą się kierownicę. Rangę rover unosi go nad ziemią.

Kto tam na mnie czeka? Czy to ty, Katarino? Wreszcie do mnie wróciłaś?

A może to ktoś inny? Jakiś nachalny sukinsyn. Ale powiedz, że to ty, Katarino. To pewnie ty?

To nie ty, Katarino.

To nigdy nie jesteś ty.

Wysiadam z samochodu i widzę przed sobą Andersa Dal-stróma, ma zdesperowaną minę, jego czarne włosy są mokre, w jednej ręce trzyma jakiś kamień. Nie ustępuję i wbijam w niego wzrok, ale nic się nie dzieje, nie daje za wygraną.

- Chcę pięć milionów! - krzyczy, a ja wybucham śmiechem i mówię:

- Nigdy nic ode mnie nie dostaniesz. Jeśli zaraz stąd nie znikniesz, zmiażdżę cię jak marnego szczura. Będzie jeszcze gorzej niż na parkingu.

Anders Dalstróm wolną ręką wyciąga jakąś kartkę papieru.

- Numer mojego konta! - krzyczy, a deszcz rozmywa atrament na kartce, tak że staje się nieczytelna, a ja znów się śmieję.

438 Daje mi kartkę.

mn

- Pięć milionów. Masz na to tydzień.

A wtedy na moich ustach pojawia się szyderczy uśmiech, ale mam już tego dosyć, zgniatam kartkę i ciskam nią na żwir, mam gdzieś pieprzony kamień Andersa Dalstróma.

On wolną ręką podnosi kartkę, wsuwa ją do kieszeni kurtki.

Odwracam się, żeby odejść, i wtedy słyszę piekielny ryk.

Widzę, jak zbliża się do mnie coś czarnego, czuję ból i upadam. A potem siedzą na mnie całe dziesięciolecia nagromadzonej wściekłości i pali mnie, pali, pali w brzuchu, a Anders Dalstróm odpełza ode mnie, czuję, że mój mózg i myśli znikają w bólu.

Czołgam się po zamkowym wzgórzu, ból w głowie i tułowiu wydaje się najgorszym z możliwych bólów, ogarnia całe ciało jak prastary wiatr.

On mnie zabija, udaje mi się jeszcze pomyśleć, gdy wczół-guję się pod łańcuch biegnący wokół fosy, wydaje mi się, że widzę kamień trafiający w powierzchnię wody.

Czy to krew zalewa mi oczy?

Znów jestem chłopcem, jestem mężczyzną. Jestem z Katari-ną nad jakąś spokojną wodą, może nad strumieniem, i smaruję jej plecy kremem, a ona szepcze mi do ucha słowa w jakimś wymarłym języku.

Wiatr bierze mnie teraz w posiadanie. Spadam. Gdy wpadam do wody w fosie, już nie oddycham. Ostre, lśniące noże kosiarki wreszcie umilkły i otwieram moje nowe oczy.

70

^Lubiłem twojego syna, a teraz zabiję cię! - krzyczy Anders Dalström.

Przywiązał Axela Fagelsjóa do krzesła i patrzy, jak mężczyzna próbuje się wyrwać, w jego oczach osobliwa mieszanina nienawiści, rozpacz, rezygnacji i strachu, strachu pochodzącego z braku rozumienia tego, co się dzieje.

- Tak samo jak kiedyś zabiłeś mojego ojca.
- Nigdy nikogo nie zabiłem.
- Zabiłeś go.

Anders Dalström widzi, że Axel Fagelsjóa próbuje powiedzieć coś jeszcze, krzyczeć, ale z jego ust nie wydobywają się żadne dźwięki.

Wyjmuje z walizki szmatę, zawiązuje ją mocno wokół głowy starego, tak żeby wrzynała się głęboko w jego usta; to wspaniałe uczucie ścisnąć ją jeszcze mocniej, widzieć ból w jego oczach, czuć spokój, który falami ogarnia całe ciało.

Chciał to staremu wyjaśnić.

Zmusić go, żeby posłuchał.

- Jak myślisz, jakim był ojcem po tym, jak go zabiłeś? Gonił mnie z kamerą, gonił mnie i chciał mnie zniszczyć, tak jakby mnie nienawidził za to, że miałem przed sobą całe życie, tak jakbym ja był jego bólem.

Axel Fagelsjóa wierci się na krześle, chce się uwolnić, a może chce coś powiedzieć.

Ale prosić o przebaczenie? 440

Bynajmniej.

I Anders Dalström uderza go w policzek zaciśniętą pięścią, czuje ból rozprzestrzeniający się od kostek po dłoni, przemoc jest przyjemna, miękka, dzięki niej znika to, co złe.

Więc uderza jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze. Młode węże poruszają się, chłopaki na szkolnym podwórku, uderzenia ojca, teraz węże mają jego twarz, kał w toalecie, ból, bo nigdy nie spotkało się miłości, na której można by polegać.

Ból, ból, ból.

Ból całego świata. Wściekłość całego świata zgromadzona w ciosach. Ta sama wściekłość, która musiała zrobić czterdzieści dziur w brzuchu Jerry'ego Peterssona, ile dziur będę miał ja?

Kim on jest? - zastanawia się Axel Fagelsjő.

Bettino, kim on jest?

Jego chaotyczne słowa. O jakichś młodych wężach, o twarzach, ale równocześnie w całym tym szaleństwie chyba wie, czego chce, kim jest.

Axel Fagelsjő wbrew swojej woli znów poddaje się strachowi i próbuje się uwolnić, chce biec, uciekać, ale wciąż siedzi na krześle, nie rusza się, więc równie dobrze może przyjmować uderzenia, próbować znaleźć w tym wszystkim jakiś ład. Jeśli to on zabił mojego syna, to dostanie za swoje, przysięgam to samemu sobie i wszystkim tym, którzy byli przede mną.

Pokój.

Jest piękny i znajomy, jeden z moich pokoi, niczyj inny.

Bettina. Twoje prochy rozsypane w lesie.

Teraz przestał bić, siedzi tylko na krześle pod ścianą i zdaje się zbierać siły, żeby coś powiedzieć.

- Słuchaj teraz, stary. - Anders Dalström wstaje i podchodzi do Axela Fagelsjő siedzącego pośrodku zimnego pokoju. - Już samo to, co mi zrobiłeś, co zrobiłeś tacie, wystarczyłoby, żebym zabił twojego syna. - Wsadza palce do nozdrzy Axela Fagelsjő, naciska mocno, a Axel Fagelsjő stęka z bólu. Dalström chce mu rozerwać nos, czuć ciepłą krew płynącą po pal- 441

cach, czuć, jak wypełzają z niego ostatnie zimnokrwiste, ślepe stworzenia. - I wiesz co?! - krzyczy. - Lubię używać mojego ciała, żeby pokazywać, kto rządzi. Przemoc mnie karmi, rozumiesz to?

Wyciągnąłem go z domu. Zabiłem go tam, a potem zawiozłem do kaplicy.

Chcę, żebyś o tym wiedział.

Przejmowałeś się mną? Tym, co robił mi tata, kiedy bóle oka i głowy przejęły nad nim władzę?

I wtedy Anders Dalström znów uderza, ale ogarnia go strach, gdy czuje podbródek starego na kostkach dłoni.

Młode węże znów się poruszają. Jest ich więcej niż kiedykolwiek i pływają w jego żyłach, piją jego krew.

To szaleniec, myśli Axel Fagelsjő i próbuje uciec przed bólem we wspomnienia, stara się utrzymać jasność myśli.

Przez chwilę wydaje mu się, że ten szaleniec go zabije.

Wtedy wreszcie będę mógł do ciebie pójść, Bettino. Byłem u ciebie w lesie tego ranka, kiedy popełniono pierwsze morderstwo.

Więc uderz mnie.

Pozwól mi pójść do tej, którą kocham.

Teraz Axel już wie, kim jest młodszy mężczyzna w pokoju.

To syn tego beznadziejnego parobka, którego oślepił na jedno oko.

Szkoda chłopca, ale takie rzeczy się zdarzają.

Straszny był z niego gamoń i pewnie dostał to, na co zasługiwał.

A Fredrik? On też dostał to, na co zasługiwał?

Nikt nie może mi mówić, ani nikomu z mego rodu, na co zasługujemy, a na co nie.

I wtedy uderza znowu. Tym razem kolbą strzelby. Pałący ból i czuję obłuzowane zęby, oczy chcą wypaść z oczodołów.

Co się stało z tym parobkiem? Podczas procesu siedział cicho, to pamiętam, ale co się z nim stało potem? Może cierpiał, tak samo jak ja teraz cierpię? Oślepił na jedno oko, ale po cóż

się użalać nad takim kalectwem? Może zgorzkniał, ale dla tego, kto zna swoje miejsce, życie jest prostsze, niezależnie od tego, jakie to miejsce.

Teraz nóż. Pokazuje mi pieczęć na rękojeści. Pieczęć Skogsa. Zanim rozcina mi policzek.

Boli mnie i krzyczę.

Bettino, mogę teraz do ciebie przyjść. Jesteś ze mnie dumna? Nie chcę spoczywać w kaplicy, tylko z tobą, w lesie.

Właściwie co znaczy sam zamek? Parę hektarów lasu? Wspomnienia, na których nikomu nie zależy?

Doprowadzę to do końca, myśli Anders Dalström. Zrobię tak, jak chcę, dokładnie tak jak on zawsze robił.

Jego twarz jest twoją twarzą, ojciec.

Jesteście jednym i tym samym?

Nie ma żadnych powodów, by wątpić. Tak samo jak oni nigdy się tym nie zamartwiali, kiedy już mnie dorwali na szkolnym podwórku.

Krew płynie Axelowi Fagelsjo po policzkach i Anders Dalström chce wbić nóż w jego tłusty brzuch, ale nie może się na to zdobyć, coś go powstrzymuje, szepcze mu do ucha: „Nie”. Rzuca nóż w kąt, znów wsadza palce w nozdrza Axela Fagelsjo, zatyka mu nos, drugą ręką otwiera mu usta, wciska głęboko szmatę i wie, że teraz stary nie może oddychać. Że tam, w środku, musi krzyczeć o powietrze. Zarozumiałe, butne spojrzenie, które przed chwilą było w jego oczach, teraz znikło, zastąpiło je coś innego, może pierwotny strach.

Czarno-białe płatki latają mi przed oczyma.


Coś pełza po moim ciele. Zniknie na zawsze.

Ktoś coś szepcze. Czy to ty, Andreas? Jesteś tam?

Dajcie mi powietrza.

Chcę więcej.

Chcę się tobą spotkać, Bettino, Fredriku, ale jeszcze nie te raz. Katarina. Gdzie jesteś?



Popełniłem błąd, przyznaję, puść mnie, wybaczone mi, popełniłem błąd, ale niech to się teraz nie kończy, chcę dalej żyć, boję się, czuję gorąco liżące mi kostki u nóg, próbuję krzyczeć o przebaczenie, krzyczeć, że mogę kochać ciebie i wszystkich innych, że musisz mnie puścić, to twoja jedyna nadzieja, a krew płynie, ale ty nie przestajesz, wciskasz palce coraz głębiej w mój nos.

Chcę powietrza, dajcie mi powietrza.

Mamo?

Głos Tove, jak uderzenie młotkiem w serce, gdy Malin otwiera drzwi, wychodząc z budynku przy Drottninggatan.

Obok niej Zeke, niespokojny i podekscytowany, chce biec do samochodu.

- Tove.

Nie mogę teraz rozmawiać, kochanie.

Szybka narada przed chwilą, na górze, w mieszkaniu Axela Fagelsjő.

Gdzie oni mogą być? Najprawdopodobniej są razem. Słowa Svena:

- Jeśli Dalström zabrał Fredrika Fagelsjő na zamek, to mógł tam też zabrać Axela Fagelsjő. Zeke i Malin, jedźcie tam szybko. Poinformujcie Katarinę Fagelsjő i innych zainteresowanych. Ten Dalström może być bardzo niebezpieczny, musimy jak najszybciej go złapać.

- Mamo, zastanawiałam się, czy...

Malin słyszy jej głos, biegnąc do samochodu, nie dociera do niej, co mówi córka, odpowiada tylko:

- Tove, muszę się rozłączyć.

Przerywa połączenie i sekundę później chce oddzwonić, przeprosić, że wszystko skończyło się tak, jak się skończyło tamtego wieczoru, kiedy Tove u niej była, że pozwoliła jej wyjść, że jest najgorszą matką na świecie, przeprosić, że nie jest tak cholernie łatwo być człowiekiem.

Po drugiej stronie Drottninggatan park jest ciemny i zimny, a deszcz wwierca się teraz w ziemię, ogranicza widoczność i Malin zastanawia się, czego chciała Tove, wie, że musi do 445

niej oddzwonić, może mnie teraz potrzebuje. Ale zamiast tego mówi:
- No jedź! Szybciej. Szybciej.

Światła samochodu są jak gorliwe szperacze na udreżonym deszczem asfalcie Drottninggatan.

Telefon Malin znów dzwoni. Tove? Nie teraz. Ale na wyświetlaczu pojawia się inny numer.

- Malin.

- Johan Stekanger z tej strony.

Ten adwokat. Inwentaryzator spadku po Jerry Peterssonie. Ten, który znalazł Fredrika Fagelsjő.

- Chcę tylko poinformować, że zamek został wczoraj sprzedany. Za dwukrotnie wyższą sumę niż ta, którą zapłacił Jerry Petersson. Jego ojciec przyjął ofertę.

- Kto go kupił? -

Nie mogę...

- Nikt panu nie broni powiedzieć. **-Ja...**

- Słuchaj - mówi Malin. - Mów, bo inaczej będę jak kleszcz z boreliozą w twojej dupie do końca twoich dni. Kto go kupił?

- Axel Fagelsjő we własnej osobie. Któż by inny? Wczoraj podpisaliśmy umowę i symbolicznie dostał klucze do głównej bramy. Zmagazynowaliśmy wszystkie graty Peterssona, a dzieła sztuki znajdują się w domu aukcyjnym. Wyśmiał to przekazanie kluczy i powiedział, że zachował sobie parę kompletów. A nie sądzę, żeby Petersson wymieniał zamki.

- Odkupił zamek - rzuca Malin.

Zeke nie zdejmuje rąk z kierownicy. Patrzy prosto przed siebie, na drogę, gdy wyjeżdżają z centrum miasta w ciemny krajobraz.

- Śmiało sobie poczyna.

- Stary wojak - mówi Malin, a potem, przekraczając wszystkie ograniczenia prędkości, jadą w stronę zamku.

Muszą tam być.

Poła.

Las.

Co się tam porusza? Co zaciemnia umysły ludzi? Co skłania ich do czynów, których nie da się opisać? Jak to morderstwo honorowe, którym się zajmowali przed tą sprawą.

Co sprawia, że człowiek przerywa połączenie, gdy rozmawia z własną córką? Malin przymyka oczy, widzi Tove na podłodze w pokoju i tę szaloną kobietę nad nią. Widzi ofiarę gwałtu na krześle, w ciemnym kącie zapomnianego przez Boga pokoju w zapomnianym szpitalu.

Tove Fors.

Fredrik Fagelsjő.

Anders Dalström.

Jerry Petersson.

Wiem, co was łączy.

Możę coś dla ciebie zrobić, Tove. Dla siebie. Dla nas.

Jeśli nie dam rady kochać ciebie, kogo dam radę?

Są pierwsi na miejscu i zamek wznosi się przed nimi z czarnej ziemi jak arka dla wszystkich uczuć, jakich kiedykolwiek doświadczył człowiek.

Świecą się latarnie, rzucają zieloną poświatę na wodę w fosie. A może ta poświata pochodzi z samej wody?

Na zamkowym wzgórzu nie ma żadnych samochodów.

Malin biegnie do bramy, szarpie ją, ale jest zamknięta.

Do diabła.

Nie ma ich tu.

Zeke podchodzi do niej.

- Wygląda na to, że ich tu nie ma - szepcze i Malin zastanawia się dlaczego zniża głos.

- Szlag by to, byłam pewna.

Wokół nich panuje cisza, słychać tylko szum lasu.

- Mógł otworzyć i zamknąć za sobą kluczami Fagelsjő - mówi Malin.

- Obejdźmy teren - proponuje Zeke.

Obchodzą zamek dookoła, idą do kaplicy, która jest pusta i zamknięta. Deszcz bębni o ich kurtki, a Zeke idzie przed nią sztywnym krokiem.

Idą w milczeniu.

Gdzie jest samochód? - myśli Malin. Muszą tu być.

Okrażają szczyt budynku i słyszą jakiś samochód, być może radiowóz, zajeżdżający na zamkowe wzgórze. Teraz widzą światła, nikłą smuzkę sączącą się z zasłoniętego okienka piwnicy.

Spoglądają po sobie.

Kiwają głowami, ocierają deszcz z twarzy, biegną na front zamku, słyszą chrzęst żwiru i kamieni pod podszwami.

Widzą trzech policjantów w mundurach, wysiadających z oznakowanego pojazdu.

- Drzwi! - krzyczy Malin. - Mogą być w środku, w piwnicy.

Parę sekund później trzech policjantów rzuca się w stronę bramy, ale ich wysiłki nie przynoszą żadnego rezultatu.

- Nie da rady! - krzyczy jeden z nich i Malin każe im się cofnąć, wyjmuje pistolet z kabury, ma gdzieś rykoszety, pochyla się z boku schodów prowadzących do wejścia i strzela w po malowany na czarno zamek, z pewnością liczący kilkaset lat, opróżnia magazynek i zamek wypada na kamienne stopnie.

Malin wchodzi pierwsza.

Biegnie przez pokoje.

Kuchnia, nawet w ciemności, jak biała, lśniąca rzeźnia.

Zbiega po schodach do piwnicy, spodziewa się, że znajdzie tam Axela Fagelsjóa i Andersa Dalstróma. Ale jak będzie wyglądać ta scena?

W piwnicy jest ciemno i zimno, trudno jej oddychać, czuje pozostałych za sobą, ich strach, ich kroki bębniące rytmicznie o kamienną posadzkę. Pochylona przemyka przez korytarze, kopnięciem otwiera drzwi prowadzące do czegoś, co musi być więziennym lochem. Czy to tutaj siedzieli rosyjscy jeńcy, zanim zostali zamurowani w fosie?

Przechodzą jedno, dwa, trzy pomieszczenia. Wszystkie puste.

I czwarte drzwi.

Sączące się zza nich światło.

Malin naciska żelazną klamkę.

Co teraz zobaczę?

Otwiera drzwi.

Ozy on tu jest?

Bettino, to ty?

Nie, ale czy on wciąż tu jest?

Co takiego powiedział?

Nie zrozumiałem.

Teraz ktoś nadchodzi, czy to on wraca?

Wyjął śmierdzące palce z mojego nosa, ale nadal mam szmatę w ustach. Już mnie więcej nie pociął.

Liny na moich rękach i kostkach u nóg. Przechylam się to w jedną, to w drugą stronę i chcę, żeby wrócił, chcę się spotkać z tobą, Bettino.

Naprawdę tego chcę?

Chcę jeszcze żyć. Wiem, co muszę zrobić, teraz czuję, że światło powraca do moich oczu, usłyszałem otwierane drzwi, czy to idzie do mnie śmierć czy życie?

Oszczędź mnie.

Jestem dobrym człowiekiem.

Pomieszczenie skąpane w świetle lampy pod sufitem.

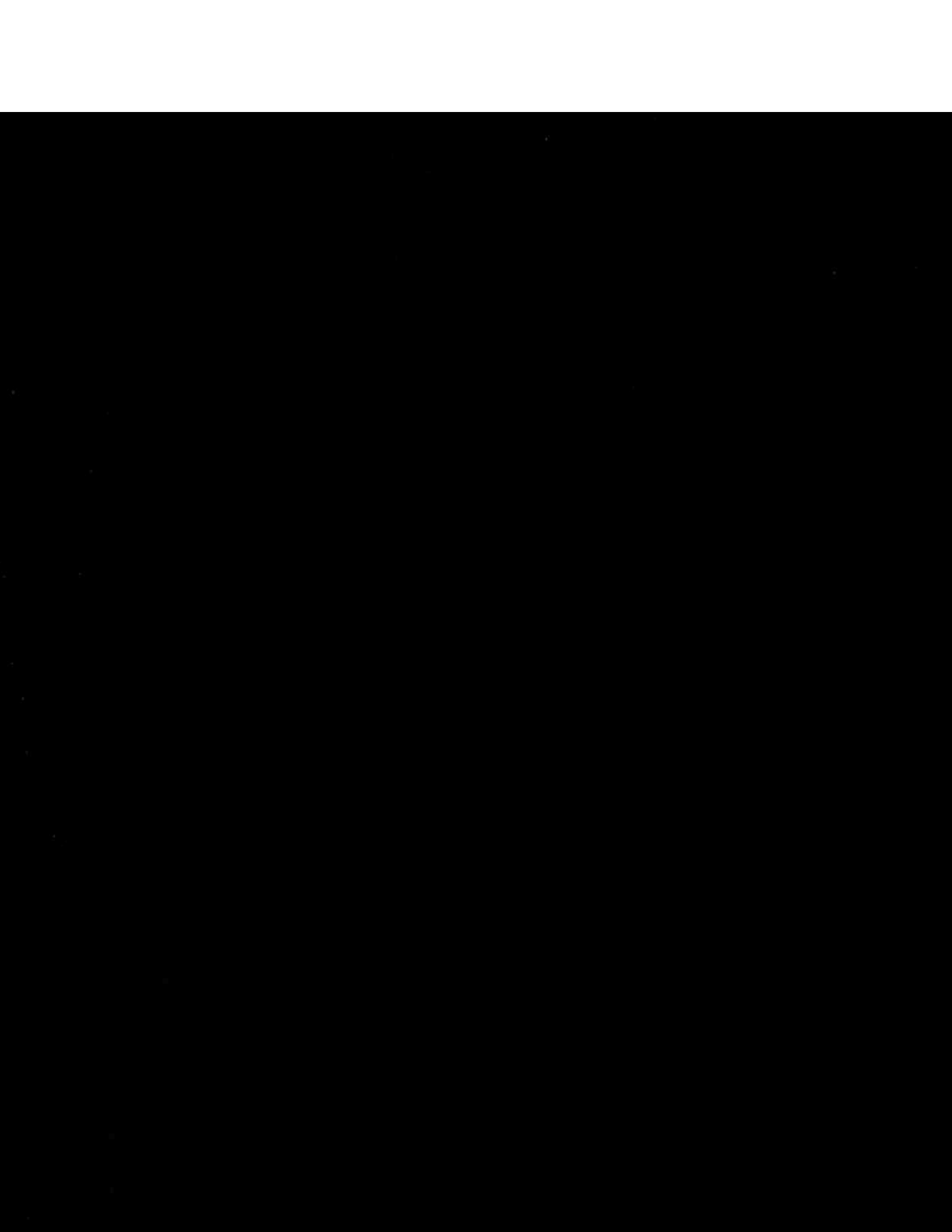
Malin widzi go.

Siedzi nieruchomo na krześle pośrodku, krew płynie mu z głowy, z nosa.

Axel Fagelsjo.

Sam. Andersa Dalstróma tu nie ma.

Axel Fagelsjo. Teraz nie wygląda już tak imponująco i Ma- 449



lin myśli, że to nie ma żadnego znaczenia, czy jest martwy, czy żyje, mimo wszystko waha się, posuwa się ostrożnie naprzód, żyje czy nie żyje?

Ciało starego mężczyzny wygląda, jakby złało się w jedno z kamienną podłogą pod nim, ściany zamku jakby wsysają w siebie krew. Malin czuje bijące serce historii, która pompuje w jej żyły przedziwną pieśń.

Jest już przy Axelu Fagelsjó.

Kładzie dłoń na jego ramieniu.

Patrzy na nią zza zaciśniętych powiek. Jego spojrzenie wydaje się coraz bardziej świadome.

Malin macha na pozostałych, żeby weszli do środka. Nie ma tu nikogo innego, gdzie jest Anders Dalstróm?

Ciało Axela Fagelsjó przeszywa dreszcz. Kaszle, chce wyjąć szmatę z ust. Malin jeszcze raz rozgląda się dookoła, pusto, odkłada pistolet na kamienie, czuje oddech Zekego tuż za sobą. Potem wyjmuje knebel z ust Axela Fagelsjó, a policjant w mundurze przecina liny krępujące jego nadgarstki i kostki. Hrabia wyrzuca w górę ramiona z jakąś dziwną, na nowo odnaną siłą. Wierzga nogami. Jego zakrwawiony sweter się unosi i Malin widzi poruszający się pod nim tłusty brzuch. Podnosi się, wstaje.

- Skurwysyn się nie odważył - mówi. - Nie odważył się.

jednak się odważył, ojcze.

Ale nie mógł, nie chciał.

Widzę, jak znów siadasz, bezbronny. Jeszcze przed chwilą ogarniał cię najgorszy z możliwych lęków, jedyne uczucie, które istnieje na granicy, gdzie spotykają się życie i śmierć.

Dopiero co tam byłeś i teraz zostałeś przywołany z powrotem, ale czy nauczyłeś się czegoś, ojcze?

Nie sądzę.

Zostanę pochowany za parę dni, ale ty się tym nie przejmujesz. A może jednak? Rodzinny grób stoi gotowy w kaplicy.

Tak wiele jest rzeczy, których o tobie nie wiem, ojcze, a teraz Malin Fors i Zacharias Martinsson stoją przy drzwiach, rozmawiają ze swoim szefem i dyskutują o jednym: gdzie jest Anders Dalstróm ?

Jesteście blisko, Malin, ale ten spektakl jeszcze się nie skończył. Wciąż pozostaje kilka krótkich chwil ciemności i światła.

Znaleźliście nóż, ten z pieczęcią na rękojeści, nóż, który wbił się w moje ciało. Za parę dni Karin Johannison poinformuje cię, że to był nóż, którym zadano mi rany.

Wiruję w mojej przestrzeni, ubawiony nieubłaganym biegiem wydarzeń, które chcą się rozegrać, dobiec do końca, tak, żeby mógł się rozpocząć początek.

jest jakaś sprawiedliwość w tym, co się ze mną stało. Rozbiłem przyjaźń i zniszczyłem niejedną miłość i nie poniosłem za to odpowiedzialności.

Ale gdzie on teraz jest? Gdzie jest Anders Dalstrom?

Wiesz to, Malin. Wiesz to.

Malin kuca przy Axelu Fagelsjő, który znów usiadł na krześle, widzi, że Waldemar Ekenberg i Johan Jakobsson zbliżają się od strony schodów.

Stary hrabia ostrożnie, ale stanowczo ociera krew z twarzy, oddycha powoli i mówi:

- Nie odważył się. Ten dziwoląg. Ale wybił mi parę zębów.
- Mówił coś, kiedy odchodził? -Nie.
- Wie pan, gdzie mógł pójść?
- Nie. Gdzie miałby pójść ktoś taki jak on?

Siedzący przed nią mężczyzna wydaje się potężny na swoim krześle, jego spojrzenie jest zmęczone, ale twarde, gdy mówi:

- Kiedy zwierzęta umierają, idą w miejsca, w których były wcześniej i które mają dla nich jakieś znaczenie.

- Miał broń?
- A jak pani myśli, jak mnie sprowadził tu na dół?
- A więc był pan tu, kiedy on się zjawił?
- Nie. Kiedy przyszedł, byłem w mieszkaniu, ale wybierałem się tutaj. Nadeszła pora wrócić do domu.

I Malin się podnosi, podbiega do Zekego, nie zwracając uwagi na Johana, Svena czy Waldemara.

- Chodź! Wiem, gdzie on jest!

Zeke rusza za nią, nie zadając żadnych pytań, przebiegają nad fosą, której woda zdaje się kipieć zielonymi bąbelkami. Biegną do samochodu. Deszcz bębni o ziemię i po chwili siedzą w volvo, mkną coraz szybciej i szybciej przez ukrytą w ciemności posiadłość, jakby wyczuwali zjawy tych, którzy byli tu przed nimi, unoszące się niespokojnie za oknami samochodu.

Milczą.

Teraz są za nimi inne samochody z włączonymi światłami.

Ale bez syren.

Dźwięki deszczu, wiatru i silników górują nad lasem i polami.

Przejeżdżają obok domu Linnei Sjóstedt, słabe światło sączy się z okien.

Mijają budynek, w którym odbywała się impreza tamtej sylwestrowej nocy, skręcają raz, dwa, trzy razy, a potem ostry zakręt przed polem, na którym samochód z Jerrym Petersso-nem i pozostałymi toczył się, toczył i toczył, a ciała fruwały w powietrzu. Zimowa noc musiała się rozpaść na kawałki od dźwięku zgniatanego metalu, ciał rozdzieranych na strzępy, tak że nie mogło im już pomóc żadne leczenie.

Samochód, dalej na polu.

Biały, niemal przezroczysty deszcz w stożkach światła rzucanych przez reflektory.

A dalej, między światłem a ciemnością, stoi człowiek ze sztucerką w jednej ręce.

Owiatła i dźwięki.

Samochody, drgające kaskady barw.

Nie mogłem zabić starego. Ale mogłem zabić jego syna, miałem to w sobie. I to było wspaniałe uczucie.

Zrobiłem to.

Nie zamierzałem zabijać Jerry'ego Peterssona, ale czy ktoś mógłby powiedzieć, że nie zasłużył na taki koniec, jaki go spotkał?

Teraz pora, żebym zniknął. To wszystko. A tu jest dobre miejsce, prawda, Andreas?

Jeśli tu jesteś, pokaż mi się, wtedy zostanę. Spojrzę prosto w żółte twarze węży.

Światła.

Samochody.

Głosy i ludzie, człowiek, który idzie w moją stronę, jak czarna sylwetka na podmokłej łące.

Nie widzę twarzy tego człowieka.

Ale wiem, że to nie ty, Andreas.

Wysiąść z samochodu.

- Zajmę się tym sama, Zeke.

Postać na polu zdaje się drżeć, tak jak obrazy z jego życia. Długie, czarne włosy, jak bicz na wietrze.

W ręce broń. Sztucer.

Malin wyciąga pistolet drugi raz w ciągu tej doby.

Teraz są już blisko tego, co ścigają.

Zło, chaos, strach. W zasięgu wzroku.

Anders Dalström trzyma broń opuszczoną wzdłuż ciała.

Pozostali, ukryci za wozami, głos Svena, niespokojny, poruszony, ale równocześnie pewny: nie mogą jej zabronić tego zrobić.

Malin podchodzi do mężczyzny na polu; im bardziej się do niego zbliża, tym wyraźniejsze stają się jego wykrzywione rysy, udręka w jego oczach.

Jest tak, jakby mnie nie widział, myśli Malin. Jakby był sam na deszczu i wietrze, a jego spojrzenie szuka czegoś, za czym od dawna tęsknił.

Widzę tylko ciemność.

Czuję tylko pełzające we mnie młode węże, słyszę tylko ich skargi. Czuję uderzenia ojca, słyszę ich krzyki, kiedy mnie gonią.

Nie ma cię tu, Andreas.

To mi wystarczy, nie mam nic więcej do zrobienia, ten zimny deszcz, który przesiąka przez moje ubrania, nigdy się nie skończy, tak jak ta ciemność.

Patrzę na światła i na kobietę, która idzie w moją stronę, chyba coś krzyczy, ale słyszę tylko nerwowy szum, tak jakby chciała ode mnie czegoś ważnego. Ale mam ją gdzieś. Wsuwam lufę sztucera do ust, ściskam mocniej ten sam spust, który często naciskał twój palec, tato, zanim straciłeś oko.

Widzę ją przed sobą.

Ale nie widzę ciebie, Andreas. Nie ma cię tu.

Uniósł broń do ust.

Palce na spuście, ostrożnie, ale bez wahania.

- Nie rób tego! - woła Malin. - To niczego nie zmieni.

Kiedy wykrzykuje te słowa, nad polem przechodzi potężny podmuch wiatru, szelest.

Teraz strzeli, myśli Malin.

Ale Anders Dalström nie naciska spustu, zamiast tego patrzy na nią i jego oczy robią się spokojne, ufne wobec tego, co się wkrótce stanie.

Malin znów krzyczy:

- Są inne wyjścia! Zawsze są!

Wydaje jej się, że czas zwija się w kulkę, i widzi przed sobą Tove i Jannego. Siedzą przed telewizorem w domu pod Malm-slatt i czekają, aż przyjdzie do nich ze swoją miłością, musi tak być, muszą za nią tęsknić. Chcę zrozumieć, myśli, co takiego stoi pomiędzy mną a całą tą miłością, którą czuję.

- Nie rób tego.

Mój głos brzmi teraz jak modlitwa.

Nie rób tego.

Zawsze jest jakieś wyjście, jakaś droga.

- Nie rób tego! - krzyczy do mnie.

Teraz to słyszę. Ale chcę to zrobić i patrzę w ciemność, widzę samochód, który przewraca się i koziołkuje. Świat wiruje w nicość, dobiega końca.

Powiedz, dlaczego mam tu zostać?

Lufa jest zimna i twarda. Metaliczny posmak w ustach.

Zrobię to teraz.

Jej usta się poruszają, ale nie płyną z nich żadne słowa, ale co to jest, to, co słyszę, czyj to głos i co do mnie mówi?

Zrób to. Zrób to.

Ty cholerny tchórze. Zrób to.

Naciśnij spust i zakończ to wszystko.

Pewnie, to ja prowadziłem, ale jakie to ma znaczenie? Już przedtem nie miałeś żadnego życia, a potem znalazłeś sobie powód, żeby uwierzyć, jaki jesteś nieszczęśliwy, i nigdy już nie poszedłeś dalej. Jesteś beznadziejny.

Więc zrób to, zrób to, zrób to, zrób to teraz, teraz, teraz.

Precz, precz, precz.

Anders Dalström chce wymachiwać rękoma w powietrzu, odepchnąć od siebie ten bezcielesny głos i to, co mówi, choć są to dokładnie te słowa, które najbardziej chce słyszeć.

Zrób to.

- Siedź spokojnie. Mam tu linijkę. Wysuń palce.

- Bierz go, bierz go!

Zrób to.

Zrobię, zrobię, ale czy się odważę?

Zniknij!

Chcę to zrobić sam.

Zrób to, mówi głos, nie, mówi inny głos, nie rób tego. Czyja to twarz, tam, przede mną?

Wpatruje się w pustkę, tak jakby utkwił wzrok dziesięć centymetrów przed swoją twarzą, myśli Malin. Wiem, czego szukasz, myśli.

- On tu jest. Chce, żebyś został - mówi.

I Anders Dalström nieruchomieje, przestaje się trząść, tak jakby film o jego życiu dobiegł końca, a potem porusza ustami, ale Malin nie jest w stanie odczytać słów, dźwięki wydobywające się ze szczeliny wokół lufy są przeznaczone dla kogoś innego.

Jego palec na spuście.

Za nim ciemność jak ściana.

Co kryje się w tej ciemności?

Andreas? To ty? Jesteś tu?

Czy to naprawdę twoja twarz, która unosi się przed jej twarzą? W jej twarzy? To jakby jej twarz.

Co mówisz?

- Anders, to ja, a jednak o wiele więcej - mówi teraz głos.

- To mnie masz słuchać. Nikogo innego. Nie

chcę mieć cię tutaj.

456 Nie.

Nie jesteś jeszcze gotowy. Młode węże znikną. Obiecuję.

To życie, którym będziesz żył, może nie będzie łatwe ani godne pozazdroszczenia, ale to będzie twoje życie.

Teraz widzisz moją twarz. To ja. Prawda? Więc wyjmij teraz tę lufę z ust. Inaczej znów zniknę.

To ty, Andreas.

I prosisz mnie, żebym tego nie robił.

Posłucham cię. Jak mógłbym zrobić coś innego?

Nie rób tego.

Noże kosiarki wreszcie umilkły, nikt mnie już nie goni, a kiedyś, pewnego dnia, powróci do mnie miłość, ta miłość, której szukałem i przed którą uciekałem.

Więc nie rób tego.

Dla mnie. Dla Katariny. Dla wszystkich.

Malin widzi, jak Anders Dalström powoli wysuwa lufę sztu-cera z ust, a potem szybkim, gwałtownym ruchem odrzuca broń na podmokłą ziemię na polu, unosi ręce do góry, patrzy Malin prosto w oczy.

Co widzisz? - myśli Malin.

Mnie?

Kogoś innego?

Celuje z pistoletu w mężczyznę naprzeciwko.

Czuje deszcz spływający jej za kołnierz i dalej po plecach, słyszy za sobą odgłosy kroków.

Potem widzi dwóch policjantów w mundurach, którzy podchodzą do Andersa Dalströma, wyginają mu ręce za plecy i uśmiechają się spokojnie.

Czyjaś dłoń na jej ramieniu.

Głos Zekego przy jej uchu:

- Jesteś szalona, Malin. Szalona.



Epilog

LINKOPING, SAVSJÓ, LISTOPAD

len, kto patrzy i słucha, może nas usłyszeć.

Wszyscy tu jesteśmy, my wszyscy, chłopcy, uwięzieni w czasie.

Unosimy się razem wokół was.

Jesteśmy wszędzie i nigdzie.

Jesteśmy tym samym głosem, Jeny, Andreas i Fredrik, jesteśmy chórem wykraczającym poza to, co potraficie ogarnąć.

Mężczyzna tam, na dole, w celi aresztu, jest samotny, wkrótce trafi przed sąd i dostanie swój wyrok.

A równocześnie nie może być samotny, bo wie, kim jest, dlaczego zrobił to, co zrobił.

Czasem mordercy można czegoś pozazdrościć. Czyż to nie dziwne?

Ale jest wiele dziwnych rzeczy.

I niewielu jest tych, którzy patrzą i słuchają.

Niewielu jest tych, którzy mają odwagę wierzyć.

Malin rozgląda się po pokoju. Centrum szkoleniowe przerobione na ośrodek odwykowy dla alkoholików, którzy przekroczyli pewną granicę przyzwoitości, sprawia wrażenie sztywnej, surowej instytucji.

Sześć tygodni tutaj.

Sven Sjóman był nieubłagany.

- Zdejmuję cię z aktywnej służby. Idziesz na zwolnienie le-458 karskie i masz jechać do tego ośrodka odwykowego.

Położył broszurę na stole, mała, nienawistna ulotka skierowana w jej stronę. Jak reklama jakiegoś biura podróży.

Pomalowane na żółto szeregi domków wokół otynkowanej na biało willi z przełomu wieków. Kwitnące brzozy.

Teraz leży tam śnieg, późną jesienią deszcz przemienił się w piękne kryształy.

-Jadę.

- Jeśli chcesz zostać w policji, nie masz wyboru.

Zadzwoiła do Jannego. Opowiedziała mu o sytuacji, czego oczekuje od niej Sven, a Janne nie wydawał się zdziwiony, być może on i Sven byli w kontakcie.

- Wiesz, że masz problem, prawda? -Tak.

- Że jesteś alkoholizką?

- Wiem, że nie radzę sobie z alkoholem. Tak. I że muszę...

- Musisz przestać pić, Malin. Nie możesz brać do ust nawet kropli.

Janne pozwolił jej spotkać się z Tove. Poszły na kawę w Tornby, a potem do H&M i obie kupiły sobie nowe ciuchy. W kawiarni Malin przeprosiła, powiedziała, że ostatnim razem zupełnie jej odbiło, że otrzyma pomoc, tak jakby to było dla Tove jakąś nowością.

- Musisz tam być tak długo?

- Mogło być jeszcze gorzej.

Malin chciało się płakać i zauważyła, że Tove się uodporniła. Ale czy naprawdę?

To było tak, jakby przed Malin siedział dorosły człowiek, znajomy obcy, człowiek, który się zmienił, i siedziały w zakupowym chaosie, próbując nie okazywać smutku, kiedy były razem. Ze wszystkich rzeczy, które mogą razem robić matka i córka, zrobiły właśnie to.

Tove powiedziała:

- To ci dobrze robi, mamó. Potrzebujesz pomocy. Tak mówią piętnastolatki?

- Dam sobie radę. Musisz spróbować dojść do siebie.

W oczach Tove jestem chora. Ale jest coś chorego w rodzicu, który opuszcza swoje dziecko.

- Będę w domu przed świętami.

Ale to miejsce.

Siedzenie w grupie i rozmawianie o tym, jak bardzo może się chcieć pić.

Prywatne rozmowy z kimś, kto nie potrafi sprawić, żeby człowiek się otworzył.

Przyznawanie, że jest się „alkoholikiem”.

Tęsknota za Tove, tak wielka, że człowiek może oszaleć. Taki wstyd, że ma się ochotę wywinąć skórę na drugą stronę. Próby znalezienia sposobu, żeby znosić ten wstyd.

Uściski przed domem w Malmslåt, kiedy odwiozła Tove. Janne za oknem, w jasnej kuchni, w ciemnościach.

- Bądź ostrożna. Niech ci się nic nie stanie. To by mnie za biło.

- Nie mów tak, mamó. Nie mów tak. Dam sobie radę.

Malin nie tęskni za Jannem. Brak tęsknoty to najlepsze, co tutaj ma.

Kto ma ochotę siedzieć i rozmawiać o swoich destrukcyjnych zachowaniach? O swoich wzorcach, które prowadzą do picia? O wspomnieniach?

Odpieprzcie się od wspomnień.

Nie chcę, nie chcę, nie chcę wiedzieć.

Sny o chłopcu bez twarzy. O tajemnicach.

Kłamstwa. Wypowiadane prosto w oczy życzliwym ludziom. Bezsenne noce, sny o młodych wężach ściganych przez ostrza kosiarki, zapędzanych do rynsztoków pełnych martwych szczurów o niebieskich brzuchach.

To się kończy dla tych, którzy odchodzą, ale nie dla mnie. A może jednak?

Obrazy w snach są czarno-białe, jakby zrobione kamerą Super 8, i czasami na tych obrazach jest chłopiec, chłopiec, który biegnie po innej trawie niż ta z filmu wyświetlanego na ścianie sypialni Andersa Dalstróma.

Wczoraj siedziałam z innymi. Wypowiedziałam na głos słowa: „Jestem alkoholiczką”.

Tata tu dzwonił. 460 Dowiedział się od Jannego, gdzie jestem, dlaczego nie od-

bieram telefonu w domu ani komórki. Nie wydawał się zaniepokojony, raczej mu ulżyło.

- Nie czułaś się dobrze, kiedy się ostatnio widzieliśmy.

Co przede mną ukrywasz? Co oboje ukrywacie? O czym nie wiem? Czy ty i mama zabierzecie ze sobą waszą tajemnicę do grobu? Czy to, co ukrywacie, jest powodem, dla którego siedzę tutaj, w tym pokoju w ośrodku odwykowym w lesie i gapię się na wytarty dywan?

Malin wślizguje się do łóżka stojącego pod ścianą. Podciąga wysoko nogi i myśli o Marii Murvall, o tym, jak siedzi na innym łóżku, w innym pokoju.

Czego ten świat od nas chce, Mario?

Będę w domu na święta. Dam radę nie pić. Spędzimy święta w ciszy i spokoju. Muszę zachować spokój.

Sofa w sali telewizyjnej jest obita zielonym materiałem.

Malin siedzi tam sama, żadna z pozostałych kobiet mających ten sam problem co ona nie jest chyba zainteresowana najważniejszymi wydarzeniami dnia.

Dziś rozpoczyna się proces Andersa Dalstróma. Przesłuchania. To, jak mówił, że czuł, jakby były w nim młode węże i że go opuściły, gdy zabił Jerry'ego Peterssona. Mówił o jakimś spokoju. Spokoju, za którym tęsknił i który pragnął przeżyć ponownie. To sprawiło, że było mu łatwo zabić Fredrika Fagelsjóa, ale młode węże nie chciały przemocy wobec Axela Fagelsjóa.

Żona Borjego Svarda zmarła w tym tygodniu, w końcu przestała oddychać i Malin dzwoniła do Borjego, ale nikt nie odebrał i więcej już nie próbowała. Ale wiedziała, że zatrzyma psa Jerry'ego Peterssona, niezależnie od tego, jak się teraz nazywa.

Upija łyk herbaty, którą przed chwilą przyniosła z kuchni.

Wygląda przez okno. Ta sama ciemność co wcześniej.

Widzi logo wiadomości, a potem kobiecy głos i obrazy:

„Mężczyzna, który przyznał się do zamordowania tej jesieni dwóch osób w Linkopingu oraz do uprowadzenia trzeciej 461

osoby, został dziś zabity podczas ataku w sądzie rejonowym w tym mieście. Mężczyźnie, zidentyfikowanemu jako ofiara uprowadzenia oraz ojciec jednej z ofiar morderstwa, w jakiś sposób udało się przemycić na salę sądową śrutówkę z upiło-wanąłufaj..."

Malin robi się słabo.

Rozlewa herbatę na kolana, ale nie czuje gorąca, dalej wbija wzrok w ekran.

Widzi obrazy z sali sądowej.

Zamieszanie.

Słyszy strzały. Krzyki.

Potem twarz Axela Fagelsjő, jasne blizny na policzkach.

Głowa przyciskana do podłogi sali sądowej przez dwóch policjantów.

Wyraz twarzy, który jest pełen przekonania, energii, samotności i smutku.

To twarz, nie maska.

Zrobiłeś to, myśli Malin. I rozumiem cię.

Potwór pochylony nad Tove. Gotowy ją udusić.

Jeśli rodzic nie będzie bronić swojego dziecka, to kto to zrobi?

Moim zadaniem jest chronić Tove.

Na tej ziemi jest miejsce również dla mnie, myśli Malin.

Czuje, że wszystko się ułoży.

Spis treści

Prolog	5
Część 1. Miłość, która zwleka	9
Część 2. Deszcz z chmury, która nigdy nie wróci	229
Część 3. Nierozważni i przerażeni.....	333
Epilog	458